

Rozdział I

Ostatnie dni w cywilnym ubranku

Złota polska jesień na dobre zagościła w Bieszczadach. Pożółkłe liście pokryły leśne ścieżki i polanki. Powietrze stało się nieco chłodniejsze i ostrzejsze. Od czasu do czasu nad bieszczadzskimi górami dawał się słyszeć klangor odlatujących z naszego kraju żurawi. Zapelnione w czasie wakacji namiotami pola biwakowe zupełnie opustoszały. Na ulicach Soliny z rzadka widywało się zakochane jesienne pary.

Lato bezpowrotnie odeszło. Wraz z nim odeszły ostatnie dni wolności.

Siedząc na daleko wypuszczonym w jezioro pomoście obserwowałem chmury odbijające się w zielonkawej toni wody. Sunęły powoli, leniwie nieśpieszne. Nie zatrzymywały ich żadne granice. Były wolne.

W kieszeni mojej kurtki szeleścił nakaz zgłoszenia się na Wojskową Komisję Lekarską. Armia jednak upomniała się o mnie. Szczerze powiedziawszy nie zamierzałem się opierać. Moja sytuacja materialna była naprawdę nie do pozazdroszczenia. W pewnym sensie pójście w kamasze mogło się dla mnie okazać ucieczką od bezsensownej egzystencji jaką wiodłem prawie od roku.

Mieszkałem w województwie rzeszowskim, w którym jak wiadomo panowało duże bezrobocie. Przez rok pobierałem zasiłek dla bezrobotnych, jednak już dawno się skończył. Wszelkie próby podjęcia pracy kończyły się niepowodzeniem. Niestety, nigdzie wcześniej nie pracowałem a wszędzie gdzie pytałem o prace potrzebowali ludzi z pewnym doświadczeniem. Raz tylko udało mi się znaleźć pracę w której nie wymagali żadnego doświadczenia. Polegała ona na kopaniu przydrożnego rowu i czyszczeniu miejskiego szamba.

Spodziewałem się, że w wojsku będzie mi znacznie lepiej. Przynajmniej pod względem socjalnym. Jeść dadzą, ubrać się też będzie w co. Nie ma co narzekać. Jakoś to będzie.

W owym czasie nie mając zielonego pojęcia o wojsku nosiłem się z zamiarem pozostania w armii. Później jednak kiedy zdołałem nieco dokładniej zaznajomić się z tą dziwną instytucją stwierdziłem, że ganieanie w masce gazowej z karabinem w rękę za pędzącym czołgiem nie leży w mej spokojnej naturze, i na pewno są na świecie tysiące, innych znacznie ciekawszych zajęć, które mógłbym wykonywać. Na przykład hodować kwiaty, prowadzić biuro matrymonialne, pisać książki, albo grać na trąbce. Wszystko, byle tylko jak najdalej od śmiercionośnego żelastwa.

Nacieszywszy się ostatnimi chwilami wolności (której jeszcze nie umiałem docenić) pożegnałem piękne Bieszczady i wróciłem do swej rodzinnej wioski w Rzeszowskim.

Do zgłoszenia się na komisje lekarską pozostało jeszcze cztery dni. Każdy normalny człowiek będąc w takiej sytuacji nie opuściłby żadnej zabawy czy dyskoteki aby maksymalnie wykorzystać ten czas na uciechy, których później miało brakować. A co ja robiłem w tym czasie? No cóż, w dzień pielilem buraki, a wieczorami czytałem piąty rozdział „ Zbrodni i kary ” Dostojewskiego. Niewiele było w tym uciechy, zwłaszcza, że pod koniec rozdziału Raskolnikow poważnie się rozchorował.

I tak oto nadszedł dzień, w którym sztab lekarzy zadecydować miał o kategorii mojego zdrowia, co mogło w dużym stopniu wpłynąć na to do jakiego rodzaju wojsk zostaną skierowany.

Szczerze powiedziawszy najchętniej poszedłbym do orkiestry przeciwlotniczej, ale jak się dowiedziałem właśnie skończył się przydział.

Tego pięknego poranka kiedy po raz pierwszy miałem wejść w bliższy kontakt z wojskiem musiałem obudzić się bardzo wcześnie. Pogoda była dość ładna. Idealna na podróż. Na komisje skierowano mnie do sąsiedniego miasta wojewódzkiego – Przemyśla. Oczywiście przed badaniami niczego nie jadłem, zrobiłem tylko siusiu i popędziłem na przystanek.

W autobusie spotkałem swojego znajomego, który już wojsko odsłużył i jak mawiał zdążył już o nim zapomnieć

(pozostał mu jednak pewien nieuleczalny nawyk: mianowicie kiedy mijał jakiegoś wojskowego na ulicy krzyczał: „Baczość! Na lewo patrz!” po czym salutował i oddawał mu honory krokiem defiladowym waląc tak mocno, że pękły płyty na chodniku). Kiedy jednak wspomniałem, że właśnie jadę na komisję lekarską pamięć odświeżyła mu się nieco i opowiedział mi pewne zdarzenie z komisji lekarskiej, na której jego badano:

„ Wiesz, stoimy na korytarzu i czekamy na wezwanie do gabinetu lekarskiego. Pech chciał, że akurat mnie pierwszego wywołali. Wchodzę do pokoju a tam za stołem siedzi stary brodaty lekarz i jakieś trzy młode pielęgniarki. Rozejrzałem się po gabinecie i widzę, że na ścianie wiszą chochle do mleka. Były one różnych rozmiarów, od takiej maciupkiej, do takiej, że pół wiadra wody by się tam zmieściło.

Myślę sobie „gdzie ja trafiłem? Do mleczarni? Po co im te chochle?” Lekarz kazał mi się rozebrać. Więc zdjąłem z siebie ubranie. Z początku trochę się krępowałem tych pielęgniarek. ale nawet nie zwracały na mnie uwagi. Tak, one to się już napatrzyły.

Rozebrałem się więc do majtek no i lekarz zaczął mnie badać tymi swoimi słuchawkami. W końcu mówi „ Widzę, że obywatel zdrowy jak koń. Jeszcze tylko sprawdzimy w jakim stanie jest „sprzęt”. Proszę stanąć za parawanem i ściągnąć slipy”.

Udałem się więc we wskazanie miejsce i zdjąłem slipy. Na ścianie obok wisiały właśnie te chochelki. No i wtedy za parawan weszła jedna z pielęgniarek i z miną obojętną, jakby miała przed sobą manekina, wzięła do ręki jedną z chochelek i bezobcesowo wpakowała do niej moje jaja. Aż mnie do góry poderwało taka ta chochla była zimna. A ta popatrzyła czy chochelka dobrze przypasowała i zawołała:

- Pasuje jak ulał. Ja to mam oko! Czwórka panie doktorze ! - po czym powrotem powiesiła chochle na ścianie i jak gdyby nigdy nic zaczęła rozmawiać ze swoją koleżanką o nowej bluzce, którą wczoraj kupiła.

- Dziękuję, pani Zosiu – zawołał lekarz.- „może się obywatel już ubrać” – powiedział do mnie. Ubrałem więc gacie, założyłem koszulkę i wzięwszy obiegówkę, na polecenie lekarza wyszedłem z gabinetu.

- Czy to prawda, że tam mierzą chochlami jaja? – zapytała mnie jakaś chudzina, która chwiała się na boki na wskutek lekkiego przeciągu.

Odwróciłem się do niego i popukałem kilka razy w czoło.

- Człowieku! Kto ci takich głupot naopowiadał?! Jaja? Chochełkami? Tylko naiwniak może

- w to uwierzyć.

- Nie? To dobrze... - na twarzy chudego młodzieńca pojawił się wyraz ulgi - bo mi koledzy opowiadali...

- Następny ! – rozległo się wołanie lekarza.

- No to na razie – rzekł chudzielec i pewny siebie wszedł do gabinetu”.

- No widzisz tak to było za czasów komuny - powiedział mój, przeniesiony do rezerwy kolega-teraz jest większa kultura więc może już takich rzeczy nie robią – chociaż diabli wiedzą przecież to taka porąbana instytucja....

- A gdzie byłeś na tej komisji? – zapytałem pełen obaw.
- W Przemyślu.

W rzeczy samej pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że od tej pory Wojsko Polskie przestało być tak docieklive i takie przyrządy diagnostyczne jak chochle do mleka poszły już w zapomnienie.

Wysiadłem na dworcu autobusowym w Rzeszowie i kupiwszy bilet wpakowałem się do stojącego na peronie pociągu do Przemyśla. Ponieważ ostatni raz jechałem pociągiem około dziesięć lat temu czułem się tą podróżą niezwykle podekscytowany. „Ciekawe jakich będę miał współpasażerów” – myślałem sobie – „może trafi się jakaś ładna panienka?”

Niestety, musiałem się rozczarować. Mimo, że przez korytarz przechodziło mnóstwo ładnych dziewczyn do mojego przedziału nie weszła żadna. „Czyżbym wyglądał aż tak źle?” – zaniepokoiłem się – „Może po tym dwumiesięcznym pobycie w Bieszczadach wyglądam jak dzikus, albo nawet gorzej, jak kanibal?” – przestraszyłem się nie na żarty tym bardziej, że nie goliłem się już od trzech dni. „Ale nic to” – pocieszałem się - najważniejsze żeby bez kłopotów przejść przez komisje i dostać się do ukochanego wojska, w którym będzie mi dobrze jak u Pana Boga za piecem.

Na jakiejś stacji wsiadła do mojego przedziału pewna gruba kobieta. Czuć było od niej woń krowiego mleka i smród obory. W rękę niosła wór, z którego dochodziło przeraźliwe gdakanie kur. Darły się tak jakby im ktoś gardła podrzynał.

- Dzień dobry ! – powiedziała i sprawnie wyrzuciła worek na półkę. Kury oburzone takim potraktowaniem podniosły niesamowity raban, który jakiś czas później przeistoczył się w „normalne” miarowe gdakanie.
 - Kury se kupiłam bo mi noski pozdychały – wyjaśniła - a wie pan jak to na wsi; jaja są potrzebne, czy to ciasta, czy do to makaronu albo nawet do żuru. Bez jaj na wsi ani rusz.
 - A to pani chłop jaj nie ma?! - wyskoczyłem z głupia frant.
 - A co tam takie jaja... - kobieta z lekceważeniem machnęła ręką i wyjęła z skórzanej torby grubą kromę chleba czarnym salcesonem – żadnego pożytku z nich nie ma.
- Nie miałem odwagi zapytać dlaczego nie ma z nich pożytku. Zresztą po co skoro można było się domyśleć.
- A pan to gdzie jedzie? - zapytała kobiecina nalewając sobie kawę z termosu.
 - Na komisje lekarską. Wojskową.
 - Ooo! Mój Michał też był we wojsku. Do marynarki go wzięli. Całe trzy lata służył i później jeszcze dwa lata dosługiwał.
 - Dosługiwał ? A za co?
 - A bo to dużo trzeba ? Raz z urlopu się spóźnił i do ancla go wzięli. Tam kucharza pobił bo żarcie do jedzenia się nie nadawało, no i dostał rok dosługi. Jak po tej dosłudze wrócił do domu to nikt z wioski poznać go nie mógł. Dostał w wojsku w dupę, oj dostał!
 - Wie pani co. Może ja do ancla nie trafie. Przecież jestem takim spokojnym człowiekiem...
 - Panie! Wojsko zmienia ludzi. Niejeden tam poszedł spokojny jak anioł a wrócił rozrabiaką nie z tej ziemi. Tak że nie ma co na to liczyć bo wojsko odmieni pomyślunek. Dziewczyne pan mo?
 - Nie mam.
 - No to i lepiej, bo tera rzadko która dziewczka wytrzyma półtora roku. Kilka miesięcy i zaro inny. Taka ta dzisiejsza młodzież. Nic nie warta! Nic!

Muszę przyznać, że trochę zaniepokoił mnie fakt, że tak łatwo można dostać dosługę.

A przecież to co mnie miało spotkać za ogrodzeniem z kolczastego drutu było jedną wielką niewiadomą. Co więcej moja osobowość i zachowanie także miało ulec zmianie. Może

nauczę się tam kraść i rozpije się? Zaczynało mi się to coraz mniej podobać. Może lepiej symulować jakąś chorobę? No ale jaką? Przecież tego nie da się wymyślić na poczekaniu. Zresztą teraz już za późno. Trzeba iść na całego.

Kobieta pożegnawszy się ze mną wysiadła na jakiejś małej stacyjce przed Przeworskiem. Otworzyłem okno i z ulgą wdychałem świeże powietrze.

Do Przemyśla przyjechałem około godziny dziesiątej rano. Przypadkowych przychodniów zapytałem o drogę do wojskowej przychodni lekarskiej i po kilkunastu minutach szybkiego marszu dotarłem na miejsce. Po drodze przyglądałem się zabytkowym, wybudowanym jeszcze przed wojną kamienicom oraz rzucałem dyskretnie spojrzenia na mijane piękne przemysłanki. Dawało się wyczuć atmosferę spokoju, który panował w tym niewielkim osiemdziesięcioletnim mieście. Nie było tu żadnego pośpiechu, ludzie byli naturalni, życzliwi. Niektórzy mówili tym śpiewnym wschodnim akcentem takim jak Szczepcio i Tońko w przedwojennym filmie.

Po okazaniu wartownikowi wezwania na komisję lekarską wszedłem na teren szpitala. Po prawdzie zespół budynków szpitalnych bardziej przypominał mi jakieś sanatorium albo kurort niż szpital gdyż otoczone były one wysokimi, rozłożystymi drzewami kasztanowymi, starymi lipami i dębami. Alejkami spacerowali ubrani w piżamy żołnierze i jacyś cywile. Od czasu do czasu alejkę przynym krokiem przemierzył jakiś ubrany w mundur oficer.

Dobrze poinformowany przez wartownika bez problemu znalazłem miejsce gdzie rozdawano tak zwane obiegówki

Pielęgniarka, z miną znudzoną jakby rozdawała obiegówki odkąd powstało Wojsko Polskie, wręczyła mi kartkę papieru i wskazała ręką na pobliski budynek.

- Najpierw niech pan sobie zrobi badania krwi i moczu bo oni kończą o dziesiątej.
- Dziękuję – zawołałem i popędziłem przed siebie, jako że miałem tylko piętnaście minut czasu .

Biegając pogrążoną w półmroku klatką schodową dostałem się na trzecie piętro. Tutaj na korytarzu przed wejściem gabinetu czekało jeszcze dziesięciu delikwentów. Wszyscy mieli nadzieje, że badanie krwi i moczu uda im się załatwić jeszcze dzisiaj i nie będą musieli przyjeżdżać tu kiedy indziej.

Rozejrzałem się dookoła i oparłszy się plecami o ścianę przyglądałem się przyszłym towarzyszom żołnierskiej doli. Większość z nich pochodziła z województwa przemyskiego co wywnioskowałem po tym, że mówili tutejszym śpiewnym akcentem. Jeden z nich był całkowicie łysy; widocznie wczuwał się w rolę szybującego na spadochronie, trzymającego w zębach ostrze bagnetu komandosa. Dodam, że było to porównanie bardzo trafne ponieważ osobnik ten miał zuchwy tak znakomicie wykształcone, że mógłby nie tylko utrzymać w nich nóż ale nawet przegryźć lufę karabinu.

Po pewnym czasie z gabinetu wyszła pielęgniarka i rozpoznawszy mnie jako „nowego” zapytała krótko i konkretnie.

- Mocz jest?
- Taki przywieziony w butelce?
- No właśnie.
- Nie mam – odparłem – nikt mi nie mówił, że trzeba ze sobą przywieźć.
- Trzeba – powiedziała pielęgniarka i wetknęła mi do ręki małą buteleczkę. - Niech pan idzie do ubikacji a później przyniesie „to” z powrotem do gabinetu.

Wkrótce pielęgniarka weszła do gabinetu a ja pozostałem na korytarzu sam z dziesięcioma obcymi ludźmi z pustą, małą szklaną buteleczką w ręku. Cóż ja biedny miałem pocać skoro od wczorajszego wieczora nic nie jadłem, ani nie piłem a ostatnią kroplą moczu użyżyłem rzeszowską glebę dzisiaj o piątej nad ranem.

Jako, że czas naglił i do zamknięcia gabinetu pozostało zaledwie dziesięć minut zwróciłem się z serdeczną prośbą do stojących na korytarzu kolegów.

- Panowie poratujcie w potrzebie. Mocz muszę oddać ale łać mi się nie chce. Może któryś z was naleje do tej butelki?
- Nie ma sprawy – odezwał się ten z zuchwą buldoga – dawaj tę butelkę, ale wiesz, na kacu jestem.

W odpowiedzi machnąłem ręką.

- A co tam. Najważniejsze żeby skończyć z tymi badaniami.

Wyrozumiały kolega wziął ode mnie butelkę a przy okazji także i trzy inne, okazało się bowiem, że nie tylko ja miałem podobny problem. Po chwili wrócił z ubikacji i wręczył „tym co nie mogli” po jednej buteleczce. Żeby uniknąć podejrzeń zanieśliśmy je do gabinetu w jednonominutowych odstępach.

Pięć minut przed zamknięciem laboratorium na korytarzu pojawił się dziwny długowłosey i niesamowicie zarośnięty osobnik. Najprawdopodobniej pochodził z Bieszczad gdzieś aż spod ukraińskiej granicy. Przypuszczam, że był drwalem bo ręce miał twarde i wielkie jak bochenki chleba a kiedy się poruszał z butów wysypywały się mu trociny. Oparł się o ścianę i do nikogo się nie odzywał. Pielęgniarka zobaczywszy go zadała standardowe pytanie:

- Mocz jest?
- Tak - głębokim głosem odparł dziwny kolega i dla potwierdzenia poważnie skinął głową.
- No, chociaż jeden przygotowany! - powiedziała pielęgniarka. Wręczywszy mu gumkę i kartkę rzekła: - Proszę podpisać kartkę imieniem i nazwiskiem oraz przyczepić ją gumką do butelki.

- Dobrze - odparł „drwal” biorąc do ręki gumkę i kartkę.

Pielęgniarka weszła do gabinetu a nasz kolega do ubikacji.

Po około jednej minucie w toalecie rozległo się głośne przekleństwo. Nasz dziwny kolega wyszedł na korytarz i zapukał do gabinetu. Pielęgniarka otworzyła drzwi a wyraz jej twarzy zdawał się mówić „czego u licha?! ”.

- Przepraszam – pozwiedzał cały czerwony z zakłopotania – Czy mogłaby mi pani dać jeszcze jedną gumkę bo tamta się urwała?
- Oczywiście – rzekła pielęgniarka – tylko proszę uważać bo i tę też pan urwie.
- Dobrze. Będę uważał – odpowiedział przybysz z głębokich Bieszczad i wzięwszy gumkę do ręki znowu zamknął się w ubikacji.

Nie upłynęło więcej niż pół minuty a doleciało stamtąd kolejne siarczyste przekleństwo. Tym razem dwa razy głośniejsze niż poprzednio. Nasz kolega wyszedł z ubikacji i znowu zapukał do gabinetu.

- No co? Już? – zapytała pielęgniarka.

A on czerwony jak burak odparł:

- Nie. Ta gumka też się urwała. Mogę dostać jeszcze jedną?

Pielęgniarka spojrzała na niego jak na idiotę. Dałbym głowę, że miała zamiar go zbesztać, lecz spojrzawszy na jego wielkie i niezgrabne dłonie odparła:

- W porządku. Ma pan jeszcze jedną, ale proszę uważać bo następnej już pan nie dostanie!
- Dobrze – odparł kolega z Bieszczad i wzięwszy gumkę zamknął się w ubikacji.

Sytuacja powtórzyła się. W ubikacji rozległo się głośne „Niech to jasny szlag trafi !!!”, a nasz kolega czerwony, wściekły i sfrustrowany podszedł do drzwi gabinetu.

Pielęgniarka widząc jego minę od razu domyśliła się, że kolejną gumkę dotowaną ze szczupłego budżetu szpitala należy spisać na straty.

- Panie do jasnej cholery!!! - wrzasnęła na młodzieńca – Co se pan myślisz, że ja nie mam innego zajęcia tylko co pięć minut gumki niedorajdom wydawać!? Przynieś pan tu tą butelkę to sama nałożę.

Kolega z Bieszczad przyniósł z ubikacji torbę podróżną i wyjął z niej napelnioną moczem aż po szyjkę zieloną butelkę po winie.

- U nas w domu mniejszej butelczyny nie było – rzekł tonem usprawiedliwienia.

Całe zebrane na korytarzu towarzystwo skwitowało tą sytuację salwą gromkiego śmiechu, a pielęgniarka rada, że znów wrócił jej dobry humor zgodziła się przyjąć wszystkich pacjentów i zamknąć laboratorium dziesięć minut po czasie. Pobrano ode mnie jako od przedostatniego próbkę krwi, a ja czym prędzej popędziłem na następne badania.

Po dotarciu do budynku, w którym miałem przejść badanie chirurgiczne okazało się, że mam jeszcze pół godziny czasu. Postanowiłem więc poczekać na ławce w parku. Spacerując alejkami wśród rozłożystych kasztanów dojrzałem dwie ławeczki na których nikt nie siedział. Usiadłem więc na jednej z nich i zacząłem przemyśliwać jaką strategię należy podjąć aby wszystkie badania zakończyć maksymalnie szybko i najmniej się przy tym fatygując.

Jednakże nie było mi dane przebywać w samotności gdyż już po kilku minutach zasiedli dwaj ubrani w pizamy żołnierze. Spojrzawszy na nich kątem oka dojrzałem, że jeden z nich ma blizny pooperacyjne na lewym policzku oraz gruby lekko zakrwawiony opatrunek na oku. Ponieważ ławeczka, na której usiedli znajdowała się dość blisko słyszałem wyraźnie o czym mówili.

Ranny żołnierz opowiadał o tragicznym zdarzeniu w wyniku którego stracił oko i doznał poparzeń twarzy.

„ Pojechaliśmy na poligon w Drawsku Pomorskim. Pierwszego dnia rozłożyliśmy sprzęt i postawiliśmy namioty. Skończyliśmy około północy. O pierwszej nad ranem położyliśmy się spać gdyż następnego dnia o siódmej rano miały zacząć się strzelania. W nocy w tych namiotach było zimno jak cholera bo sierściuch nie wydał nam po dodatkowym kocu. Spaliśmy więc w ubraniach.

O piątej nad ranem obudził nas huk samolotów odrzutowych odbywających pierwsze, ćwiczebne loty przed strzelaniami. Ktoś kto tam trochę lepiej znał się na samolotach wyszedł z namiotu i oznajmił, że to właśnie przelatują Migi 29. Niektórzy ciekawscy wyszli z namiotu i obserwowali przelatujące samoloty. Ja, wykorzystując sposobność wolałem poleżeć i odpocząć. Wiedziałem, że na te samoloty to się jeszcze napatrzę w czasie strzelań.

Po śniadaniu, kilka minut przed siódmą zasiedliśmy na sprzęcie. Moje działko przeciwlotnicze znajdowało się na niewielkim wzniesieniu. Przysłonięte było siatką maskującą. Pół godziny później przybył łącznik z wiadomością ze stanowiska dowodzenia. Powiedział, że samoloty nadlecą za dwadzieścia minut znad morza. Chorąży, który dowodził działkiem kazał odbezpieczyć broń i podpiąć taśmę z amunicją. Wykonałem jego polecenie i usiadłem na siodelku nasłuchując dźwięku silników odrzutowych. Chorąży wyjął paczkę papierosów i poczęstowawszy mnie powiedział:

- Tylko celnie strzelaj, Podkalicki. Jak będziemy najlepsi to masz u mnie pięć dni urlopu!
- Da się zrobić panie sierzancie. Przecież to nie pierwsze moje strzelanie – odparłem zachęcony perspektywą spędzenia kilku dni w domu.

W chwili później zadzwonił telefon polowy. Dzwonił operator radaru. Powiadamiał, że na azymucie 280 w odległości dwudziestu kilometrów pojawiły się trzy cele. Cele te miały znaleźć się w zasięgu ognia za jakieś pięć minut.

Obróciłem więc działko w odpowiednim kierunku i zacząłem lustrować wzrokiem bezchmurne niebo. Rzeczywiście, po kilku minutach dostrzegłem malutki czarny punkcik, który sunął po niebie w naszą stronę. Później zaobserwowałem, że rozdziela się on na trzy mniejsze punkciki. Chorąży nakazał oddać kilka próbnych strzałów. Wycelowałem w morze i nacisnąłem spust. Działko zagrzmiało a z jego lufy wyleciała seria wlokących za sobą długą czarną smugę pocisków. Zatoczyły one w powietrzu długi łagodny łuk i wpadły do morza.

W międzyczasie samoloty zbliżyły się na tyle, że można było rozpoznać je jako oddzielne maszyny. Każdy z nich na długiej na pół kilometra linie włókł za sobą dwustumetrowy czerwony „rękaw”. To właśnie owe „rękawy” stanowiły cel naszych ataków. W momencie kiedy samoloty znalazły się w najdogodniejszym względem nas położeniu na rozkaz chorążego otworzyłem ogień.

Pierwsze pociski przeszły obok rękawa ale następna seria trafiła w cel idealnie. Nacisnąłem spust aby strzelić jeszcze raz i wtedy poczułem uderzenie tępego, przeraźliwego bólu, zupełnie tak jakby jakiś wielki młot miażdżył mi twarz. Zobaczyłem chmury czarnego dymu wydobywającego się z rozsądzonej lufy działka. Straciłem przytomność.

Obudziłem się dopiero po trzech dniach w szpitalu. Bez oka i z poparzoną twarzą.

Po co ja szedłem do tego cholernego wojska?! Kto mi teraz zdrowie zwróci? ” Użalał się młody, niespełna dwudziestoletni człowiek.

Mimo, że szczerze współczułem rannemu żołnierzowi, który stracił oko nie zamierzałem dalej przysłuchiwać się jego opowiadaniu. Po prostu poczułem mdłości. Przejąłem się tragicznym losem tego człowieka ale także włosy jeżyły mi się na głowie na myśl o tym, że mnie też może to spotkać. A przecież wszystkim od dawna wiadomo, że gdzie jak gdzie ale w wojsku, na poligonie wśród ciężkiego żelastwa, broni i zamieszania o wypadek nie trudno.

Tak, nigdy nie mogłeś być pewny czy nie pójdziesz zdrowy a wrócisz kaleką.

Pół godziny później pojawiłem się przed drzwiami gabinetu chirurgicznego. Oprócz mnie na krzesłach pod ścianą siedziało około dwudziestu innych młodych mężczyzn. Pomyślałem sobie, że spędzę tutaj czekając na wizytę u chirurga następne dwie godziny. Wszak nie jest to piekarnia i badania tak poważne jak chirurgiczne na pewno prowadzone będą niezwykle rzetelnie i dokładnie, a znajdowałem się przecież na końcu kolejki.

Jednakże jak się okazało, lekarze wojskowi mający bogate doświadczenia w badaniu rekrutów cechowali się posiadaniem jeszcze jednego, wykształconego w toku codziennej pracy zmysłu, który pozawalał im przebadać dziesięciu kandydatów na raz, co znacznie skracало czas ich pracy, pacjentom czas oczekiwania i w ogóle nie wpływało ujemnie na sumienność i wiarygodność przeprowadzonych badań. Do gabinetu wchodziliśmy więc „hurtem”, po dziesięciu.

Przebadanie pierwszej dziesiątki zajęło około dwudziestu minut. Kiedy pierwsza dziesiątka delikwentów szczęśliwa i wolna wyszła z gabinetu chirurgicznego jej miejsce zajęła druga, w której i ja się znalazłem.

W dużym przestronnym gabinecie stał pod oknem długi stół pokryty zielonym sukniem. Za stołem siedziało pięciu lekarzy; trzech mężczyzn i dwie kobiety w wieku trzydziestu kilku lat. Jeden z lekarzy, ten siedzący pośrodku stołu zadał każdemu z nas pytanie odnośnie złamań skręceń i innych szkód na zdrowiu, które miały miejsce w przeszłości. Później zaś nakazał rozebrać się do naga.

Co niektórzy poczerwienieli ze wstydu. Jakże to? Mieli stanąć przed dwoma kobietami cali goli tak jak ich Pan Bóg stworzył? Byli także i tacy, których sytuacja ta niezwykle podniecała ...Ale cóż rozkaz to rozkaz. Trzeba było się rozebrać. Dowcipkując zdjęliśmy z siebie ubrania, położyliśmy ja na krzesłach i stanęliśmy w szeregu nago przed szanowną komisją.

Odniosłem wrażenie, że większość z nas czuła się trochę zażenowana tą sytuacją, co niektórych ona umiarkowanie podniecała a znalazł się i taki młodzieniec, którego owo położenie w którym się znalazł podniecało w sposób niekontrolowany. Mianowicie ów niebanalnej wielkości instrument, którym obdarzyła go natura w celach podtrzymania gatunku drgnął jak przebudzony z zimowego snu niedźwiedź i zaczął powoli, lecz systematycznie, jak ramię dźwigu wznosić się do góry. Na twarzy właściciela niepokornego instrumentu pojawił się wyraz wstydu i przerażenia. Zauważyłem jak kątem oka zerkał na otwarte okno.

Lekarki spojrzały na siebie porozumiewawczo i wymieniły się fachowymi, pełnymi uznania uwagami na temat wielkości owego kuriozum, które w określonych okolicznościach mogło dostarczyć im całkiem sporą dawkę rozkoszy. Najważniejszy lekarz próbując opanować sytuację powiedział:

- Proszę wyjść do ubikacji, zmoczyć główkę i wrócić.

Chłopaczek spojrział na niego jak ciele na malowanie wrota ale domyśliwszy się o co chodzi wszedł do ubikacji znajdującej się tuż przy gabinecie.

Po chwili wyszedł z niej z mokrą głową a lekarki miały możliwość podziwiania kolejnego etapu wzwodu prężnego „instrumentu” bowiem to co wcześniej było duże teraz okazało się dwa razy większe i wciąż rosło.

Wszyscy, którzy znajdowali się w gabinecie wybuchli gromkim śmiechem. Biedny, młody człowiek, w którym natura wzięła górę nad rozumem, na polecenie lekarza ubrał się i wyszedł z sali do parku aby rozbudzone w nim żywioły uspokoiły się i osiągnęły stan równowagi.

Dalsza część badań przebiegała bez żadnych wartych odnotowania wydarzeń. Biegałem od gabinetu do gabinetu, ubierałem się i rozbierałem, oddychałem płytko i głęboko, stawałem na palcach i na pięcie, patrzyłem na oko prawe i lewe, aż w końcu w wyniku tych zabiegów lekarze orzekli, że mam pierwszą kategorii zdrowia. Wyjątkowo pocieszony tym faktem gdyż po tak gruntownych badaniach mogłem mieć już stuprocentową pewność, że nie dręczą mnie żadne choróbki, opuściłem teren szpitala wojskowego rozpromieniony, pozytywnie nastawiony do świata i ludzi, a nawet do przymusowej służby wojskowej.

Ponieważ do odjazdu pociągu do Rzeszowa pozostało jeszcze kilka godzin, postanowiłem pospacerować po pięknym i zabytkowym mieście jakim bez wątpienia jest Przemyśl. Błądząc wśród rzadko przez kogokolwiek odwiedzanych zabudowań podziwiałem stare, wzniesione jeszcze przed wojną kamieniczki. Jako że Przemyśl położony jest na niewielkim wzgórzu toteż moje spojrzenie często umykało w dal błądząc wśród łagodnych, gdzieś tam pokrytych lasem pagórków, które otaczały to stare, istniejące już w czasach Piastów miasto.

Spędziłem kilka godzin nad Sanem, którego wody okręzały Przemyśl i płynęły dalej na północ. Wpatrywanie się w lustro wody i obserwowanie rozchodzących się łagodnym łukiem fal znakomicie wyciszała we mnie wszelkie emocje spowodowane nerwową bieganiną w szpitalu wojskowym. Mógłbym przesiadywać tam całymi godzinami nad brzegiem Sanu i wpatrywać się w toń rzeki, czas jednak biegł i ani się spostrzegłem kiedy do odjazdu pociągu pozostała jeszcze tylko godzina.

Po kupieniu biletu pozostało mi jeszcze pół godziny czasu. Poszedłem więc na kawę do położonej w pobliżu dworca kawiarenki. Ten mały lokal mieścił się w piwnicy pewnego budynku. Znajdowały się w nim tylko trzy stojące obok siebie stoliki i niewielki bufet.

Barmanka, gruba dziewczyna z okrągłą pyzată twarzą uśmiechnęła się do mnie i położyła na stoliku przede mną biały porcelanowy kubek po brzegi wypełniony czarną aromatyczną kawą.

- Osiemdziesiąt groszy proszę - powiedziała otwierając torebkę w której przetrzymywała drobne do wydawania reszty.

Położyłem na stoliku złotówkę i rzekłem wspaniałomyślnie – reszty nie trzeba.

- Dziękuję - dziewczyna skinęła głową i powędrowała za zbitym z sosnowych, pomalowanym bezbarwnym lakierem, deską bufetu. Na deskach tych widać było gdzieś ślady kory i owalne także pomalowane lakierem dziury po sękach.

Kiedy zbliżałem do ust kubek z kawą w wąskim przejściu pojawił się cień czyjejs postaci. Po czym dało się słyszeć stukot wąskich jak ołówki obcasów uderzających w grube, pokryte brązową farbą deski z których zrobione były schody.

Już wkrótce w ciasnym wnętrzu kawiarenki pojawiła się wysoka ładna dziewczyna o delikatnych rysach twarzy. W rękę trzymała dużą czarną podróżną walizkę. Już na pierwszy rzut oka zarówno po jej nowoczesnym młodzieżowym ubraniu jak i też sposobie bycia dawało się zauważyć, że nie jest mieszkanką tego małego miasteczka.

Wydało mi się to wielce prawdopodobne, że mieszka w Warszawie albo w Krakowie i pochodzi z tak zwanego „dobrego domu”. Położywszy czarną plastikową walizkę na krześle obok stolika, za którym siedziałem podeszła do bufetu i wyjąwszy portmonetkę zamówiła sok pomarańczowy z lodem. W momencie kiedy wyjmowała pieniądze, żeby zapłacić za napój, położona nierówno na krześle walizka osunęła się i z hukiem runęła na podłogę uderzając mnie przy tym w stopę. Z całą pewnością nie wpłynęło to na pogorszenie się kategorii mojego cennego zdrowia ale wywołało potężną falę bólu, tak że aż poderwałem się z krzesła. Dziewczyna zauważywszy to zaczęła przeproszać.

- Nic się nie stało – odpowiedziałem – a te zmiażdżone palce i tak się już nie zagoją. Więc nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

- Chyba z pana palcami nie jest aż tak źle – zapytała, a w jej oczach dało się zauważyć pewną obawę.

- Skądże, żartowałem – odpowiedziałem kładąc walizkę z powrotem na krzesło – przypuszczam, że nie jest pani tutejsza – zapytałem zaczynając z innej beczki.

- Nie. Mieszkam w Warszawie. Mam tutaj swoją bliską rodzinę - wujka. A pan jest Przemyslaninem?

- Jaki tam pan ! - zaprotestowałem – na pana trzeba mieć wygląd. Wiesiek jestem – powiedziałem wyciągając do niej rękę.

- Eliza – przedstawiła się dziewczyna ściskając mą dłoń.

No cóż, okazało się że nie jestem aż takim pechowcem jak myślałem. Wprawdzie wcześniej, w pociągu nie udało mi się poznać żadnej dziewczyny ale jak mówi przysłowie „co się odwlecze to nie uciecze” taką sympatyczną osobę płci przeciwnej poznałem właśnie teraz. Zastanawiałem się jednak jaki jest sens kontynuowania tej znajomości skoro przez najbliższe półtora roku moją panią miała być przydzielona przez dowódcę jednostki giwera. Przypomniałem sobie jednak, że w wojsku istnieje coś takiego jak przepustka i dobrze byłoby znać taką osobę, do której na przepustkę mógłbym przyjechać.

- Nie, nie jestem Przemyslaninem – odpowiedziałem na jej pytanie – przyjechałem tutaj na badania lekarskie. Biorą mnie do wojska.

- Czy wiesz już gdzie?

- Jeszcze nie. Dowiem się o tym w Wojskowej Komendzie Uzupelnień w Rzeszowie.

- Mój tata jest pułkownikiem. Pracuje w Sztapie Generalnym w Warszawie – rzekła z nieskrywaną dumą – a w przyszłym roku ma dostać awans na generała.
- Pewnie jest jakąś bardzo ważną osobistością – próbowałem być trochę złośliwy gdyż nie lubię chwali się i sądziłem, że jej ojciec zajmuje jakieś podrzędne stanowisko, na przykład jest szefem kuchni albo kwatermistrzem.
- Dość ważną. Jest dowódcą Garnizonu Warszawskiego.
- O to rzeczywiście jest szczyła - utarła mi nosa.

Dziewczyna spojrzała na wiszący na ścianie zegar i dopiła resztkę soku.

- Za pięć minut mam pociąg do Warszawy – powiedziała biorąc wyjmując z torebki długopis i biorąc do ręki serwetkę.
- Dam ci numer telefonu do mnie. Gdybyś będąc w wojsku czegoś potrzebował to dzwoń. Mój ojciec ma dość duże wpływy.

Dziewczyna położyła serwetkę na stoliku i wzięła do ręki walizkę.

- Cemu mam przypisać twą wspaniałomyślność?

Dziewczyna odrzuciła do tyłu kosmyk długich kasztanowych włosów i roześmiewszy się odpowiedziała:

- To w ramach odszkodowania za zmiążdżone palce.

W małej kawiarence znów rozległ się stukot jej kroków. Trzymając w ręku swą czarną walizkę podeszła do drzwi i powiedziała „do widzenia” mnie i barmance wyszła na ulicę.

Serwetkę z jej numerem telefonu starannie złożyłem i schowałem do portfela. Taka znajomość mogła się kiedyś przydać. Oczywiście pod warunkiem, że szczęśliwym zrządzeniem losu skierują mnie do stolicy lub w okolice.

Pół godziny później, wzbogacony o nowe doświadczenia życiowe, wracałem pociągiem do nudnego Rzeszowa. Teraz pozostało mi tylko czekać na wezwanie do WKU, gdzie otrzymam przydział do konkretnej jednostki.

Najwidoczniej po wnikliwych badaniach lekarskich specjaliści wojskowi stwierdzili, że dla dobra obronności i bezpieczeństwa państwa polskiego obecność mojej skromnej osoby w armii jest niezbędna i absolutnie od zaraz potrzebna, gdyż wezwanie do WKU dostałem już na drugi dzień. Z samego rana w te pędy pognałem więc na przystanek autobusowy i pojechałem do Rzeszowa. Miałem nadzieję, że oficerowie, którzy zdecydowali się wręczyć mi bilet tak wcześnie nie rozmyślą się i dadzą mi przydział w jak najszybszym terminie. Nie miałem nawet nic przeciwko temu żeby skierowano mnie do wojsk pancernych. Osobiście film „Cztery Pancerni i Pies” bardzo mi się podobał...

Okazało się jednak, że Wojsko Polskie nie przywiązywało zbyt wielkiej wagi do wizyty, którą złożyłem w WKU ponieważ na spotkanie ze mną oddelegowano tylko majora. Pamiętam, że przy okazji służby wojskowej zamierzałem dokończyć szkołę średnią w trybie zaocznym i dlatego poprosiłem tego surowego oficera o skierowanie mnie do jakiegoś dużego, najlepiej wojewódzkiego miasta. Major przerzucił jakieś tam papiery, pobębnił przez chwilę palcami o stół i zapytał.

- Warszawa może być?
- Warszawa? Oczywiście! – wykrzyknąłem rozentuzjzmowany.

Oczywiście wyobraziłem sobie te biblioteki wypełnione ciekawymi książkami do przeczytania, kina, teatru oraz kwitnące w pabach, kawiarniach i nocnych lokalach życie towarzyskie. Wprost nie mogłem w to uwierzyć, że już za kilka dni miałem się tam znaleźć. Tego nie przewidywałem w nawet najbardziej optymistycznych założeniach.

Major zdawał się nie dostrzegać mojego wybuchu entuzjazmu. Z kamienną twarzą wręczył mi przydział mobilizacyjny i powiedział:

- Pojutrze o dziesiątej rano zgłosi się pan w jednostce wojskowej 2370 w Warszawie. Na przydziale ma pan dokładny Adres. Życzę powodzenia.
- Dziękuję – powiedziałem i wybiegłem z sali.

Po moim powrocie do Białki wieść o tym, że idę do wojska do Warszawy lotem błyskawicy rozeszła się po okolicznych miejscowościach. Zawdzięczałem to naszej sąsiadce, która posiadała umiejętność rozprowadzania nowinek z szybkością większą niż Radio Wolna Europa.

Muszę przyznać, że w małej białczańskiej społeczności stanowiłem swego rodzaju ewenement. Mianowicie nigdy nie widywano mnie na zabawach, ani też nigdy nie chodziłem z żadną dziewczyną. Wiedziano natomiast, że do późna w nocy czytam książki. W związku z tym zaczęto podejrzewać mnie o to, że po pierwsze dostałem świra od czytania książek, po drugie że ten tzw. „sprzęt” posiada pewne wady czyniące go w pewnych okolicznościach bezużytecznym. Dlatego też sam fakt, że udało mi się przejść pomyślnie badania lekarskie i dostać pierwszą kategorię zdrowia znacznie poprawił mój wizerunek w tamtejszym społeczeństwie.

Magia orzeczenia komisji lekarskiej sprawiła, że niebawem zaproponowano mi dwie partie małżeńskie. Obydwie dziewczyny pochodziły z najbogatszych i najbardziej poważanych rodzin w Białce. Pierwsza z kandydatek była całkiem ładna i miła, lecz miała głos tak przerażająco piskliwy, że kiedy jej słuchałem odnosiłem wrażenie, że mówi do mnie Kaczor Donald, druga natomiast cierpiała na chorobę nazywaną opóźnieniem umysłowym i mimo, że miała osiemnaście lat wciąż jeszcze bawiła się foremkami w piaskownicy. Zrozumiałe jest zatem, że wobec takiego wyboru zdecydowałem się pozostać jeszcze kilka lat w stanie kawalerskim.

Trzy dni minęły jak z bicia strzelił. W środę dwudziestego października o dziewiątej wieczorem spakowałem do swej torby podróźnej szczoteczkę do zębów, ręcznik i tym podobne przedmioty higieny osobistej i zarzuciwszy ją na ramię ruszyłem na przystanek autobusowy. Rodzinka żegnała mnie bardzo wylewnie; matka cały czas płakała ojciec biadolił, brat i siostra mieli także markotne miny. Nawet i mnie łezka wzruszenia zakręciła się w oku. Wprawdzie teraz jechałem do wojska ale wiedziałem, że już nigdy tutaj nie wrócę. Po prostu nie miałem po co.

W Rzeszowie czekałem na pociąg kilka godzin. Mimo tego, że spodziewałem się znacznej poprawy warunków socjalnych, wcale jednak nie byłem tego wieczora w najlepszym humorze. Bądź co bądź, musiałem za to zapłacić własną wolnością. Nie wiedziałem także co mnie tam spotka. Wojsko było instytucją do tej pory zupełnie mi nie znaną. Dlatego też przez cały czas podróży towarzyszyło mi uczucie jakiegoś musiał doznawać James Cook kiedy odkrywał nieznaną lądy i morza. Chyba jedyna różnica polegała na tym, że nie musiałem wieźć ze sobą beczki kiszzonej kapusty tak jak on to robił, aby uchronić swoich marynarzy przed zachorowaniem na szkorbut.

Po trzech godzinach włączenia się po ulicach Rzeszowa przyszedłem na dworzec kolejowy i nie kupując biletu (wszak armia fundowała mi przejazd) wsiałem do podstawionego na peronie pociągu do Warszawy.

Towarzystwo w przedziale nie było zbyt ciekawe; jakiś starszy pan i kilka kobiet w średnim wieku. Wrzuciłem torbę na półkę i usiadłem cicho w samym kącie. Jakoś nie byłem tego wieczora zbyt rozmowny. Uległem melancholijnemu nastrojowi...

Pociąg wtoczył się na Dworzec Centralny około godziny siódmej rano. Cała podróż zleciała mi dość szybko. Z początku rozmawiałem z tym starszym panem, który okazał się być emerytowanym policjantem a później najzwyczajniej w świecie zasnąłem. Obudziłem się o szóstej nad ranem i otępiłym spojrzeniem błądziłem po szarej, spowitej w nocnych ciemnościach okolicy. Wciąż nie mogłem przestać myśleć o tym co mnie tam spotka w świecie ogrodzonym dookoła kolczastym drutem. Mimo pewnych obaw nie brakowało mi odwagi. Byłem przekonany, że i w tych nowych warunkach, nowym środowisku jakoś sobie poradzę. No tak, kiedy wcześniej chodziło się do piętnastu szkół to można było uznać to za swego rodzaju pewnik.

Pamiętam, że kiedy wysiadłem z pociągu największe wrażenie na Dworcu Centralnym zrobiły na mnie ruchome schody. Nigdy takich wcześniej nie widziałem, jedynie na filmach. Natomiast zobaczywszy Pałac Kultury całkowicie się rozczarowałem. Na wszystkich widokówkach jakie widziałem był co najmniej trzy razy większy. Stwierdziłem, że rzeczywiście panuje tu duży ruch i chyba nie mógłbym w takim mieście mieszkać.

Początkowo błędnie kierowany przez ludzi (jeździłem tramwajami po całej Pradze) dotarłem w końcu do jednostki wojskowej, do której mnie skierowano. Odnalazłszy ją mogłem teraz spokojnie pójść do jakiejś knajpki na kawę. Mój zegarek wskazywał godzinę dziewiątą a musiałem zgłosić się o dziesiątej. Czyli pozostała mi jeszcze godzina wolności na przestrzeni najbliższych osiemnastu miesięcy.

Krążąc kilkanaście minut po okolicy znalazłem jakąś kawiarenkę i kupiłem kawę. Przy sąsiednim stoliku siedzieli jacyś żule. Nie znając wówczas Pragi i nie wiedząc jakie towarzystwo na niej mieszka, uznałem że Rzeszów chociaż mniejszy, to jednak żyją w nim znacznie bardziej kulturalni ludzie.

Wypiwszy herbatę wyszedłem z kawiarenki i wolnym krokiem udałem się w kierunku jednostki wojskowej. W pobliżu bramy stała mała grupka ludzi. Byli tam rodzice, dziewczyny i rodzeństwo młodych mężczyzn idących do wojska.

Ludzie zegnali się, ściskali, płakali zupełnie tak jakby żołnierzy z tej jednostki kierowano wprost na Syberię albo do Jugosławii.

Mimo, że zostało jeszcze pięć minut czasu odważnie pchnąłem ciężką metalową furtkę i przeszedłem na drugą stronę bramy. Spojrzałem na czekających przed bramą ludzi, rozejrzałem się po okolicy i powiedziałem pa, pa cywilnemu światu. Miałem nadzieję, że kiedy do niego wrócę będzie on znacznie lepszy...

Koniec rozdziału pierwszego.

Rozdział II

Do widzenia cywili

Co się czuje przez pierwsze kilkanaście sekund po przekroczeniu bramy? Przede wszystkim niepewność. Zdajesz sobie sprawę, że furka jest miejscem dzielącym dwa światy. Po jednej stronie jest cywilny świat, który dobrze znasz i umiesz się po nim poruszać a po drugiej ten wojskowy, o którym w ogóle nic nie wiesz lub wiesz tylko tyle, że dzieją się w nim niestworzone rzeczy opisane w takich filmach jak Kroll, Samowolka albo zasłyszane od będących na przepustkach kolegów. Dla niektórych uczucie to jest tak przykre, że przyjeżdżają do wojska pijani jak szpadel po to aby nie pamiętać pierwszych spędzonych za bramą godzin.

Na szczęście po pewnym czasie stwierdzasz, że grunt na którym stoisz jest równie pewny i stabilny jak ten po którym chodziłeś całe życie i tak naprawdę pomimo tego, że znalazłeś się w zupełnie nowym, nieznanym otoczeniu nadal pozostajesz sobą. Po dokonaniu tych „wewnętrznych” odkryć odzyskujesz pewność siebie i jesteś otwarty na to co przyniesie los.

Przekroczeniu bramy towarzyszy także uczucie tęsknoty za tym wszystkim co pozostawiłeś w cywilnym świecie. Tęsknota ta jest o tyle silniejsza, że nie wiesz czy jeśli tam powrócisz to jeszcze będziesz to miał, bo zdajesz sobie sprawę, że życie jest jak rzeka i nieustannie toczy się do przodu a ty służąc w wojsku czujesz się jak rozbiitek, który stracił łódź i nie może płynąć dalej. Towarzyszy temu nadzieja, że wszystko się jakoś ułoży, że będzie dobrze. Myślisz o celach dla których warto przetrwać te cholerne półtora roku i wrócić do cywilnego świata.

A przecież przejście przez bramę wcale nie jest najtrudniejszym momentem w służbie wojskowej.

Co wcale jednak nie oznacza, że wspominam wojsko z niechęcią. Skądże, muszę przyznać, że nigdy nie czułem się tak beztrosko i chyba nigdy tak się nie naśmiałem jak w czasie służby wojskowej.

Ale cofnijmy się do dnia dwudziestego października, kiedy to przekroczyłem bramę swej macierzystej jednostki w Warszawie:

- Mamy cię! – powiedział krótko i rzeczowo kapral, który był w tej chwili dla mnie pierwszym przedstawicielem Wojska Polskiego. Od razu było wiadomo o co chodzi. Teraz pewnie będą się nade mną znęcać i każą mi robić różne głupie rzeczy – myślałem sobie bo moi znajomi już dawno mówili mi, że takie rzeczy mają w wojsku miejsce. Zresztą sporo pisano o tym prasie, a nawet i w telewizji od czasu do czasu ukazywały się napawające odrazą reportaże zrealizowane za brama jednostek.

- Przydasz się do wchodzenia na warty - sprostował kapral. Mamy cholernie mały stan osobowy. Rąbamy warty non stop co dwadzieścia cztery godziny. Do domu wyjeżdżamy raz na trzy miesiące.

Dla mnie nie miało to najmniejszego znaczenia co będę robił w wojsku. Każą wchodzić na warty to będę wchodził. Najważniejsze jest to, żeby móc od czasu do czasu wyskoczyć na miasto do jakiejś biblioteki. Przecież w Bibliotece Narodowej są całe miliony ciekawych książek. Takich na pewno nie znalazłbym z malutkiej bibliotece w Białce, ani też w większej

w Rzeszowie.

Przyjeżdżając do Warszawy kierowałem się dużymi możliwościami rozwoju intelektualnego i kulturalnego. Niestety już wkrótce okazało się, że moje plany spaliły na panewce.

- Nie wiesz, czy będę mógł wychodzić na miasto? – zapytałem kaprała, który cały czas gdzieś mnie prowadził.

Ten popatrzył na mnie ze współczuciem.

- Na miasto? Przecież wy wyjedziecie na szkolenia do lasów.

- Jak to? To nie zostaniemy w Warszawie?! – zapytałem z niedowierzaniem.

Jasne, że nie! Wyślą was na sześciotygodniowe szkolenie gdzieś w lasy. Może tylko kilku wróci do Warszawy.

A teraz nie można zostać? – zapytałem mając jeszcze odrobinę nadziei na pozostanie w stolicy.

- Nie! – odpowiedział kaprał. – Chyba że umiesz grać na trąbce bo akurat potrzebują takiego gościa do orkiestry.

W jednej chwili całe moje plany rozwoju intelektualnego a nawet zwiedzenia Warszawy legły w gruzach. Byłem wściekły na Wojsko Polskie, że mnie tak okrutnie oszukało i zły na siebie z tego powodu, że nie nauczyłem się grać na trąbce. A przecież w domu była trąbka! Mój brat grał nawet w orkiestrze strażackiej. Bez problemu mógł mnie nauczyć jak dąć w ten przeklęty kawałek blaszanej rury, która to umiejętność mogła mnie teraz uczynić najszcześniejszym człowiekiem na świecie. A jednak się nie nauczyłem! Z czystego lenistwa!

- Ale istnieje jednak taka możliwość aby po tych sześciu tygodniach wrócić do Warszawy? – zapytałem.

- Jasne, że tak. Pod warunkiem, że masz dobre znajomości w dowództwie tej brygady odpowiedział kaprał patrząc na mnie z powątpiewaniem. Pewnie sobie myślał skąd taki naiwniaczek mógłby mieć jakiegokolwiek znajomości w wojsku. Nie wiedział o tym, że znałem dziewczynę której ojciec pracował w sztabie generalnym i już niebawem miał dostać awans na generała brygady (może nawet właśnie TEJ brygady). Świadomość tego, że istnieje pewien punkt oparcia powodowała, że nie utraciłem całkowicie nadziei na powrót do stolicy.

- No dobra. Zaprowadzę cię na stołówkę – kaprał przerwał moje rozmyślenia – nie bój się lasach też da się wytrzymać. Zresztą wszystko zależy od tego jaka jest fala w jednostce i jakich będziesz miał dziadów.

- A cóż to takiego ta fala? – zapytałem.

Kaprał aż zaniósł się ze śmiechu.

- Człowieku ! Jak to! Do wojska idziesz a nie wiesz co to fala?!

- To znaczy czytałem książki o wojsku ale nic w nich na temat fali nie napisano.

- A Kroła albo Samowolkę oglądałeś?

- Nie!

Kaprał w końcu zorientował się, że ma do czynienia z kompletnym żółtodziobem. Zastanawiał się przez chwilę a później odpowiedział.

- Fala to jest wtedy jak stary dyga młodego.

- Acha, tu chodzi o to znęcanie się? – zaświtało mi w głowie.

- Raczej o te wszystkie nieformalne zwyczaje które panują w jednostce kiedy nie ma trepów sprostował – akurat w rakietówce fala jest mniejsza niż u zajęców ponieważ do obsługi tego sprzętu trzeba większej inteligencji niż do ganiaania za czołgiem. Zresztą teraz to już mamy fale tylko symboliczną, tak zwaną „herbacianą”.

- Herbacianą?

Kaprał wydawał się być wyjątkowo poirytowany moją ignorancją w tym temacie.

- Herbacianą to znaczy, że sprowadza się ona do robienia herbaty dziadowi a nie szorowania

kibla żyletką albo ganiań do meliny o trzeciej nad ranem.

A ty też robiłeś swojemu dziadkowi herbatę? – zapytałem.

- Nie. Ja jestem po szkółce podoficerskiej i idę nie falowo, ale regulaminowo. A poza tym nikt nie chce opowiadać o tym jakie przeżywał upokorzenia więc na przyszłość o to nawet nie pytaj – przestrzegł mnie kapral.

Kiedy tak rozmawialiśmy z lewej strony minął nas maszerujący energicznym krokiem kapitan. Widać było po nim, że jest mocno podenerwowany (być może właśnie wpakowali go na dodatkową służbę, albo skończyły się papierosy w kantynie). Kapitan cały czas patrzył kątem oka na kaprala. W momencie gdy kapral przeszedł obok niego obojętnie wrzasnął:

- Kapralu! Kurwa! Co to ma znaczyć? Gdzie honory? Wróć!

Kapral odwrócił się i z przerażeniem w oczach i stanął na baczność.

- Honory, kapralu, honory – krzychał kapitan – młodego żołnierza prowadzisz a nie pokazujesz jak oddawać honory starszym stopniem? Gdzieś ty był na szkółce podoficerskiej?!
- W Demowie, panie kapitanie
- A tym burdelu na Mazurach. Wszystko jasne! Tam przecież żadnej dyscypliny nie ma! Do ty! i jeszcze raz!

Ostatecznie obejrzałem sobie szopkę polegającą na tym, że kapral wrócił się kilka kroków do tyłu i przechodząc obok kapitana oddał mu honory, salutując oraz idąc krokiem defiladowym. Nie wiedziałem co mam o tym myśleć. Czy rzeczywiście oddawanie honorów jest aż ważne w wojsku, czy był to przejaw niedowartościowania owego oficera. Mocno zdziwił mnie również fakt, że kapitan, jakby nie było człowiek z wyższym wykształceniem wyrażał się tak po chamsku. Później dziwiło mnie to co raz mniej aż w końcu wcale.

- Widzisz ten kapitan jest strasznie regulaminowy – tłumaczył kapral trochę zażenowany tym że zjechał go tak przy młodym żołnierzu – Muszę ci powiedzieć, że nie ma w wojsku nic gorszego niż idący regulaminowo trep. Regulaminem można zajeździć człowieka. Zobaczysz zresztą.

Kapral zaprowadził mnie na stołówkę i powiedział:

- W porządku. Zaraz będziecie mieli śniadanie. Później pójdziecie do fryzjera, następnie dostaniecie mundury a po południu przyjadą po was trepi z dywizjonów. Wieczorem będziecie już na unitarkach.
 - A do którego dywizjonu ja pójde? – zapytałem.
 - Spoko. Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie.
- Kapral odwrócił się i poszedł w kierunku bramy wejściowej.

Przed stołówką stało już kilku poborowych. Zachowywali się w sposób specyficzny dla ludzi którzy wiedzą że za moment wkroczą na trudną i naznaczoną niepewnością drogę: jedni z nich byli przestraszeni, drudzy udawali cwaniaczków, byli też tacy którzy już teraz kombinowali jak się wygrzebać z tego, jak to często nazywano „syfu”. Niektórzy z nich mieli nawet długie włosy. Przypuszczam, że tym było najtrudniej, przecież długie włosy kojarzą się z wolnością a wojsko jest przecież jej zaprzeczeniem.

Stojąc w kilkuosobowych grupach przed stołówką rozmawialiśmy o tym, że półtora roku to szmat czasu, że tak naprawdę to przecież cała wieczność. Wszyscy jak jeden mąż twierdzili, że wojsko to przerwa w życiorysie, licytowali się między sobą ile to tracą idąc do armii i że w ogóle wojsko powinno być zawodowe. Od czasu od czasu trafił się jakiś „dobrze poinformowany”, który twierdził, że będzie wyrównanie roczników i może wyjdziemy z wojska wcześniej. Wszyscy ochoczo takiej teorii przytakiwali ale nikt w nią nie wierzył.

Około godziny dziesiątej podano nam śniadanie. Było ono bardzo skromne: chleb, masło, serek topiony i kawa z mlekiem. Nie miało to jednak znaczenia ponieważ byłem tym wszystkim tak przejęty, że nawet nie myślałem o jedzeniu. Myślałem o tym co mnie czeka w czasie najbliższych kilku tygodni. Szkolenia w lasach z jednej strony wydawały się być czymś ekscytującym a drugiej strony trochę się ich bałem. Wyobrażałem sobie, że będziemy się wspinać po linach, strzelać z karabinów, wychodzić nocami na długodystansowe marsze. Wprawdzie przed wojskiem biegałem co wieczór pięć kilometrów, ale nie widziałem czy będę w stanie przejść czterdzieści kilometrów w pełnym rynsztunku. Mój ojciec opowiadał, że kiedy on był w armii to mieli takie wymarsze po kilka razy w tygodniu...

Po śniadaniu oddelegowano nas do fryzjera. Trzeba przyznać, że facet nie patyczkował się i golił prawie do zera. Na dodatek miał cholernie tępą maszynkę i kiedy jej używał to aż świeczki stawały w oczach. Później dowiedziałem się, że nazywano go „rzeźnikiem z brygady”. Muszę się z tym bezsprzecznie zgodzić, że całkowicie na taki przydomek zasłużył. Wprawdzie, za drobną opłatą dziesięciu złotych nie golił do zera ale i tak nie używał ostrzejszych maszynek.

Sporo zamieszania powstało w czasie wydawania mundurów. To właśnie wtedy zaznajomiłem się z magiczną zasadą „sztuka jest sztuka”. Dostałem buty o dwa numery za duże, spodnie o dziesięć centymetrów za długie i bluzę którą ledwo mogłem na siebie założyć.

Sierżant, który wydawał nam wojskowe ubrania tłumaczył, że to i tak tylko na dzisiaj ponieważ jurto mieliśmy dostać nowe mundury w jednostkach „szkoleniowych”. Oczywiście pozamienialiśmy się między sobą ubraniami i butami, żeby w ogóle jakiś wyglądać.

Jakoś dziwnie czułem się na początku w wojskowym mundurze. Ubrany dokładnie tak samo jak inni w zielone „moro” doznawałem uczucia całkowitej anonimowości i braku jakiegokolwiek indywidualności, zupełnie tak jak szary człowiek w tłumie. Kiedy zobaczyłem się w lusterku stwierdziłem, że wyglądam bardzo agresywnie – myślę, że właśnie tak powinien wyglądać prawdziwy żołnierz.

Nasze cywilne ubrania wpakowaliśmy do papierowych worków i zdaliśmy je do magazynów. Mieliśmy je zobaczyć dopiero za sześć długich tygodni, po powrocie ze szkoleń. Nie zdawałem sobie sprawy ilu nowych wrażeń doznam i ile przygód przeżyję zanim pewnego wieczora po powrocie z przysięgi na nowo założę je na siebie.

Dalsza część dnia upłynęła wyjątkowo nudno. Tak naprawdę to w czasie tego pierwszego dnia albo niewiele się działo albo musiałem sporo zapomnieć ponieważ usilnie staram się przypomnieć sobie coś ciekawego coś co mogło by wnieść pewne ożywienie w akcji ale daleko nie mogę. Wszystkie te zajęcia trwały cały dzień i wlekły się w ślimaczym tempie. Najgorsze było ostatnie kilka godzin, kiedy oczekując na przewiezienie do jednostek siedzieliśmy w świetlicy i oglądaliśmy jakiś beznadziejny film na video. W rzeczy samej wolałbym już kopać transeje pod Stalingradem, niż zastanawiać się co ze mną będzie. Zwłaszcza, że stare wojsko zdążyło nas tutaj już nieźle wystraszyć.

Dopiero o siódmej wieczorem przyjechał po nas transport. Niskiego wzrostu chorąży odczytał listę żołnierzy którzy z nim pojedą i natychmiast urządził zbiórkę. Dopiero od niego dowiedziałem się, że wraz z trzydziestoma innymi towarzyszami broni pojedą na szkolenie do jednostki w Olchownicy. Chorąży od razu uprzedził, że dywizjon ten mieści się w Puszczy Kampinoskiej i pełni on rolę jednostki wizytowej, co oznacza, że musi tam panować wzorowy ład rygor i porządek. Zaniepokoił mnie fakt, że żołnierz ten nosił na głowie futrzaną czapkę

z nausznikami, która to zawsze kojarzyła mi się z Armią Radziecką, srogimi zimami i zacofaniem. Być może nie mają tam nawet wody w kranie – przestraszyłem się – a obiady podają w menażkach. No cóż – pomyślałem sobie - trzeba będzie przetrwać. Murzyni w Etiopii wytrzymują sześć tygodni bez jedzenia w ogóle więc mogę z powodzeniem przez sześć tygodni jeść z menażki.

Po sprawdzeniu stanu osobowego chorąży wydał komendę:

- Ładują się do budy! Ale biegiem! Biegusiem!!!

Zaskoczył mnie ostry, nie znoszący sprzeciwu ton jakim wydano to polecenie ale dzięki temu zdałem sobie sprawę, że jesteśmy dowodzeni przez człowieka, który zna się na rzeczy i wie co robi.

Wpakowaliśmy się do dużej wojskowej ciężarówki i zajęliśmy miejsca na ławkach. Ciężarówka powoli wytoczyła się z koszar, szybko przejechała przez Warszawę i wydostawszy się z miasta popędziła wąską, z rzadka oświetloną latarniami szosą. W miarę upływu czasu latarni było co raz mniej aż w końcu wjechaliśmy na przecinającą las drogę z dużych betonowych płyt. Zdawaliśmy sobie sprawę, że droga ta prowadzi prosto do jednostki. Nikt z nas nie wiedział co go czeka. Z jednej strony budziło to we mnie niepokój z drugiej strony roznieciło moją ciekawość. Cały czas myślałem o tym co będzie się działo dalej.

Koniec rozdziału II

Rozdział III

Pierwsze godziny na unitarce

Po dziesięciu minutach jazdy przez las ciężarówka zatrzymała się przed bramą wjazdową do jednostki. Rozległy się głośnie nawoływania, dało się słyszeć kilka przekleństw i po chwili skrzydła bramy otwarte przez wyrwanego z drzemki wartownika z przeraźliwym jazgotem rozsunęły się przed ciężarówką. Kierowca mocno wdepnął pedał gazu i wjechał na tren jednostki gwałtownie zatrzymał się na wybetonowanym placu z trzech stron otoczonym lasem. Wielkie czarne psisko wyskoczyło zza krzaków i na widok wyglądających zza brezentowej budy nieznanych żołnierzy zaczęło szczekać grubym basowym głosem.

Z prawej strony wznosił się długi pogrążony w ciemnościach trzypiętrowy budynek. Tylko tuż przy wejściu paliła się migająca mlecznobiałym światłem dogorywająca jarzeniówka. Wysoki żołnierz wyszedł z budynku, zbiegł po ośnieżonych schodach i energicznym krokiem podszedł do ciężarówki.

- Spokój Kazan! - krzyknął do ujadającego psa.
Wilczur przestał ujadać i skuliwszy uszy zaczął się do niego łaścić
- Nowicki! Znowu się opierdasz na posterunku! – zawołał do chodzącego przy bramie wartownika – Dlaczego pies nie przywiązany?!

Wartownik odchylił go góry futrzaną czapkę

- Zerwał się panie poruczniku.
- Zerwał się, czy go nie przywiązałeś?- porucznik wyczuwał kiedy wciska mu się kit – schodzisz z warty i jedziesz na szmacie. Cała wartownia na błysk. Rano odbieram porządku. Zrozumiano, kito?!
- Tak jest! – zawołał wartownik i zakławszy pod nosem wszedł do budki.

Kierowca ciężarówki widząc, że z tym oficerem nie przelewką dyskretnie zgasił papierosa i zapytał:

- Gdzie ich zawieść, panie poruczniku?
- Wysadź ich na placu przed trzecim barakiem. Powiedz podoficerowi żeby zrobił zbiórkę i niech tak czekają. Zaraz tam przyjdę.
- W porządku – odpowiedział kierowca. Wrzucił niedopałek papierosa i wszedł do samochodu.

Ciężarówka ostro ruszyła z miejsca i pomknęła wąskimi alejkami, przecinającymi położoną w lesie jednostkę. Od czasu do czasu w świetle księżycy dało się zauważyć pokryte siatką maskującą schrony, bunkry i wiaty dla samochodów. Przez moment widziałem również wycelowanie w niebo wyrzutnie raketowe.

Przejechaliśmy obok parterowego budynku z białych pustaków. Tuż za nim ciężarówka zatrzymała się gwałtownie. Rzuciło nas do tyłu.

- Uważaj bałwanie!- krzyknął któryś z żołnierzy - Nie jedziesz z bydłem!
Zawtórowały mu okrzyki niezadowolenia pozostałych kolegów.

Czarny, gęsty dym wydobywał się z komina dwupiętrowego budynku, naprzeciw którego zatrzymał się samochód. Gdzieś tam palily się w nim światła a z otwartych okien dobiegały odgłosy wrzawy, przerywane wybuchami śmiechu. Domyśliłem się, że jest to budynek koszar wojskowych. Po chwili wyszło z niego dwóch żołnierzy z przypiętymi do piersi plakietkami. Podeszli do ciężarówki i zwinnie otworzyli burtę.

- Wysiadać kociarnia. Wysiadać! - zawołał jeden z nich.

Zaczęliśmy się wolno i niezgrabnie gramolić z ciężarówki.

- Wolniej się ruszają! Wolniej!- wołał wysoki chudy jak szczapa kapral – Jak wam Pampers jutro wyrobi ruchy na zaprawie to będziecie chodzili jak zegarki!

Tymczasem na widok ciężarówki, którą przyjechało młode wojsko przed budynkiem koszar pojawiła się kilkunastoosobowa grupka żołnierzy. Widać było, że przyjazd młodego rocznika stanowił dla nich niebywałe wydarzenie. Niektórzy z nich nawet wstali z łóżek co dało się poznać po tym, że byli ubrani w pasiaste piżamy. Grupka ta co chwilę wybuchała śmiechem aż w końcu jeden z nich zawołał.

- Patrzcie ile tej kociarni przyjechało!
- Ile tam do cywila? – wołał drugi – mało?
- Kosmos, kurwa, kosmos – krzyczał jeszcze jeden kompan z ich zacnego towarzystwa- pięćset czterdzieści dni do cywila. W chuj!

Jeden z nich, wysoki chudzielec o tak głupim wyrazie twarzy, że wszystkiego można się było po nim spodziewać podszedł do pewnego naszego kolegi.

- Ile tam staremu do cywila zostało?! – huknął na niego z góry i obrzucił go groźnym spojrzeniem w którym widać było głupotę i szaleństwo.

Mały grubasek stanął jak wryty, rozejrzał się bezradnie dookoła jakby spodziewał się pomocy. Niestety nikt się do niej nie kwapił. Nerwowo poprawił okulary i z pewną nutą niepewności odparł:

- Mój stary już dawno w cywilu...

Niestety nie była to prawidłowa odpowiedź.

Chudzielec wkurzył się nie na żarty

- Co to kocie żarty sobie ze mnie robisz? Na glebę i jedziesz pięćdziesiąt pompek. Ale już!

Mały grubasek stał kompletnie zdezorientowany i chyba za moment rzeczywiście padłby na ziemię i zaczął robić te pompki gdyby nie zdecydowana interwencja podoficera.

- Nie wtrącaj się do młodego wojska Bzdawka! – zawołał do chudzielca - wracaj na stołówkę!
- Co nie wtrącaj się! – oburzył się Bzdawka – falowo idziemy, czy regulaminowo?!
- Wypad stąd bo idzie oficer!

Bzdawka obejrzał się i zobaczył zbliżającego się oficera.

- Jutro masz wora z pastą – powiedział na odchodnym do małego grubaska, który usłyszawsz to zrobił wielkie oczy ponieważ jeszcze nie wiedział co to jest ów „wór z pastą” ale domyślał się, że musi to być coś bardzo, bardzo strasznego.

Oficer dyżury zatrzymał się tuż przed nami. Poprawił raportówkę i podparł się rękoma pod boki.

- Gdzie jest służba dyżurna z unitarki? – zapytał stojącego obok kaprała.
- Zadzwoń im do nich. Zaraz powinni wyjść.
- Kto tam ma dzisiaj podoficera?
- Pampers.
- Biegiem po niego!

Kapral bez słowa sprzeciwu pośpiesznym krokiem ruszył w stronę baraku. Nie przeszedł nawet dziesięciu metrów kiedy drzwi na ganku otworzyły się z hukiem. Wyszło z niego trzech zakładających w pośpiechu pasy i dopinających guziki w bluzach żołnierzy.

- Ruchy, ruchy! – poganiał ich oficer – młode wojsko przyjechało a wy leżycie do góry dupami na wozach. To mają być dowódcy drużyn?! Pampers! Robić mi tu zbiórkę – powiedział do grubego, niechlujnie ubranego bombardiera o czerwonej puciołowatej twarzy. Ten stanął w postawie zasadniczej i donośnym głosem wydał polecenie:
 - Unitarka! Bacność! Na moją komendę w dwuszeregu zbiórka! Spocznij!
- Zaczęliśmy się więc ustawiać w dwuszeregu jeden za drugim od najwyższego

do najmniejszego. Oczywiście mały grubasek znalazł się na samym końcu. Jako, że wojskowy plecak ciążył mu bardzo położył go przed sobą na ziemi. Był przecież zmęczony długą podróżą do Warszawy no i co tu dużo mówić samym stresem związanym z pierwszymi godzinami pobytu w armii.

- Co to jest?! – krzyknął do niego Pampers. – Było zdjąć plecaki?
Grubasek popatrzył na niego ze zdziwieniem. Po co ma dźwigać takie ciężary? (menażkę niezbędnik i takie tam żelastwo).

- Co zdziwiony, tak? – wołał Pampers – młody zawsze zdziwiony!

- Jaką masz ksywkę – zapytał grubaska inny dowódca drużyny.

- Kapsel – odparł młody zdziwiony żołnierz.

Wszyscy jak jeden mąż wybuchnęli gromkim śmiechem. Trzeba przyznać, że przezwisko to jakoś wyjątkowo do niego pasowało (po jego brzuchu dało się zauważyć duże ciążotki do piwa).

- Kapsel, zakładaj plecak i do szeregu – wołał Pampers łapiąc swoim zdecydowaniem plusy u oficera dyżurnego.

Tymczasem przed budynkiem koszar z każdą chwilą pojawiała się co raz więcej żołnierzy. Kto żyw śpieszył obejrzyć młode wojsko. Wyszedł nawet jakiś cywil z łopata w rękę, pewnie palacz. Zresztą w wojsku prawie wszyscy palili...

- Bacznosc! Na moja komende! Kolejno odlicz! – zawołał porucznik.

- Raz! – zakrzyknął pierwszy z brzegu żołnierz i dalej już poszło.

- Dwa!

- Trzy!

- Cztery!

- Pięc!

- Sześć!

- Sześć! – zawołał jakiś gapa.

Oficer tupnął nerwowo.

- Wróc! Co to młode wojsko nie umie liczyć?! Jeszcze raz!

Jakoś w końcu po trzech kolejnych próbach odliczania udało się to zrobić wystarczająco dobrze. Stan osobowy się zgadzał.

- Panowie – mówił porucznik – jesteście w jednostce raketowej w Olchownicy. Tutaj przedziecie szkolenie unitarne, czyli musztrę, strzelanie, taktykę, zapoznacie się z regulaminem. Będziecie również wykorzystywani do prac gospodarczych. Do przysięgi nie wolno wam samodzielnie wychodzić z rejonu zakwaterowania. Jeśli pojawi się taka potrzeba należy się z tym zwrócić do któregoś z dowódców drużyn – tu wskazał na dwóch stojących obok niego kaprali i Pampersa, który w tym czasie był bombardierem – jutro przyjedzie kapitan Bielecki, który dowodzi unitarka. Do tego czasu macie się stosować do poleceń dowódców drużyn i służby dyżurnej. Wszelkie zakłócenia porządku będą surowo karane. Zrozumiano?!

- Tak jest – odpowiedzieliśmy chórem.

- Dowódcy drużyn zaprowadzą was teraz do baraku i rozlokują w salach. Później pójdziecie na kolacje. Suchy powiat macie?

- Mają panie poruczniku – odpowiedział Pampers – wydali im w brygadzie.

- Dobra. Prowadź ich na unitarkę a później na stołówkę. Po powrocie ze stołówki rejon, toaleta i capstrzyk. Pokażcie im jak się ścieli łóżka i układa rzeczy w szafkach. W nocy przyjdę na kontrolę. Tylko ma mi tam porządek panować – pogroził palcem. Jasne?!

- Jasne – odparł Pampers.

- Unitarka! Bacznosc! Spoczni! – zakomenderował porucznik.

Rozległ się tupot podobny do odgłosu jabłek spadających z potrząśniętej jabłoni.

Zgromadzone przed dywizjonem stare wojsko zaniósł się śmiechem.

- To jest spocznij?! – wołał porucznik – kaszana! Jak seria z karabinu! Musi być jednocześnie! Jeszcze raz!

No więc spróbowaliśmy jeszcze raz. Później jeszcze raz i znowu jeszcze raz. W końcu kiedy tych razów było już z dziesięć udało się osiągnąć taki poziom zgrania, że czas między pierwszym a ostatnim tupnięciem nie przekraczał dwóch sekund i to dawało zadawalający już jak na początek efekt. Usatysfakcjonowany tym oficer odszedł w kierunku dyżurki pozostawiając nas pod komendą dowódców drużyn. Pampers, który jak mówiła fama dostał niezły wycisk od swych dziadków już od dawna z utęsknieniem czekał na moment, kiedy będzie mógł doświadczyć władzy nad trzydziestoma nowymi, przestraszonymi żołnierzami.

- Na moją komendę unitarka baczność! – krzyknął – w lewo zwrot! Na przód marsz!

Pomaszerowaliśmy w kierunku długiego na około siedemdziesiąt metrów parterowego baraku pokrytego eternitem. Tuż przed nim znajdowało się niewielkie asfaltowe boisko. Nieopodal wejścia do baraku wznosił się wysoki na kilka metrów częściowo odśnieżony nasyp przed którym pracowało kilku żołnierzy. Wrzucali do środka zrzucone przed nasypem ziemniaki. Jeden z żołnierzy podparł się na grełach i zawołał:

- Pampers. Dałbyś na obiery z dziesięciu młodych.
- Nie ma mowy – odparł Pampers – dzisiaj jadą na rejonach do bólu.
- No i słusznie wtrącił się drugi żołnierz. Młody musi mieć w cyc!
- Jutro wam podeśle paru młodych – rzekł wspaniałomyślnie – dzisiaj nie mogę. Sami widzicie; nie wyjściowy oficer!
- No fakt, że Pawlicki jest niezłe popierniczony.

Zatrzymaliśmy się tuż przed samym wejściem do baraku. Pampers wołał:

- Najpierw wchodzi rząd prawy a później lewy i od razu ustawiają się w dwuszeregu na korytarzu.

Weszliśmy do długiego baraku, w którym mieliśmy mieszkać przez najbliższe sześć tygodni. Po obydwu stronach szerokiego na dwa i pół metra korytarza znajdowały się drzwi do sal żołnierskich. Niektóre z nich były otwarte. Widać było przez nie skromnie urządzone pomieszczenia. W żadnej sali nie było firanek, nic nie wisiało na ścianie a jedynymi „meblami” były metalowe żołnierskie łóżka oraz stojące obok nich blaszane szafki. Nasz kolejny dowódca drużyny, starszy kapral, rozporządził kto w której sali będzie mieszkał (choć tam mówiło się „spał”).

- Zostawcie swoje rzeczy na łóżkach, weźcie suchy prowiant i idziemy na stołówkę – rozporządził Pampers

Wszedłem do sali numer pięć i położyłem na stojącym pierwszym z brzegu łóżku swój plecak. Obok mnie rozpakowywał się jakiś niewysoki ale atletyczne zbudowany szatyn. To dziwne, w zasadzie tak po wyglądzie nie wiele można było o moich kompanach z sali powiedzieć. Wszyscy w wojskowych mundurach wyglądali tak samo.

- Nieźle się wpakowaliśmy – powiedziałem do niego wskazując ręką widoczne przez okno ścianę lasu – nie za bardzo będzie gdzie wyjść na przepustkę.
- Faktycznie – odparł – może gdzieś w pobliżu jest jakaś wioska, albo może nawet miasteczko.
- Nie tak blisko. Przez ten las jechaliśmy ciężarówką chyba z dziesięć minut – zauważyłem.
- I tak na przepustki będziemy mogli wyjechać dopiero po przysiedze. Nie ma co się martwić. Nie będzie czasu na wychodzenie na przepustki ani nawet na myślenie. Skąd jesteś – zapytał mnie.
- Z rzeszowskiego. Dokładniej z Białki.
- Białka? Nie słyszałem.
- To taka wiocha. A ty skąd jesteś?
- Z Kielc. Mam na imię Sławek – przedstawił się

- Wiesiek jestem – podałem mu rękę, którą on ze spodziewaną po jego wyglądzie siłą uściskał.

Na korytarzu rozległo się głośnie wołanie podoficera dyżurnego:

- Unitarka! Na korytarzu w dwuszeregu zbiórka! Zabierają ze sobą suchy prowiant!

Złapałem więc papierowy worek, w którym znajdowała się jakaś kielbasa, konserwy suchary i coś tam jeszcze i popędziłem na korytarz. Naprędce ustawiliśmy się w dwuszeregu. Sławek stanął tuż obok mnie.

- Czym się zajmowałeś w cywilu – zapytałem go jako, że lubię wiedzieć z kim rozmawiam.
- Uśmiejesz się – odpowiedział – byłem konduktorem w PKP. A ty?
- Nigdzie nie pracowałem. Byłem bezrobotny.
- Znam to uczucie. Na początku jest spokój, później jest przejebane.
- Co to za gadanie! – wrzasnął Pampers – W szyku się nie rozmawia!

Nie chcąc podpaść już na samym początku unitarki natychmiast przerwaliśmy rozmowę. Pampers zarządził zbiórkę przed barakiem i nakazał iść w kierunku koszar. Budynek ten potocznie nazywano „dywizjonem”.

Do stołówki, która znajdowała się w budynku dywizjonu prowadziło osobne wejście. Pampers korzystając z tego, że ma pod swoją komendą małą armię liczącą trzydziestu kilku żołnierzy i bazując na swoim sześciomiesięcznym doświadczeniu w wojsku zrobił nam małe szkolenko z musztry zanim wspomniałobyśmy się zgodził się nas wpuścić do stołówki. Akurat wiał zimny wiatr a my nie mieliśmy na sobie kurtek.

Okazało się, że na stołówkę nie wchodzi się jak do pierwszego lepszego pomieszczenia np. składu węgla. Każdy z nas po przekroczeniu progu stołówki musiał wykonać tak zwany regulaminowy „skłonik”. Wyglądało to tak, że postawiwszy prawą nogę na podłodze stołówki dociągało się lewą z mocnym przytupem (im przytup był mocniejszy tym wejście wyglądało efektywniej a na twarzach naszych dowódców drużyn pojawiał się wyraz najwyższego zadowolenia). Było przy tym śmiechu co nie miara, ponieważ nie wszyscy potrafili tą prostą z pozoru czynność prawidłowo wykonać. Albo takiemu delikwentowi wypadła czapka kiedy wykonał skłon głowy, albo nogą o próg zawadził, albo wlaźł z rozpędu między stoliki. I tak oto wejście na stołówkę zajęło chyba ze dwadzieścia minut.

Stołówka była czysta. Podłoga lśniła się niczym tafla wody na jeziorze. Znajdowało się na niej kilkanaście pokrytych białą ceratą stolików przy których stały bezładnie rozrzucone taborety. Za wydawką stał wcześniej już poznany żołnierz Bzdawka i wyzywając nas od kotów nalewał wielką chochlą czarną kawę do białych obdrapanych kubków z plastiku.

- Wolniej się ruszają dziadki! – poganiał – następny, następny!
- Gorzka ta kawa! – poskarżył się jeden z żołnierzy – skąd mogę wziąć trochę cukru?
- Dwa taborety, prześcieradło i se naruchaj! – rzekł ordynarnie Bzdawka.

Niestety ta metoda pozyskiwania różnych przedmiotów nie była jeszcze przez nas opanowana toteż tego wieczora musieliśmy zadowolić się gorzką kawą

Wziąwszy kubek z kawą przysiadłem się do stolika, za którym siedzieli dwóch w miarę przyjaźnie wyglądających żołnierzy (jeśli będąc ogolonym na łyso z posępną miną można w ogóle wyglądać przyjaźnie).

Ku mojemu najwyższemu zdziwieniu okazało się, że jeden z nich pochodził dokładnie z moich stron. Mieszkał w Błazowej, która to miejscowość znajdowała się dokładnie trzy kilometry od Białki. Od razu poczułem się lepiej ponieważ zdałem sobie sprawę, że nie jestem tutaj sam (przynajmniej w pewnym sensie). Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, zaczęliśmy

szukać wspólnych znajomych i wypytywać się o to czy byliśmy w takim a takim lokalu. Rad bym sobie jeszcze dłużej z nim porozmawiać o swych rodzinnych stronach, w których jeszcze wczoraj byłem a które teraz wydawały się być równie odległe jak Ameryka. Zarządzono jednak koniec kolacji i opuściwszy stołówkę pomaszzerowaliśmy w kierunku unitarki.

Powróciwszy do baraku przy pomocy dowódców drużyn rozlokowaliśmy nasze rzeczy w salach żołnierskich. Do dyspozycji mieliśmy jedną metalową szafkę dzieloną na dwóch użytkowników oraz po dwa wieszaki. Ponieważ w sali nie było żadnej szafy prawdziwego zdarzenia, wojskowe ubrania rozwieszaliśmy na „oparciach” łóżek. W blaszanej szafce znajdowały się natomiast przyrządy higieny osobistej, zeszyty, szczotki do czyszczenia butów, niezbędnik itp. W sumie nie mieliśmy do dyspozycji zbyt wiele miejsca, ale musiało ono wystarczyć i wystarczało.

O godzinie dziewiątej Pampers zarządził zbiórkę na korytarzu. Nakazał przebrać się w dresy oraz ogłosił sprzątanie rejonów. Rozdzielił nas na poszczególne ekipy, które miały się zajmować sprzątaniami odrębnych pomieszczeń. Pokazał gdzie znajduje się sprzęt i środki czyszczące. Ponieważ jednak zwykle sprawdzone w cywilu środki często zawodziły i były zbyt kosztowne zapowiedział, że zostaną zastosowane inne przyjazne środowisku i od dawna z powodzeniem stosowane w Wojsku Polskim.

Przebraliśmy się więc w dresy i zabraliśmy się do sprzątania rejonów.

Tego wieczora wszystko działo się zbyt szybko aby mieć czas na jakiegokolwiek przemyślenia. Może to i dobrze ponieważ dzięki temu nie czułem wystarczająco mocno całej tej obawy i niepewności związanej z gwałtownym wrzuceniem mnie w nieznaną miejscę, wśród nieznanymi ludźmi na drogę, która miała być naznaczona trudnościami. Tak na dobrą sprawę nigdy nie mogłeś przewidzieć co cię w wojsku spotka a raczej zakładałeś, że spotka cię tu więcej złego niż dobrego. Raptem zauważyłeś, że zakładając mundur wojskowy stałeś się częścią potężnego mechanizmu, w którym tak nie wiele znaczyłeś. Mechanizm ten odebrał ci także twoje własne ja – ginęło ono w tłumie tysięcy żołnierzy podobnie ubranych jak ty, wykonujących te same czynności i mających te same lub podobne marzenia.

W cywilu miałeś dziewczynę, rodziców, znajomych i przyjaciół – ludzi dla których byłeś ważny. Tutaj nie było nikogo, kto z jakichś powodów uważałby cię za szczególnie ważnego. Stałeś się częścią szarej masy.

Nie dochodzi się do takich spostrzeżeń po pierwszych godzinach pobytu w armii. Na początku przeżywa się drastyczny szok. Przeniesiony z kulturalnego cywilnego świata za bramą jednostki, odkrywasz mnóstwo chamstwa, prymitywizmu i braku poszanowania ludzkiej godności. Jeszcze wczoraj mogłeś być w kinie ze swoją dziewczyną, później pójść z nią do kawiarni albo na spacer do parku, dzisiaj jechałeś na szmacie poganiany przez stojącego nad tobą prymitywa. Nazywało się to „ból młodego”.

Kiedy prawie już posprzątałyśmy rejon dowódcy drużyn pokręcili z niezadowoleniem głowami i zdecydowali się użyć bardziej skutecznych środków niż te, które stosowaliśmy do tej pory. W tym celu do każdej sali żołnierskiej wsypali po trzy wiadra piachu i wylali po pięć wiader wody. Powstała z tego całkiem niezła breja. Nie jeden złapał się przy tym za głowę myśląc sobie po co to wszystko i jak to w ogóle posprzątać. Podobno piach i woda dobrze usuwały ryski po opinaczach na podłodze...

Na korytarzu przeprowadzono podobną akcję tyle tylko, że wody nie lało się z wiader

lecz ze strażackiego węża. Rozprowadzono także jakiś płyn z gaśnicy, który wytwarzał nie dającą za nic usunąć pianę. Mogłeś to zbierać szmatą nawet i dwadzieścia razy a ta cholerna piana i tak nie chciała schodzić.

Wielkie sprzątnięcie trwało około czterdziestu minut tym czasie udało nam się usunąć piasek z podłóg, wymyć je zapastować i wyfroterować. Pościeraliśmy również kurze z kaloryferów, parapetów i łóżek Pampers który tego dnia z racji pełnionej służby odbierał porządkę był jednak niepokieszony zbyt chaotycznym ułożeniem przyrządów do toalety w szafkach i dlatego wyrzucił kilka z nich na środek sali.

Ostatecznie, po zrobieniu kilku takich nalotów do różnych sal, nakazał przygotować się do toalety. Podobno to również miało przedstawiać pewne trudności. W sumie jego wymagania nie były zbyt wielkie. Chodziło tylko o to aby w ciągu trzech sekund ustawić się na korytarzu w dwuszeregu, od największego do najmniejszego trzymając w ręce cały sprzęt. Początkowo, jak to młode wojsko nie wyrabialiśmy się, a to jeden ręcznika do nóg nie wziął, drugi zapomniał szczoteczki do zębów, trzeci wywalił się jak wybiegaliśmy z sali. W końcu staliśmy cały czas przed drzwiami do sali czekając na komendę do zrobienia zbiórki. I w tym wypadku okazało się, że trening czyni mistrzem ponieważ ostatecznie po kilku takich treningowych wypadach udało nam się ustawić nie budzący poważniejszych zastrzeżeń dwuszereg.

Obyty już w służbie wojskowej bombardier Pampers wychodził ze słusznego znaczenia, że młodego wojska nie należy rozpieszczać i dlatego zarządził, że toaleta ma trwać tylko pięć minut. Rzuciliśmy się więc w te pędy do łazienki a tam ku naszemu najwyższemu zdziwieniu na nas trzydziestu chłopca czekały cztery umywalki.

Zdażyłem umyć twarz i jedną nogę pod prysznicem kiedy Pampers wołając donośnym głosem zarządził koniec zbiórki. Posypały się na niego groźby przekleństwa i pogróżki. Osobiście słysząc to nie chciałem być w jego skórze... Wszak tutaj chronił go regulamin, ale za bramą regulamin już nie obowiązywał.

Ponieważ było już kilka minut po godzinie dziesiątej Pampers zarządził capstrzyk.

Światło musiało być bezwzględnie zgaszone. Nikomu jednak nie chciało się spać. Było nas w sali dziesięciu i każdy z nas przeżył dzisiaj szok. Wszyscy myśleliśmy sobie, że w wojsku jest trochę inaczej, powiedziałbym bardziej normalnie a tymczasem okazuje się, że jest tu mnóstwo chamstwa, krzyku i zupełnie niepotrzebnej złośliwości. Dopiero teraz znalazłszy chwilę wytchnienia zaczęliśmy rozmawiać o tym kto skąd jest, czym się zajmował w cywilu oraz dzielić się uwagami na temat tego co dziś zobaczyliśmy. Zasnąłem dopiero o trzeciej. Myślałem, że to co najgorsze mam już za sobą tymczasem okazało się, że najgorsze jest przebudzenie...

Koniec rozdziału trzeciego

Rozdział IV

Pierwszy dzień w wojsku

Ze snu wyrwało mnie głośnie wołanie podoficera dyżurnego. Pampers łąził po korytarzu i wrzeszczał co sił w gardle: - Pobudka! Pobudka! Przygotowują się do wyjścia na zaprawę! Czas operacyjny siedem minut!

W jego głosie dało się wyczuć sporą dawkę agresji. Zapewne ganiając nas na zaprawie zamierzał się odkuć za te wszystkie upokorzenia, których doświadczył ze strony swoich dziadów. No cóż, niektórzy reagowali właśnie w ten sposób ale prawda jest taka, że jeśli ktoś miał trudnych dziadów i nieźle dostał od nich w dupę to na swoich młodych się nie mścił. Po prostu rozumiał młodego i nie chciał się upodobnić do swoich znieawidzonych dziadów. Pampers jednak do tego typu, żołnierzy nie należał. Był po prostu za głupi.

- Podaję strój na zaprawę – grzmiał na korytarzu – buty: opinacze, dół: spodnie moro, góra: bluza moro!

Pobudkę ogłaszano o szóstej rano a wyjście na zaprawę o szóstej dziesiątej. W tym czasie musiałeś się ubrać w strój podany przez oficera dyżurnego oraz pościelić łóżko „do zaprawy”. Nie każdy wyrabiał się w regulaminowym czasie dziesięciu minut dlatego też co niektórzy wstawiali kilka minut wcześniej (Kapsel nie spał już od piątej).

Budzisz się i raptem stwierdzasz, że naprawdę jesteś w wojsku. Z początku w ogóle nie możesz w to uwierzyć (przecież jeszcze wczoraj rano obudziłeś się w domu we własnym łóżku). Na dworze jest ciemno i ponuro. Z korytarza dobiegają nerwowe krzyki i nawoływania podoficera dyżurnego. Wokół siebie widzisz ubierających się w pośpiechu i równie przestraszonych jak ty młodych żołnierzy. Dostajesz lekkiego przyływu depresji. Chciałbyś stąd uciec i znaleźć się w cywilnym świecie w miejscu, które dobrze znasz i czujesz się w nim pewnie. Dzieje się tak dlatego, że wiesz iż za moment zostanie ci zabrana wolność przestrzeni i czynu. Będziesz musiał żyć na ściśle określonym, ogrodzonym terenie i bez dyskusji robił to co ci każą. Najgorsza zaś jest świadomość tego, że będzie to trwało półtora roku, dokładnie 540 dni. Właśnie to dołuje cię najbardziej.

Tak, na początku naprawdę nie wesołe myśli przychodzą człowiekowi do głowy. Osobiście nigdy się z tym nie spotkałem, ale słyszałem, że zdarzały się takie przypadki iż niektórzy żołnierze uciekali z jednostki już pierwszego dnia.

Ogólnie rzecz biorąc nie jest jednak aż tak źle, ponieważ po pewnym czasie, najczęściej kilku dniach, zaczynasz się aklimatyzować i depresja przechodzi. Przestajesz myśleć o tym, jak to źle się stało, że trafiłeś do wojska a raczej zaczynasz się zastanawiać nad tym co będziesz dziś robił, co podadzą na śniadanie, jaki podoficer będzie miał służbę, czy nie będzie za zimno na dworze i wielu innych tego typu rzeczach z których składa się proste żołnierskie życie.

Zauważasz także, że nie jesteś sam. Zaczynasz rozmawiać z kolegami z sali, z żołnierzami kilka miesięcy starszymi, rzadziej z dowódcami drużyn. Po pewnym czasie odnajdujesz ludzi z którymi możesz nawiązać nić porozumienia, rozmawiać na wspólne tematy. W tym okresie rodzi się wiele mocnych przyjaźni. Są one na tyle mocne, że później, jak przyjdzie się rozstać to nie jednemu łezka w oku się kręci.

Ogólnie rzecz biorąc z biegiem czasu przyzwyczajasz się do prostego żołnierskiego życia i stwierdzasz, że jest ono całkiem znośne. A byli nawet i tacy, którzy pochodzili z wyjątkowo

biednych rodzin, nie mieli w cywilu pracy ani perspektyw i tu w wojsku żyło się im nawet lepiej niż w domu. Ale początki były naprawdę trudne.

- Ustawiają się w dwuszeręgu na korytarzu! – grzmiał groźnie Pampers.
- Wolniej się ruszają! – wołał inny dowódca rodziny.

Część żołnierzy już ustawiła się na zbiorce, a część jeszcze się ubierała. Pampers łąził po salach i zastraszał tych co nie zdążyli, że na zaprawie dostaną specjalną porcję ćwiczeń aby się nauczyli wyrabiać ruchy.

- Dziadki, kurwa, szybciej, szybciej! - wołał – już mamy pięć minut spóźnienia – chcecie żebym dostał działę od oficera?!

Postępując w ten sposób wzbudzał atmosferę zastraszenia i kompletnego chaosu. Nie dość, że człowiek nie wiedział co i jak na siebie założyć, to mu jeszcze taki palant wrzeszczał nas uchem strasząc wyciskiem na zaprawie.

Ustawiliśmy się na zbiorce z kilkuminutowym opóźnieniem. Naprzeciw nas stali nasi dowódcy drużyn.

- Kolejno odlicz! – krzyknął Pampers

Ruszyło odliczanie. Ostatni żołnierz w szeregu był „niepokryty”

- Jak to niepokryty?! – wołał Pampers – przecież jest was trzydziestu! Kogo nie ma?

Spojrzeliliśmy po sobie.

- Nie ma Kapsla! – zawołał któryś z żołnierzy.
- Szukać go!

Nie trzeba było jednak tego robić. W momencie kiedy mieliśmy się rozejść w celu odnalezienia zguby rozległo się przeraźliwe skrzypienie drzwi od ubikacji i po chwili na korytarzu pojawił się młody żołnierz Kapsel. Ubrany był w pasiaste piżamy i kapcie, w lewej ręce trzymał rolkę papieru toaletowego (który przeczornie przywiózł z domu) a prawą przysłaniał sobie rozdziawioną od ziewania gębę.

Wszyscy, jak jeden mąż, wybuchnęli głośnym śmiechem.

- Kapsel, kurwa, czy ty sobie żarty robisz?! – wołał Pampers, który był to sytuacją równie zaskoczony co wszyscy. W głowie mu się nie mieściło że można odwalić taki numer już na pierwszej zaprawie.
- Zaspałem – powiedział z przerażeniem Kapsel - w kiblu zaspałem - dodał.
- Facet, ty dzisiaj do trzeciej nad ranem ze szmaty nie zejdziesz! – pogroził Pampers – a teraz ubieraj się, bierz łopatę i odśnieżaj wejście do baraku! Reszta ustawia się na zewnątrz.

Na dworze wciąż jeszcze było ciemno. Wiał ostry, lodowaty wiatr . Miałem na sobie dość chłodne jak na taką pogodę ubranko. Można było w nim przemarznąć już po kilku minutach stania na wietrze. Pampers postanowił jednak zadbać o nasze zdrowie i kategorycznie nie dopuścić do tego abyśmy się przeziębili. W tym celu puścił nas biegiem dookoła boiska. Na szczęście długo wcześniej przygotowywałem się na taką ewentualność biegając wieczorami po pięć kilometrów. Nie wszystkim jednak chciało się potrenować trochę przed wojskiem. Pampers zdawał się nie dostrzegać, że niektórzy żołnierze są już potwornie zmęczeni po przebiegnięciu trzech kilometrów. Wtedy właśnie po raz pierwszy zauważyłem, że można zwymiotować ze zmęczenia.

Po czterokilometrowym biegu Pampers zaaplikował nam pokaźną dawkę pompek oraz tak zwanego „dzampingu” (polegał on na tym, że kicało się jak zając). W ciągu pół godziny dał nam taki wycisk, że tego samego dnia na izbę chorych trafiło czterech żołnierzy a reszta czuła zakwasy jeszcze przez pięć dni.

Zastanawiało mnie jak Wojsko Polskie może powierzyć choćby najmniejszą część władzy osobom tak psychicznie niezrównoważonym. Dopiero później zorientowałem się, że Pampers pomimo całej swej wulgarności i chamstwa był, że tak powiem, gościem na poziomie (przecież miał nawet średnie wykształcenie). Generalnie, dało się wykryć pewną prawidłowość, że im większym ktoś był w cywilu zerem, tym bardziej biło mu do głowy kiedy został dziadkiem i miał pod sobą młodych.

Po zaprawie udaliśmy się na śniadanie. Pamiętam, że Pampers na zbiórce dokładnie sprawdził, czy wszyscy mają przy sobie niezbędnik. Jak ktoś zapomniał to robił trzydzieści pompek, bo jak mówił „żołnierz powinien nosić niezbędnik zawsze przy sobie”. Po tej lekcji tak bardzo przywykłem do noszenia niezbędnika, że dotkliwie odczuwałem jego brak nawet jak już wyszedłem do cywila.

Na stołówce stare wojsko sprawiło nam huczne przywitanie wyzywając nas od kociarni, kotów zapchlonych i nabijając się z naszej, jak to mówiono „kosmicznej cyferki”. Powstała taka wrzawa, że musiał interweniować jakiś brzuchaty sierżant, siedzący w stołówce dla kadry. Wyrzucił paru krzykaczy i od razu zrobiło się o wiele spokojniej.

Szef kuchni zaserwował nam zupełną mleczną oraz twaróg, czyli tak zwane „białe szaleństwo”. Każdy otrzymał małą kosteczkę masła i łyżkę dzemu. Chleb brało się ze stojącego na wydawce koszyka. Do popicia była czarna kawa zbożowa.

Aby dostać swoją porcję, trzeba było stać w długiej kolejce. Tutaj moja cierpliwość została poddana dużej próbie ponieważ nie dość tego że stałem na samym końcu, to widziałem jak starzy żołnierze przychodzą na stołówkę i od razu wypychają się na sam początek kolejki. Nie mieliśmy jednak nic do powiedzenia. W jednostce panowała fala i trzeba było, chociaż niełatwo, pogodzić się z takim stanem rzeczy.

Jednakże nie na tym skończyły się nasze frustracje. Śniadanie w wojsku odbywa się w ściśle określonych godzinach i dlatego też ci którzy wzięli je na samym końcu ledwie zasiedli do stołów i zaczęli jeść usłyszeli komendę: „Unitarka kończy śniadanie. Powstań. Wstają i wychodzą”. Dokładnie tak samo było ze wszystkimi posiłkami przez pierwsze dwa tygodnie. Doszło do tego, że najpierw jedliśmy drugie danie (bo było bardziej syte) a dopiero później, jeśli był jeszcze czas, zupełną. Jednakże przy takiej ilości ruchu na świeżym powietrzu oraz braku możliwości najedzenia się do syta wszyscy bez wyjątku byli cholernie głodni. Dlatego też brało się ze stołówki chleb, upychało go po kieszeniach i jadło go po capstrzyku. Ci co chodzili na obiery przynosili czasem suchary, ale to był już prawdziwy rarytas...

Po śniadaniu Pampers zwołał zbiórkę na apel poranny (wciąż te zbiórki). Wcześniej musieliśmy sobie solidnie zapastować buty na wysoki połysk. Na apelu miał być obecny sam dowódca unitarki porucznik Bielecki i Pampers nie zamierzał dopuścić do tego żeby dostać opieprz za jakiegoś „nieregulaminowo” ubranego żołnierza.

Stojąc w dwuszeregu na korytarzu z niecierpliwością oczekiwaliśmy na pojawienie się porucznika Bieleckiego. Osobiście miałem nadzieję, że po tym wszystkim co przeżyłem od wczorajszego wieczora w końcu spotkamy jakiegoś normalnie myślącego, inteligentnego i kulturalnego człowieka. Przecież był on oficerem wojskowym, zapewne miał wyższe wykształcenie i powinno go cechować racjonalne podejście do swojego zawodu.

Chociaż trzeba przyznać, że różnie to bywało z tym podejściem wśród żołnierzy zawodowych to jednak na poruczniku Bieleckim nie zwiodłem się. Pomijając fakt, że jak na

wojskowe standardy wyrażał się nad wyraz kulturalnie to zaskoczył mnie stwierdzeniem, że „we współczesnym wojsku żołnierz musi myśleć a nie tylko ślepo wykonywać rozkazy”. Zdziwiło mnie to co powiedział ponieważ jak dotąd uważałem wojsko za instytucję słynącą z tego, że bez dyskusji wykonywało się w niej każdy rozkaz, nawet jeśli był głupi (choćby owo słynne malowanie trawy na zielono).

Nie chciałbym tu w jakiś sposób chwalić kadry zawodowej ale muszę przyznać, że ani mnie, ani też żadnemu z moich kolegów nigdy nie wydano jakiegoś całkowicie bzdurnego rozkazu (a to, że gdzie kończy się logika tam zaczyna się wojsko to już swoją drogą).

Czasami wydaje mi się, że w cywilu pokutuje wiele niezgodnych z prawdą stereotypów na temat wojska. Stereotypów ukształtowanych przez małych pseudobohaterów, którzy po wojsku wracają do domów i chwalą się tym jak to bardzo dostali w tej armii w dupę. Zdają się wtedy mówić: „patrzcie jakim jestem twardzielem, prawie jak Rambo, bo przeżyłem armię”. Wtedy nie pamiętają już o tym, że jeszcze kilka dni temu ścigali młodych żołnierzy.

Nie pamiętam dokładnie wszystkiego o czym mówił porucznik Bielecki. Podobnie jak oficer dyżurny groził nam nieprzyjemnymi konsekwencjami w przypadku naruszenia dyscypliny wojskowej. Zabronił nam również wychodzić z baraku bez „opieki” któregoś z dowódców drużyn albo innego starszego służbą żołnierza.

Postępowanie takie było podyktowane względami bezpieczeństwa ponieważ młody żołnierz nie umiał poruszać się po jednostce i na przykład mógł wejść na teren chroniony przez wartownika a wtedy o nieszczęście nie trudno. Dodatkowo zabierało nam to wolność osobistą gdyż nie dość tego, że znajdowaliśmy się na terenie jednostki, której nie można było opuścić to jeszcze zabroniono nam wychodzić z baraku. No ale cóż, służba nie drużba.

Od porucznika Bieleckiego dowiedzieliśmy się także, że pierwsze dni pobytu w armii będą się wiązały z przejściem tak zwanej kwarantanny. Pochodziliśmy z różnych stron Polski i potrzebowaliśmy trochę czasu aby dostosować się do panujących w tej części kraju warunków klimatycznych. Kwarantanna miała trwać równo tydzień. W tym czasie mieliśmy nie wykonywać zbyt intensywnych ćwiczeń fizycznych, lecz uczyć się regulaminu oraz dbać o porządek w rejonie zakwaterowania.

Był to bardzo trudny okres, ponieważ nudziło się zarówno nam jak i naszym dowódcom drużyn. Kiedy miało się za dużo czasu to zaczynałeś myśleć o cywilu i żałować, że dałeś się wpakować w to bagno. Natomiast nasi dowódcy drużyn kiedy się nudzili myśleli o tym co by tu zrobić aby czas zleciał szybciej. W tym celu wymyślali dla nas różne fałowe atrakcje, na skutek których co raz bardziej żałowałeś, że tu trafiłeś.

Po apelu wzięliśmy ze sobą zeszyty i udaliśmy się do sali wykładowej gdzie odbywały się zajęcia z regulaminów wojskowych. Prowadzone były one przez naszego kolejnego dowódcę drużyny, który do tej pory nie udzielał się za bardzo. Stanowił on całkowite zaprzeczenie Pampersa ponieważ był człowiekiem kulturalnym a nawet wyrażał się prawie literacką polszczyzną. Nazywał się Paweł Olszewski. Pochodził z Poznania. W wojsku służył już ponad rok i „dorobił” się stopnia starszego kaprała. W zasadzie nigdy nie dowiedziałem się niczego więcej na jego temat ponieważ pomimo tego, że milczkiem nie był to jednak niechętnie mówił o sobie.

Tematem zajęć było prawo użycia broni. Z początku próbowaliśmy uczyć się go na pamięć, później Olszewski zadawał pytania sprawdzające stopień zrozumienia materiału. Po pierwszej przerwie zaczęliśmy się wypytywać go o to jak jest w tym wojsku do którego

trafiłiśmy, czyli w warszawskiej raketówce. Z Olszewskim dało się na ten temat porozmawiać. Pampers i jeszcze jeden dowódca drużyny zbytnio nas straszili armią aby ich relacje można uznać za wiarygodne. Jedno z pierwszych pytań dotyczyło fali.

- Z falą bywa różnie - tłumaczył Olszewski – wszystko zależy od tego jakich będziecie mieli dziadków. Możecie mieć dziesięciu dziadów nie przejmujących się zbytnio falą i wtedy macie po lepszańsku albo dwóch mających świra na punkcie fali i wtedy może być naprawdę ciężko. Ogólnie nie ma reguły, zależy jak traficie.

- Ale na pewno są jednostki w których fala jest większa niż gdzie indziej – pytał jeden z żołnierzy.
- Podobno największa fala jest w Baniosze i Radzyniu – mówił kapral – tam nawet trepy idą falowo. Generalnie im jednostka jest na większym zadupiu tym większa jest fala. Po prostu dziadki się nudzą i ścigają młodych.
- To nawet trepy idą falowo? – zdziwił się jakiś żołnierz – myślałem, że kadra idzie regulaminowo. Coś tu jest nie tak.
- Tak naprawdę trepy nie chcą zlikwidować fali – mówił Olszewski – jest im ona na rękę. Dzięki niej nie muszą pilnować młodych żołnierzy, ponieważ wiedzą, że starzy ich przypilnują. Dotyczy to sprzątnięcia rejonów, prac na sprzęcie i w ogóle prawie wszystkiego. Za młodego ścigają cię tak, że nie masz czasu na nic, a za starego leżysz na wozie, nic cię nie obchodzi i tylko sobie odliczasz cyferkę do cywila.
- Ale przecież przez tę falę wiele osób popełniło samobójstwo – zawołał inny żołnierz nie rozumiejąc dlaczego taka instytucja jak Wojsko Polskie nie poradziła sobie z tym zjawiskiem!
- Po prostu nie chce. To jest pójście na łatwiznę a gorsze strony są takie, że czasami któryś z żołnierzy nie wytrzyma i strzela sobie w łeb na warcie.
- No i co się dzieje dalej?
- A co ma się dziać? Sąd wojskowy i żandarmeria robią dochodzenie, wsadzają za kratki kogo trzeba a fala istnieje dalej.
- Co sądzisz o Krollu i Samowolce?
- Tam są pisane skrajności. To nie jest rzeczywisty obraz służby w wojsku. Generalnie filmy takie szkodzą ponieważ niepotrzebnie zastraszają młodych ludzi przed wojskiem. To kompletna bzdura. Nie martwcie się, w wojsku tak nie jest. Pamiętajcie najlepiej jest stosować się do zasady: *Pierdol wszystko i się śmieje, wstaniesz rano, będzie mniej!*

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Tak, rzeczywiście była to godna polecenia zasada, szczególnie dla młodego żołnierza.

- Kiedy będzie można wyjechać na przepustkę- zapytał jeden z żołnierzy, który nosił ksywkę „pantera”. W czasie najbliższych kilku tygodni dał się poznać jako niesamowity lizus. Na każde zawołanie częstował kaprali papierosami i w ogóle starał się im przypodobać. Wszyscy pogardzali nim z tego powodu. Chociaż z drugiej strony zachowanie takie można było potraktować jako pewien sposób na dostosowanie się do nowych warunków życia.

- Dopiero za sześć tygodni, po przysiędze- odpowiedział Olszewski - wcześniej nie ma mowy. Chyba że jest jakaś ważna i pilna sprawa.
- Ile będziemy mieli wolnego po przysiędze?
- Siedemdziesiąt dwie godziny. Ewentualnie może dojść do jakiś urlop.
- Urlop?! A za co tu można dostać urlop?
- Ot choćby za strzelanie. Trafisz pięć dziesiątek na pięć strzałów i dostajesz trzy dni urlopu.

Na sali rozległ się pomruk powątpiewania. Kto tu trafi pięć razy w dziesiątkę jeśli większość z nas nie umiała nawet dobrze trzymać karabinu w ręce.

- A co z odwiedzinami? – zapytał któryś z żołnierzy.
- Chyba mieliśmy się uczyć prawa użycia broni? – zaśmiał się Olszewski – odwiedziny są tylko w niedziele od śniadania do piętnastej. W tym czasie możecie się widzieć z rodzinami i znajomymi.

- A listy? Co z wysyłaniem listów? Jest tu gdzieś jakaś poczta?
- Poczta jest w sąsiedniej wiosce kilka kilometrów stąd – wyjaśnił – jeśli chcecie wysłać list to zanieście go do stolika podoficera. Jak któryś z kierowców będzie przejeżdżał koło poczty to wrzuci listy do skrzynki.
- A co z doręczaniem listów do nas?
- Będą rozdawane na apelu popołudniowym.

Jeszcze przez chwile porozmawialiśmy na owe ważne z naszego punktu widzenia tematy. Później, zachęceni przez Olszewskiego zabraliśmy się do zakuwania na pamięć prawa użycia broni. I tak zleciało do obiadu.

Po obiedzie część z nas uczyła się regulaminów, a część na polecenie jakiegoś sierżanta z baterii raketowej została oddelegowana do prac konserwacyjnych na sprzęcie. Wtedy po raz pierwszy byłem świadkiem zdarzenia, że w jednostce tej panuje prawdziwa fala a nie tylko „herbaciana” jak mówił kapral w Warszawie. Pracowałem z pewnym starszym ode mnie o trzy miesiące służbą żołnierzem we wiatach samochodowych. Nacieraliśmy podwozia ciężarówek przepalonym olejem, tak aby nie zardzewiały w zimie.

Darek – bo tak miał na imię ów żołnierz był wysokim i dobrze zbudowanym mężczyzną. W pewnym momencie do wiaty wszedł jakiś niewysoki bombardier. Darek zobaczywszy go najwyraźniej się przestraszył ponieważ schował się za tył samochodu.

- Karpiński gdzie się tak, kurwa, chowasz – zawołał niski żołnierz – fajki dla dziadka masz?

Darek wyszedł zza samochodu, przeszukał kieszenie i wyjął pustą paczkę papierosów.

- Nie mam – odparł
- Zmoka! Jak to dla dziadka fajek nie masz? Może ja mam za tobą nosić?

Darek milczał

- Skończyła mi się kasa. Nie kupuję już od dwóch dni.
- Facet! Konia to pierdoli! Fajki dla dziadka musisz mieć. Tłoczysz cyferkę. Ile tam dzisiaj?
- Dziewięćdziesiąt sześć – odpowiedział Darek.
- No to na glebę i jedziemy.

Darek położył się na betonowej podłodze i zaczął robić pompki. Jego dziad stał nad nim i odliczał. Był od Darka o dwie głowy niższy i w innych okolicznościach mógłby dostać od swojego młodego tak, że rodzona matka by go nie poznała. Gdyby jednak tak się stało Darek zostałby okrzyknięty drewniakiem, czyli żołnierzem idącym regulaminowo a nie falowo. Drewniany mieli najbardziej przejebane ze wszystkich ponieważ czasami nawet lano i srano im do łóżek.

Darek zrobił z przerwami te dziewięćdziesiąt sześć pompek. Kiedy jego dziad wyszedł z wiaty uderzył pięścią w drzwi samochodu i zawołał:

- Kurwa, jak wyjdę z wojska to zabiję tego skurwysyna!
- Przejdzie ci – powiedziałem
- Przejdzie albo i nie – powiedział i wciąż jeszcze mocno zdyszany zabrał się do nacierania ropą drzwi samochodu.

To wydarzenie uświadomiło mi, że fala jest czymś realnym a nie zasłyszonym zlepkim kilkunastu historyjek. Dotyczyło się to również barku poszanowania ludzkiej godności. To działo się tu i teraz w świecie do którego należałem. Wiedziałem, że za kilka miesięcy ja również mogę się znaleźć w sytuacji w jakiej był przed momentem Darek.

Tuż przed kolacją pojawił się sierżant, który zapędził nas do tej roboty. Sprawdził, czy nie „odwaliliśmy maniany” i nakazał nam iść do baraku. Ponieważ nie wolno nam było

samodzielnie poruszać się po jednostce odprowadził nas jakiś starszy służbą żołnierz.

Kiedy wchodziłem do baraku zostałem zaczepiony przez Rafała Koseckiego – naszego dowódcę drużyny, który dziś po południu pełnił służbę podoficera dyżurnego.

- Paślawski! Kurwa! Co od ciebie tak jebie?!- zapytał zasłaniając ręką nos.
 - Pracowaliśmy przy samochodach. Nacieraliśmy nadwozia przepalonym olejem.
- powiedziałem patrząc na swoje śmierdzące ropą i zmarznięte ręce.

- Umyj się i przyjdź do mnie na rozmowę.
- Jaką rozmowę?
- Normalną. Pogadamy o wojsku, o tobie i dziewczynach – powiedział wyjmując z biurka notes i długopis. – Czekam na ciebie w sali podoficerskiej.
- Dobrze – odpowiedziałem i pobiegłem do łazienki.

Po drodze spotkałem Sławka.

- Słuchaj – zapytałem go – mam iść na jakąś rozmowę. Wiesz o co tu chodzi?

Sławek machnął ręką.

- Ja już byłem. Będą cię pytać o stosunek do służby wojskowej, czym się zajmowałeś w cywilu, czy masz dziewczynę i takie tam pierdoły.

- Ale po co im to?
- Oni zawsze przeprowadzają takie rozmowy z młodymi żołnierzami. Chodzi o to, żeby taki kapral lepiej poznał żołnierzy, którzy należą do jego drużyny. Niektórzy mają poważne problemy. Lepiej wtedy im pomóc, niż dopuścić do tego, aby uciekli z jednostki albo strzelili sobie w łeb na warcie.
- Skąd ty to wiesz?
- Mój brat był w wojsku. Czasami trochę opowiadał.
- Dobra. Dzięki, muszę już lecieć – powiedziałem kierując się do łazienki.

Wyszorowawszy ręce z pewną nieśmiałością zapukałem do sali podoficerskiej. Rafał siedział za biurkiem i przeglądał jakąś książkę. Zobaczywszy mnie wskazał mi krzesło naprzeciw biurka. Na oko miał dwadzieścia trzy lata. Pochodził z Warszawy, dokładniej z Bemowa.

- Co sądzisz o wojsku? – zapytał mnie już na samym początku.
- A co mam sądzić? Wojsko jest potrzebne. Ktoś musi bronić granic – odpowiedziałem wymijająco. Od momentu kiedy poznałem jak traktuje się młodych żołnierzy przestałem przepadać za tą instytucją ale przecież nie mogłem mu tego powiedzieć.
- Paślawski co ty mi tu, kurwa pierdolisz o patriotyzmie! To chodzi o to jak ty się tu czujesz. Podoba ci się, czy nie?
- Nie wiem jak na razie to trochę z krótko jestem. Na razie nie jest źle...

Rafał parsknął śmiechem.

- Paślawski, przecież sam widzisz, że tu jest przejebane a ty mówisz, że nie jest źle?!
- W cywilu też nie było lekko. Ani pracy, ani perspektyw. Lepiej było pójść do wojska.
- To chciałeś pójść do wojska? – zdziwił się Rafał – wszyscy z którymi rozmawiałem nie chcieli i najchętniej wykręciliby się od armii.
- A co miałem robić w Białce? Kiedyś nawet próbowałem się dostać do szkoły chorążych w Jeleniej Górze.
- No i co?
- Zrezygnowałem bo nie umiałem pływać a tam były egzaminy z pływania.
- Ale z tego co wiem, mogłeś to zastąpić innym ćwiczeniem. Liczy się ogólna ocena ze sprawności fizycznej.
- Wtedy o tym nie wiedziałem a kiedy się dowiedziałem było już za późno no i wzięli mnie do zasadniczej.

- Facet, nie żałuj – Rafał machną ręką – zobaczysz jak żyje bieda to sam się przekonasz, że miałeś dużo szczęścia, że tam nie trafiłeś.

Wtedy wzruszyłem ramionami, pół roku później przyznałem mu racje.

- Po co ci słownik wyrazów bliskoznacznych?
- Skąd wiesz, że go mam? – zapytałem nie kryjąc zdumienia.
- Sprawdzałem porządek w szafkach – rzekł z obleśnym uśmiechem – nie chcę aby ktoś przetrzymywał w nich wodę – dodał.
- Piszę opowiadania . Słowniki czasem pomagają dobrać wyrazy - wyjaśniłem. Nie lubiłem mówić o tym, że piszę zwłaszcza będąc w wojsku (jeszcze byli gotowi pomyśleć o tym, że zamierzam napisać o swoim pobycie w armii).
- A co piszesz? – zainteresował się Rafał – jakieś erotyczne?
- Nie. Raczej połączenie rzeczywistości ze światem fantazji.
- Dasz poczytać? – zapytał i nie czekając na moją odpowiedź dorzucił – może chcesz zostać pisarzem w wojsku?
- Pisarzem?
- Chodzi o pisanie rozkazów dziennych, różnych druków i takich tam pierdół.
- Nie. Mam brzydki charakter pisma. Czasami sam nie mogę przeczytać swoich bazgroł.
- Jak chcesz – rzekł Rafał rozpięty wygodnie na krześle – dziewczynę masz?
- Nie mam. Przed wojskiem nie rozglądałem się za bardzo – dodałem tonem usprawiedliwienia.
- Faktycznie, czasami lepiej poczekać - powiedział Rafał – Masz jakieś rodzinne problemy? Rozumiesz, ojciec alkoholik, matka w szpitalu, te sprawy.
- Rodzinne? Nie, nie mam. Z rodziną wszystko w porządku. Ojciec jest na rencie, matka pracuje jako kaletnik.
- A co zamierzasz robić po wojsku?
- Nie wiem jeszcze – odpowiedziałem – tam nie za bardzo jest po co wracać. Chyba tutaj w Warszawie zostanę.
- Masz racje – powiedział Rafał wstając z krzesła i chowając notes do szuflady. W czasie rozmowy cały czas coś w nim notował. - Tutaj w Warszawie są znacznie większe perspektywy.

Jeszcze przez moment porozmawialiśmy o Bieszczadach (Rafał był tam w zeszłym roku na wakacjach) a później obydwaj wyszliśmy z sali podoficerskiej.

Zastanawiając się nad tym całym „przesłuchaniem” wolno przespacerowałem się przed długi korytarz. Jakiś młody żołnierz siedział w kucki i podpierawszy się plecami o ścianę pucował buty. Zobaczywszy moją markotną minę zwołał:

- Facet! Co się martwisz? Pierdol wszystko i się śmieję, wstaniesz rano będzie mniej!
- Dzięki - zaśmiałem się w odpowiedzi. Mniej ale do czego - pomyślałem sobie. Wojsko to tylko krótka przerwa w życiorysie. A co dalej? Prawdziwe życie zaczyna się dopiero po wojsku. Zamierzałem znaleźć w Warszawie pracę i wybrać się na studia. Zdawałem sobie sprawę, że nie będzie lekko. Na razie jednak postanowiłem się tym nie martwić. Miałem na głowie większe zmartwienie: pięćset czterdzieści dni w armii.

Wieczorem po kolacji siedzieliśmy w sali i próbowaliśmy się czymś zająć. Rafał mimo tego, że młodych też ścigał to jednak nie był na tym punkcie do tego stopnia świrnięty co Pampers. Dlatego też tego wieczora mieliśmy trochę wolnego czasu.

Wyjąłem więc zeszyt i zacząłem pisać list do rodziny. Oj naprawdę miałem co pisać, ponieważ wiele się wydarzyło od momentu kiedy wyjechałem z domu.

Kilku żołnierzy z sali grało w karty, jeden coś tam czytał, a inny jeszcze zaszywał sobie kieszenie w spodniach (biedaczyna, trochę zmarzną mu ręce tej zimy). Jeszcze jeden kolega kręcił się w tę i z powrotem po sali nie wiedząc co ze sobą zrobić. Z nudów chyba otworzył szafkę i zaczął robić w niej porządek. W pewnym momencie wzrok jego padł na nierozpakowaną paczkę kawy. Wówczas zorientował się, że w tym całym zamieszaniu nie pił kawy co najmniej już od kilku dni. A przecież każdy kto wypija po dwie kawy dziennie jest w pewien sposób od niej uzależniony. Wyjął więc kawę z szafki i położył na łóżku.

- Wiecie co - powiedział - kawy bym się napił.

Koledzy grający w karty popatrzyli się na niego. Widać było, że i oni mają ochotę na kawę.

- No tak, ale jak zagotujesz wodę na kawę? - zapytał jeden z nich.

Odłożyłem zeszyt na łóżko.

- Możemy zrobić grzałkę z żyłek - podsunąłem pomysł - ja mam dwie żyłki.

Żołnierz, który zaszywał kieszenie w spodniach nie był pozytywnie nastawiony do tego pomysłu.

- Przecież wiesz, że używanie grzałki z żyłek jest zabronione. Chcecie żeby kaprale nas zadygali?

- Spoko. Zrobimy to tak, że się nie zorientują - powiedział Marek, właściciel paczki kawy. Mówił mocnym śląskim akcentem tak jakby jego rodzina do trzeciego pokolenia wstecz pracowała w kopalni.

- To znaczy jak?

- Jeden z nas będzie stał przed drzwiami do sali i jak zauważy, że idzie któryś z kaprali to da nam znać. Wtedy schowamy cały sprzęt do szafki zanim którykolwiek wejdzie do środka.

Otworzyłem szafkę i wyjąłem z niej dwie żyłki.

- W porządku, żyłki są - powiedziałem - widziałem, że Sławek ma kubek ze stołówki. Będzie w czym ugotować. Brakuje tylko kabelków. Skąd je wziąć?

Potoczyliśmy wzorkiem po pomieszczeniu, przetrząsnęliśmy szafki ale niestety nic tak banalnego jak kawałek przewodu się w nich nie znajdowało. No a przecież bez tego nie było mowy o zagotowaniu wody na kawę. Zaczęliśmy się zastanawiać nad tym skąd wziąć kawałek drutu. Nic jednak nikomu nie przychodziło do głowy. Przeszliśmy się po innych salach i pytaliśmy czy ktoś ma kawałek przewodu - nikt nie miał (a połowa unitarki to elektrycy). Szukaliśmy nawet w sali wykładowej, magazynku i świetlicy. Nigdzie jednak nie mogliśmy znaleźć kawałka luźnego przewodu. Przez otwarte drzwi do sali w której mieszkali kaprale widać było czajnik elektryczny. Nikt jednak nie mógł znaleźć w sobie tyle odwagi aby się ich zapytać czy można ten czajnik pożyczyc. Poza tym robienie kawy w konspiracji dodawało jej unikalnego i niepowtarzalnego smaku.

Wydawało się nam, że całe nasze ambitne plany spalą na panewce, kiedy coś mi się przypomniało. Wyszedłem z sali i po pięciu minutach wróciłem trzymając w ręce dwa przewody elektryczne. Takie w sam raz do zrobienia grzałki z żyłek.

Koledzy zdziwili się niepomierne.

- Skąd wzięłeś te kable?- pytał Marek.

- Przypomniało mi się, że małe drzewka koło baraku są przymocowane drutami do wbitych w ziemię żerdzi, więc odkręciłem stamtąd trochę tych kabli.

- Świetnie - klasnął w ręce Marek - no to robimy grzałkę!

Po kilku minutach grzałka z żyłek była już gotowa. Jeden z kolegów, ten który do tej pory zaszywał kieszenie w spodniach wyszedł na czaty przed salę. Przynieśliśmy z łazienki wodę w plastikowym kubku i zaczęliśmy gotować wodę. Z początku wiązało się to z pewnymi niedogodnościami ponieważ cały czas ktoś musiał przytrzymywać kable przy gniazdku. Później jednak zagięliśmy te kable w ten sposób, że trzymały się same i nie wypadały.

Po zagotowaniu wody w kubku wyjmowaliśmy z niego grzałkę i wsypywaliśmy kawę a następnie cukier. Wolno to szło bo mieliśmy tylko jeden kubek. Każdy musiał czekać na swoją kolejkę.

W pewnym momencie wszedł do sali żołnierz, który stał na czatach i podenerwowanym głosem powiedział.

- Uwaga! Pampers łązi po korytarzu!

Sławek który w tym momencie gotował wodę na kawę dla siebie wyjął grzałkę z kubka i próbował cały ten sprzęt schować w szafce. Zrobił to jednak tak niefortunnie, że doszło do zwarcia i światło w sali zgasło. Kubek z gorącą wodą wyleciał mu z ręki i upadł na podłogę. Połowa tej wody wylała się na łóżko. Ktoś zapalił zapalniczkę i zrobiło się trochę widniej. Otworzyłem drzwi na korytarz aby zobaczyć gdzie jest Pampers. Światło na korytarzu również nie świeciło się. Z pozostałych sal dobiegały odgłosy wrzawy. Okazało się, że nie ma prądu w całym budynku.

Podoficer zapalił lampę naftową przy stoliku i wyjąwszy małego kluczyk podszedł do metalowej szafki, w której znajdował się licznik na prąd oraz korki.

- Co to za zamieszanie? - zawołał widząc szwędających się po korytarzu żołnierzy. - wchodzą z powrotem do sali! Migiem!

Żołnierze weszli więc do swoich pomieszczeń.

Podoficer otworzył szafkę, wcisnął korek i we wszystkich salach oraz na korytarzu zabłysło światło. Rozległy się okrzyki radości.

Pampers wyszedł z sali podoficerskiej i zakładając pas wołał.

- Unitarka! Na korytarzu, w dwuszeregu zbiórka! Wolniej się ruszają! Wolniej!

W kilka chwil cały stan osobowy stał na korytarzu.

- Co jest, kurwa dziatki! Kto zrobił zwarcie?

Ja i moi koledzy z sali milczeliśmy, mając nadzieję, że w żaden sposób nie zorientuje się, że to my.

- Pewnie zrobiliście grzałkę z żyłek i wyjechało korki!

Spojrzałem na Sławka, ten pochylił się i szepnął mi do ucha.

- Wywaliłem grzałkę przez okno, leży w śniegu.

Odetchnąłem z ulgą. Miałem nadzieję, że Pampersowi nie będzie się chciało wychodzić na zewnątrz.

Pampers widząc, że nikt nie kwapi się do odpowiedzi, rzekł do Rafała.

- Przypilnuj ich żeby się nie ruszali a ja rozejrzę się po salach.

Najpierw zajrzał do jedynki. Chwilę go nie było. Wyszedł z niej i nic nie znalazł. Później wszedł do naszej sali. Dobiegło stamtąd głośne przekleństwo. Pampers wyszedł na korytarz i wołał.

- Kto tutaj mieszka?!

Podnieśliśmy ręce do góry.

- Do sali! - krzyknął.

Pobiegliśmy w te pędy do sali.

Bombardier Pampers wodził po nas triumfalnym wzrokiem. Otworzył szafkę, pokazał palcem otwartą paczkę kawy i jeszcze gorący kubek. Wskazał również parującą plamę na kocu.

- Czym gotowaliście wodę - zapytał. - gdzie jest ta grzałka?

Marek widząc, że nie ma już sensu udawać, powiedział.

- Wyrzuciliśmy przez okno. Chcieliśmy się napić kawy bo tutaj na stołówce nie dają a do kantyny wyjść nie można.

- Kawy chcieliście się napić? - wołał Pampers oburzony - a w bani wam się nie polasowało? To co robicie jest wbrew przepisom BHP. Mogliście wywołać pożar!

Do sali wszedł Rafał.

- Dzwoni oficer dyżurny, pyta co się stało.

- Zrobili śpięcie bo używali grzałki z żyłek - odpowiedział Pampers.

Rafał wyszedł z sali i za moment znowu się w niej pojawił.

- Oficer dyżurny chce żebyście się do niego zgłosili - powiedział patrząc na nas groźnie - ubierajcie się w panterki idźcie przed dyżurkę, tylko pamiętajcie jak my będziemy mieli z tego powodu nieprzyjemności to wy też dostaniecie w cye.

W chwili później staliśmy przed dyżurką oficera. Jeden spoglądał na drugiego i nie wiedział czy się bać, czy się śmiać. W sumie nic takiego się nie stało, ale wiadomo jak na to zareaguje oficer?

Tymczasem oficer wyszedł z dyżurki, zbiegł po schodach i zatrzymał się przed nami.

- To wy gotowaliście wodę grzałką, z żyłek? – zapytał groźnie.

W odpowiedzi pokiwaliśmy głowami.

- No to idźcie do podoficera na dywizjonie. Niech wam wyda sztychówki i macie skuć lód przed dyżurką. Zrozumiano?
- Tak jest! – zawołaliśmy chórem.

Odetchnąłem z ulgą. Spodziewałem się jeszcze gorszych rzeczy; jakichś pompek dzampingu albo biegu na trzy kilometry. Kiedy jednak spojrzełem na warstwę lodu pod nogami zrzęda mi mina. Miejscami miała ona ze trzy centymetry grubości i w ogóle dużo tego było.

Podoficer wydał nam szpadle a my śmiejąc się z całego zajścia zabraliśmy się do kucia lodu. Przed dziesiątą przyszedł oficer i nakazał nam wracać do baraku.

Później była tradycyjnie toaleta, pucowanie butów i capstryk. I tak zleciał pierwszy dzień pobytu w wojsku, dodajmy zresztą, że pełen wrażeń. Przypomniałem sobie to co powiedział kapral Olszewski „Pierdol wszystko i się śmiej, wstaniesz rano będzie mniej”.

I z tą oto kwintesencją dnia przyłożyłem głowę do poduszki. Tej nocy spałem dobrze. Śniła mi się kawa z ekspresu.

Koniec rozdziału czwartego

Rozdział V

Dzielny wojak Kapsel

Tygodniowy okres kwarantanny na szczęście dobiegał już końca. Na szczęście, ponieważ nie biorąc udziału w żadnych ćwiczeniach czy też musztrze nudziliśmy się niesamowicie. Tak naprawdę jedyną rozrywką było wyjście na obiery gdyż właśnie tam, z dala od starego wojska można się było do woli nagadać i przynajmniej trochę pośmiać.

Najczęściej opowiadano sobie historie o tym jak spędziło się ostatnie wakacje, co bardziej dowcipni opowiadali kawały, ale większość z nas snuła na głos swoje plany na to, czym się zajmiemy po wyjściu z wojska.

Poza tym relaksującym zajęciem mieliśmy również i inne, przysparzające jednak pewnych dawek stresu, takie jak: sprzątanie sal po uprzednim wysypaniu kilku wiader piachu na podłogę albo ścielenie łóżek do pierwszej w nocy, po którymś tam pilocie z kolei. Szczególnie Pampers specjalizował się w przeprowadzaniu niespodziewanych nalotów do późnych godzin nocnych. Może chciał chłopak trafić do lotnictwa a tu masz ci los MON wziął go do raketówki.

Przy okazji wyjaśnię skąd się wzięła ksywka „Pampers”. Otóż została ona nadana przez żołnierzy z dywizjonu ponieważ, jak mówili „wygląda jak dzidzius z włożoną między nogi pieluchą”. Kiedy się tak spojrzano na niego z boku to trudno było się oprzeć trafności tego porównania. Naprawdę nazywał się Pawlicki i pochodził z Bydgoszczy.

Co się tyczy zajęć służbowych to kuliśmy regulaminy, teorię strzału i rzutu granatem. Uczono nas również jak należy się zachowywać w różnych sytuacjach na terenie jednostki, ze szczególnym uwzględnieniem oddawania honorów. Odbyliśmy także spotkania z dowódcą jednostki oraz oficerem wychowawczym, którzy kategorycznie sprzeciwiali się takiemu zjawisku jak fala i namawiali nas do informowania ich o każdym zauważonym tego typu zachowaniu. Podniosło nas to trochę na duchu ale nie do końca. Przecież jak doniesiesz coś na dziada to okrzykną cię drewniakiem i będą się na tobie mścić. Więc lepiej było to traktować jako ostateczność.

Co niektórzy amatorzy mocnych trunków zdążyli już zorientować się którą wiedzie droga do najbliższej meliny w wiosce i przemierzali ten szlak regularnie co wieczór. Wódkę pili się najczęściej po capstrzyku w pełnej konspiracji. Przyznam szczerze, że i ja z tego całego stresu, bez skrepowania parę luf sobie pociągnąłem.

Lizus Pantera już piątego dnia wyjechał na przepustkę do domu, bo miał jakąś pilną sprawę (podobno przyjechał wujek z Kanady i chciał mu zapisać spadek). Po powrocie z przepustki, ostro skacowany (cały spadek dostała siostra) zaniósł kapralom cztery flaszki wódki za to, że zgodzili się na to aby opuścić jednostkę. Wprawdzie kaprale popijali sobie z nudów wieczorami, ale takiej dostawy świeżego towaru już dawno nie mieli.

No i wtedy się zaczęło.

Jak wiadomo przykład zawsze idzie z góry. Najpierw spili się kaprale a później, widząc że już nikt nie kontroluje sytuacji, zaczęli pić żołnierze z unitarki. Tak naprawdę bano się tylko oficera dyżurnego, ale podobno tego dnia służbę pełnił jakiś chorąży, który również lubił zajrzeć do kieliszka.

Tego wieczora, gdziekolwiek bym nie wszedł, wszędzie śmierdziało wódką. Nawet na korytarzu płatali się mocno już wstawieni żołnierze. Zawsze sobie myślałem, że w wojsku panuje rygor i dyscyplina, a tu tymczasem wszyscy rozpuścili się jak dziadowski bicz.

Około pierwszej w nocy Pampers mający już mocno w czubie, zataczając się wpadł do sali numer jeden. Żołnierze odpowiednio wcześniej uprzedzeni, że bombardier Pawlicki szwenda się po korytarzu zdążyli pochować przyniesione z meliny flaszki. Paru nawet wpakowało się do łóżek i udawało, że śpią.

Pampers otworzywszy z hukiem drzwi podszedł do pierwszej z brzegu szafki i niedbałym ruchem rzucił na nią dwadzieścia złotych.

- Jeden z was leci po flaszkę na metę. Nie obchodzi mnie kto. Za pół godziny flaszka ma być. Jasne, dziadki?!

Nikt żołnierzy nie był zachwycony taką propozycją, jednak któryś z nich odpowiedział, że wszystko w porządku i że flaszka za pół godziny będzie. Pampers chwiejąc się na nogach wyszedł z sali. Po prawdzie całkiem nieźle sobie dogodził i mógłby już poprzestać, ale najwidoczniej złapał fazę.

Nikt specjalnie się nie kwapił, aby o tej porze ubierać się w moro i lecieć na melinę. Doszło nawet do ostrych sprzeczek, ponieważ każdy szukał jakiegoś wykrętu. Ostatecznie postanowiono, że zostanie to rozstrzygnięte na drodze losowania.

Chciał, nie chciał padło na Kapsla. Wszyscy w sali zaczęli jednak wątpić w to, czy Kapsel poradzi sobie w tej niezwykle ważnej i niebezpiecznej misji. Powszechnie bowiem było wiadomo, że chłopak jest zakręcony jak słoik dżemu i jeszcze nie daj Bóg przepadnie gdzieś w lesie jak kamfora.

Kapsel słysząc te głosy uznał, że urażono jego ambicję i twardo postanowił, że do meliny pójdzie i tą cholerną flaszkę wódki przyniesie. Wobec takiego zdecydowania koledzy z sali już nie oponowali, tylko wytłumaczyli mu, jak do tej meliny trafić.

Kapsel ubrał się w moro, założył panterkę, włożył kasę do kieszeni i z miną twardziela wyskoczył przez okno. W parę chwil później leżał z głową w śniegu bo zaczepił nogą o jakąś wystającą z śniegu deskę. Podniósł się, nałożył okulary na nos i z mocnym postanowieniem, że się nie podda, podbiegł w stronę lasu.

Kiedy znalazł się między drzewami ogarnął go niepokój. Niebo było zachmurzone i ponure, a księżyc świecił słabo. Kiedy biegł przez las bał się, że natknie się na jakiegoś wartownika, chociaż zapewniano go, że tamtędy nie chodzą. Nie był przyzwyczajony do takich spacerów. W domu najczęściej spacerował po krakowskiej starówce. Do lasów nigdy go jakoś nie ciągnęło. Postanowił jednak nie lękać się lecz skoncentrować się na wykonaniu zadania. Zamierzał udowodnić, że on, Kapsel, nie jest taką ofermą za jaką go uważano.

Na szczęście po kilku minutach marszu las skończył się i oddali pojawiły się światła pogrążonej we śnie wioski. Do meliny można było trafić bez najmniejszego problemu. Wystarczyło tylko iść za śladami w śniegu, które dziś były bardzo liczne.

Kapsel przeszedł więc przez ogrodzenie i pobiegł w kierunku wioski. Po drodze wyminął się z jakimś żołnierzem z dywizjonu, którego stare wojsko wysłało po wódkę. Ten opisał mu dokładniej jak trafić do meliny i przestrzegł go przed tym, że w melinie jest Bzdawka i jeszcze

jeden starszy falą żołnierz. Wprawdzie poza jednostką fala nie obowiązywała, ale co z tego skoro trzeba było do tej jednostki wrócić.

Wydeptane w śniegu ślady wiodły do drewnianej chaty mieszczącej się na obrzeżach wioski. Chata rzeczywiście wyglądała niechlujnie, jak na prawdziwą melinę przystało. Kapsel kupił wódkę od jakiegoś mocno podchmielonego faceta, włożył ją za pazuchę i zabrał się do powrotu. Poczul przy tym dużą ulgę oraz satysfakcję z dobrze wykonanego zadania. Teraz wystarczyło tylko bezpiecznie zanieść tę flaszkę do jednostki.

Kiedy wychodził za węgła chałupy usłyszał głos Bzdawki.

- Ile tam kurwa idzie!?

Kapsel trochę już zaznajomiony z falowymi zwyczajami krzyknął:

- Pięćset czterdzieści! Kosmos!

Rozległ się rechotliwy śmiech starych żołnierzy.

- Młoda kita, ale czai bazę! – pochwalił go Bzdawka- choć no tutaj, kocie!

Kapsel przestraszony nie na żarty podszedł do dwóch żołnierzy.

- Co, kaprale wysłali cię po wódkę? – pytał Bzdawka

- Tak. Na unitarce wszyscy piją- odparł Kapsel dokładniej chowając flaszkę wódki. Bał się, że Bzdawka może ją zabrać.

- Drewniaki jedne! – wołał Bzdawka. Jak prawie każdy idący falowo żołnierz w stopniu kanoniera nie lubił kaprali. – Napykało im na pagony !

- Kazali iść to poszedłem – powiedział skromnie Kapsel.

- Wyjmij flaszkę i ze starym wojskiem się napij – mówił drugi żołnierz – Wiesz ile taki Pampers ma dzisiaj do wyjścia? Trzysta pięćdziesiąt. Wiesz ile to jest? W chuj!

- Co z rezerwą się nie napijesz? – podpuszczał Bzdawka.

Ostatecznie doszło do tego, że Kapsel najpierw napił się ich wódki a kiedy się już skończyła czuł się w pewien sposób zobowiązany wyjąć tą która była przeznaczona dla Pampersa. A dodać trzeba, że była to litrowa flaszką.

Ponieważ było zimno skryli się w jakiejś szopie i tam sobie dalej popijali. W pewnym momencie Bzdawka stwierdził, że on stary żołnierz czuje taką potrzebę aby nauczyć Kapsla musztry indywidualnej. Ponieważ wszyscy mieli równo w czubie śmiali się z tego ile wlezie, łącznie z Kapslem. Wódka skończyła się i towarzystwo postanowiło się rozejść. Bzdawka i jego kolega zdecydowali się odwiedzić jakąś znajomą dziewczynę we wsi a Kapsel zataczając się na nogach, z ciężkim sercem bo przepił flaszkę, ruszył w kierunku jednostki.

Coś mu się jednak pomyliło i wszedł na teren jednostki w zupełnie innym miejscu niż wcześniej. Będąc nieźle pijanym nie mógł znaleźć drogi do baraku. W pewnym momencie idąc przez las usłyszał mrozące krew w żyłach wołanie:

- Stój! Służba wartownicza! Kto idzie?!

Równocześnie rozległ się szcęk przeładowywanego zamka karabinu. Kapsel stanął jak wryty. Strach prawie odebrał mu mowę.

- To ja Kapsel – wyjąkał – żołnierz z unitarki.

Wartownik podszedł do niego i zobaczywszy, że faktycznie ma przed sobą żołnierza z kompani szkolnej zawołał.

- Kito jedna, gdzie się tutaj płaczesz! Wiesz jakiego napędziłeś mi stracha? ! Przecież mogłem cię zastrzelić!

Kapsel dopiero teraz poczuł, że dygoczą mu nogi.

- Kurde, zabłądziłem w tym cholernym lesie! Pampers wysłał mnie po wódkę. W tamtą stronę trafiłem bez problemu a z powrotem już nie!

- Zamknij się kocie, bo oficer miał wyjść na kontrolę! – strofował go wartownik. – Dzisiaj oficera ma Kamiński a on zawsze wychodzi na kontrolę.

Kapsel uspokoił się. Rozejrzał się bezradnie dookoła i zapytał.

- Nie wiesz jak trafić na unitarkę?
- Zaprowadzę cię – rzekł wartownik wspaniałomyślnie – jeszcze się nadziejesz na innego wartownika.
- Dzięki – powiedział z ulgą Kapsel.

Rozmawiając cicho ruszyli szeroką drogą utworzoną z betonowych płyt. Tuż za bramą ogradzającą teren strefy od koszar zamigotało światło latarki. W chwilę później furtka w bramie otworzyła się i snop światła padł na wartownika oraz stojącego obok niego młodego żołnierza.

- O kurwa! Oficer! – zaklął wartownik.

Zgodnie z regulaminem powinien teraz odegrać szopkę polegająca na osoby, która wtargnęła na posterunek.

- Służba wartownicza! Stój! Kto idzie?! – krzyknął.
- Oficer dyżurny na kontrole! – usłyszał w odpowiedzi.
- Oficer dyżurny podejść do rozpoznania! Pozostałe osoby pozostać na miejscu! – wydał komendę wartownik.

Jedna z widocznych w pobliżu bramy postaci zaczęła zbliżać się do wartownika. Kiedy znalazła się w odległości kilku metrów od niego wartownik zawołał:

- Stój! Oświetlić twarz!

Oficer dyżurny przejechał po twarzy snopem światła.

- Rozpoznałem. Droga wolna!

Dwaj stojący za bramą żołnierze zaczęli iść w kierunku wartownika.

- Co to za żołnierz? – zapytał oficer wskazując na Kapsła.
- To jakiś młody z unitarki – powiedział wartownik zawieszając karabin na ramieniu- Zgubił się w lesie.
- Dlaczego nie meldowałeś na dyżurkę? – pytał chorąży Kamiński.
- Zatrzymałem go dosłownie przed momentem – odparł wartownik – dosłownie dwie minuty temu.
- Nazwisko – zwrócił się oficer do Kapsła. Otworzył wojskową raportówkę i wyjął z niej notes.
- Marcin Jankowski – powiedział Kapsel – kanonier Maciej Jankowski – poprawił się.
- Z unitarki jesteś?
- Tak.
- Co tutaj robisz? Wiesz, że nie wolno wam wychodzić z baraku a co dopiero wejść na teren strefy?

Kapsel milczał.

- Pewnie kaprale z unitarki wysłali go po wódkę – odezwał się dowódca warty.
- Wysłali cię po wódkę? – pytał chorąży.

Kapsel jednak nie odzywał się. Wręcz bał się nawet pomyśleć o tym co by się stało gdyby powiedział, że to Kapsel kazał im iść po wódkę.

- Dobra idziemy na dyżurkę – powiedział chorąży chowając notes do raportówki.

Kapsel bał się panicznie. Nie wiedział co teraz z nim będzie. Z jednej strony oficer a z drugiej Pampers i koledzy z sali. Znalazł się między młotem a kowadłem. Czuł również żal do samego siebie, że się nie sprawdził, że nie potrafił nawet głupiej flaszki wódki przynieść z meliny. A tak bardzo zależało mu na tym aby pokazać, że nie jest taką ofermą za jakiego go uważano.

Kiedy znaleźli się w dyżurce oficer złapał za telefon i zadzwonił na unitarkę

- Kto ma dzisiaj służbę – zapytał dyżurnego, który zgłosił się po drugiej stronie.
- Kapral Olszewski – odpowiedział dyżurny.
- Niech podejździe do telefonu!

Po chwili zameldował się Olszewski

- Kapralu – mówił chorąży – żołnierz z unitraki Marcin Jankowski do czyjej należy drużyny?
- Do Pawlickiego.
- To mu powiedz żeby sobie po niego przyszedł. Został zatrzymany przez wartownika na strefie.
- O cholera! – zawołał Olszewski – musiał wyskoczyć przez okno.
- Nie obchodzi mnie to. Nie umiecie upilnować żołnierzy. Jutro cała służba dyżurna z unitarki, Pawlicki i kanonier Jankowski do raportu do dowódcy jednostki.

Nie czekając na to co powie Olszewski rzucił słuchawkę na widełki.

Pampers pojawił się na dyżurce już po dziesięciu minutach. Wciąż pijany miał rozkojarzone spojrzenie, jakby nie do końca zrozumiał co się właściwie stało. Wiedział tylko, że z tą przepustką na którą zamierzał wyjechać za dwa tygodnie może się już pożegnać. Zebrał parę „jobów” od oficera dyżurnego i razem z śmiertelnie przestraszonym Kapslem wyszedł z dyżurki.

Kiedy zbiegali ze schodów spojrzął na Kapsla i powiedział.

- No kocie! Teraz to masz naprawdę kurwa przejebane!

Koniec rozdziału piątego

Rozdział VI

Strzelanie

Kwarantanna dobiegła końca. Kojarzyła nam się ona z okresem nudy, beczynności sprzątania rejonów oraz zakuwania regulaminów. Wszyscy mieliśmy tego dosyć i z utęsknieniem czekaliśmy na to aż w końcu coś zacznie się dziać (ile w końcu można jeździć na szmacie?).

Zgodnie z planem zajęć, drugi tydzień służby w wojsku mieliśmy zacząć od strzelania. Nie mogłem się doczekać tego zajęcia ponieważ wydawało mi się ono jednocześnie i takie męskie, i takie wojskowe.

Strzelanie miało się odbyć po drugim śniadaniu i prawie wszyscy żołnierze w związku z tym byli niezwykle rozentuzjasmowani i podnieceni. W końcu jakby nie było, mieliśmy dostać do ręki prawdziwy karabin, taki co to go używano na wojnach a nie jakąś sportową pukawkę.

Wszyscy żołnierze byli tym niezwykle podekscytowani. Prawie wszyscy, ponieważ na przykład koledzy z sali numer jeden chodzili jacyś markotni i wystraszeni. To dlatego, że Pampres dał im tej nocy niezły wycisk za ten cały incydent ze złapaniem Kapsła przez wartownika i dzisiejszej nocy zapowiedział powtórkę z rozrywki.

Najbardziej jednak zasmucony był Kapsel, ponieważ dowódca unitaki przestraszył go, że może nie wyjechać na przepustkę po przysiędze. Wszyscy pocieszali zagubionego w armii i wrażliwego kolegę z Krakowa, że to nie możliwe, że żołnierz po przysiędze musi wyjechać na przepustkę i basta. Kapsel jednak zdawał się nie dawać wiary tym zapewnieniom. Zamknął się w sobie, stał się markotny i małowówny. Koledzy z sali w której mieszkał obawiali się, że może sobie zrobić jakąś krzywdę...

Ostatecznie sprawa samowolnego oddalenia się nie trafiła aż do samego dowódcy jednostki ale postanowił się nią zająć dowodzący kompanią szkolną porucznik Bielecki. Zadecydował on, że winę za to, że nie upilnowano młodego żołnierza ponosi nie Pampres ale pełniący wówczas służbę podoficera dyżurnego kapral Olszewski. Ukarano go dodatkową służbą w najbliższy weekend co praktycznie oznaczało, że nie będzie mógł wyjechać na przepustkę, którą sobie na ten czas zaplanował. Najwidoczniej bardzo mu na niej zależało ponieważ od tego momentu stał się dla Kapsła szorstki i przesadnie wymagający.

Ogólnie rzecz biorąc nikomu ten wypad do meliny nie wyszedł na dobre. Nawet Bzdawka zatruł się pędzoną w melinie samogoną i co pięć minut ganiał do kibla (bynajmniej nie po to aby czytać Polskę Zbrojną).

Wydawanie broni rozpoczęło się po drugim śniadaniu. Wychodzący na strzelanie żołnierz otrzymywał kałasznikowa, ładownicę, cztery puste magazynki oraz tak zwany przyborek, który służył do czyszczenia broni w trudno dostępnych miejscach. Dostawało się ten cały sprzęt ze znajdującego się w baraku magazynie uzbrojenia. Broń wydawał kapral Olszewski, który dbał o to aby każdy żołnierz otrzymał komplet wyposażenia i pokwitował to złożeniem podpisu.

Wziąłem kałasznikowa do ręki i stwierdziłem, że jest zdumiewająco lekki. Zaskoczenie to wzięło się chyba stąd, że wcześniej trzymałem karabin w ręce kiedy jeszcze chodziłem do podstawówki. Wtedy był on dla mnie nazwijmy to tak „ciekawostką techniczną”. Teraz patrzyłem na niego jak na narzędzie do zabijania ludzi. W wojsku używało się terminu

„niszczenie siły żywej przeciwnika”, ale przecież wszyscy zdawali sobie z tego sprawę co się pod tym kryje. Mimo tego, że w przyszłości osiągałem całkiem niezłe wyniki w strzelaniu to jednak zawsze z pewną niechęcią spoglądałem na karabin. Z drugiej strony gdyby wszyscy mieli takie poglądy, to nie miał by kto bronić polskich granic.

Po zakończeniu wydawania broni podoficer zamknął magazyn uzbrojenia i na rozkaz porucznika Bieleckiego zarządził zbiórkę na korytarzu. Włożyliśmy magazynki do ładownicy, nasunęliśmy ładownicę na pas i zarzuciwszy karabiny na plecy wyszliśmy na korytarz. Panowało tam duże ożywienie. Wszyscy rozmawiali o zbliżającym się strzelaniu.

Olszewski wydał parę ostrych komend i po chwili staliśmy na zbiórce. Porucznik Bielecki powiedział parę słów na temat bezpieczeństwa posługiwania się bronią oraz obiecał, że najlepsi strzelcy dostaną kilkudniowe urlopy.

Ustawiliśmy się w dwuszeregu przed barakiem a następnie pod komendą Olszewskiego ruszyliśmy kolumną w kierunku strzelnicy. Zimno było jak cholera. Co najmniej minus piętnaście stopni. Na szczęcie idący na przedzie kolumny Olszewski narzucił takie tępo, że po dziesięciu minutach marszu przez las wszyscy ocierali pot z czoła.

Oprócz karabinów co niektórzy dostali także inny sprzęt do niesienia, np. granaty ćwiczebne, amunicję, apteczkę. Miałem tego pecha, że przyszło mi nieść jakiś metalowy stojak, który ważył co najmniej dziesięć kilo. Niosąc to żelastwo nie mogłem się doczekać aż w końcu dojdziemy na miejsce.

Idąc wzdłuż ogrodzenia z kolczastego drutu, doszliśmy aż na sam skraj jednostki. Między drzewami widać było zaśnieżone pola, prowadzącą do Warszawy drogę oraz zabudowania wioski. Tam była wolność. Nie jeden popatrzył w tamtym kierunku z utęsknieniem. Kiedy żyło się w cywilnym świecie ta wolność wydawała się czymś naturalnym. Nie umiało się jej docenić. Mogłeś iść w prawo, w lewo, pójść gdzie zechcesz. Nikogo nie musiałeś pytać o pozwolenie. Potrafisz to docenić dopiero wtedy gdy ta wolność zostanie ci odebrana. Może to i dobrze, ponieważ właśnie wtedy jesteś w stanie stwierdzić, że ona istnieje i że ma swoją wartość, dokładnie tak jak powietrze którym oddychamy w ogóle o nim nie myśląc.

Po dojściu na strzelnicę zostaliśmy podzieleni na kilka grup. Każda z tych grup przechodziła odrębne ćwiczenia. Olszewski prowadził szkolenie z zakresu przyjmowania prawidłowej postawy strzeleckiej, Rafał uczył rzutu granatem a Pampers pokazywał jak składać i rozkładać kałasznikowa oraz w których miejscach należy go czyścić po strzelaniu. Po pewnym czasie następowały zmiany grup.

Kiedy pierwsza grupa zajęła stanowiska strzeleckie i zaczęła strzelać to myślałem, że dostanę zawału serca. Niby taka cisza, cisza, wokoło szumią drzewa a tu ni stąd, ni z zowąd strzał, huk i gwizd w uszach. Najgorsze było to, że nigdy nie dało się tego przewidzieć i co strzał to aż cię podrywało, z tego nazwijmy to tak umownie „strachu”. Dziwiłem się trepom i starym żołnierzom, że ten huk nie robi na nich żadnego wrażenia. Po dwóch godzinach przebywania na strzelnicy i słuchania tej kanonady sam przestałem reagować na huk.

Generalnie rzecz biorąc wszystkie te szkolenia poza samym strzelaniem do celu były cholernie nudne więc, nie będę ich opisywał. Każdy stał, tupał nogami z zimna machał rękoma i wykonywał te ćwiczenia tylko po to aby być w ruchu i nie zmarznąć. Najciekawiej było na szkoleniach prowadzonych przez Pampersa bo przynajmniej coś się działo. Co chwilę ktoś biegał robił przysiady albo zasuwał dżampingiem. Pampers stosował szeroko rozpowszechnioną w wojsku metodę „przez nogi do głowy”.

Ostatecznie i ja przebrnąłem przez wszystkie warianty szkoleń i wraz z czterema innymi kolegami ustawiłem się naprzeciw stanowisk strzeleckich. Na głowie miałem hełm – ciężki i żelazny baniak, który z każdym ruchem głowy przesuwiał się z boku na bok. Jakiś kapral

z dywizjonu podszedł do każdego z nas i wręczył nam po pięć sztuk amunicji. Odpowiednio wcześniej poinstruowany włożyłem naboje do magazynka i wsunąłem go do ładownicy. Porucznik Bielecki widząc, że wszyscy już załadowali magazynki wydał komendę:

- Baczność! Naprzód marsz!

Po przejściu kilku kroków na kolejną komendę zdjęliśmy karabiny z pleców i położyliśmy się na oblodzonych gumach przed którymi znajdowały się podpórki na broń. Ponieważ w wojsku wszystko robi się na komendę, czekaliśmy na dalsze rozkazy.

- Załaduj broń! – zakomenderował porucznik Bielecki.

Obróciłem się na prawy bok i wyjąwszy pusty magazynek położyłem go na kolanie a w jego miejsce podpiąłem załadowany pięcioma sztukami amunicji. Następnie włożyłem pusty magazynek do ładownicy. Ta prosta z pozoru czynność była tak naprawdę cholernie stresująca, ponieważ gruba odzież, przekręcający się na głowie hełm, siarczysty mróz, to wszystko powodowało, że człowiek miał ochotę wstać i rzucić to całe żelastwo o ziemię. Za plecami stał porucznik Bielecki i natychmiast opieprzał każdego kto wykonał jakiś „falszywy” ruch.

W końcu padła komenda do strzelania. Chwila ciszy i z pierwszego stanowiska dobiegł huk wystrzału. I znowu gwizd w uszach. Później znowu chwila ciszy i znowu huk wystrzału. Czekałem, aż wypadnie moja kolej. Widząc, że kolega z prawej strony strzelił, przyparłem karabin do podpórki i zacząłem celować. Sztuka polegała na tym, aby muszka znajdowała się po środku szczerbinki i wskazywała dokładnie pod cel. W tym momencie należało oddać strzał. Pamiętam, że bardzo się bałem strzelić, gdyż myślałem sobie, że może wybuchnąć komora naboju albo że ogłuchnę od tego huku. Przecież moje ucho znajdowało się zaledwie kilka centymetrów od komory naboju w której wybuchały pociski. Na dodatek hełm zjeżdżał mi na oczy a stojący za plecami oficer krzyczał na mnie żebym się sprężył bo innym kolegom „jaja przymarzają do ziemi”. Przycisnąłem więc mocniej karabin do podpórki i nacisnąłem spust. Poczulem „kopnięcie” karabinu, niesamowity huk i po chwili do moich zmysłów dochodził jeden przeciągły gwizd w uszach.

- Następny – posłyszałem komendę wydaną przez Bieleckiego.

I znowu czekałem na swoją kolej i znowu oddałem strzał i tak pięć razy pod rząd.

Zawiodłem się trochę na strzelaniu ponieważ, myślałem sobie, że to coś fajnego i ciekawego a tu tymczasem okazuje się, że to taki stres. Naprawdę wolałbym przez pięć godzin nosić worki z cementem niż przejść jeszcze jedno takie strzelanie. Tak, było to jedno z najbardziej stresujących wydarzeń w wojsku.

Po strzelaniu podeszliśmy do tarcz, aby sprawdzić wyniki. Okazało się, że trafiłem tylko jedną kulą, ale za to w samą siódemkę. Czyżby miało to oznaczać, że w przyszłości zostanę wyborowym strzelcem? Pocieszałem się tym, że inni żołnierze wcale nie wypadli przy mnie lepiej a Kapsel to jakoś nawet dziwnie mierzył, ponieważ kolbę karabinu przykładał do prawego ramienia a celował lewym okiem. Nie wiadomo gdzie poszły te kule. Fakt faktem, że jakimś chłopu na wsi coś podziurawiło bańkę z mlekiem (kaliber się zgadzał).

Siarczysty mróz powodował, że nie mogliśmy się doczekać końca zajęć. Najbardziej nudzili się ci, którzy wykonali już strzelanie i na żadne dodatkowe atrakcje nie mogli już liczyć. Staliśmy więc przestępując z nogi na nogę i czekaliśmy aż ostatnia grupa wykona strzelanie.

Wreszcie tuż przed samym obiadem uformowaliśmy kolumnę i zaziębieni oraz zmarnięci pomaszzerowaliśmy do baraku. Ci co nie trafili do tarczy ani jednym strzałem rozgrzali się dość szybko ponieważ kazano im iść w maskach gazowych. Dzięki temu zabiegowi

wychowawczemu było niemal pewne, że następnym razem będą mierzyć do tarcz o wiele dokładniej.

Po przyjeździe do baraku rozpoczęło się czyszczenie broni. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, że w kałachu jest tyle zakamarków do których dociera brud. Chodziłem do podoficera co najmniej z pięć razy zanim przyjął karabin do magazynu uzbrojenia.

Wieczorem, kiedy kadra wyjechała już z jednostki Olszewski zezwolił nam na wyjście do kantyny. Ucieszyliśmy się gdyż naprawdę tylko tam można się było napić normalnej kawy czy herbaty. To co podawano nam na stołówce raczej przypominało coś pośredniego między kawą, herbatą a kompotem.

Kantyna była jedynym kulturalnym i cywilizowanym miejscem w jednostce. Niewysokie stoliki nakryto czystymi białymi obrusami, na ścianach wisały obrazy i to wcale nie przypominające sceny batalistyczne lecz pejzaże, firanki były koloru kremowego we wzory w kwiatki, za ladą stała miła pani a w tle leciała miła muzyka. Słowem niczym nie różniła się ona od normalnych cywilnych kawiarenek.

Większość żołnierzy kupiła kawę, piwo i słodycze. Wtedy piwa o w ogóle nie piłem więc zamówiłem kawę.

Przysiadłem się do stolika przy którym siedział Sławek. Rozmawialiśmy o dzisiejszym strzelaniu kiedy, podszedł do nas Kapsel i trzymając w ręku butelkę piwa z pewną nieśmiałością zapytał.

- Można?

- Jasne. Siadaj Kapsel! – odpowiedziałem.

Kapsel usiadł za stolikiem, nalał sobie piwa do szklanki i powiedział.

- W cywilu nawet bym o tym nie pomyślał, że taka drobnostka jak picie piwa może tak cieszyć – rzekł upijając odrobinę piwa ze szklanki.

Po jego oczach widać było, że mimo tego iż stara się żartować to jednak jest w nienajlepszym nastroju.

- Słyszałem, że Pampers dał wam niezły wycisk tej nocy - powiedziałem mieszając kawę.

- To głupi prymityw – rzekł Kapsel z ciężkim westchnieniem – sprawdzał porządki aż do trzeciej nad ranem. Zawsze gdzieś znalazł kurz albo brud. Pod koniec czyściliśmy nawet sprężyny w łóżkach bo nawet i tam sprawdzał. Nie jest lekko, nie jest lekko- wzdychał Kapsel.

- Nie przejmuj się - pocieszał go Sławek - jeszcze tylko dwa tygodnie i rozjedziemy się do innych jednostek.

- No tak, ale słyszałem, że później jest jeszcze bardziej przejebane. Zacznie się wnikanie w fale i dopiero wtedy dostaniemy w dupę. Nie jest wesoło, nie jest – biadolił – nie wiem jak ja to wszystko wytrzymam. Całkiem inaczej wyobrażałem sobie wojsko. Ta instytucja jest naprawdę nieźle popierniczona.

- Co robiłeś w cywilu? – zapytał Sławek.

- Co robiłem? Studiowałem architekturę ale nie dostałem się na drugi rok no i pewnego pięknego dnia przyszedł bilecik do wojska.

- Przecież mogłeś dostać urlop dziekański.

- A tam skończyła mi się kasa. Po za tym sam nie wiedziałem czy chce jeszcze studiować czy nie. Na studia poszedłem pod presją rodziny. Rozumiecie, rodzina inteligentka – powiedział ze skrywaną dumą w głosie. W wojsku pełno było tego typu ludzi, którzy coś tam wcześniej próbowali robić, nie udało im się i trafili do armii.

- Mówię wam, że naprawdę mi się tu nie podoba – narzekał Kapsel

- Co na to poradzisz – powiedział Sławek – Pierdol wszystko i się śmieję, wstaniesz rano będzie mniej!
- Nie wiem co zrobić, nie wiem – mówił Kapsel wpatrując się w butelkę piwa – jak tak dalej pójdzie to nie wytrzymam...

W tym momencie do kantyny wszedł Olszewski i nakazał zakończyć to „posiedzenie” ponieważ zbliżała się kolacja. Dopiliśmy napoje, wyszliśmy przed kantynę i pomaszerowaliśmy do baraku. Reszta dnia przebiegała już tradycyjnie, czyli kolacja, rejon, toaleta i capstrzyk.

Tak oto zleciał kolejny dzień w wojsku. Do końca pozostało nie dużo, zaledwie pięćset trzydzieści trzy. Mało!

Koniec rozdziału szóstego

Rozdział VII

Nerwowy dzień

Od momentu zakończenia kwarantanny życie w wojsku nabrało kolorów i stało się bardziej ożywione. Prawie codziennie mieliśmy musztrę, zakuwaliśmy regulaminy, kilka razy odbyły się także zajęcia strzeleckie. Niebywałą atrakcją i wyróżnieniem było dostać się na wyjazd do Wieliszewa. W miejscowości tej znajdował się duży kompleks szklarni, w których hodowano kwiaty na eksport. Jednostka miała podpisany kontrakt z właścicielem kompleksu szklarni, w ramach którego za każdą godzinę pracy żołnierza dostawała złotówkę. Przyznam szczerze, że nie byliśmy najlepiej opłacani, ale prawda jest taka, że każdy tam jechał nie po to, aby pracować w pocie czoła lecz wyjechać z jednostki, pobyć przez chwilę w świecie cywili i nie widzieć tych wiecznie do czegoś przyczepiających się kaprali ze szkółki. Ponadto można było nacieszyć oczy pięknymi i różnobarwnymi kwiatami, co po gapieniu się na dominujące w jednostce szare i ponure kolory, znacznie poprawiało samopoczucie.

Od czasu do czasu można było wyrwać się do znajdującej się na terenie szklarni restauracji. Wtedy to był dopiero prawdziwy luz: kawa, herbata, piwo, gorące i smaczne posiłki i bez żadnego tam „powstań, wstają i wychodzą”. Tak do Wieliszewa chcieli wyjeżdżać bez wyjątku wszyscy ale na raz mogło wyjechać tylko dziesięciu. Nie dotyczyło to Pantery, który częstując kaprali papierosami na każde zawołanie, zapewnił sobie stałe miejsce w ekipie wyjeżdżającej do Wieliszewa.

Najgorsze w wojsku były niedziele. Wprawdzie miało się trochę spokoju ponieważ nie odbywały się żadne zajęcia i można było trochę odpocząć od tej całej bieganiny, z drugiej strony jednak miało się dużo czasu na myślenie, a myślenie w takich warunkach mocno szkodziło. Ogarniała wówczas człowieka melancholia i tęsknota za cywilnym światem. Wprawdzie zdawałeś sobie z tego sprawę, że ten świat czeka na ciebie, ale perspektywa spędzenia półtora roku za ogrodzeniem z kolczastego drutu nie nastrajała cię zbyt optymistycznie. Tęskniło się za rodziną, znajomymi, miejscami w których lubiło się wcześniej przebywać. Oddałbyś cały żołd aby jeszcze raz napić się piwa w swojej ulubionej knajpie. Ale na to trzeba było poczekać. Półtora roku...

Niedziela była także dniem odwiedzin. Do jednostki przyjeżdżały rodziny żołnierzy, ich dziewczyny i znajomi. Odwiedzający przywozili ze sobą domowe jedzenie, ciasta, konserwy i alkohol. Na pewno żołnierzy, których odwiedzano mocno podnosiło to na duchu. Do mnie nikt nie przyjechał bo to kawał drogi z Białki do Warszawy ale pocieszałem się, że nie byłem w tym osamotniony.

Pewnej niedzieli kapralom coś odbiło, i postanowili aby po południu zrobić kilka godzin musztry. W grafiku szkoleń nie było tych zajęć a na dworze panował siarczasty mróz – minus siedemnaście stopni. Byliśmy już na tyle zgraną grupą, że postanowiliśmy na musztrę nie wychodzić. Pampers dowiedziawszy się o tym natychmiast zwołał zbiórkę.

- Co to jest, kurwa, dziadki?! – grzmiał chodząc przed nami. - To jest, kurwa, wojsko! Tu się wykonuje rozkazy. Jutro dowie się o tym Bielecki i będziecie mieli przejebane!
- Przez chwilę nikt nie odpowiadał aż w końcu odezwał się jakiś żołnierz.
- Przecież w grafiku nie ma musztry a w regulaminie jest napisane że niedziela jest dniem wolnym od zajęć.

Pampers podszedł do niego i huknął:

- W wojsku przede wszystkim wykonuje się rozkazy przełożonych a waszym bezpośrednim przełożonym jestem ja! – krzyknął i potoczył groźnym wzrokiem dookoła. – Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania?

Widząc, że nikt nie kwapi się do odpowiedzi wydał polecenie.

- Rozejść się! Za dziesięć minut wychodzimy na musztrę!

Rozeszliśmy się do sal. Jak zwykle w takich sytuacjach doszło do podziału na dwa obozy – zwolenników i przeciwników wyjścia na musztrę. Przeciwnicy wyjścia na musztrę bardziej kierowali się tym, aby pokazać kapralom, że się ich nie boją i mają odwagę się im przeciwstawić natomiast zwolennicy obawiali się nieprzyjemnych konsekwencji w przypadku nie wykonania rozkazu. Tak naprawdę to nie wiadomo co mogli nam za to zrobić. Raczej należało się spodziewać wcale nie lekkich kar ponieważ jak wiadomo rozkaz w wojsku to rzecz święta.

W sali w której mieszkałem, zresztą prawdopodobnie tak jak w innych, wybuchły kłótnie.

- Nie wychodzimy! – wołał kolega z Częstochowy – nic nie mogą nam zrobić. W grafiku nie ma musztry. Ja nie wychodzę!
- Ale jak się o tym dowie Bielecki to będziemy mieli naprawdę przejebane! – protestował ten żołnierz, któremu Pampers kiedyś kazał zaszyć kieszenie w spodniach.
- Co przejebane?! To kaprale będą mieli przejebane. Nie ma żadnych zajęć w regulaminie. Zresztą po co się przejmować. Zostało nam tu tylko dwa tygodnie.
- Ale wiesz jak możemy dostać w dupę przez te dwa tygodnie?! – mówił Pindel, kolega ze Śląska – Nie mówiąc już o problemach z wyjazdem na przepustkę.
- Ciekaw jestem co robią ci z innych sal – powiedział Sławek – zresztą przejdę się i sprawdzę. Wyszedł z sali i po kilku minutach wrócił.
- Z jedyńki nie wychodzą, ci z trójki jeszcze nie wiedzą. Co robimy wychodzimy czy nie?
Na korytarzu rozległo się wołanie Pampersa:
- Unitarka! Na korytarzu w dwuszeregu zbiórka!

Wyszliśmy więc tak jak staliśmy, czyli bez panterek. Okazało się, że tylko żołnierze z piątki przygotowali się do wyjścia na musztrę. Pampers widząc, że większość żołnierzy na ma założonych panterek pokrzyczał trochę, puścił nas dżampingiem przez korytarz aż w końcu powiedział:

- Jutro dowie się o tym Bielecki. Mówię wam, że dostaniecie niezły wpierdol! Rozejść się do sal!

Rozwiązanie tego problemu przeciągnęło się więc do jutra. Oczywiście każdy się trochę obawiał ale biorąc pod uwagę fakt, że jednomyślnie sprzeciwiła się cała unitarka można było liczyć na to, że Bielecki potraktuje to zgoła inaczej niż gdyby zbuntowało się tylko kilku żołnierzy.

Nasza odporność psychiczna została wystawiona na dużą próbę. Zresztą szczerze powiedziawszy była ona poddawana takiej próbie każdego dnia. Do tych specyficznych warunków, które są związane z pełnieniem służby wojskowej każdy z nas przyzwyczajał się we własnym tempie i na swój sposób.

Przeważnie wystarczało do tego tydzień, aby szok i przygnębienie związane z wrzuceniem do zamkniętego wojskowego środowiska minął. Trafiali się jednak żołnierze, którzy potrzebowali na to kilku tygodni jak również i tacy, którzy nie mogli się do tego przyzwyczaić nigdy.

Gwoli ścisłości dodam, że ci ostatni potrafili się przystosować ale swój, specyficzny sposób. Celem, który trzymał ich przy zdrowych zmysłach było załatwienie sobie przedwczesnego

wyjścia z wojska. Jeśli nie powiódł się jeden plan natychmiast pojawiał się kolejny pomysł i tak cały czas aż do całkowitego odbębnienia osiemnastu miesięcy.

Koledzy tacy moim zdaniem mogliby bez najmniejszych problemów dostać się na jakąś akademię medyczną ponieważ wiedzę na temat różnorodnych chorób i ich objawów mieli rozległą i dobrze opanowaną.

Ostatnią grupą byli ci, których służba wojskowa wyraźnie przygniała i praktycznie przez cały czas trwali w depresji. Nie mieli oni jednak dość siły na to aby symulować chorobę i dlatego czasami posuwali się nawet do prób samobójczych. Delikwenci tacy podcinali sobie żyły, niezbyt mocno i zawsze w takich okolicznościach, aby można było ich uratować, zażywali duże ilości tabletek uspokajających ale też tylko wtedy gdy wiedzieli, że w odpowiednim czasie zostaną przewiezieni do szpitala na odtruwanie. Ci zamierzali wyjść na tak zwanego "świra"

Po południu służbę oficera dyżurnego przyjął Rafał Kowalski. Wieczorem, w czasie sprawdzania stanu osobowego okazało się, że nie ma Kapsła. Zaniepokoił się ponieważ Kapsel od kilku dni był wyraźnie przygnębiony i rozstrojony nerwowo. Mało co jadł i często powtarzał, że dłużej już nie wytrzyma.

Rafał dowiedziawszy się, że Kapsła nie ma na unitarce zadzwonił do podoficera na dywizjonie. Podoficer powiedział mu, że widział Kapsła godzinę temu ale nie ma pojęcia gdzie jest teraz.

- Szukajcie go na siłowni, w świetlicy, i w magazynku - wołał wyraźnie podenerwowany. - Może ta menda znowu zasnęła w kiblu!

Żołnierze kilkuosobowymi grupkami rozeszli się poszukiwać Kapsła.

Podszedłem do Rafała i powiedziałem:

- Rozmawiałem ostatnio z Kapsłem w kantynie. Wprawdzie strasznie narzekał na wojsko ale nie do tego stopnia, żeby sobie zrobił krzywdę.

- Wali mnie to - odpowiedział Rafał - jak chce to niech się chlasta ale nie na mojej służbie!

Jak się nie znajdzie do dwudziestej drugiej to dzwonię do oficera dyżurnego i pierdolę to!

Jeden z żołnierzy wybiegł z ubikacji i zawołał:

- Chyba jest w kiblu!

Szybko pobiegliśmy do ubikacji.

W środku znajdowało się już kilku żołnierzy. Drzwi do dwóch kabin były otwarte a do trzeciej zamknięte. Jakiś wysoki żołnierz walił w zamknięte drzwi pięścią i krzyczał.

- Kapsel, kurwa, otwieraj! Wyłaż stamtąd!

- Skąd wiecie, że tam jest? - zapytał Rafał.

- Nie wiadomo czy jest tam na pewno ale przecież drzwi same się nie zamknęły - mówił wysoki żołnierz - a ponadto jest tutaj krew - powiedział wskazując palcem plamkę krwi na podłodze.

Znajdowała się ona tuż pod samymi drzwiami.

- Pierdolony Kapsel - krzyczał Rafał - skurwysyn pochlastał się! Rozwalcie te drzwi!

Nie było to jednak takie proste ponieważ wykonano je z grubej blachy. Kilku żołnierzy szarpało za klamkę licząc na to, że stary zamek nie wytrzyma i puści. Na próżno jednak, drzwi ani drgnęły.

- Nic z tego! Trzeba je wywarzyć jakimś łomem albo przeciąć zawiasy piłką do metalu - zawołał jeden z żołnierzy mocujących się z drzwiami.

Rafał zwrócił się do niego.

- Zapierdalaj na dywizjon i powiedz podoficerowi, żeby dał ci łom i piłkę do metalu!

Żołnierz wyszedł z ubikacji i w te pędy pobiegł w kierunku wyjścia z baraku.

- Może zadzwonić do oficera? - zapytałem.

- Nie! Zaproteutował Rafał - najpierw sami musimy sobie z tym poradzić. Później zadzwonimy.

- Kurwa! Przecież teraz liczy się każda sekunda! - któryś z żołnierzy nie wytrzymał już napięcia.

- Jeszcze się tam wykrwawi. Chcesz pójść do kryminału?!

Dobra. Dzwon - zgodził się Rafał - kurwa gdzie jest ta pierdoła, która pobiegła na dywizjon.

Tymczasem żołnierz, którego wysłano na dywizjon po łom i piłkę do metalu napotkał na pewne trudności techniczne. Kapral pełniący służbę podoficera dyżurnego był prawie, że kompletnie pijany i spał w swojej sali. Dyżurny, który go zastępował nie siedział, jak nakazuje regulamin za stolikiem podoficera, lecz pocierał rejon na drugim piętrze za swojego dziadka. Żołnierzowi z unitarki udało się go znaleźć. Zamiatął podłogę na świetlicy.

Potrzebuję pilnie łom i jakąś piłkę do metalu! – zawołał do dyżurnego.

Dyżurny, widząc że z natury powolny człowiek oparł się o miotłę i powiedział:

Poczekaj, najpierw pozmywam podłogę. Zaraz przyjdzie mój dziadek odebrać porządki. – mówił flegmatycznie – a stało się coś?

Jeden z żołnierzy zamknął się w kiblu. Musimy go szybko otworzyć.

Dyżurny wyjął z wiadra mokrą szmatę i zaczął ją wykręcać. Wcale mu się nie śpieszyło.

A zamknęła się młoda kita w kiblu – roześmiał się – niech se posiedzi. Nic mu się nie stanie.

Żołnierz z unitarki słysząc to nie mógł już wytrzymać.

Kurwa! Ale on ma klaustrofobię! Dusi się!

Dyżurny może nawet i nie wiedział co znaczy „klaustrofobia” ale jak usłyszał „dusi się” natychmiast rzucił miotłę o podłogę i pognął do magazynka.

Magazynek był ciasny i ciemny. Prawie nic nie było w nim widać. Dyżurny wszedł do środka z zapaloną latarką i zaczął przeglądać cały mieszczący się tam bałagan. Po pewnym czasie wyszedł stamtąd trzymając w ręce mocno już wygięty łom.

Łom jest- powiedział zamykając magazynek- ale piłki do metalu nie ma. Pewnie zabrał ją palacz. Jak chcesz to idź po nią na kotłownię.

Dobra. Dawaj tego łoma- zawołał żołnierz z unitaki, po czym złapawszy kawał grubego pręta popędził do baraku.

Koledzy nie mogli się już go doczekać.

Gdzie ty po ten łom poszedłeś? Na wioskę? – wołał Rafał – a gdzie piłka?

Nie ma piłki w magazynku pójdę po nią na kotłownię.

No to leć!

Kilku żołnierzy próbowało podważyć łomem drzwi. Nie było to jednak takie łatwe ponieważ mocno siedziały w zawiasach. Natomiast szpara między futryną a drzwiami była zbyt wąska aby można było wsunąć w nią końcówkę łomu. Drzwi mimo tego, że jęczały w zawiasach nie poddawały się. Wreszcie po którejś kolejnej nieudanej próbie wyłamania drzwi Rafał zdecydował:

Trudno. Trzeba będzie przepiłować zawiasy. Jest już ta piłka do metalu?

W tym momencie w drzwiach do ubikacji pojawiła się postać oficera dyżurnego. Oficer w stopniu kapitana szybko przedostał się przez mały tłumik zgromadzonych w ubikacji żołnierzy.

Co się tutaj dzieje?! – zwrócił się do Rafała.

Chyba jeden z żołnierzy zamknął się w kiblu. Nigdzie nie możemy go znaleźć. Próbujemy wyważyć drzwi.

Który żołnierz? – zaniepokoił się kapitan.

Kapsel. To znaczy on się nazywa Marcin Jankowski.

Jankowski?! Przecież on grał z nami w karty na dyżurce! – oficer rozejrzał się dookoła i zawołał głośno – Jankowski gdzie jesteś?!

Kapsel wbiegł do ubikacji.

Tutaj panie kapitanie! – wołał już od progu. – Co się stało? – zapytał widząc, że wszyscy jakoś dziwnie się na niego patrzą.

Rafał zobaczywszy go wrzasnął.

Kapsel! Żeby cię kurwa popierdoliło! To my myślimy sobie żeś se żyły podciął w kiblu a ty kurwa w tym czasie grasz w karty?

Spokój! – krzyknął oficer – Zaraz to wyjaśnimy.

Żołnierze rozeszli się do sal a Kapsel, Rafał i kapitan zamknęli się w sali podoficerskiej. Okazało się, że Kapsel poszedł po coś na wartownię no i wdał się w gadkę z oficerem dyżurnym. Oficer tak jak Kapsel pochodził z Krakowa więc tematów do rozmowy im nie brakowało. Jako że na służbie nic ciekawego się nie działo sierżant wyjął z szuflady talię kart i zaczęli grać najpierw w tysiąca, później w oko i tak zleciało aż do dziesiątej w nocy. Kapsel nie narzekał, wołał grać w karty niż pocierać rejony na unitarce. Czując poparcie oficera nie kwapił się do powrotu do baraku. Kiedy oficer wyszedł z sali podoficerskiej Rafał rzekł:

Oj Kapsel, Kapsel. Cały czas są z tobą jakieś problemy. A to jest przecież dopiero początek wojska. Aż strach pomyśleć co będzie dalej.

Dopiero na drugi dzień wyjaśniło się, że drzwi w ubikacji zamknął hydraulik, ponieważ z jednego z sedesów ciekła woda. Nie zgłosił tego żadnemu z kaprali gdyż nie chciał się dodatkowo fatygować.

Trzeba przyznać, że cały dzień upłynął w wyjątkowo nerwowym nastroju. Najpierw bunt przeciwko kapralom a później ta historia z Kapslem. I tak nie mogłem spokojnie spać ponieważ nie rozstrzygnęła się jeszcze sprawa z odmową wykonania rozkazu dotyczącego wyjścia na musztrę. Porucznik Bielecki miał być na apelu porannym więc na jej rozstrzygnięcie nie trzeba będzie długo czekać.

Tej nocy śniło mi się, że wysłano mnie do jednostki karnej w Orzyszu.

Koniec rozdziału siódmego

Rozdział VIII

Przysięga

Dni leciały jeden za drugim. W zasadzie niczym się od siebie nie różniły, ale były dokładnie wypełnione od szóstej rano do dziesiątej wieczorem. Większość czasu spędzaliśmy na dworze ćwicząc musztrę albo przygotowując się do przysięgi. Dowództwo największy nacisk kładło na musztrę ponieważ, na przysięgę w Warszawie mieli się zjechać żołnierze z kilku jednostek i ważne było aby na ich tle nie wypaść najgorzej. Ponieważ na poprzedniej przysiędze żołnierze z Bojęcina „dali ciała” gubiąc krok tuż pod samą trybuną, toteż teraz ćwiczenie musztry stało się oczkiem w głowie porucznika Bieleckiego. Aura jak na złość niezbyt sprzyjała ćwiczeniom na dworze, co chwilę padał deszcz i cały czas był ostry mróz. A w wojsku to nie ma tak, że jak pada deszcz to rezygnuje się z zajęć bo się żołnierze przeziębią. Zajęcia mają się odbyć i koniec.

Największy wkład w uczenie nas musztry włożył Pampers. Trzeba przyznać, że musztrę rzeczywiście znał i niejednego trepa potrafił zagiąć. Wadą było niestety to, że wiedzę na ten temat przekazywał według wcześniej już poznanej metody „przez nogi do głowy”. Jeśli któryś z żołnierzy nie mógł dotrzymać kroku, spóźniał się na zwrotach, albo zamiast w prawo odwracał się w lewo to brał od Pampersa lekcje musztry indywidualnej.

O dziwo lekcje takie odznaczały się bardzo dużą skutecznością. Raz przeciwczony przez Pampersa żołnierz chodził na musztrze jak zegarek. Jeśli na przykład Pampers stwierdził, że dany żołnierz za nisko podnosi nogi to kazał mu zdjąć pas, trzymać go w wyciągniętych przed siebie rękach i maszerując machać nogami tak wysoko aby dotykać nimi pasa.

Niektórzy żołnierze nabawiali się od tego ostrego tupania różnego rodzaju kontuzji. Najczęściej były to otarcia stóp. Dostawali wtedy na receptę taki lek jak trampki (kto by pomyślał, że takie głupie trampki mają właściwości lecznicze. Może powinno się sprzedawać je także w aptekach?). Żołnierze z tego typu dolegliwościami siedzieli na unitarce i pocierali rejony. W sumie to dobrze, ponieważ nie musieli wychodzić na musztrę ale z drugiej strony mieli obawy co do tego jak wypadną na przysiędze.

Z każdym dniem atmosfera panująca wśród żołnierzy nowego rocznika poprawiała się. Wszyscy żyliśmy co raz bardziej zbliżającą się perspektywą przysięgi i wyjazdu na przepustki.

W ostatnim tygodniu przed przysięgą w zasadzie o niczym innym się nie mówiło jak tylko o tym ilu do kogo przyjedzie znajomych oraz o tym co będzie się robiło na przepustce. Spore emocje wzbudzał fakt, że w kantine zabrakło już zaproszeń i trzeba było jechać po nie aż do Warszawy. Na szczęście zostały dowieziona na pięć dni przed przysięgą i istniała duża szansa na to, że dotrą na czas. Osobiście wysłałem zaproszenia tylko do rodziny oraz swojego ojca, który samotnie mieszka w Bieszczadach. Byli jednak i tacy żołnierze, którzy wysyłali po dwadzieścia i po trzydzieści zaproszeń. Wydali na to prawie cały żołd.

Kaprale świadomi tego, że to jest już koniec ich władzy nad nami nie ścigali nas tak, jak na początku unitarki. Z drugiej strony może spowodowane to było także i tym, że swoje stresy już odreagowali. Tak czy inaczej wieczorami nie sprzątałyśmy po raz któryś z rzędu tych samych

rejonów i mieliśmy więcej wolnego czasu. Piliśmy więc herbatę, kawę, graliśmy w karty, rozmawialiśmy na różne tematy. Czasami ktoś pisał list do rodziny albo wypełniał blankiet przysięgi. Wody na kawę czy herbatę nie gotowaliśmy za pomocą grzałki, lecz czajnika bezprzewodowego przywiezionego przez rodzinę jednego z żołnierzy.

W dalszym ciągu nie można było nam się położyć na łóżku przed dwudziestą drugą. Jeśli chciałeś się położyć i odpocząć, to rzucałeś na podłogę panterkę i kładłeś się na niej. Czasami do sali wchodził jakiś trep, ale wcale się nie dziwił widząc leżących na podłodze żołnierzy (pewnie on też swego czasu odpoczywał oglądając sprzęt w łóżku).

Nawet Kapsel, najbardziej zakręcony żołnierz w historii jednostki przestał chodzić ze spuszczoną głową i odzyskał dobry humor. Żył bliską perspektywą spotkania się ze swoją rodziną oraz trzema dniami wolności, której miał uświadczyc po sześciu tygodniach „niewoli”.

W takiej oto atmosferze oczekiwania nadszedł dzień, w którym mieliśmy złożyć przysięgę wojskową. Była to sobota czwartego grudnia 1995 roku. Ponieważ przysięga miała się odbyć o godzinie 10:30 przygotowania do niej rozpoczęły się bardzo wcześnie rano.

Wbrew moim oczekiwaniom, że przygotowania będą przebiegały w radosnej atmosferze okazało się, że na unitarce zapanowała nerwowa i stresująca bieganina. Kaprale przyczepiali się o każdy szczegół a to że łóżko źle pościelone, że buty nie są dobrze wypastowane, że kible nie posprzątane i tak dalej. Tak naprawdę to wszystko można było zrobić na spokojnie w dwa razy krótszym czasie i wiele lepiej, ale cóż z tego skoro w wojsku wszystko robi się biegiem.

Czynnością którą naprawdę wykonywaliśmy bez żadnego przymusu było czyszczenie butów. Najpierw nacierało się je grubą warstwą pasty, odstawiało na chwilę na bok a później pucowało do tego stopnia, że w czubkach butów można się było przejrzeć niczym w lusterku.

Tak dokładne czyszczenie butów było całkowicie zrozumiałe, ponieważ każdy chciał wyglądać na przysiedze najlepiej jak tylko mógł.

O dziewiątej rano wydano nam broń. Korytarz zapełnił się żołnierzami którzy rozłożyli swe karabiny na części i czyścili je za pomocą szmat i oleju. Najistotniejsze było to aby karabin taki dobrze wyglądał z zewnątrz, dlatego też po kilkanaście razy czyściło się lufę i osłonę komory naboju. Po półgodzinie czyszczenia i nacierania broni olejem wyglądała ona jak nowa i rzeczywiście bez cienia wątpliwości można było paradować z nią na przysiedze.

Tego dnia czułem się jakoś szczególnie. Mimo całej nerwowej bieganiny, zamieszania oraz krzyku poganiających nas kaprali byłem w dobrym, powiedziałbym uroczystym nastroju. Właśnie dzisiaj już za kilka godzin, po sześciu tygodniach oglądania brudnych pomieszczeń unitarki, ustawiania się na zbiórkach kilka razy na godzinę i oglądania świata przez szyby jadącego do Wieliszewa autobusu, miałem znowu na kilka dni odzyskać wolność. Zdjąć z siebie wojskowy mundur i być sobą a nie kanonierem Paślawskim, którego prawa i zakres zachowań wyznaczał regulamin Wojska Polskiego.

Nie mogłem się doczekać momentu kiedy przyjadę do domu i wybiorę się na spacer po pobliskich pagórkach. Pobędę chwile w samotności, której mi w wojsku brakowało i przemyślę wszystko to co do tej pory przeżyłem. Ta w pewnym sensie niewola, spora dawka chamstwa z którą zetknąłem się w wojsku, ćwiczenia, poranna zaprawa, musztra, owo „powstań, wstają i wychodzą” sprzątanie rejonów i dżamping było czymś zupełnie różnym od spokojnego życia które wiodłem w Białce. Ale na razie nie narzekałem. Przynajmniej coś się działo a w Białce była nuda i brak perspektyw na lepszą przyszłość.

Wojskowy autobus czekał tuż przed samym barakiem. Weseli i roześmiani zajęliśmy w nim miejsca i położywszy kałasznikowy na kolanach czekaliśmy na odjazd. Na dworze panował lekki mróz a na bezchmurnym niebie mocno świeciło poranne słońce. Pogoda się udała.

Porucznik Bielecki wsiadł do autobusu i po sprawdzeniu stanu osobowego dał sygnał do odjazdu. Kierowca wrzucił bieg i autobus wolno tocząc się wąskimi alejkami wyjechał poza bramę jednostki. Przez chwilę jechał zbudowaną z betonowych płyt drogą a później wyjechawszy na szosę popędził do Warszawy. Musieliśmy się śpieszyć. Do przysięgi pozostało zaledwie jedna godzina.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez Warszawę z dużym zainteresowaniem przyglądałem się temu, jak wygląda życie na ulicach. Cała masa kolorowych reklam, ludzie ubrani według własnego gustu, mnóstwo zagranicznych samochodów. Miasto po prostu tętniło życiem. Zupełnie inny świat. Najbardziej moją uwagę przyciągały dziewczyny. Po sześciu tygodniach oglądania męskich gąb, dziewczyny wydawały się szczególnie piękne. Chyba nigdy dotąd nie podobały mi się aż tak bardzo. Szkoda tylko, że trzeba było siedzieć jeszcze półtora roku w jednostce...

Po trwającym półgodziny przejeździe przez Warszawę, autobus wtoczył się na teren jednostki. Tuż za samą bramą wjazdową znajdowała się rakieta „Wołchow”. Udający się w kierunku placu na którym miała się odbyć przysięga cywile przez chwilę przystawali przed rakieta, obserwowali ją z podziwem i później szli dalej.

Cywile z uwagą przyglądali się mijanym żołnierzom. Również i żołnierze rozglądali się bacznie dookoła mając nadzieję na to, że gdzieś w tym różnobarwnym tłumie wypatrzą swoich, zaproszonych na przysięgę gości.

Ogólnie rzecz biorąc zebrało się tam około dwóch tysięcy osób. Cywile śpiewali, wymachiwali flaszki z wódką, krzyčeli do zauważonych znajomych żołnierzy. Od czasu do czasu dało się słyszeć wołanie:

- Heniek! Heniek! Tu jesteśmy! Mama też przyjechała!
- Albo:
- Jędrus to ty?! Co oni ci zrobili?! Jak ty wyglądasz!

Autobus zatrzymał się na dużym betonowym placu przed garażami. Stało tam mnóstwo młodego wojska. Wszędzie gdzie okiem sięgnąć zielone mundury. Od strony trybuny na której zainstalowano głośniki dochodziły dźwięki wojskowych marszy. Słyszeć było też Rezerwę śpiewaną przez stojących za ogrodzeniem cywili. Ogólnie rzecz biorąc było bardzo wesoło. Nikt nie miał wątpliwości, że to nasze święto. Święto każdego z nas.

Sprawnie dowodzeni przez porucznika Bieleckiego utworzyliśmy kolumnę i maszerując w rytm uderzeń bębna, ruszyliśmy w stronę placu na którym miała się odbyć przysięga (Kapsel kiedy przechodziliśmy przez bramę wdepnął w jakąś cholernie głęboką kałuże. Zamoczył sobie buta i niesamowicie człapał kiedy stawiał krok lewą nogą).

Na placu wielkości boiska sportowego stało już kilka kolumn żołnierzy. Przemaszerowaliśmy przez podmokły plac i zajęliśmy miejsce kilkanaście metrów na lewo od trybuny. Z biegiem czasu dochodziły, co raz to nowe kolumny żołnierzy z różnych dywizjonów raketowych. Wokół rozlegały się krzyki i śpiewy stojących za niewielkim płotem cywili oraz komendy wydawane zdecydowanym głosem przez oficerów, którzy ustawiali swych żołnierzy do przysięgi. Nawoływania cywilów stały się teraz co raz bardziej intensywne ponieważ mogli oni lepiej wiedzieć zgromadzone na placu młode wojsko. Niektórzy z niech krzyčeli tak głośno, że musiał ich uciszać jakiś pułkownik zwracając się do nich za pomocą megafonu. Ogólnie rzecz biorąc z minuty na minutę robiło się co raz bardziej uroczyście i świątecznie

W końcu wybiła godzina 10:30 i przysięga rozpoczęła się. Nie potrafię dokładnie przypomnieć sobie jak przebiegała cała uroczystość. Wiem, że przemawiał sam dowódca brygady wojskowej, kapelan, oraz jakiś żołnierz służby zasadniczej. Nigdy natomiast nie zapomnę momentu kiedy padła komenda „do przysięgi”. Wówczas z zgromadzonych na placu kilkuset żołnierzy dobieły się słowa:

JA ŻOŁNIERZ WOJSKA POLSKIEGO PRZYSIĘGAM...

Słowa te leciały w dal. Była w nich moc i siła. Jednocześnie szła za nimi odpowiedzialność wynikało z nich bowiem, że jak zajdzie taka potrzeba to trzeba będzie oddać życie w obronie granic Polski.

Kiedy tak się stało ubrany w wojskowy mundur i trzymało w ręku karabin, kiedy w tle leciał Mazurek Dąbrowskiego a na maszcie wciągano biało-czerwona flagę, to wypowiadając słowa przysięgi czuło się, że jest się Polakiem, żołnierzem i prawdziwym mężczyzną. Był to rzeczywiście moment niezwykły, jeden z piękniejszych jakie w życiu przeżyłem.

Pod koniec przysięgi przemawiał kapelan wojskowy. Na szczęście niezbyt długo. Widać był bardzo wyrozumiały wiedząc o tym, że zarówno żołnierze jak i zaproszeni na przysięgę goście nie mogą się doczekać, aż wreszcie ta uroczystość się skończy i będą mogli się spotkać.

Przysięga zakończyła się defiladą na drodze wzdłuż której ustawieni byli cywile. Mimo tego, że wcale nie maszerowało się łatwo w rytm bębna przeszliśmy przed trybuną czysto i elegancko ani razu nie gubiąc kroku. Dopiero po zejściu z tej drogi idący na czele porucznik Bielecki wydał komendę „Spocznij!” i od tamtego momentu, na spokojnie pomaszerowaliśmy równym krokiem do autobusu.

Najbardziej radosnym momentem było rozdanie przepustek. Bielecki rozdawał je wywołując żołnierzy po nazwisku. Wszyscy cieszyliśmy się, że od tego momentu otrzymaliśmy w prezencie od Wojska Polskiego siedemdziesiąt dwie godziny wolności. Każdy łapał przepustkę, żegnał się z kolegami i wychodził na plac aby poszukać tam swojej rodziny i znajomych. Było naprawdę wesoło, oj wesoło. To był na pewno jeden z piękniejszych dni w armii.

Wziąwszy przepustkę pożegnałem się z kilkoma kolegami, których zdążyłem lepiej poznać i niezwykle podekscytowany wyszedłem na plac aby poszukać swojej rodziny. Poważnie zacząłem się obawiać, że chyba ich nie znajdę. Przecież wszędzie gdzie okiem sięgnąć otaczały mnie tłumy ludzi. Nigdzie jednak nie mogłem znaleźć nikogo kto miał przyjechać do mnie. Może coś się stało, albo stwierdzili, że Wiesiek to taki dzielny, że nie trzeba przyjeżdżać do niego na przysięgę, przecież da sobie radę. W miarę upływu czasu mój smutek oraz poczucie samotności powiększało się. W końcu kiedy na placu pozostało zaledwie kilkanaście osób totalnie przygnębiony zdecydowałem się samotnie wyjść z jednostki.

Przeszedłem przez bramę i ruszyłem w kierunku znajdującego się nieopodal przystanku tramwajowego. Stała tam jakaś grupka cywili. Wypatrzyłem w niej jakąś ładną dziewczynę o długich włosach w kolorze dojrzałej pszenicy. Przyjrzałem się jej uważniej a kiedy się odwróciła ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że to przecież moja siostra Marzena!

- Cześć Wiesiek – zawołała podbiegając do mnie.
- Cześć! – przywitałem ją rozpromieniony ze szczęścia. W jednej chwili cały zły nastrój minął jak ręką odjął. Zauważyłem też, że na przystanku jest także matka i brat. Podszedłem do nich i przywitałem się serdecznie. Witaliśmy się tak jakbyśmy nie widzieli się już z dziesięć lat.

- Ojciec nie przyjechał ponieważ musiał przypilnować domu – mówiła mama – szukaliśmy cię na całym placu! Nigdzie nie mogliśmy cię znaleźć!
- Przecież ja was też szukałem – wołałem podekscytowany – złążyłem cały plac!
- No to mamy dużo szczęścia, że spotkaliśmy się tutaj, na przystanku. Jeszcze chwila zobaczyliśmy się dopiero w Białce!

Pamiętam, że musiałem odpowiadać na dziesiątki pytań dotyczących tego jak jest w wojsku. W szczególności brat wykazywał największe zainteresowanie tym tematem. Wiedział, że za kilka lat również i jego zgarńą do armii.

Opowiadałem więc o porannych zaprawach, wstawaniu o szóstej rano, sprzątaniu rejonów, wyjazdach do Wieliszewa, o tym jakiego mamy dowódcę drużyny – Pampersa. Mówiłem też o tym, że jedliśmy suchary po nocach, o chodzeniu na obiery, o zajęciach takich jak musztra czy strzelanie. Muszę przyznać, że chociaż miałem co opowiadać to i tak nie w ten sposób wyobrażałem sobie wojsko. Jeszcze kilka tygodni temu, kiedy przekroczyłem bramę jednostki myślałem sobie, że służba w wojsku będzie znacznie ciekawsza. Oczekiwałem takich zajęć jak wspinanie się po linach, nocne wymarsze, nauka walki wręcz a tymczasem okazało się, że większość czasu spędziliśmy na sprzątaniu rejonów, zakuwaniu regulaminów oraz i pracach konserwacyjnych na sprzęcie.

Wsiedliśmy do tramwaju i pojechaliśmy na Dworzec Wschodni skąd odjeżdżały pociągi do Przemysła. Okazało się, że najwcześniejszy pociąg będzie dopiero o szesnastej czyli za pięć godzin. Nie znałem wówczas Warszawy i dlatego nie chciałem zapuszczać się do centrum. Na dodatek moja matka i rodzeństwo byli zbyt zmęczeni całonocną podróżą, aby mieli jeszcze ochotę na długie spacerunki po mieście. Spędziliśmy więc te pięć godzin na Dworcu Wschodnim.

Muszę powiedzieć, że w tym czasie naprawdę nie nudziłem się. Ubrany w wojskowe moro cały czas uciekałem przed patrolami żandarmerii, której dzisiaj kręciło się w zatrzęsienie. Autentycznie były już takie momenty, że prawie już za mną biegli ale na szczęście zawsze udało mi się jakoś ich zmylić. Raz na przykład kiedy trzech żandarmów siedziało mi na ogonie i znajdowali się oni w odległości pięciu metrów za mną w ostatniej chwili dałem drapakę do ubikacji i zamknąłem się w kabinie. Słyszałem nawet jak weszli do środka i rozmawiali czekając na mnie. Ja jednak postanowiłem opuścić to miejsce dopiero wtedy, gdy ci rośli dżentelmeni w czerwonych berecikach zdecydowali się poszukać sobie innej ofiary na peronach dworca. Przesiedziałem w tej kabinie chyba z piętnaście minut zanim odważyłem się wyjść na zewnątrz.

Dlaczego bałem się żandarmerii? To dlatego, że na szkoleniu straszono nas, że taki żandarm może się przyczepić o mało istotny szczegół w umundurowaniu (na przykład o niedopięty guzik albo choćby o to, że trzymasz ręce w kieszeni) i wysłać stosowny meldunek do dowódcy twojej jednostki. Kiedy przyszedł taki raport to było naprawdę niewesoło. Ponieważ z jednej strony groziło to mniejszymi lub większymi karami a z drugiej można było się najeść wstydu za to, że dało się złapać tym żetonom. Jak widać były to wystarczająco dobre powody, aby trzymać się od żandarmerii jak najdalej.

Podróż do domu trwała około dziesięciu godzin. Do Białki przyjechaliśmy około piątej nad ranem. Zmęczyła mnie jazda pociągiem, zwłaszcza że trafiła nam się pasażerka, która obawiała się, że prześpi swoją stację dlatego też cały czas czytała gazetę.

Przyjechawszy do domu, umyłem się i położyłem spać.

Po południu wyszedłem na spacer. Z zdumieniem stwierdziłem, że w domu nic nie zmieniło się. Studnia stoi tak jak stała, pies wygląda z budy tak jak wcześniej a rzeka koło domu płynęła

takim samym spokojnym strumieniem jak wtedy kiedy kilka tygodni temu wyjeżdżałem do wojska. W moim życiu dokonały się znaczne przemiany. Ze spokojnej, rzekłbym nawet nudnej miejscowości zostałem wrzucony w wir nowych, niejednokrotnie szokujących wydarzeń. Tymczasem tutaj w Białce czas zdawał się stać w miejscu.

Cieszyłem się tym, że mogę iść dokąd zechcę, że nikt na mnie nie będzie wrzeszczał, że mogę decydować o tym co będę robił. Było to dla mnie szczególnie ważne ponieważ na unitarce nie wolno nam było nawet wyjść z baraku, w którym mieszkaliśmy a tymczasem w Białce miałem nad sobą błękitne niebo, łagodne pagórki, które aż kusily do tego aby po nich spacerować i przede wszystkim spokój którego również mi brakowało.

W domu wszyscy tańcowali wokół mnie jakbym wrócił z podróży dookoła świata. Co chwilę pytali się o to czy nie jestem głodny, czy czegoś się napiję i takie tam drobiazgi. Siostra specjalnie dla mnie upiekła szarlotkę.

Zauważyłem, że poprawiły się stosunki między mną a rodzicami. Wcześniej wszyscy mieli mnie dość, ponieważ nie miałem pracy a trzeba było mnie utrzymać. Teraz w pewnym sensie byłem bohaterem – żołnierzem Wojska Polskiego.

Późnym popołudniem przyjechał do mnie kolega, którego poznałem w wojsku. Mieszkaliśmy niedaleko od siebie, ale poznaliśmy się dopiero w Bojecinie. Siostra podała nam szarlotkę i zrobiła kawę. Zwróciłem uwagę na to, że rozmowa była owszem bardzo ciekawa, ale niesłychanie monotematyczna. Nie potrafiliśmy rozmawiać o niczym innym jak tylko o wojsku. No cóż, żyliśmy przecież w zamkniętym środowisku.

Wieczorem wybrałem się na spacer po pagórkach. Księżyc świecił bardzo jasno i wokół było widno prawie jak w dzień. Gdzieś na polach leżały przybrudzone błotem zaspasniegu. Lubilem spacerować po tych pagórkach a w szczególności tak zwanym Małym Gościńcem, ponieważ rozpościerał się z niego rozległy widok na okolice. Widać było stamtąd miejscowości odległe na trzydzieści kilometrów.

Przypominały mi się wszystkie chwile, które przeżyłem na unitarce. Niestety muszę przyznać, że przypominały mi się raczej te złe, które wywoływały szok i wewnętrzny sprzeciw. Kiedy tak ogarniałem wzrokiem rozpościerające się wokół łagodne pagórki i widziałem księżyc świecący nad spokojnym białczańskim niebem nie mogłem w to uwierzyć, że za kilkanaście godzin na powrót znajdę się w surowej żołnierskiej sali, że będę na rozkaz jadł i spał, że znowu będę słuchał wrzasku kaprali i że jeśli zechcę iść przed siebie, to wcześniej czy później napotkam ogrodzenie z kolczastego drutu.

Pocieszałem się tym, że przecież nie będzie to trwało wiecznie a tylko jeszcze niespełna półtora roku.

W domu spędziłem dwa dni. W zasadzie niezbyt chciało mi się odwiedzać swoich kolegów ze szkoły, ponieważ najzwyczajniej w świecie chciałem sobie odpocząć od ludzi. Poza tym zauważyłem, że nie potrafię już o niczym innym rozmawiać jak tylko o wojsku. Następnego dnia odwiedziłem swojego kolegę z unitarki. Bardzo podobała mi się jego siostra i żałowałem, że nie znałem jej wcześniej tym bardziej, że nie miała chłopaka.

Posiedzieliśmy, pogadaliśmy i wieczorem wróciłem do domu.

W pewnym momencie przyłapałem się na myśli, że nudzi mi się już w domu i chciałbym wrócić do jednostki. No cóż, po prostu przyzwyczałem się już do innego trybu życia a tutaj nie

wiedziałem co mam ze sobą zrobić. Szwendałem się po domu tam i z powrotem i cały czas miałem wrażenie, że mi czegoś brakuje (musztry).

Następnego dnia o godz. 11:30 wsiadłem do autobusu jadącego do Rzeszowa. Miałem na sobie cywilne ubranie a wojskowy mundur włożyłem do torby podróźnej. Pobyt w Białce, pomimo tego, że był nudny pozwolił mi ochłonąć od tej całej wojskowej rzeczywistości. Jak to mówił mój kolega Sławek, na przepustkę jechało się po to aby doładować akumulatory.

Czułem jednak, że nie należę już do tej białczańskiej społeczności. Wiedziałem, że moje miejsce jest tam w Warszawie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że i tym razem mój wyjazd z Białki będzie podróżą w nieznane. Cóż z tego, że wybierałem się do znanej mi już jednostki w Bojocinie skoro już za kilka dni mieliśmy zostać odesłani do innych dywizjonów bojowych. A przecież wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, że to co przeżyliśmy na unitarce to dopiero poducha. Dopiero na bojówkach zacznie się prawdziwe wojsko.

Wieczorem o godzinie osiemnastej wysiadłem na czwartym peronie Dworca Centralnego w Warszawie. Nie wiem, czy inni żołnierze mieli takie wrażenie, ale kiedy wjeżdżałem ruchomymi schodami czułem się tak jakbym już przekraczał bramę jednostki. Właśnie tutaj dotkliwie odczuwałem powrót do tej niezbyt ciekawej rzeczywistości. Jednocześnie miałem świadomość tego, że na następną przepustkę będę mógł wyjechać dopiero za sześć, siedem tygodni.

Wiedziałem jednak, że w tym nieprzyjemnym świecie jest miła i życzliwa dla mnie osoba. Znalazłem aparat telefoniczny i wykręciłem zanotowany kilka tygodni temu na serwetce numer telefonu. Po kilku krótkich sygnałach usłyszałem w słuchawce miły kobiecy głos.

- Dzień dobry. Nazywam się Wiesław Paślawski – przedstawiłem się – czy zastałem Elizę?

- Tak. Proszę chwileczkę poczekać – odpowiedziała kobieta po drugiej stronie.

Po kilkunastu sekundach ciszy usłyszałem głos młodej dziewczyny.

- Eliza słucham.

Jej głos mimo tego że miły brzmiał jednak obco.

- Cześć Eliza – powiedziałem z nutą niepewności w głosie – To ja Wiesiek.

Poznaliśmy się w kawiarence na dworcu w Przemyślu.

- W Przemyślu? – dziewczyna zdziwiła się. - Przecież ja nigdy nie byłam w Przemyślu.

- Nie? – wyjąkałem nieprzyjemnie zaskoczony. – To gdzie ja się dodzwoniłem?

- Do agencji towarzyskiej Amanda – usłyszałem w odpowiedzi.

- Przepraszam to pomyłka – powiedziałem i rzuciłem słuchawkę na widełki.

No tak, wiedziałem, że Eliza nie dała mi numeru do siebie tylko zmyśliła sobie jakiś naprędcę. Oburzony na wszystkie kobiety na świecie wybiegłem z poczty i niesamowicie zawiedziony wmieszałem się w tłum pasażerów.

Stało się dokładnie tak jak przewidywałem. Już na samym początku wątpiłem w to, że Eliza dała mi swój prawdziwy numer telefonu. Niby dlaczego miałyby sobie zawracać głowę jakimś tam chłopaczkiem ze wsi skoro miała przecież tylu znajomych w Warszawie. Po co jej, córce pułkownika znajomość z chłopakiem, który idzie na półtora roku do wojska i będzie wychodził na przepustki raz na sześć tygodni? Nie rozumiałem tego, jak również nie mogłem pojąć dlaczego w ogóle dała mi kartkę z numerem telefonu? Przecież najzupełniej w świecie mogła mi nie podawać do siebie żadnego kontaktu. Coś mi tu nie pasowało. Postanowiłem zadzwonić jeszcze raz licząc na to, że centrala telefoniczna wybrała zły numer telefonu.

Wszedłem do stojącej na ulicy budki telefonicznej i włożywszy kartę do aparatu wybrałem zapisany na serwetce numer telefonu. Po kilku długich sygnałach usłyszałem trzask podrywanej słuchawki.

- Tak słucham – zapytała jakaś kobieta.
- Gdzie ja się dodzwoniłem?
- Do agencji towarzyskiej Amanda – usłyszałem odpowiedź.

Nic nie mówiąc rzuciłem słuchawkę na widełki. Teraz mogłem mieć całkowitą pewność, że dodzwoniłem się pod podany przez Elizę numer. Zupełnie nie wiedziałem co ma o tym wszystkim sądzić. Dlaczego ta Warszawianka tak ze mną postąpiła?

Ponieważ w jednostce miałem się wstawić dopiero o północy postanowiłem przespacerować się trochę po mieście. Wcale nie śpieszyło mi się do tej zaszytej w lesie i odgradzonej od normalnego świata jednostki. Zarzuciłem więc torbę podróżną na ramię i zapytawszy jakiegoś przypadkowego przechodnia o drogę ruszyłem w kierunku starego miasta. Lubiłem zwiedzać zabytki a Warszawskiej starówki jeszcze nigdy nie widziałem.

Po krótkim spacerze, przez ulicę Nowy Świat wszedłem do restauracji mieszczącej się naprzeciw pomnika Adama Mickiewicza. Zamówiłem kawę i usiadłszy przy mieszczącym się obok okna stoliku obserwowałem cywilny świat. Ludzie spacerowali niespiesznie, rozmawiali ze sobą, przyglądali się zabytkowym kamieniczkom. Tu kwitło normalne życie. Nikt na nikogo nie krzyczał, nikt nie wydawał rozkazów.

W pewnym momencie przypomniałem sobie, że nie wiem w jaki sposób wrócić do jednostki. Na przysięgę przyjechałem z Bojęcina do Warszawy autobusem, ale nie miałem bladego pojęcia o tym jak dojechać z Warszawy do Bojęcina. Pomyślałem, że najlepiej będzie zadzwonić do jednostki i porozmawiać z dyżurnym centrali łączności. Skończyłem więc pić kawę i wyszedłszy z kawiarenki zadzwoniłem do Bojęcina. Dyżurny centrali okazał się być równym gościem. i jasno wyłożył mi jak trafić do Bojęcina. Kończąc rozmowę powiedział:

- Aha! Przypomniało mi się, że wczoraj dzwoniła do ciebie jakaś panienska. Mówiła, żebyś oddzwonił.
- Panienska? – zdziwiłem się – chyba moja siostra!
- Nie. Powiedziała, że dzwoni z Warszawy.
- Aha, i co mówiła?
- No nic. Żebyś do niej zadzwonił. Zostawiła numer telefonu.

Czyżby to była Eliza? Przecież oprócz niej żadnej innej dziewczyny w Warszawie nie znałem.

- Tak? No to dobrze. Podaj mi ten numer.

Dyżurny podał mi numer a ja z niemałym trudem, trzymając w jednej ręce słuchawkę zanotowałem go w swym notesie. Pożegnawszy się z kolegą z Bojęcina wykręciłem podany przez niego numer. Po chwili usłyszałem w słuchawce mocny męski głos:

- Tak. Słucham.
- Dzień dobry. Nazywam się Wiesław Paślawski – przedstawiłem się – dzwonię z Warszawy. Czy zastałem Elizę?
- Tak. Proszę chwileczkę poczekać.
- Dobrze – odpowiedziałem z nutą nadziei w głosie. Chyba rzeczywiście dodzwoniłem się do właściwej Elżbiety.

Po chwili usłyszałem znajomy głos.

- Eliza słucham.
- Cześć! To ja Wiesiek! – ucieszyłem się – Pamiętasz, poznaliśmy się w Przemyślu.
- A to ty! – usłyszałem radość w jej głosie – Cieszę się, że dzwonisz. Gdzie teraz jesteś?
- W Warszawie. Właśnie przed chwilą przyjechałem. Jak mnie znalazłaś w Bojęcinie?

Dziwiło mnie to, że chciało się jej odnaleźć mnie wśród tysięcy żołnierzy służących w Warszawie. Czyżby darzyła mnie jakąś szczególną sympatią? Jakby nie było spotkaliśmy się

tylko raz i na dodatek widzieliśmy się bardzo krótko. Jeszcze nie wiedziałem co mam o tym sądzić, byłem natomiast pewien, że przyszłość da mi na to pytanie odpowiedź.

- To nie było trudne. Dla mojego taty ustalenie, w której jednostce służy dany żołnierz to żaden problem. Wiem, że w tą sobotę mieliście przysięgę.
- Tak, tak. Właśnie wracam z domu.
- O której kończy ci się przepustka?
- O północy - odpowiedziałem machinalnie spoglądając na zegarek. – Ostatni autobus do Bojęcina odjeżdża o dwudziestej trzeciej. Mam jeszcze cztery godziny czasu.
- Jak zamierzasz go spędzić?
- Nie wiem. W sumie wcale nie śpieszy mi się do jednostki. Tutaj w Warszawie oprócz Ciebie nikogo nie znam. Może się spotkamy? – zaryzykowałem.
- Czemu nie- odpowiedziała Eliza - mieszkam niedaleko centrum więc możemy się już wkrótce zobaczyć.
- Tak? – aż roześmiałem się z radości – To dobrze. W takim razie gdzie się spotykamy?
- Proponuje spotkać się przy rotundzie.

Oczywiście nie miałem bladego pojęcia o tym gdzie jest rotunda, ale Eliza wyjaśniła mi dokładnie jak do niej trafić. Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym co będziemy robili wieczorem. Postanowiliśmy uzgodnić to później. Uszczęśliwiony tym, że sprawy nieoczekiwanie wzięły tak pomyślny obrót wsiałem do jadącego w kierunku centrum autobusu. Zupełnie nie spodziewałem się, że tak szybko nawiążę kontakt z Elżbietą a już na pewno nie spodziewałem się tego, że jeszcze dzisiaj się spotkamy.

Bez większych problemów dotarłem pod rotundę. Po kilkunastu minutach oczekiwanie w tłumie wychodzących z podziemnego przejścia ludzi zauważyłem Elizę. Wyglądała bardzo ładnie i elegancko. Widziałem jak się zatrzymała i zaczęła się rozglądać dookoła. Nie czekając aż mnie wypatrzy podszedłem do niej.

- Cześć Eliza! – zawołałem wyciągając do niej rękę.
- Ach, witaj! – dziewczyna przywitała się ze mną – Fajnie, że się spotykamy. Co u ciebie słychać?
- Wiesz, to jest powrót do rzeczywistości. W domu odpocząłem trochę od wojska ale co zrobić, trzeba wracać do jednostki.
- Nie martw się. Przecież to nie będzie trwało wiecznie. Wojsko kiedyś się skończy.
- Tak. Masz rację. Póki co cieszę się z tych kilku godzin wolności. Trochę tutaj głośno powiedziałem wskazując głową na ruchliwe skrzyżowanie – może się gdzieś przejdziemy?
- Ależ oczywiście że zaraz stąd idziemy – Eliza złapała mnie pod rękę. – Masz jakiś pomysł na spędzenie dzisiejszego wieczora?
- Nie mam pojęcia. Nie jestem z Warszawy. Może ty coś wymyślisz?

Eliza zastanawiała się przez chwilę.

- Myślę, że moglibyśmy pójść do Labiryntu. To bardzo dobry lokal właściwie nawet dyskoteka. Umiesz tańczyć?
- Trochę tak. Kiedyś chodziłem nawet na kurs tańca ale to było dawno temu.
- Nie ma obawy. Zawsze możemy usiąść przy stoliku i porozmawiać.
- No tak. Po tym szczęśliwotygodniowym wpatrywaniu się w męskie gęby patrzenie na twą ładną buzię będzie dla mnie dużą odmianą.
- Oj Wiesiek, Wiesiek. Widzę, że wraca ci dobry humor!
- No cóż. Przecież pozostało mi już tylko kilka godzin wolności, więc nie będę się przecież smucił!

Klub Labirynt zrobił na mnie duże wrażenie. Tak naprawdę nigdy nie byłem w tak eleganckim lokalu. Nie to żeby w Rzeszowie takiego nie było, ale tak jak wcześniej napisałem w ogóle nie chodziłem na dyskoteki. Stwierdziłem, że życie rzeczywiście czasami bywa nieodgadnione i czasami przynosi przyjemne niespodzianki. Jeszcze wczoraj wieczorem spacerowałem po białaczkańskich pagórkach a dzisiaj byłem na dyskotece w Warszawie z bardzo ładną dziewczyną (na dodatek córką pułkownika).

Zamówiłem sobie piwo a Eliza jakiegoś drinka, jako że za piwem nie przepadała. Usiedliśmy przy stoliku tuż obok bufetu. Widziałem, że to nie wypada (mam nadzieję, że Eliza tego nie widziała) ale cały czas wodziłem wzrokiem za ładnymi dziewczynami, których tutaj nie brakowało a większość z nich była ubrana nadzwyczaj seksownie (co tu się dziwić że się tak na nie gapilem. Przecież do jednostki takie nie przyjeżdżają). Czasami myślałem sobie po co ja trafiłem za druty skoro prawdziwe i radosne życie toczy się właśnie tutaj.

- Może wolisz posłuchać przebojów z lat osiemdziesiątych? – zapytała Eliza – Tutaj są dwie sale. Tam na dole grają stare przeboje.
- Wolę muzykę współczesną – odpowiedziałem chociaż naprawdę było mi to wszystko jedno. – Zresztą lubię każdą dobrą muzykę. Powiedz mi – zmieniłem temat – dlaczego pod napisanym przez ciebie numerze telefonu zgłosiła się agencja towarzyska?
- Nasze stare mieszkanie zostało sprzedane. Nowy właściciel wynajął je jakiejś agencji towarzyskiej. Wiem o tym ponieważ dzwoniłam już kilka razy z przyzwyczajenia pod stary numer telefonu – Eliza wypita drinka i zaśmiała się – Chyba nie myślałeś, że pracuję w agencji towarzyskiej?
- Przez chwilę różne myśli przychodziły mi do głowy ale ostatecznie pomyślałem sobie, że pomyliłaś się przy wpisywaniu numeru. Ale teraz to już nie ważne. Lepiej powiedz co u ciebie słychać?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nic specjalnego. Tata wyjeżdża na kilka tygodni na szkolenie do Zielonej Góry, mama jest w sanatorium. Będą miała przez jakiś czas wolną chatę.
- Ech, szkoda że muszę tam siedzieć w tym Bojęcinie. Gdyby nie to to zajrzałbym do ciebie od czasu do czasu.
- A co z przepustkami? Nie wypuszczają was?
- Teraz po przysiędze to może prędeż. Wcześniej nie było żadnych szans. Nawet stare wojsko mówi, że oni też rzadko wyjeżdżają na przepustki, ponieważ brakuje ludzi na służby.
- Może chciałbyś się przenieść do Warszawy? W tej jednostce na Pradze żołnierze mogą bez żadnego problemu wychodzić na przepustki popołudniami.
- Gdyby to było możliwe to bardzo chętnie. Jadąc do wojska spodziewałem się, że będę służył w stolicy a tymczasem oni wysłali mnie w jakieś lasy pod Warszawą. Jak pech to pech!

Nie lubię wykorzystywać swych znajomych do osiągania prywatnych celów ale pomyślałem sobie, że dla taty Elizy załatwienie przeniesienia do Warszawy nie będzie stanowiło żadnego wiec dlaczego z tego nie skorzystać?

- Dobrze. Porozmawiam z nim o tym. Myślę, że przeniesienie cię do Warszawy będzie możliwe dopiero po powrocie mojego taty ze szkolenia, czyli za dwa miesiące.
- Spoko. Wytrzymam – napiłem się piwa i zmieniłem temat. – Czym się teraz zajmujesz? Pracujesz czy studiujesz?
- Pracuję jako asystentka w pewnej firmie kosmetycznej i studiuje ekologię. Prowadzę wyjątkowo zabiegane życie. Zresztą tak jak wszyscy tutaj w Warszawie.

Zastanawiałem się nad tym, że ma już jakiegoś chłopaka. Bałem się jednak zapytać. Wolałem żyć w słodkiej niewiedzy i mieć cień nadziei.

- Pewnie sporo chłopaków kreci się wokół ciebie?
- Dlaczego tak sądzisz?
- Taka ładna, atrakcyjna dziewczyna...
- Myślisz, że trzeba być ładną i atrakcyjną dziewczyną, aby mieć powodzenie wśród mężczyzn?
- To na pewno ułatwia...

Eliza uśmiechnęła się.

- Może zatańczymy?
- Czemu nie? – odpowiedziałem podnosząc się z krzesła.

Mimo moich szczerych chęci szybko okazało się, że żaden tam ze mnie tancerz. Jak zwykle w takich sytuacjach opowiedziałem historijkę o tym jak chodziłem w Rzeszowie na kurs tańca i doszedłem nawet do czwartego stopnia (a czwarty stopień to już był taniec pokazowy!). Pewnego dnia jednak szkoła niespodziewanie zmieniła adres, nie mogłem jej znaleźć i na tym etapie moja kariera tancerska zakończyła się. Od tamtej pory wszystkiego już zapomniałem.

Nie było chyba jednak aż tak źle ponieważ spędziliśmy na parkiecie prawie godzinę czasu. Momentami robiło się bardzo romantycznie, szczególnie wtedy gdy puszczano wolne kawałki. Tańczyliśmy wtedy bardzo blisko siebie a cały świat prócz muzyki zdawał się dla nas nie istnieć. Czy to właśnie w takich momentach ludzie zakochują się w sobie? Chyba tak. W każdym razie ja byłem temu bardzo bliski.

Po pewnym czasie trochę już zmęczeni wróciliśmy do stolika aby się czegoś napić i odpocząć.

- Co zamierzasz robić po wojsku? – zapytała Eliza przyglądając mi się z zainteresowaniem. – Wracasz do Białki czy zostajesz w Warszawie?
- Wracać do Białki? Po co? Gdyby chociaż można było gdzieś tam dostać pracę to może pomyślałbym nad powrotem ale w takiej sytuacji jaka jest tam obecnie nie ma to większego sensu – napiłem się piwa i kontynuowałem. – Zostanę tutaj a jak nie to wyjadę do Londynu.
- Do Londynu? Dlaczego akurat do Londynu?
- Podoba mi się to miasto. Znam kilka osób, które tam mieszkały i wszyscy mówią, że żyje się tam całkiem nieźle.
- A angielski znasz?
- Nie. Ale przecież mogę się nauczyć
- Proszę, proszę jaki ambitny człowiek. Trochę mnie zaskoczyłeś z tym planem wyjazdu do Londynu.
- Wiesz, to wszystko jest na razie w sferze marzeń – rzekłem z westchnieniem – Nie wiadomo czy coś z tego wyjdzie ale przecież jakiś plan na życie trzeba mieć. Mam też wujka w Kanadzie. Podobno jest bardzo bogaty. Jeśli nie wyjdzie mi z wyjazdem do Londynu to napisze do niego. Może ściągnie mnie do Kanady.
- A jak to się stało, że twój wujek wyjechał do Kanady?
- Kiedy miał osiemnaście lat Niemcy wzięli go do obozu koncentracyjnego w Treblince. Gdy obóz został odbity przez wojska polskie zdecydował się już nie wracać w Bieszczady. Zabrał się z wojskami alianckimi do Ameryki. Przez kilka lat służył w kanadyjskiej marynarce wojennej. Widocznie jednak wojsko szczególnie go nie pociągało ponieważ za odłożone pieniądze kupił bardzo dużą farmę w pobliżu Hamilton. Farma miała około dwóch tysięcy hektarów i hodował na niej trzysta sztuk bydła. Przechodząc na emeryturę sprzedał farmę i kupił kilka kamienic w Hamilton. Teraz żyje z wynajmu.

- Bardzo ciekawa historia. Myślę, że powinieneś się skontaktować ze swoim wujkiem. Tak, w Kanadzie miałbyś znacznie łatwiejszy strat niż w Londynie – powiedziała Eliza wstając z krzesła- może zatańczymy?
- Tak. Bardzo chętnie. A co do tych planów to nie wiadomo czy coś z nich wyjdzie. Na razie mam jeszcze przed sobą półtora roku służby w armii.

Odnosiłem wrażenie, że Elżbiecie nie przypadły do gustu moje plany wyjazdu za granicę. Nie miałem jednak zamiaru zamyslać jej oczu obietnicami pozostania w Warszawie, skoro miałem możliwość wyjechać do Kanady. To jak potoczą się dalsze losy naszej znajomości było wielką niewiadomą a przecież tu w Polsce nie jest łatwo się czegoś dorobić.

Z Labiryntu wyszliśmy tuż przed północą. Wiedziałem, że się spóźnię z przepustki ale gwizdałem na to (przecież jechałem przez pół Polski. Miałem prawo się spóźnić.) Byłem niezwykle zadowolony z tego powodu, że spędziłem wyjątkowo miły wieczór z Elizą.

Rozstając się na Dworcu Centralnym obiecaliśmy sobie dzwonić do siebie częściej spotkać się ponownie najszybciej jak to tylko będzie możliwe. Wszystko wskazywało na to, że zarówno ja jak i Eliza byliśmy zadowoleni z faktu, że pewnego letniego popołudnia spotkaliśmy się w jakiejś małej zapomnianej kawiarence na dworcu kolejowym w Przemyślu. Obydwoje byliśmy ciekawi jak ta znajomość potoczy się dalej.

Do jednostki z dużymi perypetiami dotarłem około trzeciej nad ranem. Sierżant objechał mnie jak psa za kilkugodzinne spóźnienie, powiedział że jutro dowie się o tym Bielecki i kazał iść do baraku.

Z ciężkim sercem wszedłem do naszej sali żołnierskiej. Znowu ta sama szara wojskowa rzeczywistość. Oczyma wyobraźni widziałem musztrę, zaprawę, sprzątanie rejonów, niedzielną nudę i słyszałem krzyki kaprali.

Jeden z kolegów nie spał. Zaczęliśmy więc rozmawiać o tym co robiliśmy na przepustkach i jak to przejebane jest wracać z takiej przepustki do wojska. Myślę jednak, że los uśmiechnął się do mnie ponieważ dla osłody zafundował mi spotkanie z Elizą.

Koniec

Dywizjon Bojowy

Dywizjon raketowy w Olchownicy

Porucznik Żuk podszedł do okna i lekko uchylił czerwoną firankę. Spojrzał na duży szeroki plac przed budynkiem sztabu i otworzył okno aby wpuścić do kancelarii trochę świeżego powietrza. W jednostce nic się nie działo. Jedynym przejawem życia był spacerujący przed bramą wartownik. Żadnych zajęć, żadnego strzelania, żadnej musztry wciąż tylko służby, sprzątanie rejonów i prace konserwacyjne na sprzęcie. Wokół jednostki rozciągał się las a do najbliższej miejscowości było pięć kilometrów. Latem, kiedy się nudził, zbierał grzyby ale co miał robić teraz zimą? Nawet do Warszawy trudno było się dodzwonić ponieważ do jednostki była podciągnięta tylko jedna para przewodów i linia była wiecznie zajęta. Znudzony i zrezygnowany wyjął z szafy puszkę żywca i otworzywszy go usiadł za biurkiem. Napił się piwa i ze znużoną miną zabrał się do ustalania grafiku służb wartowniczych.

Porucznik Żuk był tegorocznym absolwentem Wojskowej Akademii Technicznej. Uczył się dobrze ale ponieważ nie miał w wojsku żadnych znaczących znajomości, po ukończeniu akademii dostał przydział do położonej w Puszczy Kampinoskiej jednostki wojsk raketowych. Nie było to najlepsze miejsce dla ambitnego człowieka, nic się nie działo, a ponadto startując z takiej pozycji trudno było zrobić błyskotliwą karierę wojskową. Porucznik Żuk, był człowiekiem niezwykle energicznym, kochał wojsko i wszystko to co się z tym wiąże. Bardzo dobrze strzelał, był wysportowany, znał kilka wschodnich sztuk walki, wyjazdy na zimowe poligony traktował jak niezwykłą przygodę a trudy wojskowego życia wyrobiły w nim niezwykły hart ducha. Jednakże była rzecz której w wojsku nie znosił i nie potrafił z nią żyć: nuda. Ta cholerna beczynność w jaką popadł odkąd zaczął służyć w Olchownicy przyprawiała go o mocną chandrę i powodowała, że zaczynał pić coraz więcej alkoholu. Na szczęście miał alternatywę w postaci przeniesienia się do innej jednostki, gdzieś bliżej świata...

W kancelarii panowała niesamowita cisza. Dało się w niej słyszeć nawet tak nieznaczny dźwięk jak skrobanie ołówka po kartce papieru, na którym porucznik ustalał służby. W pewnym momencie cisza ta została przerwana przez dźwięk dzwonka telefonu. Porucznik energicznym ruchem poderwał słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

- Porucznik Żuk słucham.
- Major Kubicki – przedstawił się dowódca jednostki. Zrobił to raczej grzecznościowo ponieważ w tym małym dywizjonie wszyscy rozpoznawali się już po głosie. – Żuk, melduj się tu za pięć minut. Musimy natychmiast porozmawiać w związku z wyjazdem kapitana Nowickiego.
- W porządku. Już idę!
- No to cześć! Pośpiesz się.

Porucznik włożył czapkę, wygładził mundur i wyszedł z kancelarii. Ciekawiło go co wspólnego z jego osobą miał wyjazd kapitana Nowickiego. Czyżby zamierzano przydzielić mu zadanie czasowego dowodzenia baterią?

Idąc do sztabu natknął się na wartowników maszerujących w kolumnie dwójkowej. Jednakże według jego gustu „równość” ich kroku pozostawiała wiele do życzenia.

- Jak wy kurwa idziecie?! - huknął na nich zniecierpliwiony. – Tak to możecie sobie chodzić na spacer z psem! Równy krok i przybicie. Raz, dwa i przybicie! I tak cały czas!

- Eeetam, czepia się pan porucznik – odezwał się rozprowadzający. – Na zmianę warty idziemy a nie na defiladę.
- Co to, kurwa, za dyskusje ze starszym stopniem?! Na glebę i po dwadzieścia pompek! Raz!

Wartownicy stanęli zdeorientowani.

- Panie poruczniku, przecież według regulaminu naszym bezpośrednim przełożonym jest dowódca warty – protestował rozprowadzający. – Porucznik nie ma prawa wydawać nam rozkazów.
- Ale mam prawo zarządzić w nocy alarm przeciwpożarowy zwłaszcza, że jutro mam służbę! Prawda?

Wartownicy nie odpowiedzieli. Alarm przeciwpożarowy w nocy to najbardziej przejebana rzecz jaka mogła się wydarzyć gdy zmęczone służbą wojsko chce spać. Na dodatek po poruczniku Żuku wszystkiego można było się spodziewać. Milczeli nie wiedząc co powiedzieć.

- Dobra. Idźcie dalej- powiedział porucznik – Ale krok równo trzymać. To jest wojsko a nie bulwar nad Loarą!

Wartownicy radzi, że porucznik zrezygnował ze zmuszenia ich do robienia pompek pomaszzerowali w kierunku strefy tak pięknym krokiem defiladowym jakby paradowali przy Grobie Nieznanego Żołnierza.

Major Kubicki był jak na wojsko człowiekiem nad wyraz spokojnym. Regularnie karmił rybki w akwariu stojącym w jego gabinecie, kiedy nikt nie wiedział układał pasjansa, często niespiesznie spacerował po jednostce doglądając wszystkiego gospodarskim okiem. Pozostało mu tylko pół roku do emerytury. Swoje w wojsku już odsłużył. Teraz odpoczywał.

W chwili gdy porucznik Żuk zapukał do gabinetu major machinalnie przeglądał Polskę Zbrojną.

- Wejść! – zawołał usłyszawszy pukanie do drzwi.
- Porucznik Żuk wszedł do środka i zameldował się.
- Piszą coś ciekawego? – zapytał widząc, że dowódca przegląda gazetę.
 - Jest artykuł o przygotowaniach do poligonu w Ustce – powiedział major przrzucawszy gazetę na pierwszą stronę- Ma on się nazywać „Karat 95”. Wygląda na to, że będą to bardzo szeroko zakrojone manewry...
 - Piszą coś o nas?
 - Piszą, ale ogółem o całej Brygadzie Warszawskiej. Jest też wzmianka o dywizjonie z Bojęcina. Napisali, że zajęli pierwsze miejsce w strzelaninach w zeszłym roku.
 - Bojęcina zawsze wypadał nieźle. Mają dobrego naprowadzającego i szkołę szwejków aż do bólu. Potrafią załadować rakiety na wyrzutnie w ciągu dwudziestu czterech sekund. To chyba rekord brygady.
 - Tak, tak – przytaknął major. Zamknął gazetę, odłożył ją na bok i zmienił temat. – Jak pan wie kapitan Nowicki wyjeżdża na półroczne szkolenie i prawdopodobnie już do nas nie wróci. Zostanie w brygadzie w Warszawie.
 - Tak? – słuchał Żuk z zainteresowaniem.
 - W związku z tym chciałem panu zaproponować objęcie dowództwa nad pierwszą baterią.
- Porucznik Żuk nie krył swego entuzjazmu dla tej decyzji.
- Bardzo się cieszę! – powiedział wstając z fotela . W jego oczach zagrały ogniki radości. – Dowodzić pierwszą baterią to duży prestiż ale też i duża odpowiedzialność. Podoba mi się to jednak. Bardzo się cieszę z pańskiej decyzji!

Major podszedł do wiszącej na ścianie mapy i odnalazłszy wzrokiem Ustkę rzekł:

- Tak, to prawda, że to duża odpowiedzialność. Szczególnie, że spocznie na panu zadanie przygotowania pierwszej baterii do wyjazdu na poligon – major podszedł do akwarium,

wsypał trochę pokarmu dla rybek i odwróciwszy się do porucznika dodał. – W tym roku odchodzę na emeryturę i chcę abyśmy zajęli pierwsze miejsce w strzelaniach.

- Pierwsze miejsce? – Żuk miał minę jakby się nad czymś zastanawiał – Konkurencja jest mocna ale jest to możliwe. Potrzeba ćwiczeń, wielu ćwiczeń a wtedy można liczyć na pierwsze miejsce.
- Zrobi pan to?
- Postaram się!

Major uśmiechnął się miło.

- Nie pytałem pana o to czy się pan postara. Pytałem o to czy pan to zrobi.

Przez moment zapanowała cisza.

- Tak, ale uprzedzam, że szweje będą mieli niezły wycisk – odpowiedział porucznik.
- Właśnie o to chodzi. W tej kwestii mogę liczyć tylko na pana, panie poruczniku. Pozostali oficerowie są zbyt leniwi i nie mają żadnej motywacji do działania. Niestety tak to jest jeśli służy się w małym dywizjonie i nie ma większych widoków na karierę. Musi pan stąd uciekać poruczniku. Jeśli wygramy strzelania ma pan dużą szansę na dostanie się do brygady w Warszawie.
- Więc mam dodatkową motywację – zaśmiał się Żuk.
- Jutro dojdzie piętnastu nowych żołnierzy. Dziesięciu z nich zostanie skierowanych do pierwszej baterii. Będzie pan miał materiał do pracy.

Major podszedł do porucznika i wyciągnąwszy rękę powiedział:

- Gratuluję awansu. Decyzja o tym, że obejmuje pan dowództwo nad pierwszą baterią zostanie odczytana jutro na apelu porannym. Życzę wielu sukcesów na tym stanowisku.
- Dziękuję – Żuk odwzajemnił uścisk.
- Nie zatrzymuję pana – powiedział dowódca podchodząc do drzwi – Powiem krótko: do dzieła!
- Rozkaz panie majorze!

Żuk skinął głową i energicznym krokiem wyszedł z gabinetu dowódcy.

Porucznik Żuk zdawał sobie sprawę, że dowodzenie pierwszą baterią właśnie wtedy kiedy, jednostka przygotowuje się do wyjazdu na poligon było zadaniem dość trudnym. Zwłaszcza, że wiąże się to z przeszkoleniem nowo wcielonych do armii żołnierzy, którzy nie mają bladego pojęcia o sprzęcie i jego obsłudze. Wierzył jednak w to, że dzięki dużej ilości treningów i szkoleń jeśli uda mu się wzbudzić w żołnierzach entuzjazm do celu to mogą strzelić rakietami najcelniej ze wszystkich dywizjonów biorących udział w poligonie. Porucznik miał świadomość, że jeśli wywiąże się dobrze tego zadania, to zostanie zauważony przez oficerów w sztabie brygady i wówczas może liczyć na awans, który umożliwi mu wejście na ścieżkę kariery zawodowej.

Mocną stroną Bojęcina – najgroźniejszego rywala Olchowicy był oficer naprowadzający kapitan Bańcerowiak, człowiek o którym krążyły legendy. Kapitan Bańcerowiak od dwudziestu lat służył w wojskach raketowych. Za czasów komuny brał udział w trwających nierzadko po kilka miesięcy poligonach w Rosji. Jak wiadomo nie liczono się wtedy z wydatkami na wojsko, strzelał więc do celu rakietami setki razy. Również i w Polsce bardzo często wyjeżdżał na poligony i brał udział w treningach i szkoleniach. Człowiek ten wyrobił sobie taką renomę, że mimo iż był tylko kapitanem, liczono się z jego zdaniem nawet w samym sztabie brygady. Bez obawy o pomyłkę można było powiedzieć, że był to najlepszy oficer naprowadzania rakiet w Polsce.

Jak więc widać porucznik Żuk miał ostrą konkurencję ale był człowiekiem młodym, ambitnym i lubił takie wyzwania.

Kurs Szkolenia Podstawowego w Bojęcinie

Upłynął tydzień od momentu kiedy po przysiędze wróciliśmy z przepustek. W tym czasie zupełnie nic się nie działo. Przeważnie siedzieliśmy w baraku i udawaliśmy, że sprzątamy rejon, a nasi kaprale udawali, że sprawdzają porządki. Czasami tylko jakiś rozgorączkowany sierżant wpadał po kilku młodych, żeby mu pomogli w pracach na sprzęcie. Codziennie po śniadaniu odśnieżaliśmy wyrzutnie raketowe „żeby w razie wojny mógł pod nie podjechać samochód z raketami”. Nikt nie lubił tej roboty ponieważ była cholernie nudna i męcząca.

Nuda, po prostu nuda. Nie mogliśmy się doczekać aż w końcu wyślą nas do innych jednostek i zacznie się coś dziać. Niechby już nawet zaczęło się wnikanie w tą falę, tłoczenie pompek ścielenie wozów dla dziada, znowu te intensywne zaprawy poranne byle tylko nie myśleć o tym jakaż to kosmiczna cyfra pozostała jeszcze do odsłużenia.

Kapsel znowu się martwił. Okazało się, że idzie do dywizjonu w Baniosze, i że Pampers będzie jego dziadem. W zaufaniu powiedział mi, że jeśli nie będzie mógł wytrzymać to ucieknie z wojska. Mówił, że żałuję iż nie załatwił sobie kategorii „D” bo mu się ta instytucja z dnia na dzień coraz mniej podoba.

Ach te rozstania. W wojsku cały czas poznajesz nowych ludzi i za chwilę się z nimi rozstajesz. Z początku traktujesz to jako coś nienaturalnego, później zaczynasz się do tego przyzwyczajać. Trzeba uważać na to, żeby znajomości takie trzymać na pewien bezpieczny dystans ponieważ los może rzucić was w dwie różne strony Polski. Znowu będziesz musiał przeżywać kolejne cholernie przykre rozstanie i przez pewien czas mieć poczucie osamotnienia... Po co to komu.

W dni kiedy rozjeżdżaliśmy się do nowych jednostek przez cały czas siedzieliśmy w salach żołnierskich i czekaliśmy na transport. Plecaki były już spakowane, łóżka zdane do magazynu, rejon posprzątan na błysk, pozostało tylko czekać na trepów z innych dywizjonów. Odbywało się to na tej zasadzie, że na kompanię przychodził trep z którejś z jednostek i zgłaszał się do podoficera. Ten na przykład wołał:

- Ci co jadą do Żyrardowa na korytarzu w dwuszeregu zbiórka! Wolniej się ruszają dziadki! Wolniej!

Wywoływani żołnierze wstawali, zakładali plecaki, żegnali się ze swoimi kolegami i po sprawdzeniu stanu osobowego na zbiórce, pakowali się do podstawionej przed barak ciężarówki. Każdy z nas wiedział już do jakiej jednostki dostał przydział. Najbardziej obawialiśmy się, że MON oddeleguje nas do jednostki położonej na tak cholernym zadupiu, że zupełnie zapomnimy o cywilnym świecie. Nic tylko te same zielone mundury, garaże, wiaty dla samochodów, przykryte materiałem maskującym bunkry a wokoło kilka kilometrów lasu. To miał być cały świat.

Najbardziej minorowe nastroje mieli ci, którzy dostali przydział do jednostki położonej miejscowości o wdzięcznie brzmiącej nazwie „Baniocha”. Przecież żadna cywilizowana miejscowość nie mogła się tak nazywać!

Kiedy dowiedziałem się, że mam jechać do Olchownicy odetchnąłem z ulgą. Miejscowość ta znajdowała się tylko piętnaście kilometrów od Warszawy a jednostka mieściła się blisko samej drogi. Jakiś stary żołnierz pocieszał mnie: „Chłopie, wychodzisz z jednostki i pięć metrów za bramą masz drogę do Warszawy!”. Po usłyszeniu tej wiadomości humor poprawił mi się od razu. Tak więc jednak okazało się, że nie tyle obawialiśmy się samej fali co raczej tego, że wyślą nas

na jakieś koszmarnie zadupie, w którym nie będzie żadnego kontaktu z cywilnym światem. Parę miesięcy później dowiedziałem się, że jednym z nielicznych objawów życia cywilnego w Baniosze była kucharka, która gotowała obiady w niedzielę.

W końcu, prawie pod sam wieczór przyjechał po nas jakiś gruby i rubaszny sierżant z Olchownicy. Wstałem z łóżka, założyłem na siebie panterkę, założyłem plecak i zacząłem się żegnać z kolegami z sali. Byliśmy ze sobą bardzo zżyci. Przez te kilka tygodni aby przetrwać, musieliśmy ze sobą współpracować. Dzięki temu jeden drugiego lepiej znał i rozumiał.

- No to cześć chłopaki – powiedziałem wychodząc z sali – mam nadzieję, że jeszcze spotkamy się gdzieś na jakichś ćwiczeniach.
- Pewnie tak! – wołał Pindel (Ślązak z dziada pradziada). – Najważniejsze, żebyś nie miał pojebanych dziadów. Zresztą pierdol wszystko i się śmieję, wstaniesz rano będzie mniej!
- Tak , wiem – zaśmiałem się smutno. Łatwo było to powiedzieć, trudniej mieć takie podejście. Szczególnie wtedy kiedy tłoczyło się pięćdziesiątą ósmą pompkę za trzymanie rąk w kieszeni.

Na korytarzu spotkałem Sławka.

- Życzę powodzenia w nowej jednostce! – zawołał widząc, że idę na zbiórkę.
- Dziękuję i nawzajem – odparłem – pewnie jeszcze gdzieś się zobaczymy. Jak nie w wojsku to w cywilu.
- Musimy. Koniecznie. Jak wyjdziemy z tego syfu to spotkamy się na Wawelu i wypijemy kielicha na pohybel MON-owi!
- Jasne, że tak! Żeby tylko jak najszybciej zleciało.
- Zleci! Ani się obejrzyś a tu obcinka, urlop i cywil!
- I piękna wolność! – dodałem.
- I piękna wolność...

Na korytarzu rozległo się nawoływanie podoficera ponaglającego do ustawienia się na zbiórce.

- Cześć Sławek. Muszę już lecieć. Do zobaczenia!
- Cześć! Trzymaj się i nie daj się dziadom!
- Dobra, na razie.

Uścisnęliśmy sobie ręce i rozeszliśmy się Sławek do sali a ja popędziłem na zbiórkę.

Pół godziny później współ z czternastoma innymi kolegami w ochlapanym błotem autobusie wyjeżdżaliśmy z jednostki w Bojęcinie. Autobus wiozł nas ku nowej rzeczywistości, która podobno miała być jeszcze trudniejsza niż ta którą mieliśmy za sobą. Byłem ciekaw jak wypadki potoczą się dalej.

Znowu przejazd przez Warszawę. To jakby dać psu kielbasę a później zabrać mu ją sprzed nosa i przepędzić go do budy. Dobrze, że chociaż przez czas przejazdu przez miasto tak banalną i oczywistą rzecz, że oprócz naszego wojskowego świata istnieje także i inny, ten większy i podobno bardziej normalny. Widząc te zachodnie bryki, reklamy świetlne, ludzi ubranych według własnego gustu i te panienki (ach te piękne warszawianki!) czuło się pewną tęsknotę. Myślało się wówczas „no proszę ludzie tutaj używają sobie swobody a ja muszę gnić w syfie”. Ale co tam jak już w końcu wyjdzie się z tego wojska to wtedy odbije się te wszystkie niedostatki swobód i wolności. Tak, tak, czasami wydawało się to bardzo krzywdzące, że poszło się do wojska z powodu braku odpowiednich znajomości, albo dlatego że nie stać cię było na to, aby dać w łapę komu trzeba. Nierzadko widziałem jak bardzo jest to krzywdzące. Gość zdrowy jak koń siedział sobie w domu przed telewizorem i popijał piwko przełączając kanały pilotem a tu chłopak z chorym kręgosłupem, bez dwóch palców u lewej ręki, z jedną nogą dłużą o dwa

centymetry od drugiej wchodził za niego co dwadzieścia cztery godziny na wartę po to, aby taki synek aptekarza mógł sobie spokojnie raczyć się piwem oglądając „Polsat”. Wprawdzie ja miałem pierwszą kategorię zdrowia i ogólnie byłem zdrowy ale spotykałem żołnierzy, którzy mieli poważne schorzenia i dostali pierwszą kategorię zdrowia. Jak taki ktoś mógł trafić do wojska! Paranoja, mówię wam paranoja! Ale jeszcze raz powołam się na powiedzenie, że gdzie kończy się logika tam zaczyna się wojsko. Każdy trep się z tym zgodzi!

Po pół godzinie jazdy przez podwarszawskie miejscowości autobus odbił od głównej drogi i popędził wąską asfaltową szosą w kierunku lasu. Zaniepokoiłem się nieco ponieważ powiedziano mi, że Olchownica to jednostka znajdująca w cywilizowanym miejscu a nie ukryta w lasach. Na szczęście okazało się, że przez las jechało się tylko pięć minut. Autobus zwolnił, lekko skręcił w lewo i znalazł się już pod bramą jednostki. Nie do wiary! Rzeczywiście żołnierz z Bojęcina nie kłamał. Droga do Warszawy znajdowała się dziesięć metrów od bramy! To dobrze, ponieważ będziemy mieli dobry dojazd do miasta a było to bardzo ważne przy trwającej zaledwie siedemdziesiąt dwie godziny przepustce.

Wartownik zobaczywszy autobus zadzwonił z budki wartowniczej do dowódcy warty a następnie wziął klucze i otworzył bramę. Brudny, wypaprany błotem autosan wjechał na pokryty kilkucentymetrową warstwą śniegu plac i zatrzymał się obok dyżurki. Nieopodal znajdowało się też wejście do wartowni. Wyszło z niej kilku niechlujnie ubranych żołnierzy. Na nasz widok zaczęli się śmiać.

- Jak tam dziadki?! Ile tam staremu do cywila?!
- Dziadki, wyjąć te rączki z kieszeni bo popali!
- Fajki, kurwa, dziadki macie?

Nikt się do nich nie odzywał. Może któryś z nich jest naszym dziadem, jeszcze się mu odpowiedź nie spodoba i co wtedy? Lepiej było udawać, że się nie słyszy albo nie zwracać na nich uwagi.

Na polecenie sierżanta utworzyliśmy kolumnę dwójkową i ruszyliśmy w kierunku budynku koszar. Mijając stołówkę zostaliśmy klasycznie wyśmiani przez stojące w pobliżu stare wojsko. Jak zwykle w takich wypadkach nabijali się z naszej kosmicznej cyfry, wyzywali nas od kociarni i pytali się o fajki. No tak, fajki w wojsku to poważny problem. Żołd kończy się już po dziesięciu dniach a palić trzeba!

Sierżant zaprowadził nas na pierwsze piętro budynku koszar. Wszystkie te budynki koszarowe, a byłem już w siedmiu jednostkach, wybudowane były według tego samego planu: długi korytarz na parterze i na pierwszym piętrze a w nim drzwi do sal żołnierskich i kancelarii. Korytarz taki miał około sześćdziesięciu metrów długości, kończył się świetlicą, a po jego bokach z jednej strony znajdowały się sale żołnierskie, z drugiej zaś kancelarie dowódców baterii, łazienka, kible biblioteka i prasownia. Wyglądało to mniej więcej podobnie we wszystkich jednostkach.

Rubaszny i wesoły sierżant ulokował nas w jednej z sal żołnierskich znajdujących w się na końcu korytarza. W porównaniu do sal na unitarce, tutaj w Olchownicy było o całe niebo lepiej. Na oknach wisały firanki, na niepobrudzonych ścianach znajdowały się plakaty i niewielkie obrazy a na parapetach stały doniczki z kwiatami. Po prostu luksus.

Dużą część wieczoru zajęło wydawanie nam materaców, pościeli do łóżek. Wydawano nam także ubrania robocze, manierkę menażkę, nowe niezbędniki, plecaki, onuce, oraz inne rzeczy wchodzące w skład umundurowania. Cały czas do sali wchodziłi jacyś żołnierze po to aby obejrzeć sobie młodych. Wszyscy mówili nam z wyraźną zazdrością, że mamy szczęście ponieważ będziemy mieli tylko jednego dziada. Około dwudziestej pojawił się nasz dziad. Wprawdzie był naszym jedynym dziadem ale za to jakim! Nie było mowy o tym, aby ktoś mu podskoczył ponieważ chłop był z niego jak szafa. Ze sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu,

barczysty tęgi i widać było już na pierwszy rzut oka, że silny jest jak niedźwiedź. Właśnie dlatego przezywano go „misiek”.

Misiek przywitał się z osobną z każdym z nas i powiedział, że pogadamy o fali po capstrzyku ponieważ teraz musi iść na strefę. Dało się po nim zauważyć przede wszystkim to, że nie ma świra na punkcie fali, że nie jest jakimś przewartościowanym prymitywem. Okazało się więc, że mieliśmy sporo szczęścia: było nas dziewięciu i mieliśmy tylko jednego dziada na dodatek w miarę normalnego. Wstępne rozpoznanie wykazało, że w jednostce tej panuje niezbyt mocna fala, ale takie zwyczaje jak ściganie młodych, dyskoteki, grające szafy, pogrzeb peta oraz inne falowe atrakcje występują i są często praktykowane. Dowiedzieliśmy się również, że obowiązuje tu taki zwyczaj, iż młodzi żołnierze po przyjeździe do jednostki dostają trzy dni „po lepszańsku”. Oznaczało to, że na ten czas fala nas nie dotyczyła. W tym czasie mogliśmy robić wszystko bez żadnych falowych ograniczeń czyli leżeć na wozach (łózkach) a nie na podłodze, pić herbatę bez pytania dziadka o pozwolenie, wychodzić do kantyny itp. Z jednej strony wydawało się to być bardzo miłym zaskoczeniem, z drugiej zaś obawialiśmy się, że może to być cisza przed burzą.

Pościeliwszy wozy i ułożywszy swe rzeczy w szafkach poszliśmy na stołówkę zjeść kolację. Oczywiście o tej porze nie wydawano już posiłków ale wojsko na taką okazję zaopatrywało żołnierzy w suchy prowiant. Na stołówce pomocnik kucharza nalał nam herbaty do plastikowych kubków i nie zwracając na nas uwagi zabrał się do mycia podłogi. Pamiętam jak w pewnym momencie przyszedł na stołówkę dziadek tego żołnierza. Przez chwilę o czymś rozmawiali, prawdopodobnie o sprzątaniu jakichś rejonów. Najwidoczniej, mówiąc wojskowym językiem żołnierz „zmoczył” ponieważ dziadek kazał robić pompki. Wbrew pozorom w wojsku nie wykonuje się zbyt często intensywnych ćwiczeń fizycznych (no chyba, że ma się przejebyanych dziadów!) i dlatego przy trzydziestej pompce żołnierz był już cały czerwony z wysiłku. Poddał się dopiero po sześćdziesiątej. Żadna groźba dziadka nie była w stanie zmusić go do zrobienia jeszcze jednej pompki. Później chłopaczek zaliczył jeszcze dzamping dookoła stołówki i trzydzieści przysiadów. W końcu dziadek zdecydował, że już wystarczy tego sportu i zdyszany żołnierz zabrał się do mycia podłogi. Jak więc widać, w wojsku dbanie o porządek jest zajęciem o bardzo wysokim priorytecie skoro na tle sprzątnięcia rejonów dochodzi do takich ekscesów.

Było nas na stołówce piętnastu. Żaden z nas nie ruszył się aby pomóc żołnierzowi. Gdyby sytuacja taka miała miejsce w cywilu to prawdopodobnie zachowalibyśmy się inaczej ale tutaj w wojsku rządziła fala i trzeba było się do tego dostosować.

Po godzinie dwudziestej drugiej podoficer ogłosił capstrzyk. Piętnaście minut później Misiek wszedł do naszej sali w asyście czterech starszych od siebie fałą kolegów z wiosny. Zasady tak zwanego „wnikania w fale” są takie, że twoimi dziadami są żołnierze, którzy przyszli do wojska równo rok przed tobą, czyli jeśli przyszedłeś do wojska na jesień to miałeś dziadów z jesieni ubiegłego roku. W pierwszej baterii do której trafiliśmy był tylko jeden żołnierz ze starej jesieni właśnie Misiek. Mieliśmy naprawdę dużo szczęścia ponieważ na tych kolegów, którzy teraz jeszcze bawili w cywilu a mieli pójść do wojska na zimę, w jednostce tej już czekało dziesięciu dziadów.

Misiek usiadł na łóżku znajdującym się tuż pod oknem i oparł się swoimi wielkimi plecami o kaloryfer. W wojsku był taki falowy zwyczaj, że żołnierze najmłodszy fałą spali tuż przy drzwiach i w miarę tego jak awansowali posuwali się w kierunku okna. Młody żołnierz nie mógł usiąść na łóżku żołnierza starszego od niego fałą „ bo popali”). Nasz dziad pozwolił nam usiąść na wozach i zapytał:

- No to co dziadki, idziecie falowo, czy regulaminowo?

Wszyscy już od dawna byliśmy nastawieni na to aby iść falowo, wiadomo przecież, że regulaminem można zajeździć człowieka.

- Falowo, falowo – odpowiedzieliśmy po kilku na raz.
- A może któryś chce iść regulaminowo? – zapytał jeden z żołnierzy z lata, którzy przyszli z naszym dziadkiem. – Od raz uprzedzam, że drewniaki mają u nas przejebane!
- Nie, nie – zaprotestowaliśmy – idziemy falowo!
- Macie rację chłopaki. lepiej przetrwać te sześć miesięcy i później mieć spokój niż jechać na szmacie całą służbę.

Kiedy nasz dziad upewnił się, że wszyscy jak jeden mąż zamierzamy iść falowo zaczęło się ustalanie tego, co nam wolno a czego nie. Fakt bycia żołnierzem najmłodszego poboru ma ta właśnie specyficzną właściwość, że wolno mu naprawdę niewiele, właściwie prawie nic, natomiast żołnierz taki miał całą masę obowiązków wobec swojego dziada. W trakcie tego spotkania ustalono, że nie wolno nam pić kawy i herbaty bez pytania dziadka o pozwolenie, nie wolno nam było wychodzić do kantyny, leżeć na wozach przed capstrzykiem, trzymać rąk w kieszeni, oglądać telewizji, myć się i brać prysznic przed 21:30 (regulaminowy czas toalety). Palacze mieli przechlapane ponieważ za każdym razem kiedy chcieli zapalić papierosa musieli się pytać dziadka o pozwolenie. Oczywiście należało się pytać dziadka o to czy zezwala wyjechać na przepustkę.

Jak widać były to drobnostki ale właśnie to człowieka najbardziej wkurzało, że nawet o takie pierdoły musi się pytać dziadka. Dzięki temu miało się wrażenie coraz większego ubezwłasnowolnienia oraz dodatkowego ograniczenia wolności osobistej. Młodzi żołnierze nie mieli lekkiego życia także i z innych powodów: na przykład na warcie wstawiano ich na najgorsze zmiany, obstawiali najgorsze posterunki, dostawali też najcięższe służby w jednostce, do ich obowiązków należało sprzątanie wszystkich rejonów, wychodzenie na zaprawę bez ściemniania (czyli nie można było schować się w lesie tylko należało biec dookoła jednostki trzy kilometry o szóstej rano). Naturalną rzeczą było także i to, że ścieliło się łóżko swojemu dziadowi, robiło się mu kawę, herbatę, przynosiło fajki, prało jego ciuchy, wykonywało się za niego osobiście zlecane mu prace.

Na szczęście ten najgorszy okres miał trwać trzy miesiące. Później przychodził kolejny pobór i przejmował na siebie dużą część falowych i regulaminowych obowiązków. Wszelkie wyłamanie się z zasad fali, niedopełnienie jakiegoś obowiązku albo polecenia dziada nazywało się „zmoką” i było karane. W wojsku obowiązywała zasada odpowiedzialności zbiorowej czyli „ jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Jeśli któryś z żołnierzy zmoczył, to wieczorem, kiedy kadra wyjechała już z jednostki, wszyscy żołnierze z jego fali mieli „imprezę”, którą różnie w wojsku nazywano. W Olchownicy nazywało się to „dygańskim” lub „tłoczeniem”. Zasada odpowiedzialności zbiorowej powodowała, że wszyscy pilnowali się nawzajem, co wytwarzało wyjątkowo niezdrową atmosferę. Granicą po przekroczeniu której miało się zdecydowanie więcej swobód była obcinka (trzydzieści wojskowych skórzanych pasów na dupę i szklanka wódki dla znieczulenia). Po obcince nie miałeś już dziadów i żaden starszy falą żołnierz nie miał prawa tobą rządzić. Dlatego też wszyscy powtarzaliśmy sobie: „ aby tylko do obcinki, później już zleci”.

Po ustaleniu wszystkich szczegółów wnikania w falę na polecenie naszego dziadka wyszliśmy na korytarz i głośno zawołaliśmy:

wiosna, lato chuj nie fala, jesień wszystko rozpierdala!

Było to odważne posunięcie ze strony Miśka ponieważ nie należał jeszcze do najstarszego poboru.

- No dobra chłopaki – powiedział nasz dziad wyraźnie zadowolony. – Od teraz macie trzy dni po lepszańsku. Później zacznie się wnikanie w falę. Możecie iść spać.

W pewnym momencie poczułem do niego coś w rodzaju sympatii. Zawsze wyobrażałem

sobie swojego przyszłego dziada jako chodzącego prymitywa a tymczasem okazało się, że Misiek to taki zrównoważony i spokojny człowiek. Jednak po kilku tygodniach zweryfikowałem swoje poglądy ponieważ okazało się, że dziad, jaki by nie był, mimo twoich najszczerzych chęci jest osobą, której w żaden sposób polubić się nie da.

Następnego dnia rano obudziło nas kukanie kukulek. Zdziwiliśmy się niepomiarze ponieważ te piękne ptaki zazwyczaj zimą nie dają o sobie znaku życia. Nie wiem co się z nimi dzieje, może odlatują do ciepłych krajów albo śpią w dziuplach. W każdym razie w Bojęcinie były i na dodatek kukały! Miały jednak trochę zachrypnięte i nie do końca naturalnie brzmiące głosy. Wyrzeliśmy więc wielce zaciekawieni przez okno. Zobaczyliśmy taki widok: na drzewie rosnącym tuż obok wejścia na stołówkę siedziało pięciu młodych żołnierzy a stojący pod drzewem dziad krzyczał:

- Głośniej tam, kurwa, dziadki kukają! Głośniej! I przeskakują na gałązki! Wolniej się ruszają, wolniej!

Młodzi zaczęli głośno kukać i przeskakiwać z gałęzi na gałąź a ich dziad aż zanosił się od śmiechu. Z okien budynku wyglądało kilkudziesięciu żołnierzy i wszyscy się równo rechotali.

A dziad na dole wołał.

- Dobrze dziadki kukają! Dobrze! Dostaniecie dzisiaj do obiadu po lepszańsku!

Spojrzeliliśmy po sobie.

- Gdzie myśmy trafili?! Co to za pojebana jednostka? – mówił jeden z kolegów zresztą całkiem nieźle wystraszony. – Czy młodzi tutaj mają rzeczywiście aż tak przechłapanie?

Trudno było cokolwiek powiedzieć ponieważ w ogóle nie znaliśmy zwyczajów panujących w tej jednostce. Fakt faktem, że to co zobaczyliśmy wywarło na nas duże wrażenie.

W chwilę później podoficer wrzeszcząc co sił w gardle ogłosił pobudkę i podał strój na poranną zaprawę fizyczną. Na dworze było co najmniej dziesięć stopni mrozu. Nie za bardzo chciało się w ogóle wychodzić na zewnątrz a co dopiero biec trzy kilometry dookoła jednostki. Nie było jednak pomijać, młode wojsko musiało iść na zaprawę i koniec. Natomiast stare wojsko klasycznie ściemniało na przykład zamykając się w prasowalni, chowając się w szafkach albo idąc na kotłownię. Po ogłoszeniu zaprawy oficer dyżurny chodził po salach i sprawdzał czy wszyscy wyszli na zaprawę stąd też w tym ściemnianiu był pewien element ryzyka.

Poranna zaprawa fizyczna w różnych jednostkach odbywała się w różny sposób. Ku mojemu najwyższemu zdziwieniu okazało się, że zaprawa fizyczna w Olchownicy odbywała się poza terenem jednostki. Po prostu wychodziło się za bramę i biegło dookoła ogrodzenia. Jednostka miała akurat trzy kilometry obwodu i jak pobiegłeś z jednej strony to musiałeś wrócić z drugiej. Nie dało się tej drogi w żaden sposób skrócić. Trzeba było biec i to szybko ponieważ na dywizjonie czekały na ciebie kible do szorowania, zasyfiona łazienka i rejony zewnątrz. Wszystko to należało posprzątać przed śniadaniem bo jak nie to zmoka i dygańsko!

Fakt, że zaprawy odbywały się poza terenem jednostki świadczył o tym, że wojsko nie jest więzieniem fizycznym lecz mentalnym, psychicznym. Na unitarce wielokrotnie powtarzano nam, że te druty kolczaste, którymi otoczona jest jednostka nie są po to aby nie można było uciec z jednostki ale po to, aby nie można było się do niej dostać. Zawsze uważałem, że wojsko jest czymś w rodzaju więzienia mentalnego. Przecież jest tyle dziur w ogrodzeniu. Nawet trepy o nich wiedzą. Można uciekać ale po co? Żeby stanąć przed sądem wojskowym?

Po zaprawie i śniadaniu nadszedł czas na apel poranny. Ustawiliśmy się w dwuzeregu od najstarszego do najmłodszego fala na szerokim placu apelowym. Kadra akceptowała takie

ustawienie w szyku na mniej formalnych apelach, na tych bardziej poważnych stawaliśmy regulaminowo, czyli według wzrostu. Apele odbywały się zawsze (z wyjątkiem niedziel) choćby nawet grzmiało i padał deszcz. Czasami stało się tak i mokło ze dwadzieścia minut zanim przyszedł do nas jakiś trep, powiedział parę słów i kazał się rozejść (ubrania wojskowe były bardzo rzadko oddawane do pralni więc każdy kontakt z wodą zawsze dobrze im robił).

Tym razem nie musieliśmy czekać zbyt długo na pojawienie się naszego dowódcy. Porucznik Żuk podszedł do nas energicznym krokiem wprost z apelu kadry i po złożeniu mu meldunku przez podoficera stanął przed naszym dwuszeregiem.

- Czołem żołnierze! – zawołał.
- Czołem panie poruczniku! – odpowiedzieliśmy chórem.

Porucznik stanął w rozkroku i uśmiechnął się szeroko.

- Witam młodych żołnierzy. Czy stare wojsko nie dokuczało wam tej nocy?

Spojrzyliśmy po sobie. Jakie dziwne pytania tej trepa zadaje. Co go to obchodzi?

- Nie dokuczało – ktoś tam odpowiedział. – W ogóle jednostka jest bardzo ładna.

Stare wojsko zaniósło się śmiechem i spojrzało na niego jak na idiotę. Patrzcie go, jednostka mu się podoba. To może se taki weźmie taczkę z kotłowni i pozbiera pety dookoła? Będzie jeszcze ładniejsza. Misiak spojrzał na niego kątem oka i powiedział:

- Rejony do bólu!

W wojsku obowiązywała zasada, żeby się nie wychylać, czyli nie być ani pierwszym, ani ostatnim ponieważ ci, co zwracali na siebie uwagę mieli zawsze najbardziej przejebane. Ale kolega był jeszcze młodym żołnierzem i miał prawo o tym nie wiedzieć.

- Cicho tam! – krzyknął porucznik. – Słuchać co mówię!

Uciszyliśmy się i z zaciekawieniem spojrzeliśmy na porucznika.

- Jak wiecie w lipcu jednostka jedzie na poligon w Ustce – Żuk poprawił czapkę na głowie i zaczął wolno spacerować przed szykiem. – Zarówno mnie jak i dowódcy jednostki zależy na tym, aby wypaść na tych ćwiczeniach jak najlepiej. Powiem więcej, cel jest taki, aby zająć na tych strzelaniach pierwsze miejsce.

Porucznik spojrzał na żołnierzy ale nie dojrzał w ich oczach entuzjazmu. Zgnuśniałe i przywykłe do bezczynności wojsko ani myślało wkładać dodatkowy wysiłek w przygotowania do zdobycia pierwszego miejsca na poligonie ponieważ dowódca baterii i dowódca jednostki tak akurat sobie zamarzyli. Celem dla którego się tu znaleźli było przetrwanie tego całego syfu bez zbędnego angażowania się w cokolwiek. Życie w tej jednostce było spokojne, momentami nawet nudne ale dzięki temu można było przekimnąć się gdzieś we wiacie samochodowej, latem poleżeć w cieniu na warcie, a zimą jak nie było w planie żadnych zajęć to oglądało się telewizję w świetlicy i popijało na przemian kawę i herbatę. Fakt, że momentami stawało się to bardzo nudne ale i tak lepsza była taka nuda niż zapieprzanie w pocie czoła na wyrzutniach raketowych. Teraz mieliby z tego zrezygnować? Nigdy!

- Co to ma znaczyć? – mówił porucznik. – Nie widzę żadnego zapału!
- Panie poruczniku – odezwał się jeden ze starych żołnierzy – My ty przyszliśmy odjechać cały ten syf a nie dla zasług. Na chuj nam te pierwsze miejsce na poligonie? Leci sobie pomału dzień za dniem i nie jest źle.
- Pomału sobie leci? A co by było jakby leciał sobie szybko? – porucznik wyglądał na naprawdę poruszonego.
- No byłoby lepiej ale...
- Zgnuśnialiście, kurwa, w tej jednostce lenie śmierdzące! Ale ja was, kurwa rozruszam!
- Ale panie poruczniku...
- Rozejść się!

Podoficer uformował kolumnę dwójkową i poprowadził nas na dywizjon. Całe przedpołudnie do obiadu spędziliśmy na strefie ścinając i znosząc drzewa z lasu. Ciężka była to praca jak to zwykle przy ścinaniu drzew. Najgorsza jednak była świadomość tego, że Żuk się wkurzył i na pewno zamierza wymyślić jakieś ćwiczenia, taktykę albo coś takiego co da nam nieźle popalić. Żołnierze, którzy służyli w tej jednostce wiedzieli już, że Żuk jest do tego zdolny. Nie pierwszy raz zrobił już alarm pożarowy w nocy i to w najmniej spodziewanym momencie. To że do tej pory nie zorganizował jeszcze taktyki albo innych równie uciążliwych zajęć, wcale nie pocieszał starego wojska. Wręcz odwrotnie, z każdą chwilą czuli oni coraz większy niepokój i byli przygotowani na to, że lada moment mogą usłyszeć wycie syreny alarmowej. Jakoś jednak nic szczególnego nie wydarzyło się do obiadu a później nawet do wyjazdu kadry z jednostki. Było to co najmniej dziwne, ale cóż, może Żuk ostatnimi czasy zmienił się trochę?. Wszak miał przecież narzeczoną. Może przy niej trochę złagodniał?

Wieczorem wraz z kilkoma kolegami sprzątaaliśmy świetlicę. Stare wojsko leżało sobie wygodnie na dywanie i popijając przyniesione z pobliskiego sklepu piwko oglądało bajki na Polsacie. Większość starych żołnierzy w ten właśnie sposób spędzała wieczorami wolny czas. Czynność ta nie angażowała umysłowo i można było przy niej psychicznie wypocząć. Co chwilę rozlegał się czyjś głupi rechot. Dużą popularnością cieszyły się bajki w języku angielskim, im bajka była głupsza, tym lepsza. No cóż dziady inteligencją nigdy nie grzeszyły (zresztą jak to dziady). W pewnym momencie na świetlicę wpadł jakiś żołnierz ze starej wiosny. Gniewny, naburmuszony wszedł do środka, splunął za okno i siadł nerwowo na krześle. Wyłożył nogi na stół i bawił się cienizną, kątem oka oglądając telewizję. Nie wiadomo co go tak wkurzyło ale przecież o to w wojsku nie trudno. Raptem jego wzrok padł na leżącego pod stolikiem peta. Przyjrzał mu się jeszcze raz jakby oczom nie wierzył i wrzasnął:

- Co to, kurwa jest?! Pet? Jak ci kurwa młodzi sprzątają?!
- Gdzie? – tak się stało, że na świetlicy znajdował się także nasz dziad Misiek.
- Tu kurwa. Leży jak wół. To twoi młodzi, Misiek?

Nasz dziad pochylił się pod stolikiem i rzeczywiście ujrzał tam częściowo rozdeptanego peta.

- Moi – potwierdził.
- Jak ty ich kurwa szkolisz? Rejonów sprzątać nie umieją?

Misiek spojrział na nas i powiedział spokojnym ale nie wróżącym niczego dobrego tonem:

- Pogrzeb peta.

Popatrzyliśmy po sobie. Pogrzeb peta? Co to takiego? Jakaś uroczystość czy co? Już niedługo mieliśmy możliwość przekonania się jak to wygląda.

Najstarsze falą wojsko zebrało wszystkich młodych żołnierzy w jednej sali. Wszyscy młodzi nakazem swoich dziadów mieli jak przystało na ceremonię pogrzebową smutne i ponure miny. Znaleziony na świetlicy pet spokojnie spoczywał na parapecie. Stare wojsko śmiało się z tej całej sytuacji. Mieli z tego niezły ubaw ponieważ wiedzieli co nas czeka a my jeszcze nie. W końcu Misiek, który był teraz chyba najbardziej liczącym się dziadem ponieważ miał dziewięciu młodych wstał z łóżka i dał hasło do rozpoczęcia ceremonii:

- No dobra. Zaczynamy!
- Niski krępy żołnierz ze starego lata wziął z łóżka białą poduszkę i rzucił ją w moją stronę.
- Łap młody – powiedział śmiejąc się. – Ty będziesz szedł na początku.

Misiek wziął peta z parapeku, podszedł do mnie i nakazał:

- Trzymaj poduszkę w wyciągniętych rękach.

Złapałem ją tak jak powiedział a on na środku poduszki położył peta.

Stare wojsko na ten widok zaniósł się śmiechem, my młode wojsko mieliśmy zachować powagę.

W kilka minut później z naszej sali wyruszył kondukt pogrzebowy. Szedłem na samym przedzie trzymając przed sobą białą poduszkę z położonym na niej petem a za mną w kolumnie dwójkowej szedł kondukt składający się z kilkudziesięciu młodych żołnierzy. W powadze i milczeniu przemaszzerowaliśmy przez cały korytarz, zeszliśmy na dół po schodach i wyszliśmy z dywizjonu. Stare wojsko szło obok kolumny i zanosilo się od śmiechu. Chyba dawno nie mieli już aż takiego ubawu. Misiek pokierował nami tak, że doszliśmy do znajdującego się tuż obok budynku koszar małego zagajnika. Kilku żołnierzy pozostało na czacie aby pilnować czy nie idzie oficer. Dzisiejszego dnia służbę oficera dyżurnego pełnił kapitan Leniusz a wiadomo było, że lubi się on wieczorami szwendać po jednostce. Kiedy kondukt żałobny doszedł do niewielkiej polanki mieszczącej się w zagajniku Misiek zawołał:

- No, dobra dziadki! A teraz kopcie tu dół półtora metra długo i półtora szeroki!

Starzy żołnierze wybuchnęli śmiechem:

- Co, kurwa, zdziwieni, tak? – wołał wysoki, chudy jak szczapa żołnierz. – Nam dziady kazali wyjechać dół dwa na dwa!

Cóż mieliśmy powiedzieć. Sami tego chcieliśmy godząc się na wnikanie w falę. Dwóch kolegów splunęło w ręce, złapało za sztychówki i zaczęło ryc dół. Po pół godzinie intensywnego kopania dół był już gotowy. W tym czasie reszta młodego wojska sumiennie płakała i użalała się nad biednym petem, który za moment miał być pogrzebany. W końcu kiedy żołnierze wryli odpowiedniej wielkości dziurę i odłożyli sztychówki na bok Misiek wziął peta z poduszki i wrzucił go dołu. Wysoki chudy żołnierz palnął niezwykle wyniosłą mowę pożegnalną na temat nieszczęsnego peta. Kiedy skończył kazał zasypać dół. Złapaliśmy więc za sztychówki i po dziesięciu minutach dół był już zakopany. Na dywizjon wróciliśmy tuż przed capstrzykiem. Posprzątaaliśmy rejon, umyliśmy się i położyliśmy się spać. Tak wyglądał pogrzeb peta. Pozostawiam go bez komentarza..

Koniec rozdziału dziewiątego.

Rozdział X

Noc pełna wrażeń

Syrena alarmowa wyła wściekle już od kilku minut. Na placu tuż przed budynkiem sztabu dało się zauważyć poruszające się biegiem grupki żołnierzy. W rękach trzymali kałasznikowy, na ich głowach kołysały się stalowe hełmy a na plecach nieśli nabite do granic możliwości brezentowe plecaki. Wysypywali się z budynku koszar, w którym mieścił się magazyn uzbrojenia i poganiani przez wydającego broń podoficera pędzili do stojących na palcu ciężarówek.

- Zapierdalają, kurwa, zapierdalają! Ładują się do samochodów! - porucznik Żuk stał na schodach przed sztabem i kierował akcją. - Zagęszczają ruchy, za pięć minut wyjeżdżamy z jednostki!

Dźwięk syreny, tupot wojskowych butów, warkot silników i przekleństwa to jedyne co dało się słyszeć w promieniu kilkudziesięciu metrów. W powietrzu unosiła się woń spalin i gęsto płynęła adrenalina. Nerwy, krzyk, szczęk żelastwa, tupot wojskowych butów i woń potu przemieszana z zapachem oleju do konserwowania broni, którym przesiąknięte były wojskowe ubrania wszystko to wypełniało duży plac przed koszarami. Czuć też było siarczysty mróz, na którym szybkie oddechy żołnierzy przerażały się w obłoczki lekkiej mgiełki unoszącej się nad ich głowami.

Cały dywizjon łącznie z wyrwanym ze snu palaczem postawiony został na nogi. Dowódca, major Kubicki powiadomiony o alarmie zasuwał służbowym samochodem do jednostki. Zastanawiał się co temu Żukowi odbiło aby urządzać alarmy po nocach. Wiedział, że Żuk ma fioła na punkcie wojska ale nie sądził, że aż do takiego stopnia.

Wkrótce całe wojsko oprócz żołnierzy pełniących służby siedziało w ciężarówkach i łapiąc oddech czekało na odjazd. Mimo tego, że wyrwano ich ze snu o godzinie drugiej w nocy nikt nie narzekał. Wręcz przeciwnie, wszyscy byli tym alarmem niezwykle podekscytowani. Wreszcie coś zaczęło się dziać w tej cholernie nudnej jednostce. Nawet palacz wylazł ze swej kotłowni, w której zwykle przespisał całe noce i oparłszy się ręką o drzewo z zainteresowaniem przyglądał się całej sytuacji. Na schodach przed izbą chorych siedziało kilku żołnierzy ubranych w panterki i spodnie od piżam. Wyszli ze swych łóżek aby przyjrzeć się cóż to takiego niezwykłego dzieje się na placu.

- Widzisz Gienek, takie wojsko to ja rozumiem – mówił jeden z nich. - Ćwiczenia, alarmy, musztra. Przynajmniej czas leciałby szybciej a tak to człowiek jeździ na szmacie i liczy dzień za dniem.
- Że też kurwa muszę gnić na tej izbie! – Gienka rozsadała energia mimo wysokiej gorączki i serii bolesnych zastrzyków, które bez efektów aplikowano mu od tygodnia. – Że też właśnie teraz rozchorowałem się na tą grypę!
- Jebać to! – odezwał się jeden z nich najwidoczniej sporo miechów już odsłużył bo nie wzruszały go takie akcje. – Chce wam się tarzać w błocie i zapierniczać biegiem z maską na ryju? Chodźcie, lepiej dokończymy flaszkę.

Kucharz i jego pomocnik kleli na czym świat stoi. Rozpieszczeni spokojną i bezstresową służbą w kuchni mieli teraz niesamowite problemy z założeniem całego wojskowego ekwipunku. Reszta wojska już od dawna siedziała w ciężarówkach a ci dwaj wciąż jeszcze nie mogli się odnaleźć

w tych wszystkich paskach, zapinkach, torbach i broni.

- Jak mam założyć na maskę?! – wołał kucharz bezradnie trzymając w ręce torbę z maską gazową.
- Na lewe ramię i pod pas! – podpowiadał podoficer dyżurny – Szybciej kurwa, czekają na was!

Pomocnik kucharza męczył się z magazynkiem, który za żadne skarby nie chciał wejść do odpowiedniej przedziałki w ładownicy. W normalnych warunkach zrobiłby to bez najmniejszego problemu ale teraz w tym stresie i pod tą presją, młodemu żołnierzowi po prostu trzęsły się ręce. Tak, trzeba przyznać, że dla nich obydwu było to coś zupełnie różnego od mieszania chochlą zupy w garnku.

Porucznik Żuk prawie biegiem wpadł na dywizjon. Zobaczywszy dwóch nieporadnie ubierających się żołnierzy zawołał:

- Wypadają stąd, biegiem! Na pace się ubierzecie! Jazda!

Kucharz i jego pomocnik złapali w garść plecaki i w te pędy pognali do ciężarówek. Porucznik Żuk wyszedł z dywizjonu i pobiegł na plac na którym stały ciężarówki.

- Otwieraj bramę! – zawołał do wartownika wsiadając do stojącego obok ogrodzenia stara- Szybciej tam!

Po chwili rozległ się zgrzyt rozsuwanej na obydwie strony bramy. Porucznik wsiadł do kabiny, energicznym ruchem rzucił czapkę na maskę i wyjął z raportówki wojskową mapę. Znalazł na niej małą miejscowość Mariew położoną na skraju Puszczy Kampinoskiej i wskazał ją długopisem.

- Wiesz jak tam dojechać? – zapytał pochylając mapę przed kierowcą.
- Wiem!
- No to jazda!

Kierowca mocno wcisnął pedał gazu i ciężarówka, ciągnąc za sobą białą wstęgę spalin, przejechała przez bramę jednostki. Za nią podążyły kolejne dwa wojskowe stary. Przebijając reflektorami mrok nocy popędziły asfaltową drogą w kierunku puszczy rysującej się czarną plamą na horyzoncie.

Pomimo tego, że siedziałem prawie tuż za kabiną, czułem mocne powiewy lodowato zimnego wiatru. Jako, że ciężarówka skręciła w boczną pełną wykrotów drogę, rzuciło nami na wszystkie strony. Trzeba było mocno zapierać się nogami i trzymać rękoma ławek aby nie runąć na podłogę.

To bardzo ciekawe uczucie kiedy siedzi się w ciężarówce pełnej groźnie wyglądających żołnierzy, mając założony na głowę stalowy hełm, u lewego boku maskę gazową, u prawego „OP1”¹, a między kolanami ściskając chłodną lufę kałasznikowa. Na grzbiecie dźwigasz plecak, w którym mieści się prawie cały twój wojskowy dobytek łącznie z kocem, który jest przypięty do plecaka za pomocą troków. W tej sytuacji czujesz się tak, jakbyś jechał na jakąś akcję bojową w czasie wojny. Jedyna różnica polega na tym, że nie masz ostrej amunicji w magazynku. To wcale nie psuje nieodpartego wrażenia, że bierzesz udział w niezwykle ważnej i niebezpiecznej misji.

Ciężarówka skręca w wąską, leśną drogę. Słychać jak zwisające nad drogą gałęzie drzew uderzają w brezentową plandekę.

- Czy ktoś wie dokąd nas wiozą? – Przez warkot silnika przebija się wołanie jakiegoś żołnierza.
- Tą drogą można dojechać do Mariewa. Pewnie tam jedziemy! – ktoś mu odpowiada. Nawet nie usiłuję przyjrzeć się tym żołnierzom ciężarówce jest ciasno a założony na głowę hełm krępuje ruchy.
- Często trafiają się takie alarmy? – pytałem usiłując przekrzyczeć ogólny jazgot.

¹ Odzież ochronna zakładana na terenie skażonym chemicznie.

- Dziadek, jak gnije w tym syfie dwanaście miechów tak jeszcze nie przeżyłem żadnego! – odpowiedział jakiś żołnierz siedzący tuż przy burcie. Wyrzucił niedopałek papierosa na drogę i dodał. – Żuk urządził parę razy alarmy pożarowe ale takiego jeszcze nigdy nie było!

Zauważyłem, że żołnierz ten mówi z pewnym dobrze mi znanym akcentem.

- Skąd jesteś? – zapytałem go.
- Z Sanoka.
- Nieźle! Ja też z tamtych stron, dokładniej z Bukowca koło Wołkowyji. Wiesz gdzie to jest?
- Wiem, byłem tam na polu namiotowym w zeszłym roku. Piękne czasy!
- Ale nas wyjebali, jakby tam jednostek nie było!
- Pierdoli mnie to! Odjechać i zapomnieć!
- Dużo ci zostało?
- Zero osiemdziesiąt sześć. Mało co?
- Malunio!

Moja cyfra w porównaniu do jego wydawała się kosmiczna jak liczba „pi” podniesiona do dwunastej potęgi. Mój Boże jeszcze rok i trzy miechy do cywila. Rok czy dwadzieścia co to za różnica, czas płynie tak samo wolno. Mój dziadek służył sześć lat w carskim wojsku ale w Rosji sporo się wtedy działo więc mu czas szybko leciał..

W życiu nie spodziewałbym się, że właśnie tutaj w pędzącej przez las ciężarówce spotkam kogoś pochodzącego z mych rodzinnych stron. Służba w wojsku bywa jednak pełna niespodzianek.

Po półgodzinnej jeździe przez las nasza jadąca na końcu konwoju ciężarówka wjechała na rozległą pokrytą śniegiem polanę. Kierowca wyłączył silnik i raptem zrobiło się przeraźliwie cicho. Po tym całym hałasie, który nastąpił od momentu ogłoszenia alarmu, jedyny dochodzący z zewnątrz dźwięk w postaci łagodnego szumu wiatru brzmiał co najmniej niepokojąco. Widząc oświetlony reflektorami innych ciężarówek skrawek polany patrzyliśmy jeden na drugiego z niemym pytaniem w oczach: „co dalej”? Gdzieś niedaleko rozległ się głos porucznika Żuka.

- Wsiadają! Wsiadają i ustawiają się na zbiórkę!

Kierowca podbiegł na tył ciężarówki i otworzył burzę. Powoli, ostrożnie, dźwigając na sobie ważące chyba ze dwadzieścia kilogramów wyposażenie, zaczęliśmy schodzić z paki na ziemię.

Noc, ciemna noc, przysłonięte gęstymi chmurami niebo, a wokół puszcza. Do tego mróz i powiewy chłodnego wiatru. Porucznik Żuk formuje zbiórkę na skraju polany. Żołnierze, którzy przyjechali przed nami już na niej stoją. W tych stalowych hełmach na głowach, plecakami, maskami gazowymi i karabinami wyglądamy tak, jakbyśmy mieli iść na wojnę.

- Biegiem, kurwa, biegiem się ruszają! – woła do nas porucznik nerwowo uderzając ręką w raportówkę.

Suchy śnieg skrzypi pod naporem wojskowych butów. Popędzani przez porucznika przyspieszyliśmy kroku. Nie jest łatwo biec z tym całym majdanem na sobie. Ciekaw jestem jak można się bić na wojnie z tymi wszystkimi tobołami. Przecież człowiek nawet nie jest w stanie się szybko obrócić aby zareagować na atak.

Porucznik Żuk biega po polanie, wydaje rozkazy, ustawia żołnierzy, sprawdza wyposażenie, widać, że czuje się jak ryba w wodzie. Na polanę wjeżdża wojskowa sanitarka. Pomalowana na brązowo nysa wolno grzęźnie w śniegu i zatrzymuje się koło ciężarówek. Wsiada z niej jakiś niski, krępy żołnierz z apteczką w ręku. To sanitariusz. W tego typu akcjach musi być zapewniona stała opieka medyczna na wypadek gdyby komuś coś się stało. Porucznik woła do siebie kierowców. Czterech żołnierzy szybko występują z szyku i podbiega do niego.

- Kierowcy ciężarówek do samochodów i wracać do jednostki! – rozkazuje. Na twarzach żołnierzy prowadzących wojskowe Stary pojawia się wyraz ulgi. Nie będą musieli brać udziału w tych całych manewrach.- Sanitarka ma jechać za wojskiem!

Kierowcy ucieszeni, że uniknęli wątpliwej przyjemności ganiania na mrozie w te pędy pognali do samochodów.

- Poruczniku, czy ja też mam dołączyć do wojska?- zapytał sanitariusz?
- Jasne, że tak!
- Ale tak mało już zostało...
- Do szeregu biegiem!

Porucznik szanował fałę, ale w takich wypadkach nie robił wyjątków. Niech chłopak parę dni przed wyjściem do cywila dowie się jak wygląda prawdziwe wojsko! Będzie miał co wnukom opowiadać.

- Myślisz, że będziemy ćwiczyli taktykę na tej polanie? – pytam się stojącego obok mnie żołnierza chociaż zdaję sobie z tego sprawę, że wie dokładnie tyle samo co i ja.
- Chyba nie. Wygląda na to, że będziemy maszerować do jednostki. Mam nadzieję, że Żuk nie karze nam czołgać się w śniegu! – powiedział, ale nie był tego całkowicie pewien.
- Ile jest kilometrów stąd do Bojęcina?
- Nie wiem, ale wydaje mi się, że około piętnastu.
- O kurwa, daleko!

Przechodzący obok nas porucznik huknął:

- Cicho tam! W szyku się nie rozmawia!

Wojskowe stary, którymi przyjechaliśmy, zataczają długi łuk wokół stojących na zbiorce żołnierzy i wjeżdżają na leśną drogę. Po chwili ich światła całkowicie nikną za drzewami. Zrobiło się ciemno. Tylko od śniegu biła biała poświata, dzięki której widać było ciemne sylwetki żołnierzy i czarną ścianę otaczającego polanę lasu. Raptem rozległ się huk wystrzału. To porucznik Żuk uprzednio naładowawszy pistolet teraz wystrzelił w powietrze białą racę. Światło bijące od racy było tak mocne, że zrobiło się jasno prawie jak w dzień. Porucznik Żuk stanął frontem do szeregu żołnierzy i odezwał się donośnym głosem.

- Żołnierze! Wasi koledzy z pierwszej baterii skarżyli się że w jednostce nuda! Zorganizowałem więc wycieczkę. W tę stronę samochodami a z powrotem na nogach!
- Szkoda, że pan porucznik tę wycieczkę na noc zaplanował – odezwał się jakiś żołnierz mówiący śląskim akcentem. – Wielu tych kilometrów do Bojęcina?
- Będzie z czteremaście – odpowiedział porucznik.
- To nie mogliśmy jeszcze ten jeden podjechać żeby równo piętnaście było?

Na polanie wybuchła salwa śmiechu.

- Pindel nie mędrkuj tam! – pogroził porucznik - gdzie jest kapral Ciechocki?
- Jestem panie poruczniku! – odezwał się wysoki żołnierz stojący na samym początku szeregu.
- Formuj kolumnę dwójkową i prowadź wojsko na drogę!
- Tak jest!

Kapral - od razu widać było, że stary i doświadczony żołnierz - ustawia nas w kolumnę dwójkową, wydaje komendę „Baczność! Za mną marsz” i długa składająca się z siedemdziesięciu żołnierzy kolumna rusza w stronę drogi. Słychać skrzyp śniegu pod nogami, krótkie urywane rozmowy i szybkie oddechy żołnierzy. Brnąc przez śnieg dochodzimy do biegnącej przez las drogi. Zatrzymujemy się na chwilę, mocno tupiąc nogami strzepujemy suchy śnieg z butów, poprawiamy plecaki i resztę oporządzenia. Porucznik podchodzi do kaprała, zamienia z nim kilka słów i odchodzi na bok. Zaczyna się robić zimno. Najpierw ta jazda na pace ciężarówki, później stanie na zbiorce i do tego ten blaszany baniak na głowie. Wolałbym już iść, przynajmniej można się rozgrzać. Kapral zdaje się to rozumieć, ponieważ wydaje komendę do wymarszu. Ruszamy z trzykrotnym mocnym przybiciem. Długą ociążalą i groźnie wyglądającą kolumną idziemy drogą przez las. Z początku rozmawiamy ze sobą, później jednak zmęczenie daje się we znaki i zamienialiśmy ze sobą tylko półsłówka. Porucznik idzie z boku i baczy na to, jak maszerują żołnierze. Od czasu do czasu zwraca komuś uwagę, żeby dociągnął pas, wyrównał krok, poprawił hełm. Z tyłu za kolumną toczy się sanitarka. Po dziesięciu minutach marszu kapral wydaje komendę: „ Wolny krok!” i znowu można iść swobodnie, jak komu pasuje a nie noga w nogę.

Po godzinie marszu kapral niespodziewanie wydaje komendę:

- Skażenie chemiczne! Maski włoż!

Przez chwilę nikt nie reaguje. Wojsko przyzwyczajone do nudnego odbębniania służb i wylegiwania się w łózkach jest wyjątkowo zaskoczone takim rozkazem. Dusić się w masce gazowej na gębie? Za nic w świecie!

- Eee, kapral, przecież tu je świeże powietrze! Puszczą Kampinoska, rozumisz? – woła Ślązak, który rozmawiał wcześniej z porucznikiem na zbiórce.

- Żołnierzu, co to za dyskusje! – zgromił go porucznik – Zakładają maski!

Jak rozkaz, to rozkaz. Tym bardziej, że wydaje go sam oficer. Zakładamy więc maski gazowe na gęby i idziemy dalej. Ogólnie rzecz biorąc daje się wytrzymać tylko że po dziesięciu minutach zaczyna się robić trochę gorąco, na okularach osadza się para, no i momentami brakuje powietrza. W środku śmierdzi gumą a do twoich uszu dociera odgłos przepuszczanego przez filtry powietrza. Wdech i wydech, wdech i wydech i tak cały czas. Najwidoczniej po dwudziestu długich minutach przekroczyliśmy teren skażony chemicznie ponieważ kapral wydał polecenie „Maski zdejm!” . Z ulgą zdejmujemy maski i wkładamy je do wiszącej u lewego boku torby. Niektórzy żołnierze niezbyt dobrze znieśli ten spacer, ktoś skarży się, że zbiera go na wymioty, inny jest czerwony jak burak. Wszyscy bez wyjątku ocieramy pot z czoła i łakomie wdychamy nadzwyczaj świeże w tych warunkach kampinoskie powietrze.

I znów maszerujemy. Panuje znacznie większe ożywienie niż wcześniej. Komentujemy marsz w maskach gazowych. Kilku żołnierzy zaczyna już tęsknić za jednostką. Opowiadają jak to wezmą ciepły prysznic, jak to zalegną na wozach popijając zrobioną przez młodych ciepłą herbatkę z cytrynką.

Spodziewamy się, że na tym zakończyły się przygotowane dla nas przez Żuka atrakcje. Okazuje się jednak, że jesteśmy w głębokim błędzie. Gdy po prawej stronie drogi pojawia się duża porośnięta krzakami polana niespodziewanie pada rozkaz „ Maski włoż! Wróg z lewej strony. W prawo biegiem rozejść się!” Odwróciliśmy się w prawo i przeskoczywszy przydrożny rów szybko rozproszyliśmy się po polanie. Każdy schował się za jakimś krzakiem i udawał, że mierzy w przeciwnika znajdującego się po przeciwnej stronie drogi. Plecak, hełm i cała reszta ekwipunku blokowała ruchy. Pamiętam, że mimo ostrego mrozu było mi straszliwie gorąco. Pomimo całej niewygodności podobały mi się jednak takie ćwiczenia. Przynajmniej zaczynało to przypominać prawdziwe wojsko! Porucznik Żuk, najwidoczniej czuł, że przyzwyczajeni do jeźdźstwa na szmacie czujemy niedosyt tego typu wrażeń gdyż wydał rozkaz:

- Powstań! Naprzód biegiem marsz!

Wyszliśmy zza krzaków i ciężko dysząc pobiegliśmy w kierunku drogi. Starzy żołnierze zaczęli kłać:

- Ile ja, kurwa, mam żeby tak ganiać!² – wołał Misiek.

- Pojechało tego Żuka czy co?! – sapał inny żołnierz.

Porucznik Żuk przygotował kolejne atrakcje:

- Padnij! Granat!

Biegnąc rzucamy się na ziemię lądując z gębami w śniegu. Pada kolejna komenda:

- Czołganiem z pełzaniem naprzód!

W tym momencie sam się mocno zdenerwowałem. Gorąco w tym całym ubranku, niewygodnie, duszno a ty masz się jeszcze czołgać w śniegu! W prawej ręce trzymasz karabin i tak pełzniesz a zimny śnieg dostaje się do nadgarstków. To było naprawę bardzo stresujące. Na szczęście po przeczolganii się około piętnastu metrów porucznik wydał polecenie:

- Powstań! Naprzód biegiem marsz! – a po chwili dodał – zdejmują maski i ustawiają się na zbiórce!

Przebiegliśmy czym prędzej przez polanę i zdyszani ustawiliśmy się w dwuszeregu.

² Chodzi o ilość dni do wyjścia z wojska. Zasada była taka, że im mniej żołnierz miał do wyjścia tym bardziej robił leniwy.

- Porucznik chce z nas komandosów zrobić czy co? – pytał jakiś bombardier³. - Ze mnie i tak zaden Rambo nie będzie!

Porucznik podszedł do niego i poklepał go po ramieniu.

- Będzie, będzie. Zobaczysz...

Roześmialiśmy się mając nadzieję, że Żuk raczej żartuje niż mówi poważnie. Pod komendą kaprała na nowo uformowaliśmy kolumnę dwójkową i żwawo pomaszerowaliśmy przez las. Do jednostki pozostało około pięciu kilometrów.

Zmęczenie. Po przejściu dwunastu kilometrów z pełnym wyposażeniem na sobie czuje się potworne zmęczenie. Nikt z nikim nie rozmawia. Wszyscy maszerują do przodu jak automaty. Niestety nie każdy jest odporny na taki poziom stresu i zmęczenia. Wojskowe komisje lekarskie rzetelnością nie grzeszą i przepuszczają nawet tych, którzy mają mniej lub bardziej poważne choroby serca. Idąc słyszę, że któryś z żołnierzy skarży się na zawroty głowy i mocne zmęczenie. Co chwilę ociera pot z czoła i ciężko sapie. Nikt się tym za bardzo nie przejmuje ponieważ po tak długim i ciężkim marszu wszyscy jesteśmy prawie całkowicie wyczerpani. Żołnierz ten jednak staje w miejscu i zaczyna wymiotować. Żuk karze zatrzymać kolumnę. Podchodzi do niego i pyta.

- Dasz radę iść?
- Nie! Dalej już nie mogę! To ze zmęczenia. Nie przyzwyczajony jestem - i tu nasz kolega puścił długiego pawia. – Mam problemy z sercem! Nie powinienem chodzić na takie marsze!
- Sanitariusz! – woła porucznik patrząc w kierunku nysy.
- Jestem panie poruczniku! – odzywa się żołnierz z apteczką w ręku.
- Bierz tego żołnierza i jedźcie do jednostki. Gdyby były jakieś poważniejsze problemy to zostaw go na izbie chorych i dzwoń po lekarza!
- Rozkaz panie poruczniku! – powiedział żołnierz i powoli odszedł ze ślaniającym się ze zmęczenia żołnierzem w kierunku sanitarki.

Po chwili samochód odjechał a my kontynuowaliśmy marsz. Nikt się specjalnie nie dziwił. Na zaprawach zdarzało się, że ktoś wymiotował ze zmęczenia. Tyle tylko, że Podkalicki – tak się nazywał żołnierz zabrany sanitarką – miał podobno jakieś poważne problemy z sercem.

Kiedy do jednostki pozostał zaledwie kilometr „pękł” kolejny żołnierz. Początkowo utykał, narzekając na obtarcie stopy aż w końcu całkiem się zatrzymał.

- Obtarłem sobie nogę! Dalej nie jestem w stanie iść! – wykrzyknął.

Porucznik Żuk podbiegł do niego.

- Co się dzieje żołnierzu? – zapytał surowym tonem.
- Nie mogę iść tak szybko. Nogę sobie obtarłem przez te cholerne opinacze. Mówiłem sierżantowi, że chcę je wymienić - tłumaczył się żołnierz.

Widać było po nim, że czuje mocny ból gdy staje na lewej nodze. Tutaj zrodził się pewien problem ponieważ sanitarka już odjechała a kolega ten nie był w stanie dalej iść z kolumną. Należało zatem znaleźć inne rozwiązanie.

- Jest tutaj jakiś podoficer? – zawołał porucznik.
- Jest! Kapral Kostrzewa - odezwał się wysoki i tegi żołnierz.
- Idź z tym żołnierzem za kolumną. Weź sobie kogoś do pomocy. Jasne?
- Jasne panie poruczniku! – odpowiedział kapral. Odwrócił się do mnie i zapytał:
- Chcesz, młody⁴, iść z nami?
- Mogę iść – odparłem. – Trochę odpocznę od tego tempa.
- W porządku – mówił porucznik – po przyjsciu do jednostki, zdajcie broń u podoficera. Jasne?

³ Odpowiednik starszego szeregowego w wojskach lądowych

⁴ „Młody” to inaczej mówiąc kot (ale nie miauczy).

- Tak jest, panie poruczniku!

Kolumna wojska szybko ruszyła do przodu a my powoli podreptaliśmy za nią.

Kolega, który obtarł sobie nogę miał na imię Rysiek i był z wiosny. Kapral natomiast był z lata, czyli tak naprawdę w naszej skromnej, trzyosobowej grupie rządził Rysio ponieważ on był najstarszy fałą. Kiedy kolumna wojska znikła za zakrętem Rysiek zaproponował:

- Znam skróty przez las. Połowę krótsza droga. Idziemy?
- A jak nas nakryją? – zapytał kapral.
- Pomyśl jak. Przecież na tej drodze jest zakręt za zakrętem. Nie będą zdziwieni jeśli stracą nas z pola widzenia.
- A jeśli Żuk wróci się po nas? – kapral wciąż miał poważne wątpliwości.
- Kapral! Co ty tu masz do gadania! Falowo idziemy, nie? – Rysiek najwyraźniej stracił już cierpliwość.
- Falowo!
- No to idziemy tamtędy gdzie ja mówię, czyli na skróty!
- Niech ci będzie – kapral dał za wygraną. Wiedział, że Rysiek ma sześcioletnich i wołał nie wchodzić z nim w konflikt.

W tej sytuacji niewiele miałem do powiedzenia. Młody kot musi się dostosować do tego, co mówi starszy fałą i koniec. Zresztą ja osobiście nie miałem nic przeciwko temu, aby pójść na skróty, ponieważ cały ten marsz dał mi się mocno we znaki. Nie dziwiłem się Ryśkowi, że wołał pójść krótszą drogą ponieważ rzeczywiście mocno utykał na lewą nogę. Skręciliśmy więc w las i idąc wąską ścieżką szliśmy przed siebie. W pewnym momencie zatrzymaliśmy się nad szeroką na około dziesięć metrów rzeką, która pokryta była grubą (przynajmniej tak wydawało się na pierwszy rzut oka) warstwą lodu.

- Mam nadzieję, że to cholerstwo nie załamie się pod nami – mówił kapral. – Aleś Rysiek skróty wymyślił! Żeby cię licho wzięło!
- Nie załamie się! Wczoraj tędy do sklepu szedłem. Chodźcie!

Ruszyliśmy więc powoli, jeden za drugim. Niestety, nie było to zbyt dobrze przemyślane. Być może gdybyśmy szli w większych odstępach to nic by się nie stało. W pewnym momencie rozległo się głośne „kraaach” i w ułamku sekundy wylądowaliśmy w głębokiej prawie po pas wodzie. Wszyscy zaczęliśmy wrzeszczeć i kłać. Kapral stracił równowagę, wymachiwał rękoma i niewiele brakowało a cały wpakowałby się do rzeki. Na szczęście oparł się plecakiem o pokrywą lodu. Początkowo ogarnęła mnie panika, kiedy jednak poczułem pod stopami dno rzeki uspokoiłem się i zacząłem łapać równowagę. W jedną chwilę przenikł mnie dotkliwy chłód. Lodowata woda sięgała mi powyżej kolan i czułem jak przesiąka do butów. Wyrzuciłem na brzeg plecak i wolno, niezdarnie wygramoliłem się na powierzchnię lodu. Złapałem plecak i człapiąc butami pobiegłem na brzeg. Stojąc na twardym gruncie poczułem wyraźną ulgę. Wiedząc jednak, że Rysiek z kapralem nadal się męczą z wydostaniem się z wody zacząłem im pomagać. Klęliśmy przy tym niezmiernie.

- Toś nas Rysiek na skróty wyprowadził! – mówił kapral z wyraźnym zaniepokojeniem przyglądając się swoim napęczniałym od wody butom. – Mówiłem, żeby nie iść na skróty!
- Odpierdol się! – krzyknął Rysiek. - Trzeba było nie iść!
- Mogliśmy przechodzić przez tę rzekę pojedynczo, to może wtedy lód nie załamałby się pod nami – wtrąciłem swą drobną uwagę.
- Młody, kurwa, proszę cię ktoś o głos? – wrzasnął na mnie Rysiek – Zamknij ryja!

Ustyszawszy taką odpowiedź postanowiłem nie odzywać się więcej. Oczywiście dociągnięty na ostatnią dziurę kot, niewiele ma do powiedzenia, ale przecież w tej krytycznej sytuacji można by zrobić wyjątek.

Do jednostki pozostało około pięciu minut drogi. Zarzuciliśmy plecaki i mokrych spodniach i człapiących z wilgoci butach powędrowaliśmy przez las.

Wyszliśmy na drogę tuż przy samej jednostce. Obejrzałem się za siebie i zauważyłem, że

zza zakrętu wyłania się wojskowa sanitarka. Na nasz widok kierowca sanitarki przyśpieszył i zatrzymał pojazd kilka kroków przed nami. Wskoczył z niego porucznik Żuk. Trzasnął mocno drzwiami i podszedł do nas. Widać było po nim, że jest mocno podenerwowany.

- Kurwa, którądy łaziliście? Jeżdżę drogą, szukam wszędzie ,a tu wojsko znikło!

Nikt się nie odezwał. Trudno było zmyślić coś na poczekaniu.

- Dlaczego macie mokre gacie i buty?

- Od tego czołgania się po mokrym śniegu – powiedział Rysiek. Wiedział, że to głupie wytłumaczenie ale i tak nie dało się wymyślić czegoś bardziej sensownego.

Żuk poświecił latarką wzdłuż przydrożnego rowu i zauważył wydeptaną przez nas w śniegu ścieżkę.

- No tak! Poszliście na skróty przez las i wpierdoliście się do rzeki? – mówił świecąc latarką po naszych mokrych spodniach.

Rysiek widząc, że nie ma sensu kłamać potwierdził:

- Poszliśmy przez las i lód załamał się pod nami na rzece - widząc, że porucznik zaczyna się denerwować dodał. – Ale nikomu nic się nie stało!

- Był rozkaz iść drogą! – huknął na niego porucznik – Po apelu porannym wszyscy trzej meldujecie się u mnie w kancelarii! Teraz biegiem na dywizjon! Zdajcie broń i przebieczcie się w ciepłe ciuchy bo się rozchorujecie i jeszcze nie będzie komu na służby wchodzić!

- Rozkaz panie poruczniku! – Rysiek odwrócił się do nas i zawołał – No to idziemy, chłopaki!

Jako że zimno było jak jasna cholera szybko pomaszerowaliśmy do jednostki. Rysiek włókł się na końcu ponieważ kąpiel w lodowatej wodzie wcale nie wpłynęła leczniczo na jego obtartą nogę. Na dywizjonie zdaliśmy broń w magazynie uzbrojenia i pognaliśmy do swoich sal. Mnóstwo wojska kręciło się po korytarzu. Nikt jeszcze nie spał. Wszyscy komentowali niespodziewany nocny wymarsz. Wszedłem do swojej sali i z ulgą rzuciłem ciężki plecak na łóżko.

- Pałowski coś ty kurwa taki mokry? – zapytał kolega z sali.

W odpowiedzi machnąłem ręką.

- Ryby łowiłem – zdjąłem hełm z głowy i dodałem. – Karpie.

Rozpakowałem plecak, część znajdujących się w nim rzeczy zaniósłem do magazynu umundurowania i czym prędzej przebrałem się w ciepłe ciuchy. Rozmawiając z kolegami, pościeliłem łóżko i położyłem się spać. Tak zakończyła się pełna wrażeń noc.

Rano tuż po apelu porannym ja, kapral i ów żołnierz z wiosny, który namówił nas na pójście przez las, niemal w tym samym czasie pojawiliśmy się przed kancelarią porucznika Żuka. Tego dnia chyba nie było takiego żołnierza, który nie miałby podkrążonych z niewyspania oczu i zakwasów w nogach . O ile jeszcze wczoraj nikt specjalnie na pomysł Żuka z tym nocnym alarmem nie narzekał o tyle dziś wszyscy klęli na niego na czym świat stoi. Żołnierze z pierwszej baterii obawiali się, że Żuk będzie przeprowadzał dziś ćwiczenia na wyrzutniach raketowych ale na szczęście rano zapowiedział zjazd z jednostki. Również i nam trzem udzieliły się ogólnie panujące nastroje. Kapral miał dodatkowy powód do irytacji ponieważ spodziewał się, że za tydzień wyjedzie na przepustkę, a po tej całej małej dezercji mogło się okazać, że na tę długo oczekiwaną przepustkę pojedzie ktoś inny. Rysiek musiał się nieźle przeziębic ponieważ cały czas smarkał do chusteczki i kaszlał. Co się tyczy mnie to albo niezbyt mocno się zmoczyłem, albo zadziałała wojskowa delbeta, czyli ów słynny zastrzyk podnoszący ogólną odporność na zachorowania, ponieważ prócz potwornego bólu główny wywołanego moją kosmiczną cyfrą nic

więcej mi nie dolegało⁵. Chwilę postaliśmy przed drzwiami wahając się kto ma wejść pierwszy aż w końcu kapral zastukał do drzwi.

- Wejść! - usłyszeliśmy głośnie wołanie.

Kapral otworzył drzwi, wszedł do kancelarii i zameldował się.

- Dobra, dobra – mówił porucznik. – Widzę kapral, że umiesz się zameldować, regulamin znasz, ale co z tego jak nie słuchasz przełożonych!

Kapral wzruszył bezradnie ramionami i stęknął bo rozboleły go zakwasy od noszenia plecaka.

- Sumienie cię gryzie? – porucznik odebrał to stęknięcie jako oznakę bólu psychicznego a nie cielesnego. – Nie martw się kapral, kara cię nie ominie! Ile do cywila?

- Dwieście sześćdziesiąt siedem, panie poruczniku – powiedział kapral i spojrzął w sufit bo wiedział, że to wciąż jeszcze kosmos.

- No to w chuj! – Żuk otworzył szerzej drzwi do kancelarii popatrzył na mnie i na Ryśka – Wchodzą do środka!

Weszliśmy do kancelarii i stanęliśmy w postawie zasadniczej obok kaprała. Porucznik Żuk przeszedł obok, nas usiadł za biurkiem i wysunąwszy szufladę wyjął z niej zeszyt, w którym ustalał służby.

- Będę się streszczał bo zaraz wyjeżdżam z jednostki. Sześciu żołnierzy leży na izbie chorych i w związku z tym brakuje ludzi do wchodzenia na warty. Karę za tę niesubordynację macie taką, że będziecie rąbać służby dwadzieścia cztery na dwadzieścia cztery przez dwa tygodnie.

Kapral – podoficera, ty Rysiek na najbliższe dwa tygodnie obejmujesz posterunek pierwszy na własność, a ty młody – tu zwrócił się do mnie – wchodzisz na dyżurnego.

Porucznik zamknął zeszyt i włożył go do szuflady.

- Obowiązki dyżurnego znasz? – popatrzył na mnie. – Bo widzę, że młoda kita z ciebie.

- Znam. Byłem dyżurnym na unitarce.

- To dobrze. Jutro wchodzisz na pierwszą służbę.

Kapral stał się wyraźnie markotny. Potwierdziły się jego najgorsze przeczucia.

- A co z moją przepustką? – zapytał.

- Poszła się jebać. Pojedziesz jak odbębniś służby.

W kancelarii rozległo się ciężkie westchnienie kaprała. Później przekonałem się, że dopóki nie wyjdiesz za bramę to nigdy nie możesz być pewny tego, że pójdziesz na przepustkę bo zawsze w ostatniej chwili coś może wypaść.

- Dobra panowie, to wszystko z mojej strony. Możecie odmaszerować – powiedział Żuk wstając zza biurka. Założył na siebie panterkę i otworzył przed nami drzwi. – Macie szczęście, że brakuje ludzi na służby, bo jak nie to posłałbym was do brygady na wczasy pod kasztanami!

Czym prędzej opuściliśmy kancelarię dowódcy baterii. Szybko zbiegliśmy po schodach

i wyszliśmy na plac przed budynkiem koszar. Kapral cały czas kłął siarczyście.

- Kurwa! Żeby jasna cholera wzięła tego Żuka! Tam w domu już na mnie czekają a ja będę gnił w syfie!

- Pojebany ten Żuk! – Rysiek zgadzał się z nim w całej rozciągłości. – Co to za różnica, czy asfaltem czy przez las? Przez dwa tygodnie na jedynekę? Przejebane jak sto pięćdziesiąt!

Dodać tutaj należy, że posterunek pierwszy miał taką właściwość, że znajdował się tuż pod oknem oficera dyżurnego i nie dało się na nim ściemniać. Trzeba było przez całą zmianę paradować przed bramą. Tak więc rzeczywiście i Rysiek miał powody do narzekania. Wchodzenie na służbę dyżurnego dywizjonu też do przyjemności nie należało, zwłaszcza jeśli wchodziło się na tę służbę co dwadzieścia cztery godziny. Jednego byłem pewien: przez najbliższe dwa tygodnie na pewno się nie wyspię. Trudno. Ból młodego.

⁵ Stąd też kieruje wniosek racjonalizatorski do lekarzy wojskowych aby spreparowali taką delbete, która uodparnia na kosmiczną cyfrę albo ogólniej na tak zwany „ból młodego”.

- Co to są te wczasy pod kasztanami? – zapytałem kaprała.
- Areszt wojskowy. Nazwa wzięła się stąd, że ancel mieści się w brygadzie w budynku, otoczonym kasztanami. Wychodzisz z ancla i widzisz nad sobą kasztany.
- Śmieszna nazwa – odpowiedziałem i skrzyłem na stołówkę ponieważ na apelu porannym wyznaczono mnie do służby na kuchni. – Nie wiem, czy chciałbym tam trafić.
- Ja na pewno nie.

Pomyślałem sobie, że to mogłoby być ciekawe, takie siedzenie w anclu ale na razie i tak na brak wrażeń nie narzekałem.

Dalsza część dnia upłynęła bez żadnych godnych odnotowania wydarzeń. Sprzątaaliśmy rejon zewnętrzny, nosiliśmy kanistry z paliwem do znajdujących się na strefie agregatów i tradycyjnie odśnieżaliśmy podjazdy do wyrzutni raketowych. Stare wojsko straszło nas na każdym kroku jak to dostaniemy w dupę jak tylko skończy się nam po lepszańsku. W szczególności czterech żołnierze z wiosennego poboru zapewniali nas, że co prawda nasz dziad Misiek to łagodny człowiek ale już oni go przypilnują, aby dał nam popalić. Wprawdzie nie byli naszymi dziadkami ale byli starsi fałą od Miśka i mogli mu odebrać prawa do młodych kiedy będą już najstarszym poborem.

Wieczorem, po kolacji Misiek zażył sobie kawy. Akurat ja nic specjalnego nie robiłem, więc wyznaczono mnie do zrobienia kawy dziadkowi. Trochę to dziwne uczucie kiedy się robi pierwszą kawę dziadkowi. Człowiek czuje się jednak trochę poniżony tą służalczą rolą, ale co na to poradzić? Nie zrobisz kawy to będziesz tłoczył pompki ze swoimi falusiami⁶. Najpierw doceni cię dziadek a później falusie.

Zrobiłem więc kawę i zaniósłem ją do sali w której przebywał Misiek. Akurat wspólnie z owymi żołnierzami z wiosny oglądał jakieś bajki w telewizji. Ogólnie rzecz biorąc, bardzo popularny w służbie zasadniczej sposób spędzania wolnego czasu. Położyłem kawę na taborecie i zbierałem się do wyjścia z sali, Misiek jednak zatrzymał mnie poleceniem:

- Paślawski, wyjrzyj przez okno i zobacz ile drzew rośnie w lesie!

Zdziwiło mnie to pytanie, bo na dobrą sprawę jak mogę policzyć ile tam drzew, w tym lesie rośnie? Przecież tego w ogóle nie da się policzyć. Wyjrzałem jednak przez okno i popatrzyłem w kierunku lasu.

- Od zajebania! – odpowiedziałem dosadnie. Wydawało mi się, że moja odpowiedź jest wzorowa. Taka typowo wojskowa. Ku mojemu zdziwieniu na sali gruchnęła salwa szyderczego śmiechu. Żołnierze z wiosny rechotali aż trzeszczały sprężyny w łózkach na których leżeli. Misiek natomiast był smutny.

- Nie zajarzył, nie zajarzył! – śmiał się jeden z bocianów⁷. – Misiek, on mówi, że ty masz do zajebania! Misiek ty wyjdiesz do cywila razem ze swoimi młodymi!

Misiek wstał z łóżka i popatrzył na mnie groźnie.

- Nie wiesz ,kurwa, młody ile stary ma do cywila?! – popatrzył na mnie takim wzrokiem, że aż ciarki przeszły mi po plecach.

Nie miałem bladego pojęcia dlaczego oni wszyscy tak się śmieją!

- Wiem! Dzisiaj jest sto czterdzieści siedem! - odpowiedziałem bezbłędnie, bo dzisiejszą cyferkę dziadka bardzo dobrze pamiętałem.

- To pomyśl kito, ile drzew rośnie w Puszczy Kampinoskiej?

Tu mnie oświeciło.

- Eee, sto czterdzieści siedem? – powiedziałem z odrobiną niepewności.
- Bardzo dobrze! Popatrz jak szybko policzyłeś! A ile kilometrów ma dziadek do domu?
- Sto czterdzieści siedem! – odpowiedziałem pewnie.

⁶ Faluś – kolega z twojego poboru.

⁷ Bocian – żołnierz z wiosennego poboru.

- Coraz lepiej! A ile to jest?
- Mało!
- Bardzo dobrze! Ale i tak zmoczyłeś na początku! Zmoka i będzie dygańsko, bo żeby powiedzieć dziadowi „od zajebania” to mi się w pale nie mieści!

Żołnierz z wiosny zawołał:

- Misiek, zapytaj go ile kaw dziadek dzisiaj pije!

Misiek zaśmiał się i zapytał:

- Powiedz młody, ile kaw dziadek dzisiaj wypije?
- Sto czterdzieści siedem!

Żołnierze w sali wybuchnęli śmiechem.

- No to kurwa robić te kawy! Za godzinę ma tu stać sto czterdzieści siedem kaw! Biegiem!

Aż głowa mnie rozbolała kiedy usłyszałem taką dyrektywę. Sto czterdzieści siedem kaw! Skąd wziąć tyle kawy, skąd wziąć tyle kubków?! I jak to w ogóle zaparzyć? Niemal wybiegłem z sali żołnierskiej i poszedłem na świetlicę, w której znajdowało się kilku moich kolegów. Bynajmniej nie oglądali oni telewizji lecz robili tam porządki.

- Słuchajcie, mamy problem – powiedziałem bardzo nieśmiało ponieważ miałem świadomość tego, że ja sam ten problem wywołałem – Misiek kazał zrobić sobie sto czterdzieści siedem kaw!

Koledzy przestali sprzątać. Jasiak Majcherek, którego znałem jeszcze z unitarki, zdenerwował się i rzucił moką szmatę na podłogę.

- Odjechało mu! Sto czterdzieści siedem! Dlaczego aż tyle?
- Powiedział żebym policzył drzewa w lesie, no i powiedziałem, że tych drzew jest od zajebania, a trzeba było powiedzieć jego cyferkę.
- Oj Paślawski! To nie wiesz, że tak się odpowiada jeśli dziadek się pyta ile czegoś jest?
- Teraz już wiem. Ci z wiosny go podpuścili.
- Sami nie mają młodych to się nam wysługują – odezwał się kolejny faluś. Wysoki i tęgi chłop. Tak jak ja pochodził z Rzeszowskiego. - Ile mamy czasu na zrobienie tych kaw?
- Godzinę.

Pindel wytarł mokre ręce w szmatę i odłożył miotłę na bok.

- Dobra chodźcie do sali to policzymy ile kto ma kaw bo nie wiadomo czy nam wystarczy.

Poszliśmy więc do naszej sali. Mieszkało nam się o tyle dobrze, że wszyscy byliśmy z jednej fali więc można było swobodnie rozmawiać. Po zrobieniu małej inwentaryzacji okazało się, że mamy cztery duże paczki kawy. Wtedy powstał dylemat, w jaki sposób zaparzyć te kawy, czy zagotować w jednym garze wodę i wyspać do niej kawę a później rozlać ją do kubków, czy parzyć kawę w każdym kubku odzienie. Wybraliśmy tę pierwszą opcję chociaż wiadomo było, że kawy takie będą to prawdziwe lury ale przecież w wojsku sztuka jest sztuka.

Poszliśmy więc na kuchnię i zagotowaliśmy duży baniak wody. Wsypaliśmy do niego całą kawę jaką dysponowaliśmy i zaczęliśmy rozlewać ją do kubków. Akcja noszenia kaw do sali w której był Misiek została zorganizowana tak, że jeden żołnierz wyszedł na dwór i pilnował czy nie idzie oficer, a my nosiliśmy kawę na tacach. Cały dywizjon był przesiąknięty jej aromatem. Okazało się jednak, że zabrakło nam czterdziestu kubków. Uprosilimy kucharza aby wydał nam kubki z magazynku. Kucharzowi nie za bardzo chciało się wychodzić z ciepłej kuchni do chłodnego magazynu, który znajdował się obok dywizjonu ale ostatecznie zrobił to i przyniósł nam dwadzieścia kubków. W dalszym ciągu brakowało kolejnych dwudziestu. Zebraliśmy więc kubki z sal żołnierskich, izby chorych, kancelarii dowódców baterii, kotłowni, a nawet z wartowni. Wszyscy się dziwili po co nam tyle tych kubków. Kiedy zaś mówiliśmy, że nasz dziad zażyczył sobie aby mu zrobić sto czterdzieści siedem kaw to jedni kiwali z politowaniem głowami a drudzy natrzęsali się z nas ile wlezie. W każdym razie nikt się nie dziwił. Wszyscy wiedzieli, że w wojsku od czasu do czasu co niektórym obija szajba.

Brakowało nam już tylko dwóch kubków a te dwa ostatnie znajdowały się na dyżurce oficera. Dyżurka oficera to takie miejsce do którego nie można przyjść bez powodu. Przychodziło się tam po to, aby zdać służbę wartowniczą, dostarczyć posiłki lub w innych sprawach służbowych. Namówiliśmy więc jednego z wartowników aby wszedł do oficerki i zabrał te dwa kubki pod pozorem tego, że zbiera wszystkie brudne naczynia na kuchnię. Rzeczywiście udało mu się wywiązać z tego zadania bez najmniejszego problemu. Wzięliśmy do niego brudną tacę, kilka talerzy oraz owe dwa kubki i popędziliśmy na kuchnię. Tutaj zrobię pewną dygresję. Młodzi którzy nie lubią swoich dziadów uciekają się czasami do bardzo niesubtelnych sposobów odgrywania się na nich. Jednym z takich sposobów jest przyprawianie kawy różnego rodzaju dodatkami. W zależności od tego jak bardzo załazł dany dziad za skórę, jego młody aplikował mu różne „ciężkie gatunkowo” dodatki. Standardem było naplucie do kawy, zaparzenie kawy z wodą z muszli klozetowej a w najgorszych wypadkach do kawy dodawało się ten syf spod kratak ściekowych (mówię Wam, ohyda, na sam widok zbierało na wymioty). Kawa z takim extra dodatkiem (zupełnie gratis) musiała być bardzo mocna, aby nie dało się wyczuć dodanego do niej paskudztwa. Upierdliwy dziad musiał się więc liczyć z tym, że pewnego dnia w jego ulubionej kawie może się znaleźć taki dodatek i dlatego niemal każdy z nich z dużą podejrzliwością brał kawę od swojego młodego, wahał ją i dopiero później pił. Właśnie z tej całej niepewności i podejrzliwości był największy ubaw. Dziadek próbował taką kawę, smakował ją, mlaskał językiem a i tak nigdy pewności nie miał. A młody wychodził z sali i rzał ze śmiechu a razem z nim wszyscy jego falowcy.

Ponieważ jeden z przyniesionych z dyżurki kubków wyróżniał się tym, że miał bardzo ładne wzorki w kwiaty, zrobiony był z porcelany a nie z plastiku jak większość wojskowych kubków Majcherek (może i nie bez racji) doszedł do wniosku, że pewnie któryś z bocianów albo nawet sam Misiak zechce się z niego z napić. Ponieważ owi czterej żołnierze z wiosną zdążyli już zdrowo napsuć mu krwi od momentu przyjazdu do jednostki Majcherek z miną seryjnego mordercy, bez cienia litości wrzucił do kawy zaaplikowaną mu kilka dni wcześniej przez lekarza tabletkę na przeczyszczenie. Przez chwilę się jeszcze nad czymś surowo zastanawiał (widocznie miał skrupuły) a później wyjął z kieszeni jeszcze jedną tabletkę i również ulokował ją w tym samym kubku. Tabletkę bardzo ładnie rozpuściła się w gorącej kawie i nie został po niej nawet ślad.

- Jakby co to wszyscy mamy po dzisiejszej kolacji sraczkę – powiedział, kładąc ostatni już sto czterdziesty siódmy kubek na plastikowej tacy. – Idziemy do sali!

Poszliśmy więc do sali żołnierskiej. Zleciało się tam mnóstwo starego i młodego wojska, bo jak dywizjon stoi tyłu kaw na raz nikt jeszcze nie parzył. Wszędzie czuć było kawę, nawet na korytarzu, nie musze nawet opisywać jak mocno pachniała nią w sali numer siedem do której ją znosiliśmy. Najstarszy pobór był wręcz zachwycony oryginalnymi metodami jakimi Misiak szlifuje swoich młodych.

Kubki zostały postawione w rzędach jeden przy drugim a Misiak zaczął je liczyć.

Tego wieczora służbę oficera dyżurnego pełnił porucznik Kukciński. Nikt go nie lubił ponieważ był to oficer idący regulaminowo a przy tym był niezwykle służbisty. Kiedy Kukciński miał służbę wszystko musiało być dopięte na ostatni guzik. Aż strach pomyśleć co by się stało gdyby nakrył jakiegoś wartownika na drzemce – od razu następnego dnia szedł meldunek do dowódcy jednostki a wartownik nie wyjeżdżał do domu przez najbliższe dwa miesiące. Kiedy Kukciński sprawdzał porządki na kuchni, robił to z upierdliwą wręcz drobiazgowością⁸ i potrafił wycisnąć z pomocy kuchennej ostatnie poty jeśli kuchnia i stołówka nie były posprzątane na błysk. Nie byłoby w tym nic dziwnego – można by sobie pomyśleć o nim jako o oficerze starannie i rzetelnie wypełniającym swe obowiązki gdyby nie fakt, że w tym całym jego zachowaniu dało się wyczuć złośliwość i coś w rodzaju kamuflowanego sadyzmu. Właśnie za to

⁸ Dokładnie wiedział jaki jest stan liczbowy karaluchów w magazynie żywnościowym

nie lubiło go wojsko ze służby zasadniczej, a za przerośnięte ambicje nie lubiła go też kadra zawodowa.

Kukciński nudząc się na dyżurce postanowił, że przejdzie się na kuchnię i sprawdzi stan porządków. Zgłosił więc pomocnikowi oficera, że wychodzi i nałożywszy na futrzaną czapkę na głowę opuścił dyżurkę. Na kuchni zastał tylko jednego żołnierza, który akurat zmywał podłogę:

- Kuchnia czysta? - zapytał
- Nie. Sprzątamy jeszcze – odpowiedział żołnierz.- Za pół godziny powinniśmy już posprzątać wszystko.
- Dobra o dwudziestej pierwszej przychodzę na odebranie porządków - powiedział Kukciński rozglądając się po kuchni. Zajrzawszy do rozmaitych pomieszczeń ze zdziwieniem zauważył, że w całej kuchni nie ma ani jednego kubka
- Gdzie się podziały te białe, plastikowe kubki ? – zapytał rozglądając się dookoła.
- Kucharz zamknął je w magazynku – powiedział przytomnie żołnierz. Wiedział, że wszystkie wywedrowały na dywizjon.
- Powiedz mi, żeby wystawił kilka bo na dyżurce nie ma ani jednego.
- Tak jest panie poruczniku! – odpowiedział żołnierz i złapał za telefon aby skontaktować się z kucharzem.
- O dwudziestej pierwszej przychodzę odebrać porządki! Pośpiesz się!

Kukciński wyszedł ze stołówki i obszedłszy dookoła magazyn uzbrojenia, udał się w kierunku dywizjonu. Otworzył ciężkie drzwi i przyjąwszy meldunek od podoficera dyżurnego wbiegł po schodach na drugie piętro. Ze zdumieniem stwierdził, że wszędzie czuć niesamowicie mocny aromat kawy. Pomyślał sobie, że pewnie stare wojsko ogląda jakiś film na świetlicy i pije kawę.

Okazało się jednak, że na stołówce nie było nikogo. Wszedł więc do najbliższej izby żołnierskiej a była to właśnie siódemka. Otworzył drzwi i aż zamarł z wrażenia. Na dwóch zsuniętych pośrodku izby stolikach stała cała masa kubków z zaparzoną w nich kawą. Mogło ich być około dwustu. Zupełnie nie wiedział czemu przypisać taką sytuację, miał jednak pewność, że jest to kolejny wybryk starego wojska. Żołnierze na jego widok poderwali się z wozów i krzesel.

- Co to kurwa jest? – Kukciński wszedł do sali i zatrzymał się przed stolikiem. Popatrzył surowym wzrokiem dookoła jakby szukał winowajcy. Nikt mu jednak nie odpowiedział.
- Pytam się co to kurwa jest! – powiedział jeszcze raz z większym naciskiem. Zapanowała przerażająca cisza. Wszyscy się go bali. Ten facet miał w sobie coś z potwora, był sam jeden a wszyscy przed nim trzęśli portkami.
- Kawa, panie poruczniku – odezwał się jakiś nieśmiały głosik.
- To kurwa widzę! Tylko dlaczego aż tyle? Czy wyście na łeb upadli? Czyj to pomysł?

Tym razem nit się już nie odezwał. Kukciński wiedział, że nikt się nie przyzna, ale od czego jest zasada odpowiedzialności zbiorowej? Wyjął notes, pozapisywał nazwiska znajdujących się na sali żołnierzy i powiedział:

- Ubierajcie się w ciuchy robocze i za piętnaście minut wszyscy meldują się na dyżurce. Kawę wylać a kubki zanieść na stołówkę! Zrozumiano?
- Tak jest – odpowiedział kapral.

Kukciński włożył notes do raportówki i zarzucił ją lekko do tyłu. Zauważył, że na stole znajduje się kubek z dyżurki oficera dyżurnego. Wziął go więc ze sobą.

Dziesięć minut później był już na dyżurce.

- Szwejcom coś odpierdoliło i zrobili z dwieście kaw w siódemce – powiedział do swojego pomocnika, młodszego chorążego, który dopiero co przyszedł do tej jednostki prosto ze szkółki.
- Aż dwieście? – chorąży podrapał się z wrażenia po głowie – nieźle im bije na dekiel.
- Spisałem ich i kazałem zameldować się przed dyżurką. Pójdiesz z nimi na kotłownię. Niech rozładują ze dwie przyczepy z węglem to im przejdzie ochota na robienie głupot.

- W porządku – odpowiedział chorąży. Zgodził się aczkolwiek niechętnie gdyż wcale nie podobało mu się pilnowanie żołnierzy stojąc na mrozie.
 - Idź na kolację zanim przyjdą. Później ja pójde i odbiorę porządki na kuchni.
- Młodszy chorąży wiedząc o tym jakie opinie krążą o Kukcińskim słuchał go bez słowa sprzeciwu. Szczerze powiedziawszy wołał nawet przejść się na stołówkę ponieważ obecność tego służbisty była dla niego męcząca. Można było nabawić się przy nim kompleksu niższości. Założył więc panterkę, czapkę i wyszedł z dyżurki.
- Porucznik zostawszy sam w dyżurce odłożył na bok raportówkę, włączył telewizor i rozsiał się wygodnie na krześle. Napił się odrobiny kawy z przyniesionego z dywizjonu kubka i zaskoczony jej smakiem rzekł:
- Dobrą kawę robią ci szweje – odłożył kubek na stolik i dodał – To pewnie Tchibo.
- Wiedział, że mocna kawa dobrze mu zrobi zwłaszcza, że zaplanował kilka wyjść na patrole wartownicze w czasie swojej zmiany. Intuicja podpowiadała mu, że zapowiada się na ciężką noc. A dodać należy, że przeczucie nigdy go nie myliło.

Koniec

Rozdział XI

Przedsmak Przepustki

Najgorsze w wojsku są samotne chwile, gdy nie masz żadnego zajęcia lub masz zajęcie, które nie angażuje twojego umysłu. Odczuwasz wtedy samotność i tęsknotę za domem, rodziną. Tutaj w armii jesteś sam jeden i nikt nad tobą nie będzie się rozczułał, nikt nie będzie nawet próbował zrozumieć twoich uczuć. Nie możesz pokazać po sobie żadnej słabości, twoich łez nie może zobaczyć nikt. Musisz być twardy, musisz pokazywać, że olewasz cały ten syf, że wszystko traktujesz „na miętko” i że nic cię tu nie wzrusza.

Kiedy stoisz na drugim piętrze budynku i wyglądając przez okno widzisz w oddali łąki ponad drzewami wiesz, że właśnie tam jest wolność: wiesz także, że za twoimi plecami jest instytucja zwana MON, dla której jest zupełnie obojętne, że tu wylądowałeś, jest kadra wojskowa, która ma za zadanie dotrzeć cię i zrobić z ciebie żołnierza, jest też stare wojsko postępujące według zasady „jechać kotów”, masz też swojego dziada, który zadba o to, aby tego dopilnować. Zdajesz sobie z tego sprawę, że będą cię tu gnoić i poniżać. A kiedy odwrócisz się od okna będziesz musiał wejść w ten świat, nie dając po sobie niczego poznać, najlepiej z ironicznym uśmiechem na twarzy.

To właśnie wtedy zaczynasz doceniać wartość rodziny. Jasno widzisz, że rodzina akceptowała cię takiego jakim jesteś. Zauważasz, że to nie jest tak jak z tymi dziewczynami, które rzucają chłopaków już po kilku tygodniach pobytu w armii. Wiesz, że jest to coś stałego, trwałego i że zawsze możesz na nią liczyć. Mogłeś o tym wcześniej wiedzieć, z książek, ze szkoły, od księdza. Mogłeś o tym myśleć, ale dopiero w wojsku możesz to naprawdę odczuć i zrozumieć.

Kiedy po kilku tygodniach wchodzenia na służby co dwadzieścia cztery godziny dostaniesz przepustkę, to nie jedziesz w Tatry pochodzić sobie po górach, albo nad morze, aby się poopalać, ale wsiadasz w pociąg i jedziesz do domu. Dom to fajne miejsce: nikt na ciebie nie wrzeszczy, nie karze ci robić pompek, w nocy możesz sobie pospać na normalnym łóżku, a rano nie musisz wstawać o szóstej i gnać na zaprawę poranną. Czujesz, że jesteś wśród swoich, wiesz że znowu jesteś sobą, a nie kanonierem Kowalskim z baterii radiotechnicznej.

No tak, takie to czasem smuty opadają człowieka gdy ma za dużo wolnego czasu... Na szczęście zarówno kadra, jak i dziadkowie w głębokiej trosce o twoje zdrowie psychiczne dbają o to, abyś tego czasu za dużo nie miał.

Gdy po unitarce trafiliśmy do jednostki bojowej byliśmy często zastraszeni. Kadra straszyla nas, że jeżeli będziemy podpadać, to możemy pożegnać się z przepustkami. Stare wojsko straszyla nas tłoczeniem niesamowitych ilości pompek, sprzątaniem rejonów do trzeciej nad ranem, przybiciem na drewniaka (co mogło być najgorszą karą jaka mogła spotkać młodego żołnierza). Było też sporo agresji. Najgorsze były nocne popijochy kiedy to z niektórych żołnierzy, pod wpływem alkoholu, wychodziła tłumiona do tej pory agresja. Wtedy zaczynały się bójki, kręcenie worów, wysyłanie młodych na metę. Szły w ruch butelki, którymi rzucano po ścianach, stawiano łóżka w pion razem ze śpiącymi na nich żołnierzami, demolowano stoliki,

krzesła, wyważano drzwi kopniakami. W izbach żołnierskich pełno było rozbitego szkła, przemieszanego z wymiocinami.

Napatrzyłem się na to wszystko gdy przez dwa tygodnie, pełniłem służbę dyżurnego dywizjonu. Trzeba przyznać, że siedząc za stolikiem podoficera nie czułem się zbyt bezpiecznie w obecności tych buchających agresją typów, którzy rozwalali wszystko co im pod rękę popadło. Przez te dwa tygodnie doszedłem też do wniosku, że trafienie do wojska było jednak totalną pomyłką. Nie tak wyobrażałem sobie armię, a już to, co się działo tam po nocach przechodziło moje wcześniejsze, najgorsze nawet wyobrażenia. Toteż poczułem wyraźną ulgę, gdy po dwóch tygodniach, zszedłem z ostatniej służby dyżurnego dywizjonu.

Przez kilka nocy było trochę spokoju. Pisałem wtedy jakieś opowiadania, listy do rodziny a nawet pamiętnik, który później zrobił prawdziwą furorę na dywizjonie, docierając aż do oficera wychowawczego. Usiłowałem coś czytać ponieważ obawiałem się, że, z powodu braku intelektualnych zajęć, w wojsku wyjałowię mi umysł. Jednakże mała biblioteczka w jednostce, prowadzona przez oficera wychowawczego, zawierała książki prawie wyłącznie na temat wojska albo historii Polski, które niezbyt mnie interesowały.

W zależności od tego, kto pełnił służbę oficera dyżurnego, próbowałem przespać się na palarni, która znajdowała się w pobliżu stolika podoficera. Należało spać tak czujnie, aby obudzić się na dźwięk trzaśnięcia drzwiami, które o tej porze mógł otwierać tylko kontrolujący służby oficer albo jego pomocnik. Niektórzy żołnierze opierali o drzwi jakiś patyk albo deseczkę, aby przy ich otwieraniu było więcej hałasu – głupie to rozwiązanie gdyż oficer od razu wiedział, że żołnierz śpi, ale z drugiej strony nie mógł go przyłapać na spaniu.

Myślałem też o Elizie – dziewczynie którą poznałem jeszcze w Przemyślu. Mając w pamięci obraz naszego spotkania, czułem tęsknotę za tymi chwilami kiedy otaczał mnie świat nie ograniczony żadnymi ogrodzeniami, świat w którym mogłem pójść dokąd chciałem, świat w którym było dużo błękitu, dużo zieleni, dużo ładnych dziewczyn. Były tam kawiarenki, były spacerki po deptaku i piwo przy wieczornym ognisku. Wiedziałem, że te chwile nie prędko powrócą, że trzeba najpierw swoje odsłużyć, aby na nowo móc cieszyć się wolnością, którą wcześniej traktowałem jako coś naturalnego danego każdemu. Może jednak warto było odsłużyć te półtora roku, aby inni w tym czasie mogli spokojnie i bezpiecznie żyć w tym kraju nad Wisłą? Później zaś po wojsku wyruszyć w drogę by zobaczyć to, co sobie człowiek stojąc na warcie wymarzył i obiecał przeżyć?

Pewnego dnia, jeszcze w trakcie pełnienia służby dyżurnego dywizjonu, postanowiłem zadzwonić do Elizy. Mimo tego, że znałem ją stosunkowo nie długo, była jedyną osobą do której miałem zaufanie w tym szorstkim i momentami brutalnym świecie. Wiedziałem i czułem to, że ona mnie rozumie, że mogę z nią rozmawiać o swoich obawach, troskach i niepokojach i że ona mnie nie wyśmieje, nie machnie na to wszystko ręką i nie zbuduje muru obojętności. Tutaj w wojsku do wszystkich musiałeś mieć ograniczone zaufanie, nawet do kolegów z sali. Jednego dnia mogliście w najlepsze śmiać się i żartować, zaś drugiego któryś z nich mógł ci zakosić pieniądze z portfela. Właśnie dlatego znajomość z Elizą była dla mnie czymś bardzo ważnym – dzięki niej nie czułem się totalnie samotny, miałem o kim myśleć i snuć mniej lub bardziej realne plany na przyszłość.

Tuż po apelu porannym poszedłem do budynku sztabu, na parterze którego mieściła się centrala telefoniczna. Kolega który pełnił tam służbę, był jak na wojskowe warunki bardzo uprzejmy i bez problemu łączył rozmowy z jednostki do Warszawy. Odnalazłem w swym notesie numer telefonu do Elizy i poprosiłem go aby mnie połączył. Musiałem trochę poczekać dlatego, że do jednostki doprowadzona była tylko jedna linia telefoniczna, a paru trepów jeszcze przede mną poprosiło o połączenie kilku rozmów telefonicznych. Niecierpliwiłem się ponieważ wiedziałem, że muszę jeszcze posprzątać naszą salę, zanim pojedziemy pracować na sprzęcie.

Okazało się jednak, że z te trepy to niesamowite gaduły, (szczególnie pewien kapitan, który po połączeniu rozmowy do żony rozmawiał z nią przez pół godziny). Patrzyłem na zegarek i oczyma wyobraźni widziałem, jak tłoczmy wieczorem po sto pompek, za nie posprzątaną salę. W pewnym momencie, słysząc za oknem ustawiających się na zbiórkę żołnierzy z mojej baterii, zupełnie zrezygnowany odwróciłem się w kierunku drzwi i powiedziałem:

- Widzę, że nie skończą gadać do południa. Trudno, wieczorem zadzwonię.
- Poczekaj! – zatrzymał mnie dyżurny. Złapał słuchawkę telefonu, przyłożył do ucha, zaśmiał się i odłożył ją na bok. – Już kończą.

Rzeczywiście po upływie kilkunastu sekund kapitan zakończył rozmowę ze swoją żoną. Podeszłem do telefonu i wybrałem numer do Elizy. Po chwili usłyszałem w słuchawce miły kobiecy głos. Prawdopodobnie odebrała mama Elizy.

- Dzień dobry. Nazywam się Wiesław Paślawski, dzwonię z jednostki wojskowej w Bojęcinnie, czy mogę rozmawiać z Elizą?
- Tak. Proszę poczekać – odpowiedziała kobieta. Usłyszałem jak woła Elizę do telefonu. Czekałem w dużym napięciu aż w końcu w słuchawce rozległ się znajomy mi głos:
- Eliza, słucham?
- Cześć Eliza! Wiesiek z tej strony. Co u ciebie słychać?
- A, witaj! W końcu się odezwałeś. Niepokoiliam się o ciebie i miałam zamiar zadzwonić!
- Trzeba było. Ścigają nas tutaj cały czas. Dowódca baterii nic, tylko gania nas do pracy na sprzęcie ponieważ przygotowujemy się do poligonu, a po południu znowu dziadki wymyślają jakieś zajęcia. Nie mogłem do ciebie zadzwonić ale cały czas myślałem o tobie...

Eliza roześmiała się:

- To miłe, że o mnie myślałeś – powiedziała i po chwili dodała – a mogę wiedzieć co sobie o mnie myślałeś?

Poczułem się odrobinę zakłopotany tym pytaniem.

- Myślałem, że fajna dziewczyna z ciebie, że fajnie mi się z tobą rozmawia i że cieszę się że się poznaliśmy. Masz też dużo uroku osobistego i jesteś bardzo ładna - wziętem głęboki oddech i dodałem: – Można się w tobie łatwo zakochać...

Usłyszałem jej westchnienie.

- Można się zakochać ale można też i odkochać – powiedziała ze smutkiem w głosie. – Ale bardzo dziękuję za te komplementy. Cieszę się, że o mnie tak myślisz.
- Dlaczego powiedziałaś to tak smutnym tonem? Czyżby coś się stało?
- Chyba tak, ale nie chcę o tym rozmawiać przez telefon. Wolę osobiście. Może się spotkamy?
- Ach tak! – ucieszyłem się. – Porozmawiam z dowódcą baterii żeby dał mi przepustkę na sobotę. Wcześniej nie dam rady bo wrabiali mnie za karę na służby i kończę je w piątek.
- W sobotę? Sobota może być. Zresztą dzwonił się jeszcze. Co zrobiłeś, że cię ukarano tymi służbami?
- W czasie alarmu oddaliliśmy się od kolumny i poszliśmy na skrót przez las. Nasz dowódca zauważył to i ukarał nas wchodzeniem na służby przez dwa tygodnie bez przerwy.
- Pamiętaj żołnierzu młody, że rozkaz w wojsku to rzecz święta – rzekła Eliza roześmiewszy się – Słuchaj Wiesiek, muszę już kończyć. Zaraz wychodzę z pracy.
- A ja muszę jeszcze zrobić porządek na salach zanim pójdziemy pracować na sprzęcie. Zadzwonię w piątek wieczorem dobrze?
- Jasne, że tak. Będę czekała na twój telefon.

Pożegnałem się z Elizą i odłożyłem słuchawkę. Dyżurny centrali zanotował w zeszycie czas trwania rozmowy i schował go do szuflady.

- Jakaś fajna laska? – zapytał.
- Fajna. Córka pułkownika. Jej ojciec pracuje w sztabie generalnym – pochwaliłem się.
- Facet, to co ty jeszcze robisz w wojsku? Nie może ci załatwić przeniesienia do rezerwy?

- Cały wic polega na tym, że ja ją właśnie przez to wojsko poznałem. Spotkaliśmy się w Przemysłu wtedy, gdy jeździłem tam na komisję lekarską.

Dyżurny wszedł do magazynku, wyjął z niego miotłę i zaczął zamiatać podłogę.

- Masz farta. Załatw sobie przeniesienie do Warszawy.
- Na razie za krótko się znamy. Poza tym nie chcę wykorzystywać naszej znajomości w tym celu. Jeszcze dziewczyna sobie pomyśli, że tylko dlatego się z nią spotykam.
- Twoja sprawa. Nie wiem tylko czy Misiiek zgodzi się wypuścić cię na przepustkę. Za młoda kita jesteś! – dyżurny odstawił miotłę na bok i zabrał się do froterowania podłogi. – Misiiek może by się i zgodził ale co na to ci z wiosny?
- Dogadam się z nimi. Zobaczymy.
- Powodzenia młody.
- Dzięki!

Wyszedłem z centrali w sumie nawet zadowolony ponieważ umówiłem się na spotkanie z Elizą. Z drugiej jednak strony obawiałem się, że może do niego w ogóle nie dojść, bo mnie Misiiek nie puści. O dziwo, znacznie mniejsze obawy miałem w stosunku do swojego dowódcy – porucznika Żuka. Spodziewałem się, że jeśli tego dnia nie będę miał służby, to prawdopodobnie da mi przepustkę bez żadnego problemu. Postanowiłem porozmawiać z nim po apelu popołudniowym, a z Miśkiem wieczorem.

Idąc na stołówkę spotkałem żołnierza, który pomógł nam wynieść brakujące kubki z dyżurki oficera kiedy kilka dni temu Misiiek zażyczył sobie, aby zrobić mu sto czterdzieści siedem kaw. Zaczepiłem go pytaniem:

- Cześć! Ile do cywila?
- Trzysta dziewięćdziesiąt sześć. Kosmos nie?
- Faktycznie – zgodziłem się z nim – ale co ja mam mówić?
- Ty to nigdy do cywila nie wyjdiesz. Przecież jesteś najmłodszy pobór. Kot dopięty na ostatnią dziurę! – pomacał się po kieszeniach i zapytał: – Fajek nie masz? Dla dziadka zbieram.
- Nie mam. Nie palę – odpowiedziałem – podobno u was na parterze jest znacznie większa fala niż u nas na piętrze?
- Chłopie, co wieczór tłoczmy po dwieście pompek za byle bzdurę a wnikającą mamy po dwa razy w tygodniu!
- Przejebane. Wiesz, ja chciałem się zapytać o tego Kukcińskiego, który miał oficera wtedy, gdy wyniosłeś nam te kubki z dyżurki.
- A, tego upierda! Co chcesz wiedzieć?
- Nie wiesz czy miał sraczkę?
- Co? – żołnierz zdziwił się niepomiernie.
- No bo myśmy do tej kawy wysypali środek na przeczyszczenie.
- Jakiej kawy?
- Tej, co ją wyniósł z sali na dyżurkę – widząc, że nadal nic z tego nie rozumie, wyjaśniłem. – Zabrał jeden z tych kubków na dyżurkę. Akurat ten, do którego nasypaliśmy Laxigenu.

Żołnierz roześmiał się.

- A teraz wiem dlaczego przez całą noc kibel był zajęty! Kiedy Kukciński schodził ze służby był cały zielony na gębie!
- Musiało go nieźle wycieńczyć – powiedziałem z nutką współczucia w głosie.
- Nie przejmuj się! To taki upierd, że nie było by mi go szkoda nawet gdyby miał sraczkę przez trzy miesiące.
- No to chyba musiałby wziąć sobie urlop bo nie da się pracować i mieć taką sraczkę jednocześnie – zauważyłem.

- Faktycznie! To chyba byłby najbardziej przesrany urlop w jego karierze zawodowej. Roześmialiśmy się w głos.
- Dobra. Idę na wartownię bo zaraz wchodzę na posterunek.
- Tylko nikomu nie mów o tej kawie, bo będziemy mieli naprawdę przejebane!
- Nie powiem! – zapewnił mnie żołnierz i pobiegł w kierunku wartowni. W chwilę później usłyszałem stamtąd głośny wybuch śmiechu. Czyżby opowiedział im jakiś śmieszny kawał?

Długo zwlekałem zanim po południu zdecydowałem się zastukać do kancelarii porucznika Żuka. W sumie prawie dopiero co odbębniłem wszystkie wyznaczone za karę służby, a już bezczelnie przychodziłem po przepustkę. Liczyłem na to, że porucznik okaże mi pewną wyrozumiałość wynikającą z faktu, że przecież byłem młodym i nie doświadczonym żołnierzem. A ponadto, co się tyczy pełnionych przeze mnie służb to nikt nie mógł mi niczego zarzucić – kible, które miałem pod swoją opieką były zawsze czyste, a ja sam nigdy nie dałem się przyłapać na spaniu. Miałem więc pewną nadzieję na to, że Żuk zgodzi się wystawić mi przepustkę.

Kiedy za jego przyzwoleniem wszedłem do kancelarii, siedział za biurkiem i wypełniał jakieś papierki.

- Panie poruczniku, kanonier Paślawski melduje się z zapytaniem – powiedziałem służbowym tonem stojąc na baczność.
- Spoczniej! – wydał komendę. Odłożył na bok trzymany w ręku długopis i spojrzał na mnie. – O co chodzi?
- Panie poruczniku wiem, że ostatnio przegiąłem wtedy na alarmie ale prawie już odbębniłem wszystkie służby i chciałbym wyjść na przepustkę na sobotę wieczorem.
- Na stałkę⁹?
- Tak. Mam znajomą w Warszawie. Chciałem się z nią spotkać.
- Dobra Paślawski. Służby odbębniłeś, żadnych skarg nie było, więc przepustkę dostaniesz. Aż mnie zamurowało. Spodziewałem się, że będę musiał go przekonywać, namawiać a tymczasem on zgodził się na to bez najmniejszego problemu.

- Dziękuję panie poruczniku – nawet nie chciałem mu mówić jak bardzo się z tego cieszę.

Żuk wyjął z szuflady blankiet przepustki i zaczął ją wypisywać.

- Jak idzie nauka prawa użycia broni? – zapytał.
- Uczę się panie poruczniku.
- To dobrze. Od tej soboty młoda jesień wchodzi na warty – Żuk wstał od stołu i wręczył mi przepustkę.
- Trzymaj, tylko się nie schlej Paślawski, żebyś nie musiał cię odbierać z żandarmerii albo izby wytrzeźwień.
- Panie poruczniku, ja tylko piwo piję i to w niedużych ilościach – odpowiedziałem i odwróciwszy się poszedłem do drzwi. Prawie już dotykałem klamki gdy posłyszałem za plecami:
- Wróc! A gdzie meldunek?

Odwróciłem się przodem do Żuka i wyrecytowałem.

- Panie poruczniku, kanonier Paślawski prosi o pozwolenie wyjścia!
- Odmaszerować. Spoczniej!

Zdecydowanym krokiem wyszedłem z kancelarii. Drażniły mnie i jednocześnie śmieszyły te wszystkie wojskowe konwenanse. Jakby nie można było załatwić tego wszystkiego normalnie, tak jak w cywilu bez jakiegoś „baczność”, „spoczniej” i „odmaszerować”. Ale co tam, najważniejsze było to, że miałem już przepustkę w garści. Teraz do szczęścia brakowało mi tylko zgody dziadka.

⁹ Stałka - przepustka stała ważna od 16:00 do 21:00 i w weekendy.

Po kolacji zebrałem się na odwagę i poszedłem do Miśka. W istocie czułem się poniżony tym, że muszę pytać go o to, czy mogę jechać na przepustkę zwłaszcza, że przecież nie był moim faktycznym przełożonym. Jednakże chęć spotkania się z Elizą znacznie przewyższała chwilowe cierpienie spowodowane nadszarpięciem mojej godności osobistej. Pamiętam jak na unitarce oficer wychowawczy pouczał nas, że jak się idzie do wojska to godność osobistą powinno się zostawić za bramą. Chyba częściowo miał rację.

Misiek jak co wieczór siedział w swej sali na łóżku pod oknem i wraz ze swoją czteroosobową radą starszych oglądał bajki w telewizji. Bomski - jeden z żołnierzy z wiosny - zobaczywszy mnie zawołał:

- O! Idzie zmoka!

Misiek popatrzył na mnie i zapytał:

- Ile tam staremu dzisiaj?!
- Sto trzydzieści pięć! – na takie pytanie byłem dobrze przygotowany.
- Ile to jest?
- Mało! – powiedziałem chociaż wszyscy wiedzieli, że to wciąż kosmos. Jak mówi stare wojskowe powiedzenie – mało to jest wtedy jak zjesz w wojsku a wysrasz w cywilu.
- Pewnie coś chciałeś? – zapytał Misiek słusznie domyślając się, że nie pakowałbym się do paszczy lwa bez powodu.
- Chciałem zapytać czy mogę wyjść w sobotę na przepustkę.

Misiek i czterej żołnierze z wiosny wybuchnęli śmiechem.

- A w bani to ci się nie polasowało? Dopiero dwa tygodnie w jednostce jesteś i na przepustkę chciałbyś wyjść? – mówił Misiek z autentycznym zdziwieniem na twarzy. – Ja dopiero po siedmiu tygodniach mogłem się ruszyć z jednostki, takich miałem pojebanych dziadów! A ty po dwóch tygodniach chcesz iść na stałkę?!
- Niedawno poznałem pewną dziewczynę z Warszawy i chciałem się z nią spotkać – mogłem weisnąć kit, że mam rodzinę w Warszawie albo podać jakiś inny, jeszcze ważniejszy powód dla którego muszę wyjść na przepustkę ale nie chciało mi się kłamać.
- Jakaś fajna niunia?- zapytał Bomski. – Masz zdjęcie?
- Fajna. Zdjęcia nie mam.
- No to koniecznie przywieź, bo my tu fajne niunie bardzo lubimy!

Pomyślałem sobie, że moja „fajna niunia” nie jest dla niego i niech se sam dla siebie poszuka jakiejś „fajnej niuni”.

- Mogę wam przywieźć flaszkę, jeśli zgodzicie się mnie puścić – zaproponowałem.

Misiek zaśmiał się.

- Po flaszkę to ja cię mogę dopiero wysłać. Wiesz gdzie jest meta?

Czułem wzbierający we mnie gniew i najchętniej wyszedłbym z tej cuchnącej śmierdzącymi skarpetami trolowni mocno trzasnąwszy drzwiami. Wiedziałem, że nie mogę tego zrobić ponieważ groziło to jeszcze gorszymi konsekwencjami niż nie puszczenie mnie na przepustkę w sobotę. To mogło oznaczać szlaban na wyjazdy przez najbliższe dwa miesiące.

- Dobra młody, możesz jechać – zgodził się Misiek widząc, że rzeczywiście nie wiem już co mam powiedzieć. Jednak był dobrym dziadem. – Tylko wódkę dobrą przywieź!
- Dzięki Misiek! Absolut może być?
- Może! – potwierdził. - To prawda, że wysypaliście Kukcińskiemu Laxigen do kawy?
- Tak. A skąd o tym wiesz? – zapytałem wyraźnie zaniepokojony ponieważ obawiałem się, że jeśli Misiek zacznie w to wnikać, to łatwo odkryje, że ten Laxigen to był przeznaczony właśnie dla niego.
- Nie ważne – odpowiedział dziad. – Dobrze zrobiliście bo należało się to temu upierdowi ale mówię wam, że jeśli kiedyś odkryję, że wrzuciliście mi jakiś syf do kawy, to wszystkich przybiję na drewniaków!

- Coś ty Misiek, przecież tobie nie będziemy wsypywali takich świństw! – powiedziałem starając się aby zabrzmiało to maksymalnie przekonująco.
- Nie chciałbym być na waszym miejscu! – pogroził Misiek – mielibyście przejebane do końca monu¹⁰!

Nasz dziad wstał z łóżka, podszedł do swojej szafki wyjął z niej wypaprane smarem ubranie robocze. Powymjował rzeczy z kieszeni i rzucił ubranie na łóżko.

- Wypierście mi tego czarnucha bo mi już zaczyna pomąłu śmierdzieć. Jak nie macie proszku do prania, to możecie wyprać w Ludwiku – Misiek podszedł do okna, z powrotem usiadł na łóżku aż zatrzeszczały sprężyny i dodał: – Spodnie w niektórych miejscach są podarte, więc je pozszywajcie.
- Dobra! – odpowiedziałem krótko i aby nie dostać jakiegoś nowego zadania czym prędzej wyszedłem z sali.

Zamknąwszy za sobą drzwi odetchnąłem z ulgą. Cieszyłem się, że uzyskałem zgodę na wyjście z jednostki w sobotę ale czułem się w pewnym sensie upokorzony tym, że musiałem o to prosić. Na dodatek trzymałem w rękach to śmierdzące ubranie robocze do wyprania. Ale cóż, przecież sam chciałem iść falowo a nie regulaminowo...

Idąc do naszej sali zauważyłem mojego falowca Majchereka czyszczącego buty na palarni. Zwróciłem uwagę na to, że ma wyjątkowo posępną minę. Na ławce obok niego leżał otwarty list zaadresowany bardzo starannym charakterem pisma. Najwidoczniej długo na niego czekał gdyż koperta była mocno rozerwana.

- Co się stało Majcherek? – wskazałem ręką na kopertę. – Jakież problemy sercowe? Majcherek nie spojrzał na mnie tylko zaczął mocniej pastować but. Pomyślałem sobie, że chyba niezbyt subtelnie zadałem to pytanie. To są delikatne sprawy, łatwo kogoś urazić.
- Dziewczyna mnie rzuciła – odpowiedział i popatrzył na mnie. W jego oczach widać było łzy. – Po roku bycia razem!
- Nie martw się. Tego kwiatu to pół świata – próbowałem go pocieszyć. Nigdy mi to nie wychodziło, tym razem chyba też się nie udało.
- Wszystko przez to wojsko! – mówił Majcherek – gdybym był w domu to nigdy by do tego nie doszło. Wszystko przez to wojsko, to pieprzone wojsko!
- A co, poznała kogoś?
- No.
- Nie martw się, może się jeszcze rozmyśli. Przecież skoro tak długo byliście razem to przecież te uczucia tak szybko nie wygasną.

Majcherek cały czas z posępną miną pastował buta. Chyba nałożył na niego z centymetr pasty. Widać było, że rozmowa o tym sprawiała mu trudność. Mnie zresztą też.

- Misiek dał nam swe czarnuchy do wyprania – próbowałem zmienić temat. – Nie chce mu się prac...
- Ona mówi, że co jej po takim facecie z którym nie może się spotkać. Co ja jej na to poradzę? Przecież jestem w wojsku. Pieprzonym wojsku!

Majcherek wzruszył się. Zrobiło mi się go szkoda. Żyje sobie człowiek szczęśliwie z dziewczyną przez rok, później idzie do wojska a ona go rzuca po kilku miesiącach. Przykre.

- Wiesz co, to chyba nie była prawdziwa miłość skoro z tego powodu cię rzuciła. Zresztą może lepiej teraz niż za kilka lat?
- Tak myślisz?
- Chyba tak, skoro już po kilku miesiącach ona rozgląda się za kimś innym to na pewno nie była to prawdziwa miłość. Gdyby to była prawdziwa miłość to ona poczekałaby aż wyjdiesz z wojska.

¹⁰ MON – inaczej mówiąc wojska.

- Mądrala!
- Masz rację. Nie powinienem ci doradzać. Ja nigdy czegoś takiego nie przeżyłem.
- Szczęśliwy człowiek z ciebie.
- Wątpię. Nigdy nie byłem zakochany. To też nie jest szczęśliwe.
- Nigdy? – Majcherek popatrzył na mnie z zainteresowaniem. Przez ułamek sekundy jego twarz rozchmurzyła się. – To wiele straciłeś.
- Więc widzisz Majcherek, że jesteś w lepszej sytuacji niż ja ponieważ lepiej kochać i stracić niż nie kochać i stracić.
- Lepiej kochać i zyskać – powiedział Majcherek biorąc do ręki wypastowane na glanc buty – Dzięki, że chciałeś mnie pocieszyć ale i tak nie wiem jak mam dalej bez niej żyć.
- Czas goi rany. Zobaczysz, że po wojsku znajdziesz sobie inną.
- Może – rzekł Majcherek wychodząc z palarni.

Przez chwilę widziałem go jak idzie ze spuszczoną głową po korytarzu.

Ilu było takich jak odczuwających gorycz z powodu porzucenia przez dziewczynę? Każdego miesiąca kilku nowych żołnierzy dołączało do grupy tych, co przeżywają zawód miłosny. Jeśli widać było, że ktoś to wyjątkowo źle znosi to odsuwano go od służb wartowniczych w obawie, że może popełnić samobójstwo.

Po dwóch stronach pozostawały dwa samotne serca, tylko że po tej stronie tą samotność było o wiele trudniej znieść...

Wieczorem w czasie sprzątanía rejonów zszedłem na dół, aby pożyczyć pastę do czyszczenia podłogi. Na parterze panowała znacznie większa fala niż pierwszym piętrze. Dawało się to poznać chociażby po tym, że młodzi żołnierze poruszali się po korytarzu wyłącznie biegiem.

W sali mieszczącej się obok stolika podoficera mieszkał mój falowiec Jarek Pyrka, którego poznałem w czasie pełnienia służb dyżurnego dywizjonu. Pochodził z Tarnowa więc traktowałem go jak ziomka. Jarek Pyrka wyróżniał się spośród innych żołnierzy tym, że był drewniakiem. Po prostu pewnego razu, w czasie któregoś z rzędu dygańskich nie wytrzymał i przyłożył swojemu dziadowi w mordę, aż ten przewrócił się na łóżko z rozkrwawionym nosem. Na drugi dzień podczas obiadu, jego dziad wstał zza stolika i publicznie ogłosił go drewniakiem. Od tej pory życie Jarka Pyrki stało się wyjątkowo trudne. Odlewano mu się do łóżka, na stołówce nie wolno mu było do nikogo się przysiąść (dlatego też miał swój osobny stolik, tak zwany „stolik drewniaka”), rzadko wyjeżdżał na przepustki i w ogóle wszędzie traktowano go jak ostatniego śmiecia.

W tej samej sali mieszkał też jego były dziad. Ze względu na to, że pochodził z Kieleckiego i był bardzo ostry w obejściu, przezywano go „Scyzor”. Miał on pięciu młodych, którzy stanowili dobrze zgraną i skuteczną w działaniu ekipę. W szczególności dobrze im szło tak zwane „kręcenie wora”, stąd też wszyscy czuli respekt przed Scyzorem obawiając się, że w każdej chwili może on nasłać na kogoś, kto mu podpadł, swych bezwzględnych ogrów¹¹. Jego młodzi byli tak wyspecjalizowani w kręceniu wora, że każdy miał tylko jedno zadanie: jeden trzymał prawą nogę, drugi lewą nogę, trzeci prawą rękę, czwarty lewą rękę, natomiast piąty kręcił wora z regulaminową precyzją trzy i pół obrotu w prawo i ani odrobiny więcej.

Właśnie wtedy, kiedy przyszedłem pożyczyć pastę, po raz pierwszy widziałem jak wygląda kręcenie wora – największa hańba jaka może spotkać żołnierza. Gdy wszedłem do sali, Jarka jeszcze nie było. Wszedł dopiero po pół minucie i przywitawszy się ze mną bez większego zdziwienia spojrzął na swoje łóżko, na którym przed chwilą ktoś zrobił pilota. Zamruczał tylko coś niewyraźnie pod nosem i zabrał się do układania pościeli. Kiedy jednak zobaczył, że na prześcieradle znajdują się dziesiątki petów i ziemia z doniczki nie wytrzymał i powiedział na głos:

¹¹ Czytaj: młodych

- Kurwa mać! Co za młotki!
- Scyzor usłyszawszy to poderwał się z łóżka.
- Co jest, kurwa młody?! Nie podoba się coś?
 - Tak. Ten syf mi się nie podoba – powiedział Jarek zwijając prześcieradło. Cześć ziemi wysypała się na podłogę.
 - Jebie cię?! – wrzasnął na niego Scyzor. – Gdzie to wywalasz?
 - Przypadkiem wysypałem!
 - Chuj mnie to obchodzi! – Scyzor podszedł do niego, zgasił niedopałek papierosa o ramię łóżka i rzucił go na koc – Jeszcze to!
- Chyba był odważny ponieważ co szkodziło Jarkowi dać mu w mordę. Przecież i tak był już drewniakiem.
- Podobno siedziałeś na stołówce nie za swoim drewnianym jebanym stolikiem?
- Jarek cały czas walczył nad opanowaniem swych nerwów. Widać było jak zaciska szczęki ze złości a jego oczy strzelały piorunami. W jego żyłach płynęło teraz tyle adrenaliny, że gdyby huknął dziadka w mordę to tamten chyba by już nie wstał. Musiał jednak cały ten gniew stłumić w sobie.
- Będę siedział tam gdzie mi pasuje! – odpowiedział hardo.
- Dziadek bez słowa odwrócił się od niego i otworzywszy drzwi, wyszedł na korytarz.
- Pięciuuu! – zawołał donośnie i zaczął odliczanie. – Raaaz! Dwaaaa!
- Na korytarzu rozległ się gwałtowny tupot kroków. Jego młodzi rzucili wszystko czym się zajmowali i w te pędy biegli do niego. Musieli zdążyć w ciągu trzech sekund bo jak nie to zmoka.
- Trzyyyy! – dokończył odliczanie.
- Pięciu zdyszanych młodych stało przed nim i czekało na dalsze rozkazy. Scyzor wszedł do sali i krzyknął:
- Jadać wora drewniakowi!!!
- Czterech ogrów rzuciło się na drewniaka i powaliło go na podłogę. Zgodnie ze swoją taktyką każdy z nich złapał go za odpowiednią rękę czy nogę. Jarek szarpał się, kłął, próbował się wyrwać ale wobec takiej przewagi liczebnej nie miał żadnych szans.
- Piąty natomiast młody wyjął z szafki gumowe rękawice i czarną pastę do butów. Otworzył blaszane pudełko i założywszy rękawice rozsmarował w rękach dużą grudę tłustej pasty. Zamknął szafkę i wolno podszedł do szamoczących się na podłodze żołnierzy.
- Ci zaczęli mocować się nad ściągnięciem spodni z wijącego się pod nimi drewniaka. Kosztowało ich to sporo wysiłku, ponieważ żołnierz bronił się przed tym jak tylko mógł, wierzgając nogami i rzucając całym ciałem, ale że dawna byli w tym już dobrze zaprawieni, toteż po minucie szarpaniny, genitalia żołnierza zostały wydobyte na światło dzienne.
- Wtedy piąty młody przyklęknął przed drewniakiem, którego nogi w końcu siłą zostały rozsunięte na dwie strony a następnie przez wypapraną w paście do butów gumową rękawicę, złapał go za jaja i jął je nacierać czarną tłustą mazią. Kiedy pierwsza porcja pasty rozmasowała się na jajach drewniaka, roztarł na rękawicy kolejną grudkę czarnej pasty i znowu zaczął nacierać nią genitalia wijącego się bezsilnie żołnierza. W końcu kiedy jaja drewniaka zostały już równomiernie, elegancko pokryte półcentymetrową warstwą pasty Scyzor krzyknął:
- Dość! Puśćcie go!
- Jego młodzi odstąpili od żołnierza, a ten w pośpiechu założył spodnie i z wyrazem poniżenia i wstydu na twarzy, jak kundel z podkulonym ogonem, szybko wybiegł z sali. Widziałem jak biegnie w kierunku pryszniców.
- Scyzor podszedł do stolika podoficera i zadzwonił na kotłownię. Usłyszałem jak rozmawia z palaczem o tym aby zakręcić ciepłą wodę. Po chwili Scyzor roześmiał się i odłożył słuchawkę.
- Nie będzie ciepłej wody przez godzinę – rzekł wyraźnie zadowolony. – Ale drewniak ma teraz przejebane!

Pięciu ogrów wybuchło głośnym głupkowskim śmiechem. Oczyma wyobraźni widzieli już pewnie stojącego pod prysznicem drewniaka bezskutecznie próbującego wymyć jaja zimną wodą.

Wyszedłem z sali i czym prędzej pobiegłem po schodach na pierwsze piętro. Po tym co przed chwilą zobaczyłem doszedłem do wniosku, że jednak mam dobrego dziada. Obiecałem sobie nigdy więcej nie wsypywać mu Laxigenu do kawy.

Koniec

Rozdział XI

Przygoda na warcie

Od momentu przybycia do jednostki porucznik Żuk nie dawał nam ani chwili wytchnienia od pracy bojowej na sprzęcie. Widać było, że bardzo mu zależy na tym, aby zająć jak najlepsze miejsce na poligonie w Ustce. Z tego też powodu prawie każdy dzień od rana aż do popołudnia spędzaliśmy na wyrzutniach raketowych. Ćwiczyliśmy ładowanie raket oraz stawianie całego zestawu raketowego na koła. Praca bojowa często przebiegała we współpracy z baterią radiotechniczną. W warunkach wojny jej zadanie polegało na wykryciu celu i dostarczeniu informacji o jego aktualnej pozycji do kabiny dowodzenia. Znajdujący się w kabinie dowodzenia oficer naprowadzający obserwował ruchy poszczególnych obiektów i podejmował decyzję o zniszczeniu tego, który w danym momencie najbardziej zagrażał. Po przechwyceniu celu i podjęciu decyzji o zniszczeniu go, sygnał wędrował do wyrzutni raketowej, która ustawiała się w kierunku nadlatującego obiektu i odpalała w jego stronę dwie rakiety. Nad trajektoriami lotu raket czuwał oficer naprowadzający wraz z kilkoma żołnierzami, którzy utrzymywali azymut, wysokość i odległość. Raketa nie musiała trafić bezpośrednio w cel. Jej siła rażenia była tak duża, że wystarczyło aby eksplodowała sześćdziesiąt metrów od celu. Kiedy nie trafiła pierwsza raketa, nakierowywano na cel drugą. Zniszczenia danego obiektu oznajmiano krótkim beznamiętnie wypowiedzianym komunikatem „zanik celu”. Na poligonie potrafiło w ten sposób trafić do „kolibra”, czyli długiej na dwa metry rury o średnicy piętnastu centymetrów lecącej z szybkością czterystu metrów na sekundę.

Jakiegokolwiek miałyby się żale, niechęć i urazy do kadry zawodowej w raketówce to trzeba jednak przyznać, że ci ludzie są mistrzami w swym rzemiośle i ze sprzętu na którym pracują potrafią wycisnąć więcej niż zakładali sami rosyjscy konstruktorzy. Ale to już taka wieczna tradycja, że Polak był zawsze dobrym żołnierzem...

Rzecz oczywista, że wszystkie te strzelania raketami do celu, w czasie ćwiczeń, odbywały się wirtualnie, na zasadzie symulacji komputerowej. Natomiast ładowanie raket na wyrzutnie oraz stawianie całego zestawu raketowego na koła, miało miejsce najzupełniej realnie. Najbardziej realne były jednak zakwasy, które czuło się wieczorem, po kilku godzinach kręcenia korba w czasie dnia. Trzeba bowiem wiedzieć, że nawet obecnie, w dobie internetu i satelitów, korba w Wojsku Polskim jest wciąż jeszcze narzędziem wręcz niezastąpionym...

Opowiadano nam często o tym, że wyjazd na poligon stanowi ciekawą i niepowtarzalną przygodę. Spanie w namiotach, jedzenie z menażki, w dzień strzelanie raketami a wieczorem wylegiwanie się na plaży. Wprost nie mogłem się doczekać aż pojedziemy do Ustki.

W weekendy mieliśmy zdecydowanie mniej zajęć niż w dni powszednie. Pewnego dnia po drugim śniadaniu poszedłem na świetlicę. Spotkałem tam żołnierza z Sanoka, którego poznałem

jadąc na ciężarówce w czasie ostatniego alarmu. Ponieważ, nie miał już swoich dziadów, mógł robić co chciał, toteż popijał sobie kawę i oglądał telewizję. Podeszedłem do niego i zagadnąłem:

- Cześć! Kiedy jedziesz na przepustkę? – pytanie tego typu można by porównać do angielskich rozmówek o pogodzie. W wojsku często rozmawiało się na takie tematy dla podtrzymania rozmowy.
- Dopiero za dwa tygodnie – odpowiedział kolega z Sanoka. – Jeszcze z pięć przepustek i cywil!
- Tobie to dobrze. Ja to mam jeszcze kosmos – znowu poczułem zawrotny ból głowy. – Czteryśta dwadzieścia pięć! Mało nie jest, nie?
- Kosmonauta z ciebie! Ja tyle nigdy nie miałem! – zażartował.
- Faktycznie, że taka cyfra aż łeb urywa, ale pomału leci dzień za dniem – usiadłem za sąsiednim stolikiem i przez chwilę bezmyślnie gapiłem się w lecący na kanale MTV teledysk. Jednostka w Olchownicy oprócz telewizji satelitarnej miała też basen i boisko do gry w siatkówkę. Życie nie umierać.
- Fajne panienki – zauważyłem patrząc na śpiewające w teledysku dziewczyny. – Przydałoby się tu parę takich.
- Oj działo by się, działo! – kolega zatarł ręce – Ale dziewczyny nie miały by tu lekkiego życia. Oj nie!
- Dałyby sobie radę. Przed wojskiem czytałem książkę o życiu aktorów w Hollywood. Mówię ci, że nie ma dnia żeby taka nie poszła do łóżka z jakimś reżyserem, asystentem, czy kamerzystą. Non stop kolor!
- A z żołnierzem?
- Co z żołnierzem?
- Z żołnierzami to chyba nie śpią?
- Jasne, że nie! No chyba, że z jakimś generałem. Bynajmniej nie słyszałem aby taka aktorka przespała się z kapralem – westchnąłem i dodałem. – Ach gdyby tak można było przenieść tą jednostkę do Hollywood...

Kolega roześmiał się i zawołał:

- Wiesz, pod jednostkę przychodzą czasem dziewczyny z wioski. Co prawda to nie aktorki ze Stanów ale podobno też niezłe dupcie. Czasami nawet przychodzą do sal!
- Takie to już pół jednostki przeleciało. Lepiej się nawet nie zadawać. Jeszcze człowiek jakiegoś trypra załapie.
- Faktycznie. Przejebane, że w tym wojsku, że nie ma kobiet
- No.

Kolega z Sanoka przełączył na inny kanał, na którym leciały bajki dla dzieci i zaczął się rechotać.

- Jak chcesz to pojedziemy kiedyś do Warszawy wyrwać jakiś towar. Studentki są całkiem sympatyczne - zagadnął po chwili.
- Przez najbliższe miesiące trudno mi będzie wyjechać z jednostki – zacząłem się usprawiedliwiać. Znałem siebie dobrze i wiedziałem, że nic by z tego nie wyszło. Po prostu nie umiałem zawierać znajomości w barach i już – Ponadto znam całkiem fajną Warszawiankę. Dzisiaj się z nią spotykam – dodałem.
- Chyba, że tak. Jak wyjdę z wojska to sobie jakiejś dziewczyny poszukam.
- Pewnie, że tak. Tego kwiatu to pół świata.
- Mam takiego kolegę u nas z Sanoka, który też był w wojsku. Wyszedł z woja dwa lata temu. I teraz całkiem niezłe mu się powodzi. Kupił sobie zachodnią furę, panienki lecą na niego, że ledwo może się odpędzić. Wystarczy tylko, że na dyskotekę podjedzie i już takie laski wyrzywa, że oczu nie można oderwać.
- Takiemu to dobrze – pomyślałem sobie, że gdybym miał jakieś sportowe Ferrari to pewnie też nie musiałbym się specjalnie wysilać aby poderwać parę dziewczyn. Ale jakich, takich co

- lecą na kasę. Chociaż podobno wszystkie lecą, tylko jedno mówią o tym otwarciu, a drugie nie.
- No tak, ale jemu rodzice pomogli. Ojciec ma duży tartak w Ustrzykach i dobrze na tym wychodzi.
 - A ty co zamierzasz robić po wojsku?
 - Chyba pójdę pracować do tego tartaku. Rozmawiałem wcześniej o tym z jego ojcem i mówił, że jak wyjdę z wojska to mnie przyjmie.
 - Ale pracując na tartaku nie dorobisz się zachodniego wozu – zauważyłem. – Musiałbyś zarabiać dużo więcej.
 - Wiem, może wyjadę za granicę. Mam rodzinę w Niemczech, to może tam uderzę.
 - A nie myślałeś o tym, aby zostać na nadterminowego?
 - Na termita? W życiu! Zostać w tym syfie? Nigdy! Poza tym widziałeś jak ich traktują? Jak psów.
 - Faktycznie, lepiej pracować w cywilu! – wstałem z krzesła i podeszedłem do drzwi. Byłem w o tyle trudniejszej od niego sytuacji, że mnie nikt nie proponował żadnej pracy, nawet w tartaku. Dlatego też całkiem poważnie brałem pod uwagę taką możliwość jak zostanie w wojsku na żołnierza nadterminowego. Na szczęście od tej desperackiej decyzji dzielił mnie jeszcze ponad rok
 - No to cześć – powiedziałem wychodząc ze świetlicy.
 - Cześć - odpowiedział Andrzej.

Następnego dnia w sobotę dziadek wysłał mnie po fajki do sklepu. Ucieszyłem się ponieważ wiedziałem, że dzięki temu będę mógł przez chwilę pobyc na wolności. Przeszedłem więc przez dziurę w ogrodzeniu i popędziłem przez pola do sklepu. Temperatura była dodatnia, topniał śnieg, wszędzie było pełno błotnistych kałuż. Zauważyłem, że zimy tutaj na Mazowszu różnią się od tych, które występują w Bieszczadach. Tutejsze bardziej przypominają długą jesień a w Bieszczadach nierzadko leży głęboki po kolana śnieg, a czasami nawet drzewa pękają z zimna.

Idąc przez polną drogę spotkałem Jarka Pyrkę, czyli drewniaka któremu wczoraj młodzi Scyzora zafundowali wątpliwą przyjemność „kręcenia wora z pastą”. Już z daleka po samym sposobie poruszania się poznałem, że drewniak jest kompletnie pijany. Kiedy zbliżył się do mnie zagadnąłem go:

- Cześć! Duża kolejka w sklepie?
- Machnął lekceważąco ręką:
- Nie ma żadnej kolejki! A co, dziady wysłały cię po coś do sklepu?
 - Misiek wysłał mnie po fajki.

Drewniak zachwiał się, że aż czapka spadła mu z głowy. Nieźle się urządził. Musiał sporo wypić. Półprzytomne przekrwawione spojrzenie, wory pod oczami i rozchełstane ubranie - wszystko to świadczyło o tym, że chleje co najmniej od wczoraj.

- Skurwysyny dziadki! Zajebie ich! – wołał a agresja i alkohol aż wypływały z niego z każdym oddechem. – Zabiję tego chuja Scyzora!
- Odsunąłem się trochę bo był tak zacierzwiony i naładowany agresją, iż obawiałem się, że jeszcze pomyli mnie ze Scyzorem i mnie się dostanie.
- Rzeczywiście to pojeb jakich mało! – zawołałem i cofnąłem się o krok ponieważ drewniak niebezpiecznie kiwnął się w moim kierunku. Buchnęło od niego alkoholem. Zachwiał się, stracił równowagę i runął na mokrą ziemię. Czapka spadła mu z głowy i potoczyła się parę kroków dalej. Podeszedłem do niego i złapawszy go za wypapraną w ziemi rękę pomagałem mu wstać.
 - Chuje! Chuje! – wołał z trudem wstając na nogi – Zajebie ich wszystkich! Dziś zejść z posterunku i zabije ich! Zajebie!

Zaniepokoiłem się nie na żarty. Jeśli on w tym stanie dostanie karabin do ręki to rzeczywiście gotów jest zrobić jakieś głupstwo. Był tak pijany i tak zacietrzewiony, że mógł stracić kontrolę nad tym co robi i wpaść na dywizjon z karabinem. Aż strach pomyśleć co mogło wydarzyć się dalej.

- Jarek daj spokój! Wytrzeźwiejesz i przejdzie ci – starałem się jakoś go pocieszyć. – Pojeżdż na przepustkę to odpoczniesz od tego syfu.
- Na przepustkę? – drewniak łypnął na mnie ponurym spojrzeniem. – Na przepustkę to mam jechać za trzy tygodnie. Do tej pory szlag mnie tu trafi!
- Idź do oficera wychowawczego . Może on ci załatwi przepustkę?
- Mam go w dupie! Komuch pierdolony!
- No to kurwa, po co zostałeś tym jebanym drewniakiem? Po co dałeś swojemu dziadkowi w mordę? Przecież widziałeś, że drzewniki mają przepierdalone!

Popatrzył na mnie wrogo. Był ode mnie większy i silniejszy ale był tak pijany, że ledwo trzymał się na nogach. Nie bałem się go.

- Nie wytrzymałem – powiedział w końcu. – Nerwy mi puściły i szlag mnie trafił. Teraz żałuję, wołałbym wnikać w fale ale jest już za późno. Do końca monu pozostał jeszcze rok. Nie wiem jak ja to wytrzymam.
- Jeszcze tylko kilka miesięcy. Jak nasz pobór zacznie się liczyć w tej jednostce to nikt ci nie będzie już dokuczał. Wytrzymaj jeszcze trochę...

Zgromadzona w nim agresja i złość ustąpiły i zamieniły się w rozrzewnienie.

- Wytrzymaj? Ja tu przyszedłem odsłużyć, granic Polski bronić, chciałem pójść do wojska dla ojczyzny, żeby dzieci mówiły po polsku. Miałem dobrą pracę, dziewczynę i poszedłem. A te chuje srają mi do łóżka! – na jego twarzy pojawił się wyraz rozżalenia. Prędko skrył go i wybuchnął złością: - Zabiję tych skurwysynów dzisiaj w nocy!
- Idź się przespać – powiedziałem widząc, że jest tak pijany, że nie ma o czym gadać. Nic do niego nie trafiało. – Wytrzeźwiejesz to pogadamy. Cześć!

Odwrociłem się od niego i podążyłem w kierunku wioski. Obejrzawszy się widziałem jak podnosi z ziemi czapkę i chwając się na boki idzie w kierunku jednostki.

Byłem pewien obaw co do jego wejścia na służbę wartowniczą. Po raz pierwszy przyszło mi na myśl, aby donieść oficerowi dyżurnemu, że ten gość jest tak pijany i agresywny, że nie ma mowy aby wszedł na wartę bo jeszcze zrobi krzywdę komuś albo sobie. Zdecydowałem jednak, że nie powiem tego żadnemu trepowi bo jeszcze nazwą mnie kablarzem ale porozmawiam o tym ze swoim dziadem Miśkiem. Niech on się martwi o to co dalej.

W pół godziny później wróciwszy ze sklepu wszedłem do „siódemki”. Misiek leżał na wozie i przeglądał ciesząc się dużą popularnością w wojsku „Twój weekend”. Obok łóżka na taborecie stał kubek z kawą w jego pobliżu leżała brudna talia kart. Pewnie czekał na żołnierzy z wiosny bo zazwyczaj po obiedzie, gdy nie miał służby, grał z nimi w tysiąca. Telewizor był wyłączony bo o tej porze bajki w telewizji jeszcze nie leciały...

- Mam fajki – powiedziałem kładąc na taborecie paczkę sobieskich – I resztę.
- Dzięki – burknął Misiek. Przeglądał czasopismo z żywym zainteresowaniem nie zwracając na mnie uwagi. Odniosłem wrażenie, że chce abym sobie poszedł.
- Po drodze spotkałem drewniaka – powiedziałem usiłując napotkać jego wzrok - Jest kompletnie pijany. Dzisiaj wchodzi na wartę. Odgrażał się, że pozabija tych dziadów z dołu. Misiek położył gazetę na kolana i spojrzał na mnie.
- Jebie mnie to – powiedział obojętnie i przerzucił kolejną stronę kolorowego czasopisma.
- Mnie nie. Nie widziałeś go. Ten gość nie panuje nad sobą. On nie może wejść na wartę.
- Co mnie to obchodzi? Jak jest faktycznie taki pijany to go cofną na odprawie wart. Nie wtrącam się do fali z dołu.
- A jak go nie cofną?

Misiek popatrzył się na mnie wyraźnie już znudzony.

- Paślawski, chcesz jechać na tą przepustkę? – zapytał.
- Chcę.
- To wypad stąd! – powiedział, rzuciwszy nerwowo gazetę na łóżko.
- Dobra. W razie czego mówiłem. Jak się później wydarzy jakieś nieszczęście to uprzedzałem, że jest pijany.
- Dobra, dobra. Niech cię o to głowa nie boli.

Wyszedłem z siódemki zastanawiając się nad tym, czy aby nie pójść do oficera dyżurnego i zgłosić, że drewniak w takim stanie po prostu nie może wyjść na wartę. Pomyślałem sobie jednak, że nie będę na niego donosił i w ogóle, wobec takiego olewania sprawy, sam przestanę się tym przejmować. Poza tym faktycznie Misiek mógł mieć rację, że przecież mogą cofnąć drewniaka na odprawie warty. Przecież właśnie po to ta odprawa jest, aby sprawdzić czy dany żołnierz nadaje się do pełnienia służby wartowniczej.

Tego dnia co pół godziny zerkałem na zegarek. Czas dłużył się niesamowicie. Nie mogłem się doczekać aż wybije upragniona godzina szesnasta, po której mogłem wyjść na przepustkę.. Cały czas myślałem o spotkaniu z Elizą. Wprost nie mogłem uwierzyć w to, że już za kilka godzin z zaszytej w lesie jednostki przeniosę się do tętniącej życiem Warszawy i zamiast oglądać żołnierskie gęby będę wpatrywał się w delikatną i miłą twarz Elizy.

Po wyjeździe kadry z jednostki odnalazłem kolegę noszącego klucz do szatni i poprosiłem go o wydanie ubrania. Przechodząc przez korytarz zauważyłem żołnierzy szykujących się na odprawę warty. Był wśród nich i drewniak. Wprawdzie nie chwiał się na boki ale po jego spojrzeniu widać było, że wciąż jeszcze ma nieźle w czubie. Na kilka godzin przed spotkaniem z Elizą nie przejmowałem się tym, czy wykryją czy jest pijany czy nie. Miałem znacznie ciekawsze tematy do rozmyślań.

Wziąłem ubranie z szatni i poszedłem się przebrać w naszej sali. Fajnie było założyć na siebie swoje własne cywilne ciuchy. Ostatni raz miałem je na sobie wtedy gdy byłem na przepustce po przysiedze. Mimo tego, że upłynęło zaledwie kilka tygodni już tęskniłem za wyjazdem do domu... Ubrawszy się usiadłem na taborecie i czekałem na autobus. Kierowcy PKS byli dla nas żołnierzy bardzo uprzejmi i zatrzymywali się tuż przed bramą jednostki. Dzięki temu nie musiałem zasuwać dwa kilometry do najbliższego przystanku. Siedziałem na taborecie i co chwilę z niecierpliwością spoglądałem na zegarek. W pewnym momencie do sali wszedł sierżant Cichocki – szef naszej kompanii. Popatrzył na mnie i powiedział twardo.

- Paślawski, ubieraj się w mundur. Wychodzisz dzisiaj na wartę!

Aż mnie замуrowało. Nie mogłem w to uwierzyć. Tu zaszła chyba jakaś pomyłka!

- Ale panie sierżancie, ja zaraz jadę na przepustkę. Przepustkę wystawił mi porucznik Żuk. Muszę jechać ponieważ jestem już umówiony!

Sierżant westchnął ciężko.

- Rozumiem cię Paślawski ale jeden z żołnierzy z twojego poboru, który miał wejść dziś na wartę nie wrócił z przepustki. Musisz wejść za niego.
- Ale dlaczego akurat ja! – wstałem z taboretu i zacząłem nerwowo chodzić po sali. W głowie mi się nie mieściło jak mógłbym nie pojechać dziś na to długo oczekiwane spotkanie z Elizą!
- Dlatego, że tylko ty jesteś wolny - odpowiedział krótko i rzeczowo sierżant.
- To dlatego że ktoś się uchłał i nie wrócił ja nie mogę wyjść na przepustkę? – wciąż nie mogłem się z tym pogodzić.
- Tak. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Nauczycie się odpowiedzialności. Wskakuj w mundur i idź do magazynu uzbrojenia. Odprawa służb zaczyna się za piętnaście minut. Biegiem!
- Dobrze, zaraz się ubieram – powiedziałem i z rezygnacją usiadłem na łóżku.

Sierżant bez słowa wyszedł z sali. Zerwałem się z łóżka i huknąłem pięścią w szafkę. Wzbierające we mnie gniew przerodził się w potworny ból ręki. Byłem wściekły. Jakiś pieprzony dupek nie przyjechał z przepustki a ja musiałem wejść za niego na wartę! Gdybym go spotkał to jak nic dostałby mu w mordę! Dostałby w mordę nawet jakby był ze starszego poboru i mieliby mnie za to przybić na drewniaka. Wyjąłem z szafki dopiero co złożone moro i z nienawiścią rzuciłem je na łóżko. Znowu mam się ubierać w te cholerne przeпоcone ciuchy! Cholerny MON, cholerne wojsko! Zorientowałem się, że muszę jak najszybciej skontaktować się z Elizą zanim wyjdzie na miasto. Wypadłem z sali i popędziłem na centralę łączności.

- Połącz mnie z tym numerem! – zawołałem do dyżurnego podsuwając mu notes pod nos.
- Spoko wodza. Co się młody tak śpieszysz? Kociarnia, kurwa, a jaka nerwowa - powiedział dyżurny z filozoficznym spokojem – Co to za numer?
- To do tej dziewczyny z Warszawy. Wpieprzyli mnie na wartę i muszę zadzwonić aby odwołać spotkanie.
- Czemu cię wpieprzyli?
- Bo jakiś cholerny dupek nie wrócił z przepustki!!!
- Etam, pamiętaj młody, że dopóki nie wyjdiesz za bramę to nie możesz być pewny czy wyjdiesz na przepustkę.
- Połączysz mnie?
- Dawaj ten numer.

Dyżurny usiadł za przestarzałą centralą i wybrał numer.

- Trzymaj – powiedział przekazując mi słuchawkę – Jakaś panienka.
- Halo, halo! – zawołałem do słuchawki
- Słucham? – usłyszałem głos Elizy.
- Eliza, słuchaj. Nie mogę przyjść na spotkanie bo mnie w ostatniej chwili wpakowali na wartę!

Po drugiej stronie usłyszałem westchnienie.

- W wojsku tak bywa. Nie przejmuj się. Spotkamy się innym razem. Jutro mam całkowicie wolny wieczór.
- Nie gniewasz się na mnie?!
- Ojciec jest trepem więc wiem jak jest. Spokojnie Wiesiek, porozmawiaj ze swoim dowódcą aby dał ci przepustkę na jutro wieczorem.
- Dobrze. Porozmawiam. Jutro do ciebie zadzwonię. Muszę już iść bo zaraz zaczyna się odprawa warty.
- Będę czekała na telefon.
- Dobrze. Do usłyszenia.
- Do usłyszenia.

Odłożyłem słuchawkę i pobiegłem czym prędzej na dywizjon aby przygotować się do odprawy warty. Wprawdzie cała ta sytuacja związana z wpakowaniem mnie na niezaplanowaną służbę mocno zepsuła mi humor i nadszarpane nerwy ale cieszyłem się, że zdołałem powiadomić Elizę o tym, że nie przyjdę na spotkanie zanim wyszła z domu. Postanowiłem jutro rano porozmawiać z szefem kompani o możliwości wypuszczenia mnie na przepustkę z której dzisiaj zostałem cofnięty.

Do odprawy pozostało zaledwie pięć minut. Pobiegłem więc czym prędzej do magazynu uzbrojenia aby pobrać broń. Jakiś kapral o wyglądzie rosyjskiego czołgisty huknął na mnie:

- Wolniej się kurwa młody ruszaj! Jeszcze się tam połóż. Co to kurwa kito na pięć minut przed odprawą przychodzisz po giwerę?
- Tak. Dopiero pięć minut temu dowiedziałem się, że wchodzę na wartę.
- Ruchy tam, bo zamykam magazyn.

Wziąłem karabin, ładownice, dwa magazynki, przyborek, oliwiarę i podpisawszy odbiór tego sprzętu czym prędzej wybiegłem z magazynu. Na chodniku przed dywizjonem czekała na mnie grupa żołnierzy idących na odprawę.

- Ruchy tam młody, ruchy! – wołał dowódca warty. – Zmiana druga, posterunek pierwszy. Stajesz tutaj – wskazał mi miejsce w szyku.

Ustawwszy się w kolumnie dwójkowej pomaszzerowaliśmy na plac apelowy na którym miała się odbyć odprawa. Drewniak był w składzie warty mimo tego, że nie wytrzeźwiał jeszcze. Byłbym skłonny twierdzić, że chyba nawet napił się czegoś bo spojrzenie wciąż miał mętne i krok chwiejny. Okazało się, że dostał najlepszą zmianę i najlepszy posterunek. Stało się tak za sprawą oficera wychowawczego, który otaczał troskliwą opieką takie odstające od fali przypadki.

Odprawa prowadzona była przez porucznika Jakubowskiego. Zgodnie z regulaminem powinna ona potrwać około pół godziny. Porucznik był jednak wyraźnie znudzony przeprowadzaniem odprawy służb dlatego skrócił ją do pięciu minut. Zapytał mnie prawa użycia broni i na tym skończyła się cała odprawa warty. Nie zorientował się, że drewniak jest pijany. Pomyślałem sobie, że najlepszym wyjściem będzie porozmawiać o tym z dowódcą warty.

Po przyjsciu na wartownię odłożyłem broń, ładownicę i magazynki do odpowiedniego stojaka i z zainteresowaniem przyglądałem się całemu zamieszaniu które powstało na czas zmiany warty. W tym samym momencie w ciasnych pomieszczeniach wartowni znalazło się dwa razy więcej osób niż przez całą resztę dnia. Rozlegał się charakterystyczny dźwięk ładowania magazynków nabojami, dowódcy wart rozliczali się ze sprzętu na wartowni, głośno leciał jakiś film na video, co chwilę ktoś się szwendał, szukał czegoś, kłął, śmiał się, wołał kogoś i tak cały czas. Dopiero gdy dowódca warty wyprowadził pierwszą zmianę na posterunki zrobiło się znacznie spokojniej i ciszej. Wówczas mogłem rozejrzeć się po wartowni. Składała się ona z czterech izb. W pomieszczeniu dowódcy warty znajdowała się mała centralka telefoniczna umożliwiająca łączność z posterunkami, metalowe łóżko, kilka taboretów i skrzynia z amunicją. Z długiego korytarza wychodziły drzwi do małej kuchenki, izby dla zmiany czuwającej oraz ciasnego pomieszczenia dla zmiany odpoczywającej. W kuchni mieścił się mały stolik, kilka taboretów i maszynka elektryczna na której odgrzewano posiłki. W pomieszczeniu przeznaczonym dla zmiany odpoczywającej znajdował się telewizor, magnetowid, mała biblioteczka z niezbyt poczytną literaturą wojskową oraz stosem cieszących się dużą popularnością czasopism erotycznych. W całej wartowni unosiła się charakterystyczna mieszanina woni potu, oleju oraz kawy. Spod przetartego miejscami linoleum wyglądały skrawki betonu. Zapewne od momentu oddania wartowni do użytku przetoczyło się przez nią tysiące żołnierzy.

Około siódmej wieczorem poszedłem z dowódcą warty na kolację. Siedząc razem z nim przy jednym stoliku doszedłem do wniosku, że jest to właściwy moment aby wyrazić swoje zaniepokojenie faktem, że pijany i agresywnie zachowujący się rano drewniak ma wejść na posterunek z trzydziestoma sztukami ostrej amunicji.

- Wiesz o tym, że drewniak jest pijany? – zapytałem kaprała.
- Wiem. Do dziesiątej wytrzeźwieje – odparł.
- Wczoraj miał kręcenia wora z pastą. Scyzor nasłał na niego swoich młodych. Rano drewniak odgrażał się, że jak dostanie giwerę do ręki to ich zastrzeli.
- Nie robi tego. To tylko takie gadanie. Najwyżej wyjdzie na posterunek bez amunicji.
- Bez amunicji?! A jeśli go ktoś napadnie?
- Napadnie? Kto? Chyba Dziewica Orleańska. W tym lesie są same zające i wiewiórki.
- A jeśli jakiś pijak przedostanie się przez ogrodzenie?
- To drewniak zadzwoni na wartownię i my zrobimy z nim porządek.

- Aha. No dobrze – odparłem zupełnie zaskoczony luzackim podejściem kaprała.
- Zresztą, nie przejmuj się tym młody tylko pocieraj rejony przed wartownią. Widziałeś ile jest tam petów?
- Widziałem. Pozbieram po kolacji.

Pomyślałem sobie, że skoro sam dowódca warty nie przejmuje się tym, że ma pijanego wartownika to tym bardziej ja nie będę zwracał sobie tym głowy. Grunt, że powiedziałem iż rano drewniak groził, że zastrzeli Scyzora. W pewnym sensie miałem czyste sumienie. Powróciwszy na wartownię zabrałem się za zbieranie leżących przed petów.

W kilkanaście minut później dowódca warty wyprowadził mnie na posterunek. Podpiąłem do karabinu magazynek z ostrą amunicją i przejąwszy posterunek od poprzedniego wartownika zacząłem wolno spacerować przy bramie. To bardzo ciekawe uczucie kiedy ma się w rękę karabin z trzydziestoma sztukami ostrej amunicji. Czuje się wtedy niesamowitą władzę. Wydaje ci się, że jesteś panem sytuacji, że nikt nie może ci podskoczyć. Karabin daje niezwykłą pewność siebie bo wiesz o tym, że żadna technika wschodnich sztuk walki nie jest tak szybka jak lot kuli. Czuje się jednak obawę przed tym, że ktoś może cię zaatakować z ukrycia, tak że nawet nie zdążysz palcem kiwnąć. Dlatego należy cały czas być czujnym i reagować na każdy dźwięk dochodzący z lasu.

Pierwsza godzina zleciała mi dość szybko, druga znacznie wolniej. Ponieważ z minuty na minutę zaczynało się robić coraz zimniej wykonywałem różnego rodzaju ćwiczenia aby się rozgrzać. Solidna porcja pompek, przysiadów i biegu wystarczała na kwadrans. Później należało ją powtórzyć albo marznąć. Znacznie lepszą sytuację mieli wartownicy na drugim posterunku, na którym znajdowały się bunkry, wiaty dla samochodów i magazyny. W sumie cała masa miejsc dogodnych do tak zwanego przeginięcia czyli spania na warcie. Z reguły służbę w tym rejonie pełnili wartownicy starsi falą a dla młodych kit przeznaczony był posterunek przy bramie tuż pod dyżurką oficera.

Po dwóch godzinach spacerowania przy bramie przyszła zmiana. Pod kontrolą rozpylacza¹² rozładowałem broń i poszedłem na wartownię. Wstawiłem karabin do stojaka, rozebrałem się i zrobiłem sobie herbatę. Siedziałem w kuchni kiedy podszedł do mnie dowódca warty.

- Drewniak przegiął pałę. Jest najebany jak szpadel. Skurwysyn zarzygał cały kibel – mówił nerwowo bawiąc się niezbędnikiem. – Wypuściłem barana na posterunek ale bez amunicji.
- Mówiłem, że jest pijany a ty nie chciałeś wierzyć.
- I tak nie ma kogo wstawić na służbę zamiast niego. Przejebane, może jak przyjdzie młoda wiosna to będzie więcej ludzi. Jutro drewniak dostanie taki wpierdol, że odechce mu się pić przed wartą!
- Jest teraz na strefie?
- Tak, kazałem się meldować baranowi co piętnaście minut. Raz z jednego telefonu raz z drugiego. Oj, nie pośpi tej nocy, nie pośpi. Pety pozbierałeś?
- Pozbierałem.
- W porządku. Teraz masz zmianę odpoczywającą, możesz iść spać.
- Zaraz pójde tylko dopiję herbatę.

Kapral poszedł do swojego pomieszczenia a ja wziąłem z półki jakieś czasopismo erotyczne i zacząłem je przeglądać.

Około jedenastej w nocy rozdzwonił się telefon w dyżurce oficera. Był on podłączony do specjalnej dedykowanej linii łączącej jednostkę w Olchownicy ze stanowiskiem dowodzenia w Warszawie. Oficer dyżurny niemal natychmiast poderwał słuchawkę. Usłyszałem krótkie fragmenty rozmowy: „U nas wszystko w porządku panie pułkowniku... Spokój... Ale wzmocnimy

¹² Rozpylacz – rozprowadzający warty.

środku bezpieczeństwa i wzmożemy patrole... Nie, niczego podejrzanego nie zauważyliśmy... Będziemy w stałym kontakcie... Odmeldowuję się...” Porucznik rzucił słuchawkę na widełki i niemal wybiegł na korytarz.

- Pogasić światła! Natychmiast! – krzyknął – Budzić zmianę odpoczywającą!
- Co się dzieje panie poruczniku? – dowódca warty przetarł zaspane oczy i wyszedł na korytarz.
- Dzwonił oficer operacyjny z brygady. Jakaś grupa przestępcza z Pruszkowa szykuje dziś napad na którąś z jednostek pod Warszawą. Pewnie chcą wykraść paliwo albo napaść na wartownika i odebrać mu broń. Najbliżej Pruszkowa jest właśnie nasza jednostka dlatego musimy mieć się na baczności!

Wszystkie światła na wartowni zostały pogaszone. Widno było tylko od lamp oświetlających bramę. W jednej chwili zapanowała nerwowa i pełna niepokoju atmosfera.

- Kurwa, na naszą jednostkę mają napaść – kapral kręcił z przejęciem głową. – Czy to nie jest jakiś głupi żart?
- Nie sądzę aby oficer operacyjny opowiadał takie żarty – odpowiedział porucznik kręcąc przecząco głową.
- O kurwa, niezłe jaja – powiedział rozprowadzający zerkając z niepokojem przez okno. – I co my mamy teraz robić?
- Powiadomcie wartowników na posterunkach – mówił porucznik – niech będą czujni natychmiast meldują do dowódcy warty jeśli usłyszą jakieś głosy albo zauważą coś podejrzanego.
- Zaraz ich powiadomię – kapral złapał za słuchawkę i już dzwonił na posterunki.
- Powiedz temu wartownikowi przy bramie żeby nie stał jak osioł pod lampą bo go widać jak na patelni! Niech się gdzieś schowa buc jeden!
- Tak jest panie poruczniku!

Oficer wszedł do dyżurki, obudził śpiącego pomocnika i po chwili znowu pojawił się na korytarzu.

- Zmiana odpoczywająca już wstała? – zapytał.
- Wstała, wstała – odpowiedział jeden z przebudzonych ze snu wartowników. – Jaja sobie z nas robią a porucznik w to wierzy. Jakiej mafii chciałoby się napaść na wartownika albo kraść paliwo z jednostki?

Porucznik podszedł do zakładającego buty żołnierza i pochylił się nad nim.

- Takiś tego pewny? To szykuj się na patrol. Za dziesięć minut wychodzimy.
- Cholera, dopiero co wróciłem z posterunku!

Oficer dyżurny zignorował jego odpowiedź.

- Dowódca warty! – zawołał głośno.
- Jestem!
- Za dziesięć minut wychodzimy na patrol. Wyznacz jeszcze dwóch wartowników. Idę teraz na dywizjon. Zaraz będę z powrotem.
- W porządku, panie poruczniku.

Kiedy oficer dyżurny wyszedł z wartowni kapral uderzył pięścią w stół i zaklął.

- Kurwa! A drewniak jest na strefie bez amunicji!

Usiedliśmy wszyscy na taboretach w sali dowódcy warty. Pomieszczenie rozjaśniało światło palącej się na dworze lampy oraz świecące się na pomarańczowo kontrolki na centralce telefonicznej. Ktoś chciał zapalić papierosa ale kapral zabronił bo wiadomo przecież, że żar z papierosa zdradza gdzie znajduje się człowiek.

- Co robimy? zapytał rozprowadzający.
- Z tym atakiem mafii to chyba ściema ale jak oficer wyjdzie na patrol i zobaczy, że drewniak nie ma amunicji to ty dowódca warty będziesz miał przejebane! – odezwał się wysoki żołnierz o misowatej budowie ciała. – Wszyscy będziemy mieli przejebane.

Kapral nie krył podenerwowania. Chodził po korytarzu tam i z powrotem i klął na drewniaka. W końcu usiadł na taborecie i powiedział:

- Czy jest ktoś na tyle odważny aby donieść mu magazynek z amunicją?

Nikt się nie odezwał. Przecież tak naprawdę nie było to wykluczone, że jakiś gang zamierza napaść na jednostkę. Zwłaszcza, że informacja ta pochodziła od samego oficera operacyjnego w Warszawie. Nikt nie chce łązić po ciemku w lesie i ryzykować, że jakiś mafiozo da mu w łeb.

Dowódca warty zbliżył się do mnie.

- Paślawski, pójdziesz? – zapytał.

- Mogę iść – odpowiedziałem wbrew sobie. Nie chciałem pokazać, że się boję.

- Pojebało cię! – krzyknął na kaprała rozprowadzający. – Młodą kitę chcesz posłać? Widzisz jaki jest zamotany. Ktoś inny musi iść.

- Ja pójdę – odpowiedział chudy żołnierz z wiosny. Przezywano go Zibi. – Wezmę swojego kałacha i pójdę.

- Dzięki stary – kapral poklepał go po ramieniu. - uratowałeś mi dupę. Bierz kałacha, magazynek dla drewniaka i szybko wracaj. Drewniak mówił, że będzie przy radarze. Pewne przegina w jakimś samochodzie.

Zibi wstał, założył na siebie panterkę, zarzucił karabin na ramię, osobny magazynek dla drewniaka wsunął do bocznej kieszeni w spodniach. Kapral otworzył przed nim drzwi. Do wartowni wpłynęło chłodne powietrze.

- Uważaj na siebie Zibi – ostrzegał rozprowadzający.

- Spoko, przecież mam teraz sześćdziesiąt ostrych, nie? – zażartował Zibi.

Roześmialiśmy się w odpowiedzi.

Zibi wyszedł na dwór a my ponownie zgromadziliśmy się w sali dowódcy warty.

- Za kilka minut wychodzimy na patrol – mówił kapral – Paślawski i Chmielewski ubierajcie się bo zaraz przyjdzie oficer!

- Dobra, już się ubieramy – odpowiedział Chmielewski.

Wspólnie z kolegą zdjęliśmy z wieszaka panterki i założyliśmy je na siebie. Do mocnych brezentowych pasów podpieliśmy ładownice z włożonymi do nich magazynkami z ostrą amunicją. W ciągu pół minuty byliśmy gotowi. Z jednej strony czułem lęk przed wyjściem na patrol, z drugiej niezwykle pozytywną ekscytację. W końcu zaczynała się coś dziać i to tak jak na jakimś sensacyjnym filmie. Napad na jednostkę! Nie sądziłem, że kiedykolwiek tego doświadczę!

Po około pięciu minutach rozległo się mocne pukanie do drzwi.

- Kto tam? – zapytał kapral.

- Oficer dyżurny. Wpuścić!

Po głosie rozpoznaliśmy porucznika Jakubowskiego. Kapral otworzył drzwi. Jakubowski, widać że mocno zaniepokojony wszedł do wartowni i zawołał:

- Wychodzimy na patrol! Biegiem!

- Stało się coś? – zapytał rozprowadzający.

- Na drodze tuż przy ogrodzeniu stoi samochód.

- Daleko stąd?

- Ze dwieście metrów.

- Cholera, z tym napadem na jednostkę mogą nie być żarty!

- Wiem. Czy wartownicy na posterunkach są już powiadomieni?

- Ten przy bramie tak ale z tym drugim na strefie nie udało mi się skontaktować. Dzwonię cały czas ale nikt nie odbiera.

- Pewnie gdzieś przegina! Dzwoncie aż do skutku!

- Tak jest.

Jakubowski wszedł do swojego pomieszczenia, nerwowo wypił łyk kawy i wrócił na korytarz.

- Bierzcie giwery. Idziemy obejrzyć ten samochód – powiedział kładąc rękę na kaburze pistoletu. – Może być gorąco.

Zdjąłem ze stojaka swojego kałacha i zarzuciłem go na ramię. To samo zrobił Kazik – kolega którego razem ze mną wytypowano do wyjścia na patrol.

- Od razu podpinajcie magazynki z amunicją! – rozkazał oficer.

Podpiałem magazynek z trzydziestoma sztukami ostrej amunicji i podszedłem do Kazika. Był to chłopak średniego wzrostu ale tęgi i silny.

- Boisz się? - zapytałem.
- Tylko głupi nie czułby w takich momentach strachu – odpowiedział Kazik nerwowo przesuwając ręką po brezentowym pasku. – Wolałbym spokojnie spać zamiast łązić po lesie.
- Też trochę się boję ale ekscytuje mnie to...
- Głupiś!

Widziałem jak Jakubowski wszedł do dyzurki i wydawał jakieś dyspozycje swojemu pomocnikowi. Po chwili pojawił się w wartowni!

- Wychodzimy! - zawołał głośno.

Wyszliśmy w chłód nocy. Mocna jarzeniowa lampa oświetlała plac przed budynkiem sztabu i fragment drogi ciągnącej się obok jednostki. Od strony lasu wiał lekki mroźny wiatr niosący z sobą ostre siekące w twarz płatki śniegu. Zbiegliśmy po kilku schodkach i znaleźliśmy się tuż pod bramą. Wartownik pełniący służbę na tym posterunku podszedł do niej, otworzył nam kłódkę. Wyglądał na bardzo zaferowanego.

- Wdziałeś skąd nadjechał ten samochód? – zapytał go Jakubowski.
- Widziałem. Stamtąd - powiedział wskazując ręką na wioskę Mariew. Oznaczało to, że nie mógł przyjechać bezpośrednio z Pruszkowa ponieważ miasto to znajdowało się w przeciwnym kierunku.
- Dobra. My wychodzimy przyjrzeć się mu a ty bądź ostrożny. Schowaj się gdzieś w lesie i obserwuj drogę.
- W porządku panie poruczniku!

Wyszliśmy za bramę. Wartownik zamknął ją na kłódkę i na powrót zaszły się w krzakach.

- Idziemy lasem! – rzekł porucznik. – Musimy podejść niezauważeni.

Weszliśmy w las i krocząc krętymi ścieżkami posuwaliśmy się do przodu. Ominęliśmy z lewej strony samochód, wyszliśmy na drogę dwadzieścia metrów za nim. Dookoła szum wiatru i nic poza tym. Kompletna cisza. Na niebie przewalały się gęste ołowiane chmury.

- Odbezpieczyć broń – wydał komendę Jakubowski. Sam otworzył kaburę pistoletu i umieścił ją tak, aby mógł go łatwo wydobyć.
- Idziemy – szepnął.

Szliśmy powoli krok po kroku. Z każdym metrem zarysy stojącego tyłem do nas poloneza wyostrzały się. W końcu zbliżyliśmy się na kilka kroków. Widać było wyraźnie warszawską rejestrację. Porucznik zbliżył się na kilka kroków do samochodu i obserwował go.

- Wygląda na to, że nikogo tam nie ma! – powiedział podchodząc do poloneza. Pochylił się zajrzał przez okno i potwierdził. – Samochód jest pusty.

Podeszliśmy do poloneza i zaczęliśmy zaglądać przez okna. Niczego szczególnego nie zauważyliśmy. Fakt, że samochód ten stał już od kilkunastu minut w nocy pusty, obok jednostki wojskowej, wydawał się niesłychanie podejrzany. Gdzie udał się właściciel samochodu?

- Chyba poszli na strefę – dowódca warty wskazał ręką na przydrożny rów. Rzeczywiście na kilkunacentymetrowej warstwie śniegu znajdowały się niewyraźne już ślady stóp prowadzące w kierunku ogrodzenia. Porucznik wyjął latarkę i poświecił nią po śladach.
- Na pewno szła tędy więcej niż jedna osoba. Maksymalnie trzy – orzekł.
- W pobliżu jest dziura w ogrodzeniu – rzekł dowódca warty. – Pewnie do niej poszli.
- Idziemy za tymi śladami – powiedział Jakubowski – Ostrożnie.

Przeskoczyliśmy przez rów i szliśmy wzdłuż śladów. Biegły one przez rzadki las otaczający jednostkę. Po kilku metrach zbliżyły się one do ogrodzenia. Tak jak przewidział dowódca warty ślady prowadziły do dziury w ogrodzeniu.

- To już nie są żarty – odezwał się porucznik. – Naprawdę ktoś tam jest. Przechodzimy przez dziurę i idziemy dalej za śladami.
- To pewne złodzieje paliwa. Niedaleko znajdują się agregaty – odezwał się Kazik. - Ostatnio często ginie z nich paliwo.
- Wiem o tym. Mamy szansę przyłapać złodziei na gorącym uczynku. Teraz cisza. Idziemy i nasłuchujemy.

Przeszliśmy przez wąską dziurę w ogrodzeniu i w milczeniu szliśmy przez las. Kilkanaście metrów stąd znajdował się radar oraz zasilające go agregaty prądotwórcze. Baki z paliwem znajdowały się na zewnątrz agregatów. W sumie znajdowało się w nich około tysiąca pięciuset litrów paliwa. Podobno bardzo często ginęło ono w tajemniczych okolicznościach.

Po zbliżeniu się na kilkanaście metrów od miejsca w którym stały agregaty usłyszeliśmy brzęk metalu. Odruchowo zatrzymaliśmy się i zamarliśmy w oczekiwaniu.

- Wiatr? – szepnąłem.
- Może – odpowiedział Jakubowski. – Słuchamy dalej.

Po kilkunastu sekundach posłyszeliśmy tłumione głosy. Biegły przez las stąd też były niewyraźne.

- Rzeczywiście ktoś tam jest! – rzekł dowódca warty. Popatrzył na porucznika i zapytał: – Co robimy?
- Idziemy dalej. Złapiemy ich.
- Może lepiej wycofać się i powiadomić policję i oficera operacyjnego?
- Uciekną w tym czasie. Damy sobie radę. Jest nas czterech, mamy karabiny.
- W porządku.

Ruszyliśmy powoli przez las ostrożnie stawiając kroki. Z każdym metrem odgłosy rozmowy stawały się coraz wyraźniejsze. Prawdopodobnie znajdowały się tam dwie osoby. Wyszliśmy z lasu i wspieliśmy się na wał otaczający agregaty. Podchodząc na wierz wału położyliśmy się na śniegu i powoli podczołgaliśmy się do przodu.

Czuć było woń paliwa. Wychyliwszy głowę znad wału zauważyłem dwóch mężczyzn stojących obok agregatu. Jeden z nich siedział w kucki i przytrzymywał ręką włożony do kanistra przezroczysty wężyk którym spływało paliwo, drugi natomiast stał obok niego i rozglądał się dookoła. Sądząc po głosach mogli mieć około dwudziestu kilku lat.

W pewnym momencie rozległ się dźwięk ciężkich kroków stawianych po posypanej żwirem drodze, która prowadziła do otoczonych wałami agregatów. Spojrzeliśmy w kierunku skąd dochodziły kroki.

- Cholera! – zaklął porucznik.

Zza drzew wyłoniła się sylwetka idącego wolno wartownika. Szedł on równomiernym krokiem ze spojrzeniem wbitym w drogę. Kiedy doszedł w pobliże placu na którym stały agregaty zatrzymał się na moment i zamarł w bezruchu. Nasłuchiwał. Prawdopodobnie poczuł woń ropy gdyż zaczął iść w kierunku agregatów. Złodzieje paliwa widząc to usiłowali schować się z tyłu za agregatami. Jeden z nich potracił kanister z paliwem, który przewrócił się na betonową płytę robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Wartownik błyskawicznie wyszedł z odrętwienia.

- Służba wartownicza! Stój! Kto idzie? – krzyknął jednocześnie zdejmując karabin z pleców i celując nim w stronę skąd doleciał dźwięk. Złodzieje paliwa nie czekali ma moment kiedy wartownik przeładuje karabin. Rzucili się w jego kierunku co sił w nogach. Zapewne byłoby go dopadli lecz ogłuszająca seria z trzech karabinów, która rozległa się za ich plecami zatrzymała ich w miejscu. Dwaj mężczyźni stali jak sparaliżowani z lękiem rozglądając się dookoła. Nie mniej przerażony był sam wartownik. Słysząc było jak przeładował karabin i schował się za

agregat. To porucznik Jakubowski widząc, że złodzieje zamierzają obezwładnić wartownika wydał nam polecenie strzelania w powietrze. Poderwali się ze śniegu i zbiegliśmy z wału.

- Spoko Jarek! Tu dowódca warty z patrolem! – krzyknął kapral.

Wartownik rozpoznawszy go po głosie, wyszedł zza agregatu i skierował lufę karabinu w kierunku dwóch napastników. W ciągu trzech sekund otoczyło ich kilku uzbrojonych w karabiny żołnierzy. Chyba nawet w najczarniejszym scenariuszu nie spodziewali się takiego obrotu sytuacji.

Stali jeden obok drugiego, całkowicie zdezorientowani, trzęsąc się ze strachu. Porucznik poświecił lampką po ich twarzach.

- To chłopaki ze wsi - powiedział dowódca warty. – Widziałem ich w sklepie.

- Z Mariewa jesteście? – zwrócił się do nich porucznik.

Złodzieje spojrzeli po sobie. Wobec takiej przewagi nie zamierzali się już ani opierać, ani kłamać

- Z Mariewa – potwierdził jeden z nich. - Z wioski.

- Położyć się na glebę i nie ruszać się! – krzyknął Jakubowski tonem nie znoszącym sprzeciwu.
- niech ktoś ich przeszuka!

Złodzieje, cały czas jeszcze będąc w szoku posłusznie położyli się na betonowych płytach. Kazik podszedł do nich i zaczął ich przeszukiwać. Obmacał kieszenie, przejechał ręką wzdłuż nóg. Przeszukując drugiego mężczyznę wyjął z jego kieszeni gruby pęk kluczy. Rzucił go na ziemię dalej przeczesał jego kieszenie. W końcu wyprostował się.

- Wygląda na to, że nic nie mają – powiedział

Jakubowski odetchnął z ulgą. Napięcie spadło.

- Wstawać! – krzyknął.

Dwaj mężczyźni posłusznie wstali i zaczęli otrzepywać ubrania ze śniegu.

- Idźcie przodem i żadnych kroków na bok bo będziemy strzelali. Ręce na głowę i jazda!

- W porządku, panie oficerze, my nie żadni bandyci tylko paliwo nam było potrzebne. Może się jakoś dogadamy – odezwał się jeden z nich.

- Dogadasz się z prokuratorem! – odpowiedział Jakubowski. - Teraz idziemy na wartownie!

Poszliśmy kilkusobową grupą przez strefę. Złodzieje paliwa postępowali kilka kroków przed nami z rękoma założonymi na głowę. W ciszy nocy słychać było tylko odgłos kroków stawianych na posypanej żużlem drodze i szum wiatru. Nikt nic nie mówił. W pewny momencie przechodząc obok wiaty dla samochodów usłyszałem ciche chrapanie. Jakubowski też je dosłyszał.

- Stać! – zawołał.

Zatrzymaliśmy się w miejscu. Chrapanie stało się jeszcze wyraźniejsze.

- Paślawski – zwrócił się do mnie. – Sprawdź kto tak chrapie. Poczekamy tutaj.

- Dobrze. Już idę – odpowiedziałem. Odwróciłem się do tyłu i poszedłem w kierunku skąd dochodziło chrapanie.

Wiata przypominała coś w rodzaju wielkiego bunkra przysypanego grubą warstwą ziemi. Znajdowały się w niej dwa pomieszczenia, w których stały ciężarówki służące do ładowania rakiet. Samochody te nie były widoczne ponieważ wejście do wiaty zasłonięte było siatką maskującą. Powoli podszedłem do wiaty i odchyliłem siatkę. Chrapanie dochodziło z kabiny ciężarówki. Zbliżyłem się ostrożnie do samochodu i zajrzałem przez okno do środka. Zgodnie ze swoimi przeczuciami ujrzałem tam drewniaka leżącego na siedzeniu i śpiącego w najlepszym. Obok niego, jak namiętna kochanka leżała jego giwera. Złapałem za klamkę i pociągnąłem ją do siebie. Drzwi otworzyły się z hukiem. Drewniak obudził się momentalnie. Poderwał się do góry, rąbnął głową w dach i z powrotem padł na siedzenie.

- Kurwa, co się dzieje, co się dzieje? – mamrotał przestraszony. Widać było, że nie kontaktuje jeszcze. Przetarł oczy i w końcu poparzył na mnie przytomnym spojrzeniem.

- No, Jarek ale się wpakowałeś – powiedziałem kręcąc głową z przejęcia. Drewniak wygramolił się z ciężarówki.
- Co się stało? Oficer jest na patrolu? - zapytał nie kryjąc przerażenia.
- Złapaliśmy złodziei paliwa. Jest oficer i dowódca warty. Słysząc było jak chrapiesz. Kazali mi sprawdzić co to jest.
- O kurwa!
- Chodź, idziemy. Później będziesz się tłumaczył.
- Ja pierdołę, ale zmoka – drewniak kopnął z siłą w oponę. – Ale dostanę działę!
- Ze dwa tygodnie ancla jak nic!

Wyszliśmy z wiaty i pomaszzerowaliśmy drogą z betonowych płyt. W chwilę później dołączyliśmy do patrolu. Oficer, zobaczywszy że prowadzę kolejnego wartownika zdziwił się niepomierne.

- Dwóch wartowników na jednym posterunku? Co to ma znaczyć? – zapytał surowo.- Który ma teraz zmianę?
- Jarek Pyrka – odpowiedział dowódca warty.
- A ty co tu robisz? – Jakubowski zwrócił się do Zibiego.

Ten milczał. W końcu Jakubowski świadom tego, że musimy doprowadzić złodziei paliwa na wartownię rzekł.

- Później to wyjaśnimy. Idziemy!

Powoli, zważając na ruchy złodziei paliwa przeszliśmy przez strefę i po kilku minutach byliśmy już na wartowni. Jakubowski zadzwonił do centrum dowodzenia w Warszawie, zgłosił że zatrzymaliśmy złodziei paliwa a następnie zadzwonił na policję. Dwaj mężczyźni przebywali przez cały czas w sali dowódcy warty. Nie mieli przy sobie żadnych dowodów tożsamości ale nie martwiliśmy się tym. Resztą miała zająć się policja.

Tak zakończyła się jedna z ciekawszych przygód na warcie. W duchu liczyłem na to, że dostaniemy jakiś urlop. Nie wszyscy bo Zibi, dowódca warty i drewniak będą musieli mocno się tłumaczyć przed szefem sztabu. Zresztą oni też mieli szanse dostać urlop tylko że ten „pod kasztanami”.

Koniec

Rozdział 13

Koszmarny wieczór

Przygoda ze złapaniem złodziei paliwa nie przyćmiła moich myśli o spotkaniu z Elizą. Trudno mi powiedzieć dlaczego ale obawiałem się, że coś może nie wypalić. Na przykład, że okaże się za mało dowcipny, niewystarczająco elokwentny, niezbyt wygadany i wówczas randka nie uda się. Wprawdzie ostatnie spotkanie w Labiryncie podobało nam się obydwójgu ale doszło do niego bardzo spontanicznie. Po prostu pewnego dnia po powrocie z przepustki zadzwoniłem do Elizy i umówiłem się z nią jeszcze tego samego wieczora. Tym razem miało być zupełnie inaczej: spotkanie zostało zaplanowane długo wcześniej a na dodatek przesunięte o jeden dzień. Prawdopodobnie moje obawy nie były uzasadnione, ale szczerze powiedziawszy nie znam nikogo kto, nie przeżywałby takiego stresu przed spotkaniem z osobą, na której mu w jakiś sposób zależy. Czym dla mnie była znajomość z Elizą? Na ile poważnie ją traktowałem? Przede wszystkim była czymś w rodzaju przyjaźni, odskoczni od szarej rzeczywistości w jednostce i jednocześnie czymś nowym, swego rodzaju przygodą, która pojawiła się w moim życiu. Czy snułem jakieś plany na przyszłość związane z Elizą? Realizm nakazywał zakładać, że córka generała nie powinna wykazywać większego zainteresowania chłopakiem pochodzącym z głębokiej prowincji. Nie byłem jednak realistą i miałem nadzieję, że być może kiedyś, w przyszłości nasza znajomość przerodzi się w coś więcej niż przyjaźń.

Po zejściu z warty zdałem broń, wykapałem się i ubrałem cywilne ciuchy. Z wypisaną przez porucznika Żuka przepustką poszedłem na dyżurkę oficera. Mając na uwadze powiedzenie, że „dopóki nie wyjdiesz za bramę, nie możesz być pewny, że wyjdiesz na przepustkę”, cały czas obawiałem się, że znowu nie wypuszczą mnie z jednostki. Na szczęście moje obawy okazały się płonne. Oficer dyżurny w specjalnym zeszycie zaznaczył godzinę mojego wyjścia z jednostki i podsunął mi go do podpisania.

- Powrót o dwudziestej pierwszej – powiedział służbowym tonem. – Tylko spróbuj mi się spóźnić, a przypierdolę ci taką działo, że do końca monu popamiętasz!

Kolejny kandydat na kawę z laxigenem – pomyślałem sobie.

- Panie poruczniku, nie spóźnię się na pewno, a poza tym i tak mam krótką pamięć.

Oficer rzucił zeszyt na stolik i zatrasnął na mnie ręką jakby odganiał muchę.

- Wypad stąd! – powiedział i zatrasnął okienko przed moim nosem.

Wyszedłszy za bramę jednostki, poczułem się wolny. Tutaj jakby nawet ptaki ćwierkały inaczej, tak jakoś weselej. Drzewa zdawały się rosnąć z większym entuzjazmem i nawet ślimaki

winniczki pełzały zwawiej. Wszystko mówiło o tym, że świat po tej stronie ogrodzenia jest o całe niebo lepszy od tego za bramą jednostki. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Upłynęło kilkadziesiąt minut zanim przyjechał autobus do Warszawy. Był opóźniony około piętnastu minut. Zaniepokoiłem się tym, gdyż czas dojazdu na spotkanie miałem obliczony prawie na styk. Po półgodzinnej jeździe dotarłem do obrzeży Warszawy i przesiadłem się do tramwaju jadącego w kierunku centrum. Dojeżdżając do Dworca Centralnego ze zgrozą spostrzegłem, że jestem o dziesięć minut spóźniony. Wysiadłem z tramwaju i czym prędzej popędziłem pod Rotundę. Idąc przejściem podziemnym, natknąłem się na kilku żetonów, którzy właśnie legitymowali jakiegoś stojącego przed nimi na baczność żołnierza. Chociażby po tym, że jest ubrany w mundur wojskowy, można było wywnioskować, że to młoda kita. Żaden stary żołnierz jadąc na przepustkę nie założyłby na siebie munduru!

Pod Rotundą pojawiłem się spóźniony o piętnaście minut. Z głębokim rozżaleniem stwierdziłem, że Eliza do której jechałem przez półtorej godziny, niestety tam nie ma! Byłem wściekły na siebie, że nie pojechałem do Warszawy wcześniejszym autobusem. Nie byłoby to jednak tak łatwe do wykonania, ponieważ musiałbym zejść wcześniej z warty. Obszedłem Rotundę dookoła mając nadzieję, że może Eliza jednak gdzieś tam stoi. Niestety nie było jej tam. Czekala, czekała aż w końcu znudziło się jej czekanie i poszła! Miałem do siebie całą masę pretensji. Przecież mogłem wyjść wcześniej z jednostki, wówczas nie spóźniłbym się! Kiedy tak siedziałem pod Rotundą, a moje myśli przypominały kipiel żalu i złości postyszałem za sobą miły głos.

- Cześć Wiesiek!

Odwrociłem się i ujrzałem Elizę.

- Witaj! – odezwałem się prawie zrywając się z ławki – Myślałem, że już nie przyjdiesz!
- Przepraszam za spóźnienie, naprawdę starałam się przyjść punktualnie, ale wiesz jak jest z tą komunikacją w Warszawie...
- Wiem, wiem. Gdzie pójdziemy? Zaproponuj coś, bo ja prawie nie znam Warszawy.
- Znam bardzo fajną kawiarnię na Nowym Świecie. Może tam pójdziemy?
- Jeśli mówisz, że jest fajna, to czemu nie?
- Chodźmy zatem.

Ruszyliśmy w kierunku Nowego Świata. Rozpadał się lekki deszcz. Nie mieliśmy parasolki i dlatego przyspieszyliśmy kroku. Idąc przez Nowy Świat, oglądałem zabytkowe kamienice i przyglądałem się idącym z naprzeciwka przechodniom. Jakże zupełnie inaczej to wyglądało w porównaniu do wojskowej rzeczywistości, gdzie otaczali mnie ubrani na zielono mężczyźni oraz monotonne poszarzałe budynki z białej cegły. Tutaj na warszawskiej ulicy toczyło się normalne życie, tam żyło się zgodnie z regulaminem...

Nie wiem, kto i dlaczego wpadł na taki pomysł, aby na całe półtora roku wrzucać młodych ludzi do izolatki. Właśnie wtedy, kiedy człowiek mając ledwo skończone dwadzieścia kilka lat najbardziej pragnie wolności, pała chęcią poznania świata, i wręcz rozsadza go wewnętrzna energia, system zwany państwem zamyka go na skrawku ogrodzonej drutem kolczastym ziemi, każe na rozkaz spać, jeść, golić się, maszerować, salutować i pod żadnym względem nie wyróżniać się od ogółu. Dla psychiki młodego człowieka jest to na pewno bardzo budujące...

Po przejściu kilkudziesięciu metrów, Eliza pociągnęła mnie za ramię, prowadząc do jakiegoś eleganckiego lokalu. Oddaliśmy wierzchnie ubrania do szatni i weszliśmy do pomieszczenia, w którym mieściła się kawiarnia. Trzeba przyznać, że był to wyjątkowo duży lokal. Mógł mieć około czterdziestu metrów długości i dziesięć metrów szerokości. Rozbrzmiewał w nim przyjemny gwar rozmów, czuć było woń słodczy i kawy. Mocne, jasne światło padające z antycznych żyrandoli, pobudzało i ożywiało każdego, kto tutaj wszedł z panującego na zewnątrz półmroku i chłodu.

Usiedliśmy za stolikiem mieszczącym się w rogu pomieszczenia.. Przez chwilę zapanowało kłopotliwe milczenie.

- Pójdę po menu – zaproponowałem, wstając z krzesła.
- Spokojnie, zaraz jakiś kelner przyniesie – Eliza wskazała ręką abym usiadł.
- No tak, poczekajmy.

Założywszy nogę na nogę dyskretnie obejrzałem się dookoła. Przy sąsiednich stolikach siedzieli goście w różnym wieku. Najczęściej jednak dało się zauważyć pary młodych ludzi. Pili kawę, piwo lub herbatę i rozmawiali. Między stolikami krążyli kelnerzy ubrani w czarne wyprasowane w kant spodnie, białe koszule i granatowe kamizelki. Za bufetem stała uśmiechająca się mile barmanka.

- Ładnie tutaj – odezwałem się. – Zupełnie inna rzeczywistość niż w jednostce. U nas w kantynie nawet kawę podają w plastikowych kubkach. Nie mówiąc o tym, że trzeba poprosić dziadka o pozwolenie, aby się jej napić.
- Jeszcze trochę i wrócisz do normalnego świata. Spokojnie. Złeci jak z biczem strzelili.
- Aby do obcinki, później będzie już więcej luzu. Dziadki nie będą się wtrącać.
- A co z wyjazdami na przepustki? Jeździsz do domu?
- Dom – powiedziałem z rozmarzeniem. Przypomniało mi się to miejsce nad niewielką rzeką wzdłuż której rosły wysokie drzewa, szum wiatru, szemranie wody, pies szczekający u sąsiada, zapach skoszonej trawy i słońce zachodzące za łagodnym pagórkem. Sąsiadka przynosząca mleko od krowy i jadący na rowerze listonosz wiozący rentę dla babki. - Dom to fajne miejsce – mówiłem, patrząc na Elizę. – Byłem w domu kilka tygodni temu na przepustce. W sumie nie działo się nic ciekawego, ale dobrze jest od czasu do czasu zobaczyć rodzinę.
- Jak często wyjeżdżacie na przepustki?
- Niestety niezbyt często. Dziadki zawsze mają pierwszeństwo, oni jeżdżą co cztery tygodnie, my raz na sześć tygodni.
- Jeśli chcesz, porozmawiam z tatą. Może załatwi Ci przeniesienie do Warszawy.
- Wiesz, gdybyś zaproponowała mi to kilka miesięcy wcześniej, to nie miałbym żadnych wątpliwości. Minęło pół roku i przyzwyczałem się już do tych trepów i dziadków. Nie wiem czy chciałbym od nowa przyzwyczajać się do tego wszystkiego w innej jednostce. Od nowa przeżywać ten stres.
- Jak uważasz. Jeśli kiedyś zmienisz zdanie, to służę pomocą.
- Dziękuję – uśmiechnąłem się. – Pomyślę nad tym. Nie mówię nie.

Podszedł do nas kelner. Eliza zamówiła kawę a ja piwo. Kiedy przeglądała menu, przyjrzałem się jej badawczo. Wyglądała na smutną. Coś musiało ją gryźć.

- Dlaczego jesteś taka markotna? – zapytałem wprost.
- Markotna? – odpowiedziała z namysłem – Widać to po mnie? No tak, mam powody.
- Jakies problemy sercowe? – zapytałem.

Eliza milczała przez chwilę zanim odpowiedziała:

- Tak. Rozeszłam się z facetem.

Zrobiło mi się przykro. Wcześniej nie pytałem nawet Elizy o to, czy ma jakiegoś chłopaka bo nie chciałem psuć całego istniejącego między nami układu. Teraz okazało się, że miała chłopaka ale się z nim rozeszła.

- Długo byliście ze sobą?
- Rok.
- Rok? To dość długo, ale nie aż tak bardzo, żeby się mocno zaangażować – popatrzyłem na nią i dodałem. – Przynajmniej tak myślę.
- To nie czas o tym decyduje, lecz to co się przeżyło i jak się to odczuło.
- Faktycznie, to prawda - pomyślałem sobie, że do tej pory unikałem angażowania się w bliższe związki w obawie przed odrzuceniem. Eliza właśnie teraz to przeżywała i musiało to

ją bardzo boleć. Nie wiedziałem, w jaki sposób mogę jej pomóc. Z doświadczenia wiedziałem, że czas goi rany. Pomaga też inna miłość - klina klinem. Czy jednak warto w ten związek wchodzić wiedząc, że jest się tylko lekarstwem, które zostanie odstawione na bok gdy ból minie?

- Kiedy to się stało? - zapytałem.
- Tydzień temu. Byliśmy na wycieczce w Sopocie. Właśnie tam otwarcie przyznał się do tego, że od pewnego czasu spotyka się z inną dziewczyną.
- Jest odważny, skoro do tego się przyznał!
- Wcale że nie, to wyszło zupełnie przypadkowo. Od kilku miesięcy dzwoniła do niego jakaś dziewczyna. Mówił mi, że to koleżanka ze studiów, której pomaga w napisaniu pracy magisterskiej. W Sopocie wyszły jednak na jaw pewne istotne szczegóły.
- Od dawna grał tak na dwa fronty?
- Co najmniej trzy miesiące.
- Cham! Jak mógł przez ten cały czas cię zwodzić?
- Mógł! Zresztą jak każdy facet!
- Myślisz, że każdy facet postąpiłby tak samo?
- Tak! Dlatego nienawidzę facetów!

Eliza wzburzyła się, a na jej twarzy pojawił się wyraz złości i gniewu.

- Wszyscy faceci są tacy sami. Nie wystarcza im jedna dziewczyna. Wiecznie rozglądają się za jakimiś ładniejszymi, atrakcyjniejszymi. Nigdy nie można im zaufać. Zdradzają!
- Wszyscy?
- Wszyscy!
- Eliza, nie wkurzaj mnie bo sam jestem facetem! Gdyby mi się jakaś dziewczyna spodobała, to na pewno nie rozglądałbym się za inną. Więc nie wrzucaj mnie do tego samego worka, co innych!

Siedzący za sąsiednim stolikiem starsi Państwo spojrzeli na nas z żywym zainteresowaniem i pewnym zaniepokojeniem. Dopiero teraz zauważyłem, że uniosłem się z krzesła. Usiadłem z powrotem i na nowo zacząłem bawić się jadłospisem. Nie rozumiałem jak w ogóle można wrzucać mnie do tego samego worka co innych mężczyzn. Przecież ja jestem inny! A w ogóle, to co to za bzdura, że wszyscy faceci zdradzają! Są tacy, którzy zdradzają i są tacy, którzy nie zdradzają. Dokładnie tak samo jest z kobietami. Nie wszystkie są święte!

- Przejdzie ci - powiedziałem dużo spokojniejszym tonem - Też przez to przechodziłem. Był taki moment, kiedy nienawidziłem wszystkich kobiet, ale mi przeszło. Bo to zawsze przechodzi.

W odpowiedzi usłyszałem tylko stłumione westchnienie.

- Powiedz mi coś o swoim tacie. Czy jego też wrzuciłabyś do tego samego worka? Przecież jest mężczyzną - zapytałem.
- Tata? - Eliza zrobiła minę jak mała niewinna dziewczynka. - Tata jest kochany. Nigdy nie zdradził mamy, zawsze mogłam na niego liczyć. Mam do niego zaufanie.

Zauważyłem, że po twarzy Elizy spłynęła łza. Delikatnie starła ją chusteczką.

- Więc nie wszyscy są tacy sami. Na przykładzie swojego taty widzisz, że tak nie jest. A skoro jest taki jeden mężczyzna, to znaczy że musi być ich więcej! Takie jest życie. Na pewno ty też poznasz kiedyś mężczyznę, który będzie równie godny zaufania, jak twój tata.
- Mam nadzieję - odpowiedziała Eliza - ale kiedy to nastąpi?
- Niestety, na to pytanie nikt ci nie odpowie.
- A czy ty kiedyś miałaś dziewczynę?
- Miałem wiele koleżanek, z którymi byłem w mniej lub bardziej zażytych stosunkach, ale nigdy nie było to nic poważnego - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.
- Dlaczego?

- Dlaczego? Nie wiem. Najwidoczniej nie spotkałem jeszcze właściwej dla siebie osoby. Tak sądzę.
- Widocznie tak - rzekła dziewczyna z namysłem - ale nie trać nadziei. Wszystko jeszcze przed tobą.
- To prawda chociaż z każdym kolejnym dniem zaczynam mieć co raz więcej wątpliwości. Czy ty wiesz, ile mam lat?
- Dwadzieścia jeden?
- Dwadzieścia trzy! I do tej pory nie trafiłem jeszcze na tę "właściwą" osobę. A niektórzy zawierają takie znajomości jeszcze w piaskownicy!

Eliza roześmiała się.

- Wiesiek, jaki ty jesteś naiwny! Na miłość trzeba czasami poczekać dłużej niż dwadzieścia trzy lata. Niektórzy czekają i czekają a ona wciąż nie nadchodzi.
- Uff, mam nadzieję że ja się doczekam.
- Mam nadzieję, że i ja się doczekam.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę o studiach Elizy, jej planach na wakacje i o mojej służbie w wojsku. Opowiedziałem dziewczynie o przygodzie ze złapaniem złodziei paliwa oraz o tym, jak to Misiek zażyczył sobie, abyśmy zrobili mu sto czterdzieści siedem kaw. Wspominałem o tym jak to Żuk zrobił nam nocny wymarsz. Opisałem kilka falowych zwyczajów, na przykład pogrzeb peta oraz kręcenie wora. Eliza, usłyszawszy o tych wszystkich przygodach powiedziała, że w wojsku sporo się jednak dzieje. Niestety myliła się - w wojsku czas składa się głównie z nudy od czasu do czasu poprzeplatanej mniej lub bardziej ciekawymi wydarzeniami.

Kiedy podszedł do nas kelner aby zapytać, czy podać coś jeszcze, Eliza podziękowała. Spojrzała na zegarek i powiedziała do mnie:

- Zaraz musimy wychodzić. Jestem umówiona z pewnym kolegą pod Kolumną Zygmunta.
- W porządku – odpowiedziałem, odruchowo wstając od stolika. - Podprowadzę cię.
- Dobrze. To niedaleko stąd.

W szatni założyliśmy wierzchnie ubrania i wyszliśmy na zewnątrz. Padało. Deszcz padał na tyle intensywnie, że spacer z Nowego Świata pod Kolumnę Zygmunta w ogóle nie wchodził w rachubę. Eliza zauważyła podjeżdżający autobus.

- Pojedziemy sto dwadzieścia dwa! – zawołała, szarpiąc mnie za rękę. – Szybciej, bo nam ucieknie!

Wpatrzywszy lukę w sznurze przejeżdżających samochodów, przebiegliśmy na drugą stronę ulicy. Wyminieliśmy kilku przechodniów i w ostatniej chwili wsiedliśmy do autobusu. Po chwili drzwi zamknęły się z sykiem wypuszczanego powietrza i autobus ruszył do przodu.

- Zdążyliśmy! - powiedziała Eliza z lekką zadyszką. - Będziemy na miejscu trochę za wcześnie. Umówiłam się na dwudziestą. Zostanie pół godziny czasu
- Poczekać z tobą – odpowiedziałem, spoglądając na zegarek. – Widzę, że zaraz sam będę musiał wracać do jednostki. Została mi tylko godzina czasu...

Wysiedliśmy z autobusu na przystanku w pobliżu Placu Zamkowego. Eliza pociągnęła mnie pod arkady jakiegoś dużego zabytkowego budynku, aby schronić się przed deszczem.

- Co to za kolega, ten z którym się umówiłaś? – zapytałem, gdy znaleźliśmy się już pod arkadami.
- Kolega z tej samej uczelni. Studiuje prawo. Idziemy na urodziny do mojej koleżanki. Jak chcesz, to chodź z nami.
- Poszedłbym ale muszę wracać do jednostki. Może innym razem, może za rok. Za rok przecież będę już cywilem.
- Za rok? Przecież to już nie długo.
- Jak to niedługo? Przecież to trzysta sześćdziesiąt pięć dni! Każdy jeden osobno odliczony. Szmat czasu!

- Nie przejmuj się - pocieszała mnie dziewczyna. - Złeci jak z bicza strzelił. To co idziesz z nami na te urodziny?
 - Nie, nie. Zaraz wracam do jednostki.
 - Jak chcesz. Gdybyś miał jakieś nieprzyjemności, to mój ojciec może ci pomóc z nich wybrnąć.
 - Wiem, ale wolę taką możliwość wykorzystać, jeśli wydarzy się coś naprawdę poważnego.
 - Bardzo mądrze - pokiwała głową Eliza.
- Po kwadransie w pobliżu przystanku zatrzymało się białe sportowe audi.
- O Piotr! - zawołała dziewczyna - Już jest! Bardzo punktualny! - dodała spojrzawszy na zegarek.
 - Eliza, jak stąd dojechać do Lazurkowej? Stamtąd mam busy do Bojęcina. - zapytałem nie dzieląc jej wybuchu entuzjazmu.
 - Zejdź w dół po schodach i stamtąd pojedź tramwajem dwadzieścia sześć - poinformowała mnie. - Muszę już iść. Dziękuję za miły wieczór.
 - Ja też dziękuję. Zdzwonimy się i umówimy na następne spotkanie.
 - W porządku! Cześć!
 - Cześć!

Eliza pobiegła przez deszcz, do stojącego w pobliżu przystanku, białego sportowego audi. Znalazszy się obok samochodu otworzyła drzwi, zamieniła kilka słów z kierowcą i wsiadła do środka. Po chwili sportowy samochód z piskiem opon ruszył z miejsca i wjechał na ruchliwą ulicę Obserwowałem go aż znikł za zakrętem.

Przyszło mi na myśl, co ja tutaj właściwie robię?. Eliza ma takich kolegów, którzy rozbijają się drogami sportowymi samochodami, studiują przyszłościowe kierunki, a ja jestem tylko zwykłym prostym szeregowym żołnierzem, który przyjechał z jakiejś pipidówki i nie ma praktycznie niczego, czym mógłby jej zaimponować. Czy ja mam jakieś szanse aby z nimi konkurować? Na dodatek będąc cały czas zamknięty w jednostce? Raczej nie! Ogarnęły mnie poważne wątpliwości co do tego, jak potoczy się moja dalsza znajomość z Elizą. Próbowałem sobie wytłumaczyć, że wyciągam zbyt pochopne wnioski na podstawie trywialnego zdarzenia, że po Elizie przyjechał jakiś gość drogim sportowym samochodem. Uświadomiłem sobie jednak, że pochodzimy z dwóch różnych środowisk, dwóch różnych światów. Dziwne było to odkrycie, gdyż do tej pory cały czas jasno zdawałem sobie z tego sprawę. Dopiero jednak dziś, odczułem to o wiele bardziej świadomie.

Rozmyślając o dzisiejszym spotkaniu zszedłem po schodach w dół i na przystanku, przy moście Poniatowskiego, wsiadłem do tramwaju jadącego na Bemowo. Pół godziny później byłem już na obrzeżach Warszawy. Złapałem kursowy autobus jadący do Leszna przez Bojęcina i w przeciągu czterdziestu minut dotarłem do jednostki.

Przechodząc przez bramę i witając się z wartownikiem poczułem się lepiej. Znalazłem się w swoim świecie. Tutaj nikt nie śmierdział kasą, wszyscy mieli podobne problemy, wszyscy byli równi. W pewnym sensie wojsko leczyło z kompleksów. Ale to tylko na półtora roku!

Po wejściu do jednostki, poszedłem na dyżurkę oficera, aby zameldować swój powrót z przepustki. Na szczęście natrafiłem na innego trepa niż ten, który mi groził, że przywali mi działo jeśli się spóźnię. Pogroził mi tylko, aby było to ostatni raz i kazał iść na dywizjon.

Dziadki dobrze wiedziały, że jest weekend, a jak weekend - to wiadomo, że każdy chce się dobrze zabawić. Dlatego też z samego wieczora zgotowali nam wystrzałową imprezę. Ledwo wszedłem na dywizjon a usłyszałem powalający ryk jakiegoś kaprala stojącego przy stoliku podoficera.

- Zapierdalaj na górę, kocie jebany! Za dziesięć minut zbiórka po indiańsku! Wolniej tam dajesz po tych schodach, kito zapchlona!

"Witamy w wojsku" - pomyślałem sobie. Te klimaty były mi już dobrze znane. Takie wrzeszczenie zawsze miało służyć zastraszeniu i nigdy nie należało zbytnio się go bać. Wiedział o tym ten, co wrzeszczał oraz ten, na którego wrzeszczano. Nie mniej jednak dałem dyla po schodach, bo wielce mnie ciekawiło co to takiego ta „zbiórka po indiańsku”.

Po wejściu do sali zastałem moich falowców ubranych w spodnie z piżam i buty opinacze. Od pasa w górę byli goli.

- Co się dzieje? - zapytałem.
- Dziadki zarządziły zbiórkę po indiańsku - odpowiedział Majcherek – Strój jest taki: dół - spodnie z piżam i opinacze, góra - skóra. Przebieraj się szybciej, bo zaraz wychodzimy.
- Dobra, już się przebieram.

W pięć minut później wraz z falowcami z innych baterii staliśmy na korytarzu ubrani w pełnej gali na "zbiórkę po indiańsku". Na dole opinacze i spodnie z piżam. Za gumki od spodni z piżam wetknięte były dwie skarpety, które swobodnie zwisały sobie w dół prawie aż do kolan. Głowy mieliśmy okręcone szalokominiarkami. Z tyłu głowy za szalokominiarkę zatknięty był plastikowy pantofel (tak zwany laczek), a z przodu na wysokości czoła, szczoteczka do zębów skierowana włosiem na zewnątrz tak, aby przypominała antenkę. Wyglądaliśmy rzeczywiście idiotycznie śmiesznie i całe stojące na korytarzu stare wojsko miało z nas niezły ubaw. Nie wszyscy z nas dobrze znosili taki strój i taką sytuację. Widać to było po ich napiętych, nie zdradzających wesołości twarzach. Traktowali to jako naruszenie godności osobistej. Nie mieli racji. Takie rzeczy należało brać na luzie, jak to się mówiło "na miękko" jako specyficzny rodzaj zabawy. Należy się przy tym zgodzić, że najwięcej zabawy miało z tego stare wojsko, a my występowaliśmy w roli materiału, który ma im dostarczać rozrywki. Kiedy tak staliśmy na zbiórce, kilku starych żołnierzy, z naszym dziadem na czele, zastanawiało się w jaki sposób uatrakcyjnić nam wieczór. W końcu jeden z nich, wysoki i chudy jak szczapa zawołał:

- A słyszeliście, że waszemu dziadowi zginęła cienizna?
- Gdzie jest moja cienizna? - zawtórował mu Misiek - Szukajcie mojej cienizny!

Prawie już rozbiegliśmy się po salach, aby szukać cienizny naszego dziadka. Misiek jednak zawołał głośno:

- Jak , kurwa szukacie? Młode wojsko szuka zdziwionym zółwem!
- Co? Nie wiedzą jak wygląda szukanie zdziwionym zółwem?! - wołał ten wysoki i chudy. - Idą na czworaka, rozglądają się na prawo i na lewo i miauczą!

Stare wojsko wybuchło głośnym śmiechem!

- Co jest kurwa, dziadki?! Nie słyszeli? - huknął Misiek. - Jadą na glebie!

Zaczęliśmy więc w tym całym stroju, z laczkiem zatkniętym za tył głowy i szczoteczką do zębów z przodu, iść na czworaka przez korytarz i rozglądać się na prawo i na lewo cały czas głośno miaucząc. Dodać tutaj należy, że na chodziliśmy na czworaka, podpierając się łokciami, co musiało wyglądać wyjątkowo śmiesznie. Idąc szeroką ławą przez korytarz, rozłaziliśmy się do sal i szukaliśmy w różnych zakątkach cienizny dziada. W końcu jeden z żołnierzy znalazł ją schowaną w jakiejś szafce. Dostał za to trzy dni po lepszańsku.

Na polecenie dziadów znowu ustawiliśmy się na zbiórce. Dziady naradzali się i co chwilę wybuchali gromkim śmiechem. Tym razem inny stary żołnierz stanął naprzeciw nas i zawołał:

- Kociarnia baczność!

Rozległ się tupot butów. Stanęliśmy na baczność.

- Na moją komendę, w palarni na parapecie zbiórka! Spoczniej!

Spojrzeliliśmy po sobie. Zbiórka na parapecie? Niby jak miałoby to wyglądać? Jak mamy się tam w ogóle pomieścić? Przecież jest nas dwudziestu!

- Co jest kurwa? Zdziwieni? Zapierdalają na zbiórkę! Biegusiem zapierdalają! - krzyknął żołnierz.

- Raaaz, dwaana - zaczął odliczanie Misiek. Wiadomo było, że jak nie zdążymy zanim odliczy do trzech, to będzie tłoczenie. W te pędy rzuciliśmy się więc do palarni. Gonił nas śmiech starego wojska.

Na palarni wskoczyliśmy na parapet i usiłowaliśmy ustawić się na zbiorce. Nie było to łatwe przy tak małej powierzchni i tak dużej grupie osób. Trzymaliśmy się rurek od kaloryfera, opieraliśmy się rękoma o sufit, jeden trzymał się drugiego, jak nie miał się już czego złapać. Co się zaś tyczy oparcia dla nóg, to ten co był w stanie postawić na parapecie całą stopę, mógł mówić o prawdziwym komforcie. Z reguły stało się na parapecie opierając się na palcach, albo na kawałku pięty, albo jakoś ukosem, nierzadko jeden drugiemu stał na stopach. Niemniej jednak w ciągu minuty, udało nam się, w dwudziestu chłopów, ustawić na parapecie w coś w rodzaju dwuszeregu. Był to kolejny dowód na to, że w wojsku nie ma rzeczy niemożliwych.

Dziadki, widząc nas na parapecie, aż zataczali się ze śmiechu.

- I śpiewają! - wołał Misiek - Prawoskrzydłowy płyta! Kalina malina w lesie rozkwitała... - zaintonował.

Stojący, albo raczej wiszący najbardziej na prawo żołnierz, rozpoczął piosenkę.

- *Kalina malina w lesie rozkwitała.*
- Kaaainaaa maaalina w lesie rozkwitałaaaaa - basowym chórem powtórzyliśmy za nim.
- *Nie jedna dziewczyna żołnierza kochała!*
- Neeee jednaaaa dzieeeewczynaaaa żołnierza kochaaalaaa.
- *Żołnierza kochała, żołnierza lubiła!*
- *Żołnierzaaa kooochałaaa, Żołnierzaaa lubiłaaa.*
- *Do swego lubego liściki kreśliła.*
- *Do swegooo lubegooo liściki kreśliłaaa!*

Dziady chodziły po palarni i aż zanosły się ze śmiechu. Pewnie już dawno nie mieli takiego ubawu. Misiek stał na dole i rękoma trzymał się z brzuch. Trząśł się cały ze śmiechu.

- Wystarczy kurwa! - krzyknął - Baczość! Spoczniej! W tył na lewo rozejść się!

Znowu gruchnęła salwa śmiechu, jako że w tył na lewo było akurat okno, a my znajdowaliśmy się na drugim piętrze. Nie będąc do końca pewni, czy dziadkom coś nie odbije, zesłaliśmy jednak normalnie na podłogę. Tym razem inny dziad, nazywany Edzio postanowił dać upust swoim wojskowym fantazjom.

- Na moja komendę, kociarnia na korytarzu w dwuszeregu zbiórka! - ryknął, aż zadzwoniło w uszach.

Ustawiliśmy się na zbiorce a wówczas padła następna komenda.

- Baczość! Do prasowalni biegiem marsz! Spoczniej!
- Ruchy, kurwa ruchy! Zapiierdalają biegiem! - krzyczał Misiek - Raaaz, dwaana...

Rzuciliśmy się co sił w nogach do znajdującej się na drugim końcu korytarza prasowalni. Wprawdzie było to pomieszczenie dość ciasne, ale z powodzeniem zmieściliśmy się w niej wszyscy. W chwilę potem do prasowalni podbiegli żołnierze ze starego wojska. Edzio zamknął drzwi na klucz i wyłączył światło. W środku zrobiło się ciemno i duszno. Czekaliśmy na to, co będzie działo się dalej.

- Co robią koty? - padło zapytanie zza drzwi.
- Koty piją mleko - odpowiedział któryś falowiec.
- Co jeszcze robią?
- Miauczą!
- No to miauczeć tam kurwa kociarnia!
- Miauczą, młode koty miauczą - słyhać było zza drzwi głos Miśka - głośno miauczą!

Zaczęliśmy głośno miauczeć jeden, przez drugiego. Cała prasowalnia wypełniła się tym miaukotem oraz wybuchami głupawego śmiechu.

- Co to kurwa za miauczenie? Razem miauczą! Równomiernie! - krzyczał przez drzwi Misiek - Powtarzają za mną: Miiiiiauuuuuuuuuuuuuuuuuu - miauknął nasz dziad długo, przeciągle, a jego

głos wydobył się przez otwarte okno i dotarł do kotłowni, gdzie zagrał „Rezerwę” na rurach i pomknął na strefę, owionął blaszane wiaty, które zaczęły pobrzękiwać w rytm Mazurka Dąbrowskiego, dotarł do wyrzutni raketowych, które stanęły pionowo na baczność i salutowały jak Marszałek Piłsudski na Placu Defilad, omiół ramiona radaru, który zwiększył obroty i zaczął wywijać oberka, doleciał także do budki wartowniczej i rozbrzmiał w słuchawce telefonu brzmieniem "rozmowa kontrolowana, rozmowa kontrolowana", a na końcu uleciał w puszcę dźwięcząc rytmicznym tupotem wojskowych kroków i podniosłymi tonami pieśni "My ze spalonych wsi i z głodujących miast..."

W końcu Misiek przestał miauczeć lecz głos jego wciąż rozbrzmiewał . Wszyscy myśleli że on wciąż miauczy jeszcze, a to echo tak miauczało...

Pierwszy Edzio z zadumy się ocknął.

- Miaucz kurwa jednocześnie! – wrzasnął z nagła. - Powtarzają za swoim dziadem! Głośno!
- Razem kurwa koty miaucz. Razem! - wołał Misiek.

Zamiauczeliśmy więc długo, jednocześnie i głośno, aż dzwoniły rury od kaloryferów.

- Ładnie kociarnia miauczy - słyhać było za ściany pełen zadowolenia głos Miśka - Od razu widać, że to prawdziwe rasowe koty! Jutro na śniadanie dostaną serek!
- Jedzcie koty serek biały, by wam kity dobrze stały! - wykrzyknął Zibi wywołując wybuch śmiechu wśród zebranego na korytarzu wojska.

Gdy dziadom zdudziło się nasze miauczenie. Edzio podszedł do drzwi dał w nie kopa.

- Wypierdalają z prasowalni - krzyczał - Na korytarzu w dwuszeregu zbiórka! Raaaazz, dwaaaaa...

Wypadliśmy biegiem z prasowalni i ustawiliśmy się na zbiórce. Edzio stanął przed nami i głośno zawołał:

- Czołem leśni ludzie!
- Czołem Robinchuuudzie! - dowiedzieliśmy chórem.
- Ile tam dzisiaj staremu wojsku?
- Sto dwadzieścia osiem!
- A ile to jest?
- Mało!
- Ile? - Edzio udawał że nie słyszy. Co jest kurwa dziatki? Cyfra was już dusi? Głośniej!
- Mało, Mało, Malunio! - wrzeszczeliśmy co sił w gardłach.
- Dobra! Stulić ryje! Baczność! Pierwszy szereg trzy kroki na wprost marsz! Spoczni!

Pierwszy szereg, w którym i ja się znalazłem zrobił trzy kroki do przodu. Edzio wydawał komendy dalej:

- Pierwszy szereg w tył zwrot! Spoczni!

Odwróciliśmy się stanęliśmy przodem do kolegów z drugiego rzędu.

- Dzielcie się na dwie grupy i robimy wyścigi rydwanów. Każda drużyna wybiera najlepszych zawodników. Drużyna wygrana dostaje trzy dni po lepszańsku, drużyna przegrana tłoczy pięćset pompek! - mówił Edzio - Wiedzą, jak wyglądają wyścigi rydwanów?

Odpowiedziało mu milczenie. Nikt nie miał pojęcia, co to takiego.

- Chuja tam wiedzą! - wtrącił się Misiek - Przecież wczoraj przyszli do wojska i nic nie wiedzą. Kociarnia zajebana!
- Zaraz się dowiedzą!

Kilku starych żołnierzy wybuchnęło śmiechem.

- Ale dostaną koty w cyc! - nabijał się Zibi - Dawaj z tymi wyścigami!
- Przynieś dwa stoliki ze świetlicy i dwa koce! - rozkazał Edzio stojącym w drugim rzędzie żołnierzom - Majcherek zapierdalaj na kuchni i przynieś dwa kubki mleka. Biegiem!

Dwaj żołnierze i Majcherek popędzili przez korytarz. Tymczasem Misiek instruuwał nas jak wygląda wyścig rydwanów:

- Kładzie się na podłodze koc, a na nim stolik odwrócony do góry nogami. Jeden wskakuje na stolik, a dwóch łapie za koc i ciągnie do przodu. Proste!

Rzeczywiście wyglądało to niezbyt skomplikowanie a że stawka była wysoka, stąd też wyścigowi towarzyszyły nie lada emocje. Mieć trzy dni po lepszańsku albo tłoczyć pięćset pompek - to kolosalna różnica! Trzeba było zrobić wszystko, aby ten wyścig wygrać! Wybraliśmy więc z naszej grupy dwóch najroślejzych kolegów do ciągnięcia koca i jednego, najmniejszego, do jazdy na rydwanie. Nasi przeciwnicy postąpili dokładnie tak samo - wybrali dwóch kafarów prawie pod dwa metry wzrostu do ciągnięcia koca oraz jakiegoś kurdupla z drugiej baterii, co miał chyba z metr sześćdziesiąt w kapeluszu i ważył tyle co piórko! Widać było od razu, że wyścig będzie ciężki do wygrania. Akurat tak się złożyło, że w naszej ekipie nie znajdowały się aż tak krańcowo różne indywidualia. Wszyscy byli mniej więcej podobnej postury a u nich trafiły się takie skrajności.

- To co Paślawski, już czujesz te zakwasy po dzisiejszym tłoczeniu? - zwrócił się do mnie Zibi - Nie macie szans przegracie! - dodał.
- Co tam zakwasy - odpowiedziałem lekceważącym tonem. - Przecież ja do wojska dla poprawienia tężyzny fizycznej przyszedłem! Ale stracić trzy dni byczenia się na wozie było by fatalnie. Niestety nie będę ciągnął koca, ani jechał rydwanem, więc pozostało mi tylko głośno klaskać i dopingować.

Zibi roześmiał się i odszedł ponieważ wołali go jego falowcy. Wkrótce dwaj żołnierze przynieśli ze świetlicy dwa stoliki i dwa koce. Wrócił też i Majcherek, któremu zaraz kazano postawić dwa kubki mleka po przeciwnej stronie korytarza. Pod kierownictwem Edzia, wyznaczeni do wyścigu żołnierze, zaczęli szykować swe ogniste rydwany.

Tymczasem wieść o wyścigu rydwanów lotem błyskawicy rozniosła się po dywizjonie. Na górny korytarz zaczęli się schodzić żołnierze z innych pododdziałów i baterii. Pojawił się nawet wartownik, który pełnił służbę na pobliskim posterunku. Wszyscy ustawili się wzdłuż korytarza, dowcipkowali, żartowali i co chwile wybuchali śmiechem. Każdy z nich z niecierpliwością oczekiwał na wyścig.

Dwa ogniste rydwany stały już gotowe do boju. Trzymający rogi koców zawodnicy prężyli mięśnie, gotowi w każdej chwili wyrwać do przodu, jak wypuszczone na wolność mustangi. Z ich nozdrzy ze świtem wydobywały się kłęby pary a spod opinaczy przy każdym kroku sypały się snopy iskier. Stojący w rydwanach żołnierze mocno zaparli się nogami o błądy stolików. Jedną ręką trzymali się blaszanych rurek, a w drugiej ściskali skręcone na marchewkę ręczniki, aby okładać i poganiać swe rumaki, gdy te będą już padały ze zmęczenia. Zarówno zawodnicy jak i cała reszta wojska czekała na Miśka, aby ten dał sygnał do rozpoczęcia wyścigu. Misiek zaś poszedł do sali, przyniósł taboret i postawił go na linii startu, tuż obok rydwanów. Wspiął się nań ociężale, wyprostował i rzekł:

- Zapierdalają do końca sali, wypijają mleko z kubków i wracają! Zrozumiano?
- Tak jest! - odrzyknęli zawodnicy.

Fala śmiechu przeszła przez stare wojsko. Stojący wzdłuż korytarza żołnierze przyłgnęli do ścian, aby dać więcej miejsca zawodnikom. Tymczasem na twarzy Miśka dał się zauważyć wyraz niezwykłej koncentracji, tak jakby gromadził jakąś energię. Wreszcie rozpoczął odliczanie:

- Cztery! Trzy! Dwa! Jeden! - tutaj ważący sto dwadzieścia kilo Misiek odwrócił się tyłem do zawodników, wypiął tyłek i pierdnął tak głośno, jakby piorun grzmotnął - Start!

Ryk śmiechu przetoczył się przez korytarz. Stojący obok Miśka żołnierze czmychnęli na boki przed smrodem a dwa rydwany, jak torpedy wyrwały do przodu!

Na korytarzu zawrzało! Rozległy się nawoływania, odgłosy dopingowania, oklaski, tupanie butów, śmiechy. A tymczasem dwa rydwany sunęły ramię w ramię tylko nieznacznie na przemian się wyprzedzając. Gnały tak, jakby to nie zwykli żołnierze byli w nie zapięci, lecz jakby stado lwów ciągnęło każdy koniec koca! W końcu, w połowie korytarza, ekipa z przeciwnej drużyny jakby

zaczęła osiągać przewagę. Nasi zostawiali z tyłu i nie pomagały żadne okrzyki ani doping. Tamci byli wyraźnie lepsi i z każdą sekundą pozostawiali nasz rydwan co raz dalej w tyle. Zrzędy nam miny. Poczuliśmy gorycz przegranej.

- Dają do przodu! - wołał Misiek - Napierdalają tymi marchewkami! Napierdalają!

Na dźwięk głosu Miśka obydwaj rydwany szarpnęły do przodu. Z daleka słychać było szybkie oddechy żołnierzy, pisk ślizgających się po podłodze opinaczów i świst marchewek, które spadały na gołe, spocone plecy rwących do przodu ogrów!

- Jada, jada! - poganiał Misiek.

Jeden z wielkich ogrów w zespole przeciwnika, zawadził swym łbem o zawieszoną na ścianie doniczkę, która upadała na podłogę i potoczyła się wprost pod nasz rydwan. Ten wpadł na nią z impetem, rozbił aż ziemia sypnęła fontannami po bokach, lecz niestety pęknięta doniczka dostała się pod nogi jednego z naszych zawodników. Ten pośliznął się i upadł na podłogę. Cały rydwan toczył się jeszcze przez chwilę siłą rozpędu i stanął.

- Wstawaj, wstawaj! - wołał jadący w rydwanie kolega - Chcesz tłoczyć pięćset pompek! Wstawaj!

Żołnierz zerwał się na równe nogi, złapał koc i zaczął na nowo co sił w nogach ciągnąć rydwan do przodu. Niestety losy wyścigu zdawały się być już przesądzone. Podczas gdy nasz rydwan znajdował się na środku stumetrowego korytarza, nasi przeciwnicy byli już na samym końcu. Właśnie żołnierz jadący w ich rydwanie schylał się, aby wypić mleko z kubka. Nie minęło jednak więcej niż dziesięć sekund, a nasi byli już przy nich. Szczególnie dobrym zrządzeniem losu Dzyngiel - czyli żołnierz który "powoził" naszym rydwanem, wyróżniał się szczególnym upodobaniem do piwa. Potrafił je pić w dużych ilościach i szybko, bardzo szybko, nawet bez przełykania. Dorwał więc kubek z mlekiem, przechylił go i jednym ruchem wlał całe mleko do swojego przepastnego gardła. Rzucił kubek na podłogę i wrzasnął.

- Z powrotem dają!

Nasi ruszyli aż dał się słyszeć jeden przeciągły gwizd spod ich opinaczów. Gnali do przodu jak dzikie wypuszczone na wolność rumaki a jadący na rydwanie Dzyngiel poganiał ich jak prawdziwy kowboj z Dzikiego Zachodu.

Tymczasem Pan Władysław - palacz z kotłowni, mocno zaniepokoił się dobiegającymi z góry hałasami. Obawiał się, że dziś, mając ciężką rękę, jak zwykle po pijaku za dużo podłożył do pieca i pękła jakaś rura od centralnego ogrzewania. Wziął więc ze sobą klucz francuski i szykował się skontrolować sytuację na dywizjonie. Na wszelki wypadek zabrał również ze sobą szufłę do węgla. Założył ją na plecy i trzymając sztyl w dłoni pomaszerował chodnikiem w kierunku wejścia do dywizjonu. Po kilku minutach wszedł na dywizjon i ominąwszy nie pilnowany przez nikogo stolik podoficera dyżurnego, zaczął wchodzić po schodach na pierwsze piętro, gdzie odbywała się cała impreza.

Na górze zaś toczyła się prawdziwa walka. Rydwany ścigały się zacięcie z werwą i zacięciem godnym rzymskich wojowników.

Po uzyskaniu chwilowej przewagi nad przeciwnikiem nasze szanse na wygraną znowu zaczęły maleć. Rydwan przeciwnika zbliżał się do naszych, jak pędzący bolid. Widać było wyraźnie, że już za moment nas wyprzedzą...

Raptem zgasło światło. Zrobiło się ciemno. Tylko z otwartej świetlicy padały na korytarz mdłe promyki światła.

- Włączyć światło! Włączyć światło! - nawoływano zewsząd!

Włączanie i wyłączanie kontaktu nic nie pomagało. Przyczyna musiała tkwić gdzie indziej.

- Pewnie wyjechało korki! - wołał Misiek. Przechylił się przez poręcz na schodach i zawołał do dyżurnego z dołu - Dyżurny. Sprawdź, czy korki są włączone.

- A rydwany jada dalej! - krzyczał Edzio - Dają, dają!

Dyżurny z dołu dobrze wiedział, dlaczego wywaliło korki. Schował do kieszeni nie do końca dopracowaną buzałę, która spowodowała spięcie i zawołał.

- Wyjebało korki. Już włączam - odpowiedział i pobiegł do blaszanej szafki z licznikiem elektrycznym i korkami.

Nagle na górnym korytarzu powstał zgiełk. Zdudniało, zaświstało, coś huknęło, ktoś zaczął krzyczeć - to pędzący po ciemku rydwan wpakował się na stojących pod ścianą żołnierzy.

- Dalej jada, dalej jada! - dopingował Edzio. - Nie zatrzymują się!

Rozległy się głośne przekleństwa i rydwany pomknęły w ciemnościach do przodu. Do mety pozostała jeszcze tylko ostatnia połówka korytarza. Ze względu na panujące ciemności nikt nie wiedział, która drużyna prowadzi. Miał o tym zdecydować Misiek, który zdołał po ciemku przemieścić się na linię mety.

Z każdą sekundą narastał tupot opinaczy. Rozbrzmiewał co raz głośniejszy i głośniejszy. Dawało się słyszeć szybkie oddechy żołnierzy oraz furkot sunących po podłodze rydwanów. Misiek przykleił się do ściany i zaczął uroczyście tonem oznajmiać:

- Zwycięzczą jeeeeessst... - przeciągnął długo, aby wypatrzeć w ciemności prowadzącą drużynę. Raptem zapaliło się światło. Misiek popatrzył na stojący już na mecie rydwan i dokończył z nutą niepomiernego zdziwienia - Pan Władysław!

Rzeczywiście! Nie kto inny jak sam palacz znajdował się w środku zwycięskiego pojazdu! Na tym szczytnym miejscu umieścił go los, gdy rydwan wpadł po ciemku na stojących wzdłuż korytarza ludzi. Widok palacza kucającego między nogami stołu wywołał eksplozję śmiechu. Wszyscy przecierali oczy z niedowierzaniem i rechotali, padając ze śmiechu na podłogę.

- Jebana mać - mówił palacz gramoląc się z rydwanu. - Co to za głupie zabawy? Ledwo człowiek z kotłowni wyjdzie, a już pakuje się w jakąś chujnie! - wołał, wymachując kluczem francuskim.

- Impreza falowa panie Władysławie! - odpowiedział hardo Edzio - Palacz nie fala, do wojska się nie wpierdala!

- To jest kurwa wojsko? - palacz wciąż był wciekły - To jest przedszkole, nie wojsko. Ja to byłem we wojsku. Trzy lata w marynarce! To było wojsko, nie to, co wy tu macie...

Nikt nie oponował, bo co tu przyrównywać służbę dwadzieścia lat temu w marynarce do służby w obecnej rakietówce. Wiadomo było, że my mieliśmy bardziej przejebane, bo przecież dwadzieścia lat temu nie było fali! Ale weź to wytłumacz komuś, kto całą służbę szedł regulaminowo.

Palacz podniósł z podłogi łopatę i z miną urażonego pawia, powolnym krokiem przeszedł przez korytarz a następnie zszedł po schodach w dół. Misiek zaś ogłosił werdykt:

- Nie ma wygranych! Wszyscy dostają w cyc za to, że nie pilnowany cywil przedostał się do wojska! Po toalecie całe młode wojsko przychodzi na tłoczenie do świetlicy! Dzisiaj trzysta pompek!

Starzy żołnierze ryknęli śmiechem.

- Młody musi mieć w cyc! - wołał Zibi - bo jak nie dostaje to mu się w głowie lasuje!

Zawtórował mu głupi śmiech starego wojska:

- Jebać młodych! - wrzasnął Scyzor - dzampem jada do sal!

- Rozejść się! - krzyknął nasz dziad. - Biegiem! Toaleta i po dwudziestej drugiej spotykamy się na świetlicy.

W te pędy pognaliśmy do sal. Wprawdzie Scyzor cały czas wrzeszczał, aby zasuwać do sal dzampingiem, ale był z dołu, a więc z innej fali - tutaj na górze wszyscy go olewali.

- Mamy tylko piętnaście minut - rzekł Pindel gdy weszliśmy do naszej sali. - Ja już teraz po tej całej imprezie jestem padnięty. Nie wiem jak ja zrobię te trzysta pompek. Chyba dostanę zawału!

- Damy se rade - próbowałem go pocieszyć. - Młodzi z dołu codziennie robią po pięćset pompek i jakoś wytrzymują. To i my wytrzymamy!

Majcherek nic nie mówił. Padł zmęczony za łóżko i wtulił głowę w poduszkę. Ostatnimi czasy nie miał się dobrze. Od momentu, kiedy rzuciła go dziewczyna, wpadł w przygnębienie

i rozgoryczenie. Zmienił się. Przedtem chętny do rozmowy, teraz stronił od ludzi. Chował się po kątach, przesiadywał sam i wiecznie miał te smutne, patrzące donikąd oczy. Życie zobojętniało mu do tego stopnia, że nawet nie jadł posiłków, czasami zjadał tylko kilka łyżek zupy. Widać było, że wpadł w jakąś depresję i nie może z niej wyjść, mimo że upłynął prawie miesiąc od kiedy otrzymał list od dziewczyny. Posłano go do lekarza, a ten z kolei skierował go do psychiatry. Majcherek jednak podarł skierowanie, twierdząc iż nie chce ryzykować, że dostanie żółte papiery. I tak się męczył chłopak, aż żal było na niego patrzeć, tym bardziej, że jego stan wcale nie poprawiał się a można rzec, że nawet się pogarszał. Tutaj w monie nikt się zbyt mocno tym nie przejmował - każdy troszczył się o siebie.

Po dwudziestej drugiej zgodnie z poleceniem dziadka zebraliśmy się na świetlicy. Do tej pory zdarzało nam się tłoczyć po pięćdziesiąt lub nawet sto parę pompek, ale nigdy aż trzysta! Zastanawiałem się, jak ja to wytrzymam! Przecież to duży wysiłek fizyczny!

Okazało się, że jest to zadanie w pełni wykonywalne – jak zresztą wszystkie w wojsku. Po prostu robiliśmy te pompki z przerwami. Jednak przerwy bynajmniej nie wyglądały w ten sposób, że leżało się na podłodze i odpoczywało, lecz siedziało się w kucki a w wyciągniętych przed siebie rękach trzymało się metalowe krzesło za dwie przednie nogi. Tak że rączki cały czas pracowały...

Wykonanie takiej ilości pompek zajęło nam około jednej godziny. Zmęczeni poprzednimi falowymi zabawami, wyszliśmy ze świetlicy ślaniając się na nogach. Rzeczywiście dostaliśmy w dupę tego wieczora, jak nigdy wcześniej. Czując piekący ból w ramionach i z trudem łapiąc oddech po dwieście którejs pompcie, widziało się czarno na białym głupotę i bezsens fali. To tylko dlatego, że jakaś tłusta świnia miała taki kaprys, ja musiałem się tak męczyć? Nienawidziłem wówczas tego całego systemu. Byłem wściekły na trepów, że prawie w ogóle nie walczyli z falą. Odnosiłem wrażenie, że nawet ją popierali! Gniew ogarniał mnie gdy na to wszystko patrzyłem i jednocześnie czułem smutek, ponieważ miałem świadomość tego, że muszę tu spędzić jeszcze rok czasu.

Tego wieczora ledwo przyłożyłem głowę do poduszki i już zasnąłem.

Przebudziłem się około drugiej w nocy. Musiałem wyjść za potrzebą do ubikacji. Zrzuciłem z siebie koc i założywszy laczki wyszedłem na korytarz. Wciąż jeszcze zaspany, idąc wolnym krokiem, słyszałem szuranie swoich butów i złowróżbne brzęczenie świetlówek. Wolno mijałem zawieszony na ścianie obrazy przedstawiające sceny batalistyczne. Minąwszy klatkę schodową wszedłem z korytarza do ubikacji. Obejrzałem swoją zaspnaną twarz w lustrze i szarpnąłem za drzwi do jednej z kabin. Były zamknięte. Szarpnąłem jeszcze raz. Nikt nie odpowiadał. Zdziwiłem się i pomyślałem sobie, że pewnie ktoś tam zasnął po pijaku. Uspokojony tym stwierdzeniem, wszedłem do drugiej kabiny. Po chwili posłyszałem jakiś ruch, tak jakby ktoś obsunął się z sedesu. W kilka sekund później, dobiegło stamtąd głucho stłumione westchnienie. Żal mi się zrobiło gościa, że spędzi noc w tak niewygodnej pozycji ale po co tak ostro chleje, że zasypia w kiblu? Jego sprawa. Spuściłem wodę, wyszedłem z kabiny i znów zacząłem powolnym, zaspnanym krokiem iść przez korytarz. Znowu słyszałem szuranie swych butów, złowieszcze brzęczenie świetlówek a kątem oka widziałem zawieszony na ścianach obrazy. Nagle coś mnie tknęło. Zaspwany umysł dopiero teraz skojarzył dwie rzeczy. Pełen niepokoju wróciłem do toalety. Pierwszy rzut oka skierowałem na drzwi od zamkniętej kabiny. Z przerażeniem spostrzegłem wydobywającą się spod nich strugę krwi. Wbiegłem do otwartej toalety, wskoczyłem na sedes i wychyliwszy się za ściankę dzielącą kabiny spojrzełem w dół. Ujrzałem tam żołnierza siedzącego na sedesie z głową opartą o drzwi. Od pasa w górę był nagi. Z opadającej luźno ręki sączyła się krew. Na podłodze, obok jego stóp leżała zakrwawiona żyłetka. Poznałem go od razu - to był Majcherek! Jak oparzony zeskoczyłem z sedesu i zacząłem szarpać

drzwi do kabiny w której on siedział. Niestety nic to nie dawało. Drzwi trzeba było wyważyć. Potrzebowałem pomocy. Wybiegłem na korytarz i krzyknąłem głośno:

- Dyżurny! Dyżurny!

Zbiegłem w dół po schodach i popędziłem w miejsce gdzie znajdował się stolik podoficera dyżurnego. Kaprala pełniącego służbę nie było przy stoliku. Pewnie spał gdzieś na palarni. Poniosłem słuchawkę telefonu, który łączył bezpośrednio z oficerem dyżurnym.

- Kapitan Nowicki, słucham - usłyszałem w słuchawce.

- Panie kapitanie, żołnierz pociął się w kiblu żyłkami... leci krew... nie mogę otworzyć drzwi... - mówiłem chaotycznie - To mój kolega Majcherek!

- W którym kiblu? - zapytał oficer.

- Na górze!

- Poczekaj chwilę.

Kapitan odchylił słuchawkę i mówił do pomocnika:

- Jakiś szwey pociął się na kompanii. Dzwon po karetkę i powiadom dowódcę jednostki!

- O kurwa! - zaklął pomocnik - Już dzwonię.

W chwili później znów słyszałem w słuchawce mocny głos oficera:

- Że też kurwa musiał to zrobić akurat na mojej służbie! Czekaj tam - rozkazał.

- Tak jest!

- Kto zgłasza?

- Kanonier Paślawski - odpowiedziałem.

- Kto?

- Kanonier Paślawski! - krzyknąłem do słuchawki. Te pieprzone wojskowe formalności! Tutaj człowiek ginie, a ten dupek zamiast zapierdalać tu biegiem, pyta nazwisko zgłaszającego bo mu to będzie potrzebne do raportu! Dajesz tutaj biegiem, trepie pieprzony, później będziesz sobie poematy pisał!

- Dobra. Czekaj tam! - rzekł kapitan i rzucił słuchawkę na widełki.

Odnalazłem na palarni zaspanego kaprala i razem z nim czekałem na przyjście oficera dyżurnego. Żał mi było Majcherka. W sumie był z niego w porządku kumpel. Miałem nadzieję, że uda się go uratować.

Koniec rozdziału XIII

Rozdział 14

Król Fali

Majcherek nie zginął. Na szczęście udało się dowiedzieć go w porę do wojskowego szpitala na Pradze, gdzie został natychmiast podłączony go do specjalistycznej aparatury co pozwoliło mu przeżyć. Nigdy więcej go nie zobaczyłem. Podobno leżał przez tydzień w szpitalu a później trafił do brygady w Warszawie. Przebywał tam przez miesiąc na izbie chorych. W tym czasie chodził na wizyty do lekarza psychiatry. W efekcie tych spotkań został wezwany na komisję lekarską, która zdecydowała o zwolnieniu go z zasadniczej służby wojskowej. Dostał chłopak kategorię "D" i tym sposobem, raz na zawsze uporał się z zaszczytnym obowiązkiem wobec ojczyzny.

W czasie gdy Majcherek leżał na izbie chorych, w jednostce prowadzono dochodzenie na temat przyczyn dla których ten młody żołnierz próbował popełnić samobójstwo. Po kilka razy przyjeżdżała żandarmeria z Warszawy, jakiś oficer śledczy, jakiś major zajmujący się „stosunkami międzyludzkimi”, a mówiąc dokładniej "falą wojskową". Wielokrotnie byliśmy przesłuchiwani. Zarówno my - falowcy Majcherka, jak również inni starsi poborem żołnierze, służący w baterii startowej. Najbardziej maglowany był jednak Misiek, który cały czas trząśł mocno portkami, ponieważ straszono go prokuratorem. Na szczęście w szafce Majcherka znaleziono ów list od dziewczyny, w którym czarno na białym stało, że go rzuca i że nie chce więcej utrzymywać z nim żadnych kontaktów. Wszyscy żołnierze zgodnie twierdzili, że Majcherek załamał się po przeczytaniu tego listu, natomiast jego próba samobójcza spowodowana była zawodem miłosnym, a nie rzekomym gnębieniem go przez stare wojsko. Po znalezieniu i zarekwirowaniu listu, ton przesłuchań zdecydowanie zelżał. Ostatecznie po miesiącu, prawdopodobnie wówczas gdy Majcherek cały i zdrowy wyszedł już do cywila, machnięto na tą sprawę ręką, komentując to zdarzenie jako „kolejny wypadek, kolejnego głupka który stracił głowę dla dziewczyny”. Po dwóch tygodniach skończyły się przesłuchania oraz wizyty oficerów z żandarmerii a życie w jednostce z powrotem zaczęło się toczyć normalnym trybem. Dla nas, młodego wojska, całe to wydarzenie miało o tyle pozytywny aspekt, że przez pierwszy tydzień została zawieszona fala. Co oznaczało że, mogliśmy leżeć na wozach, chodzić do kantyny kiedy chcieliśmy i pić kawę i herbatę do bólu.

W tym czasie również i ja przechodziłem ostre kryzysy i często popadałem w przygnębienie. Fala, mimo tego, że herbaciana, istniała jednak i dawała się we znaki. Powodowała ona dodatkowe ograniczenie wolności osobistej. Najbardziej irytowało mnie to, że musiałem się pytać swojego dziada nawet o to czy mogę się napić herbaty, wyjść do kantyny, wyjechać na przepustkę, pójść do sklepu, obejrzeć telewizję i o całą masę innych rzeczy, których nawet nie sposób tu wymieniść. Czułem się z tego powodu ponizony. Często zdążyły się złośliwości ze strony starszych falą, na przykład robienie rysek opinaczami na dopiero co umytej podłodze, odcinanie niezapiętych guzików, wywalanie petów z popielniczek na podłogę i inne

mniej lub bardziej upierdliwe złośliwości. Filozofia stosunków międzyludzkich w wojsku była bardzo prosta: "młody musi mieć w cye" - tak brzmiało często powtarzane powiedzenie i rzeczywiście młody w ten "cyc" czasami nieźle dostawał.

Najgorsze było jednak dla mnie tłoczenie pompek, dzamping, oraz inne ćwiczenia fizyczne które praktycznie wykonywaliśmy co wieczór. Nazywało się je "dygańskim" i stanowiły one karę za nie przestrzeganie zasad fali. Na przykład jeśli któryś z młodych żołnierzy trzymał ręce w kieszeni (a nie wolno mu było "bo popali") i został na tym przyłapany, to zaliczył "zmkę". Wieczorem mieliśmy przez niego zafundowane „dygańsko”. Za rączki w kieszeni przeważnie tłoczyło się pięćdziesiąt pompek, za spanie na wozie około stu, za inne przewinienia różnie w zależności od humoru i widzimisię dziadka. Temu gnębieniu - bo tak trzeba to nazwać, towarzyszyło silne poczucie bezradności i osamotnienia. Doniesienie kadrze o tym, co dzieje się wieczorami na kompani, w ogóle nie wchodziło w rachubę ponieważ kadra w sposób jawny i widoczny sprzyjała fali wojskowej. Jedynym postrachem fali był oficer wychowawczy ale i on ingerował w tylko skrajnie trudnych wypadkach, a na pozostałe "normalne" falowe zwyczaje przyrykał oko. Tak więc nie pozostało nic innego, jak tylko zacisnąć zęby i czekać na obcinę, po której miało być już znacznie lepiej.

W tym trudnym okresie popadłem w melancholię i całą swą wściekłość i gorycz przelewałem na papier pisząc pamiętnik. Jak nietrudno się domyślić pisałem o wojsku źle. Pisałem, że nienawidzę dziadów, że wszyscy tutaj są jacyś lekko świrnięci, że kadra traktuje żołnierzy jak bandę idiotów i ma nas za nic, że w ogóle cała ta instytucja to jakiś głupi i chory organizm i tak dalej. Pamiętnik ten, wykradzony z mojej szafki, najpierw obiegił całą kompanię, później wartownie a końcu trafił do oficera wychowawczego, który rozkazał zwolnić mnie ze służb wartowniczych i odesłać na kuchnię. Najwidoczniej obawiano się, że jeszcze zrobię sobie jakąś krzywdę na warcie.

I tym oto sposobem, najadłszy się wstydu z powodu zapisków w pamiętniku, trafiłem na zmywak - najlepszą w warunkach zimy służbę na jednostce. I jedzenia do bólu, i ciepło, i spało się każdą noc - po prostu żyć nie umierać. Po pewnym czasie zaczęło mi się to jednak nudzić bo ileż to można szorować gary? Nic jednak nie wskazywało na to, aby cokolwiek miało się zmienić. Rozmawiałem z pisarzem, żeby wstawił mnie na inną służbę, ale odpowiedział, że nie może gdyż grafik jest już ustalony i nie będzie go zmieniał. Wydawać by się mogło, że zostanę na tej kuchni do końca monu, ale pewnego kwietniowego poranka, wraz z Ryśkiem Pindlem zostałem wezwany do porucznika Żuka.

Po apelu porannym, weszliśmy do jego kancelarii i zameldowaliśmy się. Żuk zapalił papierosa, uchylił okno i usiadł za biurkiem. Z zagraconej szuflady wyjął służbowe blankiety przepustek. Spodziewałem się, że w końcu wypuści nas na te urlopy, które już dawno dostaliśmy za złapanie złodziei paliwa. Żuk jednak szybko rozwiął moje nadzieje.

- Jutro rano jedziecie na szkolenie POPiS - powiedział krótko.
- Czego, przepraszam? - zapytałem.
- Posterunek Obserwacji Powietrznej i Skażeń - wyjaśnił porucznik. - Co pół roku wysyłamy żołnierzy na takie szkolenia.
- A co z urlopami?
- Wojsko to nie wczasy! Odbierzecie w późniejszym terminie.
- To gdzie mamy jechać na to szkolenie?
- Do Sulimowa. To jest w lasach dwadzieścia kilometrów od Warszawy. Szkolenie będzie trwało tydzień. Po powrocie będziecie mogli pojechać na te urlopy. Jak nie umoczyć! - dodał.

Szczerze powiedziawszy ucieszyłem się z tego wyjazdu na szkolenie. Zbrzydło mi już szorowanie garów i papranie się w pomyjach. Jedyną dobrą stroną służby na kuchni było to, że żarcia było do bólu, no i że kawę piło się bez pytania dziadka o zgodę - bo nie widział. Ponadto pomimo tego, że spędziłem w wojsku już pół roku, duch bojowy wciąż jeszcze we mnie nie gasł i

domagał się znacznie ambitniejszych celów i zadań niż zmywanie brudnych naczyń, nawet gdyby miały one pochodzić z pierwszej linii frontu. W świetle trwającego od czterdziestu dni zmywania garów wyjazd do obcej jednostki na szkolenie, gdzie można było oderwać się od codziennej nudy, rutyny i nauczyć się czegoś nowego, wydawał się być niezwykłą przygodą, rzekłbym nawet - safari.

- O której mamy przyjechać do Sulimowa? - zapytałem.
- Macie się tam zameldować o dziesiątej rano. Jedźcie na dworzec Gdański, a stamtąd pociągiem do Mielna. Później już na nogach sześć kilometrów przez las.

Pindel aż gwizdnął z wrażenia.

- Sześć kilometrów lasem? Ale zadupie!
- Jak będziecie wcześniej to możecie zabrać się autobusem z kadrą.
- Przejdziemy się - odpowiedział Pindel - Musimy wyjechać o czwartej rano, aby być tam na dziesiątą.
- Macie wziąć ze sobą OP1 i maskę przeciwgazową. - powiedział Żuk rzucając niedbale blankiety dwóch rozkazów wjazdu. - I suchy prowiant na jeden dzień. Jakies pytania?

Spojrzeliliśmy po sobie.

- Nie. Nie mamy żadnych pytań - odpowiedział Pindel.
- Odmaszerować!

Wykonaliśmy w tył zwrot i wyszliśmy z kancelarii.

Pindlowi niezbyt uśmiechała się wizja wyjazdu do innej jednostki. Znowu trzeba będzie przyzwyczajać się do nowej kadry, nowych dziadków a i na pewno spać i jeść w dużo gorszych warunkach. Fakt faktem że najlepiej służba leciała we własnej jednostce, ponieważ tam wszystko było już znane, nawet jeśli było to totalne dziadostwo. Dlatego też Pindel cały czas kłął na całe wojsko i złorzeczył na Żuka. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Rozkaz to rozkaz. Trzeba było pakować swe manatki i wyjeżdżać.

Następnego dnia o czwartej rano opuściliśmy jednostkę. Na plecach nieśliśmy nabite do granic możliwości plecaki, maski przeciwgazowe, gumowe kombinezony zakładane na terenie skażonym chemicznie, ogromną torbę z próbkami i przyrządami chemicznymi, wielki metalowy stojak, który sam jeden ważył z dziesięć kilko. Do tego ładownice z czterema pustymi magazynkami, a na plecach karabiny. Swoim wyglądem wzbudzaliśmy wśród cywili nie lada sensację. Wyglądaliśmy tak, jakbyśmy właśnie wybierali się na wojnę do Jugosławii.

Idąc drogą przez łąki z radością odkrywałem, że nadchodzi wiosna. Widać już było zieloną trawę. Czuć było powiew ciepłego powietrza. Świergotały ptaki. Nawet słońce jakoś tak mocniej, radośniej świeciło. Wówczas rodził się we mnie optymizm. Myślałem sobie, że rok to już niedługo, że następna wiosna będzie już nasza, jeszcze tylko lato, jesień, zima i cywil!

Z takim nastawieniem, bo i Jaškowi udzielił się ten optymistyczny nastrój, bładym świtem wsiedliśmy w autobus jadący do Warszawy. Dojechawszy do ulicy Łazurowej przesiedliśmy się w miejski autobus, który zawiózł nas na Dworzec Gdański. Cały czas baczyliśmy na to, aby nie natknąć się na żandarmerię. Z dużym zainteresowaniem przyglądaliśmy się ładnym dziewczynom, których tutaj w Warszawie było zatrzęsienie. U nas w jednostce jedyną kobietą była kucharka, tak gruba, że ugięła się pod nią rama ruskiego roweru, którym dojeżdżała do pracy.

Chciałoby się tak jeszcze pospacerować po tej warszawskiej ulicy, pooddychać trochę tym miejskim powietrzem, napić się kawy, usiąść na ławce i przyglądać się przechodniom. Niestety czas nagle i trzeba iść już na pociąg, aby w porę dojechać do Sulimowa. Na Dworcu Gdańskim wsiedliśmy w pociąg jadący do Nadarzyna. Po czterdziestu minutach jazdy wyszliśmy z niego na małej, zapomnianej stacji zewsząd otoczonej lasem. Siedzący na ławce zasuszony starzec wskazał nam drogę do zaszytej w lesie jednostki. Zarzuciwszy na siebie ciężkie plecaki poszliśmy w kierunku wioski, by potem skręcić w idącą w las drogę z betonowych płyt.

Żał mi się zrobiło, że muszę znowu znaleźć się w jakiejś obcej jednostce. Po tym krótkim przerywniku, jakim był spacer ulicami Warszawy, kiedy poczuło się to tętno wielkomiejskiego życia, nie chciało się wracać do tej nudy, złośliwości, chamstwa i prostactwa, które królowało w koszarach wojskowych. Poczulem tęsknotę za cywilem, za normalnym życiem, bez pobudki o szóstej i zaprawy, bez dziadów i fali, i bez tych ogrodzeń, za które nie wolno było wyjść. Niestety na takie życie trzeba było poczekać jeszcze rok. Okrąży rok.

We wiosce odnaleźliśmy betonową drogę i ruszyliśmy przez las. Zgodnie z tym co powiedział Żuk, odległość do jednostki wynosiła około sześciu kilometrów. Pomimo tego, że nieśliśmy na sobie ciężkie wyposażenie nie mieliśmy nic przeciwko takiemu spacerkowi. Wcale nie śpieszyło nam się do jednostki w Sulimowie. Ten świat był jakoś tak urządony, że po tej stronie ogrodzenia człowiek miał znacznie lepsze samopoczucie, nawet jeśli dźwigał na sobie dziesięć kilogramów żelastwa.

Zaledwie jednak weszliśmy w las dopędził nas wojskowy gazik. Samochód gwałtownie zatrzymał się przy nas, a kierujący nim sierżant z trzaskiem otworzył drzwi.

- Wsiadają! - krzyknął rozkazującym tonem.

Szkoda, że ten gazik się napatoczył, gdyż odebrał nam tą ostatnią godzinę wolności. Wpakowaliśmy się jednak bez szemrania do samochodu i jeszcze podziękowaliśmy sierżantowi, że się zatrzymał.

Po kilku minutach jazdy przez las, wjechaliśmy na teren jednostki wojskowej w Sulimowie. Sierżant ruchem ręki wskazał nam przez szybę dyżurkę oficera.

- Idźcie się zameldować! - zawołał przekrzykując warkot silnika. Jednocześnie dał znać abyśmy opuścili samochód.

Powoli wygramoliliśmy się z gazika, który zaraz ostro ruszył z miejsca i pognął w stronę parku maszynowego. Kiedy samochód oddalił się, nastąpiła cisza. Żadnych odgłosów życia tylko szum wiatru i zgrzyt zardzewiałego łańcucha dyndającego na pobliskim ogrodzeniu. Poczulem wzbierający we mnie odruch wymiotny. W tej zaszytej w głębi lasu jednostce nic się nie działo! Groził mi tu największy, najbardziej znienawidzony przeze mnie stres: nuda! Jak ja nienawidziłem tej cholernej wojskowej nudy! Drażyla mój umysł powodując istną huśtawkę nastrojów, od przygnębienia i melancholii po napady gniewu i wściekłości. Nie znosiłem jej a w wojsku towarzyszyła mi dość często.

- Chodźmy się zameldować - powiedziałem do Pindla przygnębionym tonem. - Nuda w tej jednostce. Nic się nie dzieje.

- Fakt, widać że zadupie jak cholera - potwierdził Rysiek.

Ruszyliśmy powoli przez betonowy plac w kierunku dyżurki oficera. Wiatr owiał mi czoło i zrobiło mi się trochę raźniej. "W końcu to tylko jeden tydzień. Jakoś to wytrzymamy" - pomyślałem sobie. W milczeniu przeszliśmy przez plac i zatrzymaliśmy się przed niedużym budynkiem białej cegły usytuowanym obok bramy wjazdowej. Podeszliśmy do okratowanego i okna zajrzeliśmy do środka. W dyżurce oficera nie było nikogo, ale świeciło się światło w przylegającej do niej toalecie. Zdjęliśmy z siebie plecaki i rozglądając się dookoła znudzonym wzrokiem czekaliśmy, aż siedzący w toalecie trep wejdzie do dyżurki. Mimo woli moją uwagę przyciągała wielka czarna mucha, która głośno brzęcząc, latała po dyżurce oficera. Najpierw usiadła na obrazie przedstawiającym orła w koronie i przespacerowała się wzdłuż drewnianej ramki, później zleciała w dół i usiadła na telefonie. Przez chwilę chodziła chaotycznie po okrągłej tarczy z numerami a następnie znowu wzbijała się do góry i uderzyła kilka razy o falującą na wietrze firankę. W końcu odrzucona mocniejszym podmuchem wiatru wpadła do białego kubka z czarną mazią, w którym brzęcząc od czasu do czasu, zakończyła swe krótkie, aczkolwiek intensywne życie.

Wkrótce usłyszeliśmy szum spuszczonej wody i z toalety wyszedł niski brodaty chorąży. Pindel zobaczywszy go zasalutował.

- Panie chorąży, kanonier Pindel i kanonier Paślawski meldują swoje przybycie!
- Wy na szkolenie? - zapytał chorąży siadając na krześle.
- Tak jest. Na szkolenie POPiS.

Chorąży wyjął z szuflady książkę meldunków, odnotował w niej nasze nazwiska i godziny przybycia a następnie podsunął ją nam do podpisania.

- Broń zostawcie u oficera dyżurnego. Zaraz tam przyjdę i przyjmę ją do magazynu - rzekł łapiąc za biały kubek z kawą. - Tam na kompanii przygotowano już sale dla tych ze szkolenia. Podoficer was rozlokuje.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć chorąży napił się resztek kawy jakie pozostały w białym kubku. Widocznie musiał trafić na ów smakowity kasek, który przed chwilą tam wpadł, gdyż z wyrazem obrzydzenia wypłuł kawę na blat stolika.

- Tfuuu! - zawołał i złapawszy za smatę zaczął ścierać wypłute fusy ze stolika i centralki telefonicznej. - Co to za świństwo?!

W chwilę potem rozdzwonił się czerwony telefon, stanowiący bezpośrednie połączenie z oficerem operacyjnym w sztabie brygady. Widocznie chorąży oferma wcisnął jakiś przycisk sygnałowy na centralce.

- Alarm przeciwpożarowy? Nie, u nas nic się nie pali, panie pułkowniku - wołał do słuchawki.
- Nie, nie wzywaliśmy straży pożarnej. To chyba jakaś pomyłka...

Chorąży zasłonił słuchawkę ręką i wrzasnął na nas:

- Co się tak gapią? Wypierdalają stąd!

Rozbawieni tym zabawnym zbiegiem okoliczności założyliśmy na siebie plecaki i pomaszzerowaliśmy w stronę koszar.

Wszystkie jednostki w raketówce były do siebie bardzo podobne. Budynek sztabu, magazyn żywności, plac apelowy i podłużny dwupiętrowy budynek z białej cegły, w którym mieściły się koszary. Teren jednostki poprzecinały szerokie alejki w bardziej reprezentacyjnych miejscach otoczone żywopłotem. Idąc alejką prowadzącą do koszar usłyszeliśmy dobiegający z tyłu ostry krzyk:

- Zalegają dziadki!

Odwróciłem się i zobaczyłem dwóch żołnierzy siedzących na ławce obok kantyny. Z tej odległości nie mogłem zobaczyć, na którą dziurę są dopięci, ale po luźno popuszczonych pasach i wystających z kieszeni cieniznach, można było się domyśleć, że to stare wojsko. Wrzeszczeli do nas i wymachiwali groźnie rękoma.

- Co jest? Nie słyszeli? Ile tam kurwa idzie?
- W chuj! - krzyknął Pindel. - Kosmos!
- Jadą pięćdziesiąt pompek! Raz!

Dwaj żołnierze wstali z ławek i zaczęli do nas podchodzić.

- Chyba ich pojechało - powiedział do mnie cicho Pindel. - Niech se sami robią te pięćdziesiąt pompek.
- Z jakiej fali? - zapytał jeden z nich gdy znalazł się przy nas. Spod podwiniętych rękawów wyglądały mu fragmenty tatuaży.
- Młoda jesień - odpowiedziałem.
- Mietek patrz, to nasi młodzi! - wołał ten z tatuażem. - A już kurwa myślałem, że nigdy nie przyjdą!
- Fajki macie? - zapytał Mietek.

Pindel pokręcił przecząco głową.

- Nie mamy. Nie palimy - rzekł.

Rysiek nie mówił prawdy. Zawsze mieliśmy przy sobie jakieś fajki na wypadek gdyby dziadowi raptem zachciało się palić. Nawet największy palacz nie wypalał ostatniego papierosa, lecz zawsze trzymał go dla swojego dziada.

- To kurwa sto pompek!

- Ale my w was nie wnikamy, tylko w naszego dziada! - próbowałem protestować.
- Jakież dyskusje, młody? - huknął na mnie Mietek. - Dyskusje od stu pięćdziesięciu. Gleba!
- Co jest, kurwa? Jakież problemy? - wołał towarzysz Mietka. - Mam was dzisiaj na stołówce przybić na drewniaków?

Wprawdzie nie wnikaliśmy w nich, ale fałowo byli naszymi dziadami, bo oni byli ze starej jesieni a my z młodej. Czyli wnikaliśmy w ich pobór. Faktycznie mogli nas przybić na drewniaków a wiadomo, że drewniak ma w wojsku najbardziej przejebane.

Nic nie mówiąc zdjęliśmy z siebie całe oporządzenie i pełni gniewu i wściekłości zrobiliśmy te sto pompek. Na szczęście Misiek dbał ostatnio o naszą kondycję fizyczną, dlatego ta setka nawet specjalnie nas nie wzruszyła.

- Dobra dziadki. Teraz możecie iść na dywizjon - rzekł wspaniałomyślnie Mietek. - U nas kurwa fala jest jak chuj! Nie jak gdzie indziej, herbaciana!
- Nas to gównu obchodzi, że jesteście z innej jednostki - mówił wysoki żołnierz z tatuażem. - Fala jest fala. Będziecie dygali razem z naszymi młodymi! Jak kadra zjedzie, to was tam dziś lekko przejebjemy!

Mietek wybiegł po schodach, odchylił metalowe drzwi i krzyknął w głąb korytarza:

- Podoficer! Dajesz tu wolniej!

Po chwili z dywizjonu wyskoczył zdyszany i lekko przestraszony kapral.

- Masz tu dwóch młodych co przyjechali na szkolenie - mówił Mietek - Zabieraj ich!
- Dobra - kapral odetchnął z ulgą. Pewnie spodziewał się czegoś jeszcze gorszego. - Chodźcie ze mną - zwrócił się do nas.

Założyliśmy na siebie całe oporządzenie i weszliśmy do dywizjonu.

- Giwery, zostawcie przy stoliku - powiedział podoficer. - I idźcie do stopiętnastki. To sala dla tych ze szkolenia.
- Nikt nam nie zapieprzy kałachów? - zapytałem. Było o co się troszczyć, za utratę broni grodziło do trzech lat więzienia.
- Nie. Przecież ja pilnuje!

Pełni wątpliwości położyliśmy karabiny z ładownicami obok stolika podoficera. Tymczasem kapral mówił dalej:

- Szkolenie zaczyna się po drugim śniadaniu. Jak zjecie, to zrobię zbiórkę i zaprowadzę was do tego baraku, gdzie jest szkolenie.
- Są już żołnierze z innych jednostek? - zapytałem mając nadzieję, że może spotkamy kogoś z naszej unitarki.
- Jeszcze nie ma nikogo. Idźcie na górę a ja zaraz przyniosę klucz.

Weszliśmy po schodach na pierwsze piętro i zatrzymaliśmy się przed drzwiami do sto piętnastki. Były zamknięte, musieliśmy więc poczekać na kaprala. Kiedy tak staliśmy rozglądając się dookoła, na korytarz wyszedł młody fał żołnierz. Od razu zaczął biec i wołać "młode wojsko po korytarzu porusza się biegiem, młode wojsko po korytarzu porusza się biegiem". Biegł tak aż skręcił do łazienki. W chwilę potem ze świetlicy wyszedł inny żołnierz, który również zaczął natychmiast biec i wołać "młode wojsko po korytarzu porusza się biegiem, młode wojsko po korytarzu porusza się biegiem". Żołnierz zatrzymał się przed schodami i szedł po nich na dół.

Popatrzyłem na Ryśka i powiedziałem:

- Faktycznie, że mają tu mocną fałę. Taką jak u nas na dole albo jeszcze gorszą!
- Trzeba uważać bo łatwo można zmoczyć - odrzekł Rysiek.

W chwilę potem na pierwsze piętro wszedł niewysoki jasny blondyn o szczerowatym wyglądzie twarzy. Już z daleka po dzwoniących z każdym krokiem opinaczach można było wywnioskować, że to stary żołnierz, dawno już po obcinie. Przeszedł obok nas nie odzywając się ani słowem, a zobaczywszy, że jesteśmy dociągnięci na ostatnią dziurę, popatrzył na nas z nieskrywaną pogardą. Kiedy przechodził obok mnie, widziałem w jego oczach spryt, chytryść i szczerą inteligencję. Wszedł do sali sąsiadującej ze stopiętnastką i mocno zatrasnął za sobą drzwi. Nie

upłynęło nawet pięć sekund, gdy drzwi te otworzyły się z hukiem. Metalowa klamka z impetem uderzyła w ścianę, aż odprysły kawałki farby i tynku. Dwóch żołnierzy w dzikim pędzie wypadło na korytarz i gnało przed siebie ile sił w nogach. Wojskowy laczek, który miał ugodzić jednego z nich, ze świstem uderzył w wiszącą na ścianie doniczkę i spadł na podłogę. Blondyn z głośnym rykiem wybiegł z sali i krzyknął do nich:

- Padnij! Granat!

Żołnierze natychmiast, prawie że w biegu, rzucili się na podłogę.

- Czołganiem przez pełzanie naprzód! – wołał nad podziw mocnym jak na swoją szczupłą sylwetkę głosem.

Dwóch młodych żołnierzy leżało plackiem na podłodze jakby naprawdę miał wybuchnąć jakiś granat.

- Powstań! – wydawał komendy blondyn. – Jadą dżampem do końca korytarza i z powrotem! Jazda!

Żołnierze kucnęli, założyli ręce za kark i ruszyli do przodu, kicając jak zające. Gdy dotarli do końca korytarza, jeden z nich upadł na podłogę i złapał się rękoma za kolano.

- Co jest dziadek?!- wołał do niego blondyn. – Nie masz siły? To tłoczenie. Cyferkę dziadka. Jedziesz tam! Raz!

Żołnierz ten mimo widocznych na twarzy oznak bólu, nie protestował. Położył się na podłodze i na drżących ze zmęczenia rękach wykonywał pompki, tymczasem jego towarzysz niedoli zasuwiał dżampem przez korytarz.

- Jedziesz dziadek, jedziesz! – poganiał go blondyn. - Wolniej tam dajesz! Ruchy, ruchy!

Gdy żołnierz dotarł do miejsca skąd zaczęli skakać dżampem blondyn krzyknął:

- Powstań! Wypierdalają na kuchnię! Zaraz powiem kucharzowi, żeby was docenił!

Młodzi, ślaniając się na nogach powoli zeszli po schodach. Widziałem, jak jeden z nich wyraźnie utykała na lewą nogę.

Despotyczny blondyn ponownie obrzucił nas pogardliwym spojrzeniem i bez słowa wszedł do sali.

- Młodzi muszą tu mieć naprawdę przejebane – rzekł Rysiek. – Widać, że jest tu fala i to na dodatek mocna!

- Mam nadzieję, że nie będziemy wnikali w dziadów z tej jednostki - odezwał się będąc w lekkim szoku po tym co widziałem.- Oni wszyscy są jacyś świrnięci!

- Ciekawe za co ich tak zdygał?

- Może leżeli na wozach?

- Pewnie tak.

Po kilku minutach przyszedł kapral i otworzył nam salę. Weszliśmy do środka i umieściliśmy w szafkach całe wyposażenie oraz plecaki. Kapral ostrzegł nas:

- Tylko uważajcie bo tutaj amba grasuje jak jasna cholera.

- Amba fatima, było i ni ma – zażartował Rysiek. – A można zamknąć drzwi na klucz?

- Chyba cię pojebało, dziadek – zaprotestował podoficer. – Pilnujcie se rzeczy to wam nie poginą!

- Dobra, dobra. Przypilnujemy se – odrzekł Rysiek.

Amba było to zjawisko polegające na wzajemnych kradzieżach wojskowego umundurowania. Jeden kradł drugiemu i tak tworzył się łańcuszek wzajemnych kradzieży, który kończył apel mundurowy. Najbardziej cierpieli na tym ci, którzy nie mieli sumienia kraść cudzych rzeczy. Wymowali kasę i płacili za brakujące umundurowanie ze swojego skromnego żołdu.

Kapral trzasnąwszy drzwiami wyszedł z sali, a my zabrawszy niezbędniki, udaliśmy się w ślad za nim na śniadanie.

Wszedłszy na stołówkę poczułem uderzenie smrodu. Rzeczywiście, w większości wojskowych stołówek dało się wyczuć woń detergentów i pomyj, jednakże tutaj śmierdziało tak, że aż wykręcało nos. Na stołówce znajdowało się kilkudziesięciu żołnierzy. Jedni z nich jedli w

milczeniu, drudzy rozmawiali głośno i co chwilę wybuchali głośnym śmiechem. Za stolikami siedzieli falowo - starsi falą tuż przy wydawce, młodszy na końcu sali. Znajdował się tam także stolik drewniaka (drewniak jako osoba wyjęta spod fali nie mógł jeść przy jednym stole z innymi żołnierzami idącymi falowo). Ku mojemu zdziwieniu za stolikiem drewniaka siedział nie kto inny, jak ów blondyn, który przed chwilą przegonił na górce dwóch młodych żołnierzy.

- Popatrz Rysiek - zwróciłem się do swego kompana. – Ten gość siedzi za stolikiem drewniaka. Nic już z tego nie rozumiem!
- Mówiłem ci że to jakaś pojebana jednostka – odpowiedział Rysiek. – Wszyscy tutaj są jacyś popierniczeni!

Położyliśmy na blaszanych tackach talerzyki ze skromną porcją białego szaleństwa (białego sera ze śmietaną) i weszliśmy w głąb stołówek, aby gdzieś usiąść. Znaleźliśmy dwa wolne miejsca przy stoliku mieszczącym się prawie na końcu sali. Okazało się, że siedzą za nim dwaj żołnierze, których tak bezlitośnie przegonił blondyn na dywizjonie. Jeden z nich cały czas masował ręką lewe kolano.

- Można się przysiąść? – zapytał Rysiek.
- Śmiało – odpowiedział żołnierz z obolałym kolaniem.
- Pewnie musi cholernie boleć – odezwałem się do niego.
- Boli i puchnie – odrzekł – ledwo stoję na tę nogę. Coś mi trzasnęło w kolanie jak jechaliśmy dzampingiem.
- Byłeś u lekarza?
- Nie ma tutaj lekarza. Pieprzone zadupie. Jest sanitariusz ale on nawet bandaża nie umie założyć.
- To niech ci dadzą przepustkę i jedź do Warszawy. Z kolaniem nie ma żartów.
- Wiem, ale to dopiero jutro, jak zejść z warty. Dzisiaj nie da rady. Za dziadka na wartę mam wejść.
- A co powiesz trepom?
- Że upadłem na beton albo wymyślę coś innego.

Przytaknąłem mu głową. Dziadka nie wolno było zdradzić bo za to groziło przybicie na drewniaka. Jeśli w wyniku ścigania młodych dochodziło do jakichś kontuzji, to zawsze tłumaczyło się to upadkiem, wypadkiem przy pracy itd. Dziadek musiał pozostać nietknięty.

- Co wy tu macie taką falę? – zagadnąłem jego kolegę, który do tej pory cały czas milczał.- Ścigają was jak psów! Nas na dzień dobry rzucili na głębę i sto pompek.
- To jest nieformalna jednostka karna – odparł ten patrząc mi w oczy.- Tutaj większość żołnierzy ma wyroki w zawieszeniu. Przeważnie za kradzieże i pobicia. Są też tacy co w sumie siedzieli po kilka tygodni w anclu. Sami psychole.
- Co ty opowiadasz? – wykrztusił z siebie Rysiek.
- Specjalnie ich tu kierują, żeby nie mieszać z resztą wojska w innych jednostkach – mówił żołnierz drżącym głosem. Na jego twarzy widać było podenerwowanie - Nie macie pojęcia co tu się czasami dzieje jak kadra zjedzie. Zresztą kadra też jest popierdolona. Uważajcie na siebie. Naprawdę uważajcie bo gdzie indziej mogą was co najwyżej przybić na drewniaka, a tutaj nawet i nożami potraktować.
- Ja pierdole, ale trafiliśmy! – szepnął Rysiek – A myślałem, że pojedziemy na jakieś nudne szkolenie.
- A ten gość, ten blondyn, co was tak ganiał na górce, to co to za jeden? – zapytałem patrząc na żołnierza z kontuzjowanym kolaniem.
- To Król Fali – odpowiedział ten krótko.
- Kto?
- Król Fali – powtórzył ze zniecierpliwieniem.
- Król Fali? Co to takiego? U nas rządzi najstarszy pobór! – odezwał się Rysiek dając wyraz swojemu zdziwieniu.

- U nas też ale wybierają spośród siebie Króla Fali. Przeważnie tego, który najbardziej ścigał młodych.
 - To dlaczego ten Król Fali je za stolikiem drewniaka?
- Rysiek ledwo stłumił wybuch śmiechu. Król Fali je za stołem dla drewniaka. Dobrze, dobrze! Jak powiemy o tym w jednostce w Bojęcynie, to wszyscy pękną ze śmiechu.
- To nie jest stolik drewniaka! On ma swój osobny stolik dla Króla Fali.
 - U nas w tym miejscu stoi stolik drewniaka – wyjaśniłem – dlatego się dziwię.
 - Tutaj na razie nie ma drewniaków ale jakby kogoś przybili to niech się lepiej tego samego dnia szarym mydłem pochlasta. Nie wytrzymałby nawet tydzień.
 - Nie wątpię – odpowiedziałem.

Po drugim śniadaniu wróciliśmy do sali. W międzyczasie grupa, która przyjechała na szkolenie powiększyła się o kilku nowych żołnierzy. Niestety nie znaleźliśmy nikogo z nich. Nie traciliśmy jednak nadziei, że pojawi się ktoś ze starej ekipy na unitarce i że będziemy mogli powspominać stare dobre czasy na samym początku służby wojskowej. Najbardziej ucieszyłbym się gdyby na szkolenie przyjechał Kapsel. Ciekawiło mnie jak ten chłopak o delikatnej i wrażliwej psychice poradził sobie z brutalnością służby wojskowej. Zwłaszcza że jego dziadem miał zostać znienawidzony przez nas Pampers. Poza tym Kapsel był prawie moim ziomkiem. Wprawdzie on pochodził z Krakowa, a ja z Rzeszowskiego ale przecież jedno i drugie to dawna Galicja.

Szkolenie rozpoczęło się po godzinie dwunastej. Przybyło na nie kilkunastu żołnierzy z różnych jednostek. Wszyscy mieściliśmy się w jednej sali. Tak się szczęśliwie złożyło, że większość z nas pochodziła z tej samej fali – jesieni 95 i młodszych poborem. Mogliśmy więc swobodnie pić kawę i leżeć na wozach bez obawy, że ktoś doniesie na nas dziadom.

Na szkolenie, zgodnie z naszymi oczekiwaniami, rzeczywiście przyjechali dwaj koledzy z unitarki. Nie znaleźliśmy ich jednak zbyt dobrze ponieważ na unitarce mieszkali w sali znajdującej się po drugiej stronie baraku. Okazało się, że los się do nich uśmiechnął i po szkółce trafili do brygady w Warszawie. Z tego co mówili wynikało, że w brygadzie panowała minimalna fala a żołnierze nie byli przeciążeni służbami. Na wartę wchodził po dwa razy w tygodniu, a na przepustki wyjeżdżali co trzy tygodnie. Dla porównania żołnierze służący w dywizjonach znajdujących się wokół Warszawy, pełnili służbę wartowniczą co dwadzieścia cztery godziny a na przepustki wyjeżdżali co sześć, siedem tygodni. Poza tym byli dużo bardziej ścigani przez dziadów. Najbardziej jednak zazdrościłem swym kolegom z Warszawy możliwości wychodzenia na przepustki popołudniami, dzięki czemu mogli często przebywać w cywilnym świecie. U nas w Bojęcynie też nie byłoby kłopotów z uzyskaniem takiej przepustki ale gdzie tu nie nią wychodzić, do lasu?

Jeden z tych kolegów miał wyjątkowo podłużną twarz i dlatego jeszcze na unitarce przyłgnęło do niego przezwisko "Koniu". Widocznie bardzo je lubił bo często dla hecy rżał jak koń. Był to też jeden z najbrzydszych ludzi jakich kiedykolwiek widziałem, a jednocześnie miał bardzo narcystyczny sposób myślenia o sobie. Na przykład jeśli przyglądała mu się jakaś dziewczyna twierdził, że patrzy na niego ponieważ jest taki przystojny, podczas gdy moim zdaniem, uwagę dziewczyny przyciągała jego niespotykana i odrażająca brzydota. Taki był już ten Koniu, brzydki i niezbyt koleżeński. Mimo najszczerzych chęci nie dawało się go lubić.

Drugi kolega tak jak ja pochodził z Rzeszowskiego. Nie miał żadnego przydomka i dlatego zwykło się do niego wołać po nazwisku "Czarnik". Był on typowym przykładem chłopaka z rzeszowskiej wsi: twardy, zawzięty, odporny na trudy i niewygody. Czarnik był niezbyt wysoki ale za to bardzo dobrze zbudowany. Przed wojskiem ćwiczył zapasy i chodził na siłownię. Niestety był też niezwykle szorstki w obejściu, rzekłbym nawet prymitywny. Najbardziej irytowało mnie jego powiedzenie "jadę do dziewczyny zalać formę". Ogólnie był jednak w porządku i dawało się go lubić.

Szkolenie poprowadził pewien niezwykle energiczny major z brygady w Warszawie. Ogólnie rzecz biorąc dotyczyło ono działania na posterunku POPiS. Posterunek ten służył do wykrywania skażeń chemicznych, identyfikowania środków użytych w ataku chemicznym, i meldowania o przelatujących obiektach powietrznych. Major często podkreślał ważną rolę żołnierza pełniącego służbę na tym posterunku - w żargonie wojskowym nazywanego "popisistą". Jako jedyny żołnierz mógł samodzielnie ogłosić alarm. Prawo takie przysługiwało tylko dowódcy jednostki. W czasie szkolenia okazało się, że jedni kapują szybciej, a drudzy w ogóle nie mogą się połapać o co chodzi. W codziennym życiu w jednostce wykonuje się proste czynności i tam prym wiedli, ci co mieli, że tak powiem "mocne osobowości". Kiedy zaś przyszło ruszyć głową i nauczyć się czegoś abstrakcyjnego to niestety intelektu im już nie starczało. Najwolniej kapował właśnie Koniui, a jego szybko dostrzeżona tępota, stała się przedmiotem wielu złośliwych żartów. Koniui nie przejmował się tym, przecież nie przyszedł do wojska dla zasług, czas leciał szybko, do cywila z każdym dniem coraz bliżej, no i w zasadzie wszystko było w porządku. Dla odmiany byli też tacy co ostro zakuwali. Major obiecał bowiem, że najlepszym da po trzy dni urlopu (trepi zawsze tak mówili jeśli chcieli wspiąć się na wyżyny dawania motywacji. Natomiast gorzej było już z samymi wyjazdami na te urlopy, czasami nie spełniali swych obietnic i wcale nie dawali urlopów albo dawali, lecz nawet służb powodował, że nie było czasu na nie pojechać).

Pierwszy dzień szkolenia zakończył się około piętnastej. Godzinę później kadra zjechała z jednostki, a my siłą rzeczy przeszliśmy pod rządą wyjątkowo mocnej w tej jednostce fali. Lepiej było się nigdzie nie szwendać aby przypadkiem nie sprowokować kogoś ze starych żołnierzy do wyzywania się na nas. Nie trzeba było się specjalnie starać, dziad widząc kota z automatu dostawał przyływu agresji, widząc w nim (tym kocie) swoich dziadów, którzy jeszcze nie tak dawno ścigali go, aż furczała jego futrzana kita. Tym większą ostrożność należało zachować tutaj, gdzie służyli niedoszli, ale wysoce prawdopodobne że przyszli, recydywiści. A najbardziej już należało wystrzegać się samego Króla Fali, który miał w swym ręku władzę tak absolutną, że mógł zabijać samym spojrzeniem jak bazyliżek. Oczywiście mowa tu o "zabijaniu" falowym, po prostu pod wpływem jego spojrzenia mogłeś się poczuć nieodwracalnie przybitym na drewniaka. Dlatego też po obiedzie poszliśmy do sali i nigdzie się z niej nie ruszaliśmy aż do samej kolacji. Na korytarzu co chwilę rozlegały się krzyki, przekleństwa, ktoś biegał, stłuczono jakąś butelkę, śpiewano ochryplymi głosami "Rezerwę", a nawet kopano w drzwi. Jak jakiś cham przywalił kopa w nasze drzwi to Koniui ze strachu omal nie wskoczył do szafki. Na szczęście tylko na kopniaku się skończyło, więc nadal swobodnie mogliśmy leżeć na wozach, racząc się świeżo kupioną w kantynie kawką. Koniui był jednak tak zestresowany, że cały czas siedział na taborecie i czytał „Polską Zbrojną”. Nikt się temu nie sprzeciwiał, może gdzieś tam wyczyta, że faktycznie skrócą służbę wojskową do jednego roku (takie chodziły pogłoski), a może będzie wyrównanie roczników i wcześniej wypuszczą nas do cywila albo Rząd podejmie decyzję, że od przyszłego miesiąca wojsko będzie wyłącznie zawodowe i już niedługo pożegnamy się z armią. Koniui jednak nic nie mówił, czytał i tylko od czasu do czasu prychnął sobie pod nos.

Po kolacji przyszedł do nas podoficer i zabrał kilku żołnierzy do sprzątnięcia rejonów zewnętrznych. Pół godziny później przyszedł jakiś gruby bombardier i wziął kilku następnych do sprzątnięcia rejonów wewnętrznych. Niecałe pięć minut potem przyszedł do nas pomocnik kucharza i pociągnął za sobą pięciu na obierak. W chwilę po nim w sali pojawił się jakiś ubrany w robocze ciuchy cywil - mechanik z warsztatów samochodowych i zabrał trzech do pomocy przy zamontowaniu silnika do Ziła. W naszej sali zagościł również palacz, który uprosił czterech najmłodszych służbą do pomocy przy rozładowaniu wielkiej przyczepy z węglem. Pod koniec pojawił się sam oficer dyżurny. Wszedł do sali i rzucił krótko:

- Dwóch do sprzątnięcia dyżurki. Migiem!

I tak oto rozwiął się nasz sen o tym, że popołudniami będziemy się wylegiwać na wozach. Stało się jasne, że zamierzają nas tu wykorzystać jako chwilowy przyływ taniej siły roboczej. No cóż, nazywa się to krótko - ból młodego.

Na powrót znaleźliśmy się wszyscy w sali dopiero po capstrzyku. Kilku żołnierzy, którzy poszli pracować na kuchnię przyniosło wielkie pudło z sucharami. Jedliśmy więc suchary i dzieliliśmy się uwagami na temat chamstwa i brutalności, które w tej jednostce dawało się zauważyć na każdym kroku. Nawet kiedy leżeliśmy służyć było jak jakiś dziadek puszcza dżampem po korytarzu swych młodych. Rysiek i ja niepokoiiliśmy się dość mocno. Wszak miało nas odwiedzić tych dwóch jesionów, którzy rzucili nas na glebę tuż po wejściu do jednostki. Na szczęście jednak nie przyszli. Pojawił się natomiast jakiś niewysoki gość o pucłowatej, bijącej cwaniactwem twarzy. Nie sprowadzało go nic konkretnego, ot po prostu on stary, doświadczony wojak chciał sobie pogadać z młodymi, zakręconymi kitami. Wypytał nas kto z jakiej jednostki przyjechał, pogadał o tutejszej fali, opowiedział parę kawałów i wyszedł.

Tej nocy nie mogłem zasnąć bo jakiś koleś z Baniochowa cały czas niemiłosiernie chrapał. Nie pomagało budzenie go, zatykanie mu nosa, perswazja, sugestia - wszystko to na nic. Chrapał i koniec. Ktoś podsunął pomysł, żeby wynieść go z wozem na korytarz albo do palarni ale tak naprawdę nie wchodziło to w rachubę. Trzeba było jakoś przyzwyczaić się do tego ciągłego chrapania i liczyć na to, że może zmęczenie weźmie górę i w końcu uda się zasnąć.

Okolo godziny drugiej w nocy ktoś otworzył drzwi i zapalił na moment światło. Parę sekund później w ciemności rozległy się gwałtowne kroki i dało się słyszeć odgłosy kilku mocnych ciosów zadanych leżącym na łóżkach żołnierzom. Posłyszałem stłumione okrzyki bólu i w chwilę potem w sali rozległ się jazgot przewracających się na podłogę wozów. Ktoś zaczął głośno klnąć, znów służyć było tupot kroków, mocne trzaśnięcie drzwiami i nastała cisza. Cała ta zaskakująca akcja trwała zaledwie pięć sekund. Hałas walących się na podłogę wozów obudził wszystkich znajdujących się w sali żołnierzy. Nawet ten kolega z Baniochowa przestał chrapać. W półmroku widać było dwa wywrócone wozy oraz sylwetki żołnierzy, którzy próbowali się spod nich wygrzebać. Ktoś zaśwycił światło i wówczas okazało się że są to Koni i Czarnik. Całkowicie zszokowani wciąż jeszcze nie mogli pojąć co się stało. Przecież jeszcze dziesięć sekund temu byli pogrążeni we śnie. Teraz leżeli na podłodze, czuli ból oraz ocierali twarze z krwi. Pomogliśmy im postawić z powrotem wozy na podłodze, a oni sami klnąc i złorzecząc poszli do łazienki obmyć się z krwi. Nikt nie wiedział dlaczego tak się stało. Nie wiem jak inni ale ja tej nocy ani na chwilę nie zmrużyłem oka.

Rano w czasie śniadania przysiedliśmy się do stolika za którym siedziało dwóch naszych falowców z tej jednostki. Jeden z nich na dzień dobry rzucił:

- Podobno dwóch od was z tego szkolenia dostało wpierdol w nocy? - rzekł tonem, w którym dawało się wyczuć kpinę oraz nutę wyższości jakby chciał powiedzieć: "my tutaj rządzymy". Rysiek przytakującą skinął głową. Tak jak ja był niewyspany i miał podkrążone oczy. Nikt nie miał pewności, że tylko na tych dwóch się skończy dlatego lepiej było czuwać do rana.
- Ale pewnie nie wiecie za co tak dostali? - wypytywał dalej żołnierz.
- Nie wiemy - potwierdziłem. - Może od was się czegoś dowiemy?
- Dostali za to, że są z brygady w Warszawie.
- Tylko za to? - nie mogłem uwierzyć.
- Nie do końca. To zemsta Siepiecińskiego za to, że go tam trepy ścigali jak siedział w anclu w brygadzie.
- Kto to jest Siepieciński?
- Nie wiecie? - zdziwił się nasz falowiec. Odwrócił się i wskazał ręką za siebie. - To ten blondyn.

Mówiąc to wskazał na siedzącego samotnie za stolikiem dobrze nam już znanego Króla Fali.

- A to ci kawał skurwysyna! - powiedziałem ze złością. Gdybym mógł to cisnąć w niego talerzem i poprawił blaszaną tacą. - A co oni są temu winni, że jakiś trep go tam ścigał w anclu?
- Wiadomo, że nic! Ale jego to jebie. Są z Warszawy i dlatego się na nich zemścił. Mają chłopaki pecha!
- Kawał drania - rzekł Rysiek. - Pewnie jak wyjdzie do cywila to długo nie pożyje. Chyba już nie jeden chciałby się na nim zemścić.
- Już po wyjściu za bramę dostanie wpierdol od swoich młodych. Ale trepi wiedzą co się święci i dlatego nie wypuszczą go razem z resztą wojska, tylko parę godzin wcześniej - mówił falowiec. - Ale póki co jest Królem Fali i wszyscy trzęsą przed nim portkami.
- A z Bojęcina nikt mu nie zalazł za skórę? - zadał Rysiek przezorne pytanie.

Tamci roześmiali się.

- A co? Wy jesteście z Bojęcina?
- Tak - odpowiedział Rysiek, patrząc w ich stronę niepewnie.

Dwaj falowcy spojrzeli na siebie porozumiewawczo i znowu wybuchnęli śmiechem.

- A takiego sierściucha co go przezywają "Dziadek" znacie?
- Nazywa się Podkalicki. Pewnie, że znamy - potwierdziłem - jest szefem baterii startowej.
- No to macie pecha bo właśnie ten sierściuch tak ścigał w anclu Siepietyńskiego. Doszło do tego, że się nawet pobili. Wtedy tego sierściucha przenieśli do Bojęcina a Siepietyńskiego tutaj, bo wcześniej Siepietyński służył w Olchownicy.
- O kurwa! - zakląłem. - No to wpakowaliśmy się w niezłą kabałę.
- Wczoraj przyszedł do nas jakiś mały tłusty gość i wypytywał się kto jest z jakiej jednostki - mówił Rysiek. - Wiedzieli, że jest dwóch z Bojęcina ale nam nie wiali. Więc może nie będą się mścić na nas za tego sierściucha?
- Może nie - odpowiedział jeden z falowców. - Ale i tak lepiej chłopaki lepiej uważajcie na siebie.
- Ciekawe jak? Mamy się zamknąć w bunkrze na strefie? - wtrąciłem ironiczną uwagę.

Koledzy falowcy nie odpowiedzieli na tą uwagę. Skończyli jeść i wstali od stolika. Odnosząc tace do okienka zlewozmywaka z ożywieniem o czymś rozmawiali.

- Niepotrzebnie powiedzieliśmy im, że jesteśmy z Bojęcina - odezwał się do Ryśka.
- Fakt - potwierdził sucho.
- Jeśli ten Siepietyński jest ze starej jesieni to oni mogą by jego młodymi. Doniosą mu o tym, że jesteśmy z Bojęcina żeby się podlizać.
- Może tak być - zgodził się Rysiek.
- To co robimy?
- A co możemy zrobić? Nic. Zobaczmy co będzie się działo.

Pełni obaw co do naszego bezpieczeństwa w tej jednostce skończyliśmy jeść śniadanie i już nawet nie idąc do sali, poszliśmy do baraku, w którym odbywało się szkolenie.

Majora jeszcze nie było. Od pomocnika oficera dyżurnego otrzymaliśmy informację, że szkolenie rozpocznie się dopiero po drugim śniadaniu. Do tego czasu mamy siedzieć w sali i ani na krok się z niej nie ruszać. Przesiedzieliśmy tak z godzinę i zaczęło się robić nudno. Kto by wytrzymał w dusznej sali kiedy obok stoi kantyna, w której można usiąść wygodnie za stołem i popijać sobie kawkę, herbatkę albo nawet piwko. Mogliśmy to zrobić, tym bardziej, że tutejsza fala traktowała nas, tych ze szkolenia, jako obcych. Nie wtrącali się do nas i mieliśmy sporo luzu, prawie jak po lepszańsku. Ignorując polecenie pomocnika oficera kilkusobową grupą poszliśmy więc do kantyny.

Po wejściu do środka ze zdumieniem spostrzegłem, że za jednym ze stolików siedzi nie kto inny jak sam Kapsel we własnej osobie!

- Cześć Kapsel pierdoło! - zawołałem do niego wylewnie. - Kopę lat! Skąd się tutaj wziąłeś?

Kapsel zerwał się ze stolika. Udał, że przeciera oczy i zawołał radośnie:

- Witajcie! - wołał do mnie i do Ryśka, który właśnie wszedł do kantyny.- Ale spotkanie! Myślałem, że trafiliście do Bojęcina!
- Zgadza się - potwierdziłem witając się z nim mocnym uściskiem dłoni. - My jesteśmy w Bojęcinie a tutaj przyjechaliśmy na szkolenie popisistów.
- A ja przyjechałem na zintegrowane szkolenie bojowe. Jako operator radaru.
- Szkolenie bojowe? To pewnie i od nas z Bojęcina przyjadą - zawołał Rysiek. - Żeby tylko Misiek nie przyjechał!
- Nie przyjedzie - uspokoilem go. - Na te szkolenia jeździ tylko pierwsza bateria.
- Fakt! - zgodził się Rysiek.

Zamówiliśmy kawę i usiedliśmy za stolikiem.

- Powiedz Kapsel jak tam ci w monie leci. Z tego co wiem to Pampers miał być twoim dziadem, to pewnie nie jest lekko?- zapytałem.

Kapsel gwałtownie posmutniał. Kiedy się nie śmiał wyglądał na mocno zestresowanego i zmartwionego. Widać też było z jego twarzy wyraz nieufności i złości, którą prawdopodobnie musiał przeżywać każdego dnia. Wcale się temu nie dziwiłem, zważywszy na jego delikatną psychikę oraz chamstwo i brutalność Pampersa, który musiał im tam dawać niezły wycisk. W ogóle podziwiałem Kapsła, za to że wytrzymał w monie bez ścirowania, tak jak to zrobił z początku mocny i pewny siebie Majcherek. Tak się jakoś składało, że takie wielkie, przypakowane i pewne siebie draby często wymiękały już po kilku miesiącach służby mimo tego, że na początku kreowali siebie na niezniszczalnych i mówili, że nikt im tu nie podskoczy. Myślę, że sztuka przetrwania w wojsku nie wiąże się z siłą fizyczną i psychiczną lecz z umiejętnością bycia elastycznym i dostosowywania się do panujących warunków. Tacy pakerzy, przyzwyczajeni do tego, że to oni dostosowują otoczenie do siebie, tutaj trafili jak przysłowiowa kosa na kamień. Nie byli w stanie zmienić otoczenia ani nie umieli się do niego nagiąć, dlatego też po pewnym czasie siadała im psycha i wiali przed wojskiem, jak się tylko dało. Pewnie po wojsku, dla podbudowana nadszarpniętego przez pobyt w armii poczucia własnej wartości, dalej chodzili na siłownię, golili na łyso swe głowy, ubierali się w skóry i zaczepiali na ulicach czy knajpach słabszych od siebie gości aby im wlać i udowodnić sobie, że w dalszym ciągu są niezniszczalnymi stuprocentowymi samczo-męskimi facetami. Swój epizodyczny pobyt w wojsku najczęściej przemilczali po to aby przypadkiem nie wyszło na jaw, że wlecze się za nimi długa na kilometr, nie przycięta przez dziada kita.

Kapsel na dźwięk słowa "Pampers" aż poczerwieniał ze złości.

- Pytasz jak leci? - popatrzył na mnie.- Chujowo, bardzo chujowo!
- To mówiąc wystawił spoza stołu swe nogi i nic nie mówiąc wskazał palcem na opinacze. Spojrzeliśmy na nie, po tym geście spodziewając się najgorszego. Rzeczywiście jako opinacze dopięte były na ostatnią dziurę - Kapsel był drewniakiem.

- Kto cię przybił? - zapytałem. - Pampers?
- Tak – potwierdził. - Za "całokształt".
- Za "całokształt"? Czyli za nic konkretnego? - dziwiłem się. Ukaranie kogoś z podaniem powodu "za całokształt" było wyjątkowo wygodne ponieważ zwalniało z obowiązku podania prawdziwej przyczyny podpadnięcia żołnierza. Tym samym uniemożliwiało to ukaranemu jakąkolwiek możliwość obrony. I tak na przykład "za całokształt" można było nie wyjeżdżać do domu przez dwa miesiące albo wchodzić na wartę co dwadzieścia cztery godziny bez przerwy przez miesiąc. Oczywiście stało się zatem, że Pampers przybił Kapsła na drewniaka dlatego, że on jego dziad, miał taki kaprys.
- A to skurwysyn! Kiedy cię przybił? - mówił Rysiek zaciskając pięści ze złości.
- Tydzień temu. Wcześniej było ciężko ale teraz zrobiło się naprawdę przesrane. Non stop robią mi jakieś złośliwości. Dzisiaj rano jak wróciłem z zaprawy to wlałi mi chyba ze dwa wiadra wody do łóżka, wczoraj ktoś odlał się do moich butów i tak cały czas coś się dzieje.

Mówię wam, że ciężko wytrzymać - skarżył się Kapsel - a tu do końca monu jeszcze rok czasu!

- Co za skurwiel z tego Pampersa! - złościł się Rysiek. - Skąd on jest? Chyba z Bydgoszczy?
- Z Bydgoszczy - potwierdził Kapsel.
- Mówię Ci, że jak wyjdziemy z wojska to zbiorę paru znajomych i pojedziemy mu wpierdolić. Ten idiota wkurwił mnie już na unitarce! Pamiętacie jak nam kazał biec trzy kilometry dookoła boiska po obiedzie? Po obiedzie! Rzygałem wtedy jak kot!
- Pamiętam - przytaknałem - Pampers to wyjątkowy cham. Przed wojskiem nie wiedziałem, że ktoś może być do tego stopnia podły! Rysiek, ja jadę z tobą do tej Bydgoszczy!

Kapsel napił się kawy i z nutą satysfakcji w głosie powiedział:

- Na szczęście stara zima - najstarszy pobór - odebrała mu prawa do młodych. Bo za bardzo przesadzał, psychol.
- Odebrali mu prawa do młodych? A to dobre! - ucieszyłem się. - Niech sobie teraz sam robi kawkę i sprząta swoje rejony. Cieszę się, że w końcu ktoś się zorientował że Pampers nie jest do końca normalny.
- Dla mnie to nic nie zmienia - rzekł Kapsel. - I tak już zostanę drewniakiem do końca monu.
- Nie będzie tak źle - próbowałem go pocieszyć. - Może twoi falowcy popuszczą cię jak będą już najstarszym poborem.
- Nie liczyłbym na to - odpowiedział ze smutkiem w głosie. - Jak patrzę na nich to nie poznaje, że z tymi samymi ludźmi przyszedłem do wojska. Bije im na dekiel, tak samo jak dziadom. Już teraz wyzywają się na tych z młodej zimy, a co będzie dopiero jak przyjdą młodzi.
- Fakt faktem, że niektórym już teraz bije na dekiel - wtrącił Rysiek. - Narzekają na swych dziadów ale widać, że będą jeszcze gorsi od nich! To wojsko wyzwala w człowieku najdziksze instynkty!
- To prawda - zgodziłem się. - Sam widzę jak się ludzie zmieniają. Wcześniej siedział taki jak mysz pod miotłą, trząsał portkami ze strachu, a teraz zaczyna się z niego robić wieki bohater. Współczuję naszym młodym bo z tego co widzę to Misiek w porównaniu do niektórych z naszej fali to anioł.

Na chwilę zapanowała cisza. Każdy zastanawiał się nad tym o czym mówiliśmy. Faktycznie wielu żołnierzy w czasie pobytu w wojsku przechodziło swego rodzaju psychiczną transformację. Od zalęknionych i bojących się własnego cienia kotów po ryczących, ścigających swych młodych za byle przewinienie straszliwych dziadów. Gdyby tak wziąć i postawić obok siebie takiego gościa z okresu na początku służby i z okresu na końcu, to można by śmiało powiedzieć, że są to dwaj różni ludzie. Na szczęście wszystkie te różnice szybko się zacierały po wyjściu za bramę. Tam nie było fali i taki wielki falowy bohater ginął w tłumie, w którym obowiązywały inne wartości niż to, kto ilu ma młodych i jak ich ściga.

Niestety, nawet nie zdążyliśmy wypić pół kubka kawy gdy do kantyny wpadł pomocnik oficera, który widząc nas krzyknął:

- A co wy kurwa tu robicie? Mówiłem kurwa żeby nie wychodzić z sali! Zapierdalają do baraku. Biegiem!

Wszyscy żołnierze z kursu niechętnie podnieśli się z krzeseł i zaczęli wychodzić z kantyny.

- To cześć Kapsel! - powiedziałem wyciągając rękę do kolegi z Krakowa, który teraz nie był już falowym żołnierzem i nawet siedzenie z nim przy jednym stoliku uchodziło za hańbę.
- Cześć! - odwzajemnił uścisk Kapsel.
- Jeszcze kiedyś spotkamy się na Wawelu i zaśpiewamy „Rezerwę”! - mówiłem z entuzjazmem. - Musimy wracać tym samym pociągiem! Koniecznie!

Rysiek widząc że w kantynie nie ma już nikogo poza nami cicho zaintonował:

- Jak długo na Wawelu Zygmunta bije dzwon...

Podchwyciliśmy melodię i dalej śpiewaliśmy już razem:

Tak długo w sercach naszych przekłety będzie mon!
Niech żyje nam rezerwa przez szereg długich, długich lat!
Gdy rezerwiści piją dokoła wódki brak!
Niech żyje nam rezerwa przez szereg długich, długich lat!
Gdy rezerwiści piją dokoła wódki brak, piwa brak!

Pewnie odśpiewalibyśmy tak chyba całą "Rezerwę" ale przeszkodziła nam babka, która sprzedawała w kantynie.

- Gdzie tu mordy drą?! - wołała zza bufetu. - Na dwór se idźcie i tam śpiewajcie!
Nie wiedziała że gdybyśmy śpiewali tę pieśń na dworze to wkrótce nie tylko Kapsel ale i ja z Ryśkiem zostalibyśmy drewniakami. Śpiewanie "Rezerwy" przysługiwało bowiem od stu pięćdziesięciu i było bezwzględnie tępione u młodych kotów, którzy nawet nie mogli myśleć o tym, że kiedykolwiek wyjdą do rezerwy, a co dopiero o tym śpiewać!

Pożegnaliśmy się z Kapslem dodając mu otuchy, aby mógł wytrzymać ten cały syf, który miał jeszcze przed sobą i wyszliśmy z kantyny.

Kilka godzin później wyszedłem na moment z sali, w której odbywały się szkolenia. Zapomniałem wziąć ze sobą jakiś przyrząd i teraz musiałem się po niego wrócić. Po wejściu do izby mieszkalnej ze zgrozą spostrzegłem, że nasze łóżka - to znaczy moje i Ryśka są kompletnie rozwalone. Pościel wałała się po podłodze a metalowe ramy zostały całkowicie rozłożone i powyginane tak, jakby ktoś po nich skakał. Nie składałem łóżek, zebrałem tylko leżące na ziemi koce i prześcieradła, położyłem je na taborecie i wyszedłem z izby.

Po wejściu do sali wykładowej natychmiast usiadłem obok mojego kolegi z Bojęcina.

- Mamy problem - odezwał się do niego szeptem. - Rozwalili nasze wozy. Pewnie ci dwaj z młodej jesieni donieśli o nas Siepietyńskiemu.
- Rysiek przestał notować i spojrzał na mnie uważnie.
- Naprawdę? - zdawał się niedowierzać. - Rozwalili nasze wozy?! To ostrzeżenie! Dziś w nocy mogą nam wlać tak jak tym z brygady.
- Wiem, wiem - podzielałem jego obawy. - Co w takiej sytuacji robimy?
- Zgłosić to oficerowi dyżurnemu? Przedstawić mu całą sprawę? - rozważał na głos. - Ale to chyba nie jest dobry pomysł?
- Wyśmiej nas i jeszcze dowali jakąś działę. To odpada - zaprotestowałem. - Może lepiej pogadajmy z tymi młodymi jesionami na obiedzie. Powiemy, że ktoś rozwalił nam wozy i zobaczymy jak zagregują. Może okaże się, że wiedzą coś na ten temat. Co o tym sądzisz?
- Dobry pomysł, poczekajmy do obiadu - zgodził się Rysiek.

Z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy na przerwę obiadową. Liczyliśmy na to, że rzeczywiście uda nam się uzyskać jakieś informacje od dwóch naszych falowców, z którymi rano jedliśmy śniadanie. Okazało się jednak, że żołnierze ci nie przyszli na obiad stąd też rozczarowaliśmy się trochę i jednocześnie zawiedli gdyż to zbiło nas z tropu. Zabrawszy posiłki na tacach przysiedliśmy się więc do Konia i Czarnika, których już wcześniej na szkoleniu poinformowaliśmy dlaczego dzisiejszej nocy zostali pobici. Koniu cały czas jeszcze był oszołomiony i przestraszony tym zdarzeniem natomiast Czarnik jako były, zahartowany w bojach zapaśnik, cały czas wściekał się i pałał żądzą odwetu. Powiedziałem im o tym, że rozwalono nam wozy i że prawdopodobnie dzisiejszej nocy z kolei nas będą lać za to, że jesteśmy z Bojęcina. Czarnik odpowiedział na to z gniewem i zawziętością:

- Niech tylko spróbują! - zaciskał swą wielką żyłastą pięść. - Niech tylko ktoś nie z naszych wejdzie po capstrzyku do sali a od razu dostaje wpierdol. Sam mu wpierdolę! Wczoraj nie miałem żadnych szans bo mnie we śnie zaskoczyli - usprawiedliwiał się. - Ale niechby tak na żywca spróbowali to zgniotę ich na proch!

- Dzięki - odpowiedziałem. - Przynajmniej mamy jednego sojusznika!
- Wszyscy z sali by się wstawili - odezwał się Koniu. - Ale boją się bo co z tego, że nas z tego kursu jest czternastu jak tych z jednostki jest chyba z sześćdziesięciu. Nie mamy szans, za dużo ich jest. Wlali by nam jak nic a najstarszy pobór przybiłby nas wszystkich na drewniaków.
- Ja tej nocy nie śpię - oznajmił Rysiek. - Wiecie, że tu recydywa służy. Jeszcze mi taki gardło poderżnie. Wole czuwać aby móc się obronić. Wyśpię się na szkoleniu.
- Faktycznie, lepiej nie spać - zgodził się Koniu. - Tych psycholi stać na wszystko, nawet na to, żeby zabić człowieka.

Spojrzałem w kierunku wydawki i rzekłem:

- Patrzcie, Kapsel!

Popatrzyli na niego z przelotnym zainteresowaniem i na powrót wbili spojrzenia w talerze.

- Nasz falowiec, kolega z unitarki, jest drewniakiem - rzekł Koniu - Pampers go przybił. Dwa miesiące temu.

- Wiem – odpowiedziałem. - Spotkaliśmy Kapsla w kantynie. Wiesz za co go przybił?

Koniu przecząco pokręcił głową.

- Za „całokształt”. Czyli tak naprawdę dlatego, że miał taki kaprys.
- Skurwiel! - przeklął Czarnik. - Nie ma co się śmiać z Kapsla. Fakt, że jest zakręcony jak słoik dżemu ale był z niego w porządku kumpel. Gdyby Pampers był moim dziadem to dziś pewnie też byłbym drewniakiem albo siedziałbym we więzieniu za uduszenie go gołymi rękami.
- Cicho! - przerwałem mu. - Patrzcie co ten Kapsel robi! Zgłupiał?!

Tymczasem nasz dobry kolega z unitarki doczekawszy się w końcu aż ostatni falowy żołnierz oddalił się od wydawki, nałożył sobie na tacę talerz z zupą i drugim daniem, po czym wyszedł na stolówkę aby poszukać dla siebie miejsca za stolikiem. Był drewniakiem i nie wolno mu było jeść razem z innymi żołnierzami, musiał więc rozejrzeć się za stolikiem drewniaka. Odnalazł go i ucieszył się nawet gdyż zauważył, że nie będzie jadł sam. Za stolikiem siedział już jakiś niepozorny blondyn, który tak jak on został wyjęty spod fali. Kapsel idąc w jego kierunku cieszył się, że w końcu będzie mógł sobie pogadać z kimś jak drewniak z drewniakiem bo z tym co idą falowo od pewnego czasu nie mógł już znaleźć nici porozumienia.

Położył tacę na stole i rzuciwszy krótko "smacznego" zabrał się do jedzenia zupy. Blondyn wbił w niego oczy i zaskoczony śmiałością i tupetem żołnierza w pierwszej chwili nie odezwał się ani słowem. Zastanawiał się kim jest ten pajac, który odważył się usiąść za jego stolikiem, stolikiem Króla Fali! Owszem, mógł to zrobić ale tylko za jego osobistym przyzwoleniem!

- Dobra ta cebulowa - rzekł Kapsel bardzo miło, aby zagaić rozmowę. - Trochę przesolona ale da się zjeść - dodał.
- Nie pierdol że smakuje ci wojskowe żarcie! - blondyn miał najwyraźniej odmienne preferencje smakowe. - Jebać mon i wszystko co się z tym wiąże!
- Też mam już dosyć wojska - westchnął Kapsel. - Nie jest kurwa lekko. Oj nie! Na przepustki często jeździsz? – zapytał. - Pewnie nie. Tacy ja my mają przejebane!

Tymczasem większość wojska już zauważyła, że jakiś gość przysiadł się do Króla Fali. Co więcej wyglądało na to, że jest dociągnięty na ostatnią dziurę czyli, że jest z najmłodszej fali. Podniósł się gwar rozmów, wszystkie spojrzenia zostały skierowane w ich stronę. Budziło to spore zaciekawienie, ale nikt się nie dziwił, najwyraźniej Król Fali ma jakąś sprawę do tego żołnierza skoro pozwolił mu się przysiąść.

Król Fali zignorował to pytanie. Zamiast tego syknął wrogo:

- Kto pozwolił ci się tu przysiąść? W główce ci się nie polasowało?

- To mam się ciebie pytać czy wolno mi się przysiąc? Pojechało cię? A co to Hotel Marriot, że mam niby taki kulturowy być?
- Grabisz sobie dziadek! Grabisz! - cierpliwość Króla Fali była już na wyczerpaniu. - Wypierdalaj stąd!

Kapsel z natury cichy i spokojny, potrafił się też wkurzyć jak ktoś za bardzo zagrał mu na nerwach. Zbliżył się do niego i ściszym głosem rzekł:

- W życiu nie widziałem bardziej pojebanego drewniaka! Odpierdala ci koleś. Jak już razem wpakowaliśmy się w to drewniane gówno to powinniśmy sobie pomagać! Nie?
- Jak ty mnie nazwałeś? Drewniak? - blondyn wstał z taboretu i zawisł nad Kapslem. Jego oczy płonęły wściekłością a ręce aż drżały z podenerwowania. - Ty wiesz kto ja jestem? Królem Fali!

Kapsel zakrztusił się jedzeniem. Jego oczy zrobiły się okrągłe z przerażenia. Krew napłynęła mu na twarz i omal nie trysnęła policzkami. Bał się, okropnie się bał. Widział że zrobił coś strasznego, tak okropnie strasznego, że nawet nie mógł wymyślić jak oni mogą go adekwatnie za to ukarać poza zabiciem. Zupełnie bezwiednie bladymi wargami powiedział:

- A ja, a ja myślałem, że to jest stolik drewniaka i że ty jesteś drewniakiem... Bo ja jestem.

Król Fali nic nie odrzekł. W przypiływie wściekłości kopnął stolik aż poleciały w powietrze wszystkie leżące na nim talerze z żarciem.

- Pięciu! - ryknął okrutnym, nie znośącym sprzeciwu głosem. - Dają tutaj biegiem!

Co najmniej dziesięciu gości poderwało się ze stolików i zaczęło biec w stronę Kapsła. Nic już nie mogło uchronić naszego kolegi przed zemstą okrutnego blondyna, którego duma została tak haniebnie podeptana, gdyż samemu będąc Królem Fali jadł obiad przy jednym stoliku z drewniakiem! Tylko krew mogła zmyć ten dyshonor! Krew albo pomyje!

- Wpierdolić go do wanny z pomyjami! - wrzasnął blondyn.

Kilku żołnierzy rzuciło się na Kapsła, który nie próbował stawiać najmniejszego oporu. Uważał, że zawinił i że tamci słusznie robią wrzucając go do wanny z pomyjami. Cieszył się, że wybrano dla niego tak lekką karę bo cóż to jest kąpiel w pomyjach? Moro się wypierze a on sam się wykąpie i za dwa dni ani śladu po tych pomyjach nie zostanie. A zresztą co to za pomyje? Po zupie cebulowej i kiełbasie na gorąco? Prawie że całkiem czysta woda!

Król Fali chodził władczyim krokiem po stołówce.

- Patrzcie na niego! - wołał. - Patrzcie uważnie. Bo to będzie pierwszy w fizyce przypadek, kiedy drewno okaże się cięższe od wody i utonie!

Odpowiedziały mu śmiech i gwizdy wojska. Aplauz, niesłychany aplauz publiczności. Blondyn chodził i triumfował. Musiał zmyć z siebie tą hańbę, koniecznie!

- Drewno, które będzie cięższe od wody! - powtórzył. - Bo kto tu ustala prawa fizyki?
- Ty ustalasz! - odpowiedziano mu hurem.
- Kto?
- Ty! Siepietyński, Siepietyński, Siepietyński! - skandowano.
- Dość! - przerwał im blondyn. - Cieszę się, że to takie jasne i oczywiste.
- Siepietyński, Siepietyński - skandowano, ale już trochę ciszej.

- Ratujmy Kapsła! - zawołał Rysiek!

Czarnik zerwał się i zaczął zdejmować skórzany pas.

- Pasami, napierdalałmy ich! Pasami! - mówił a adrenalina buchała z niego jak z gejzera. - Ja tego Siepietyńskiego pierwszego zdziele!
- Siadaj! - krzyknąłem - a oni załatwią nas. Nas jest czterech a ich czterdziestu! Pomyśl! Inaczej trzeba!
- Jak? - zawołał Koni sam trzęsąc się ze strachu.
- Trzeba powiadomić oficera dyżurnego. Nie ma innego sposobu - powiedziałem, siląc się na pewność siebie.

- Chcesz donieść trepom? Dziady dowiedzą się że to ty podkablowałeś i przybiją cię na drewniaka. Zastanów się!

- Nie będę donosił. Poczekajcie!

Kątem oka widziałem leżący na wydawce telefon. Uwaga wojska skierowana była na to co działo się z Kapslem, którego pakowano do wanny z pomyjami. Podeszedłem powoli do telefonu i wybrałem numer na dyżurkę oficera.

- Chorąży Pawlicki, słucham - usłyszałem w słuchawce.

W tym samym czasie poczułem na sobie czyjeś spojrzenie. Obejrzałem się i zobaczyłem, że patrzy się na mnie Siepietyński. Poczułem jak robi mi się gorąco i zasycha mi w gardle. "Ale się wpakowałem, ale się wpakowałem" - chodziło mi po głowie. A Siepietyński stanął przy mnie z ironicznym uśmiechem zrobił gest jakby chciał zaszyfrować, że cały zamienia się w słuch.

- Hallo? Kuchnia! Co jest! - w słuchawce brzęczał głos chorążego.

Postanowiłem przemoc strach i zadziałać zgodnie z pierwotnym planem.

- Ty trepie pierdolony! - wrzasnąłem gromadząc w słowach tyle gniewu ile krwi napsuła mi trepiarnia. - Pierdol się baranie! Twoja żona to dziwka, a ty jesteś alfonsem! Co kurwa, zdziwiony jesteś? Tak? Nienawidzę cię sierściuchu! Pierdol się z tą twoją przepustką! Na samowolkę pójde! Baranie! - wołałem, kląłem aż usłyszałem trzaśnięcie słuchawką. Ten trep zaraz zacznie tu biec. I o to chodziło! Ale diabli nadali tego Siepietyńskiego.

- Skurwysyn sierściuch od dwóch miesięcy nie chce mnie wypuścić na przepustkę - powiedziałem do Siepietyńskiego. Obawiałem się czy kupi ten blef, czy nie kupi.

- No i dobrze! - zawołał Siepietyński. - Młody musi mieć w cyc!

Nic nie odpowiedziałem lecz zrobiłem minę świadcząca o wielkim przeżywanym przeze mnie bólu młodego i odeszłem do naszego stolika. Siepietyńskiego zaczęli zaraz wołać do zlewozmywaka, w którym odbywała się akcja topienia drewna w pomyjach.

Kiedy usiadłem za stolikiem starłem pot z czoła.

- O kurwa, ale stres! – powiedziałem. - Więcej się na to nie piszę.

- Zadzwońeś na dyżurkę? - pytał Koni. - Przecież stał przy tobie Siepietyński!

- Ale nie wiedział, że rozmawiam z oficerem. Zwyczajnie tego trepa, a Siepietyńskiemu powiedziałem, że gadałem z sierżantem, który nie chce mnie puścić na przepustkę.

- Uwierzył?

- Z boku musiało to wyglądać bardzo realnie.

Na stołówkę wbiegł chorąży, którego przed chwilą zwyzywałem. Pierwsze jego spojrzenie padło na wydawkę, na której stał telefon. Jednak dobiegające ze zlewozmywaka wrzaski, całkowicie przyciągnęły jego uwagę. Pobiegnął tam, przechylił głowę przez małe okienko służące do podawania przez nie brudnych tac i zobaczywszy żołnierza leżącego w wannie z pomyjami, otoczonego kręgiem rozwrzeszczanej hałastry, krzyknął:

- Co się tu kurwa dzieje!

Wrzaski raptem uciszyły się. Słyszeliśmy mocny rozkazujący głos chorążego. Nie rozumieliśmy co mówi ale wiedzieliśmy jedno: uratowaliśmy Kapsla - naszego kumpla z unitarki.

Wieczorem, zaraz po kolacji, część żołnierzy z kursu szkoleniowego została zabrana do różnych prac lub sprzątnięcia rejonów. O ile wczoraj udało mi się od tego wymigać, o tyle dziś poszedłem na pierwszy ogień. Jakiś sierżant wyznaczył mi sprzątnięcie rejonu tuż pod bramą wjazdową do jednostki. Zabrałem ze sobą z magazynu grabki, miotłę, blaszany kosz na śmieci i posłusznie poszedłem pod bramę. Cieszyłem się, że nie oddelegowano mnie do pracy przy konserwacji ciężarówek. Ci goście, których wczoraj zabrał tutejszy cywilny mechanik do dziś niemilosiernie śmierdzieli przepaloną ropą. Z dwojga złego (bo tak najlepiej to byłoby poleżeć na wozie i popijać kawę) wołałem sprzątnięcie rejonów niż papranie się w smarach, do której to czynności nigdy nie czułem specjalnego powołania.

W czasie gdy tak sobie spokojnie sprzątałem rejon przed bramą pod dyżurkę oficera podjechała okryta brezentem ciężarówka. Wskoczył z niej jakiś niewysoki żołnierz. Przyjrzałem się mu uważnie gdyż jego postać wydawała mi się znajoma. Ponieważ on stał w cieniu, a ja w świetle lampy jarzeniowej, on rozpoznał mnie pierwszy.

- Co jest młody? Znowu na miotle popierdalas? - zapytał ironicznie.

Poznałem go po głosie. To był Scyzor, najbardziej zagorzały zwolennik fali a zarazem najbardziej okrutnie ścigający swych młodych dziad z jednostki w Bojęcinie. Nie lubiłem go. Zresztą chyba nikt go nie lubił ale tutaj w tym obcym, rzekłbym nawet wrogim środowisku, poczułem do niego coś w rodzaju sympatii. Przecież go znałem, wiedziałem co robić aby się mu nie narazić.

- Rejony do bólu! - odpowiedziałem. - Młody musi mieć w cye!

Scyzor roześmiał się widząc jak dobrze pojmuję zasady fali i jakie jest w niej miejsce młodego kota.

- Co robisz w tej jednostce? - zapytał wyjmując z kieszeni paczkę papierosów. Niestety paczka okazała się być pusta. Scyzor wyjął więc zapalniczkę i nie czekając na moją odpowiedź ryknął: - Jeden! Daje tu biegiem!

Na przykrytej brezentem pace ciężarówki zakotłowało się. Nie upłynęła nawet sekunda a wyskoczył z niej jeden z jego młodych. Podniósł z ziemi czapkę, która upadła w czasie zeskoku i zamarł w oczekiwaniu na polecenie dziadka.

- Fajkę dawaj! - rzucił Scyzor krótko.

Młody podbiegł i poczęstował go papierosem.

- Dzięki - odburknął niewyraźnie jego dziad dławiąc się wciągniętym dymem. - Co to za świństwo?

- Od Ruskich kupione - wyjaśnił młody. - Dlatego takie mocne!

- Swego dziadka chcesz otruć?! - złościł się Scyzor. - A kto cię obetnie?

Młody nic nie mówił. Milczał.

- Wysłali mnie tu na szkolenie - wtrąciłem się. - Mnie i Ryśka Pindla ze startówki.

- Aha, a my na zintegrowane przyjechaliśmy. Czekamy na Żuka, zaraz powinien zejść ze strefy.

- Jest Żuk? - zaświtała mi w głowie myśl aby powiedzieć Żukowi o naszych przejściach w tej jednostce. Dokładniej o pobiciu żołnierzy z brygady w Warszawie i naszych rozwalonych wozach. Żuk był trepem ale można było mu zaufać. Prędko jednak porzuciłem ten zamiar w myśl wielokrotnie sprawdzonej zasady, że do każdego trepa należało mieć ograniczone zaufanie. Musimy sobie z tym problemem poradzić sami, bez angażowania trepów.

- Jest. Kazał nam poczekać przed bramą - mówił Scyzor z wyraźną niechęcią patrząc na zaaplikowanego mu przez młodego papierosa. - A może oni mi tu jakieś świństwo wrzucili? - spojrział podejrzliwie na papierosa i zaczął go uważnie obwąchiwać.

W świetle lampy zauważyłem jakąś postać idącą chodnikiem z dywizjonu w kierunku dyżurki oficera. Gdy znalazła się ona w miejscu gdzie padał najmocniejszy snop światła rozpoznałem w niej króla tutejszej fali - Siepietyńskiego. Szedł chwiejnym krokiem zataczając się na boki - był pijany jak bela.

- Co jest dziadki? - krzyknął na nas swym władcym głosem. - Zalegają!

Prawdopodobnie będąc pijany nie zauważył, że jesteśmy z innej jednostki. A może w nagłym, przyplwywie władzy wydawało mu się, że może rzucić na glebę nawet oficera dyżurnego?

- Sam se zalegaj betonie! - odszczekał się Scyzor. - Malunio, kurwa, malunio jarzysz?

- Malunio? To znaczy ile? - krzyknął blondyn.

- Zero dziewięćdziesiąt osiem! - zawołał z dumą żołnierz z kieleckiego.

- To jest malunio? Nie rozpierdalaj mnie! To jest w chuj! Kosmos!

- Co to drewno trzeszczy? - patrzył na mnie dziad z Bojęcina nie wierząc własnym uszom w to co słyszy.

- Zalegają na glebę drewniaki! - wołał Siepietyński. - Trociny wam z butów wylatują! Scyzor zdecydowanie nie mógł pozwolić na to aby tak znieważano go w obecności jego młodych! Podszedł do ciężarówki i przywalił mocnego kopa w drewnianą burtę.

- Wypierdalają stamtąd. Wszyscy! - wołał jak rozjuszony byk, którego ugodzono szpadą między rogi. Jego młodzi w kilka sekund znaleźli się przy nim. Wówczas Scyzor wskazał palcem na Siepietyńskiego i ryknął z wściekłością: - Jadą mu wora! Wora z pastą! - dodał.

Młodym Scyzora nie trzeba było dwa razy tego powtarzać. Stanowili doskonale zgraną i wytrenowaną pod tym względem ekipę. Rzucili się na Siepietyńskiego, powalili go na ziemię i zaczęli kręcenie wora. Siepietyński rzucał się, wrzeszczał, próbował się wyswobodzić ale wobec takiej ilości napastników nie miał najmniejszych szans. Wił się bezradnie na ziemi i kłął podczas gdy jeden z młodych przez nałożoną na rękę gumową rękawicę rozsmarowywał mu na jajach gęstą i lepką warstwę czarnej pasty do butów. Cały ten incydent nie trwał dłużej niż minutę. W końcu młodzi Scyzora skręciwszy Siepietyńskiemu wór zgodnie z prawidłami sztuki mistrzowskiej, czyli trzy i pół obrotu w prawo i ani odrobiny więcej, wypuścili go ze swoich stalowych objęć. Siepietyński zerwał się z ziemi, naciągnął spodnie i trzymając je w garści, klął i odgrażając się, pognął w kierunku dywizjonu.

- Brawo chłopaki! - chwalił swoich ogrów Scyzor. - Znakomicie się spisaliście. Odwołuję dzisiejszą wnikającą na świetlicy!

Młodzi odpowiedzieli wyrazami podziękowania i aprobaty dla decyzji ich dziada.

- Z powrotem wskakują na pakę! - krzyknął. - Żuk zaraz przyjdzie. Za chwilę odjeżdżamy!

- Nawet nie masz pojęcia komu skręciliście wora - zwróciłem się do niego. - To był tutejszy Król Fali!

- Jebie mnie to! Może se królować na nocniku. Nie będzie mnie taki patałach znieważał! - wołał z podenerwowaniem. - Mnie Scyzora na glebę chciał rzucić! Drewniak!

Wkrótce szybkim energicznym krokiem nadszedł Żuk. Widząc że samochód z odpalonym silnikiem czeka już gotowy do drogi zapytał tylko:

- Czy wszyscy są obecni?

- Tak. Wszyscy całe wojsko jest na pace - uzyskał potwierdzenie od kierowcy ciężarówki

- To jedziemy! - rozkazał.

Idąc do kabiny zauważył mnie i rzucił krótko:

- No i jak tam młody na szkoleniu?

- Spoko. Jakoś leci panie poruczniku - odpowiedziałem.

Żuk nawet nie słuchał co mówię. Otworzył drzwi i szybko wszedł do kabiny. Silnik ciężarówki zawył na wyższych obrotach. Wartownik pełniący służbę na tym posterunku otworzył bramę i wkrótce samochód wyjechał z jednostki.

Cisnąłem grabie na ziemię i pognąłem na dywizjon. Musiałem jak najszybciej pochwalić się tym jak to skręcono wora i tutejszemu Królowi Fali. Biegąc chodnikiem z daleka zauważyłem około piętnastoosobową grupę żołnierzy gnających w miejsce gdzie przed kilkoma minutami stała ciężarówka. To na pewno Siepietyński zmontował tę ekipę, aby się zemścić na Scyzorze. Zanim mnie zauważyli schowałem się w krzaki i przeczekałem aż przebiegną. Gdy zamilkł tupot kroków z powrotem wyszedłem na chodnik i udałem się w kierunku budynku koszarowego.

Zdawałem sobie sprawę z grożącego mi i Ryškowi niebezpieczeństwa. Król Fali miał dziś już dwa powody aby kazać swym młodym rozprawić się z nami tego wieczora. Po pierwsze w odwecie za sierżanta Podkalickiego, który niemiłosiernie ścigał go w anclu, po drugie za to, że młodzi z Bojęcina zrobili mu kręcenie wora i to na dodatek wora z pastą! Aż strach pomyśleć co mogło się stać z nami tej nocy. Przecież była to nieformalna jednostka karna, a służący tu żołnierze nie przebierali w środkach! Mogli nas tutaj po prostu zatłuc!

Musiałem jak najszybciej znaleźć Ryśka Pindla i naradzić się z nim co dalej robić. Prawdopodobnie trzeba było stąd wiać bo przecież na dywizjonie nie ukryjemy się przed nimi, a oficer dyżurny na pewno nie będzie nas niańczył w dyżurce.

Wiedziałem, że mojego falowca odesłano do pracy przy rozładowywaniu przyczepy z węglem. Czym prędzej więc pobiegłem w kierunku kotłowni. Tak jak przewidywałem zobaczyłem go stojącego na częściowo rozładowanej przyczepie. Machnąłem do niego ręką i zawołałem:

- Rysiek, złaż stamtąd!
- A po jaką cholere? Koniec roboty? - zawołał przestawszy wachlować wielką szuflą.
- Zleż to ci powiem. Nie będę krzyczał na całą gębę!
- Dobra!

Po chwili stał już przy mnie.

- Przyjechał tu Scyzor ze swoimi młodymi - mówiłem z przejęciem. - Pokłócił się z Siepietyńskim i kazał swoim młodym skrócić mu wora!

Rysiek złapał się za głowę w wyrazie całkowitego zdumienia.

- No i co skrócili mu?
- Jak zawsze! Przecież oni to tak jak maszyny. Skręcą każdemu!

Obydwaj wybuchnęliśmy śmiechem. Cieszyliśmy się, że w końcu Siepietyński natknął się na kogoś kto utarł mu nosa, a raczej coś innego...

Śmiejąc się w głos usłyszałem za sobą czyjeś kroki. Odwróciłem się gwałtownie spodziewając się najgorszego. Na szczęście był to tylko jeden żołnierz, nasz falowiec, z którym jedliśmy dziś śniadanie.

- Szukają was! - powiedział gdy stanął tuż przy nas. - Siepietyński gotuje się ze wściekłości. Wrzeszczał żeby "zabić tych dwóch skurwysynów z Bojęcina"!

Natychmiast przestaliśmy się śmiać.

- Co ty mówisz? - zapytał Rysiek tonem niedowierzania. - Za co?
- Nie wiem. Nie chciał powiedzieć - odpowiedział żołnierz. - Ale wścieka się niesamowicie! W sali zrobił totalny sajgon! Wszystko rozpiardolone!
- Co robimy? - zwróciłem się do Pindla, który znał już dokładną przyczynę "wściekliny" Siepietyńskiego i chyba wcale nie dziwił się jego reakcji.

Nagle usłyszeliśmy odgłosy rozmów, gwizdy i tupot kroków. Zza rogu budynku, w odległości około stu metrów, wyłoniła się kilkunastoosobowa grupa żołnierzy. Zauważyli nas prawie natychmiast i od razu zaczęli biec w naszym kierunku.

- E dziadki, chodźcie tutaj - zawołał jeden z nich głośno. - Chodźcie coś się was tylko zapytamy!

Popatrzyłem na Ryśka i powiedziałem:

- Widzisz śmietnik z tyłu?
- Tak.
- Za śmietnikiem jest dziura w ogrodzeniu. Ale mała, trzeba uważać. Wiejemy bo ci skurwiele nas zabiją!
- Spierdalamy w las!

Rzuciliśmy się co sił w nogach w stronę śmietnika. Usłyszeliśmy za sobą wzmocniony tupot kroków. Tamci też zaczęli biec. Mieliśmy jednak ze czterdzieści metrów zapasu, a do śmietnika było tuż tuż. W parę sekund później przedostaliśmy się przez dziurę. Nasłani przez Siepietyńskiego młodzi musieli być już bardzo blisko. Sądząc po odgłosach, jakiś dwadzieścia metrów.

- W las uciekajmy, w las! - zawołałem gdy znaleźliśmy się po drugiej stronie ogrodzenia.

Oslaniając oczy rękoma, zaczęliśmy biec przez las. Gałęzie smagały nas po twarzach lecz nie czuliśmy bólu. Gnaliśmy do przodu jak wypłoszone dziki. Każdy krok to ratunek przed straszliwą zemstą Siepietyńskiego. Pędziliśmy tak chyba z dziesięć minut, aż zupełnie ucichły odgłosy

pogoni. Zatrzymaliśmy się i dyszeliliśmy ciężko. Nikt z nas nie przypuszczał, że właśnie tak zakończy się nasz pobyt w tej, na pierwszy rzut oka, śmiertelnie nudnej jednostce.

Koniec

Rozdział XV

Dzień Obcinki

Kiedy dwa miesiące później, pewnego niedzielnego przedpołudnia, opowiadałem w kantine o przygodach, które przeżyliśmy w Sulimowie, nikt nie dawał mi wiary. A przecież wystarczyło zatelefonować do tej jednostki, by dowiedzieć się, że rzeczywiście istnieje tam instytucja Króla Fali. Można było również zadzwonić do naszego kumpla - Kapsła i zapytać go, czy naprawdę on – drewniak – jadł obiad z Królem Fali przy jednym stoliku. I nic nie stało na przeszkodzie, aby skontaktować się z kucharzem w Sulimowie, który niechybnie potwierdziłby, iż tego dnia podano zupę cebulową na pierwsze, a podsmażaną kiełbasę z ziemniakami, na drugie danie. Nikt jednak nie chciał się bawić w sprawdzanie wiarygodności mojej historii. Wszyscy patrzyli na mnie z pobłażaniem, ich oczy mówiły: "bujasz koleś".

Pamiętam naszą ucieczkę z dywizjonu w Sulimowie w gruncie rzeczy będącą po prostu samowolnym oddaleniem się z miejsca zakwaterowania, czyli tak zwaną "samowolką". Widocznie nie należeliśmy do łowców przygód, skoro - zamiast wykorzystać chwilę wolności na podróże po Polsce - już następnego ranka zameldowaliśmy się w Bojęcynie. Zwyczajny ludzki strach przed karą za "samowolkę" zdecydował o powrocie do macierzystej jednostki.

Jeszcze tego samego dnia trafiliśmy na przesłuchanie do Żuka. Wyznaliśmy mu całą prawdę, z pominięciem szczegółu, że jednostka w Sulimowie ma status nieformalnej jednostki karnej. Uważaliśmy, że takie zeznanie mogłoby wpakować nas w jeszcze większe kłopoty. Żuk niestychanie się zdenerwował. Krzyczał, że nie zobaczymy domu przez najbliższe pół roku. Groził, że odda nas prokuratorowi za pozostawienie broni w Sulimowie. Ostrzegwał, że postara się, aby dowódca jednostki dorzucił jakąś karę od siebie. Przez pół godziny mieszał nas z błotem i kazał wyjść. Widocznie jednak zaczął badać tę sprawę dokładniej, gdyż kiedy spotkaliśmy go ponownie zaraz po drugim śniadaniu potwierdził, że Koniu i Czarnik rzeczywiście mają posiniaczone gęby, bo dzwonił do Sulimowa i rozmawiał z nimi. Po tym telefonie Żuk uwierzył, że nie ściemniamy, więc mieliśmy nadzieję, że nie potraktuje nas tak surowo jak obiecywał na początku. Ostatecznie na apelu popołudniowym odczytał wyrok: trzy tygodnie ZOMZu.

Odetchnęliśmy z ulgą. Sądziliśmy, że pośle nas na owe słynne Wczasy Pod Kasztanami w brygadzie, czyli do ancla. Trzy tygodnie ZOMZu nie było poważną karą. Biorąc pod uwagę fakt, że wchodziliśmy na służby co dwadzieścia cztery godziny, to w pewnym sensie cały czas mieliśmy ZOMZ. Niemniej na wskutek nałożonej przez Żuka kary traciliśmy szansę na przepustki jednorazowe, co oznaczało dla mnie siedzenie w monie bez wyjazdu prawie dwa miesiące.

To było dwa miesiące temu. Teraz nikt już o tym nie myślał. Cały pobór z młodej jesieni żył najważniejszym wydarzeniem w życiu młodego żołnierza - "Obcinką", do której miało dojść dosłownie na dniach. Zresztą już od miesiąca nie mówiło się o niczym innym jak o tym obrządku, czyniącym z młodej zakręconej kity starego doświadczonego żołnierza. Próbowano odgadnąć ile pasów wymierzy dziad. Radzono, w której sali odbędzie się rytuał przycinania kociego ogona oraz zastanawiano się czy Misiek będzie chciał dostać jakąś kasę, czy nie. Niezależnie od tego, wszyscy cieszyliśmy się, że tak niewiele czasu dzieli nas od odzyskania części wolności. Już nie trzeba będzie prosić o pozwolenie, by wyjść do kantyny, napić się kawy, czy położyć na wozie. No i nikt nie będzie nas już dygał i wyzywał od "kotów zajebanych".

Z każdym tygodniem coraz niecierpliwiej czekaliśmy na sygnał Miśka do rozpoczęcia Obcinki. Mijał dzień za dniem, a nasz dziad wciąż mówił, że jeszcze nie wie, kiedy ją urządzi. Wyczuwaliśmy, że gra na zwłokę. Zresztą nic dziwnego - obcięcie młodych wcale nie było mu na rękę. Do tej pory odwalali za niego kawał roboty: ślali wóz rano i wieczorem, sprząтали rejon, robili kawę, herbatę, wchodzili za niego na służby i w ogóle byli na każde zawołanie. Teraz miał to wszystko utracić - zakasać rękawy i samemu zabrać się do roboty. A Misiek przywykł do luksusu posiadania dziewięciu młodych i gotowych spełnić wszystkie jego zachcianki, więc teraz trudno było mu się z tym rozstać. To tak jakby był multimilionerem, który utracił fortunę i musi pójść do pracy.

Doszło do tego, że inni żołnierze z naszego poboru mieli już za sobą tę pamiętną chwilę, kiedy to dostali po dwadzieścia cztery pasy na tyłek, zyskując tym samym niezależność od swoich dziadów. Trzymali łapy w kieszeniach i leżeli na wozach, podczas gdy my wciąż chodziliśmy dociągnięci na ostatnią dziurę i leżeliśmy pod wozami. Stres zwiększyły pogłoski, że Misiek ma nie obciąć kogoś, kto mu zalazł za skórę. Każdy grzebał w przeszłości i szukał przyczyn, z jakich mógłby popaść w niełaskę dziadka. Zawsze znalazło się coś, co rodziło niepewność co do swojej dalszej falowej przyszłości, która wskutek nieprzychylnych decyzji dziadka, łatwo mogła stać się przyszłością regulaminową lub, mówiąc dosadniej, "drewnianą". A przecież posypana trocinami ścieżka służby w monie była najbardziej przejebaną drogą przebrnięcia przez wojsko.

Spokój ducha nie opuszczał jedynie kilku wazeliniarzy, którzy w trakcie służby dziadkowi sprawdzili się jako wierni i niezawodni poddani. Dziadek mógł na nich polegać jak na Zawiszy Czarnym. Jednak tylko do chwili, gdy przestaną być jego młodymi, bo później szybko okaże się, że to ich całe posłuszeństwo opierało się na lęku, jaki przed nim czuli. Kiedy tylko zostaną obcięci, lęk zniknie i zaczną z niego szydzić, ośmieszać go i okazywać lekceważenie. Trochę zapewne się zdziwi, ale nie przejmie się tym zbyt. No tak, kiedy na liczniku ma się już zero trzydzieści, to jedną nogą jest się w wojsku a drugą w cywilu, z tym że mocniej opiera się na tej ostatniej.

Pewnego dnia, gdy nasz dziadek miał zero czterdzieści na falomierzu, padło hasło: "po kolacji w sto siódemce zbiórka". Więc stawiliśmy się tam wszyscy jak jeden mąż. Pindel, który wtedy stał na warcie, szedł nawet z posterunku na strefie.

Misiek siedział na wozie, opierał się plecami o kaloryfer, popijał kawę i oglądał bajkę na Polsacie. Od czasu do czasu coś tam do nas zagadywał, a gdy zebraliśmy się w komplecie, rzekł:

- Widzicie chłopaki, nie mogę was tak szybko obciąć, bo jeszcze za mało w dupę dostaliście! - popatrzył po naszych zaskoczonych i zasępionych twarzach, napił się kawy, wypluł z powrotem fusy do kubka i mówił dalej - Ja sam jeden miałem dziesięciu dziadów, a was jest dziewięciu i mieliście tylko jednego dziada. Wiecie, jak ja dostałem w dupę? Przecież to co wy mieliście ze mną, to było przedszkole albo i żłobek - znowu łyknął kawę i spojrzał na Ryśka. - Pindel, byłeś w żłobku? - zapytał.

- Byłem - odpowiedział zaskoczony pytaniem Pindel.
- I jak tam było?
- Nie pamiętam.

- A widzisz! - zaśmiał się Misiek. - Boś wciąż napierdolony chodził!

Gruchnęło śmiechem. Ale raczej smutnym. Takie typowe, wojskowe żarty o wódzie.

- No dobra, Misiek - odezwał się Karczmarek, nasz falowiec. - To jak chcesz nas dotrzeć? Jakieś dygańsko, tłoczenie, czy wnikająca? Wiadomo, że ty miałeś gorzej, ale to nie nasza wina, że nas przyszło dziewięciu, a dziad był tylko jeden.

Misiek siedział i intensywnie o czymś myślał. Na dźwięk słów: dygańsko, tłoczenie, wnikająca na jego twarzy stopniowo pojawiała się coraz większe znudzenie. Wszystko to już było i to w ilościach "do bólu". Zresztą, czy da się takim jednym dygańskim lub tłoczeniem zmniejszyć tę przepaść, jaka dzieliła jego i naszą niedolę w służbie wojskowej? W życiu! Tu należało wymyślić coś specjalnego.

- Jutro oficera dyżurnego będzie miał Kukciński - odezwał się nasz dziad.- Wyznaczyli jego, bo przyjeżdża panika z Szulimem na czele. A chyba wiecie, kto to jest Szulim? - zadał retoryczne pytanie. Zarówno wszyscy trepi, jak i żołnierze służby zasadniczej, bardzo dobrze znali to nazwisko. Pułkownik Szulim był postrachem dywizjonów. Przyjeżdżał na kontrolę i podczas jednej wizyty potrafił odnotować dziesiątki nieprawidłowości w funkcjonowaniu jednostki. Kontrolował służby dyżurne, sprawdzał ilość paliwa w bakach pojazdów, ważył ryż w magazynie żywnościowym, nadzorował wykonywanie prac i ćwiczeń na sprzęcie, przeglądał regulaminy i procedury wewnętrzne. Słowem, wtykał nos dosłownie wszędzie i zawsze potrafił wywahać jakiś błąd, niedociągnięcie, odstępstwo od regulaminów lub wytycznych. Ponieważ raportował bezpośrednio do dowódcy brygady, bano się go niesłychanie i jego wizyty spędzały sen z powiek wszystkim: poczynając od młodszego chorążego mającego na stanie trzy maski przeciwgazowe, poprzez dowódców baterii odpowiadających za sprzęt i ludzi, na samym dowódcy jednostki kończąc. Nie dziwi zatem fakt, że trepi ze strachu przed wpadką, chowali się przed nim do świnia, a palacz tego dnia przezornie nie pił.
- Pewnie, że znamy Szulima - odpowiedział Kaczmarek. - To ten pułkownik, co przyjeżdża na kontrolę, a wszyscy trepi trzęsą przed nim portkami.
- Właśnie dlatego wyznaczyli Kukcińskiego na oficera dyżurnego. Wiedzą, że ten skurwysyn wszystkiego dopilnuje - powiedział Misiek, uderzając pięścią w parapet. - Trep się boją Szulima, bo wiedzą, że on się nie cacka, tylko od razu pisze raporty do dowódcy jednostki.
- Kukciński to kawał chuja i chama! - rzekł Pindel dosadnie, a reszta wojska zgodnie mu przytaknęła. Rzeczywiście porucznik Kukciński był karierowiczem w najgorszym tego słowa znaczeniu. Szedł po trupach do celu, nie bacząc na ludzką godność. Kiedyś, w obecności żołnierzy służby zasadniczej, złapał za ramię i wrzucił pod podwozie wyrzutni raketowej pewnego chorążego, aby ten dokręcił jakąś śrubę. Nic nie mogło splamić ścieżki jego kariery. I rzeczywiście tak się działo. Jego "kartoteka" była czysta, za to w sercach ludzi, którzy z nim współpracowali, kryła się olbrzymia bryła śmierdzącego syfu - zlepek wściekłości, złości i nienawiści, jaką odczuwali do tego nadętego karierowicza. Jeszcze więcej powodów, by nienawidzić Kukcińskiego, mieli żołnierze służby zasadniczej, których traktował przedmiotowo, wykorzystując swą uprzywilejowaną pozycję oficera wojskowego. Zachowywał się tak, jakby nie miał żadnych uczuć. Gdyby kazano mu strzelać do kobiety z dzieckiem, to prawdopodobnie strzeliłby, bo taki miał rozkaz. Wszyscy go nienawidzili, ale nie było sposobu, aby się na nim zemścić. Zawsze był czysty, bo winę za niepowodzenia potrafił umiejętnie przerzucić na kogoś innego. I naszemu dziadowi musiał nieźle zająć za skórę, bo gdy o Kukcińskim mówił, bezwiednie zaciskał pięści.

- Jest chujem - mówił Misiek. - ale my dobierzemy się mu do dupy! Najwyższy czas, aby ten pieprzony karierowicz zaliczył konkretną wpadkę! - z trzaskiem odstawił pusty kubek po kawie na taboret. - I to wpadkę tak wielką, że zapamięta ją do końca swojej zaszranego kariery!
 - Misiek, wszyscy jesteśmy za - odezwał się Pindel. - Ale jak to zrobić?
- Nasz dziad nic nie odpowiedział. Przysiadł z powrotem na łóżku, po chwili zastanowienia znowu wstał, przespacerował się po izbie i podchodząc do okna rzekł:
- Obetnę was nawet dziś, ale najpierw musicie wykonać jedno zadanie - powiedział twardo.
- Zapadła złowróżbna cisza.
- Jakie zadanie? - zapytał Rysiek.
- Misiek oparł swe ciężkie cielsko o parapet i dał ręką znak, byśmy podeszli. Kiedy się zbliżyliśmy, zamaszystym ruchem wskazał szeroki chodnik biegnący od bramy wjazdowej do budynku sztabu. Miał około czterdziestu metrów długości i dziesięć metrów szerokości. Ze względu na swoją zaszczytną lokalizację - wszak łączył bramę z budynkiem sztabu - nazwano go "Marszałkowską". Właśnie na nim, codziennie rano, oficer dyżurny zdawał meldunek dowódcy jednostki. Tutaj odbywały się też apele poranne i popołudniowe oraz odprawy wart. Chodnik ten, a w zasadzie nawet plac, pełnił więc ważne funkcje reprezentacyjne.
- Poparście na Marszałkowską. Co widzicie?
 - Trochę brudna - odpowiedział Pindel. - A co, mamy ją pozamiatać?
 - Nie. Macie ją pomalować!
- Na moment zapadła cisza. Popatrzyliśmy na niego z niedowierzaniem, a potem parsknęliśmy śmiechem.
- Jak to, pomalować? - Karczmarek złapał się za głowę. - Marszałkowską mamy pomalować?
 - Jak to "jak"? - rzekł Misiek - Falowo! Na niebiesko i biało! Kolory zimy! Jedna płytka biała, a druga niebieska, i tak na zmianę przez całą Marszałkowską. A krawężniki pomalujcie na niebiesko! Wszędzie!
 - Przecież jak nas nakryją, to ancel jak nic! - powiedziałem. - Może coś jeszcze gorszego... dosługa albo prokurator!
 - No, to wybierajcie. Albo dalej idziecie regulaminowo i może ktoś kiedyś was łaskawie obetnie, albo malujecie Marszałkowską na falowe kolory i dziś po capstrzyku robicie obcinke!
 - Ale po co to wszystko? - zapytał Kaczmarek.
 - Jak to po co, kito? - oburzył się Misiek. - Wyobrażasz sobie, jaką plamę da Kukciński, kiedy rano przywita Szulima na tak pięknie, falowo pomalowanym placu?
 - No, plamę da niesamowitą, fakt!
 - To i tak za mało! Za te wszystkie bóle należałoby mu się coś jeszcze gorszego! - odezwał się jeden z naszych falowców. - Żeby zdegradowali go do chorążego albo nawet do kaprała!
 - No to już nie wiem, jak musiałby podpaść - stwierdził Misiek. - Ale mam parę pomysłów na to, by pozbawić go szansy na awans przez najbliższe dwa lata.
 - A co to za pomysły? - dopytywał się Pindel.
 - Coś ty taki ciekawy? - zgał Misiek. - Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie. Najpierw trzeba pomalować Marszałkowską, a później powiem wam resztę.
 - Ale skąd tu wziąć tyle farby? - głowił się Kaczmarek. - Przecież na to pójdzie parę litrów białej i niebieskiej!
 - Weź z kontowni - doradził nasz dziad. - Zresztą co mnie to obchodzi? Ma być i już!
 - Dobra, Misiek, damy radę - odezwał się Tokarski, który uchodził za żołnierza niezwykle przedsiębiorczego i zaradnego. - Farbę się załatwi i do rana Marszałkowska będzie pomalowana niczym do parady wojsk!
 - Dobra. Byle nie radzieckich, bo mnie się czerwony kolor nie podoba! - rzekł Misiek. - Jak skończycie, to dajcie mi znać.
 - W porządku! - odpowiedział Tokarski.

Chwilę później, stojąc już na korytarzu, zastanawialiśmy się jak zorganizować akcję malowania Marszałkowskiej. Z całą pewnością trzeba to było zrobić po godzinie drugiej, ponieważ służbę obejmował wtedy chorąży Kamieński, który był niezbyt obowiązkowy i było prawie pewne, że na swojej zmianie położy się spać. Największy problemem polegał na zdobyciu kilkunastu litrów farby i pędzli do pomalowania tak dużej powierzchni. Tokarski stanął jednak na wysokości zadania i za cztery flaszki wódki dostał od magazyniera i jedno, i drugie. Oczywiście żadnemu z nas nie podobał się pomysł malowania Marszałkowskiej, ale jak dziad każe, to kot niestety rozkaz musi wykonać. Nasz dziad ryzykował niewiele, bo i tak wkrótce miał wyjść do cywila. Gorzej z nami. Nikt się nie łudził – wiedzieliśmy, że wcześniej czy później sprawcy zostaną wykryci, a wtedy skończy się to anelem, ZOMZem, lub czymś jeszcze gorszym. Jednakże skutki nie obciążenia nas przez dziada byłyby znacznie bardziej dotkliwe. Wprawdzie zgodnie z falowymi zasadami po wyjściu Miśka do cywila obcinę mógł nam zrobić najstarszy pobór, ale nie było wcale takie pewne, że stare jesiony na to pójdą. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy więc pomalować Marszałkowską chociaż częściowo, aby dziad widział, że staraliśmy się wykonać polecenie.

Ukryty w krzakach żołnierz obserwował co się dzieje w dyżurce. Około drugiej w nocy Kukciński położył się spać i służbę przejął chorąży Kamieński. Zgodnie z naszymi oczekiwaniami po kilku minutach światło w dyżurce zgasło. Stojący na czatach kolega wyszedł z krzaków i zajrzał przez okno do środka. Zobaczył, że chorąży położył się na trzech zsuniętych razem krzesłach i nakrył twarz czapką. Nie wiedział, czy Kamieński już śpi, lecz nabral pewności, gdy rozległo się ciche, ledwo słyszalne chrapanie.

Wczesnym rankiem, w blasku wschodzącego słońca rozpoczęliśmy wykonanie najbardziej zwariowanego zadania, jakie kiedykolwiek wyznaczył nam nasz dziad. W skład ekipy malującej Marszałkowską wchodziło dziesięciu żołnierzy: wszyscy młodzi Miśka oraz żołnierz z kompanii zabezpieczenia, który wydał nam farbę z magazynu. Ten jednak stał tylko z boku i patrzył. Niestety, nasz dziad nie zaszczycił nas swoją obecnością, która w tych okolicznościach na pewno dodałaby nam otuchy. Bał się i nie chciał ryzykować wpadki.

Wszyscy założyliśmy na siebie ubrania robocze. Nie chcieliśmy pobrudzić mundurów, bo następnego dnia ślady farby mogłyby nas zdradzić. Pindel przygotował wiadro białej i wiadro niebieskiej farby, a Karczmarek załatwił duży pędzel z kotłowni. Niestety, jeden pędzel to mało do pomalowania tak dużego chodnika. Wzięliśmy więc z warsztatów samochodowych stare, podniszczone miotły, które do tego celu nadawały się nawet lepiej niż pędzel.

Około piątej nad ranem zaczęliśmy malować. Początkowo dość dokładnie malowaliśmy każdą płytkę, jednak później, jako że czas naglił, robiliśmy to coraz mniej starannie. Pindel rozrabiał farbę i czuwał, aby jej nie zabrakło, a pozostali na zmianę malowali miotłami płytki i krawężnik. Postęp prac pozwalał sądzić, że wyrobimy się w ciągu godziny. Pracy towarzyszył strach i napięcie, gdyż Kukciński w każdej chwili mógł się przebudzić i wyjść na dwór. Wprawdzie jeden z kolegów czuwał w krzakach naprzeciw dyżurki - na jego sygnał mieliśmy natychmiast uciekać w bezpieczne miejsce. Nie było jednak takie pewne, że zdoła nas w porę uprzedzić. Dlatego uwijaliśmy się jak w ukropie, by jak najszybciej wykonać ten idiotyczny rozkaz. Pomalowaliśmy już ponad połowę placu, kiedy raptem usłyszeliśmy dobiegające z boku wołanie:

- Chłopaki, co wy robicie?

Odwróciliśmy się i zamarliśmy w bezruchu. Kto to powiedział? Kto nas zauważył? Zza żywopłotu wyłonił się palacz. Najwidoczniej ostro tej nocy popił, gdyż mocno chwiał się na nogach. Złapał się drzewka i powiedział:

- Chodnik malujecie? Pojechało was?

- Dziad kazał, panie Marianie. Musimy! - rzekł Tokarski. - Pan nas nie podkabluję?
- A co mnie to obchodzi? - palacz lekceważąco machnął ręką. - Dla mnie to wy se możecie tak całą jednostkę pomalować na biało i niebiesko. Grunt, żeby ciepła woda była i para na kuchnię szła. Reszta mnie nie obchodzi.
- To pan Marian se już pójdzie na kotłownię - mówił dalej Tokarski. - Robotę mamy. Chyba że nam pan pomoże? - dodał ironicznie.
- A ile to ja mam, żeby razem z kociarnią pocierać? - obruszył się palacz. - Zresztą, co to za wojsko... Jak byłem w marynarce, to dopiero było wojsko. Teraz to przedszkole jakieś, nie wojsko!
- Dobra, dobra - przerwał mu Pindel. Zналиśmy już tę gadkę. Pan Marian przy każdej okazji przypominał nam o tym, że służył w Marynarce Wojennej, i że dzisiejsze wojsko to nie wojsko, tylko przedszkole. - Teraz też nie jest lekko. Sam pan widzi.

Palacz nie słuchał. Wbił spojrzenie w trzymaną przez Tokarskiego miotłę.

- To ja już tydzień miotły z kotłowni szukam, a ona u was jest! Złodzieje! - nerwowo rzucił na ziemię papierosa i ruszył w stronę Tokarskiego.

- Panie Marianie! - wołał Pindel. - My te miotły z samochodówki wzięliśmy, a nie z kotłowni!

Palacz wyrwał z rąk Tokarskiego wypapraną w farbie miotłę i zaczął się jej dokładnie przyglądać.

- Moja miotła! - stwierdził. - Tu ma taki plastikowy dzyndzel, żeby ją na gwoździu powiesić. Inne nie mają...
- Panie Marianie, może flaszeczkę pan z nami wypije? - rzekł pojednawczo Tokarski. Miał podejście do ludzi, lepiej było udobruchać palacza, bo jeszcze zrobi jakiś dym. - Absoluta mamy. To co, wypijemy?
- Co by się miało nie wypić? - odezwał się palacz od razu innym tonem. - Wódki i różańca to ja nigdy nie odmawiam! - zażartował.

Tokarski odszedł na moment, pochylił się nad leżącą na trawie marynarką i wyjął spod niej częściowo rozpracowaną już z magazynierem flaszeczkę wódki.

- Ale kieliszków nie mamy - powiedział wracając na plac.
- Z gwinta się napijem! - odrzekł palacz. - Jak służyłem w marynarce, to się piło z musztardówek, a gdy i tego nie było, to waliliśmy z gwinta! Jak raz po takiej popijoszce odpaliliśmy torpedę, to zamiast w boję trafiliśmy w kuter! Mówię wam, jak on pięknie poszedł na dno...

Wdzięczny za poczęstunek palacz stał się nadzwyczaj wylewny i gadatliwy. Opowiadał o swych przygodach w Marynarce Wojennej. Tokarski stał i przytakiwał mu, popijając wódkę. Pan Marian już gdy do nas przyszedł miał nieźle w czubie, a teraz, po dodatkowej dawce alkoholu, zaczął się nawet zataczać. Na wszelki wypadek nie rozstawał się z miotłą, której wywalczenie u kierownika WAK, znając życie, zajęło mu co najmniej kilka miesięcy.

Raptem rozległ się tupot kroków. Na chodniku pojawił się kolega wystawiony na czaty.

- Kukciński wyszedł z dyżurki! - zawołał w biegu. - Idzie tutaj!

Popatrzyliśmy po sobie.

- Wiejemy! - rzucił Pindel.

Uciekaliśmy w popłochu.

- Na dywizjon i zalegamy na wozach! - komenderował Tokarski. - Szybciej!

Palacz też zaczął biec, ale żeby nie mieć nic wspólnego z nami, biegł w przeciwnym kierunku. Dokładnie w tym, z którego miał nadejść Kukciński. Już wyobrażałem sobie zdziwienie Kukcińskiego, kiedy zobaczy pomalowany na biało i niebiesko plac oraz palacza ściskającego wypapraną w farbie miotłę.

Chociaż bałem się, iż zostanę zauważony, z ciekawości co też będzie dalej schowałem się za krzak, spod którego obserwowałem plac. W oddali widziałem pośpiesznie nadchodzącego Kukcińskiego oraz biegnącego ku niemu pijanego palacza. Sposób poruszania się palacza do

złudzenia przypominał slalom gigant. Gdyby rozłożył ręce, wyglądałby jak dziecko naśladowujące lecący samolot. W tej samej chwili usłyszałem jazgot otwieranej bramy. Czyżby już przyjechała kontrola z Szulimem? Tak wcześnie? Nie! Okazało się, że to Pan Janek - mechanik z warsztatów samochodowych - przyjechał do pracy swoją zdezelowaną Jawką. Prychając silnikiem, motocykl wtoczył się na Marszałkowską. Widać było, jak Pan Janek ze zdziwieniem rozgląda się dokoła. Tymczasem palacz, znalazłszy się kilka kroków przed Kukcińskim, gwałtownie skręcił w bok, próbując go wyminąć. Kukciński chwycił go za ramię, lecz ten wyrwał się i zaczął biec dalej, w kierunku bramy na strefę. Pan Janek dodał gazu, aby jak najszybciej przejechać przez wypapraną farbą Marszałkowską, a jego motocykl wydał z siebie serię głośnych strzałów z gaźnika. Palacz pomyślał chyba, że to Kukciński strzela za nim z pistoletu, bo podniósł do góry ręce i, nie przestając biec, wołał: "Nie strzelać! Nie strzelać! Nie strzelać!". Wciąż krzycząc, zбочzył z chodnika, zawadził o coś nogą, stracił równowagę i runął w krzaki.

Nie czekałem na dalszy rozwój wypadków. Odwróciłem się i pognałem na dywizjon.

Misiek czekał na nas na swojej sali. Leżał na wozie i pił jedną kawę za drugą. Na nasz widok zerwał się gwałtownie i zapytał:

- No i co? Coście tak wpadli? Pomalowaliście Marszałkowską?
- Pomalowaliśmy, ale nie do końca - odezwał się Pindel. - Zwialiśmy przed Kukcińskim, bo właśnie wyszedł z dyżurki. Widział już plac.

Na twarzy naszego dziada dały się zauważyć oznaki wyraźnego podenerwowania.

- I co, nakrył was?
- Nie. Jeden stał na czujce i nas ostrzegł.
- Uff! To dobrze! - Misiek odetchnął z ulgą. Widocznie dopiero teraz zdał sobie sprawę z konsekwencji swego rozkazu. Ale przecież jemu i tak nic nie groziło, mógł się wszystkiego wyprzeć, bo dywersantami właściwie byliśmy my - jego młodzi.
- Kładźcie się do wozów, bo ten palant zaraz tu przyjdzie! - rozkazywał Misiek. - Ubrania cuchną farbą, więc wrzucicie je lepiej do mojej szafki na korytarzu. Może nie zorientuje się, kto to zrobił.
- Chyba już za późno - odezwał się. - Palacz zobaczył, jak malujemy Marszałkowską, a potem, gdy przyszedł Kukciński, to zamiast uciekać razem z nami, pobiegł wprost na niego!
- Pojechało go? - zdziwił się Tokarski. - Myślałem, że za nami zasuwa!
- Nie! Kukciński go nawet złapał za ramię - mówiłem dalej. - Wprawdzie palacz się wyrwał, ale później wpadł w krzaki. Nie wiem, co działo się dalej, bo zacząłem uciekać.
- O kurwa! - zaklął Tokarski. - Wyda nas, jak nic!
- Przecież obiecał, że nie wyda. - powiedziałem, sam nie bardzo w to wierząc. - Chociaż... jak go przycisną albo zagrożą wywaleniem z roboty, to na pewno powie.
- Dobra! Koniec gadania! - huknął Misiek. - Kładźcie się do wozów!

Biegiem pognaliśmy do naszych sal. Zdjęliśmy śmierdzące farbą ubrania i wpakowaliśmy je do wielkiej szafki na korytarzu. Minutę potem leżeliśmy na wozach i czekaliśmy na wizytę Kuchcińskiego. Było oczywiste, że zaraz wpadnie jak burza na dywizjon i zacznie szukać żołnierzy, którzy pomalowali Marszałkowską. Mieliśmy nikłą nadzieję, że nie dojdzie zbyt szybko do tego, że zrobiliśmy to my - młodzi z drugiej baterii startowej, bo moglibyśmy mieć wtedy naprawę przejebane aż do końca monu.

Mijała minuta za minutą, a Kukciński wciąż nie nadchodził. Co się stało? Dlaczego jeszcze go tu nie ma? Czyżby buty przykleiły mu się do pomalowanych płyt chodnikowych? A może stwierdził, że to w sumie słuszna koncepcja z tym malowaniem w kratkę, chwycił za miotłę i właśnie maluje resztę placu? Przecież w wojsku musi być chujowo, ale jednakowo! Właściwie takie pomalowanie całego placu w biało-niebieską szachownicę mogło mieć swój strategiczno-szkoleniowy cel! Na przykład w czasie apelu na białych płytkach stoją podoficerowie, a na

niebieskich szeregowi, albo białe płytki byłyby zarezerwowane do chodzenia dla kadry, a niebieskie dla żołnierzy służby zasadniczej. Taki plac idealnie nadawał się też do musztry - wystarczyło powiedzieć, że lewa noga zawsze staje na białej płytce, by największy tępak wyrobił sobie odruch stawiania lewą nogą na wszystko co białe.

Mniej więcej za dwadzieścia szósta podoficer ogłasza pobudkę i zarządza zbiórkę całego stanu osobowego na dolnym korytarzu. Szybko ubieramy się w dresy i schodzimy na dół. Żołnierze z całej jednostki ustawiają się w dwuszeregu, a Kukciński stoi przy biurku podoficera i aż trzęsie się z nerwów:

- Szybciej, kurwa, się ustawiają! - krzyczy mocnym, zdecydowanym głosem. - Wychodzą z sal! Biegiem!

Stoi w lekkim rozkroku i trzyma kciuki zatknięte z tyłu za pas. Od czasu do czasu przesuwa kaburę służbowego pistoletu. Jego oczy ciskają gniewne błyskawice.

- Biegiem, kurwa, biegiem! - pogania.

Kiedy wszyscy się już ustawili, Kukciński stanął przed dwuszeregiem. Ponieważ nic nie mówił, a jego twarz pałała wściekłością, napięcie na korytarzu sięgało już zenitu. Po kilku długich sekundach ciszy Kukciński zapytał nad podziw spokojnie:

- Kto to zrobił? - wciąż nie daje się ponieść emocjom. - Którzy skurwiele pomalowali Marszałkowską?

Przez kilka sekund słychać szemranie - to mrużą ci, do których dopiero teraz dotarła niezwykła nowina - a później zapada grobowa cisza. Nikt się nie odzywa. Każdy boi się choćby kichnąć, by nie zostać przypadkiem wplątany w wydarzenia groźące wyjątkowo nieprzyjemnymi konsekwencjami. Kukciński milczy. Czeką na odpowiedź. Chodzi tam i z powrotem wzdłuż dwuszeregu, a potem zatrzymuje się i odwraca ku nam. Nic nie mówi. Patrzy po twarzach, zagłada w oczy, paraliżuje ciszą. Jedni spuszczaają głowy, inni hardo patrzą przed siebie. Znowu słychać jego kroki, charakterystyczne skrzywienie opinaczy.

- To co? Dowiem się? - pyta spokojnie.

Odpowiada mu cisza. Przeróżliwa cisza, taka, jaką się słyszy po wejściu do bunkra.

- Podoficer!!! - Kukciński nie wytrzymuje już nerwowo i krzyczy.

- Słucham panie poruczniku! - kapral melduje się, przybierając postawę zasadniczą.

- Kto miał służbę nad ranem? Ty, czy dyżurny?

- Ja miałem.

- Kto rano wychodził z dywizjonu? Farba jeszcze świeża!

- Nie wiem, panie poruczniku!

- Jak to nie wiesz? Przecież siedziałeś tuż przy drzwiach!

- Nikt nie wychodził. Nikogo nie widziałem - odrzekł kapral cicho. Nie chciał zdradzić, że - jak każdy podoficer dyżurny - po prostu spał na służbie. Inaczej nie dałoby się ich pełnić trzy tygodnie pod rząd.

W powietrzu rozległ się huk. To leciał jakiś odrzutowiec. Widocznie nisko, bo natężenie dźwięku rosło z każdą sekundą. Łoskot narastał i narastał, aż przetoczył się nad naszymi głowami, rozdzierając powietrze niczym grzmot pioruna. Następnie cichł stopniowo, by stać się wreszcie łagodnym pomrukiem.

- Spałeś pan, panie kapralu! - kontynuował Kukciński - Dlatego nic nie widziałeś!

Kapral nie odpowiadał. Spuścił wzrok.

- Później o tym pogadamy! - wołał oficer. - Później znajdziemy winnych! Teraz cały stan melduje się na placu apelowym. Dostaniecie rozpuszczalnik i zetrzecie tę farbę. Będziecie zapierdalać do bólu, aż zetrzecie to świństwo. Nie muszę wam chyba przypominać, że dzisiaj przyjeżdża pułkownik Szulim!

Kukciński nie czekał na potwierdzenie.

- Rozejść się! - krzyknął. - Biegiem!

W tym momencie rozległ się huk kolejnego odrzutowca. Narastał, przetoczył się grzmotem nad jednostką i znowu ucichł. Ze stojącym obok mnie podczas zbiórki Tokarskim wbiegliśmy po schodach na górę i spojrzeliśmy przez otwarte okno na błękitne, bezchmurne niebo. Po chwili znowu usłyszeliśmy narastający łoskot, tym razem jeszcze głośniejszy. Nadlatywała eskadra trzech samolotów. Tokarski intensywnie się im przyglądał, gdy na wysokości około trzystu metrów przelatywały nad jednostką.

- Migi dwudzieste dziewięte! - rzekł ze znanstwem.
- Czemu tak latają? Nigdy nie latały tak nisko - powiedziałem.

Tokarski wzruszył ramionami.

- Nie wiem – odpowiedział.

Zanim wyszedłem na plac, zadzwoniłem na wartownię i dowiedziałem się, że Kukciński kazał zamknąć pijanego palacza w pomieszczeniu sypialnym na wartowni. Pan Marian był tak pijany do nieprzytomności i nie dało się z nim rozmawiać. Dopóki palacz spał i nie kontaktował, mogliśmy się czuć w miarę bezpiecznie, ale sytuacja taka nie mogła trwać dłużej niż kilka godzin. Było oczywiste, że kiedy tylko palacz się obudzi, z pewnością wyda nas bez mrugnięcia okiem. W rachubę wchodziła możliwość, że urwie mu się film, ale na to nikt nie liczył. Wszak pan Marian służył w marynarce, a marynarze - wiadomo - mają twarde głowy...

Dziesięć minut po zakończeniu zbiórki wszyscy żołnierze, za wyjątkiem służb, zebrali się na Marszałkowskiej. Akcję oczyszczania placu zorganizowano w ten sposób, że kilka miednic, do których wlano po, mniej więcej, dwa litry rozpuszczalnika, rozstawiono co kilka metrów na całym chodniku. Szczotki porzuconych przez nas mioteł maczano w rozpuszczalniku i szorowano nimi plac. Trzech żołnierzy bez ustanku zasuwało taczkami tam i z powrotem, przywożąc ze znajdującego się nieopodal magazynu paliw piach przeznaczony do gaszenia pożarów. Piach ten, zmieszany z rozpuszczalnikiem, znakomicie ścierał farbę. Miejsca, z których farba już zesza lub pozostały tylko jej resztki, polewano silnym strumieniem wody z hydrantu - splukiwał wszystko do czysta. Trzeba przyznać, że Kukciński wymyślił skuteczny sposób na przywrócenie Marszałkowskiej jej dawnego wyglądu, gdyż ilość pomalowanych płytek malała w zastraszającym tempie. Jeszcze godzina i plac będzie wyglądał jak dawniej, a może nawet lepiej!

Podszedłem do naszego dziada, szorującego płytki na równi z innymi żołnierzami, i powiedziałem tak cicho, aby nikt nie usłyszał:

- Popatrz Misiek, co za niefart! Nie dość, że dostaniemy po dupie za pomalowanie Marszałkowskiej, to na dodatek Kukciński zamiast dać płamę, jeszcze nagrodę dostanie za to, że uwinął się ze sprzątaniem tego bałaganu przed przyjazdem Szulima!

Misiek nie miał ochoty na gadanie. Mruknął tylko ponuro:

- Cicho tam kocie. Nie miotłą, ale kitą zbieraj tę farbę. Kitą!

Chciałem zapytać go o obcinę. Wszak zadanie wykonaliśmy. Czy to nasza wina, że nie wszystko poszło zgodnie z planem? Ale Misiek nie był w najlepszym humorze i takie pytanie mogło go tylko poirytować. Wolałem z tym poczekać.

W pół do siódmej przed jednostką zatrzymał się czarny Lanos na monowskich numerach rejestracyjnych. Widocznie Kukciński dobrze znał ten samochód, gdyż na jego widok podskoczył jak oparzony i z miejsca popędził w stronę bramy. Z samochodu wysiadło dwóch oficerów, którzy trzymając w rękach czarne nesesery wolnym krokiem zmierzali w kierunku bramy. Wartownik stał już przy furtce i mocował się z na wpół zardzewiałą kłódką, która jak na złość akurat teraz nie dawała się otworzyć. Z odległości kilkunastu metrów było już wyraźnie widać pagony przybyłych gości i mogliśmy odczytać stopnie wojskowe. Jeden z nich stał blisko bramy i, widząc zmagania wartownika z kłódką, wykazywał wyraźne oznaki zniecierpliwienia - ten był pułkownikiem. Stojący tuż za nim drugi oficer mówił coś do żołnierza kierującego ich

służbowym samochodem. Na jego pagonach widniały trzy gwiazdki - był więc porucznikiem. Wszystko wskazywało na to, że swoją obecnością zaszczycił nas sam pułkownik Szulim z asystentem!

- Dywizjon baczność!!! - głośno wydał komendę Kukciński, gdy dwaj oficerowie weszli przez furtkę na teren jednostki. - Panie pułkowniku, porucznik Kukciński melduje sześćdziesiąty drugi dywizjon raketowy gotowy do kontroli!
- Dajcie spocznij - polecił Szulim.
- Dywizjon spocznij!!!- krzyknął Kukciński.

Pułkownik Szulim podszedł do porucznika i przywitał się z nim.

- Co to za kaszana? - zapytał, wskazując spojrzeniem pomalowany plac oraz stojących na nim żołnierzy. - Chodnik pomalowany na białą i niebiesko? Co to ma być? Co oni tu robią?

Kukciński milczał chwilę zanim znalazł odpowiedź. Rzeczywiście, trudno było znaleźć sensowne wytłumaczenie takiego stanu rzeczy. W końcu odparł:

- W nocy jacyś nieznani sprawcy pomalowali plac, panie pułkowniku. Wykryłem to pół godziny temu i natychmiast rozpocząłem przeciwdziałanie.
- Nieznani sprawcy, pan powiada? A kto tej nocy pełnił służbę oficera, kto pilnował porządku w jednostce?
- Ja, to znaczy porucznik Kukciński - dodał przypominając sobie, że "ja" to w wojsku dupa, nawet jeśli jest się oficerem.

Pułkownik Szulim ze stoickim spokojem rzekł:

- Panie Kukciński, proponuję abyśmy udali się w ustronne miejsce, gdyż mam panu do powiedzenia coś, czego nie powinny słyszeć uszy żołnierzy służby zasadniczej!

Kukciński obejrzał się do tyłu i potoczył wzrokiem po stojącym na placu wojsku. Na twarzach młodych ludzi dostrzegł skrywane uśmiešky sadystrycznej satysfakcji. Ich spojrzenia zdawały się mówić "dobrze ci tak, opierdalałeś nas, a teraz będą opierdalać ciebie". Już sam fakt, że Szulim w ten sposób odezwał się do niego, zawstydził go i upokorzył.

- Tak jest, panie pułkowniku! Proszę za mną na dyżurkę oficera - odpowiedział smutnym głosem.

W chwilę potem, dwaj oficerowie z brygady w Warszawie i porucznik Kukciński weszli do budynku sztabu w którym mieściła się dyżurka. Nie upłynęło więcej niż pół minuty, a dało się słyszeć dochodzące stamtąd odgłosy głośnej rozmowy, krzyki a nawet przekleństwa. Na pewno nie był to głos Kukcińskiego, który prawdopodobnie teraz siedział cicho i słuchał wszystkiego, jak pokorne cięle. Ucieszyliśmy się, że udało nam się wpakować go w solidne tarapaty. Kiedy słyszeliśmy jak pułkownik wrzeszczy na niego, to aż serce rosło i na krótką chwilę zapomniało się o tym, że zaraz zacznie się dochodzenie i że to my będziemy mieli nieporównywalnie większe kłopoty niż nasza ofiara. Ale teraz to się nie liczyło. Ważne było to, że bezwzględny karierowicz porucznik Kukciński, dał plamę na całej linii frontu.

Tymczasem na zapleczu kuchni młody Scyzora, który trzy razy pod rząd leciał dzisiejszej nocy na melinę po gorzałę, szykował perfidną zemstę na swoim dziadku. Wiedział, że Scyzor wprost przepada za kaszanką, a tak się dobrze składało, że dziś na śniadanie miano właśnie zaserwować tę potrawę. By podnieść walory smakowe tej porcji kaszanki, którą miał zjeść dziadek, młody dodał do niej specyfik wydatnie podnoszący apetyt i, przede wszystkim, przyspieszający trawienie. Nie widział powodu dla którego raz dobrze strawiona kaszanka, miałaby niepotrzebnie zajmowała jelita jego darzonego największym szacunkiem dziadka. Środek ten bynajmniej nie znajdował się na liście przypraw zalecanych przez Naczelnego Kucharza Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, ale gościł w podręcznej apteczce każdej babci, mającej - po wieczorach spędzanych na plotach zagryzanych dorodnym, gotowanym bobem - wieczne zatwardzenie. Młody Scyzora stał ów specyfik na proszek i równomiernie rozprowadził

po kaszance. Dymiący jeszcze półmisek tak przyprawionej potrawy zaniósł do sali swego dziada, który po trwającej całą noc popijosze był tak ostro skacowany, że z braku sił odlewał się przez okno, a co tu dopiero mówić o wyjściu na stołówkę. Młody postawił kaszankę na taborecie i, nie śmiąc budzić chrapiącego Scyzora, dyskretnie wyszedł z sali.

Pachnąca kaszanka przeleżała z godzinę nim Scyzor obudził się i ją dostrzegł. Niestety w tym czasie wystygła i przestała nadawać się do spożycia. Kazał więc zabrać ją na kuchnię i przygrzaną przynieść z powrotem. Młody wziął z sali talerz z ulubionym przysmakiem dziadka i, zagadawszy się z jakimś żołnierzem, zostawił go na parapecie pomieszczenia, w którym zmywano naczynia, tak zwanego "zmywaka". Po chwili na "zmywak" wszedł żołnierz, który służył w ochronie i opiekował się psem wartowniczym. Widząc na parapecie porzuconą przez kogoś kaszankę, uznał, że to idealne żarcie dla wygłodniałego, od tygodnia nie mającego nic w pysku psa. Zabrał ją więc z parapetu i postawił przed psią budą, stojącą przy magazynie uzbrojenia, obok stołówki. Pociągnął kilka razy za łańcuch, ale - czując wyraźny opór - zniechęcił się i wrócił na wartownię. Nie wiedział, że podczas jego nieobecności w jednostce wielkim, kudłatym wilczurem zajął się inny żołnierz i karmił go codziennie. Nażarty do granic możliwości pies leniwie wywłókł się z budy i, nie mogąc już nic zmieścić w żołądku, obwąchał tylko i z zalem oblizał kaszankę, a następnie wrócił do budy kontynuować przerwany drzemkę. Nie było mu dane długo pospać, ponieważ po kwadransie przyszedł jego nowy opiekun i w celu odpchlenia tego sympatycznego, choć mocno zaniedbanego zwierzaka zabrał go na kotłownię, gdzie znajdowała się duża wanna idealnie nadająca się do kąpania psa z wykorzystaniem specjalnego środka. Opiekun psa zabrał też ze sobą talerz z nietkniętą kaszanką i postawił go na stole w ciasnej kanciapie kotłowni. Palacz, który zmienił dziś rano pana Mariana, pomyślał, że to pewnie jakiś młody z pomocy kuchennej przyniósł mu jadło na śniadanie. Mile tym zaskoczony już zabierał się za konsumpcję, kiedy nagle coś niemiłosiernie grzmotnęło w kotle. Zerwał się na równe nogi i pobiegł sprawdzić, co się stało. Okazało się, że - jak to zwykle po pijaku - za dużo podłożył do pieca i wysokie ciśnienie rozsadziło rurę doprowadzającą parę na kuchnię. Złapał się za głowę i zaczął myśleć, co robić dalej, bo uszkodzenie od strony technicznej było bardzo poważne, nie wspominając o skutkach jakie spowoduje brak pary na kuchni. Po chwili namysłu zakręcił zawór z parą i pognął na warsztaty samochodowe do pana Janka - mechanika z zawodu, jedynej osoby mogącej w tej chwili udzielić mu jakiejś sensownej pomocy. Kiedy on z jednej strony bloku zasuwiał na warsztaty samochodowe, po drugiej stronie biegł wysłany przez kucharza młody, żeby sprawdzić dlaczego nie ma pary w kotłach. Wpadł na kotłownię, patrzy - palacza nie ma, jego rzeczy wiszą w szafce, a kaszanka na stole całkiem zimna. Doszedł do wniosku, że skacowany palacz nie miał ochoty jej jeść, ale pewnie pić mu się chciało, więc poszedł po piwo do odległego o kilometr od jednostki sklepu spożywczego, a w tym czasie w piecu całkiem wygasło. Zezłościł się młody, ponieważ to oznaczało, że rano zamiast zupy mlecznej pójdzie żurek, do którego będzie musiał obłupić czterdzieści osiem jaj (po pół jaja dla każdego wyprowiantowanego żołnierza). Zdenerwowany zabrał ze sobą talerz z kaszanką i wrócił na kuchnię. Kucharz rozmawiał właśnie przez telefon z Kukcińskim, który dopytywał się co dziś na śniadanie. Kiedy Kukciński usłyszał, że kaszanka, bardzo się ucieszył, bo i on był smakoszem tej potrawy. Po krótkiej konsultacji z przybyłym do jednostki gościem zamówił to danie dla siebie i pułkownika Szulima. Kucharz znalazł się w nie lada kłopotcie, gdyż na kuchni ostała się tylko jedna porcja kaszanki, a przecież nie mógł podać jednemu takiego, a drugiemu innego dania. Stąd też uradował go ogromnie widok wracającego z kotłowni młodego niosącego talerz nietkniętej kaszanki. Kazał mu ją przygrzać i wraz z ostatnią porcją oraz nakryciami dla dwóch osób podać na stół w stołówce kadry. Młody zrobił jak mu kazano. Pięć minut później na stołówce kadry na porucznika Kukcińskiego i pułkownika Szulima czekały dwie ciepłe i pachnące porcje kaszanki - jedna ze środkiem na przeczyszczenie, a druga bez.

Zaraz po pierwszym śniadaniu oficer wychowawczy, major Stobierski, zorganizował w świetlicy spotkanie z żołnierzami służby zasadniczej. Podczas gdy pułkownik Szulim krążył po jednostce, dokonując rozlicznych kontroli, major metodą kija i marchewki próbował ustalić, kto dopuścił się bezczelnego aktu pomalowania placu i to tuż przed tak ważną wizytą. Szulim zameldował już o tym zdarzeniu samemu dowódcy brygady i Kukciński wraz z dowódcą jednostki w Bojęcinie, pułkownikiem Tarasiakiem, miał jechać do sztabu w Warszawie, aby złożyć wyjaśnienia w tej sprawie. Atmosfera stała się więc wyjątkowo napięta i mocno nieprzyjemna. Całej kadrze zależało na tym, by jak najszybciej odnaleźć winnych i ukarać ich z całą surowością Regulaminu Dyscyplinarnego, albo i jeszcze gorzej.

Zebrane na świetlicy wojsko siedziało na krzesłach, a major stał na wprost nas i mówił podniesionym głosem:

- Orzysz! Kurwa, przez pół roku będzie tutaj Orzysz, jeśli nie znajdą się ci, którzy pomalowali plac! To są słowa dowódcy jednostki! Żeby coś takiego zrobić, trzeba być nieźle popierdolonym i nie mieć żadnego szacunku nie tylko dla jednostki, w której się służy, i całego wojska, ale nawet dla Ojczyzny! Pytam się, kto to zrobił?

Odpowiedziała mu cisza. Zazwyczaj jego wypowiedzi spotykały się z głupimi komentarzami starego wojska, ale dziś nikt się nie odezwał. Szło o zbyt wysoką stawkę. Wszyscy siedzieli cicho i nawet nie śmiali spojrzeć mu w oczy.

- Dowódca jednostki obiecał też dziesięć dni urlopu dla tego, kto wskaże sprawców - mówił dalej oficer wychowawczy. - Zastanówcie się chłopaki. To dziesięć dni. Prawie taryfa.

Nadal nikt się nie odzywał. Być może były już jakieś przecieki i niektórzy wiedzieli, że Marszałkowską pomalowali młodzi z baterii startowej, ale na razie nikt nie miał odwagi publicznie o tym wspomnieć. Zresztą być może wiadomość ta wcale nie wydostała się poza grupę naocznych świadków. W każdym razie siedzieliśmy jak na bezce prochu - baliśmy się, że za chwilę ktoś wstanie i wskaże na nas. Na szczęście tak się nie stało. Niestety po chwili na horyzoncie pojawiło się kolejne niebezpieczeństwo.

- Dyżurny! - zawołał major. - Wprowadź świadka!

Spojrzenia wszystkich żołnierzy powędrowały w stronę drzwi. Pojawił się w nich pan Marian. Zataczając się, bo wciąż jeszcze był pijany, przeszedł przez świetlicę i klapnął na krzesło obok majora. Jego ubranie i włosy były mokre od wody.

- Panie Marianie, proszę wstać! - powiedział do niego major. - Posiedzi pan na ławeczce przed domem, na bezrobociu.

Palacz wstał niechętnie i ociężale.

- W końcu popiję bez stresu - odparł. - Nie to, co tutaj. Jak nie ciśnienie rurę wypierdoli, to znowu w piecu wygaśnie, i tak w kółko. Człowiek nie ma kiedy spokojnie popić.

Oficer wychowawczy zignorował tę odpowiedź.

- Niech pan wstanie i powie, czy widzi pan wśród obecnych tu żołnierzy tych, którzy w nocy malowali plac.

Palacz wstał, rozejrzał się dokoła. Było niemal oczywiste, że jeszcze tylko kilka sekund będziemy cieszyć się anonimowością. Jeszcze chwila, a wyda nas, jak nic. Tymczasem pan Marian klapnął z powrotem na krzesło i lekceważącym tonem rzekł:

- A chuj wam w dupę, trepy pierdolone! Za to żeście kazali mnie w ciuchach pod prysznic wrzucić, chuja wam powiem! Niech będzie, że ja to zrobiłem.

W świetlicy rozległy się zdławione dłońmi wybuchy śmiechu. Oficer wychowawczy przełknął "trepy pierdolone" i odpowiedział chłodno:

- W takim razie może się pan już pożegnać z pracą w kotłowni.

Palacz zdawał się tym nie przejmować.

- Jeszcze lepszą sobie znajdę! Robić na trzy zmiany za te nędzne pięćset złotych?! Jaki ja byłem głupi! Wie pan, ile w cywilu za taką robotę płacą? Drugie tyle!

- Panie Marianie, proszę natychmiast stąd wyjść! - zdenerwował się major. - Dyżurny! Wyprowadzić tego pijaka!
- Zara, zara, bier te łapy - oburzył się palacz, gdy dyżurny złapał go za rękaw i usiłował wywlec ze świetlicy. - Sam wyjdę. Zabiorę tylko ćwiarteczkę z kotłowni i idę do chaty! Dam sobie radę, bo w Marynarce służyłem!
- Do widzenia! - powiedział major takim tonem, jakby chciał zakomunikować "wynoś się stąd!".
- Ahoj! - odparł palacz, trzaskając drzwiami.

Oficer wychowawczy, rozdrażniony widowiskiem jakie urządził pan Marian, przez chwilę nic nie mówił. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Liczył na to, że odpowiednio postraszony palacz wskaże winnych lub sami się zgłoszą. Tak się jednak nie stało. Usiadł więc ciężko na krześle i odezwał się opanowanym tonem:

- Spotykamy się ponownie w tym samym składzie po drugim śniadaniu. Mam nadzieję, że do tej pory znajdziecie wśród was odpowiedzialnych za ten czyn. Dodam, że porucznik Kukciński dostał rozkaz od dowódcy jednostki, aby dziś po południu przeprowadzić szkolenie taktyczne. Na wszelki wypadek zabierzcie ze sobą foliowe torebki, żebyście mieli do czego rzygać - wstał i idąc do wyjścia dodał: - Rozejść się!

Szkoda mi się zrobiło pocziwego i słownego palacza. Obiecał, że nas nie wyda i rzeczywiście słowa dotrzymał, chociaż przez to wywalono go z pracy. Sytuację dałoby się uzdrowić, gdybyśmy sami, po dobrej woli zgłosili się do oficera wychowawczego. Wyszedłem nawet nieśmiało z taką propozycją podczas krótkiego spotkania z falowcami. Moim zdaniem było przesądzone, że nas wykryją, a przyznanie się do winy mogło złagodzić karę. Wyśmiali mnie jednak, że "wymiękam" i kazali wrzucić na luz. Więcej już absolutnie żadnych pomysłów nie zgłaszałem.

W sali numer sześć na dolnym korytarzu żołnierz ze starego lata - pseudonim Zibi - podszedł do swego młodego, który był pomocnikiem magazyniera i wczoraj wieczorem wydał nam farbę.

- Doszły mnie słuchy, że wiesz, kto pomalował Marszałkowską. Prawda to?
- Nic nie wiem - odpowiedział młody. - Kto naopowiadał ci takich głupot?

Zibi nie zamierzał się tłumaczyć. Rzucił krótko:

- Zalegasz dziadek i tłoczysz cyferkę. Ile tam dzisiaj staremu?
- Sto siedemdziesiąt sześć - odpowiedział młody, kładąc się na podłozę.
- Jedziesz!
- Ja nic nie wiem!
- To może sobie przypomnisz! Jedziesz!

W sumie młody i tak był twardy, bo wygadał się dopiero po sto dwudziestej pompce. Nie mając większego interesu w tym, by trzymać język za zębami i chcąc uniknąć wysiłku fizycznego, wystękał:

- To zrobili... młodzi Miśka.... on kazał im ...pomalować plac!
- Wstawaj! - krzyknął ostro Zibi.

Młody wstał i otrząpywał spodnie z kurzu zebranego z podłogi.

- Skąd to wiesz? - dopytywał się dziadek.
- Sam im farbę wydawałem z magazynu. Białą i niebieską!

Zibi zatarł ręce.

- Znakomicie - rzekł. - Idziemy teraz do majora Stobierskiego. Powtórzysz mu to wszystko.
- A co będzie ze mną? - wystraszył się młody.
- Drewno, jak mnie nie posłuchasz!

W chwilę potem obydwaj wyszli z dywizjonu i skierowali się ku budynkowi sztabu, w którym mieściła się kancelaria oficera wychowawczego. Zibi był z siebie zadowolony.

Dziesięciodniowy urlop dobrze mu zrobi. W rzeczy samej na urlopy wyjeżdżał dużo częściej od innych żołnierzy, ponieważ dbał o odpowiedni przepływ informacji w jednostce. Funkcja ta generowała duży stres, a stres wymagał odpoczynku na urlopie. I tak powstawała kwadratura koła, której jakoś nie mógł przełamać.

Tymczasem sierżant Nowicki oprowadzał pułkownika Szulima po jednostce. Dziś pułkownik kontrolował wszystko z nadzwyczajną gorliwością, może nawet trzeba by to nazwać nadgorliwością. Podobno w magazynie żywnościowym wykrył brak trzech litrów oleju słonecznikowego, jednej kostki masła, dwóch kilogramów cukru, piętnastu deko rodzynek oraz nadmiar makowca, który miał być wydany w zeszłą niedzielę, a nie poszedł na kuchnię. Wszystkie te odstępstwa od stanu zapisanego na papierze odnotowywał w swoim szarym kajeciku, którego używał do sporządzania służbowych raportów. Kontrolując pełnienie służby wartowniczej, stwierdził, iż dwóch żołnierzy nie potrafi wyrecytować Prawa Uzycia Broni, zauważył, iż karabiny nie są zabezpieczone przed kradzieżą oraz odnotował brak papieru toaletowego w ubikacji. Choć wartownicy gruntownie przygotowali się do jego wizyty, czyszcząc i sprząając wszystko na glans, pułkownik stwierdził, że na wartowni panuje "totalny burdel", ponieważ na stoliku w pomieszczeniu dowódcy warty leżało, choć nie było go w wiszącym na ścianie spisie wyposażenia, czasopismo z krzyżówkami.

Idąc w stronę stacji paliw, zwrócił uwagę, że w jednym miejscu brakuje trawy (rozlała się tam benzyna), chociaż powinna tam rosnąć. Sierżant mający pod opieką stację paliw szybko połapał się o co chodzi i rozkazał kilku żołnierzom wyciąć trawę z innego miejsca i wypełnić nią dziurę. Spotkało się to z dużym uznaniem pułkownika Szulima, kiedy przechodził tamtędy ponownie. Sierżant prawdopodobnie dostałby od niego dużego plusa, gdyby nie fakt, że wcześniej Szulim wykrył, iż jedna z gaśnic ma nieaktualną datę badań diagnostycznych i może być niesprawna.

Największa heca zaczęła się, gdy pułkownik Szulim poszedł kontrolować obiekty i służby działające na tak zwanej "strefie". Odczuł wówczas nieodpartą potrzebę udania się do ubikacji. Niestety wokół rósł las, a do najbliższej toalety było pół kilometra. Dlatego oprowadzający go chorąży z niemałym zdziwieniem obserwował, objawiające się w zaciskaniu szczęki i nadymaniu policzków, napięcie na twarzy pułkownika. Nie rozumiał, dlaczego pułkownik, który jeszcze kilka minut wcześniej irytował go swą powolnością, teraz przyprawia go o ostrą kolkę marszem w morderczym tempie. Pułkownik co chwilę dyskretnie zaglądał w krzaki i sprawiał wrażenie, jakby drażniła go obecność chorążego. W końcu chorąży dostyszał dźwięk przypominający darcie materiału dobiegający z dolnych partii ciała oprowadzanego oficera, zorientował się o co chodzi i zawrócił do sztabu twierdząc, że czegoś zapomniał. Kiedy tylko znikł za drzewami, pułkownik dał dyla w krzaki, w biegu spuszczać spodnie. Gdy już sobie pofolgował, z przerażeniem odkrył, że nie ma sobie czym podtrzeć tyłka. Ani kawałka papieru, a wokół - jak na złość - las iglasty i ani jednego listeczka. Na szczęście kilka kroków dalej dostrzegł jakiś budynek - wiatę samochodową, w której spodziewał się znaleźć coś odpowiedniego. Trzymając w garści podciągnięte nad kolana spodnie, ostrożnie podreptał w stronę wiaty. W miarę jak się zbliżał, coraz wyraźniej słyszał dochodzące z budynku chrapanie. Cały czas podtrzymując spodnie, oparł się o winkiel i zawołał:

- Hej! Kto tam jest?!

Nie usłyszał odpowiedzi. Chrapanie nie ustawało. Ktoś tam musiał mocno przysnąć.

- Bacność!!! - krzyknął głośno pewny, że żołnierz o każdej porze dnia i nocy zerwie się na równe nogi posłyszawszy taką komendę.

Coś się poruszyło, zazgrzytała jakaś blacha i dało się słyszeć ziewnięcie.

- Co? - zapytał ktoś zaspianym głosem.

Szulim ucieszył się, że udało mu się przebudzić drania.

- Wstań kolego i daj mi kawałek gazety. Wszystko jedno co, byle papier był! - rzekł rozkazującym tonem.

Znowu głośnie, lekceważące ziewnięcie.

- Za mało mam! - usłyszał po chwili.

Szulima zdumiała taka odpowiedź.

- Jeśli masz za mało, to ja ci zaraz przyniosę. Pożyczyć chciałem, bo pilnie papieru potrzebuję.

Usłyszał wybuch śmiechu.

- Kurwa, za mało mam, żeby wstawać. Dziadek, nic nie jarzysz! Ile tam, kurwa, stoi?

- Gdzie?

- No tu, kurwa, za tym winklem!

- Nie rozumiem! - wołał pułkownik.

- Ile masz dni do wyjścia do cywila, baranie! - wołał żołnierz wyraźnie zirytowany brakiem znajomości falowego slangu u swego rozmówcy.

Pułkownik chwilę liczył w milczeniu i w końcu odparł:

- Będzie z piętnaście tysięcy!

- Piętnaście tysięcy? Ja pierdołę, jaki kosmos! - roześmiał się żołnierz. Z czasem jego śmiech stawał się co raz bardziej nerwowy, aż w końcu zamarł mu w gardle. Zorientował się, że tyle do wyjścia może mieć tylko trep! Nie bardzo wiedział, co zrobić w tej sytuacji. Na wszelki wypadek postanowił postępować zgodnie z Regulaminem. Wpadł z za winkła i wymierzwszy lufę kałasznikowa w stronę opierającego się o wiatę trepa głośno zawołał:

- Stój! Służba wartownicza! Kto idzie?

- Pułkownik Szulim! - usłyszał w odpowiedzi.

Wartownik pomyślał sobie, że to jest właśnie jego pięć minut. Owa słynna akcja, kiedy łapie się wysokiego rangą trepa i rzuca na glebę za to, że znajduje się w niewłaściwym czasie i w niewłaściwym miejscu. Później dostaje się za to kilka dni urlopu. Właśnie teraz trafiła mu się taka okazja, właśnie teraz mógł się wykazać! Nie zamierzał jej zmarnować! O nie!

- Nie rozpoznałem! Położyć się na ziemi i ręce za głowę! Poczekamy na nadejście zmiany! - wydał komendy ze zdumiewającym zdecydowaniem.

- Bardzo dobre, regulaminowe zachowanie! - pochwalił go pułkownik. - Ale muszę iść w krzaki!

- Na ziemię! - warknął wartownik.

Szulim widząc, że nic nie wskóra, podciągnął spodnie i położył się na ziemi.

- Kto jest twoim dowódcą? - zapytał z irytacją w głosie.

- Porucznik Kukciński! - odparł żołnierz.

- Porucznik Kukciński? Aha!

Tego dnia każdy musiał mieć jakieś zajęcie. Sytuacja, w której pułkownik Szulim napotyka szwendającego się po jednostce, nie wiedzącego co ze sobą zrobić żołnierza, była nie do przyjęcia. Szczególnie dziś, po wpadce z pomalowaniem Marszałkowskiej. Dlatego też bateria startowa powtarzała wykonaną już kilka dni temu konserwację stanowiska raketowego numer dwa. Kompania zabezpieczenia do bólu uczyła się Prawa Użycia Broni oraz regulaminowego zatrzymania, a bateria radiotechniczna jak zwykle ściemniała na sprzęcie, symulując ćwiczenie strzelania do celów. Część kadry starym zwyczajem zamknęła się w świniarni i tam popijała wódkę (przy wódce czas leciał szybko i nawet wizyta postrachu dywizjonów, pułkownika Szulima, zdawała się bezstresowa niczym wizyta papieska).

Pół godziny przed drugim śniadaniem wraz z Miśkiem i kilkoma falowcami leżeliśmy sobie wygodnie na wałach wyrzutni raketowej. Wystawiony na czaty Tokarski obserwował szeroką, biegnącą przez las drogę z betonowych płyt, którą w każdej chwili mógł nadejść jakiś trep. Kilkanaście metrów od drogi stała budka wartownicza. W pewnym momencie rozdzwonił się w

niej telefon. Tokarski podbiegł do niego i podniósł słuchawkę. Przez chwilę rozmawiał, po czym trzasnął słuchawką i ruszył biegiem w naszą stronę.

- Trepy już wiedzą, kto to zrobił! - zawołał głośno. - Wiedzą, że to młodzi ze startówki!

Poderwaliśmy się z wałów jak oparzeni.

- Skąd wiedzą?! - krzyknął Misiek.

- Nie wiadomo! Podobno wychowawczy to wykrył! - wołał Tokarski. - Ktoś puścił farbę!

- Musieli kogoś nieźle przycisnąć! - stwierdził Misiek, kręcąc z niezadowoleniem głową. - Kogo? Kto mógł podpieprzyć?

- Pewnie Pałowski! - krzyknął Podkaliccki. - On podpieprzył, przecież sam mówił, żeby dobrowolnie się przyznać, to kara będzie mniejsza!

W jednej chwili wbiły się we mnie spojrzenia wszystkich moich ośmiu falowców i dziada. Patrzyli na mnie groźnie, spięci i gotowi w każdej chwili rzucić się na mnie.

- No co wy? - powiedziałem, czując, że serce bije mi coraz mocniej. - To był wprawdzie mój pomysł, ale decyzję mieliśmy podjąć wspólnie! Sam bym nie doniósł. Zresztą, kiedy niby miałbym to zrobić? Przecież cały czas byłem z wami!

- Mówiłeś, że idziesz na łączność. Mogłeś zadzwonić stamtąd do wychowawczego! - rzekł Misiek, zbliżając się do mnie. Gdy stał tuż przede mną, wydawał się być wielki jak niedźwiedź. Nic dziwnego, miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i ważył sto dwadzieścia kilo. Odruchowo cofnąłem się do tyłu.

- Dzwoniłem do Warszawy! Możecie zapytać dyżurnego z łączności - zacząłem nerwowo tłumaczyć, gdyż zauważyłem, że moi falowcy patrzą na mnie z rosnącym powątpiewaniem. - Nie wiem, kto to zrobił! Na pewno nie ja! Pewnie palacz się wygadał!

Misiek w myśl zasady "tłumacz się winni" z każdym kolejnym wypowiedzianym przeze mnie słowem krytyczniej podchodził do tego co mówię. W końcu, pewnie zupełnie tracąc wiarę w moją prawdomówność, krzyknął:

- Łapać go!

Nie zastanawiałem się długo. Rzuciłem się do ucieczki. Przebiegłem przez wał i ile sił w nogach puściłem się ścieżką przez las. Mimo że biegłem szybko, czułem za plecami oddechy goniących mnie falowców. Wyprzedzałem ich znacznie, bo na krótkim dystansie rzadko kto mi dorównywał. Wiedziałem jednak, że jeśli nie znajdę schronienia, to mnie dopadną, bo jest ich więcej. Musiałem się gdzieś skryć, ale nie wiedziałem gdzie. Wleźć na drzewo? Bez sensu, wejdą za mną! Ominąłem wzgórze, na którym stał radar, i przebiegłem obok agregatu prądowórczego. Raptem zajaśniała mi w głowie myśl. Wróciłem do agregatu i szarpnąłem drzwi. Z ulgą stwierdziłem, że są otwarte. Szybko wszedłem do środka i zaryglowałem zamek. Po kilku chwilach nadbiegli moi falowcy. Musieli zauważyć, gdzie się ukryłem, gdyż zaczęli kopać w drzwi i ściany.

- Pałowski, podpierdalaczu, wyłaż stamtąd! - rozpoznałem głos Tokarskiego. - Wyłaż, bo wyważymy drzwi!

Nie przestraszyłem się tej groźby. Cała buda obita była grubą na pół centymetra blachą, a drzwi zrobiono z jednego kawałka metalu. Buda agregatu musiała być mocno obudowana, gdyż w środku znajdowały się zbiorniki z paliwem. W czasie bitwy jeden odłamek mógł wysadzić taką budę w powietrze i wyeliminować radar z działań na polu walki. Tokarski zdawał sobie sprawę, że sforsowanie drzwi jest po prostu niemożliwe. Chcąc mnie zastraszyć, prawdopodobnie pół żartem pół serio, krzyknął:

- Wyłaż, bo jak nie, to cię zamkniemy od zewnątrz i podpalimy budę!

Rzeczywiście, drzwi można było zamknąć od zewnątrz tak, aby nie dało się otworzyć ich od środka. Przestraszyłem się, bo Tokarski do zrównoważonych nie należał i mógł ten pomysł zrealizować. Widziałem jak podszedł do budy i przy ogólnej aprobacie przekręcił klamkę tak, aby nie można było otworzyć drzwi z drugiej strony. Kiedy to zrobił, wybuchła salwa głupich

śmiechów. Tokarski widząc, że jego zachowanie spotyka się z przyzwoleniem, wyjął z kieszeni zapalniczkę i trzymając ją w wyciągniętej przed siebie dłoni zawołał:

- No, Paślawski, gadaj teraz, gdzie planujesz pojechać na ten urlop, co go dostałeś za podpieprzenie? Na Hawaje?

Wyjrzałem przez małe ciasne okienko i krzyknąłem:

- Co wy wygadujecie?! Ja tego nie zrobiłem. Po co, kiedy i jak?! Przecież zaszkodziłbym sam sobie!
- Jak cię podfajczymy, to zaraz zaczniesz śpiewać inaczej! - zaśmiał się Tokarski, wymachując nad głową zapalniczką. - To co? Podpalamy?

Na moment straciłem go z pola widzenia. W chwilę potem jego sylwetka mignęła w okienku na przeciwległej ścianie. Przywarłem twarzą do szyby i obserwowałem, co ten idiota wyprawia. A tymczasem Tokarski, słysząc wciąż głupawy śmiech kolegów, zbliżył zapalniczkę do płóciennej osłony na kabie i podpalił suche, brezentowe płótno. Falowcy przebiegli na drugą stronę agregatu i widząc ledwo tłący się płomień zaczęli się głupio rechotać. W wojsku istniało specyficzne poczucie humoru: im dowcip był głupszy i bardziej prostacki, tym bardziej śmieszył. A taka sytuacja jak ta, kiedy w pełnym paliwa agregacie siedzi jeden gość, a drugi udaje, że chce go podpalić, była tak śmieszna, że mogła wprost zwalić z nóg. Na szczęście Tokarski nie czekał, aż ogień się rozprzestrzeni, lecz zaczął go od razu gasić, przydeptując płótno opinaczami.

Po chwili w pobliże agregatu dotarł Misiek. Jego wielkie i grube cielsko znakomicie sprawdzałoby się na macie zapasniczej, ale w biegach był wyraźnie wolniejszy i zawsze zostawał daleko w tyle. Przybiegł, oparł się ręką o budę i sapiąc ze zmęczenia zapytał:

- Co się tu dzieje? Gdzie Paślawski?
- Właż do środka - odpowiedział Pindel. - On na pewno nie podkablował! Znam go. Tokarski straszy go, że podpali budę.
- Jebie cię? - zwrócił się Misiek do Tokarskiego, widząc dym z tłącego się płótna. - Masz w tej głowie nawalone jak cyganka w tobołku! Wiesz co mogło się stać? Przecież tam jest sześćset litrów benzyny!
- No co ty, Misiek? Przecież ja żartowałem! Nie podpaliłbym tej budy - tłumaczył się Tokarski.
- Właśnie dlatego, że cię znam, nie byłbym tego taki pewien! - Misiek wyglądał na mocno zdenerwowanego. Pierwszy raz zdarzyło się, że dziad zrobił dla mnie coś dobrego. - Paślawski, wyłaż stamtąd!
- Nie mogę, bo buda z zewnątrz zamknięta! - krzyknąłem głośno, żeby było mnie słychać przez grube ściany. - Musicie odryglować drzwi!

Nie usłyszałem od razu odpowiedzi, więc z niepokojem wyjrzałem przez okienko. Głowy moich falowców zwrócone były w stronę posypanej żwirem drogi prowadzącej do radaru.

- To pewnie Szulim z Nowickim! - usłyszałem głos Podkalickiego. - Idą na kontrolę sprzętu.
- Wiejemy z powrotem na wyrzutnie! - zarządził Misiek. - Pewnie zaraz i tam pójdą!
- Co z Paślawskim? - zapytał Pindel.
- Niech tam siedzi, zaraz po niego wrócimy!

Betonowy plac, na którym stał agregat, w ciągu kilku sekund całkowicie opustoszał. Misiek oraz moi falowcy pobiegli ścieżką przez las do wyrzutni raketowej, gdzie według rozkładu zajęć powinni się właśnie znajdować. Zostałem sam, zamknięty w małej, ciasnej budzie. Wszędzie czuć było woń paliwa. Nie mierzila mnie, gdyż lubiłem ten zapach, bardziej irytowało mnie zachowanie moich współtowarzyszy. Wtedy z przykrością uświadomiłem sobie słuszność powiedzenia, że w wojsku nie ma kolegów - są tylko falowcy.

Obawiałem się, że skoro Szulim idzie na stację radarową, to na pewno zechce zajrzeć i tutaj, do agregatu. Ciekawe co im powiem, kiedy nakryją mnie w środku? Naprawdę nie miałem pojęcia.

Mijała minuta za minutą, a nikt nie nadchodził. Co więcej, nie słyszałem żadnych odgłosów rozmowy bądź charakterystycznego zgrzytu kroków na żwirowej drodze. Czyżby Szulim z Nowickim zawrócili? A może zbiegli do wiaty samochodowej, w której stały dwa Ziły? Trudno mi było się domyślić, ale do radaru na pewno nie doszli, ponieważ słyszałbym ich.

Irytowało mnie, że znajduję się w ciasnym pomieszczeniu i nie mogę wydostać się na zewnątrz. Próbowałem otworzyć drzwi, ale zamek nie puszczał. Zupełnie nie rozumiałem sposobu działania tego idiotycznego mechanizmu - jak go zamkniesz z jednej strony, to z drugiej nie otworzysz. Tylko ruscy mogą mieć takie pomysły! Zupełnie bezsilny, uchyliłem okienko, by wpuścić do środka świeże powietrze i usiadłem na jakimś kanistrze.

Po pewnym czasie poczułem swąd. Zapewne zignorowałbym go, myśląc sobie, że to czuć to zwęglone, zagaszone przez Tokarskiego płótno, gdyby nie fakt, że woń stawała się coraz intensywniejsza. Z obawą wyrzuciłem przez okienko. Zauważyłem, że ugaszone płótno zajęło się ponownie. Malutkie płomyczki ognia w kilku miejscach jednocześnie wolno pełzły po suchym materiale w górę i stawały się co raz większe. Poczuję lęk, gdyż byłem uwięziony w środku bez możliwości ucieczki. Próbowałem się uspokoić, tłumacząc sobie, że nic mi nie grodzi, bo obite blachą ściany budy nie zapalą się i ogień nie ma szans dostać się do środka. Nie na długo to wystarczyło, okazało się bowiem, że ogień zaczął okopcać wychodzące na zewnątrz kable pokryte gumową izolacją. Przez uchylone okienko wdzierał się do środka czarny, gryzący w oczy dym i smród palonej gumy. Ogień zaczynał trawić dziesiątki kabli wychodzących z agregatu. Wychylony przez okno widziałem buchające do góry płomienie. Ostatkiem siły woli próbowałem nie wpadać w panikę. Chociaż lęk wdzierał się w każdą moją myśl, starałem się nie tracić przytomności umysłu...

W tym czasie Misiek z moimi falowcami przebywali już na wyrzutni raketowej i udawali, że wykonują prace konserwacyjne. Spodziewali się rychłej wizyty pułkownika Szulima z oprowadzającym go sierżantem Nowickim. Misiek miał za mało, aby paprać się w smarach i ropie, więc schował się w krzakach i obserwował drogę. Choć upłynął kwadrans, nikt nią nie nadszedł. Prawdopodobnie Szulim poszedł na skróty, ścieżką przez las, do magazynu rakiet. Misiek - znudzony, a jednocześnie ciekawy, jak doszło do tego, że wychowawczy dowiedział się kto pomalował plac - zadzwonił z budki wartowniczej do podoficera dyżurnego kompanii. Służba podoficera była o tyle specyficzna, że pełniący ją żołnierz był zawsze najlepiej zorientowany w tym, co dzieje się w jednostce.

Misiek z niecierpliwością czekał, aż ktoś podniesie słuchawkę. Już piąty sygnał, i nic. Śpią tam, do licha, czy co? Wreszcie po minucie czekania usłyszał w słuchawce głos dyżurnego kompanii.

- Co jest, kito? Czemu nie odbierasz? - zrugął go z miejsca. - A gdyby tak Szulim dzwonił, to co?
 - Sorry Misiek - dyżurny od razu rozpoznał go po głosie. - Pety wybierałem spod kratki. Nie słyszałem telefonu.
 - Dobra, nieważne. Daj mi podoficera!
 - Nie ma go. Poszedł po coś do sztabu.
- Misiek zastanawiał się chwilę.
- Podobno kadra już wie, kto pomalował Marszałkowską. Prawda to? - zapytał.
 - Ja tam nic nie wiem. Sam jestem ciekaw - odparł dyżurny. - Czemu pytasz? Pewnie to wy, ze startówki, to zrobiliście, skoro się dopytujesz - zaśmiał się.
 - Może to i zrobiła startówka. Na pewno nie ja, bo spałem całą noc. Morfeusz mi świadkiem - zażartował Misiek.
 - Chyba ktoś podkablował trepom - mówił dyżurny. - Trepy nie chcą zdradzić kto, ale i tak wiem, komu dali dziś dziesięć dni urlopu..

- Komu?! - Misiek prawie krzyknął do słuchawki.
- Zibiemu.
- Zibiemu? - zdziwił się nasz dziad. Przecież ten zimol z dołu, nie mógł mieć o niczym bladego pojęcia. To chyba fałszywy trop. - Skąd wiesz? - zapytał.
- A jak mam nie wiedzieć? Przecież pisarzem jestem. Sam mu ten urlop do rozkazu dziennego wpisywałem.
- A za co go dostał?
- Nie było to wyszczególnione, ale domyślam się, że za podkablowanie, bo jest tego dokładnie tyle dni, ile obiecywał wychowawczy - dyżurny najwyraźniej chciał się pochwalić sprytem.
- Co za dyskretne działanie - westchnął Misiek. - Do kontrwywiadu te nasze trepy, by się nie nadały za nic w świecie.
- Faktycznie! - usłyszał śmiech dyżurnego w słuchawce.
- No dobra, to pogadam z Zibim na drugim śniadaniu. Dzięki za informacje. Cześć!
- Cześć! - odpowiedział dyżurny i odłożył słuchawkę.

Nasz dziad zdziwił się niezmiernie wiadomością, że to Zibi dostał dziesięć dni urlopu.

Rzeczywiście wyglądało na to, że musiał go dostać za dostarczenie oficerowi wychowawczemu stosownych informacji. Misiek nie wiedział, co o tym myśleć. Prędko pobiegł do swych młodych, aby podzielić się nowiną.

Tokarski słysząc, że Zibi dostał dziesięć dni urlopu, szybko rozwiązał całą zagadkę.

- To proste. Przecież był z nami jego młody, ten magazynier, który wydał nam farbę. Pewnie się przed nim wygadał, a Zibi doniósł wychowawczemu! - mówił z przekonaniem. Jego logika była zaskakująco prosta i oczywista. Wtedy odezwał się Podkalicki:
- No patrzcie, a myśmy myśleli, że to Paślawski podkablował...
- Ja wam od razu mówiłem, że nie! - rzekł Pindel.
- A kto mówił, że tak? - obruszył się Misiek. - Przecież my chcieliśmy wyjaśnić to z nim tylko, a on zaraz w nogi...

Ich rozmowę przerwał zgrzyt kroków na posypanej żużlem drodze. Odwrócili się i zobaczyli sierżanta Nowickiego idącego w kierunku wyrzutni. Sierżant szedł bez bluzy moro, a jego biała podkoszulka aż raziła w oczy w świetle słońca. Zatrzymał się kilkanaście metrów od nich, przysłonił ręką oczy i zawołał:

- Nie widzieliście pułkownika Szulima?
- Nie - odpowiedział Podkalicki. - Jesteśmy tu pół godziny, ale nie wiedzieliśmy go!
- Jebał to pies! - zezłościł się sierżant - Płacze się ta kurwa po tej strefie, jakby mu pióro do dupy włożyli! A ja później zbieram joby od dowódcy, że go upilnować nie mogę!
- Panie sierżancie, kajdanki trzeba mu założyć, to nie ucieknie! - zażartował Pindel, wywołując wybuch śmiechu.

Sierżant nie odpowiedział. Machnął tylko ręką, zawrócił i poszedł śpiesznie drogą przez strefę.

- Patrzcie! - krzyknął Rysiek Pindel, wskazując ręką w kierunku wzgórze, na którym stał radar. - Widać dym! Pewnie agregat się zapalił!

Spojrzeni w tamtą stronę i ujrzeli kłęby czarnego dymu unoszące się nad drzewami. Wydobywał się gdzieś zza radaru, może więc z miejsca, w którym stał agregat. Tokarski zrobił się czerwony na twarzy, a oczy niemalże wyskoczyły mu z orbit. Przecież to on podpalił ten kawałek płótna. Jeśli okaże się, że wywołał pożar, to dostanie za to solidną działę! Może nawet dosługe!

- Ktoś wypuścił Paślawskiego? - zapytał niespokojnie Misiek.

Nikt mu nie odpowiedział.

- Biegiem, bo się jeszcze udusi! - krzyknął i popędził przez las.

Pozostali ruszyli za nim. Kiedy po kilku minutach zdyszani przybyli na miejsce, ze zdumieniem i ulgą zarazem stwierdzili, że dym nie wydobywa się z agregatu lecz gdzieś z głębi lasu. Tokarski omal się nie rozplakał, gdy minął mu strach przed konsekwencjami podpalenia pojazdu z

paliwem i zamkniętym w środku kolegą. Przecież od dwóch tygodni panowała susza i pozbawiony choćby odrobiny wilgoci materiał z powodzeniem mógł zająć się ponownie. Skruszony szarpną za klamkę i otworzył drzwi do obitej grubą blachą budy. Przechylił się, zajrzał do środka i ze zdziwieniem na twarzy odezwał się do stojących obok falowców:

- Nie ma Paślawskiego!
- Nie ma? - zdziwił się Pindel. - Pewnie ktoś go wypuścił! Na pewno Szulim z Nowickim, bo przecież szli w tę stronę.
- No, to teraz mamy przejebane! - odezwał się Kaczmarek. - Ciekawe, co im powiedziało? Co za dzień, co za dzień! - labiedził.

Rzeczywiście, lato tego roku było nadzwyczaj upalne. W południe nawet ptaki jakby trochę ciszej ćwierkały, komary ulatywały na mokradła, dziecięcy cicho siedziały w swych dziuplach, zając zaś kryły się w wysokich trawach. Kiedy słońce zbliżało się do zenitu, życie w lesie zdawało się zamierać. Trwająca dwa tygodnie susza doprowadziła do takiej utraty wilgotności w runie leśnym, że najmniejsza iskra mogła spowodować trudny do opanowania pożar. Z tego powodu w bojęcińskiej jednostce zakazano palenia papierosów w strefie porośniętej lasem iglastym. Do przestrzegania tego zakazu w żadnej mierze nie poczuwał się mój Wybawca, który był cywilem i gwizdał na wszystkie wojskowe polecenia. Zwłaszcza, jeśli pochodziły od, z jego punktu widzenia, byłego dowódcy jednostki. Skoro wokół znajdowała się cała masa suchych gałęzi, były zapalaki i czas, to nic nie stało na przeszkodzie, aby rozpaść ognisko i przysmażyć sobie kiełbaski, bo takie przecież smakują dużo lepiej niż surowe.

- Pij młody! - rzekł mój Wybawca ochryplym od przepicia głosem, wsuwając mi w dłoń musztardówkę do połowy wypełnioną bimbrem.
- Kiedy ja nie lubię nawet zwykłej wódki, a co dopiero samogonu! - zaprotestowałem i odstawiłem słoik na bok. - Nie wypiję!
- Chłopie, po ten samogon do mnie z Warszawy przyjeżdżają! - zachnął się mój Wybawca. Jeszcze chwila, a całkiem się na mnie pogniewa. - Na wesela biorą! Na chrzciny! A ty za swoje, psia jego mać, uratowane przeze mnie zdrowie się nie napijesz?!
- Napiję się - odrzekłem z rezygnacją. Wypadało przecież okazać jakąś wdzięczność za uwolnienie mnie z palącej się budy. Wziąłem do ręki musztardówkę, z obawą powąchałem, przymierzyłem się do przełknięcia łańcucha jednym łykiem i wlałem bimber do ust. Ogień w gębie! Pożar! Popić czymś! Popić!
- Ma sieknięcie, co? - rzekł pan Marian, to on bowiem był moim Wybawcą. - Nie ma popitki! Tylko ogórek kiszony albo ogórczaka.
- Ogórek... ogórek... niech będzie ogórek! - wykrztusiłem, wentylując usta hektolitrami powietrza. Po chwili wyczułem w dłoni wilgotnego kiszzonego ogórka. Ugryzłem go i natychmiast poczułem ulgę. Ten samogon musiał mieć więcej alkoholu niż spirytus! Pewnie przyprawiono go jeszcze pieprzem i papryką! Jak można pić takie świństwo?!

Palacz na widok mojej reakcji zanosił się śmiechem. Przecierał zażawione oczy i niewiele brakowało, a przewróciłby się na ziemię. Kiedy już się natrząsał do woli, ugryzł ogórka i spokojnie polecił:

- Kielbasy pilnuj, żeby się nie przypaliła.

Podszedłem do płonącego ogniska i wziąłem do ręki oparty o gruby pień kij, na którym znajdowały się dwie kiełbaski. Zbliżyłem je do ogniska i utrzymywałem tuż nad języczkami ognia, obracając kij tak, aby podpiekły się równomiernie ze wszystkich stron. Palacz tymczasem raczył się własnej roboty samogonem, świeżym zresztą, bo cała aparatura znajdowała się na miejscu, ukryta w tarze - blaszanym kontenerze służącym do przewożenia elementów wyrzutni raketowej. Obok tej tary przechodziłem wielokrotnie, gdy pełniłem wartę, i rzeczywiście wydawało mi się, że czuć od niej jakąś specyficzną woń. Nie intrygowała mnie aż tak, aby zaglądać do środka tary, bo przecież wokół rósł las i ten zapach mogły wydzielać jakieś kwiaty,

żywica, grzyby i czort wie, co jeszcze. Teraz wyjaśniło się dlaczego, mimo tak marnych zarobków, palacz cały czas chodził pijany.

- No, widzę, że Pan Marian tu niezły biznes rozkręcił - powiedziałem zauważysz w tarze kilka skrzynek z butelkami po wódce napełnionymi bimbrem. Musiało to iść na sprzedaż, nie wierzę, żeby wszystko wyprodukował na własny użytek.
- A tam, zaraz biznes - odpowiedział palacz. - Biznes to za duże słowo. Taki mały handelek szedł. Dobre to było. Znajomi z wioski brali. Nawet trepy ten samogon kupowały.
- Trepy kupowały? - zdumiałem się. - Z naszej jednostki?
- A czemu nie? Towar zawsze na miejscu, a dostawa prawie od ręki.
- A wiedzą, że pan Marian ma tę bimbrownię na strefie? - dopytywałem się coraz bardziej zdziwiony przedsiębiorczością i odwagą palacza.
- Nie wiedzą - odpowiedział - to znaczy, tylko jeden chorąży wie. Ja tylko jemu sprzedaję samogon, a on rozprawdza dalej. Dzisiaj wziął dwie flaszki, bo siedzą w świniarni i czekają, aż Szulim pojedzie. Pewnie będą chcieli jeszcze, bo co to dwie flaszki na tyle chłopa...

Palacz zamilkł i w bezruchu, z szeroko otwartymi oczyma patrzył w las. Musiał zobaczyć coś, co go przstraszyło, gdyż po chwili zerwał się z miejsca, przedarł przez zarośla i dopadł kontenera z aparaturą do produkcji samogonu. Zamknął wieko, przyrzucił kontener siatką maskującą i przysypał stertą zebranych z ziemi suchych liści. Natychmiast spojrzałem w stronę, gdzie dostrzegłem jakieś zagrożenie. Nikogo nie zauważyłem. Wszędzie tylko drzewa i krzaki. Czyżby palacz miał jakieś przywidzenia po tym bimbrem?

- Panie Marianie, o co chodzi? Przecież tam nikogo nie ma! - odezwałem się, nadal lustrując las spojrzeniem.
- Cicho! - zgromił mnie, wracając do ogniska. Usiadł na spróchniałym pniu drzewa i wskazał ręką. - Tam, w krzakach ktoś siedzi!

Popatrzyłem we wskazanym kierunku i rzeczywiście - pięćdziesiąt metrów od nas dostrzegłem jakąś postać kicającą za krzakiem jałowca. Ciekawe, kto to mógł być i po co tak kicał? Nie upłynęło więcej niż pół minuty, a człowiek zawołał:

- Panowie! Pomocy!

Palacz popatrzył na mnie zdeorientowany.

- Co się stało? - zawołał, chowając za pień flaszki z bimbrem.
- Papier mi potrzebny! - darł się jegomość zza krzaka. - Najlepiej toaletowy. Tyłka nie mam czym podtrzeć!
- Aha, papier! - roześmiał się palacz. - A to już największy problem, jak sranie dopadnie, a dupy nie ma czym podtrzeć!
- No nie ma, nie ma - zgodził się jegomość. - Nie zawsze noszę przy sobie.

Pan Marian włożył rękę do kieszeni i wyjął stamtąd zwitek różowego papieru toaletowego.

- Na szczęście mam! - powiedział z triumfem. - Do domu chodzę pięć kilometrów lasem i czasem tam mnie dopadnie, więc papier mam zawsze przy sobie. Zaraz go panu przyniosę!
- Z góry dziękuję!

Jegomość schował się cały za krzak jałowca, a pan Marian podszedł blisko i rzucił zwitek papieru.

- A później zapraszamy na kiełbasę z ogniska! - rzekł odchodząc. - Sami nie zjemy, a jeszcze z pół kilo zostało!
- Zaraz przyjdę, zaraz przyjdę - odpowiedział mężczyzna, głośno sapiąc.

Po minucie jegomość wychylił się zza krzaka, wstał i zaczął iść w naszą stronę. Widać było, że to jakiś trep w stopniu sierżanta. Dobrze, że nie oficer, bo taki to zaraz doniósłby komu trzeba, że palacz rozpałił tu ognisko. Z sierżantami można było się dogadać, byli przystępniejsi. Oficerowie mieli głowy w chmurach i zdawali się być stworzeni do wyższych celów. Sierżant zatrzymał się tuż przed nami i widząc płonące ognisko rzekł z przejęciem:

- Ludzie, czyście na głowę upadli? Przecież od tego ognia może wybuchnąć pożar! Chyba wiecie, jaka jest susza?!

Palacz z filozoficznym spokojem nadział na patyk kawałek kiełbaski i trzymając kij w lewej ręce prawą wyciągnął na powitanie do sierżanta.

- Marian jestem - przedstawił się. Podszedł do ogniska, pochylił się, dmuchną kilka razy w płonące drwa, które od razu buchnęły większym płomieniem i wyciągnął kij w stronę przybyłego mężczyzny. - Panie sierżancie, jaki pożar? Wszystko jest pod kontrolą. Jak służyłem w Marynarce, tośmy rozpalili grila na bocianim gnieździe i nic się nie stało! A co dopiero tu, gdzie tyle gaśnic dokoła!

Sierżant zdębiał. Nie rozumiał, jak można być tak nieodpowiedzialnym. Przecież ten cywil, kretyn, od którego cuchnęło dymem, mógł w każdej chwili wywołać pożar. Musiał szybko temu zapobiec! Odrącił podsunięty mu kij z kiełbaską i krzyknął gniewnie:

- Nie jestem żadnym sierżantem!

Podbiegł do ogniska i zaczął je rozkopywać nogami. Zauważywszy opartą o pień butelkę z jakimś płynem, odkręcił ją i wylał całą zawartość na ognisko. Jakież było jego zdziwienie, kiedy po tej operacji płomień buchnął na dwa metry w górę! Cofnął się przed gorącym, bezwiednie wypuścił z dłoni pustą butelkę i z rozdziawionymi ustami patrzył na buchające w górę płomienie.

- Patrz, co ten wariat robi! Kiełbasę ratuj, kiełbasę! - nie tracąc przytomności umysłu, wołał palacz.

Rzuciłem się w stronę ogniska i poderwałem oparty o pień kij, na którym piekły się nasze kiełbaski. Pomachałem nim w powietrzu, gdyż zaczął się już palić. Gdy płomienie znikły, przyjrzałem się nabitym nań kawałkom kiełbasy.

- Całkiem spalone, panie Marianie - rzekłem ze smutkiem i żalem w głosie.

- Sierść jebana! - zaklął palacz jadownicie. - Pół kilo podwawelskiej przez niego się zmarnowało! - był tak podenerwowany, że aż ręce mu się trzęsły. - Dawaj tutaj, może jeszcze będą się nadawać do jedzenia!

Twarz sierżanta przyjęła płaczący wyraz. Jakby coś go bolało albo uwierało. Nagle odwrócił się, przeskoczył pień i pobiegł w las, rozpinając pasek od spodni.

- Hola, hola... panie sierżancie, toć nie będziemy pana bić z tego powodu! - krzyknął za nim palacz niezmiernie zdziwiony strachliwością tego, wydawać by się mogło, gramotnego trepa.

- Wracaj pan tutaj!

Sierżant zatrzymał się na chwilę i odpowiedział jednym - wyjaśniającym wszystko - słowem:

- Sraczka!

Palacz zapytał domyślnie:

- A papieru trza?

- Jeśli można?!

Chwilę później podoficer wrócił do ogniska. Tym razem nie rzucał się i nie mędrkował jak poprzednio, gdyż zdawał sobie sprawę, że pan Marian poratował go już dwa razy w pilnej potrzebie, a może zdarzyć się, że będzie potrzebował tej pomocy i po raz trzeci. Palacz na widok żołądkowej męki sierżanta puścił w niepamięć owe pół kilograma zmarnowanej podwawelskiej i zaczął okazywać mu współczucie.

- Sraczka to jest przejebana sprawa! - mówił z powagą i głębokim przekonaniem. - Człowiek ani na krok nie może się ruszyć. a jak go dopadnie w mieście... a już najgorzej w autobusie i kierowca nie chce się zatrzymać... Trza robić w pory, i już!

Sierżant słuchał jego wywodu i cały czas przytakiwał. Cieszył się, że znalazł bratnią, rozumiejącą go duszę. Kiedy mu się przyglądałem, wydawało mi się, że już go kiedyś widziałem, chyba nawet niedawno! Nie mogłem sobie przypomnieć gdzie, gdyż w wojsku przeszła mi przed oczyma cała masa ludzi. Postanowiłem zapytać go o to później.

- Moje wesele z Maryską właśnie przez szcawkę kompletnie się nie udało! - kontynuował pan Marian. - Po bigosie staropolskim wszyscy dostali okropnej biegunki, a że kibel w remizie był tylko jeden, to się goście do domów rozjechali! Może to i na dobre wyszło, bo wódki weselnej zostało tyle, żeśmy ją z teściem non stop przez trzy tygodnie pili! - tu palacz uśmiechnął się szeroko na wspomnienie dobrych czasów.
- No, biegunka to bardzo nieprzyjemna dolegliwość - potwierdził podoficer. - Ja swoją koszulę osrałem, więc założyłem bluzę jakiegoś sierżanta, co leżała przy radarze. Też śmieszna sprawa. Później mu oddam, bo przecież nie będę goły chodził! - powiedział, rozpinając guzik w bocznej kieszonce rzeczony bluzy. Wyjął jakieś dokumenty i paczkę papierosów. - O, jest prawo jazdy! - rzucił okiem na dokument i powiedział: - To sierżanta Nowickiego. Nawet go znam!

Pan Marian rozejrzał się dokoła i konfidencyjnie szepnął:

- Ale ja mam lekarstwo na tę, jakżeś to pan rzekł, "biegunkę". Wypróbowane!
- Węgiel drzewny? - spytał sierżant z ironicznym uśmiechem. - Wziąłem już, ale nie pomogło.
- A tam, węgiel! Coś lepszego!
- Co takiego?
- A nie powiesz pan nikomu?
- Jak mnie to wyleczy, to, choćby mnie mieli żywcem posiekać, nie powiem!

Palacz wstał, minął ognisko i wszedł w krzaki. Rozchylając gałęzie, szybko szedł prosto ku blaszanemu kontenerowi. Dotarłszy do niego, zrzucił zeń siatkę maskującą i otworzył boczne drzwiczki. Z odległości kilkunastu metrów widzieliśmy całą mieszczącą się w kontenerze aparaturę do produkcji bimbrowa oraz kilka skrzynek załadowanych butelkami. Pan Marian wyjął z najbliższej skrzynki jedną butelkę i szybko wrócił do nas.

- To najlepsze lekarstwo na wszelkie choroby żołądkowe - powiedział, z rozmachem siadając na pniu. Zbliżył butelkę do ust, ucałował ją, i z wyrazem rozanielenia w oczach dokończył: - Bimber z agrestu.

Sierżant ze zdumienia szeroko otworzył oczy. To co zobaczył wprawiło go w takie osłupienie, że nie wiedział jak zareagować. Z jednej strony nie mógł przecież pozostać obojętny wobec procederu pędzenia bimbrowa na terenie jednostki wojskowej, z drugiej - między nim a palaczem wytworzyła się specyficzna więź oparta na wdzięczności za pomoc, współczucie i zrozumienie. Jednakże poczucie obowiązku i odpowiedzialność wzięły górę nad ludzkimi uczuciami. Sierżant wstał z pnia, wygładził bluzę i wsadziwszy kciuki za pas odezwał się tonem służbisty:

- Ja tego tolerować nie mogę! Rozumiem ognisko, rozumiem kielbaski na gorąco... nawet jeśli jest susza... ale bimbrownia w samym sercu wizytowej jednostki Wojsk Obrony Powietrznej Kraju?! To jakaś parodia! - nabrał powietrze w płuca i wołał dalej: - Co ja za bzdury mówię! Nie parodia, tylko kryminał! To sprawa dla prokuratora! A nawet dla Sądu Wojennego! - krzyczał w zapamiętaniu. - Ale ja zaraz zrobię z tym porządek! - zachwiał się, gdy pod jego lewą nogą pękł patyk. Próbując złapać równowagę, machał rękoma i krzyczał dalej: - Zrobię z tym porządek! Daję na to słowo of... of ... - noga podjechała mu na gałęzi i runął jak długi!
- Ofermy - dokończył za niego flegmatycznie pan Marian.

Podoficer natychmiast zerwał się z ziemi i pognął w krzaki, i tym razem w biegu rozpinając spodnie.

- Papieru trza? - rzucił za nim palacz.
- Jeśli można?!

Niespełna pięć minut później narwany sierżant znów siedział przy ognisku. Najwidoczniej jego dolegliwości nasiliły się, gdyż cały czas głośno sapał i trzymał się za brzuch.

- No i po co te nerwy? - mówił pan Marian, otwierając flaszkę z samogonem. - Bimberku się pan napije, to zaraz i nerwy, i biegunka przejdą jak ręką odjął. Wiem co mówię, bo nie raz już tak się kurowałem!

Sierżant aż jęknął od jakiegoś bolesnego skurczu w jelitach. Wziął głębszy oddech i machinalnie wyciągnął rękę po musztardówkę, do której palacz właśnie nalewał bimber.

- Panie Marianie - odezwał się potulnie. - Daj pan tej samogony, bo mnie ta biegunka całkiem wykończy... Co tam bimbrownia w jednostce, zdrowie jest najważniejsze.
- O to chodzi - mówił palacz, podając mu musztardówkę z niezawodnym remedium na wszelkie żołądkowe dolegliwości. - Pewnie pan nie uwierzy, ale ja tę bimbrownię właśnie w celach zdrowotnych otworzyłem.
- Jak to?
- Nogi muszę oszczędzać, bo reumatyzm mam, a najbliższy sklep monopolowy jest pięć kilometrów stąd - wyjaśnił. - A reumatyzmu to się w Marynarce nabawiłem.
- Aha - odezwał się sierżant, podnosząc do ust musztardówkę. - No to siup w ten głupi dziób! - wysilił się na żart i jednym haustem wypił cały znajdujący się w słoiczku samogon.

Jego oczy zrobiły się okrągłe jak pięcioletówki, policzki wydeły się, a twarz poczerwieniała od napływającej krwi.

- Aaach! - zawołał, podrywając się z pnia. Oszołomiony mocą bimbru zatoczył się, wyciągnął przed siebie ręce i wołał. - Ogień to chyba.... uch... uch... albo czysty spirytus... uch... popitki, popitki!

Palacz podsunął mu słoik z korniszonami, żeby wybrał sobie ogórka ze środka, lecz sierżant, chcąc jak najszybciej ugasić wyciskające łyżki pieczenie podniebienia, złapał słoik oburącz i łakomie wypił całą ogórczanekę.

- Uff - stęknął skończywszy. - Mocna ta księżycowa!
- A pewnie, że tak! - rzekł pan Marian. - Ja byle czego nie robię! Po ten bimber to do mnie nawet z Warszawy przyjeżdżają.
- Mocne, mocne - potwierdzał sierżant, głośno wciągając powietrze. - Ale rzeczywiście leczy, bo bóle od razu przeszły! - otworzył boczną kieszeń i wyjął z niej paczkę papierosów. - Wprawdzie nie moje, ale sierżant na pewno się nie pogiewa, jak mu dwa papierosy wezmę - spojrzał na mnie i sprostował: - Trzy.
- Ja nie palę - odezwałem się. - Na szczęście się nie nauczyłem.
- To i dobrze, to i dobrze - mówił, częstując pana Mariana papierosem. - Ja dwie paczki dziennie wypalam - wstał z pnia i rzekł: Przepraszam, że się na wstępie nie przedstawiłem... - przerwał widząc, że pan Marian intensywnie czegoś wypatruje w krzakach. Podążył za jego wzrokiem, ale nie zauważywszy nic szczególnego kontynuował: - Otóż pewnie się panowie zdziwicie - zauważyłem, że wymawiając słowo "panowie" popatrzył na mnie z wyraźną niechęcią. - Bo pewnie moje nazwisko będzie wam dobrze znane. Otóż nazywam się Szul...
- Patrz pan! - palacz przerwał mu w pół zdania. - Ktoś tam idzie, czy tylko mnie się wydaje?
- Gdzie?! - niespodziewanie głośno krzyknął sierżant. W jego zachowaniu dostrzegłem objawy silnego podenerwowania i niepokoju. Prawdopodobnie obawiał się, że zostanie nakryty na picciu bimbru z palaczem i szeregowym żołnierzem, co w przypadku tak wysokiej, podoficerskiej szarży mogło oznaczać całkowitą kompromitację.
- Tam! - pan Marian wskazał biegnącą przy ogrodzeniu ścieżkę. Rzeczywiście, między pniami drzew prześwitywała postać idącego szybkim krokiem żołnierza. Szybko i zdecydowanie zmierzał w naszym kierunku. Sierżant rozpaczliwie rozejrzał się na boki, postawił na ziemi słoik z korniszonami, wrzucił papierosa do ogniska i już zrobił kilka kroków w stronę najbliższej kępy krzaków, kiedy palacz złapał go za rękę.
- Nie trzeba uciekać - rzekł do niego uspokajającym tonem. - To chorąży Kotarbiński. Swoją chłop! On wie o tej bimbrowni.

Podoficer wcale nie wydawał się być uspokojony takim wyjaśnieniem. Panika malowała się na jego twarzy.

- Puszczaj pan! - zawołał, oswobadzając ramię z uścisku palacza. - Muszę iść, bo mam huk roboty!

Niestety było już za późno, gdyż chorąży, dostrzegłszy palacza i dwóch ludzi obok niego, najpierw przyspieszył kroku, a później zaczął biec. Już po kilku sekundach był przy nas. Zdjął połowę czapkę, przetarł chustką spocone czoło i z szerokim uśmiechem na twarzy wyciągnął do palacza rękę na powitanie.

- Dzień dobry panu! - powiedział. Popatrzył na ognisko, patyki z nadzianymi nań kielbaskami, flaszkę z bimbrem i słoik korniszonów rzekł. - Widzę, że pan Marian rozkręcił imprezę na całego!
- A tam, zaraz imprezę - odezwał się palacz, ściskając jego rękę. - Miała być impreza, ale wyszło pogotowie ratunkowe.
- Pogotowie? - zdziwił się chorąży.
- No tak! - potwierdził palacz. - Jednego wyciągnąłem z palącego się agregatu, a drugiego wyleczyłem ze sraczkii.
- Aha, to takie pogotowie! - roześmiał się chorąży. Podszedł do sierżanta i przywitał się z nim.
- Chyba gdzieś już pana widziałem... - rzekł, przyglądając mu się uważnie. - Nie w Olchownicy przypadkiem?
- Możliwe. Ja właśnie z Olchownicy jestem. - odpowiedział podoficer z wyrazem zakłopotania na twarzy. - Z żywnościówki - dodał.
- A jak nazwisko?
- Puł... - tutaj podoficer zakrzuszył się czymś, zakasłał i dokończył: - Sierżant Szul... Szulkowski.
- Chorąży Kotarbiński - przedstawił się przybyły trep.
- Bardzo mi miło.
- Mnie również.

Chorąży Kotarbiński znany był z tego, że lubił popić. Nie wiedzieć skąd, potrafił w ciągu paru minut załatwić flaszkę. Usługi takie świadczył w dni powszednie dla trepów, a od święta także dla służby zasadniczej. Oczywiście teraz, kiedy okazało się, że współpracuje z palaczem, który zainstalował na strefie sprzęt do produkcji bimbrowi, szybkość i skuteczność Kotarbińskiego w wywiązywaniu się z takich zleceń nie dziwiła. Do tej pory nikt nie wiedział o źródłach, z których korzysta. Jednak teraz, kiedy dwie osoby poznały tajemnicę, chorąży mógł obawiać się zdemaskowania i utraty dodatkowego dochodu po zlikwidowaniu bimbrowni. Dlatego też w obecności nieznanego trepa z Olchownicy zdecydował się nie poruszać tego tematu i udawać, że o niczym nie wie. Z kolei ostatnią rzeczą, na której zależało panu Marianowi - świadomemu, że to jego ostatni dzień w bojęcinie jednostce i już niczym nie ryzykuje - było zachowanie dyskrecji w tej sprawie. Toteż gdy chorąży usiadł na pniu i wdał się w rozmowę z sierżantem, przytępiony spożytym alkoholem palacz podszedł do niego i wypalił z grubej rury:

- To co? Po ten bimberek dla kadry w świniarni pan przyszedł?
- Bimberek? - rzekł chorąży niepewnie. Uważnie popatrzył po naszych twarzach i niemal szeptem zapytał: - A jeszcze jest ?
- Co się pan chorąży tak głupio pyta? - zdziwił się palacz. - Wiadomo, że jest! Ile trzeba?
- No, tak z dziesięć flaszek - odpowiedział Kotarbiński. - Ale na kredyt, bo gotówki przy sobie nie mam.
- Ze mną jak z dzieckiem. Zawsze można się dogadać - zażartował pan Marian i chwycąc się na nogach wskoczył w krzaki, kierując się do swojej fabryki napojów wysokowych.

Tymczasem sierżant żywo zainteresował się tym, co przed chwilą powiedział chorąży.

- Nie macie gdzie wody pić tylko w świniarni? - zwrócił się do Kotarbińskiego. - U nas w Olchownicy, jak nie ma co robić, to w kantynie pijemy! - zaciągnął się papierosem i lekceważącym tonem dodał: - A wy tu w Bojęcinie po świniarniach się chowacie...
- To tylko dzisiaj, bo Szulim na kontrolę przyjechał - wyjaśnił chorąży. - Na co dzień to wiadomo - jak dowódcy nie ma, to pijemy w kantynie, a jak jest, to w którejś kancelarii.
- Tak się tego pułkownika Szulima boicie? - dopytywał się sierżant.

- Lepiej mu w oczy nie wchodzić, bo jeszcze się do czegoś przyczepi - mówił Kotarbiński, spoglądając w krzaki. Widział jak palacz zamyka kontener i z plastikową skrzynką wraca do ogniska. - Dlatego lepiej się przed nim schować do świniarni, bo tam nigdy nie trafi.

Z krzaków wyłonił się pan Marian. Położył na ziemi skrzynkę z kilkunastoma butelkami bimbru i powiedział:

- Jest dwanaście flaszek!

Podniósł z ziemi słoik z korniszonami, przechylił go, wyjął ogórka i usiadł na pniu.

- Promocja dzisiaj taka - dodał smutnym tonem.
- Dziękuję panie Marianie! - zawołał chorąży z zachwytem.
- Nie ma za co - odpowiedział palacz, gryząc ogórka. - Skrzynkę też można wziąć. Niepotrzebna mi.
- Dziękuję, dziękuję - mówił chorąży. Popatrzył na mnie i rzekł: - Młody, pomóż mi zanieść tę skrzynkę, bo popiłem i boję się, że gdzieś się wywrócę. Pomożesz?
- Nie ma sprawy, pomogę - odpowiedziałem i podniosłem z ziemi plastikową skrzynkę.
- Idziemy! - zarządził Kotarbiński.

Sierżant siedział na pniu i intensywnie nad czymś myślał. Widząc, że zbieramy się do odejścia, złapał swoją zwiniętą w rulon, niebieską koszulę i pobiegł za nami.

- Pan chorąży zaczeka! - wołał - ja mam transport dopiero za trzy godziny. Może i ja się załapię na tę imprezę w świniarni?
- A chodź pan! - zgodził się Kotarbiński.

Chorąży poprowadził nas skrótem przez las. Sierżant, który szedł za mną, cały czas głośno sapał. Widocznie nie był przyzwyczajony do marszu w takim tempie, gdyż zostawał w tyle i co chwila do nas podbiegał. Idąc leśną ścieżką, mineliśmy wysokie, usypane z ziemi wały otaczające strzelnice, magazyn rakiet, który widziany z tyłu wyglądał jak wysoki nasyp, oraz zapomnianą, zarośniętą krzakami wiatę samochodową. Przeszliśmy przez dziurę w ogrodzeniu i pomaszerowaliśmy w kierunku prześwitującej między drzewami polanki.

Świniarnia znajdowała się na polanie i była prymitywnym, przypominającym budowlany barak, budynkiem z szarych pustaków. Pokrywał ją dach ze szerniałych od deszczu i starości płyt eternitu. W niektórych miejscach sterczały z niego kępki mchu i trawy, a obok czarnego, okopconego komina wyrastała półtorametrowa brzoźka. Na widocznej dla nas ścianie budynku znajdowało się jedno małe okienko z wybitymi szybami. Przez uchylone, zbite z grubych desek drzwi dochodził gwar rozmów, przytłumiony śpiew oraz dźwięki muzyki, prawdopodobnie puszczanej z radia. W przylegającym do budynku, ogrodzonym płotem z desek, wybiegu dla świń na trawie leżał odwrócony do nas plecami jakiś żołnierz.

- To tutaj! - rzekł Kotarbiński.

Sierżant, widząc świniarnię i słysząc dobywające się z niej odgłosy, zagwizdał z podziwem i pokręcił głową.

- Siedzą, piją lulki palą. Tańce hulanki swawola. Ledwie karczmy nie rozwałą. Ha ha ha, hi hi hi. Hejże, hola! - wyrecytował i nie wiedząc czemu splunął z obrzydzeniem na ziemię: - Ano zaraz potańcujęm jeszcze! - dodał.
- Widzę, że po bimberku pan sierżant fażę złapał - powiedział chorąży, zbliżając się do drzwi. - No i prawidłowo, ale z tańczenia to nici, bo kobiet nie ma.

Sierżant mruknął pod nosem cicho, aby nie dosłyszał go Kotarbiński:

- Nie potrzeba kobiet. Zbójnickiego z wami zatańczę!

Chorąży mocno pchnął drzwi, które ze skrzypem zawiasów otworzyły się do środka. Przystąpiliśmy wysoki betonowy próg i znaleźliśmy się w świniarni. Pierwsze co przykuwało uwagę zaraz po wejściu to niesamowity fetor panujący w tym małym pomieszczeniu, które niegdyś służyło do hodowli świń i najwyraźniej całkowicie przeszło smrodem odchodów. W środku panował zaduch, gdyż przez okienko dostawało się zbyt mało powietrza, jak na zgromadzoną tutaj, kilkusobową grupę ludzi. Z góry, od

nagrzanego przez promienie słonecznie eternitu bił żar. Komuś, kto dopiero co wszedł, mogło się wdawać, iż przy panującym na dworze prawie trzydziestostopniowym upale niemożliwością jest wytrzymać w tym smrodzie. Jednakże zmysł powonienia, przytępiony dodatkowo pitem od rana alkoholem, nie wyczuwał już unoszącej się w powietrzu cuchnącej woni. W świniańni znajdowało się około ośmiu trepów. Sami sierżanci i chorążowie. Nie zauważyłem wśród nich żadnego oficera. Zdecydowana większość skupiła się wokół małego stolika, na którym stało parę butelek po wódce, kilka napoczętych puszek z piwem, otwarty słoik z rolmopsami i paczka papierosów. Siedzieli za stolikiem na dwóch chwiejących się ławach i grali w karty, głośno rozmawiając i wybuchając od czasu do czasu rechotliwym śmiechem. Dwóch trepów stało w rogu pomieszczenia i rozprawiało o czymś ze śmiertelnie poważnymi minami, zgodnie sobie przytakując. Tylko jeden sierżant znajdował się zupełnie na boku. Sprawiał ważnie nieobecnego, gdyż ze spuszczoną, opartą na piersi głową, tępym wzrokiem gapił się w jakiś trudny do zlokalizowania punkt. Widocznie wypił ponad miarę. Tuż obok niego bezładnie leżał na ziemi stary akordeon. Przez małe, uchylone drzwiczki widać było rozrzucone nogi jakiegoś trepa, który dotąd spoczywał na lewym boku, a teraz przekręcił się na brzuch jakby przybierał pozycję strzelecką. Na parapecie okienka stał wysłużony radiomagnetofon "Kasprzak" przyniesiony tu pewnie z sali dowódcy warty, gdyż tylko jeden taki mieliśmy w jednostce. Leciła z niego głośna rockowa muzyka, na którą zebrane towarzystwo nie zwracało najmniejszej uwagi. To ciemne pomieszczenie rozświetlała zwisająca z sufitu, słaba, chyba zaledwie czterdziestowatowa, żarówka. Niemalże całkiem brązowa, tak ja muchy obsrały więc, dobrze oświetlała tylko znajdujący się pod nią stolik, dalej panował już półmrok.

Na widok wchodzącego do świniańni chorążego Kotarbińskiego jeden z grających w karty trepów zerwał się z ławy i podbiegł do drzwi.

- Ech, Kotarbiński, Kotarbiński! – witał go wylewnie. - Ciebie po wódkę, to jak po śmierć posłać! - złapał go pod ramię i pociągnął do stolika. - A bimber gdzie?

Chorąży wskazał palcem na trzymaną przeze mnie skrzynkę.

- Dwanaście flaszek! – rzekł, ocierając rękawem pot z czoła. - Powinno wystarczyć, co?

- Dawaj tutaj tę samogonę! - odezwał się inny trep. Rzucił na stół trzymane w rękę karty i skinął na mnie. - Połóż no, młody, tę skrzynkę na stoliku.

Niedbałym machnięciem ręki usunął z blatu kilka puszek po piwie, które z brzękiem potoczyły się aż pod ścianę. Podszedłem do stolika i umieściłem skrzynkę we wskazanym miejscu.

- Skąd ty, Kotarbiński, bierzesz ten bimber? - dopytywał się sierżant Karczewski z warsztatów samochodowych. - Piętnaście minut i już jest dwanaście flaszek! Pewnie od jakiegoś chłopca w Mariewie?

- To tajemnica handlowa! - odpowiedział dyplomatycznie chorąży. - Nie ujawniam swoich źródeł! - roześmiał się sztucznie.

- A czy tajemnicą jest też to, kogoś tu przyprowadził ze sobą? - pytał Karczewski, badawczo przyglądając się przybyłemu z nami sierżantowi. - Bo tak jakbym znał już skądś tę gębę, ale nie mogę sobie przypomnieć skąd!

Sierżant podszedł do niego pewnym krokiem i wyciągnął rękę na powitanie.

- Szulkowski jestem! - przedstawił się. - Z żywnościówki w Olchownicy.

- Z żywnościówki? - zainteresował się Karczewski. - A ja znam tamtejszego szefa żywnościówki! - zawołał z entuzjazmem w głosie. - Zaraz, zaraz. Jak on się nazywa? - złapał się za czoło i usiłował sobie przypomnieć.

- Gołębiewski! - podpowiedział sierżant. - Taki łysawy i tęgi.

- A tak, tak. Faktycznie, Gołębiewski! - potwierdził sierżant z samochodówki. - I co tam u niego słychać?

- Co słychać? - zastanawiał się przybyły z nami podoficer. - Ano wszystko w porządku. Dziecko mu się urodziło - syn! Mieszkanie kwaterunkowe w Warszawie na Bemowie dostał. Rodzina z Kanady się do niego odezwała i co tydzień paczki mu śle. Na angielski się zapisał, bo to teraz na czasie. Samochód w jakimś radiowym konkursie wygrał i jeździ nim do pracy. Na Majorce poznał jakiegoś generała, wyrobił sobie kontakty i podobno mają go przenieść do Sztabu Generalnego.

Karczewski zagwizdał z podziwem.

- No patrzcie, jak to się opojowi powiodło! - pokręcił głową z niedowierzaniem. - A do niczego się nie przyznaje, bo wczoraj byliśmy na piwie i jakiś taki markotny cały czas siedział.
- To przez kielbasę - wyjaśnił sierżant.
- Jak to? Zatrul się?
- Nie. Kontrola w żywnościówce wykazała, że w magazynie brakuje czterdzieści kilo kielbasy. No i teraz się głowi, jak to wytłumaczyć.
- A, to tylko to! - machnął ręką Karczewski. - Da sobie radę! Nie z takich opresji musiał wychodzić!
- Oj tak, tak! - potwierdził sierżant. - Gorzej bywało. Gorzej!

Chorąży krzyknął do dwóch trepów, którzy stali pod ścianą i rozmawiali z ożywieniem:

- Hej! Co tam tak gadacie? Chodźcie tutaj! Mamy delegację z Olchownicy! - wołał otwierając butelkę z bimbrem. - Trzeba godnie podjąć gościa! - roześmiał się rozlewając samogon do stojących na stoliku kieliszków i musztardówek.
- Skąd, skąd? - pytał jeden z trepów, patrząc spode łba na przybyłego gościa. Podchodząc do niego, stanął na zgniecionej puszcze po piwie. Poślizgnął się na niej i stracił równowagę, ale na szczęście oparł się lewą ręką o ścianę, dzięki czemu nie runął. Idąc dalej chwiejnie do przodu, prawą nogą kopnął leżący na podłodze akordeon, który przewracając się na bok wydał z siebie przeciągły, żalony ton. Dźwięk ten obudził drzemiącego na taborecie grubego sierżanta. Chrząknął gwałtownie i zdziwionym wzrokiem potoczył dokoła, jakby nie kojarząc skąd się tu wziął. Widocznie jednak zaraz skonstatował, gdyż uspokojony podniósł z podłogi akordeon i, położywszy go sobie na kolanach, bawił się klawiszami, wydobywając z instrumentu przypadkowe i nieskładne melodie.
- Olchownica się kłania! - rzekł sierżant, witając się z pijanym mężczyzną, który przed chwilą nieomal wylądował na podłodze. - Szulkowski jestem.
- Rudkowski. Chorąży Rudkowski - przedstawił się trep. Pochylił się nad stolikiem po musztardówkę z bimbrem i wręczył ją sierżantowi. Obróciwszy się dokoła, aby każdy go usłyszał, krzyknął głośno: - Panowie! Pijemy za Olchownicę!
- Za Olchownicę! - zawołało zgodnym chórem zebrane w świniańni towarzystwo.

Po toście wszyscy jak jeden mąż rzucili się do popitki. Jedni popijali piwem, inni coca-colą. Wszyscy zgodnie twierdzili, że tak mocnego samogonu jak świat światem nie pili.

- Ja byle czego nie przynoszę! - chwalił się Kotarbiński. - Bimber ten wytwarzany jest z agrestu według specjalnej receptury, której niestety ujawnić nie mogę!
- Dobrze, bo polskie! - podsumował krótko Karczewski.
- A toś dobrze trafił! Polskie, polskie jak nie wiem co! - potwierdzał Rudkowski, wciąż jeszcze nie mogąc złapać oddechu po wzniesionym toście. - Nie to co te, pozal się Boże, francuskie likiery! - to mówiąc, splunął demonstracyjnie na podłogę.

Spora dawka alkoholu, którą zawierał produkowany przez pana Mariana bimber, sprawiła, że bawiący się w świniańni trepi momentalnie się upili. Rozmawiali bez ładu i składu, przekrzykiwali się, każdy chciał powiedzieć swoje i nie słuchał drugiego. Od czasu do czasu któryś wybuchał śmiechem lub kłócił się o coś z kompanem. Tylko gruby sierżant wciąż siedział na taborecie i bawił się akordeonem. Widać było, iż ma wprawę w graniu, lecz zdrowo popił i stracił wycucie - w jego melodiach słychać było wyraźne dysonanse. W końcu założył na ramiona skórzane paski podtrzymujące akordeon przy klatce piersiowej, oparł się plecami o ścianę i cicho zaśpiewał:

O mój rozmarynie, rozwijaj się.
O mój rozmarynie, rozwijaj się.

Zamilkły rozmowy i wszystkie spojrzenia powędrowały w stronę grubego sierżanta. Początkowe zdziwienie szybko zastąpiła powszechna chęć zaśpiewania tej starej, wojskowej piosenki, która tak dobrze wkomponowała się w panujący nastrój. Dalej sierżant nie śpiewał już sam. Towarzyszył mu chór mocnych, męskich głosów:

Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej.
Zapytam się.

Kotarbiński podbiegł do okna i wyłączył brzęczące radio. Teraz w małym, ciasnym pomieszczeniu żołnierskie głosy zabrzmiały wyraźnie i gromko:

A jak mi odpowie: nie kocham cię,
A jak mi odpowie: nie kocham cię,
Ułani werbują, strzelcy maszerują,
Zaciągnę się,

Dalej śpiewali już z mniejszą mocą, gdyż nie wszyscy znali słowa następnej zwrotki. Powtarzali więc refreny, ale za to dwa razy głośniej.

Dadzą mi buciki z ostrogami.
Dadzą mi buciki z ostrogami.
I siwy kabacik, i siwy kabacik.
Z wyłogami.

W kolejnej zwrotce śpiew ucichł, ponieważ nikt, łącznie z grającym na akordeonie sierżantem, nie znał dalszych słów piosenki. Przez chwilę panowała cisza, lecz chorąży Rudkowski nie stracił rezonu. Prędko zdjął ze stolika skrzynkę z bimbrem. Szybko odstawił na bok stojące na nim butelki i jak tancerka w nocnym klubie żwawo wskoczył na stolik, wzbudzając tym wyczynem ogólne zainteresowanie. Zdjął bluzę i zastłoniwszy nią nogi zawiązał rękawy wokół bioder tak, że wyglądał jak stojąca w spódnicy kobieta. Jedną nogę wysunął do przodu, wypiął do góry tyłek i oparłszy na nim lewą rękę, prawą dłoń wysunął przed siebie łącząc kciuk i palec wskazujący jakby trzymał w nich niewidzialną pałeczkę. Skłonił się przed sierżantem-muzykantem i naśladując głos kobiety rzekł piskliwie:

- "Witaj Zosieńko" poproszę.

Sierżant roześmiał się głośno. Złapał akordeon i zaczął grać, a całe towarzystwo ochoczo zaśpiewało:

Przybyli ułani pod okienko,
Przybyli ułani pod okienko,

Pukają, wołają: "puść panienko!"
Pukają, wołają: "puść panienko!"

Sierżant wstał z taboretu, stanął w rozkroku i zaczął z jeszcze większą werwą grać na akordeonie, a wszyscy śpiewali:

Zaświecił miesięczek do okienka,
W koszulce stanęła w nim panienka.

Rudkowski, udając ową przestraszoną panienkę, przebierał nogami i zaświergotał sopranem:

O Jezu, a cóż to za wojacy?

Cała wiara odpowiedziała mu basem:

Otwieraj! Nie bój się, to czwartacy!

Rudkowski sopranem:

O Jezu! A dokąd Bóg prowadzi?

Wszyscy basem:

Warszawę odwiedzić byśmy radzi!

Wzięli głęboki wdech i zaśpiewali co sił w gardłach:

Gdy zwiedzim Warszawę, już nam pilno
Zobaczyć to stare nasze Wilno.

A z Wilna już droga jest gotowa,
Prowadzi prościutko aż do Lwowa.

Rudkowski przebierając nogami:

O Jezu, a cóż to za mizeria?

Cała kompania gromko:

Otwórz no, panienko! Kawaleria!

Przyszliliśmy napoić nasze konie,
Za nami piechoty pełne błonie!

Niewinna i wystraszona panienka na stoliku:

O Jezu! A cóż to za hołota?

Kawalerzyści:

Otwórz panienko! To piechota!

Wszyscy razem głośno:

Panienka otwierać podskoczyła,
Żołnierzy do środka zaprosiła.

Ten niemalże teatralny popis zakończyła salwa radosnego śmiechu. Trepi zadowoleni ze swojego występu rozlali do kieliszków i musztardówek następną kolejkę bimbru. Jeden tylko sierżant Szulkowski, mimo że wcześniej ze wszystkimi śpiewał stare wojskowe piosenki, teraz nie podzielał radosnego nastroju. Staął w

rogu, z nikim nie rozmawiał, nie przyjął samogony i intensywnie o czymś myślał. W rękę ścisnął swą jasnoniebieską koszulę i sprawiał wrażenie jakby się za czymś rozglądał. Wreszcie podniósł z ziemi kawałek szmaty i zaczął nim czyścić ciemnobrązową plamę widniejącą na jego koszuli. Raptem, kiedy tak całe towarzystwo raczyło się bimbrem i - ożywione śpiewaniem piosenek - rozmawiało głośno, drzwi do świniań otworzyły się z hukiem. Pojawiły się w nich dwie sylwetki, początkowo trudne do rozpoznania, gdyż wpadający przez drzwi snop dziennego światła raził oczy przyzwyczajone do panującego w pomieszczeniu półmroku. Szybko jednak okazało się, że to sierżant Nowicki i palacz - pan Marian. Pierwszy z nich zdecydowanie wszedł do środka i od razu wdał się w rozmowę z trepami, którzy obstąpili go dokoła, drugi natomiast skromnie pozostał w progu.

- Uważajcie, bo Szulim płacze się gdzieś na strefie! - mówił sierżant Nowicki. - Oprowadzałem go, ale zginął mi przy wiacie samochodowej, a razem z nim moja bluza! - mówił wyraźnie zirytowany. - Przyszedłem was przestrzec, bo może się tu przyplątać. Wrzeszczycie tak, że na pół kilometra was słychać!
- Dziękujemy za ostrzeżenie - odpowiedział Rudkowski, podając mu kieliszek z bimbrem. - Będziemy ciszej, ale - prawdę powiedziawszy - oprócz sierżanta z Olchownicy nie widzieliśmy w pobliżu nikogo.
- Sierżanta skąd? - Nowicki zrobił wielkie oczy.
- Z Olchownicy! - powtórzył Rudkowski.
- A co on robi w Bojęcinie?
- A ja wiem? Mówi, że jest z żywnościówki.

Wyraźnie zmartwiony Nowicki podrapał się po głowie.

- O ile wiem, z Olchownicy nikt do nas dziś nie przyjechał, ale licho wie.
- A zresztą, sam go zapytaj - rzekł Rudkowski, kierując wzrok w miejsce, w którym ostatnio widział sierżanta Szulkowskiego. Wszyscy automatycznie popatrzyli w tę samą stronę. Nie zobaczyli tam jednak swego kolegi z Olchownicy. Zamiast niego, za wyłożonymi butelkami stolikiem, na ławie z desek siedział szczupły mężczyzna w jasnoniebieskiej koszuli. Pomimo panującego półmroku, na jego pagonach dało się zauważyć szarą pułkownika. Z wyrazem stoickiego spokoju na twarzy palił papierosa i uśmiechając się ironicznie obserwował paniczną, pełną strachu reakcję kilku trepów. Strzepnął niedbale popiół z papierosa na podłogę i rzekł mocnym głosem:
- Sierżancie Nowicki. Może pan zabrać swoją bluzę. Dzięki niej przeprowadziłem nadzwyczaj wnikliwą kontrolę! - rzekł, wstając z ławy. Podszedł do miejsca, z którego widać było nogi leżącego na trawie trepa i dodał. - A papierosy odkupię panu w kantine.

Sierżant Nowicki miał minę, jakby zobaczył upiora.

- Toć to Szulim! - szepnął z przerażeniem w głosie.

Całą zgromadzoną w świniań kadrę zawodową ogarnęła panika. Starzy, doświadczeni żołnierze, a nie wiedzieli co ze sobą zrobić. Czy pozostać w świniań, czy w popłochu uciekać na zewnątrz? Patrzyli po sobie, nie potrafiąc podjąć żadnej decyzji. Nawet nie mieli pomysłu, jak się tłumaczyć przed pułkownikiem Szulimem, który na pewno nie omieszka zameldować o tym co widział samemu dowódcy brygady, a to na pewno skończy się dla nich wyjątkowo nieprzyjemnie. Sprawa była przegrana i lepiej było w ogóle się nie odzywać, nie tłumaczyć, żeby nie dolewać oliwy do ognia. Rzeczywiście, znaleźli się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Któż by się spodziewał, iż ten pułkownik Szulim, przed którym ukryli się w świniań, zupełnie przypadkowo odnajdzie ich tutaj w przebraniu sierżanta i na dodatek dla niepoznaki popije z nimi bimbrem i pośpiewa wojskowe piosenki? Kiedy tak stali zbici w kupkę, cicho szepcząc między sobą, pułkownik Szulim podszedł do leżącego na ziemi trepa. Pochylił się nad nim i mocno szarpnąwszy za ramię przekreślił na wznak. Tym razem to na twarzy Szulima pojawił się wyraz zaskoczenia. Patrząc z góry, rzekł do leżącego na ziemi żołnierza:

- Panie Kukciński! Rozumiem, że tak się mogą bawić sierżanci i chorążowie! - wykrzyknął zagniewany. - Ale oficerowi Wojska Polskiego nie przystoi chlać jak świnia!

Kukciński podniósł głowę i nieporadnie oparłszy się na łokciach, wbił błędny wzrok w pułkownika. Wyglądał, jakby przed chwilą dostał cios boksem rękawicą i wciąż nie mógł wyjść z oszołomienia. Otwierał usta, aby coś powiedzieć, ale nie wydobył z nich ani słowa. Pułkownik wyjął z kieszeni paczkę papierosów i podsuwając mu ją pod nos powiedział:

- Proszę się poczęstować poruczniku - podał drugą ręką zapalniczkę. - To chyba ostatni papieros w Bojęcinie.

Kukciński łypnął na niego ponuro.

- Ostatni? - potrząsał głową. - Dlaczego ostatni?

Pułkownik wyprostował się i popatrzył na niego z wyższością.

- Dziwi się pan, że po tym incydencie z pomalowaniem placu w czasie pańskiej służby, po rzuceniu mnie na głębę przez źle wyszkolonego wartownika z pańskiej Kompani Zabezpieczenia oraz po przyłapaniu pana na picciu bimbrowi w świniarni - to mówiąc pułkownik położył szczególnie nacisk na słowo "świniarni" - pańska kariera w Bojęcinie stoi pod dużym znakiem zapytania?!

Kukciński kompletnie zamroczony alkoholem milczał, nie wiedząc co powiedzieć. Wziął z ręki pułkownika papierosa i włożywszy go do ust usiłował odpalić zapalniczkę. Ponura mina karierowicza zdradzała, iż w jego głowie krążą teraz wyjątkowo nieprzyjemne myśli. Szulim pochylał się i położył obok niego paczkę Sobieskich.

- To na drogę - powiedział.

Porucznik rzucił na niego zaskoczone, niespokojne spojrzenie.

- Na drogę do Demowa - wyjaśnił Szulim. - Pociąg jedzie cztery godziny, a w Warszawie kosztują sześć pięćdziesiąt.

Nie czekając na odpowiedź Kukcińskiego, pułkownik odwrócił się i zrobił kilka kroków w stronę stojących przy otwartych drzwiach, przestraszonych trepów. Z tylnej kieszeni spodni wyjął swój sławny, czarny notes.

- Panowie, żeby nie było żadnych złudzeń, oświadczam, że wszystko co tu widziałem, zostanie potraktowane z całą surowością Regulaminu Dyscyplinarnego! - rzekł srogo. W jego ręce pojawił się długopis. - A teraz, po kolei nazwiska panów proszę!

Pułkownik Szulim spisał nazwiska wojskowych biorących udział w imprezie, schował notes do kieszeni i zdecydowanie ruszył w stronę wyjścia. W drzwiach minął się z palaczem, który na jego widok odskoczył do tyłu jak oparzony.

- Panie Marianie - zwrócił się do niego Szulim z udawaną surowością. - A pan po co tu przyszedł?

Palacz wyglądał na mocno zakłopotanego i dopiero po dłuższej chwili, pocierając dłonią kark, odparł:

- No, szczerze powiedziawszy, to po butelki na wymianę, panie pułkowniku.

Niespełna godzinę później cała druga bateria startowa siedziała za stolikami w świetlicy, oczekując na dowódcę jednostki. Nie było już tajemnicą, że Marszałkowską pomalowała młoda jesień z tego właśnie oddziału. Choć oficjalnie nie powiedziano, kto doniósł do oficera wychowawczego, ze swoich źródeł wiedzieliśmy, że był to ten młody, który wczoraj w nocy wydał nam farbę z magazynu. Misiek, dowiedziawszy się o tym, zaczął przeproszać za to, że wcześniej niesłusznie mnie posądzono. Nie gniewałem się, gdyż po przeżyciach w świniarni, oraz tych wcześniejszych - przy zainstalowanej na strefie bimbrowni, nabrałem do tej sprawy dystansu, zupełnie jakby upłynęło od tamtej pory ze sto lat. Znacznie bardziej obawiałem się kary, która nas spotka za idiotyczny numer z pomalowaniem placu apelowego. Każdy z nas zdawał sobie sprawę, że nie jest to zwykłe przewinienie, za które otrzymuje się standardową, przewidzianą przez regulamin karę. Za to co zrobiliśmy, można dostać solidną dostługę. Wydawało się nawet wysoce prawdopodobne, że zajmie się tym prokuratura wojskowa.

Wiele zależało od samego dowódcy jednostki. Wprawdzie pułkownik Tarasiak nie był człowiekiem drobiazgowym i przysmykał oczy na pewne detale, ale w tym konkretnie przypadku nie mogliśmy liczyć na pobłażanie, zwłaszcza że poniekąd sam pułkownik również padł ofiarą tego nieprzemyślanego czynu - musiał dziś jechać do dowódcy brygady i tłumaczyć się za niesubordynację swoich żołnierzy.

W świetlicy major Stobierski siedział za umieszczonym tuż obok telewizora stolikiem i nerwowo bębnił palcami po pokrytym czerwonym sukniem blacie. Co chwilę ze zniecierpliwieniem spoglądał na zegarek. Lada moment w świetlicy powinien pojawić się dowódca jednostki, aby przeprowadzić z nami krótką rozmowę na temat dzisiejszego wybruku. Wiedząc, że plac został pomalowany przez młodą jesień i dobrze znając zasady wnikania w fałę, major domyślił się, iż inicjatywa musiała wyjść od Miśka. Oczywiście otwarcie powiedział o tym tuż po wejściu do świetlicy. O dziwo, nasz dziad chyba już wcześniej przewidział taki bieg zdarzeń, bo siedział cicho, nie odzywał się i nie pokazywał po sobie lęku. Być może wynikało to z faktu, że fizycznie nie brał w tym udziału - cały czas przebywał w swojej sali - a co za tym idzie, jego wina mogła się okazać trudna do udowodnienia.

Czekając na dowódcę jednostki, oficer wychowawczy wypytywał nas o szczegóły przeprowadzonej nad ranem operacji. Interesowało go skąd wzięliśmy taką ilość farby, jak zdobyliśmy pędzle i o której godzinie zaczęliśmy malować plac. O ile uzyskał odpowiedzi na te czysto techniczne pytania, o tyle nie udało mu się dowiedzieć czegokolwiek o naszej motywacji. Nikt nie zamierzał zdradzać, że to był pomysł Miśka na pogrążenie nadętego karierowicza, porucznika Kukcińskiego. Zwłaszcza, że dziś wieczorem miała się odbyć długo przez nas oczekiwana obcinka, którą nasz dziad mógł odwołać, gdyby tylko coś zaczęło iść nie po jego myśli. Po długich minutach oczekiwania w atmosferze napięcia i przygnębienia usłyszeliśmy energiczne kroki na korytarzu. Wszystkie spojrzenia pobiegły w kierunku drzwi, które wkrótce otworzyły się do wewnątrz. Zadźwięczała źle zamocowana matowa szyba i w progu pojawiła się niska postać dowódcy jednostki, pułkownika Tarasiaka.

- Powstań! Bacność! - wydał komendę oficer wychowawczy.
Poderwaliśmy się z krzeseł, natychmiast przyjmując postawę zasadniczą.
- Siadać! - rozkazał dowódca jednostki.

Pułkownik w milczeniu, z gniewnym obliczem przeszedł przez świetlicę i zatrzymał się obok majora. Niemal w tej samej chwili w drzwiach stanęli dwaj żołnierze niosący pękaty, płócienny worek. Widząc ich Tarasiak rozkazał:

- Wywalić to!

Żołnierze rozwiązali worek i szarpnąwszy nim mocno w górę wyrzucili jego zawartość na podłogę. Oczom naszym ukazały się wypaprane w farbie ubrania robocze, które mieliśmy na sobie podczas malowania placu. W świetlicy rozeszła się woń farby olejnej.

- Pytam się, co to za burdel odpierdoliście rano z Marszałkowską?! - krzyknął pułkownik znienacka, nieomal podrywając mnie z miejsca. Tarasiak był wyjątkowo niskiego wzrostu, ale głos miał silny, pewny, nie znoszący sprzeciwu, wręcz stworzony do dowodzenia. Wydana przez niego komenda "Biegiem!" brzmiała zupełnie inaczej niż ten sam rozkaz wykrzyczany przez jakiegokolwiek innego trepa. Była niczym smagnięcie batogiem - podrywała do biegu, tak jak strzał z pistoletu wyrывa z miejsca oczekującego na sygnał startu sprintera. Człowiek biegł przed siebie ile sił w nogach, póki nie znikł z pola widzenia, dopiero wtedy przystawał, by złapać oddech.

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Siedzący tuż za mną Misiek schylił się i szepnął mi do ucha:

- Jaki tam burdel? Pięknie, falowo pomalowany plac, jak się patrzy.

Nie rozbawił mnie ten dowcip, gdyż naprawdę nie było mi do śmiechu. Zresztą nie tylko mi. Wszyscy moi falowcy mieli wyjątkowo posępne miny. Sposób, w jaki Tarasiak rozpoczął spotkanie, nie wróżył niczego dobrego.

- Pytam się, dlaczego to zrobiliście! - odezwał się tonem zimnym jak stal. Przeszedł kilka kroków i zatrzymał się przez stertą roboczych ubrań. Czubkiem buta dotknął jednej z bluz. - Tokarski! - krzyknął ostro.
- Jestem, panie pułkowniku! - zawołał nasz falowiec, błyskawicznie podrywając się z miejsca i stając na baczność.
- Chodź tutaj!

Tokarski sztywno niczym robot podszedł do pułkownika i przyjął przed nim postawę zasadniczą.

- Co tu jest napisane? - Tarasiak wskazał wykonany długopisem napis na kołnierzu bluzy.
- To moje nazwisko - odpowiedział nasz falowiec.
- Czyli to twoja bluza?

Tokarski rzucił krótkie, zdezorientowane spojrzenie w stronę Miska, jak gdyby oczekiwał instrukcji. Ten jednak patrzył gdzieś w bok.

- Moja - potwierdził falowiec.
- Co robiłeś o piątej rano na placu?

Zapadło milczenie. Pułkownik odwrócił się i założywszy ręce do tyłu odszedł od sterty śmierdzących farbą ciuchów.

- Nie będę się bawił w dochodzenie – powiedział, stając obok oficera wychowawczego. - Zajmie się tym major Stobierski - zmarszczył czoło i mówił dalej: - Sprawę skierujemy do Prokuratury Wojskowej. Póki co, ode mnie wszyscy dostają trzy tygodnie aresztu. Ze względu na brak ludzi na służby dwóch z was pójdzie do aresztu dzisiaj, dwóch kolejnych za trzy tygodnie i tak dalej. Wyjazdy na jakiegokolwiek przepustki i urlopy zostaną wstrzymane do czasu odbycia kary przez wszystkich.

Zapadła długa, przynębiająca cisza. Dopiero teraz, kiedy opadła kurtyna złudzeń, zdaliśmy sobie sprawę, że to nie jest tragikomiczna historia ze szczęśliwym zakończeniem. Już za kilkanaście godzin dwóm z nas ogolą do tysa głowy, każą wyjąć sznurówki z butów i zamkną ich w chłodnej, ciasnej celi. Pozostali będą cierpliwie czekać na swoją kolej. W tym czasie pojęcie wolności nabierze dla nas specyficznego wymiaru: wolność to garstka cywili przechodzących drogą obok bramy i rozległe łąki widziane zza ogrodzenia w pobliżu strzelnicy - jedyne oznaki istnienia cywilnego świata dostrzegane z perspektywy uwięzionego w jednostce żołnierza. I ta tęsknota - przerażająca tęsknota za błękitnym niebem nad głową, za rodziną i rodzinnym podwórkiem - która miała zdominować najbliższe miesiące. Wydawało się niemożliwe, żeby wytrzymać tak długo na tym ogrodzonym terenie, a do tego miało dojść jeszcze trzy tygodnie ancla.

Kiedy tak siedzieliśmy ze spuszczoneymi głowami, w panującą na świetlicy ciszę przez otwarte okna wdarł się zgrzyt otwieranej bramy. Najpierw jedno skrzydło, później drugie, następnie warkot silników samochodów, które wtoczyły się na teren jednostki. Po chwili usłyszeliśmy wydaną przez oficera dyżurnego komendę "dywizjon baczność!". Musiał przyjechać ktoś wysoki rangą, skoro oficer dyżurny wybiegł na plac przed bramą, aby postawić wszystkich w pion i złożyć meldunek przybyłej osobie. Major Stobierski podszedł do okna i odchyliwszy firankę spojrzął na plac. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- A to co, do cholery? - rzekł odruchowo, wychylając głowę przez okno. - Panie pułkowniku, proszę spojrzeć. Wygląda na to, że mamy ważnych gości.

Dowódca jednostki zbliżył się do majora i zerknął nad jego ramieniem na plac. W chwilę potem cofnął się gwałtownie i powiedział nerwowo:

- To ze sztabu WŁOP. Jeszcze tego nam brakowało!

Na korytarzu rozległ się tupot kroków biegnącego w stronę świetlicy żołnierza. Odruchowo spojrzeliśmy na drzwi, które gwałtownie się otworzyły. Stał w nich podoficer dyżurny. Zdyszany, zaczął się regulaminowo meldować. Pułkownik przerwał mu zdecydowanie:

- Panie kapralu, do rzeczy!

- Pomocnik oficera kazał przekazać, że przyjechał generał Dudziński z jakąś delegacją z NATO - wyrzucił z siebie kapral. - Pomocnik ustalił, że to w sprawie tych lotów dzisiaj rano.
- Jakich lotów? - zdziwił się Tarasiak.
- Faktycznie panie pułkowniku, dziś między siódmą a ósmą rano odbywały się w pobliżu jednostki jakieś ćwiczebne loty myśliwcami - poinformował go major Stobierski. - Nie wiem, jaki był ich cel. Oficer operacyjny z brygady niczego nie przekazał w tej sprawie.
- Rozumiem - odpowiedział Tarasiak. Poprawił czapkę na głowie i szybko skierował się ku drzwiom.

W ślad za nim, z wyrazem zaaferowania na twarzy, ruszył major Stobierski. Zanim wyszedł zwrócił się do stojącego obok drzwi kaprala:

- Podoficer, pilnuj ich tutaj. Mają się stąd nie ruszać! Zaraz wracam.
- W porządku, panie majorze! - kapral potakująco kiwał głową.

Gdy tylko oficerowie wyszli ze świetlicy, wszyscy jak jeden mąż rzuciliśmy się do okien. Wyglądając jeden przez drugiego, ujrzeliśmy na placu trzy czarne lanie na monowskich numerach. Obok stała kilkusobowa grupka wojskowych ubranych w stalowe mundury WLOP. Na spodniach jednego z nich, wzdłuż zewnętrznych szwów, ciągnęły się białe lampasy. Otaczali dwóch wojskowych w czarnych, na pewno nie polskich, mundurach. Widocznie ci dwaj stanowili delegację z NATO. Prócz wojskowych w pobliżu kręciło się kilku cywili w garniturach. Ci jednak nawet nie rozmawiali ze sobą, tylko uważnie rozglądali się na boki.

Misieki, widząc całą tę ekipę, zawołał:

- No, ja nie mogę. Delegacja z NATO! Większej paniki w tej jednostce nie pamiętam!

Siedzieliśmy w świetlicy i gubiliśmy się w domysłach, próbując odgadnąć, dlaczego do skromnej, zaszytej w puszczy jednostki w Bojęcynie przyjechała delegacja z NATO. Wprawdzie o wejściu do tej organizacji mówiło się wiele, jednak w sytuacji, gdy widziało się jak przestarzałym sprzętem dysponujemy, perspektywa ta wydawała się nierealna, a sam temat abstrakcyjny. Stąd też taka nagła, niezapowiedziana wizyta przedstawicieli NATO wywołała szok i wzbudziła nie lada sensację. W żaden sposób nie mogliśmy się domyślić, co ich tu sprowadziło. Wiedzieliśmy tylko tyle, że ma to związek z dzisiejszymi porannymi lotami myśliwców MIG29. Mimo, że nie interesowaliśmy się zbytnio historią Wojska Polskiego i jego obecną strukturą, każdy z nas jakąś tam część wiedzy o wojskowości posiadał. Chociażby z owej „Polski Zbrojnej”, którą zimą na warcie wkładaliśmy sobie do butów. I tak, Tokarski wiedział, że generał Dudziński jest zastępcą dowódcy Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej Kraju, a Rysiek Pindel gdzieś wyczytał, że kilka dni temu do Polski przybyła delegacja z NATO, której przewodził jakiś amerykański generał służący w lotnictwie. Niestety żaden z nas nie wiedział, jaki jest cel tej wizyty w Polsce, a już za żadne skarby nie potrafiliśmy odgadnąć, co sprowadza tego amerykańskiego generała w nasze skromne, bojęcińskie progi.

Przez okno widzieliśmy, jak delegacja prowadzona przez dowódcę jednostki udała się w stronę sztabu i po pół godzinie opuściła ten budynek, kierując się do kantyny. Twarze tych ludzi nie były spięte czy poważne, jak można by oczekiwać po tak wysokich szarżach. Wprost przeciwnie, wszyscy śmiali się i wyglądali na zadowolonych. Nawet wiecznie surowe i pochmurne oblicze pułkownika Tarasiaka stało się nad podziw pogodnie i wesołe. Zauważyliśmy, że major Stobierski odłączył się od grupki oficerów i szybkim krokiem zmierza w kierunku dywizjonu. Liczyliśmy na to, że zaraz przyjdzie do świetlicy i powie nam, czemu zawdzięczamy tę wizytę oraz co sprawiło wojskowych w tak dobry nastrój. Wkrótce major Stobierski wszedł do świetlicy.

- Nieprawdopodobne, nieprawdopodobne – mówił, śmiejąc się pod nosem i kręcąc głową z niedowierzaniem. Podszedł do umieszczonego centralnie stolika i położył na nim czapkę. Szerokim gestem poprawił włosy i patrząc na nas powiedział:

- Od kilku dni jednostki WLOP wizytowane są przez komisję z NATO. Przewodzi jej amerykański generał, były pilot, który brał udział w nalotach na Irak w operacji Pustynna Burza. Czy wiecie, dlaczego do nas przyjechali?
- Łamiemy sobie nad tym głowy odkąd ich zobaczyliśmy, ale nie mamy bladego pojęcia - odpowiedział Misiek, nie kryjąc, że zżera go ciekawość. - Wiec po co tu przyjechali?
- Otóż piloci amerykańscy w czasie nalotów na Irak rozpoznawali jednostki raketowe wroga po pomalowanych białą farbą krawężnikach. W ten sposób wstępnie namierzali obiekt. Dzisiejsze poranne loty wykazały, że - w świetle ich doświadczeń z Iraku - dywizjon w Bojęcinie jest najlepiej zamaskowaną jednostką wojsk raketowych w Okręgu Warszawskim, a może nawet w całej Polsce.

Poderwaliśmy się z krzesel i spoglądając na siebie wybuchnęliśmy gromkim śmiechem.

- Jak to? - wołał Misiek wymachując rękoma, aby ściągnąć na siebie uwagę majora. - To dlatego, że rano pomalowaliśmy plac i krawężniki?
- Właśnie dlatego! - odpowiedział oficer.

Zarzeliśmy ze śmiechu jak dzikie konie. Całe to zdarzenie wydawało się wręcz nieprawdopodobne. Splot wypadków z malowaniem placu, lotami myśliwców tuż nad ranem i wizytą generała z lotnictwa amerykańskiego sprawił, że czułem się jakbym uczestniczył w jakimś teatralnym spektaklu. Nie mogłem wyjść z podziwu, że - nawet w miejscu tak zapomnianym jak zaszyta w puszy jednostka wojsk raketowych - życie układa tak dziwne, dramatyczne i jednocześnie komiczne historie.

- Panie majorze - Misiek próbował przekrzyknąć śmiejące się, rozgadane towarzystwo. - Co z naszymi karami? Czy zostaną anulowane?
- Nie liczyłbym na to - oficer pokręcił przecząco głową. - Niezależnie od okoliczności poważnie zakłóciliście porządek, w pewnym sensie dopuściliście się przestępstwa - major zrobił kilka kroków w stronę wyjścia. - Ale o tym zadecyduje dowódca jednostki - otworzył drzwi, zatrzymał się w progu i dodał: - W związku z wizytą gości z NATO odkładamy tę sprawę do jutra.
- Czyli dziś jeszcze nikt nie jedzie do ancla? - pytał Tokarski.
- Tak jak powiedziałem, odkładamy to do jutra - rzekł oficer, zamykając za sobą drzwi.

Na świetlicy zapanowała euforia. Śmialiśmy się, podchodziliśmy jeden do drugiego i ściskaliśmy sobie ręce. Wszyscy w kółko powtarzali: "Niesamowite! Niesamowite!", komentując w ten sposób całą tę nieprawdopodobną historię. Na koniec Misiek dołożył jeszcze jeden pozytywny akcent. Stał na środku sali i zakomunikował:

- Dziś po capstrzyku w sali czyszczenia broni odbędzie się uroczyste obcięcie waszych kocich kit!

Rozległy się gwizdy, ktoś nawet zaczął klaskać. Wszystkich ogarnęło radosne podniecenie. Obcinka! Obcinka, na którą czekaliśmy od ośmiu miesięcy, w końcu się odbędzie! Hura!

Kilka minut po ogłoszeniu capstrzyku Misiek wraz z jesionami z dołu udał się do sali czyszczenia broni w celu przygotowania jej do Obcinki. Sala ta znajdowała się na samym końcu korytarza, dzięki czemu cały zabieg można było przeprowadzić w miarę dyskretnie. Nikt nie krył się przed wojskiem, lecz po co ryzykować, że ta wspaniała ceremonia zostanie przerwana przez kontrolującego porządku na dywizjonie oficera dyżurnego? Przed pójściem do sali czyszczenia broni Misiek na naszych oczach przygotował przyrząd, który miał mu posłużyć do przycięcia naszych długich na dwa kilometry, zapchlonych kit. Mianowicie złożył swój skórzany pas we dwoje i w miejscu zgięcia naciągnął nań siedem szlufek. Następnie poszedł do umywalni i zamoczył końcówkę pasa w wodzie. Na samą myśl, że już za parę minut dostanie się od swojego wielkiego i barczystego dziada na tyłek dwadzieścia cztery uderzenia takim pasem, aż ciarki przechodziły po plecach. Nie było jednak innego wyjścia, aby ze świata poniewieranych przez wszystkich kocurów przedostać się do świata wolnych od swych dziadów falowych żołnierzy. Po

prostu trzeba było ten ból znieść, gdyż ten kto nie dotrwał do ostatniego pasa, nie zostawał obcięty i przez dalszą część służby szedł regulaminowo. W związku z tym traktowano go prawie jak drewniaka.

Misiek kazał nam założyć wyłącznie piżamy, bez majtek pod spodem. Oczywiście to po to, aby ból na długo wrył w pamięć młodego żołnierza wspomnienie tej wielkiej chwili.

Kolejność podchodzenia do Obcinki nie była ustalona. Teraz - kiedy nasz dziad oznajmił, że jest już gotów - pomimo tak długiego oczekiwania na tę chwilę, niewielu chciało pójść na pierwszy ogień. Wiadomo przecież, że pierwszy dostanie największe cięgi, bo dziad będzie najmniej zmęczony. Z drugiej strony taki śmiałek będzie miał ten ból szybko za sobą, podczas gdy inni wciąż jeszcze w napięciu będą czekać na swoją kolej. Po krótkiej chwili wahania pierwszy zgłosił się Tokarski. Wstał z wozu, założył laczki i wyszedł z sali. Przez moment słychać było jak idzie korytarzem, a po minucie rozległy się mocne uderzenia pasem. Tokarski wrócił cały spocony i czerwony na twarzy. Prawą ręką masował pośladki. Nie krył, że czuje okropny ból, nie krył też, że jest szczęśliwy. Zdjął spodnie piżamy i pokazał nam tyłek. Na pośladkach widniały liczne czerwone pręgi, sińce i krwiaki. Na trzeźwo ból byłby trudny do zniesienia. Na szczęście, zgodnie ze zwyczajem, po zaliczeniu dwudziestu czterech pasów wypił szklankę wódki, co na pewno znacznie złagodziło cierpienie. Po Tokarskim ruszył następny, a po nim jeszcze jeden. Szło to bardzo szybko. Wszyscy chwalili się siniakami na tyłkach, jakby to były rany odniesione na polu walki. W końcu przysłała i moja kolej. Wyszedłem na korytarz i niemal pobiegłem do sali czyszczenia broni. Gdy otworzyłem drzwi, przywitał mnie Misiek wraz z dwoma jesionami.

- Masz slipy pod spodem? - zapytał jeden z nich.

- Nie mam - odpowiedziałem.

Misiek machnął kilka razy pasem w powietrzu i rozkazał:

- Kładź się na taboretach!

Położyłem się na czterech ustawionych obok siebie stołkach. Jeden jesion usiadł mi na udach, a drugi na plecach, aby osłonić nerki. Ktoś zaproponował, żebym wziął do ust ręcznik, aby nie przegryźć języka, ale odmówiłem. Zamykam oczy i zaczynają spadać na mnie ciosy. Potworny ból! Gwiazdy w oczach. Po kilku pasach mam ochotę się zerwać, bo chyba nie zniosę tego cierpienia. Po siódmym pasie nie czuję już pojedynczych ciosów, gdyż cały tyłek zamienia się w jeden wielki ból. Wszystko mi obojętnieje. Byle wytrwać do ostatniego pasa. Słyszę tylko trzask spadających razów, lecz ból ani nie słabnie, ani nie staje się silniejszy. Można wytrzymać. W końcu odliczający cały czas Misiek krzyczy: "dwadzieścia cztery!". Natychmiast ciosy przestają spadać. Żołnierze schodzą ze mnie. Wstaję i błędnym wzrokiem patrzę dokoła. Widzę Miska wyciągającego w moją stronę szklankę z wódką. Bez zastanowienia biorę ją i wypijam połowę, jakby to była zwykła woda. Chwila wytchnienia i wypijam drugą połowę. Teraz prawie nie czuję bólu. Odstawiam szklankę na stolik i idę do drzwi. "Wołaj następnego!" - krzyczy Misiek. Wychodzę z sali i chwiejnym krokiem idę korytarzem. Czuję, że coś znosi mnie na boki! Oglądam się za siebie i doznaję olśnienia - przecież nie mam już wielkiej kociej kity, która do tej pory pomagała mi w utrzymywaniu równowagi. Wchodzę do naszej izby żołnierskiej, mówię "następny" i bez czucia rzucam się na łóżko.

Po godzinie, idąc na świetlicę w zupełnie niewiadomym celu, spotykam na korytarzu Ryśka Pindla - kolegę, z którym dwa miesiące temu przeżyłem przygodę z Królem Fali w Sulimowie. Obydwaj pijani padamy sobie w ramiona. Tak jak wcześniej w kantynie - razem z naszym falowcem Kapslem - w ukryciu, niemal szeptem śpiewaliśmy "Jak długo na Wawelu...", tak dzisiaj - spotykając się jako obcięci żołnierze - świadomi, że nikt nie ma prawa nam tego zabronić, ryknęliśmy ile sił w gardłach:

Godzina piąta minut trzydzieści,

*kiedy pobudka zagrała,
Grupa rezerwy szła do cywila,
Niejedna panna płakała.*

*Niejednej panie żal się zrobiło
I serce z bólu zadrżało,
Gdy jej kochanek szedł do cywila,
A jej dziecko ostało.*

*Na dworcu głównym, w mieście Warszawie
Wszystkie się panny zebrały.
Z dzieckiem na rękę, z kamieniem w rękę
Na rezerwistów czekały...*

Koniec
rozdziału XV

Rozdział XVI

Noc w Pustelniku

Niestety, pomimo tego, iż dywizjon raketowy w Bojęcynie pomyślnie wybrnął z sytuacji związanej z pomalowaniem placu apelowego, to jednak wcale nie skończyło się to dobrze dla sprawców tego czynu. Pułkownik Tarasiak z żelazną konsekwencją egzekwował nałożoną przez siebie karę trzech tygodni aresztu wojskowego dla każdego żołnierza, który przyłożył rękę do urzędzenia z Marszałkowskiej pstrokatej, biało-niebieskiej szachownicy w dniu, kiedy spodziewano się ważnej kontroli ze sztabu brygady. Kilku kolegów skierowano już na Wczasy pod Kasztanami. Zauważyłem, że po powrocie z trzytygodniowego turnusu wyglądali na dość mocno przemęczonych.

Już za dwa tygodnie przypadała moja kolej na pójście do ancla. Nie spieszo mi było do tego przybytku mimo tego, że po powrocie z aresztu, zgodnie z regulaminem, należało się trzy dni urlopu. Cóż z tego, że dostanę urlop na papierze, skoro z powodu braku ludzi na służby i tak nie będę miał kiedy na niego wyjechać? Dobrze, że byłem już po obcinie, więc spodziewałem się, że sam pobyt w anclu będzie przebiegał znacznie mniej uciążliwie niż wówczas, gdybym był młodym kotem. Tam również rządziła fala: jeśli dziad był aresztantem, a młody kot strażnikiem, to nie kto inny pocierał rejony o piątą rano, jak właśnie owa młoda kita, która miała na pagonie jedną lub dwie belki i pęk kluczy u boku. Co tu dużo mówić - fala jest falą, sprawiedliwość musi być i już!

Na dwa tygodnie przed udaniem się na Wczasy pod Kasztanami wysłano mnie na poligon w Pustelniku. W zasadzie poligony z prawdziwego zdarzenia w wojskach raketowych odbywały się w Uście nad morzem. Tam rzeczywiście strzelało się raketami do celów. Tutaj w Pustelniku organizowano zwykłe ćwiczenia opierające się na zastosowaniu symulacji komputerowej. Jednak pomimo tego, że wszystko to, co działo się na monitorach i oscyloskopach było tylko iluzją, sama atmosfera, reakcje ludzi, napięcie nerwowe, komendy, okrzyki i przekleństwa na tyle realnie przypominały walkę z atakującymi eskadrami myśliwców, że człowiekowi przebywającemu w pogrążonej w półmroku kabinie dowodzenia mogło się wydawać, iż wszystko, co widzi i słyszy dzieje się naprawdę. Tego złudzenia nie psuł nawet fakt, że po otwarciu drzwi i spojrzeniu w niebo nie widziało się tych samolotów, które widniały jako małe przesuwające się plamki na ekranach radarów. Sugestia wyobraźni brała górę nad zwykłym postrzeganiem rzeczywistości.

Na poligon w Pustelniku pojechałem jako wartownik. Wraz ze mną skierowano tam jeszcze jednego żołnierza z jednostki w Bojęcynie - bombardiera Janusza Pawlaka - mówiącego ze

wschodnim akcentem żołnierza, którego nazwisko znane było nawet w samym sztabie brygady. Nie kto inny bowiem, jak właśnie ten hardy, pochodzący z Białej Podlaskiej chłopak, miesiąc temu, pełniąc służbę wartowniczą, rzucił na głębę pułkownika Szulima. Po tej szybkiej i zdecydowanej akcji, zamiast spodziewanej nagrody, dostał na własność mieszczący się tuż pod dyżurką oficera posterunek wartowniczy numer jeden. Wpakowano go na najgorsze zmiany i zapisano na służby co dwadzieścia cztery godziny.

Wszyscy wiedzieliśmy jak wyjątkowo męczące jest pełnienie wart na tym posterunku: oficer ma cię cały czas na oku i nie ma mowy o tym, aby gdzieś przekimać. Wchodzić na "jedynekę" co dwadzieścia cztery godziny to była chyba najbardziej przejebana służba w całym dywizjonie! Pawlak jednak wcale się nie łamał, a nawet nie wyglądał na znużonego. Wtajemniczeni wiedzieli o tym, że w nocy, gdy był "wyjściowy" oficer, na "jedynekę" wchodził jego młody.

W Pustelniku jedyną rozrywką była dobrze urządzona kantyna. Sprzedawano tam nawet piwo puszkowe EB kaliber "0,5", był zestaw telewizji satelitarnej i stół bilardowy. Do tego ostatniego trudno było się dopchać, w dzień grali tam trepi, a po południu starsi fał. Bynajmniej nie ubolewałem z tego powodu. Wolałem popijać kawę i oglądać teledyski na MTV.

Pewnego dnia, tuż przed obiadem siedzieliśmy z Pawlakiem w kantynie i rozmawialiśmy o powszednich sprawach. Spoglądając od czasu do czasu przez okno, dostrzegłem kolumnę wojska wchodzącą przez szeroko otwartą bramę na teren jednostki. Tuż za kolumną wolno toczył się ciągnik z przyczepką, na której znajdowała się duża brudna metalowa beczka. Prawdopodobnie mężczyzna kierujący ciągnikiem wywoził pomyje z jednostki, gdyż kiedy tylko pluton żołnierzy skręcił w lewo, dodał gazu i pojechał w kierunku stołówki.

Spojrzałem na wartownika, mocującego się z zamknięciem bramy i odezwałem się do siedzącego naprzeciw mnie Pawlaka:

- Przechlapane, że tutaj na warty chodzi się w hełmach. U nas tego nie ma. Faktycznie, że nie taki najgorszy ten Bojęcín - napiłem się kawy, odłożyłem filiżankę na stół i tonem starego weterana dodałem: - Ale to się dostrzega dopiero jak się trochę pojeździ po jednostkach...
- Masz rację. U nas nawet trepy są w miarę normalne, a gdzie indziej kadra jest pojebana – odpowiedział. – Zauważ, że im większe zadupie, tym bardziej porypana i kadra, i żołnierze. W Bojęcínie jest piętnaście metrów do drogi, to i ludzie są bardziej normalni, a tu do drogi daleko, wszyscy siedzą w jednostce i bije im na dekiel.
- O! To trzeba było być w Sulimowie, żebyś wiedział jak może bić na dekiel! - powiedziałem, machnąwszy ręką, jakbym odpędzał złe wspomnienie. - Tam panują zwyczaje prawie jak w więzieniu! Wiesz, że zrobili z tego dywizjonu nieformalną jednostkę karną?
- Wiem, wiem. Słyszałem, że mieliście z Pindlem niezłe przejścia? Podobno zwialiście, bo chcieli wam wlać?
- Nie było innego wyjścia. Trzeba było wziąć odwrot na całej linii frontu i salwować się ucieczką - zażartowałem. Popatrzyłem na niepokojąco mocno zachmurzone niebo i wyraziłem swoje obawy odnośnie dzisiejszej pogody: - W nocy zapowiadali burzę. Żeby tylko nie lało na naszej zmianie. Tutaj na warcie nawet nie ma gdzie się schronić przed deszczem. W Bojęcínie można się schować do wiaty, bunkra albo samochodu, a tu stoisz w lesie i mokniesz jak ta kura.
- Co ty mówisz? Przecież możesz wejść na wieżę wartowniczą. Ma dach, to nie będzie padało na łeb.
- Ale jak pada pod kątem, to deszcz i tak leci do środka. Trzeba się zapytać tutejszych, gdzie ściemniają na warcie.
- Zapytamy się na wartowni - stwierdził Pawlak kończąc ten temat.

Rzeczywiście, pełnienie służb wartowniczych w Pustelniku było nieporównywalnie bardziej uciążliwe niż w Bojęcínie. Wynikało to z faktu, że tutaj wartownicy patrolowali teren wzdłuż ogrodzenia okrążającego strefę. Po jednej stronie ogrodzenia las, po drugiej wydeptana przez wartowników ścieżka i gęsta puszcza, której końca nie dało się zobaczyć z wysokich na

piętnaście metrów wież umiejscowionych w najlepszych punktach obserwacyjnych. Wartownia, w ogóle jakakolwiek cywilizacja, znajdowała się w odległości trzech kilometrów od tych daleko odsuniętych od jednostki posterunków. Stojąc nocą w lesie między dwoma ścianami drzew i patrząc na skrawek nieba nad głową, miało się nieodparte wrażenie, że cokolwiek by się nie wydarzyło, jest się zdany tylko i wyłącznie na siebie. Niejednokrotnie dochodzące z puszczy dźwięki, odgłosy stąpania zwierząt, powodowały, że lęk i ostrożność nakazywała patrolować z odbezpieczoną, gotową do strzału bronią. Pewne poczucie bezpieczeństwa dawały telefony znajdujące się na platformie każdej z wież. Jednak w razie niebezpieczeństwa trzeba było najpierw dobiec do wieży, wspiąć się po stromych stopniach i dzwoniąc na wartownię obudzić śpiących w niej żołnierzy, co niestety nie zawsze się udawało, bo przeważnie byli pijani jak szpadle. Tutaj w Pustelniku na warcie panował całkowity brak dyscypliny, totalny bałagan i głupota. Na każdej służbie lał się alkohol, urzędnicy wartownicy wychodzili na posterunki, w nocy nikt nie odbierał telefonów. O dziwo takie rażące nieprawidłowości uchodziły uwadze kontrolującego wartownię oficera dyżurnego. Być może dlatego, że sam również popijał na dyżurce ze swoim pomocnikiem?

Po kilku minutach przed kantyną zatrzymał się ciągnik wywożący zlewki z kuchni. Wysiadł z niego trzydziestokilkuletni mężczyzna ubrany w mocno znoszony i brudny komplet ubrania dżinsowego. Na głowie miał granatową przekreconą do tyłu czapkę z daszkiem. Wyglądały spod niej czarne tłuste kołtuny włosów, które opadały na niegolone od kilku dni policzki. Prawdopodobnie był okolicznym rolnikiem. Mężczyzna ten z hukiem zatrasnął drzwi od kabiny ciągnika i skierował się ku kantynie. Widocznie znał uwijającego się za bufetem sprzedawcę gdyż po wejściu do środka przywitał się z nim wylewnie i serdecznie. Kilka minut później sprzedawca oraz mężczyzna wywożący zlewki przysiedli się do sąsiedniego stolika. Rolnik postawił przed sobą kufel piwa, a cywil obsługujący kantynę - szklankę z herbatą. Cały czas mówili, prawie że szeptem i rzucali dookoła ostrożne spojrzenia. Rozmowa pochłaniała ich do tego stopnia, że nie zwracali uwagi na stojące przed nimi napoje. W pewnym momencie, kiedy głośno narzekaliśmy z Pawlakiem, że na warcie w lesie nie ma gdzie schować się przed deszczem, jeden z nich zapytał:

- Chłopaki! To gdzie wy chodzicie na te warty? Po lesie łązicie?

Pytanie zadał mężczyzna, który był kierowcą ciągnika. W tonie jego głosu dawało się wyczuć udawane współczucie, z tego powodu, że dotknął nas tak nieszczęśliwy los jak chodzenie nocami na warty zamiast spania w łóżku, tak, jak to robi większość ludzi o tej porze dnia.

- Co zrobić? Wpakowali nas na warty do tej pojebanej jednostki to trzeba chodzić po lesie - oparł Pawlak. - Ale za parę dni wracamy do Bojęcina. Tam jest dużo lepiej.
- Ile wam zostało do cywila? - dopytywał kierowca ciągnika. - Też byłem w wojsku i wiem, że nie jest lekko.
- Nie liczę dokładnie, ale wiem, że mnie zostało dwieście sześćdziesiąt parę dni - powiedziałem czując lekki przyływ melancholii. - Złeci! Najważniejsze, że już po obcince. Teraz już jest z górki.
- Ja mam jeszcze trzysta parę - odezwał się Pawlak. - Kosmos!
- Trzysta parę, wojsko stare! - zawołałem ze śmiechem.
- A ryby na warcie łowicie? - Ni stąd, ni zowąd zapytał mężczyzna, który wyglądał na miejscowego rolnika.
- Jak to, czy łowimy ryby? - zdziwiłem się.
- Tam w lesie obok jednostki jest taki duży staw. Chodźcie tam na warty? - sprecyzował pytanie.
- Oczywiście, to jest w obrębie drugiego posterunku! - odpowiedział Pawlak, z podejrzliwością przyglądając się nieznanemu mężczyźnie. - A co? Chce pan tam przyjść na ryby?
- Nie skądże! - zachnął się tutejszy rolnik. - Tak tylko się pytam. Służyłem na Mazurach. Koło jednostki było jezioro, no i na warcie czasami wędkowaliśmy.

Comment [k1]: Nie wiem, czy to powtórzenie, czy „letni” w gwarze żołnierskiej coś oznacza

- W tym stawie nie ma ryb - odrzekł Pawlak. - Wiem, bo wczoraj sprawdzałem. Same żaby. Takie wileelkieeee ropuchy - wydał usta i wytrzeszczył oczy udając kumkającą żabę.
- Kierowca ciągnika rozeźmiął się głośno i wrócił do rozmowy z cywilem sprzedającym w kantynie. Pawlak dopił kawę, rzucił okiem na zegarek i rzekł:
- Obiad za pięć minut. Chodźmy stanąć w kolejce.
- Odnieśliśmy puste szklanki do bufetu i wyszliśmy z kantyny.
- Popatrz, jaki ciekawski gościu - zwróciłem się do swojego współtowarzysza, kiedy szliśmy w stronę stołówki. – Jak się wypytuje czy koło stawu chodzą wartownicy.
 - Tak, tylko po co?
 - Myślisz, że powinniśmy powiedzieć o tym dowódcy warty? - spojrzałem na niego pytająco.
 - Wyśmieją cię - powiedział otwierając drzwi do stołówki. - Wchodź przede mną. Jesteś ze starszego poboru.
 - Dzięki! – rzuciłem lekko od niechcenia. Pomyślałem sobie, że w końcu widać pierwsze pozytywne oznaki wnikania w fałę.

Pewien kanonier pełniący na kuchni służbę "pomocy kuchennej", dzisiejszego wieczoru wybierał się do panienki, którą tydzień temu poznał na dyskotecce w sąsiedniej miejscowości. Pracując cały dzień w kuchni podjadał od czasu do czasu i dlatego teraz tuż przed podaniem obiadu nie był głodny. Wiedział jednak, że wieczorem pusty żołądek, przypomni mu o swoim istnieniu i bolesnymi skurczami upomni się o jedzenie. Bombardier nie mógł liczyć na przewidzianą w rozkładzie dnia kolację, dlatego, że w tym czasie planował wyjść z namiotu i gnać do dziewczyny. Postanowił więc zabrać ze sobą jakąś konserwę z magazynu żywnościowego. W tym celu zdjął wiszący na haku przy wydawce pęk grubych kluczy i wyszedł z budynku stołówki. Magazyn żywnościowy mieścił się tuż nieopodal. Żołnierz podszedł do wielkich, obitych grubą blachą drzwi i otworzył je za pomocą jednego z kluczy. Znał dobrze rozmieszczenie składowanej w magazynie żywności, dlatego, że bywał tutaj często. Zapalił światło i wszedł do pomieszczenia, w którym znajdowały się duże drewniane skrzynie. Każda z nich oznaczona była wymalowanymi białą farbą literami "ZN". Skrót ten oznaczał "Zasoby Nienaruszalne". W rzeczy samej skrzynie te nie były otwierane przez dwadzieścia lat. Niebawem mijał jednak termin przydatności do spożycia przechowywanych w nich produktów i dowództwo brygady wydało rozkaz pozbywania się tak zwanych ZN-ów. Pochodząca z nich żywność miała być wydawana już od następnego dnia. Jedna z kilku mieszczących się w tym pomieszczeniu skrzyń została już otwarta. Znajdowały się w niej ocynkowane puszki z żywnością i napojami. Niektóre z nich zawierały nawet specjalnie zakonserwowany chleb. Bombardier pochylił się na otwartą skrzynię i wyjął z niej dwulitrową konserwę. Na wieczku znajdował się wytłoczony w blasze napis: "Bigos". Żołnierz ucieszył się, że już za pierwszym razem udało mu się wyciągnąć taki smakołyk. Włożył konserwę pod pachę i zgasiwszy światło wyszedł z magazynu. Zamknął drzwi na klucz i wrócił do pomieszczenia przeznaczonego dla pomocy kuchennej. Położył cenną zdobycz z magazynu na parapecie a następnie przyrzucił ją bluzką od ubrania roboczego. Zadowolony, że cała operacja powiodła się bez najmniejszych komplikacji, zabrał się do mycia stosu brudnych naczyń.

Czas w Pustelniku biegł powoli, leniwie, jak spokojne kołysanie topól na łagodnym wietrze. Nikt nigdzie się nie śpieszył, zajęcia odbywały się zawsze o tych samych porach, toczyły się wolno tym samym, monotonnym rytmem. Wokół dawał się słyszeć szum wiatru błędzącego między gałęziami drzew. Nocami, kiedy leżało się na polowym łóżku w dużym brezentowym namiocie, do słyszanych dźwięków dochodziło jeszcze charakterystycznie „hukanie” puchacza,

który uwił gniazdo gdzieś w pobliżu pola namiotowego. Kiedy mocniej zawiął wiatr, na dużej polanie rozbrzmiewało trzepotanie płócien namiotów.

Nie wiem dlaczego, ale całe to zgrupowanie wojska w lesie, jedzenie z menażek, poranne zaprawy, wojskowe komendy, a wieczorem śmiechy i gwar rozmów, kojarzyły mi się z tworzeniem Legionów Polskich we Włoszech. Legioniści też pewnie spali w namiotach, jedli z menażek, wszędzie widzieli wojskowe mundury, a wokół słyszeli polską mowę. Mieli poczucie pewnej jedności i wspólnego celu – wyswobodzić kraj z rąk okupanta i odzyskać wolność. Na pewno cele żołnierzy zgrupowanych w Pustelniku nie były aż tak szlachetne i przeważnie oscylowały wokół nieustannego przemyśliwania, jaki kit wcisnąć szefowi kompanii, aby pozwolił wyjechać na przepustkę w sobotę i niedzielę. Jednak mimo tych różnic, czułem pewną wspólnotę z polskimi żołnierzami we Włoszech.

Po obiedzie wolnym krokiem udaliśmy się w stronę pola namiotowego, aby umyć menażki i przygotować się do wejścia na wartę. Niestety nigdzie, za wyjątkiem pryszniców, nie było ciepłej wody i dlatego w manierce zawsze należało zostawić odrobinę kompotu, aby obmyć nim menażkę. W ogóle warunki mieszkania w namiotach zdecydowanie różniły się od komfortu, który daje solidny murowany dach nad głową. Kiedy padał deszcz, często przeciekało brezentowe płótno i woda tworzyła małe kałuże w zagłębieniach leżącej na ziemi folii. Ponieważ był to przełom września i października, z tygodnia na tydzień aura stawała się coraz chłodniejsza. Niestety, nie dysponowaliśmy żadnymi piecykami, stąd też jedynym sposobem, aby się dogrzać był ciepły obiad oraz kąpiel pod prysznicem.

Z powodu postępującego zimna nagminnie ginęły kocy. Praktycznie nie istniał żaden sposób, aby zabezpieczyć się przed kradzieżami. Namiotów nie dało się zamknąć na kłódkę. Każdy mógł wejść do środka i zabrać, co mu się żywnie podobało. Przed takimi przypadkami ustrzec miała służba dyżurna, ale przyznam szczerze, że do niej samej miałem bardzo ograniczone zaufanie. W takich okolicznościach obowiązującym credo, stawała się zasada „umiesz liczyć – licz na siebie”.

Pół godziny po obiedzie, przygotowując się do odprawy wart i służb, wypastowaliśmy buty, przypięliśmy do pasów chlebaki i pobraliśmy z magazynu broń oraz hełmy. Do tego dochodziły cztery magazynki, z czego dwa były zupełnie bezużyteczne i stanowiły dowód na to, jak poprzez spiętrzenie formalności tutejszy szef kompanii zabezpieczenia usiłuje nadrobić braki organizacyjne. Odprawę poprowadził jakiś chorąży pełniący funkcję pomocnika oficera dyżurnego. Padały na niej standardowe pytania dotyczące Prawa Użycia Broni, odegrano również szopkę, czyli niemal teatralny pokaz zatrzymania intruza, który wtargnął na teren jednostki.

Po odprawie udaliśmy się na wartownię. Jeszcze przed wyprowadzeniem pierwszej zmiany utworzono flaszkę samogonu. Polewał sam dowódca warty - jakiś wyjątkowo prymitywny gość w stopniu kaprała. „Mało” miał już do wyjścia i piciem wódki próbował sobie ukrócić bolesną vegetację, którą stało się jego życie w dniu, gdy falomierz zszedł poniżej zero trzydzięści. Im falomierz mniej wskazywał, tym ból stawał się większy, a mogły go uśmierzyć tylko coraz większe dawki alkoholu. Generalnie większość starych wartowników z tutejszego dywizjonu stosowała zasadę: pić i spać a na posterunek wysyłać swojego młodego.

Tak się złożyło, że wpisano mnie na jedną zmianę z Pawlakiem. Żartowałem sobie z niego, że tutaj w Pustelniku będzie miał duże szanse rzucić na głowę jednego z kilku generałów, którzy w związku z poligonem często kręcili się po jednostce. Pawlak odparł, że po tym jak przez godzinę przetrzymał w rowie pułkownika Szulima, przeczolganianie jakiegoś generała przez całą strefę nie stanowi dla niego poważniejszego problemu. Wyznał, że nawet ma już jednego na oku i tylko czeka na sposobną chwilę.

O dwunastej w nocy wprowadzono nas na najbardziej odległe od jednostki posterunki. Gdy opuszczaliśmy wartownię, większość znajdujących się w niej żołnierzy była kompletnie pijana, a sam dowódca warty całkowicie przestał już kontaktować. Po podpięciu magazynków z ostrą amunicją zarzuciliśmy karabiny na plecy i w ślad za rozprowadzającym ruszyliśmy w ciemną

Comment [k2]: Sierpnia i września albo października i listopada

noc. Minęliśmy kantynę, pole namiotowe i poszliśmy wąską ścieżką biegnącą przez las. Po chwili prócz odgłosów lasu dał się słyszeć śpiew i głośny śmiech żołnierzy, którzy urządzili sobie popijochę w jednym z namiotów. W miarę oddalania się od obozowiska ich głosy stawały się coraz cichsze, aż w końcu całkowicie zagłuszył je szum wiatru.

Dojście na posterunki w lesie zajęło nam pół godziny. Obok najbliższej wieży natknęliśmy się na pierwszego wartownika. Po krótkim zdaniu meldunków rozprowadzającemu, służbę po nim objął Pawlak. Pomaszzerowaliśmy dalej. W chwilę potem doszliśmy do drugiej wieży, gdzie z kolei ja podmieniłem oczekującego na zmianę żołnierza. Rozprowadzający wraz z dwoma starymi wartownikami pomknęli ścieżką wzdłuż ogrodzenia udając się do wartowni. Śpieszyli się, gdyż dokonanie zmiany warty na tych posterunkach zajmowało całą godzinę (niestety wyciętą z czasu przeznaczanego na sen). Wkrótce zamilkły odgłosy ich kroków. Wyszedłem po stromych schodkach na wieżę i sennym wzrokiem lustrowałem oświetloną blaskiem księżyca okolicę.

Tymczasem w namiocie znajdującym się na samym skraju polany trwała libacja. Brało w niej udział pięciu żołnierzy, którzy wiedząc o tym, że dzisiejszego dnia służbę oficera dyżurnego przejmuje lubiący zajrzeć do kieliszka porucznik Zatorski, jeszcze w dzień zaopatrzyli się w kilka butelek majonej wódki z okolicznej meliny oraz skrzynkę piwa, które praktycznie bez żadnych ograniczeń można było kupować w kantynie. Wszyscy oni służyli w tutejszej pierwszej baterii startowej, a ich funkcje w zależności od stanowiska na wyrzutni, nosiły żartobliwe nazwy „starszy” lub „młodszy korbowy”. Nie mieli lekkiej służby, gdyż rola „korbowych” sprowadzała się do wciągania na wyrzutnię ważących ponad dwie tony rakiet za pomocą korb. Jako że trwał poligon, treningowe ładowanie rakiet na czas odbywało się nawet po kilkanaście razy dziennie. Nie dziwi zatem fakt, że będąc mocno przemęczeni, mieli już dobrze w czubie, mimo tego, że tak naprawę niewiele jeszcze zdołali wypić.

Wśród żołnierzy znajdujących się w namiocie był również kanonier Maciąg, noszący ksywę „Haczyk” (przezwisek to zawdzięczał temu, że kierował dźwigiem). Właśnie on po południu doprowadził z magazynu żywnościowego konserwę z bigosem. Teraz leżąc na łóżku i popijając piwko poczuł skręcający kiszki głód. Spojrzawszy na zegarek uświadomił sobie, że aby punktualnie przybyć na umówione spotkanie z dziewczyną, musi za pół godziny opuścić zające towarzystwo i pognać znanymi sobie ścieżkami przez las. Konserwę z bigosem włożył do plecaka, który znajdował się w tylnej części namiotu. Nie był pewien, czy chce się nią podzielić z czterema wygodniałymi kompanami. Prawdę powiedziawszy, po takim podziale nikt nie najadłby się do syta, więc może lepiej było gdzieś w ukryciu zjeść ją samemu? Bigos był zimny i chciał go podgrzać przed zjedzeniem. Nie miał pomysłu jak to zrobić. Wszak kuchnia o tej porze była już zamknięta, w kranie płynęła tylko zimna woda, a przecież nie będzie palił ogniska, bo natychmiast zostałoby ono zauważone przez wartowników. No chyba, żeby zapalić je tuż za łaźniami, gdzie blaszana wiata oraz wysokie wały osłaniały teren z trzech stron. Za dużo jednak byłoby przy tym zachodu jak na jedną konserwę. Prościej było pójść na kotłownię i tam dogadawszy się z palaczem podgrzać bigos w gorącej wodzie. Najwyżej odpali palaczowi połowę jadła, ale i tak lepiej na tym wyjdzie niż na podziale ze swoimi kolegami. Zresztą, czy oni faktycznie byli jego kolegami? Przecież w wojsku nie ma kolegów, są tylko fałowcy...

Namiot oświetlała lampa naftowa podwieszona do biegnącego wzdłuż sufitu metalowego pręta. Chwiejąc się minimalnie pod wpływem lekkich powiewów wiatru, rzucała wokół mdłe światło, w którym dawało się zauważyć sylwetki żołnierzy, zamykające przestrzeń brezentowe ściany namiotów oraz łóżka polowe zsunięte wokół centralnie umieszczonego taboretu, obok którego stała skrzynka z piwem. Na samym taborecie znajdowało się kilka butelek wódki, ukradziona z kantyny popielniczka, której na dobrą sprawę nikt nie używał oraz kilka

plastykowych białych kubków. Całe towarzystwo piło, śmiało się, śpiewało, a czasami nawet i kłóciło między sobą. Bombardier Janczur z racji tego, że był najstarszy falą, a sądząc po sylwetce także i siłę miał największą, zdecydowanie i stanowczo łagodził wszelkie konflikty, dzięki czemu ta cała libacja nie zamieniła się jeszcze w bijatykę. Wiele urazów i żalu mieli do siebie żołnierze, ale to wychodziło na jaw dopiero po wypiciu znacznej ilości wódki.

Haczyk wstał z łóżka, przeciągnął się i korzystając z tego, że nikt nie zwraca na niego uwagi podszedł do tylnej części namiotu. Postawił na ziemi butelkę z piwem i odsłoniwszy płócienną zasłonę pochylił się nad swoim plecakiem. Wygrzebał z niego leżącą prawie na samym dnie konserwę i umieścił ją w chlebaku. Przez chwilę mocował się z zapięciem chlebaka, ale tutaj po ciemku nic nie widział, wstał więc i wrócił do głównej części namiotu. Mijając rząd łóżek rzucił do swoich kompanów:

- To na razie chłopaki. Trzymajcie się – dopił ostatni łyk piwa z butelki i demonstracyjnie niedbale wyrzucił ją za siebie. – Idę do panienki. A co tam!

Butelka trzasnęła o jakąś metalową rurę. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Kanonier Banasik, mocno wcięty, już od pół godziny leżał na brzuchu trzymając plastikową reklamówkę w pozycji bojowej na wypadek, gdyby zachciało mu się rzygać. Posłyszawszy słowa Haczyka uniósł głowę i patrząc wokół tępy, przepitym spojrzeniem, uczynił prawą ręką pouczający gest i wybełkotał:

- Pamiętaj kolego, że najlepsza panienka to własna ręka!

Rozległ się wybuch śmiechu.

- Haczyk, a czy ta panienka to się przypadkiem Zosia Rączkowska nie nazywa? – zapytał Janczur. – Wczoraj taka jedna właśnie o ciebie się pytała.

- Odpieprzcie się! – krzyknął Maciąg. – Wiecie przecież, że tydzień temu panienkę z wioski poznałem! Nic nie jarzycie!

- Ile ty tam dziadek masz, żeby na starych krzyzczyć?! – zgromił go Janczur. – Problemy i dyskusje dopiero od stu pięćdziesięciu!

Haczyk stłumił w sobie gniew i nie odezwał się ani słowem. Rzeczywiście jego cyfra nie pozwalała mu na jakiegokolwiek dyskusje ze starszymi służbą. Wprawdzie na poligonie obowiązywało zawieszenie fali, ale przecież ten stan nie będzie trwał wiecznie. Wcześniej czy później poligon się skończy, a pamiętliwe jak psy dziadki zaczną się mścić. Wbił spojrzenie w ziemię i poszedł w kierunku wyjścia. W chwili, gdy mijał leżącego na wozie Banasika, ten niespodziewanie podniósł głowę, wydał policzki i z wyrazem obrzydzenia oraz zaskoczenia na twarzy rzygnął przed siebie. Nie zdążył nawet rozłożyć foliowej torby.

- Pierdolona, majona wódka – wymamrotał, ocierając rękawem zarzygane usta. – Nigdy więcej nie wypiję... pewnie na karbicie pędzona... na karbicie...]

Kanonier Maciąg odruchowo odskoczył w bok, co uchroniło go od pokrycia pucowanych przed wyjściem do dziewczyny butów warstwą różnobarwnego haftu. Pech chciał, że krzywo stanął na butelce po piwie. Zachwiał się, zatrzepotał rękoma, lecz nie mogąc złapać równowagi, runął na ziemię między dwa wozy. Chlebak wypadł mu z ręki, otworzył się, a znajdująca się w nim konserwa upadła na podłogę i potoczyła się w stronę taboretu. Janczur pochylił się bez słowa podniósł ją i przeczytawszy etykietę, ryknął z oburzeniem:

- No patrzcie go! Ma konserwę z bigosem i nic nie mówi!

- Pewnie sam chciał zeźreć! - wołał starszy korbowy Jacek Zięba. – Taki to z niego kolega!

- Wora mu zjechać, wora! – krzyczał, groźnie wymachując rękoma bombardier Grzela. – Wora z pastą!

Haczyk wstał, potoczył błędnym wzrokiem dookoła i bez chwili zastanowienia skłamał:

- Dla dziewczyny wziąłem, bo u nich na wsi bieda! Niby jak miałem ją zeźreć po drodze przez las?

- Wściekle głodny jestem! – rzekł Janczur przyglądając się konserwie. – Innym razem jej zaniesiesz, a tę zaraz tutaj zjemy!

- Nie ma takiej możliwości! – protestował Haczyk. – Obiecałem, to przyniosę!

Comment [k3]: Nie znam słowa, znam tylko karbid, ale kompletnie nie wiem, czy to jest to samo ☺, jeśli tak to trzeba zmienić wszędzie *karbit* na *karbid*

Banasik podniósł głowę i łypnął na niego mętным spojrzeniem.

- Jakież problemy, młody? Problemy? – zapytał, dając jednocześnie do zrozumienia, że jedyna słuszna odpowiedź brzmi: „nie, nie mam żadnych problemów, bo problemy przysługują do stu pięćdziesięciu, ale ja mam tak kosmiczną cyfrę, że nigdy do stu pięćdziesięciu nie dojdę, a nawet nie śmiem o tym myśleć”.
- Śmiało, że mam problem! – odpowiedział Haczyk hardo ku zaskoczeniu całego towarzystwa.
- Co? – Janczur zmierzył go groźnym spojrzeniem.
- Jest problem z zagrzaniem bigosu – wyjaśnił Maciąg. – Kuchnia zamknięta, a wody w kranie ciepłej nie ma, i jak tu go zagrzać?
- Ty se młody w kulki z nami nie leć! – przestrzegł go Grzela. – Wróci dziad z przepustki to mu się powie jak tu ze starych się napierdalasz. Drewno, drewno będzie z ciebie dziadek jak nic!
- Ale na poligonie nie ma fali! – bronił się Haczyk. – Mogę robić, co zechcę!
- A po poligonie znowu jest! – krzyknął Grzela. – Rączkę wyjmij dziadek z kieszeni, bo popali!
- Dajcie mu spokój! – wtrącił się Janczur. – Rację ma, że fala zawieszona...

Banasik żył we własnym świetle i przelotnie tylko kontaktował, co się wokół dzieje. Ni stąd ni zowąd zaczął śpiewać:

- Niech żyje nam rezerwa... przez szereg długich lat...

Jego koledzy podchwycili piosenkę i głośno zaśpiewali refren:

- Gdy rezerwiści piją, dokoła wódki brak, piwa brak, nie ma nic!

Z sąsiedniego namiotu dobiegło wołanie:

- Ciszej tam, kurwa, ludzie chcą spać!
- Spoko, spoko już się uciszamy – pojednawczym tonem odpowiedział Janczur, a po cichu dodał: - Zamknij się palancie! – co zostało skwitowane salwą głupawego śmiechu.
- To co robimy z tą konserwą? – zapytał Grzela. – Otworzyć to nie problem, ale faktycznie, jak tu ją zagrzać?

Janczur usiadł na łóżku, podniósł z ziemi otwartą puszkę piwa i położył się na wznak. W tej pozycji prawą ręką podrzucił konserwę w stronę Haczyka.

- Łap młody! – zawołał. Odpalił papierosa od stojącego obok Grzeli i dodał: - Idź do namiotu służby dyżurnej. Wiem, że mają tam prąd. Pewnie znajdzie się tam jakaś grzałka albo buzała. Poproś ich, to ci podgrzeją.

Rozległo się głośne czknięcie. Banasik gwałtownie podniósł głowę i rzygnął przed siebie na ziemię.

- Karbitówka, karbitówka! Zabiję sukinsyna meliniarza – wymamrotał. Po jego minie widać było, że jest mocno struty. Wypił prawie pół litra wódki, a że pił rzadko, to go momentalnie ścięło.
- Te Janczur a jak mam ten bigos podgrzać? Buzałę do konserwy włożyć? – ironicznie dopytywał się Haczyk. – Albo grzałkę? Przepali się.
- A co mnie to obchodzi jak ty to zrobisz? – odpowiedział Janczur. – Ma być podgrzany i już! Czas operacyjny pięć minut! Biegiem!

Haczyk aż się zagotował ze złości. Jak ten bałwan śmiał wydawać mu takie polecenia? Nie był jego dziadem, a poza tym na poligonie fala nie obowiązywała. Nawet mając kosmiczną cyfrę i będąc jeszcze przed obcinką, mógł takie rozkazy całkowicie zignorować. Nic przeciwstawił się jednak, bo Janczur i jego dziad to byli najlepsi przyjaciele – obydwaj stare bociany i ziomale z jednego WKU. Wolał nie ryzykować, że podpadnie. Wziąwszy konserwę pod pachę, wyszedł z namiotu i popędził w ciemną noc.

Wrócił dopiero po dwudziestu minutach. W międzyczasie apetyt jego kolegów na porcję ciepłego pachnącego bigosu wyostrzył się do tego stopnia, że aż ścisnęło ich w żołądkach. Wieszali psy na Haczyku, który wedle ich wyczucia czasu, wyszedł już co najmniej ze dwie

godziny temu i jeszcze i do tej pory nie pojawił się z podgrzaną konserwą. Kiedy wreszcie ten, najmłodszy spośród nich falą żołnierz, wpadł mocno zdyszany do namiotu, Grzela huknął na niego z góry:

- Czemu cię kito tak długo nie było?! Myśleliśmy, żeś już do tej panienki pognał!
- Prądu w namiocie służby dyżurnej nie ma już od dwóch dni! To poleciałem z konserwą na kotłownię – wyjaśnił – Ale gorąca jak cholera, bo pod parą grzana.

Janczur zagasił niedbale papierosa, wyjął menażkę ze swojego plecaka i zarządził:

- No to jemy, panowie!

Zadzwieczyły menażki. Zazgrzytały niezbędniki. Zapachniało bigosem. Grzela otworzył konserwę i rozdzielał równe, sprawiedliwe porcje między kolegów. Nawet Haczyk, mimo tego, że młoda kita, też dostał tyle samo, co wszyscy.

Żołnierze rozsiedli się na wozach i wzięli się za jedzenie potrawy. Jako że od kolacji, na którą podano kilka kromek chleba, a do tego serek topiony, minęło już ponad cztery godziny, byli niesamowicie wygłodzeni. Żaden z nich nawet nie wyczuł, że bigos ten pierwszej świeżości nie jest już od dawna. Ciekawe, czy jedliby go równie łapczywie gdyby wiedzieli, że jest starszy niż każdy z nich? Konserwę tę wyprodukowano bowiem ponad dwadzieścia lat temu!

- Dobrze, dobrze! – chwalił Grzela. – Po wódce zjeść coś takiego ciepłego to miódzio!
- Dobrze, ale mało – żalił się małomówny Zięba. – Co to taka konserwa na tyle chłopa? To jak na byka obierek od ziemniaka. Mnie się już kończy.
- Malunio – powiedział Maciąg, charakterystycznie przeciągając to słowo. – Naprawdę maaaalunioooo! – powtórzył, skrycie śmiejąc się pod nosem. Bawił się dwuznacznością tego słowa, które w wojskowej gwarze oznaczało, iż wypowiadający je żołnierz ma zaledwie parę dni do wyjścia do cywila i w tym sensie młodym kotom nie wolno było wymawiać go na głos.
- Grabisz sobie, grabisz! – ostrzegł go Banasik, groźnie wymachując pięścią. – W bani ci się młody lasuje! Jak tylko dziad wróci, to mu się powie jak sobie w kulki lecisz!

Maciąg stwierdził, że bezpieczniej będzie w ogóle się nie odzywać.

- Grzela, sprawdź, czy Haczyk nie ma więcej tych konserw w plecaku – powiedział Janczur wskazując łyżką na przeciwny koniec namiotu.
- A ile ja mam, żeby mi się chciało wstawać? – odpowiedział Grzela wygodnie rozkładając się na łóżku – Sam se sprawdź!
- Oj Boże! Toć normalnie, jak człowieka cię proszę, a ty zaraz „a ile ja mam” i „sam se sprawdź”! – oburzył się Janczur. – Falowiec wielki się znalazł! Kita przycięta miesiąc temu a teraz proszę jak mu już napykało!
- Komu napykało? – zacietrzewił się Grzela. - A co dziadem moim jesteś, że mam cię słuchać?
- A kto rządzi w jednostce? Jaki pobór? – pochodzący z Kieleckiego Janczur miał wyjątkowo wybuchową naturę. Niespodziewanie zerwał się z łóżka, podbiegł do buntowniczego kolegi i zawisł nad nim całym ogromem swej prawie dwumetrowej postaci. – No, kto rządzi? – powtórzył.
- Wiadomo, że najstarszy pobór – odparł pokornie Grzela.
- A kto tu jest z najstarszego poboru?
- Ty jesteś.
- I wszystko na temat! – roześmiał się Janczur głośno klasnąwszy w dłoń. Zadowolony z uzyskania przewagi wrócił na swoje miejsce i zabrał się do jedzenia.

Zapanowała kłopotliwa cisza. Wszyscy wiedzieli, że on jest najstarszy falą i ma najwięcej do powiedzenia, ale czy musi to okazywać w ten sposób? Banasik, który po zatruciu się wódką z meliny obiecał sobie, że przez najbliższy tydzień nic nie włoży do gęby, w ogóle nie interesował się jakimś jedzonym przez jego kolegów bigosem. Jego fantazja podpowiadała mu znacznie ciekawsze przyjemności, których mógłby zaznać jeszcze dziś, przy odrobinie dobrej woli oraz

pewnej ilości gotówki. Pod wpływem określonej, niezwykle realistycznej wizji, doznał gwałtownego przypływu sił. Cisnął niedbale pustą puszkę po piwie i energicznie usiadł na łóżku.

- Chłopaki! Wiecie, że w tym zajeździe zaraz koło przystanku burdel zrobili?! – zawołał z ekscytacją. Drżącymi rękoma wyjął papierosa z leżącej na taborecie paczki klubowych i dodał: – Podobno niedrogi, bo Rosjanki tam pracują.
- Pięć dych godzina – odezwał się zwykle małowówny Zięba.
- Skąd wiesz?
- Wiem – odparł enigmatycznie.

Grzela odstawił na ziemię menażkę, wylizał łyżkę i złożony wsunął go do bocznej kieszeni spodniach.

- Nie wiem jak wam, ale mnie się wiele rzeczy z dupą kojarzy – rzekł poufałym tonem. – Na każdym kroku!
- To wszystko z braku seksu – objaśnił Janczur. – Co to za pojebana instytucja to wojsko, że wokół są same chłopy! A jak kobieta, to gruba kucharka! I co w tym dziwnego, że później niektórym bije na dekiel!
- To znaczy się mnie bije na dekiel? – oburzył się Grzela.
- Coś ty! Przecież ja mam to samo! – odpowiedział Banasik – Dobrze jak ktoś ma dziewczynę w cywilu, to na przepustce może wskoczyć z nią do łóżka, a jak nie ma, to przejebana sprawa. Rozstałem się ze swoją kobietą pół roku temu i od tamtego czasu susza! – Banasik przespacerował się po namiocie, nerwowo kopnął leżącą na środku pustą butelkę i powiedział: - To co chłopaki, może byśmy tak sprawdzili ten burdel?

Grzela, nie podszedł entuzjastycznie do tego pomysłu. Wprawdzie niespełniony popęd seksualny wprowadzał go świat różnych wyobrażeń i skojarzeń oraz rodził mocną frustrację, niemniej jednak pójście do burdelu stanowiło dla tego młodego żołnierza poważny problem natury emocjonalnej. Przecież jeszcze tak nisko nie upadł, aby łączyć po domach publicznych, zwłaszcza takich, w których pracują Rosjanki. Usiłował sobie wyobrazić, czy byłby skłonny zawitać w progi takiego przybytku, gdyby wiedział, że zostanie tam piękną Polką, będącą ucieleśnieniem jego ideału kobiecości - wysoką, ładną dziewczynę o szczupłej figurze, roześmianych oczach i długich aż po pas, kasztanowych włosach. Czasem widywał takie na ulicy, ale naturalne, że ich nie zaczepiał. Zastanawiał się, czy byłby skłonny zapłacić za pójście do łóżka z takim właśnie wyśnionym ideałem pięknej kobiety. Później, jak już się ożeni (znając prozę życia zakładał, że z dziewczyną o przeciętnej urodzie) to korzystając z takich usług, dopuści się zdrady małżeńskiej. W efekcie nigdy w życiu nie prześpi się z prawdziwie piękną kobietą, a przecież życie miał tylko jedno, więc poniósłby niemożliwą do nadrobienia stratę. Wątpił jednak, aby w tak tanim, przydrożnym burdelu mógł spotkać dziewczynę o urodzie bliskiej jego ideałowi kobiecości.

- A tam! Jeszcze się jakiegoś syfilisu nabawię. Poza tym tam są Rosjanki, tanie tirówki! – odpowiedział na propozycję Banasika. - Ja na to nie idę!
- Polki też są – wtrącił Zięba. – Ładne!
- Zięba, a skąd ty to wszystko wiesz?! - zapytał się Janczur. – Wiesz, że pięć dych godzina, że Polki są. Byłeś tam?

Zięba z zakłopotaniem przejechał rękoma po włosach, nasunął czapkę tak, że jego oczy znikły za daszkiem i rzekł z ledwo dającym się wyczuć skrepowaniem.

- Raz żeśmy z Balickim w nocy po pijaku wracali z przepustki. Szliśmy na nogach, ze trzy kilometry, a że było po drodze, to z ciekawości zajrzeliśmy do środka.
- No co, no i co? – Banasik pałał ciekawością. – Fajnie było?
- Fajnie – potwierdził Zięba. – Dziewczyny ładne. Nie tylko Rosjanki, Polki też są. Ale wypraty nas z kasy całkowicie. Do ostatniego grosza! – zaśmiał się i dorzucił: - Balicki nie miał już czym zapłacić, to zostawił walkmana w zastaw. Na drugi dzień opchnął panterkę w melinie i zaniósł im kasę.

W namiocie rozległ się wybuch śmiechu. Balicki to był dopiero agent! Kiedyś dźwigiem pojechał na dyskotekę w Rembertowie. Wrócił następnego dnia rano i do tej pory nikt z trepów o tym nie wie. Osobowość i przygody miał takie, że wystarczyło tylko rzucić hasło „Balicki” a wszyscy dookoła się śmiali.

- A te Polki, to jakie są? – zwrócił się Grzela do Zięby. – Mówisz, że ładne?
- Zajebicie ładne! - Zięba nabrał większej swady i klepnawszy się ręką w kolano dodał. – Szczególnie taka jedna Karolina: ładna, smukła i ma długie kasztanowe włosy.
- Kasztanowe włosy?! – Grzela omal nie poderwał się z miejsca. – Żartujesz chyba?!
- Nie! A co się tak zdziwiłeś?
- Nie.. nic... nie ważne.

Haczyk oporów natury moralnej nie miał. Dopuszczał taką możliwość jak wizyta w domu publicznym i nawet zaczął się nad tym coraz poważniej zastanawiać. Wprawdzie miał znajomą dziewczynę w wiosce, ale prawdę powiedziawszy wcale nie był taki pewien, że na dzisiejszym spotkaniu do czegoś dojdzie (ostatnio celowo spił dziewczynę winem, a ta nawet nie pozwoliła się dotknąć!). Gdyby natomiast wybrał się z kolegami do burdelu, to sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej, jak to śpiewał znany polski zespół „kładziesz na stoliku stowę i robisz numerki”. W tym konkretnym przypadku wystarczyło nawet pięćdziesiąt złotych.

- Jakby co, to ja jestem za! – powiedział ze zdecydowaniem w głosie.
- Jak to Haczyk? Do tej panienki miałeś lecieć – zdziwił się Janczur. – Już ci się odmieniło?
- A bo ja wiem, czy ona da dupy, czy nie da? – odpowiedział szczerze. – W zeszłą niedzielę wywaliłem dwie dychy na wino. Wypiła litr, a i tak i nic z tego nie wyszło. Jak jej chciałem majtki ściągnąć, to tak wrzasnęła, że aż się cała rodzina zleciała! – pokręcił głową z niezadowolaniem. - To już wolę te trzy dychy dołożyć i mieć pewność, że coś z tego będzie.
- Co racja to racja – odezwał się Banasik. – Z panienkami z wioski to nigdy nic nie wiadomo, a tutaj masz seks na mur beton! – powiedział wyjmując z kieszeni mały portfelik. – A ty Zięba idziesz? - zapytał.
- Śmiało, że idę! – usłyszał odpowiedź.

Bombardier Zięba stanowił jawny dowód prawdziwości powiedzenia „cicha woda brzegi rwie”. Nieśmiały, zakompleksiony w ciągu dnia nie wypowiadał więcej niż dwadzieścia słów. Tematu kobiet nie poruszał w ogóle, nawet wstydził się patrzeć na kalendarze z rozebranymi panienkami, a tutaj raptem okazuje się, że gościł on w przybytku rozpusty i bez skrepowania przyznaje się, że chętnie odwiedzi go ponownie. Czyżby zaczął pozbywać się zahamowań?

- Wszystko pięknie ładnie. – mówił Banasik zaglądając do portfela. - Seks gwarantowany, ale to kosztuje. Żołd był trzy tygodnie temu i zostało mi tylko dwadzieścia złotych.

Janczur wyjął z kieszeni obłożony w czarne plastikowe okładki wojskowy kalendarzyk. Przewertował go szybko i odnalazłszy mały plik banknotów rzekł:

- Ja mam sześć dych. Na przepustce dostałem trochę kasy od starych.
- Jeden ma za mało, drugi ma za dużo – mówił Haczyk licząc drobne monety, które znalazł przeszukawszy wszystkie kieszenie. – Zróbmy więc ściepę, a rozliczymy się po żołdzie. Co wy na to?

Wszyscy spojrzeli po sobie i niemal chórem krzyknęli:

- Robimy ściepę!
- Robimy! – powtórzył Banasik.

Tymczasem Grzela miał jeszcze wątpliwości, co do tego, czy chce pójść do burdelu. A nuż trafi się mu jakaś paskudna Rosjanka? Nie ma takiej możliwości, żeby poszedł z nią do łóżka! Wszak cena, pięćdziesiąt złotych za godzinę, sugerowała, iż nie można oczekiwać zbyt wiele. Na wszelki wypadek zwrócił się więc do Zięby zapytaniem:

- Ty słuchaj, a jak któraś nie będzie mi się podobała to można się wycofać?
- Śmiało, że można. Przecież to jest obowiązkowe.
- No to idę – rzekł Grzela po chwili zastanowienia. – Ale zdecyduję się dopiero na miejscu.

Banasik zdjął wiszącą u sufitu lampę naftową i położył ją na taborecie tak, aby lepiej oświetlała łóżko, na którym kładziono przeznaczone na zrzutkę pieniądze. Janczur liczył, ile kto dał i notował w kalendarzu. Po obliczeniu wszystkich pieniędzy okazało się, że aby każdy z nich mógł przez godzinę zabawić się z panienką, brakuje im stu złotych, a niestety, nie mieli już ani złotówki więcej.

- Nie stać nas na tą imprezę – powiedział z rezygnacją. – Może innym razem. Po żołdzie.
- Ile brakuje? – zapytał Banasik.
- Sto złotych.
- To może opchnąć beczkę ropy jakiemuś chłopu ze wsi? - zaproponował Haczyk. – Wiem, którą beczkę można doprowadzić, tak, że nikt się nie zorientuje. Tylko komu ją sprzedać tak szybko i to na dodatek w nocy?
- Mam kontakt – rzekł Zięba. – Sprawdzony!
- Kto to taki?
- Chłop ze wsi. Ma szklarnie, dwadzieścia hektarów pola i dwa ciągniki. Ropa jest mu potrzebna. Sam mi proponował, że jakby co, to kupi - powiedział z dumą w głosie, rad, iż posiada takie znajomości w wiosce.
- To co, chłopaki? – Banasik potoczył wzrokiem po twarzach kompanów. – Sprzedajemy tę ropę?
- Zdaje się, że nie ma innego wyjścia. Sprzedajemy – odpowiedział Janczur.
- Sprzedajemy! – potwierdził Zięba.

W otwartej konserwie pozostała resztką bigosu. Banasik doznawszy gwałtownego przyływu sił witalnych poczuł niesamowity głód. Wyjął z kieszeni niezbędnik i zjadł wszystko, co zostało w środku. Czyszcząc chusteczką łyżkę bąknął do siebie: „trochę nieświeży ten bigos. Skąd ten Haczyk go wytrzasnął?”. Nic jednak nie powiedział na głos, gdyż Janczur zarządził:

- Wychodzimy, panowie!

Wkrótce wszyscy opuścili namiot i podążyli w kierunku budynku koszar, obok których znajdowało się wejście na strefę.

Comment [k4]: Poprawione z którego na których

Kilka minut później znaleźli się obok agregatu prądotwórczego. W czasie poligonu urządzenie to pracowało dużo częściej niż zazwyczaj, dlatego otaczało je dziesiątki pustych beczek po ropie. Wydzielaty one wokół tłustą woń paliwa. Haczyk zbliżył się do stanowiska z gaśnicami i wskazał dwie stojące obok siebie, częściowo przykryte siatką maskującą, dwie duże dwustulitrowe beczki. W świetle wiszącego wysoko na dachu wierzchołkami drzew księżyc, każda z nich wyglądała tak samo. Haczyk pochylił się, przyjrzał się im uważniej i wskazując palcem jedną z nich, rzekł szeptem:

- To ta. Tę bierzemy.

Wiatr zaszumiał między gałęziami. Znad pola namiotowego dobiegło hukanie puszczyka. Z rosnącego obok agregatu drzewa zerwało się jakieś wielkie ptaszysko i głośno trzepocząc skrzydłami pofrunęło w las. Kilka zerwanych przez nie jesiennych liści, szeleszcząc w czasie lotu, spadło w dół, tuż pod stopy Grzeli.

- O Boże! Toć my są złodzieje! – szepnęła pocziwy żołnierz. – Jeszcze nas ktoś nakryje! – rzekł, z lękiem rozglądając się dookoła.
- Pojebało cię? – zganił go Haczyk. – Jacy złodzieje? Tę beczkę jutro miał podpnieprzyć chorąży z PKT. Lepiej, jak my ją opchniemy. Bo komu bardziej się należy jakaś rozrywka za to gnicie w syfie, nam czy trepom?
- Śmiało, że nam! – odezwał się Janczur. – Trepy to mogą się bawić codziennie! – pochylił się nad beczkami zapytał: - To ta pierwsza?
- Tak – potwierdził Haczyk. Rozejrzał się dookoła i dodał szeptem: - W dzień widziałem tutaj dwukołowy wózek. Gdzie on jest? – rzekł mocno zaniepokojony. – Spróbuję go odnaleźć. Poczekajcie!

Obiegł agregat dookoła, wyszedł z powrotem na drogę, którą tutaj przyszli, klnąc pod nosem wybiegł na wysoki nasyp, przez chwilę stał na jego szczycie lustrując wzrokiem pobliski teren, poczym zbiegł w dół i dysząc głośno oznajmił:

- Nie ma! Ktoś musiał zająć!
- To jak mamy tą beczkę do chłopca przetransportować? – zezłościł się Grzela. – Pchać ją?
- Chuj! Nie ma innego wyjścia! – odezwał się Banasik. - Haczyk zakasuj rękawy i pchaj!
- Dlaczego znowu ja? – oburzył się najmłodszy fał żołnierz. Usiłowano go wykorzystać już po raz drugi! Najpierw ganiał po całej jednostce żeby podgrzać bigos o dwunastej w nocy, a teraz z kolei chcą, aby turlał ciężką dwustulitrową beczkę do wioski.
- Ból młodego! – huknął na niego Janczur. – Jeszcze jakieś dyskusje?
- Możesz nie pchać – odezwał się spokojnym tonem Banasik. – Ale pamiętaj, że jak wróci dziad, to się mu powie jakżeś się kito sprawował!

Maciąg ze złością tupnął butem w ziemię i rzekł z rezygnacją:

- No dobra, będę pchał!

Wręcz nie mógł się doczekać jak przyjdą jego młodzi. Za te wszystkie upokorzenia da im taką szkołę, że na długo popamiętają wnikanie w fałę. Zobaczą jak wygląda prawdziwe wojsko! Ale to wszystko i tak będzie niczym w porównaniu do tego, co przeżył on - ich dziad! W marzeniach wyobrażał sobie, jak rzuca na glebę wszystkich przyszłych swoich młodych (co najmniej trzydzieści sztuk młodych kotów!) i każe im robić pompki na tępa. Tempo raz – do góry, tempo dwa – w dół. I widzi jak pięknie falują, jak podnoszą się na rękach i opadają. Tempo raz! Tempo dwa! Tempo raz! Tempo dwa! A teraz dzieli ich na dwa rzędy. Lewy rząd tempo jeden, drugi rząd tempo dwa! I widzi jak pięknie jeden rząd idzie w górę, a drugi leci w dół. „- Ruchy, tam dziadki, kurwa, ruchy!” – pogania. Obrzucają go pełnymi nienawiści spojrzeniami, dysząc ciężko ze zmęczenia. Nie boi się. Jest ich dziadem, jest ich panem. Tempo raz! Tempo dwa! „- Wolniej, wolniej się ruszają. Zagęszczają ruchy!” – krzyczy, a oni drżą ze strachu przed nim. Bez obawy wchodzi między dwa rzędy robiących pompki żołnierzy i woła: „Tempo raz! Tempo dwa!”. A oni cały czas posłusznie wykonują jego rozkazy, gdyż ma nad nimi władzę absolutną – jest ich Królem, i jak zechce będą go nosili na rękach!

Z pięknej mrzonki wyrwał go krzyk Banasika:

- Haczyk! Kopnąć cię w dupę?! Ruszaj się z tą beczką, bo mnie się do burdelu chce!
- Dobra, dobra. Już pcham! – odpowiedział z nieukrywaną złością.

Złapał pierwszą z brzegu beczkę i wytoczył ją na plac obok agregatu. Teren w tym miejscu był nierówny, mnóstwo dziur i kolein, toteż zmachał się niemiłosiernie i dostał mocnej zadyszki. Nie poprosił o pomoc tych jełopów, którzy trzymając ręce w kieszeniach, nabijali się z niego, za jego plecami. Nawet wówczas, gdy beczka utknęła w głębokiej koleinie po ciężarówce, stękając z wysiłku, wydobył ją stamtąd samodzielnie i wypchnął na wyłożoną betonowymi płytami drogę. Tutaj toczenie beczki szło już znacznie łatwiej, wystarczyło tylko co kilka metrów pchnąć ją mocno nogą. Haczyk cały czas słyszał kroki i głośny śmiech idących za nim współtowarzyszy z namiotu. Każdy z nich był po obcinie i dawno już zapomniał o bólu młodego. Co więcej, sprawiali wrażenie, jakby nigdy wcześniej nie byli młodymi, jakby po przyjsciu do wojska od razu zostali obcięci. Nie lubił ich, momentami nawet nienawidził, ale nic nie mógł im zrobić. Wprawdzie im nie, ale niech no tylko wreszcie przyjdą jego młodzi... Oczyma wyobraźni wracał do sceny: „- Tempo raz! Tempo dwa! - woła a jego młodzi posłusznie padają na ziemię i podnoszą się z niej. Wychodzi z szpaleru ostatkiem sił robiących pompki żołnierzy i wspaniałomyślnie nakazuje im: „Powstań!”. Podnoszą się powoli, narzekają na piekące z bólu przedramiona, a on, krzycząc głośno, wydaje im następne polecenia. Wszyscy rozbiegają się do sal, a po chwili, przebrawszy się, wracają na korytarz. Większość z nich ma na sobie pasiaste pizamy. Sześciu młodych, od pasa w górę łącznie z twarzami, pomalowało się czarną pastą do butów, tak, że wyglądają jak murzyni. Dwóch żołnierzy ma na sobie naciągnięte wzdłuż tułowia szalokominiarki, co upodobnia ich do dziewczyn w spódniczkach mini. Murzyni niosą z sobą

łóżko, którego ramy zostały owinięte w pozłotki od czekolady, wywołując wrażenie, jakby zostało ono wykonane ze złota. Do jego obydwu boków przywiązano duże puszyste pompony w kolorach wiosny, a z tyłu przytwierdzono wielką chustę z piękną nagą kobietą i napisem „Haczyk – Król Fali”. Murzyni stawiają łóżko na podłodze. Haczyk czeka, aż najpierw wejdą na nie dwie kobiety-niewolnice, a następnie sam wygodnie na nim się usadawia. Władczym głosem wydaje komendę: „Kierunek świetlica!”. Sześciu murzynów podnosi do góry złotą lektykę i krocząc równomiernie niesie ją we wskazane miejsce. Długa kawalkada ciągnie się przez korytarz. Przed lektyką idzie żołnierz, który podrygując imitującym budygana sztyłem od miotły narzuca rytm piosenki „Godzina piąta, minut czterdzieści ...”. Głośno śpiewa ją cała masa ubranych w pasiaste pizamy młodych, którzy uformowani w kolumnę dwójkową powoli podążają za lektyką. Kawalkada przemierza się przez korytarz i wchodzi na świetlicę. Murzyni stawiają lektykę tuż przed telewizorem obok taboretu, na którym stoi szklanka pachnącej aromatycznie kawy. Jedna z niewolnic podaje swemu władcy kawę a drugą wręcza mu pilota do telewizora. Haczyk popija kawę i jednocześnie przelatuje pilotem po kanałach. W końcu trafia na swoją ulubioną bajkę: „Król Lew” i ogląda ją zapominając o całym świecie. W tym czasie cała towarzysząca mu świta grzecznie siedzi na krzesłach, nie śmiać nawet głośno oddychać, kiedy on, ich władca, ogląda telewizję...”

Łoskot wystrzału, który dobiegł od strony znajdujących się za ogrodzeniem stanowisk wartowniczych, gwałtownie wyrwał Haczyka z słodkiej mrzonki.

- Co się kurwa dzieje?! – krzyknął Janczur. Popatrzył w stronę skąd dobiegł huk i dodał szeptem nie kryjąc zaniepokojenia: – To chyba któryś z wartowników!
- Coś musiało się stać! Albo ktoś wlaź na posterunek, albo przypadkiem komuś giwera odpaliła – mówił Banasik lustrując wzrokiem ścianę lasu, zza której dobiegł dźwięk wystrzału – Ale to pół kilometra stąd. Nic nam nie grozi!

Wielka sunąca przez gwiazdziste niebo chmura, przesłoniła tarczę księżycą. Zrobiło się dużo ciemniej. Przez las przetoczył się powiew chłodnego wiatru. Zaszleściły gałęzie drzew. Znad pola namiotowego dobiegło hukanie puszczyka.

- Co robimy? – zapytał Grzela. – Wracamy się?
- Niby po co? – odpowiedział Banasik zbliżając się do beczki. – Za pięć minut będziemy przy starej bramie, a stamtąd jest tylko pół kilometra do wsi. Lepiej pomóżmy Haczykowi pchać!
- Masz rację! – zgodził się Janczur. – Chodźcie. Musimy się pospieszyć, bo nam jeszcze interes przed nosem zamkną!

Rozległa się salwa stłumionego wybuchu śmiechu. Po chwili wszyscy ruszyli do przodu w kilka osób, popychając przed sobą dwustulitrową beczkę. Poczuli się o wiele bezpieczniej, gdyż z lasu napłynęły tumany gęstej mgły, ograniczającej widoczność do kilkunastu metrów.

Stojąc na warcie często odnosiłem wrażenie, że gwiazdy i księżyc są symbolem bliskości domu. Gdy patrzyłem na księżyc, zdumiewała mnie ta prosta prawda, że gdybym wyszedł przed dom i spojrział w górę, księżyc wyglądałby dokładnie tak samo. Myślałem sobie wówczas, że być może w tej właśnie samej chwili wraz ze mną spogląda na niego ktoś z mojej rodzinnej miejscowości. Czytałem kiedyś opowieść o dwojgu zakochanych ludzi, którzy mimo dzielącej odległości czuli bliskość, gdyż umówili się, że zawsze o tej samej porze dnia będą patrzeć na księżyc. Uświadamiałem sobie wówczas fakt, że mimo tego, iż otacza mnie leśna głusza, że w mojej ręce tkwi chłodny karabin, a wokół nie ma żywej duszy, to jednak nie jestem na tym świecie sam, że pięćset kilometrów stąd jest rodzinny dom. Dzięki temu nie czułem się taki samotny. Czasami w przypływach romantyzmu marzyłem o tym, aby tak jak w tej opowieści, wraz ze swoją dziewczyną patrzeć o tej samej porze dnia na księżyc. Niestety w moim życiu nie było nikogo takiego. Wprawdzie znałem Elizę, o której często rozmyślałem, lecz nasza znajomość była układem czysto koleżeńskim. Na dodatek nawał służb, trzytygodniowy ZOMZ,

problemy z wyjściem z jednostki spowodowały, że zaczynałem tracić kontakt z tą poznaną prawie rok temu dziewczyną. Cóż z tego, że nawet w tej chwili, kiedy stałem na wieży wartowniczej, Eliza znajdowała się w odległości zaledwie trzydziestu kilometrów stąd, skoro widywałem się z nią raz na trzy miesiące. Liczyłem na to, że teraz, kiedy zostałem już obcięty, znacznie łatwiej będzie mi wydostać się na przepustkę. Zamierzałem więc wykorzystać tę możliwość na częstsze spotkania z tą miłą warszawianką.

Huk wystrzału wyrwał mnie z sentymentalnych rozmyślań. Dobiegł on z kierunku, na którym znajdował się drugi posterunek. Czyżby to Pawlak pociągnął za spust? Co mogło się stać? Przecież oddanie strzału, nawet tylko ostrzegawczego, było ostatecznością. Złapałem za telefon i zakręciłem korbką. Nikt nie odbierał. Nie odezwała się ani wartownia, ani mieszczący się przy bramie posterunek numer jeden. Telefonu nie podniósł też Pawlak, ale należało być cierpliwym, bo niekoniecznie musiał w tej chwili znajdować się na wieży wartowniczej. Po pięciu minutach kręcenia korbką usłyszałem trzask podnoszonej słuchawki.

- Dwójka słucham – usłyszałem głos Pawlaka.
- To ty strzelałeś? – zapytałem.
- Nie – odpowiedział ze zdziwieniem.
- A słyszałeś wystrzał na twoim posterunku?

Chwila ciszy w słuchawce.

- Nie słyszałem.

Tym razem ja nie wiedziałem, co powiedzieć. Przecież grzmotnęło, że nawet głuchy by usłyszał!

- Spałeś? – zapytałem domyślnie.
- Tak. Przysnąłem na chwilę – przyznał się.
- Niech to szlag trafi! Ktoś strzelał na twoim posterunku! Ktoś tam łązi i ma giwerę.
- O kurwa! – zaklął wyraźnie przestraszony. – Pewnie kłusownicy! Co robić? Spierdalam z tej wieży.
- Spotkajmy się w miejscu gdzie schodzą się nasze posterunki – zaproponowałem. – Spróbuję dodzwonić się na wartownię.
- W porządku. Zaraz tam będę – odpowiedział i odłożył słuchawkę.

Próby nawiązania kontaktu z wartownią spełzyły na niczym. Pomimo iż kręciłem korbką co najmniej z pięć minut, nikt po drugiej stronie nie odbierał telefonu. Nie dziwiło mnie to zbytnio, gdyż w momencie, kiedy wychodziliśmy z wartowni, żaden ze znajdujących się w niej żołnierzy nie był trzeźwy. Pewnie spali teraz na wozach i nie słyszeli dzwoniącego telefonu. Gdy zdrętwiały mi już palce od kręcenia korbką, z przekleństwem na ustach cisnąłem słuchawkę. Nigdzie wcześniej nie spotkałem się z takim olewającym podejściem do służby wartowniczej. Owszem, w Bojęcinie też wszyscy przeginaliśmy na warcie, ale nie do tego stopnia. Gdy spał, drugi czuwał za niego, w efekcie cały czas była to sprawnie działająca służba. Tutaj, w Pustelniku, pod tym względem była po prostu tragedia. W tej chwili na jednym z posterunków znajdował się uzbrojony kłusownik lub nawet kilku kłusowników, a ja z Pawlakiem zdani byliśmy tylko i wyłącznie na siebie, nie mogąc liczyć na żadną pomoc z zewnątrz.

Spoglądając z wysokiej wieży w dół spostrzegłem, że nad ziemią unosi się dywan gęstej mgły. Musiała szybko napłynąć z pobliskich mokradeł. Kiedy pół godziny temu przechodziłem ścieżką wzdłuż ogrodzenia, powietrze było czyste jak łąza. Dwieście metrów dalej, ponad korony drzew, wznosiła się sąsiednia wieża wartownicza. W świetle księżyca dawało się zauważyć schodzącą po stromych schodkach postać. Nagle rozległ się huk kolejnego wystrzału. Niemalże w tej samej chwili powietrze przeszył przepęnlony bólem ryk ranionego zwierzęcia. Schodząca po drabince postać szybko zsunęła się w dół. Złapałem za telefon i nerwowo zakręciłem korbką. Musiałem powiadomić wartownię, że w pobliżu grasuje uzbrojony kłusownik, a nam zagraża autentyczne niebezpieczeństwo! Niestety, tak jak poprzednio, nikt nie podniósł słuchawki. Pewnie wszyscy spili się i spali. Ogarnął mnie lęk. Tutaj na platformie wieży nie czułem się bezpiecznie. Nie było stąd żadnej ucieczki, a jednocalowe deski, z których została zrobiona

podłoga, nie stanowiły żadnej przeszkody dla kuli z karabinu. Kłusownik musiał być bardzo zdeterminowany, skoro wtargnął na teren wojskowy. Widząc wieżę chyba liczył się z tym, iż w pobliżu może kręcić się wartownik. Pomimo tego nie ukrywał swojej obecności oddając strzały z broni palnej. Albo czuł się bardzo pewnie, albo zablądził i nie zdawał sobie sprawy, że znajduje się w obszarze należącym do jednostki wojskowej. Chociaż, prawdę powiedziawszy, trudno byłoby mu przeoczyć ten fakt, gdyż niezależnie od kierunku, z którego nadszedł, musiał najpierw przedostać się przez ogrodzenie. Pomyślałem o Pawlaku. Strzał dobiegł z bliskiej odległości od wieży, w której przebywał. Widziałem, że bardzo szybko zsunął się ze schodów. Czyżby przestraszył się, stracił równowagę i upadł? A być może sam zszedł po schodkach, pragnąc po usłyszeniu wystrzału, jak najszybciej znaleźć się na ziemi? Postanowiłem, zgodnie z ustaleniami, pójść na miejsce spotkania. Odbezpieczyłem i przeładowałem karabin, starając się to zrobić jak najciszej, aby nie zdradzać swojej obecności. Wytężyłem słuch, gdyż wydawało mi się, że słyszę narastający tętent kopyt jakiegoś dużego zwierza, które biegnie po ścieżce wzdłuż ogrodzenia. Z chwili na chwilę odgłos, który wydawały kopyta bijące w galopie o piaszczystą ziemię stawał się coraz głośniejszy. Wreszcie przeszedł tuż pod wieżą. Zerwałem się z podłogi i wychyliwszy się za obramowanie z desek spojrzałem w dół. Przez ułamek sekundy widziałem brunatny grzbiet dużego zwierzęcia. Prędko straciłem je z oczu, ponieważ skryło się w tumanach gęstej mgły. Nie wiedziałem, co to takiego mogło być. Albo jeleni albo łos. Na pewno nic mniejszego.

Rozległ się suchy trzask elektrycznego przełącznika. Potężny reflektor mocną strugą światła rozciął czerń nocy. Skierowałem go w miejsce, gdzie sądząc po odgłosach kroków, powinno znajdować się galopujące zwierzę. Jednak światło, rozpraszając się w kropelkach mgły, utworzyło mlecznobiały klin w ciemności, który jeszcze bardziej ograniczał widoczność i raził w oczy. Skręciłem reflektor w prawo i wolno przeczesywałem teren lasu. Tam mgła była znacznie rzadsza. Reflektor wyławiał pnie drzew, zarośla, krzaki błędził po pokrytej trawą i liśćmi ziemi. W pewnym momencie, około stu metrów od wieży, zauważyłem dwa żarzące się punkciki. Wytężyłem wzrok, lecz niemalże w tej samej sekundzie wygasły. Usłyszałem dochodzący z tego miejsca szelest roztrząanych gałęzi oraz prędko oddalające się odgłosy stąpania. Kilka chwil później zupełnie gdzie indziej, rozbłysła kolejna para żarzących się punkcików. Prędko skryły się one za pniem drzewa. Nieprzerwanie zapuszczałem w las snop światła. Nie upłynęło pół minuty, jak w oddali mignęła jeszcze jedna para oczu.

Wyłączyłem reflektor. Las był pełen zwierząt. Mogły to być jelenie albo sarny. Sądziłem tak, gdyż wydawało mi się, że kiedy poruszały się, słyszałem uderzenia racic o ziemię. Tutejsi wartownicy ostrzegali nas przed tym, żeby uważać na dziką zwierzynę. Często zdarzało się, że przez posterunki przemykały stada saren, przebiegały lisy, a czasami nawet pojawiały się łos. Nikt jednak nie wspominał o niebezpieczeństwie ze strony kłusowników. Czy to nagromadzenie zwierzyny w lesie oraz grasujący na posterunku kłusownik było tylko przypadkowym zbiegiem okoliczności? Intuicyjnie wyczuwałem, że nie. Nie potrafiłem jednak odpowiedzieć, dlaczego.

Zapalając reflektor zdradziłem swoją obecność tutaj. Musiałem czym prędzej uciekać z wieży. Pawlak prawdopodobnie czekał już na mnie w umówionym miejscu. Zarzuciłem karabin na ramię i zszedłem po schodkach w dół.

Mgła unosiła się tylko tuż nad ziemią. Stojąc w niej widziałem nad głową gwiaździste niebo, lecz widoczność dookoła ograniczona była do kilku metrów. Wytężywszy słuch, ostrożnie ruszyłem wzdłuż ścieżki przed siebie. Po minucie usłyszałem dobiegający z przodu tętent kopyt. Jakieś zwierzę galopowało wprost na mnie. Odgłos dudnienia, jaki wydają racice uderzając o ziemię, nasilał się z każdą chwilą. Wreszcie zauważyłem wystające poza warstwę mgły duże kołyszące się w rytm biegu, niespotykanej wielkości poroże jelenia. Opadało w dół, częściowo niknąc we mgłę, i unosiło się w górę, jak maszty walczących z nawalnicą żaglowców. Widziałem je wyraźnie, na tle wiszącej nisko nad ziemią, tarczy księżyca. Wielkie kołyszące się rogi zbliżały się z każdą sekundą. Momentami zza mgły wynurzał się łeb i długa szyja zwierzęcia. Wkrótce zbliżyło się ono tak, blisko, że słyszałem jego szybki oddech. Błyskawicznie rzuciłem się w bok,

aby uniknąć stratowania. Jeleń wyczuł mnie lub zobaczył, gdyż wyhamował gwałtownie zaledwie kilka kroków przede mną, wyrzucając spod siebie fontanny piachu. Poczulem wywołany przez niego pęd powietrza, który przyniósł ostrą woń potu oraz zapach dzikiego zwierzęcia. Przez chwilę widziałem smukłą postać jelenia oraz piękną, rozłożystą koronę rogów. Zaszleściły krzaki, kiedy jednym wielkim susem skoczył ze ścieżki w las. Słyszałem trzask łamanych gałęzi oraz odgłosy stąpania, które znaczyły ślad jego ucieczki. Z upływem czasu stawały się one coraz cichsze, aż w końcu zanikły w szumie błędzącego między koronami drzew wiatru.

Wziąłem głęboki oddech. Zdjąłem z głowy hełm, przejechałem ręką po włosach i starłem zimny pot z czoła. Wystraszyłem się tego jelenia, aż trzęsły mi się ręce. Co z tego, że miałem karabin? W nocy można się wystraszyć nawet zająca, który raptem wybiegnie z krzaków, a co dopiero pędzącego na wprost rogatego byka!

Znad pola namiotowego dobiegło głuche hukanie puszczyka. Trzymając karabin w prawej ręce ruszyłem przed siebie. Przechodząc w miejscu, gdzie rogacz wyhamował bieg, robiąc w piachu mnóstwo głębokich śladów, zatrzymałem się. Moją uwagę przykuła ciemna plama na ziemi. Przyjrząwszy się jej uważniej stwierdziłem, że to krew. Zwierzę zostało ranione od strzału kłusownika. Skoro grasujący po lesie mężczyzna strzelił do zwierzęcia, to czy wahałby się otworzyć ogień do stanowiącego dla niego poważne zagrożenie uzbrojonego wartownika? Chyba nie! Wręcz nawet, na pewno nie! Ująłem mocniej karabin i wolnym truchtem pobiegłem przed siebie. Pawlak powinien na mnie już czekać w miejscu, gdzie schodzą się dwa posterunki. Przybiegłem tam mocno zdyszany po kilku minutach. O dziwo kolega z Bojęcina jeszcze nie dotarł w to miejsce, mimo, że miał znacznie bliżej. Co mogło się stać? Co go powstrzymało? Może jednak rzeczywiście spadł ze schodków i leży na ziemi?

Odczekałem kilka minut i powoli ostrożnie z przeładowanym i gotowym do strzału karabinem ruszyłem w stronę odległej o sto metrów stąd wieży. Szedłem bardzo czujnie, kilka kroków do przodu i stop. Nasłuchiwanie. Znowu kilka kroków do przodu i stop. Zatrzymanie oddechu i nasłuchiwanie. Kłusownik znajdował się w tym rejonie. Musiałem wyteńczyć zmysły i wzmóc czujność, aby nie dać się zauważyć. Chłodna stal kałasznikowa dawała pewne poczucie bezpieczeństwa. Pewnie ma dubeltówkę - myślałem - a ja mam karabin maszynowy. Nie muszę dokładnie mierzyć. Mogę strzelać seriami. Mam trzydzieści sztuk, on ma dwa naboje. Jak nie trafi za pierwszym razem, to musi przeładować. Wtedy nie ma szans. Byle nie dać się zauważyć, byle nie dać się zaskoczyć.

Idąc cały czas brzegiem lasu zbliżyłem się do wieży. Dzielila mnie od niej odległość kilkunastu metrów. Widziałem ją całą jak na dłoni. Gdzie jest Pawlak? Żebyśmy tylko nie zaczęli strzelać do siebie! W miejscu, gdzie metalowe schodki stykały się z ziemią, leżał jakiś okrągły połyskujący przedmiot. Wyteżyłem wzrok i rozpoznałem w nim wojskowy hełm. Hełm Pawlaka! Zostawił go tutaj. Nie wziął. Dlaczego? Pewnie rzucił się do ucieczki. Jeśli tak, to którą drogą uciekać? Najprawdopodobniej wzdłuż ogrodzenia w kierunku pola namiotowego, tą samą drogą, którą tutaj przyszliśmy. Właśnie tak zrobiłbym na jego miejscu. Rozległ się cichy dźwięk dzwonka telefonu. Dobiegał z platformy na wieży. Dzwonili z wartowni! Czyżby zorientowali się, że coś jest nie tak, czy to tylko rutynowa kontrola służby?

Postanowiłem odebrać ten telefon. Tylko tą drogą można było poinformować, co się tutaj dzieje i sprowadzić pomoc. Wiązało się z to z dużym niebezpieczeństwem, bo musiałem wejść na otwarty, niczym nie osłonięty teren. Wieża stała na polanie w dobrze widocznym miejscu. „Zaryzykuję” – przemknęła mi przez głowę myśl szybka i jasna jak błyskawica. Pochyliłem się i wybiegłem z lasu na polanę. Skulony prędko podążałem przed siebie. Pędziłem ku metalowym schodkom. Dobiec do nich, wspiąć się w górę i odebrać telefon. Jedyne liczące się w tym momencie cel. Przebiegłem kilkanaście metrów. Nic mi się nie stało, nikt nie strzelał, nic się nie poruszyło. W końcu poczułem w rękach chód barierki. Popatrzyłem w górę. Piętnastometrowe metrowe strome schodki. Będzie mnie na nich widać jak na patelni. Co robić? Iść, nie iść? Nie wycofuję się! – zdecydowałem. Karabin na plecach i jazda do góry! Uderzenia butów o metalowe

stopnie, rosa na barierce, dźwięk dzwoniącego telefonu, głęboki zmęczony oddech, w połowie drogi lęk, że widać mnie z daleka. Wreszcie widzę platformę. Jeszcze kilka kroków; raz, dwa, trzy, cztery, podciągnięcie w górę i łomot - leżę na podłodze! Uff! Nie widać mnie! Jestem osłonięty deskami. Na czworaka podchodzę do telefonu i wyrywam do góry słuchawkę.

- Dwójka słucham! – zgłaszam się.
- Kapitan Kamiński. Co to za strzały w lesie, żołnierzu?
- Kłusownicy panie kapitanie! Na tym posterunku. Na dwójce.
- Jebana kurwa mać! Czego nie meldujesz na wartownię?
- Dzwoniłem! Nawet kilka razy!
- Trojka się nie zgłasza! - mówił kapitan. – Próbuje się z nim kontaktować. Telefonicznie! Nie idź tam!
- Dobrze. Będę dzwonił – zawołałem. Trep nie wiedział, że to ja pełniłem służbę na trzecim posterunku.
- Wysyłam patrol! – usłyszałem jak odjął słuchawkę od ust i zawołał: - Dowódca warty, dzwoń na policję! Kłusownicy! – po chwili znów wyraźnie słyszałem jego głos mówiący do mnie: - Uważaj na patrol, żebyście się nie powystrzelali. Siedz na wieży i nigdzie się nie ruszaj!
- Tak jest!

Trzask odkładanej słuchawki.

Siedzieć na wieży i nigdzie się nie ruszać! Dobrze sobie! A niby jak stąd uciec, jeśli zauważy mnie kłusownik? Postanowiłem nie zastosować się do rozkazu kapitana i skryć się w pobliskim lesie. Tam z całą pewnością będzie o wiele bezpieczniejsz czekać na patrol. Przejechałem ręką po policzku ścierając ziarenka piasku, które przykleiły się, gdy zaryłem twarzą w zbitą z desek podłogę. Zauważyłem, że drżą mi palce. Najadłem się strachu jak nigdy dotąd na warcie. Jadąc do Pustelnika spodziewałem się nudnego odbębnienia służb, a tu tymczasem okazuje się, że dzieją się rzeczy żywcem wyjęte z kronik policyjnych. Kłusownicy na posterunku. Kto by się spodziewał?

Nagle ciszę nocy przeciął dochodzący z leśnej głuszy tubalny ryk. Powietrze wokół zdawało się wibrować. Wydawałoby się, że dźwięk ten nie wydobywa się z gardła zwierzęcia, lecz wielkiej tuby. Ryk rósł, potężniał i przybierał na sile. Wnet zagłuszył wszelkie inne odgłosy lasu. To ryczał jeleni, który rzucał wyzwanie dla rywali i jednocześnie wabił do siebie łanie. Moc jego głosu zdradzała zdrowie i siłę, co na innych byków miało działać odstraszająco, a dla łań oznaczać, że w pobliżu znajduje się godny zainteresowania samiec. Ryk przez pewien czas rozbrzmiewał z tą samą głośnością, a później zaczął cichnąć. Gdy zamilkł całkowicie, zdawało się, że nastąpiła zupełna cisza. Dopiero po pewnym czasie na nowo rozszumiały się drzewa, zahulał wiatr, zaszumiały liście, a gdzieś niedaleko zatrzepotały skrzydła podrywających się do lotu ptaków.

Wstałem z podłogi i ogarnąłem wzrokiem rozciągający się daleko jak okiem sięgnąć las. Z prawej strony, tuż nad krawędzią horyzontu, wisiała srebrzysta tarcza księżyca. Jego chłodny blask padał na puszcę, która zdawała się tworzyć rozciągnięty dookoła, srebrzący się dywan. Górą przemieszały się chmury. Rozświetlone u wierzchołków, ciemne od spodu, przypominały czarne okręty sunące przez gwiazdziste niebo. Ich groźne kształty odbijały się w tafli jeziora znajdującego się na pobliskiej polanie. Z zupełnie innego miejsca niż poprzednio dobiegł jeszcze jeden ryk jelenia. Znacznie cichszy, gdyż zwierzę znajdowało się o wiele dalej. Po pewnym czasie w odpowiedzi rozległo się tubalne ryczenie rogacza, znajdującego się gdzieś bardzo blisko wieży. W jednej chwili zdałem sobie sprawę, co łączy obecność kłusownika na posterunku oraz tak dużą ilość jeleni – Rykowisko! Skąd jednak kłusownik wiedział, że właśnie tutaj schodzą się te zwierzęta, aby odprawić gody? Czyżby działo się tak cyklicznie co rok? Niewykluczone że tak, chociaż prawdę powiedziawszy, dziwił mnie fakt, że rykowisko miałyby odbywać się na obszarze należącym do jednostki wojskowej. W jaki sposób jelenie i łanie przedostawały się przez ogrodzenie z kolczastych drutów w tą część lasu gdzie miesiły się posterunki wartownicze? Przez

dziury? Musiałyby być bardzo duże! Przeczuałem, że na to pytanie nigdy nie uzyskam odpowiedzi.

Decyduję się zejść z wieży. Odwracam się tyłem i stawiam nogę na schodkach. Schodzę. Buty pobrząkują po metalowych stopniach, na plecach kołysze się karabin, dłonie przesuwają się po chłodnej zroszonej barierze. Czuję lęk, lecz znacznie mniejszy niż wówczas, gdy wspinałem się do góry. Wartownia jest już o wszystkim poinformowana. Zaraz będzie tutaj patrol. Co najmniej czterech uzbrojonych żołnierzy. Z nimi będę mógł czuć się bezpiecznie. Staję na ziemi i od razu biegnę schować się do lasu. Wpadam w zarośla i zza krzaków obserwuję polankę. Cisza i spokój, tylko drzewa szumią na wietrze. Uspokojony, poprawiam łądownicę, która zawisała na samej sprzączce pasa, zarzucam na ramię kałasznikowa. Teraz pozostaje tylko cierpliwie czekać na patrol. Powinien nadejść drogą, która biegła wzdłuż ogrodzenia. Na pewno zauważę ich w świetle księżycy. Uświadamiam sobie, że gdzieś tutaj musi być Pawlak. Gdzie on się podział? Wołać go? To zbyt niebezpieczne. Może mnie dosłyszeć grasujący gdzieś w pobliżu kłusownik. Nagle, ku mojemu zdziwieniu, słyszę dobiegające z prawej strony ciche rzenie konia. Czy ja oby się nie przesłyszałem? Koń? Co robi koń na terenie jednostki wojskowej? W chwilę potem jeszcze raz słyszę rzenie, tym razem nawet trochę głośniejsze. Nie ma mowy o tym, abym się przesłyszał. Gdzieś w pobliżu znajdował się koń! Wychyliłem się z zarośli i jeszcze raz uważnie zlustrowałem wzrokiem polankę. Nie zauważyłem nic niepokojącego. Rzenie zdawało się dolatywać z małej leśnej dróżki. Co robiło tam to zwierzę? Ciekawość zwyciężyła lęk, który cały czas odczuwałem. Od miejsca, w którym droga wychodziła na polankę, dzieliło mnie zaledwie trzydzieści metrów. Wyszedłem z krzaków i cały czas mając po prawej stronie leśne zarośla, pobiegłem w stronę skąd dochodziło rzenie konia. Po pewnym czasie zauważyłem na dróźnie ledwo zarysowujące się na tle lasu kontury jakiegoś obiektu. Zbliżając się wyławiałem w ciemności coraz więcej szczegółów. W końcu znalazłem się na tyle blisko, że rozpoznałem w nim drewniany wóz konny. Wóz stał trochę w poprzek dróżki. Zaprzężony do niego jasnej maści ogier opuściwszy szyję skubał spokojnie trawę. Na mój widok poderwał łeb w górę, uderzył kopytami w ziemię i wydał z siebie odgłos rzenia połączony z kwiczeniem. Wozem szarpnęło mocno. Coś przesunęło się na nim z łomotem i pozostało w bezruchu. Poza drewniane burty wysunęły się smukłe, zakończone racicami nogi. Zajrzawszy do środka zobaczyłem leżącego w kałuży krwi jelenia. Głowa tego zwierzęcia spoczywała w nienaturalnej pozycji gdyż wielkie rogi uniemożliwiały położenie jej na podłodze wozu. Rogacz zadawał się wpatrywać we mnie szklistymi oczyma. Odsunąłem się z przestrachem. Zaskoczył mnie ten makabryczny widok! Przeląknęłem się też, że gdzieś w pobliżu znajduje się kłusownik. Odwróciłem się i zacząłem biec w miejsce, gdzie wcześniej zdecydowałem się czekać na patrol. Zaledwie jednak zrobiłem kilka kroków, zauważyłem postać idącego polanką człowieka. Znajdował się w odległości dwudziestu metrów. On również mnie zauważył. Na ułamek sekundy obydwaj zatrzymaliśmy się stojąc w bezruchu.

- Służba wartownicza! Stój, kto idzie! – krzyknąłem wychodząc z zaskoczenia. Czuję jak wali mi serce. Widziałem, że tamten trzyma w ręce dubeltówkę. Wycelowałem w niego karabin i przeładowałem go. Mechanizm zamka wydał ów charakterystyczny trzask, który osadzał w miejscu biegnących i powodował, że momentalnie trzeźwili pijani. Jako że karabin był już poprzednio przeładowany z komory naboju wyleciał nabój i w pełniej napięcia ciszy potoczył się z brzękiem po kamieniach.
- Wartownik! Nie strzelaj! – zawołał mężczyzna – Ja swój chłop. Z Pustelnika jestem!
- Kłusownik jesteś! – krzyknąłem.
- Dogadamy się żołnierzu, dogadamy! – mówił, cały czas wolnymi krokami podchodząc do mnie. – Ile ci płacą żołdu?

Jego postać rosła na tle tafla jeziora. W prawej ręce trzymał strzelbę. Widocznie na znak tego, że nie zamierza jej użyć, zarzucił ją na ramię.

- Ja dam ci dziesięć razy więcej – przekonywał. – Nawet i dwadzieścia! Ale masz siedzieć cicho!

Znajdował się w odległości kilkunastu kroków i wciąż podchodził do mnie. Nie wierzyłem jego słowom. Na pewno chciał uspić moją czujność, zwieść obietnicami, a następnie napaść na mnie i zabrać mi karabin, nie wspominając o tym, co mógł zrobić później. Odskokczyłem do tyłu, wyciągnąłem przed siebie lufę kałasznikowa i krzyknąłem ostrzegawczo:

- Stój, bo strzelam!

Zatrzymał się, ale tylko na moment.

- Spokojnie, wartownik spokojnie! – mówił nadal idąc małymi krokami do przodu. – Mamy tu piękną sztukę do upolowania. Czasu trochę potrzebujemy, czasu...
- Stój! Nie zbliżaj się! – krzyknąłem widząc, że kłusownik ignoruje wszystkie moje polecenia. W jednej chwili poczułem przejmujący lęk. Czuję jak wali mi serce, słyszałem szum krwi w uszach. Instykt przetrwania mówił mi o tym, aby nie bawić się w żadne ceregiele, lecz strzelić serią prosto w niego. Tak, aby przetrwać. Nie dać się zabić lub okaleczyć. Zapewnić sobie bezpieczeństwo a później niech się dzieje, co chce. Liczyły się tylko te sekundy, to, co dzieje się teraz. Położyłem palec na spuście.
- Nie strzelisz! – powiedział spokojnym, pełnym przekonania tonem. – Dam ci dwie stowy a ty pójdziesz sobie stąd tak jakby nas tu nie było...

Ogłuszający grzmot przetoczył się przez las. Siła odrzutu szarpnęła karabinem. Słysząc szcęk zamka. Gwizd w uszach a poza tym już nic. Zdaje się, że cisza. Strzeliłem! Zdumiewa mnie to! Dokładnie tak jak na szkoleniach. Ostrzegawczo wypaliłem w powietrze.

Kłusownik upadł na ziemię. Gdy przebrzmiało echo wystrzału, poderwał się błyskawicznie na równe nogi i trzymając strzelbę w ręce popędził w moim kierunku. Boże, co robić? Wygarnąć do niego? Kilka kroków za nim z leśnych zarośli wynurza się jakaś przygarbiona postać. Kto to jest? Jego współnik? Rozpoznaję mundur żołnierza. To Pawlak! Wybiega z lasu, po kilku sekundach dogania kłusownika i jak pantera skacze na niego od tyłu, powalając go na ziemię całym ciężarem swego zwalistego cielska. Słysząc krzyk zaskoczonego mężczyzny. Odgłosy szamotaniny. Ktoś zawył z bólu. Rzucam się, co sił w nogach, aby pomóc Pawlakowi. Raptem wyczuwam ruch za moimi plecami. Rozlega się wołanie – „Kazan! Bierz go!”. Odwracam się gwałtownie i widzę wilczura sadzącego wielkimi susami wprost na mnie. W oddali przy wozie, stoi mężczyzna, który krzyżąc głośno szczuje psa: „Bierz go! Zabij! Kazan bierz go! Zaduś! Wilczur szczekając chrapliwie bieży do mnie. Dostrzegam zjeżoną na jego karku sierść, skulone po sobie uszy i białe kły wystające spod podniesionych do góry warg. Napotykam wzrokiem jego płonące żądzą mordę ślepie. Jeszcze dwa skoki i rzuci się na mnie. Naciskam cyngiel. Kałasznikow z hukiem wyrzuca z siebie serię pocisków. Wilczur traci prędkość. Spada na ziemię i zamiast następnego skoku wykonuje bezładnego fikołka. Przez chwilę toczy się jęcząc i szczekając boleśnie. W końcu całkowicie wytraca pęd i zatrzymuje się w miejscu. Trwa to zaledwie ułamek sekundy, bo w chwilę potem zrywa się i z podkulonym ogonem, szczekając boleśnie kulejąc ucieka w stronę lasu. Jedna z przednich łap majta się chaotycznie. Pies wpada w krzaki i kwiląc ucieka w głąb lasu.

Niespodziewanie słyszę grzmot pojedynczego wystrzału i jednocześnie świst kuli, która przeszła gdzieś obok. Patrzę w miejsce skąd doleciał huk. Widzę stojącego przy wozie mężczyznę. Wiatr odślania jego postać znosząc na bok obłok białego dymu. Podrywa do góry strzelbę i mierzy we mnie. Rzucam się na ziemię. Huk! Obok mnie wyskakuje fontanna ziemi. Czuję lęk. Przeróżny lęk! Odwracam się na plecy i widząc tarczę księżycy, walę serią w kierunku gdzie powinien znajdować się atakujący mnie kłusownik. Jestem świadom tego, że zużył dwa naboje i musi teraz na nowo załadować broń. To najlepszy moment do kontrataku, jest teraz bezradny! Przekręcam się na brzuch i podrywam do góry, gotów do biegu. Widzę jednak, iż tamten porzucił broń i pędzi wprost na mnie. W jego ręku błyszczy klinga myśliwskiego noża. Dzieli nas odległość dziesięciu metrów. Przymierzam się do strzału celując w jego nogi. Chwila

wahania. Na pewno chcę to zrobić? Mężczyzna zamachuje się ręką wyrzucając nóż. Wciskam spust, lecz wstrzymuje mnie ogłuszająca kanonada za moimi plecami. Krótkie spojrzenie za siebie. Kątem oka dostrzegam kilku wbiegających na polaną żołnierzy. To wartownicy z patrolu! Prują seriami w powietrze. Potworny piekący ból przeszywa ramię. Nóż kłusownika! Moment utraty kontroli nad sytuacją i dostaję nożem! Na szczęście chyba niegroźnie. Znowu patrzę przed siebie. Napastnik zdając sobie sprawę, że nie ma szans z dużą grupą uzbrojonych wartowników, ucieka w stronę lasu. Widzę jego plecy, które mimo tego, iż się oddala, zdają się być wielkie jak płachta. Czuję potworny ból w lewym ramieniu.. W mojej głowie, jak burza przetaczają się uczucia krzywdy, żalu, gniewu i wreszcie wybuchają gejzerem w żądy odwetu. Podnoszę do góry karabin i pruję serią nad głową kłusownika. Ogłuszający przeciągły grzmot wydobywa się z kałasznikowa. Pociski wylatując z lufy, tną powietrze długą białą smugą. Mija jedna sekunda, druga, trzecia, czwarta, piąta...Wciąż strzelam. Wokół mnie powstaje obłok dymu. Karabin szarpie. Trzymam go mocno w rękach. W końcu słychać suchy trzask iglicy. To już cały magazynek.

Kłusownik pada na ziemię. Rozkłada ręce na boki i woła z przestrachem „Nie strzelać! Nie strzelać!”. W chwilę potem milkną krzyki, nawoływania i odgłosy walki. W ciszy, która nastąpiła, daje się słyszeć bojaźliwe rżenie przypiętego do wozu siwego ogiera.

- Trzeba było zabić skurwysyna! - słyszę za sobą głos Pawlaka.
- Rzucam karabin na ziemię. Patrzę z nienawiścią na ten służący do zabijania kawałek żelastwa. Zdejmuję czapkę i ciskam ją w powietrze.
- Pierolony mon! – odwracam się, mijam Pawlaka i trzymając się ręką za krwawiące ramię dodaję: – Nie po to tu przyszedłem, aby ktoś do mnie strzelał, ani ja do kogoś!
- Pawlak nie pozwala się wyminąć. Łapie mnie za rękę.
- Nic ci się nie stało? – pyta.
 - Nożem dostałem – odpowiadam, z troską przyglądając się widocznej przez rozcięty materiał rance. – Boli jak cholera...
- Wartownicy z patrolu pojмали obydwa kłusowników. Twarz jednego z nich wydawała mi się dziwnie znajoma.
- Popatrz! Przecież to ten, co rano w kantine pytał się czy chodzimy tu na warty! – zawołałem szarpiąc kolegę za rękaw.
 - Rzeczywiście. A to skurwysyn!
- Od grupki wartowników odrywa się rozprowadzający. Podchodzi do nas, przejeżdża ręką po zroszonym potem czole i pyta.
- Co jest chłopaki? Wszystko w porządku?
- Milczę cały czas mając w oczach scenę, kiedy widzę celującego do mnie kłusownika i fontannę ziemi, która wzbija się po tym jak oddał strzał. Nie mieści się to w mojej głowie, że ktoś próbował mnie zabić. Dlaczego? Dlatego, że założyłem na siebie zielony mundur i poszedłem na wartę? Czy to jest powód żeby do mnie strzelać?
- Paślawski, co jest? – pyta rozprowadzający.
- Pawlak przygląda mi się uważnie.
- Jest w szoku – mówi. – Strzelali do niego.
 - Kurwa, żołnierz, co się z tobą dzieje? – rozprowadzający szarpie mnie za rękę. – Kontaktujesz?
 - Wszystko w porządku – odpowiadam. – Najważniejsze, że nie pozwoliliśmy im wyłowić rybek – siłę się na żalony żart.
- Pawlak zanosi się śmiechem.
- Jakich rybek? – rozprowadzający przygląda mi się z wyraźnym zaniepokojeniem. – Oj, żołnierz, żołnierz widzę, że bez psychiatry się nie obejdziesz.
 - Szczerze powiedziawszy wolę urlop – mówię podnosząc z ziemi czapkę a następnie karabin.

Prowadząc przed sobą złapanych kłusowników wracamy na wartownię.

W tym samym czasie kilometr dalej w wiosce Pustelnik ekipa żołnierzy, która wybierała się do burdelu, sprzedała beczkę ropy miejscowemu rolnikowi. Obydwie strony były w stu procentach zadowolone z przeprowadzonej transakcji. Rolnik cieszył się, iż za bezcen nabył dwieście litrów oleju, a żołnierzy zadawała fakt, że weszli w posiadanie pięknego zielonego, sztucznotowego banknotu, w tej sytuacji będącego dla nich przepustką do krainy cielesnych rozkoszy.

Oddalili się około stu metrów od stojącego obok drogi murowanego domu rolnika. Księżyc rozświetlał okoliczne równiny, na których widniały szachownice zaoranych pól uprawnych i rzadkie kępki drzew. Za ich plecami pozostała mroczna i groźna ściana lasu, a przed nimi w odległości dwóch kilometrów zarysowywały się zabudowania wioski.

Niespodziewanie, ciszę nocy przeciął warkot silnika, jednocześnie drogę zalała padająca z tyłu struga światła z reflektorów. Odwrócili się machinalnie. Z zagrody rolnika wyjeżdżał na drogę traktor. Skręcił w lewo i z wyjącem na najwyższych obrotach silnikiem podążył w ich stronę. Oślepieni fangą światła, nie widzieli kierowcy, słyszeli natomiast jego pełne gniewu i wściekłości wołanie:

- Stójcie złodzieje! Zatrzymać się! Oddawać kasę!

Janczur łypnął surowym wzrokiem na Haczyka.

- O co tutaj chodzi? – krzyknął łapiąc go za ramię. – Jacy złodzieje? Gadaj!

- Nie wiem! – odparł żołnierz z nie budzącą wątpliwości szczerością. – Kurwa, nie mam pojęcia, dlaczego wyzywa nas od złodziei!

- Nieważne! - wtrącił się Grzela. – Kasa jest, to wiejemy! I tak na nas nie doniesie, bo sam się wkopie!

Traktor był już coraz bliżej. Światła reflektorów wyraźnie oświetlały pobocze. Warkot silnika stawał się coraz głośniejszy.

- Przez pola uciekajmy! Przez pola do wioski! – krzyknął przytomnie Grzela.

Przeskoczyli przez przydrożny rów i co sił w nogach pognali przed siebie. Pędzili przez zagony ziemniaków, łąki i szeroką oraninę. Z tyłu dolatywało ich wołanie rolnika, który zatrzymał ciągnik i stał na skraju drogi gniewnie wymachując rękoma. Nie zaryzykował jednak puszczenia się w pogoń.

W pewnym momencie Haczyk jakby doznał olśnienia.

- Już wiem, o co mogło mu chodzić! – wyrzucił z siebie w biegu.

- Mów! – huknął Janczur.

- Chyba pomyliłem beczki... to musiała być beczka... – mówił przez zadyszkę – beczka z przepaloną ropą!

Zatrwożyli się w pierwszym momencie. Uświadomiwszy sobie jednak, że w niezamierzony sposób oszukany właściciel gospodarstwa na dobrą sprawę nic nie może im zrobić, wybuchnęli głośnym pustym rechotem. Musieli się zatrzymać, gdyż rycząc ze śmiechu nie byli w stanie biec. Trzymali się rękoma za brzuchy, głowy, a Grzela nawet przewrócił się na ziemię i rżał jak młody żrebak!

- Haczyk zakręcony jesteś jak słoik dżemu! – wołał Janczur ocierając palcami łzy śmiechu spływające mu po policzku. – Pomylić beczki! Opchnąć przepaloną ropę! Niesamowite! – klepał go po ramieniu kręcąc głową z niedowierzaniem. – Ale chuj tam! Najważniejsze, że kasa jest!

Banasik nagle przestał się śmiać. Jego wzrok zwrócony był w kierunku drogi. Na twarzy żołnierza ginęły oznaki wesołości a zamiast nich wykwiatało przerażenie.

- O kurwa! – zaklął wskazując ręką przed siebie. – Patrzcie... Suka!

Spojrzeni w stronę drogi i śmiechy umilkły jak nożem uciął. W ciszy, która zapanowała dał się słyszeć hurkot jadącego samochodu. Przez polną drogę, która prowadziła do jednostki wojskowej zasuwiał, wzbijając za sobą tumany kurzu, policyjny radiowóz.

Grzela obserwował to zjawisko z niemałym zdziwieniem. Rozsadzało go wewnętrzne oburzenie.

- Ale kutas! – krzyknął wściekle. - Pewnie zadzwonił na policję!
- Ale cham, ale cham! – wołał gniewnie Banasik nerwowo potrząsając rękoma. - Żeby na nas, na wojsko policji donosić! To się w pale nie mieści!

Haczyk patrzył na jadącą przez drogę policyjną nysę i intensywnie nad czymś myślał.

- Coś mi się tu nie podoba! – odezwał się wreszcie. - Przecież komisariat jest dziesięć kilometrów stąd. Nie możliwe, żeby tak szybko dojechali!
- No fakt, że policja zawsze przyjeżdża dwie godziny po fakcie – potwierdził Banasik. - Może oni do jednostki jadą?

Janczur już otwierał usta, aby coś powiedzieć, ale przerwał mu huk wystrzałów dochodzący z głębi lasu. Spojrzeli w tamtą stronę ze zdziwieniem. Na ich twarzach odmalowało się pełne niepokoju zdumienie.

- Wygląda na to, że to na strefie ktoś strzela – odezwał się Grzela wpatrując się w las, jakby usiłował wzrokiem przebić drzewa i dostrzec, co się tam dzieje. – Jakiś dym! Może lepiej wracać, bo zrobią sprawdzenie stanu osobowego?

Policyjny radiowóz znajdował się w odległości około dwustu metrów. Jako że stali na równym jak stół kartoflisko, mogli zostać łatwo zauważeni. Janczur dał ręką znak, aby wszyscy położyli się na ziemi.

- Jak chcesz to wracaj! – odpowiedział Banasik. – Za bardzo się napaliłem, żeby teraz się wycofać!
- No ten cały strach z podprowadzeniem beczki – mówił Haczyk. – To wszystko miałoby pójść na marne? Ja się nie wycofuję!

Leżąc na chłodnej ziemi obserwowali jak policyjna nysa sunie powoli po pełnej wybojów drodze. Przyłgnęli mocniej do ziemi, gdy znajdowała się w najbliższym punkcie. Mimo tego, że od tego miejsca dzieliło ich około dwustu metrów obawiali się, że mogą zostać wypatrzeni przez jakiegoś policjanta. Dlatego też odetchnęli z ulgą, gdy radiowóz wzbijając za sobą tumany kurzu zaczął się oddalać. W pół minuty później znikł za szeregiem topól rosnących wzdłuż ostatniej prostej do jednostki.

Janczur poderwał się z ziemi i machinalnie otrząpał ubranie z gliny.

- Droga wolna! – powiedział patrząc w przestrzeń przed sobą. – Za mną biegiem marsz! – rozkazał i wolnym truchtem ruszył przez kartoflisko.
- Uraaaa! - jego towarzysze wydali siebie okrzyk, jak rosyjscy żołnierze idący do ataku i popędzili za nim.
- Na dziwki, na kurwy, naprzód marsz! – zawołał bojowo Grzela.

Pokrzykując wesoło popędzili na wprost przez pola w kierunku wioski.

Niepełna piętnaście minut później, zziązani i zdyszani stali po drzwiach tutejszego przybytku rozpusty. Mieścił się on w stojącej obok przystanku autobusowego, dwupiętrowej białej kamienicy z dużym tarasem od strony drogi. Zawieszony nad grubymi nabijanymi ćwiekami drewnianymi drzwiami szyld, głosił, iż lokal ten nazywa się „Samanta”. Przez przysłonięte grubymi kotarami okna sączyło się dyskretne czerwono-purpurowe światło.

Padało ono na delikatne lico Haczyka, który oparł drżącą z podenerwowania dłoń na ścianie tuż obok przycisku dzwonka i zawiesił wyczekujące spojrzenie na swych towarzyszach.

- To co? Dzwonić? - zapytał niemal szeptem.
- Dzwon! – nakazał Janczur.

Haczyk nacisnął przycisk i wewnątrz budynku rozległ się dźwięk dzwonka. Po chwili w domofonie zabrzmiał miły kobiecy głos:

- Kto tam?
- Wojsko! – raźno krzyknął Grzela.

Chwila wahania.

- Wojsko? Żandarmeria? – głos wydawał się być niezwykle zdziwiony.
 - Jaka tam żandarmeria! – oburzył się Grzela. – Rakietówka z tutejszej jednostki! Klienci, a nie kapusie!
 - Nieczynne! – krzyknęła do słuchawki inna kobieta. – A poza tym wojska nie obsługujemy!
- Cztery pełne wyrzutu spojrzenia spoczęło na bombardierze Ziębie. Przecież to on zachwalał ten burdel, mówiąc o tym, jak mile spędził w nim czas i jakie to ładne dziewczyny tutaj pracują.
- No jak to?! – wrzasnął wprost do domofonu. – Przecież mnie żeście obsłużyli!

Moment ciszy.

- Taki wysoki, czarny z Mazur? – zaszcebiotał jeszcze inny głosik.
- Zgadza się! – potwierdził. – Karolina, to ty?
- Tak to ja! Witam ponownie, skowroneczku!
- Skowroneczku, skowroneczku?! – wołał Zięba z poirytowaniem. – Ty mi lepiej powiedz, czemu mi takie bąble na kutasie powyskakiwały! Dwa tygodnie maścią smarowałem zanim zeszyli!

Cisza. Po chwili słychać basowy głos mężczyzny:

- Mówiłem przecie żebyś kondoma założył!

Zięba odwrócił się do towarzyszy.

- To właściciel – poinformował. – Spoko gość.
- Kasa jest? – dopytywał męski głos.
- Jest!
- Zapraszamy do środka!

Grzela, po tym, co usłyszał srodze się zmartwił, jakie konsekwencje może przynieść wizyta w tym tanim burdelu. Kiła, rzeżączka, syfilis, albo nawet AIDS! Uważał, że ta skórka nie jest warta wyprawki. Udając, że czyści buty z błota, przymierzał się do tego, aby w ostatniej chwili dać drapaką w krzaki. To nic, że jutro będą się z niego śmiać – on będzie śmiał się z nich za jakiś czas, kiedy tak jak Ziębą będą chodzić do kibla z maścią w kieszeni! I już miał czmychnąć na bok, kiedy właśnie zobaczył ją - wysoką, szczupłą dziewczynę o długich aż po pas kasztanowych włosach i wesołym pełnym życzliwości spojrzeniu. Przestał czyścić buty i wpatrywał się w nią jak oniemiały. Wygląd dziewczyny tak dokładnie pokrywał się z wyobrażeniem jego ideału kobiecości, iż lękał się, że to wszystko może być nieprawdą, że to nie jawa a sen! W jednej chwili zapomniał o swych obawach. Z tą kobietą to niechby chociaż raz się zapomnieć, a później może być nawet potop! Wyprostowywał się powoli, cały czas nie spuszcżając z niej oczu.

- Wchodzi pan? – zapytała dziewczyna miłym powabnym głosem.
- Wchodzę, wchodzę – odpowiedział uprzejmie. – Buty tylko czyściłem. Już idę...

Z szarmanckim uśmiechem wyminął ją w progu i lekko, jak rączy jeleń, popędził po schodkach na górę.

Drewniane drzwi taniego przybytku rozpusty zamknęły się z hukiem.

Księżyc zwiślał tuż nad krawędzią nieba. Od strony remizy strażackiej, w której urządzono dyskotekę dochodziły odgłosy głośnej muzyki. Z oddali w głębi wioski rozlegało się niespokojne ujadanie psów. Drogą, przy której stał burdel, sporadycznie przejeżdżały samochody z młodzieżą jadącą na dyskotekę lub wracającą z niej. Het, daleko, gorąca na niebie luna, bijąca od światła wielkiego miasta.

Nie minęło więcej niż dziesięć minut a Haczyk wyszedł z budynku. Cicho zatrzasnął za sobą drzwi i drżącymi rękoma wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Na jego młodej twarzy rysowały

się oznaki niepokoju i przygnębienia. Widać było, że solidnie się czymś zamartwiał. Odpalił papierosa, zaciągnął się i z ulgą wypuścił popielaty obłok dymu. Usiadł na ławeczce przed gankiem i z rezygnacją wpatrując się w żar papierosa oczekiwał na kolegów. Nie zdołał nawet zaciągnąć się po raz drugi, kiedy posłyszał skrzypienie otwieranych drzwi. W chwilę potem za winklem dostrzegł masywną postać Janczura.

- Ej, co tak szybko? – syknął do niego.

Ten splunął na bok i podszedł bliżej.

- Co szybko? Zrobiłem swoje i wyszedłem! – odpowiedział ze zdenerwowaniem w głosie.- Ja się w tańcu nie opierdalam, bo muzyki szkoda! – dodał butnie. – A ty co? Wcale nie byłeś, że tak tu jak ten głąb kapuściany siedzisz?

- Byłem, ale sam widziałeś, jaki mi się pasztet trafił! Raz ją tryknąłem i zaraz wyszedłem, bo już mnie obrzydzenie brało – powiedział i splunął na ziemię. – Paskudne te ruskie kurwiszony, paskudne!

- Ta twoja blondynka paskudna? Żartujesz! Swietłana była w porządku!

- Mnie się nie podobała i już!

Drzwi zaskrzypiały ponownie i po chwili zza rogu wyłonił się Grzela. Zasepiony, zmartwiony stał przed domem w bezruchu z wbitym w ziemię spojrzeniem. Prawdopodobnie w tym odrętwieniu nie zauważył nawet siedzących na ławce towarzyszy.

- Ej! Grzela coś się tak pośpieszył? – zawołał do niego Janczur. - Przecież masz opłacone jeszcze kupę czasu!

Ten drgnął gdyż rzeczywiście dopiero wówczas ich dostrzegł.

- E tam... – westchnął boleśnie. Zamierzał coś jeszcze powiedzieć, lecz tylko machnął ręką.

- Co jest? Wszystko w porządku? – z żywym zainteresowaniem zapytał Haczyk.

- To znaczy...no... a zresztą nieważne – wydukał z siebie. Usiadł na ławce, poczęstował się papierosem i palił go w ogóle się nie odzywając.

Po upływie kwadransa już cała ekipa znajdowała się przed budynkiem. Wszyscy jak jeden mąż ponurzy palili papierosy, odzywali się półgębkiem, ostrożnie omijając temat tego, co działo się w środku, jakby chcieli ukryć jakąś tajemnicę. W końcu Banasik cisnął peta na ziemię, przydepnął go butem i rażno zawołał:

- No jak chłopaki? Fajnie było?!

- Fajnie – odpowiedziało mu kilku chórem, ale jakoś bez przekonania, z bólem w głosie i chyba nawet nieszczerze.

- To wracamy do jednostki!

Szli asfaltową drogą przez wioskę. Odzywali się do siebie z rzadka. Większość czasu panowała pełna napięcia kłopotliwa cisza. Jakże inaczej wyglądała ich droga do wioski – w tamtą stronę gnali jak chorągiew idącej do ataku, pewnej zwycięstwa husarii, a wracali jak pobita, obdarta z odzienia i oręża dzika horda tatarska. Klęska, totalna porażka! Jednak żaden z nich nie wypowiadał tych słów na głos. Przygnębieni, ponurzy szli do jednostki, mając w wyobraźni to niemiłe, przerażające doświadczenie, którego zaznali w burdelu. Chcieliby wręcz wymazać tę hańbę i ujmę na honorze z pamięci. Żeby nie myśleć o tym, co stało się po wejściu do pokoi, rozmawiali na inne tematy, jednak ta dokuczliwa bolesna myśl powracała jak bumerang. Pierwszy Haczyk ośmielił się wypowiedzieć na głos, to, co paliło go w środku:

- Nie wiem chłopaki jak wam, ale mi nie stanął – rzekł i zamilkł oczekując na efekt, jaki wywołają jego słowa.

Wszystkich zelektryzowało to wyznanie. Zatrzymali się gwałtownie jak na komendę.

- Ani mnie... – ostrożnie przyznał się Janczur.

- Mnie ani drgnął – powiedział Grzela śmieiej, gdyż już wiedział, że nie jest w tym problemie osamotniony.

- I mnie zwisał jak flak - odezwał się Zięba.

- Mnie też nie stanął, chociaż dupą przed nim na wszystkie strony majtała! – Banasik niemal krzyknął. – A ja patrzę na tę dupę i nie mogę nic zrobić! Myślę se, co się kurwa dzieje? Czy to przez tę karbitówkę z meliny, czy ja się już kurwa starzeję? – wołał, z ekspresją gestykując rękoma. – Ale widzę, że to nie tylko mnie tak los pokrzywdził!

Zbili się w kupkę i rozmawiali. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Okazało się, że z obawą ukrywany fakt stawiający męskość i sprawność seksualną pod dużym znakiem zapytania, dotyczył każdego z nich. Wydawało się to niemożliwe, aby wszyscy mieli problemy ze zdrowiem i potencją w tym samym momencie. W żaden sposób nie potrafili odkryć, dlaczego tak się stało, co miało na to wpływ? Na dobrą sprawę tylko Banasik, mógł zwalić to na karb wypitej podejrzanego pochodzenia wódki z meliny. Pozostali uraczyli się tylko dwoma, góra czterema piwami, ale przecież to nie powinno zaburzać ich funkcjonalności aż do tego stopnia. Gdy tak rozmawiali, śmiejąc się już teraz z ulgą z całego zajścia, Grzela oddalił się na bok i rzygnął do rowu.

- Bigos, kurde, pierdolony bigos – mamrotał ocierając usta rękawem. – Świństwo! – rzygnął jeszcze raz.
- Co się dzieje? – zwołał do niego Janczur. – Po piwie tak haftujesz?
- Eee, wygląda na to, że po bigosie – odpowiedział z grymasem niesmaku na twarzy. – Odkąd go zjadłem boli mnie żołądek. Ten bigos chyba był nieświeży...
- Ja też mam nudności – wtrącił Banasik. – Ale myślałem, że to po tej wódzie. Haczyk, powiedz skąd żeś tę konserwę wykombinował?

Haczyk niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- No taki najświeższy to ten bigos nie był – mówił zakłopotaniem. - W magazynie otworzyli jednego ZN-a, bo rozkaz przyszedł z brygady, żeby otwierać te, co są sprzed siedemdziesiątego piątego roku. Rano byłem na pomocy kuchennej i wziąłem se jedną konserwę na później – zachnął się i poprawił: - To znaczy dla dziewczyny wziąłem...
- Pierdolisz! Ten bigos miał dwadzieścia lat? – na twarzy Janczura pojawił się wyraz wstrętu. Splunął z obrzydzeniem na bok. – Takim starym gównem nas poczęstowałeś? Trzeba było mówić, to bym do gęby nie wziął!
- Przecież ja nie chciałem dać! Samiście mi wydarli. Mówiłem przecież, że to dla dziewczyny! – oburzył się autentycznie jakby to, co mówił było prawdą.

W oczach Banasika zaświeciły się gwiazdki olśnienia.

- Chłopaki! - zawołał odkrywczco. – Przecież ten bigos to za komuny robiony! Wtedy do żarcia dawali brom! To dlatego żadnemu nie stanął! Przez ten brom w bigosie!

Na chwilę zapanowała cisza. Czyżby właśnie z tego powodu wyprawa do burdelu skończyła się porażką? Cała zarobiona przez kradzież paliwa kasa poszła na marne? Na nic ta męka z przytoczeniem beczki do wioski, uciekanie przed rozwścieczonym rolnikiem i krycie się w kartoflisku przed policją? Wszystko przez ten bigos sprzed dwudziestu lat? Kto był temu winny? Kto nagrał ten bigos? Haczyk! Wszystkie spojrzenia skupiły się na tym najmłodszym fałd żołnierzu. Janczur złapał go za ramię.

- To wszystko przez ciebie, kito! Przez ciebie i ten twój pierdolony bigos! – potrząsnął nim jak makówką. – Teraz oddawaj kasę!
- Wora mu, wora mu zjechać! – wściekał się Banasik. Podbiegł do Haczyka, aby powalić go na ziemię. – Szybko chłopaki! Wora mu!

Czterech żołnierzy rzuciło się w kierunku wystraszonego młodzieńca. Ten jednak wyrwał się z mocnego uścisku Janczura, odepchnął nogą będącego już o krok Banasika i odkręciwszy się w tył, przeskoczył przez przydrożną fosę. Wylądowawszy po drugiej stronie rowu, zerwał się i pognął co sił w nogach przed siebie. Pędził przez rozległą oraninę, długie buraczysko, zmierzając do pobliskiego zagajnika. Goniły go przekleństwa starego wojska:

- Haczyk! Ty skurwysynu! Czekaj no, dopadniemy cię w jednostce!
- Drewno będzie z ciebie, drewno!
- Kasę za ropę oddawaj!

- Masz kurwa dziadek przejebane, jak sto pięćdziesiąt!
A on gnał jakby go sto diabłów goniło, bo wiedział, że ze starym wojskiem żartów nie ma!

W drodze powrotnej zdecydowali się nie iść na skróty przez pola, lecz przejść przez wieś, a następnie skręcić w prowadzącą do jednostki drogę z betonowych płyt. Idąc między zabudowaniami wioski, cały czas komentowali tę nieprzyjemną niespodziankę, jaką sprawiło im zjedzenie pochodzącego sprzed dwudziestu lat bigosu z dodatkiem bromu. Z jednej strony ogarniała ich wściekłość i solennie obiecywali sobie przelać całą żołąć na Haczyka, kiedy tylko zetkną się z nim oko w oko, z drugiej jednak strony pusty śmiech cisnął się im na usta, kiedy mimo woli spoglądali na to zajście z boku. Bo o ile wprawa do burdelu przyniosła ze sobą porażkę, frustrację, powątpiewanie w swoją męskość, o tyle wytłumaczenie tego stanu rzeczy kilkoma gramami bromu w zjedzonym bigosie wydawało się być nad wyraz śmieszne i trywialne. Czuli się oszukani przez ten niewdzięczny los, który nie dość, że każdego z nich wpakował w kamasze, to na dodatek drwił sobie z ich popędu seksualnego i obracał w niwecz dającą sto procent szans na zaspokojenie go wyprawę do burdelu.

Mając w kieszeni jeszcze kilkanaście złotych postanowili pójść na dyskotekę w remizie, aby zapić piwem całą frustrację i stres. Trochę bali się miejscowych, jako że stosunki z nimi nie układały się najlepiej. Co i rusz to wybuchały bójki na dyskotekach i zabawach, przy czym niestety, to wojskowi zawsze dostawali wycisk, jako że cywile mieli nad nimi przewagę liczebną. Trzeba jednak przyznać, że wielu takich bójek dałoby się uniknąć, gdyby wojskowi nie byli tak butni i okazali odrobinę pokory lub nawet zdrowego rozsądku wiedząc o tym, że jest ich garść naprzeciw dziesiątek chłopaków z okolic. Wódka, zaciętrzewienie i ambicja robiły jednak swoje. Nikt się nie wycofywał. Lała się krew, w powietrzu latały butelki i taborety, dziewczyny piszczały po kątach a na koniec gromada pobitych żołnierzy z rozkrwawionymi nosami, powybijanymi zębami, przez pola uciekała do jednostki. Były ofiary i wśród cywili, ale na pewno znacznie mniejsze.

Jakby na to nie spojrzeć, wojskowi zawsze dostawali łupnia i wielu z nich lądowało potem w szpitalach. Ze względu na to, że do Pustelnika było blisko, żołnierze nadal chodzili na tamtejszą dyskotekę, ryzykując, że zostaną pobici, bo i tak było to lepsze niż nudnie siedzenie w jednostce, od którego można było dostać świra. To już lepiej, upić się, pogadać z jakąś dziewczyną, dostać w mordę i bić się, niż tak gnąć w syfie - leżeć na wozie, gapić się w sufit i odliczać każdą sekundę do cywila.

Czwórka żołnierzy dobrze zdawała sobie z tego sprawę, że idąc na dyskotekę w Pustelniku ryzykują wdaniem się w bójkę z miejscowymi. Liczyli na to, że uda im się ugodowo wyjść z krytycznej sytuacji oraz mieli nadzieję, że atletyczna, przypominająca zapaśnika wagi superciężkiej sylwetka Janczura odstraszy pojedynczych rozrabiaków, od których zazwyczaj zaczyna się cały dym. Dufając w to weszli do remizy, a znalazłszy się na sali pełnej młodych, bawiących się ludzi, zajęli miejsce przy drewnianym stole postawionym w rogu pomieszczenia. Przez drogę do stolika nikt ich nie zaczepiał. Spoglądano na nich raczej z zaciekawieniem niż z niechęcią lub wrogością. Gdy zasiedli na ławach, zdjęli czapki, popuścili pasy a Grzela jako najmłodszy falą poleciał po piwo do bufetu. Być może ich stół nie był najlepiej umiejscowiony, gdyż prawie że nie było stąd widać pańienek tańczących na parkiecie, znajdował się za to tuż pod oknem, dzięki czemu mieli dopływ świeżego powietrza, nie wspominając o tym, że bliskość okna miała strategiczne znaczenie – w razie bójki oraz przewagi wroga mogli przez nie uciec na zewnątrz. Nie zanosilo się jednak na to, aby bieg wypadków miał potoczyć się w kierunku kłótni lub bójki z miejscowymi, bowiem gdy otoczenie przyzwyczailo się do widoku czterech posępnych żołnierzy siedzących w rogu sali, całkowicie przestano zwracać na nich uwagę. Nie awanturowali się, nikogo nie zaczepiali więc niech sobie spokojnie popijają piwko. W końcu dyskoteka jest dla wszystkich, bez różnicy czy to żołnierz, czy cywil.

Był jednak wśród miejscowych młody chłopak, którego z racji wysokiego wzrostu oraz cherlawej budowy przezywano Kluchą. Wielekroć dostał on solidne cięgi od wojskowych. Nie dalej jak miesiąc temu w bijatyce pod remizą stracił trzy przednie zęby. Innym razem jeszcze na wakacjach, rzucona na oślep w kierunku cywili butelka trafiła go w klatkę i złamała zebro. Największą wściekłością do wojskowych pałał jednak za wybicie przednich zębów. Wstydlivy był i z taką gębą nie pokazywał się wśród kobiet. Od tamtej pory na zabawach czy dyskotekach nie tańczył, lecz pił wódkę wyłącznie w męskim towarzystwie, ale prawdę powiedziawszy, nawet i jego kumple zaczęli się z niego nabijać. Nienawidził więc wojskowych i obiecywał sobie, że jak kiedyś spotka tego, co wybił mu te zęby, czyniąc go towarzyskim zerem, to rozerwie go na drobne strzępy jak żabę! Dowiedziawszy się, że na sali gości czterech żołnierzy poszedł obejrzyć, co to za jedni. Zobaczywszy wśród nich wysokiego bruneta beztrzesko raczącego się piwemomal nie rzucił się mu do gardła. Byłby przysiągł, że to właśnie z nim bił się miesiąc temu, że to właśnie pięść tego drania pozbawiła go zębów. Ta pięść, która teraz zaciskała się na kufłu i wlewała piwo do ohydnej roześmianej mordy, a tymczasem jego tłamsiło upokorzenie i parzyła gorycz! Towarzyskie zero! Przyjrzał się dokładniej delikwentowi i stwierdził, że nie ma tutaj mowy o żadnej pomyłce. To ten! W pierwszej chwili chciał skoczyć na stolik i kopnąć tego jełopa z buta w mordę tak, aby kufel roztrzaskał się na tym chamskim ryju i poliała się krew! Zmiarkował jednak, że sporo ryzykuje w pojedynkę, zwłaszcza, że jeden z żołnierzy wydawał się być nieludzko wielkim bydlęciem. Odwrócił się więc i pobiegł na salę zmontować ekipę przeciw wojskowym.

Tymczasem nieświadomi zagrożenia żołnierze z Pustelnika raczyli się piwem i słuchali muzyki. Odwykli już od takich klimatów. Dawniej w cywilu to było życie! Panienki, zabawy, piwko i muzyka, jaką kto chciał, w ilościach, jakich zapragnął. A teraz co? Same żołnierskie ryje, szare budynki, wrzeszczący sierżant na kompanii, ogrodzenie dookoła i giwera na warcie. Patrząc na ten cały rozbawiony tłum, można sobie było pomyśleć, jak sobie ludzie żyją, jak to się młodzież bawi, podczas gdy człowiek rano zzebany przez dziada, po południu przez trepa, na noc idzie trzymać wartę w lesie. Dobrze, że chociaż jest to piwko i ta muzyka. Dzięki temu można się zapamiętać i odlecieć w marzenia...

Janczurowi poszczęściło się, gdyż bez żadnego wysiłku poderwał panienkę. Prawdę powiedziawszy sama się do niego przysiadła. Miała gadane nie z tej ziemi a cycki takie, że sam Balzak musiałby się nieźle nagłówkować, aby opisać ich wdzięk i piękno. Przynajmniej takie wywoływały wrażenie po trzecim piwie. Mówiła, że jej chłopak służy w Marynarce gdzieś na Pomorzu, a do Janczura zagadała, bo chce wiedzieć jak jest w wojsku. Na to pytanie stary żołnierz odpowiedział krótko:

- Przejebane, moja droga!
 - Ale dlaczego? Do roboty was tak gonią? – dopytywała zaciekawiona.
- Janczur odchylił się do tyłu i sięgnął przez plecy Zięby szturchnął Grzelę za ramie.
- Ty powiedz koleżance, dlaczego w wojsku jest przejebane, bo się pyta – zawołał przekrzykując głośną muzykę.
 - Kto się pyta? - przechylił się nad stolikiem i dopiero teraz dostrzegłszy niewidoczną wcześniej zza barczystych pleców kolegi drobną dziewczynę strzelił z palców i dodał: - A widzę! Zbyszek jestem! – przedstawił się wyciągając do niej rękę. Dziewczyna też się przedstawiła, ale z powodu głośnej muzyki nie dosłyszał jak ma na imię. - A więc widzi koleżanka – wołał – jakby co drugi żołnierz był kobietą i miał takie cycki jak te, co teraz widzę, to by nie było przejebane!

Gruchnęło śmiechem przy całym stoliku.

- O! Jakby tak rzeczywiście było, to ja bym do wojska poszedł na ochotnika, a później jeszcze na zawodowego zostałem! – zapewniał Banasik. Spojrzał na dziewczynę i poderwał trzymany w ręce kufel na znak toastu, który w chwilę potem wypił na jej cześć.

Ta udała zawstydzenie, lecz widać było, że ten żart mocno ją ukontentował.

- Żebyś ty chociaż wiedział, co z takimi cyckami zrobić! – zaśmiał się Zięba szyderczo.
- Co nie wiem? – odrzyknął Banasik z hukiem odstawiając kufel na stół. – Lepiej wiem niż ty!
- Ciszej! – uspokajał Janczur. – Wy se tak o tych cyckach gadacie, a tak naprawdę to nie wiadomo, czy jest o czym – popatrzył na dziewczynę z uśmiechem i zaciekawieniem czy rozumiała aluzję.
- Jest o czym, jest – zapewniała.
- A pokaże koleżanka? – z głupia frant zapytał Banasik. – Bo jest powiedzenie, że każda sójka swój ogonek chwali, ale tak naprawdę różnie to bywa z tymi ogonkami.

Dziewczyna spojrzała za siebie i upewniwszy się, że nikt nie patrzy się w ich stronę powiedziała:

- Pokażę! Innym bym nie pokazała, ale wojskowym pokażę, bo mój chłopak też w wojsku.
- Banasik już otwierał gębę, aby coś powiedzieć, ale Grzela zamknął mu usta dłonią - Nic nie gadaj, bo jeszcze decyzję zmienię! Cicho siedź i patrz! – szepnął mu prosto w ucho. Ten nic nie odrzekł tylko przechylił kufel i napił się piwa.

Panienka usiadła na stołku tak, że była odwrócona tyłem do ludzi siedzących za innymi stolikami. Poprawiwszy rękoma włosy, pierś wypięła do przodu tak, że widoczne zza białej bluzki krągłości stały się teraz jeszcze bardziej kształtne i ponętne. Szczupłymi palcami, a w zasadzie samymi opuszkami palców zaczęła odpinać drobne metalowe guziczki na dekolcie bluzki. Jeden guziczek, drugi guziczek, trzeci guziczek, czwarty guziczek... Na przemian błyskały refleksy odbijające się od czerwonego lakieru, którymi pomalowała długie paznokcie oraz skrzyły się iskierki od srebrnych guziczków. Z każdą chwilą spoza rozchylającego się dekoltu ukazywało się coraz więcej ciała, widać było coraz to większą część piersi. W końcu dziewczyna zdecydowanym ruchem rozsunała dekolt na boki, i jej piersi ukazały się w całej okazałości. Pełne, jędrne, śnieżnobiałe, falowały w rytm oddechu.

Żołnierze patrzyli na nie jak zahipnotyzowani.

- No, no, no – mruknął z uznaniem Grzela.

Panienka szybko zapięła dekolt i pochyliwszy się nad głową Janczura szepnęła mu do ucha:

- Będę na ciebie czekała za remizą. Przyjdziesz?

Zaskoczony nieoczekiwaną propozycją żołnierz przez ułamek sekundy jakby zapomniał języka w gębie. W chwilę potem chciał krzyknąć „tak, tak już tam biegnę w podskokach”. Coś mu się jednak przypomniało. Na jego twarzy pojawiła się chmura przygnębienia i wstydu.

- Przepraszam, ale dziś jestem nie... nie.. – szukał właściwego słowa – niedysponowany.

Dziewczyna spojrzała na niego nic nie rozumiejącymi oczyma i zapewne pomyślawszy sobie, iż ten frajer nabija się z jej niecodziennej propozycji z rozmachem sieknęła go otwartą dłonią w policzek.

- Debil! – krzyknęła i z urażoną miną kręcąc tyłkiem odeszła od stołu.

Janczur odruchowo poderwał się z miejsca, aby pobiec za nią i złożyć wyjaśnienia, dlaczego on, taki kawał zdrowego chłopca dziś jest „niedysponowany”, lecz wyprostowawszy się, stanął oko w oko z równym sobie wzrostem, ale pewnie więcej niż połowę chudszy miejscowym chłopakiem. Siedzący na skraju stołu Zięba zobaczywszy go zmarszczył brwi jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

- Co wojszko pszyszło się bawić? – zapytał tamten groźnie, ze świstem wymawiając „sz” i „rz” co powodowało, że jego słowa raczej brzmiały śmiesznie niż strasznie.
- Zgadza się! – potwierdził Janczur patrząc mu prosto w oczy.
- My tesz pszyszli tu pobawić się z wojskiem! – odwrócił się i gestem ręki wskazał za siebie.

Z tyłu przy bufecie zebrała się spora, chyba dziesięcioosobowa grupa młodych mężczyzn. Kilku z nich ścisnęło w rękę szyjki stuczonych butelek, paru trzymało drewniane drągi, a jeden wymachiwał skórzanym pasem, na końcu którego znajdowała się duża metalowa sprzączka. Spoglądając wrogo, zdawali się czekać na efekt rozmowy Janczura z Kluchą. Aż się palili, by rzucić się do ataku na wojskowych. Wiedzieli, że tamci nie mają z nimi żadnych szans.

- Najpierf tą damę chcieliśmy do tańca poproszicz – rzekł chudzielec wskazując ręką na Ziębę i śmiejąc się do niego szyderczo.

Wysoki żołnierz, widząc kontem oka spiętą zaleknioną minę swojego kolegi, rzekł do usiłującego wywołać bójkę cywila:

- Nie błaznuj, tylko mów po coś przyszedł! – powiedział, cały czas obserwując zebraną przed bufetem niecierpliwą się zgrają miejscowych zawadiaków. – Wiedz, że lepsze z nas zabijaki niż tancerze! – dodał groźnie.
- Po com pszyszedł? - powtórzył cywil. – Jego się szpytaj! – wskazał wzrokiem na przyglądającemu się im z dołu Ziębę – Niech ci powie!

Wystraszony żołnierz poderwał się energicznie od stołu i przysłoniwszy ręką usta szepnął do Janczura:

- To zemsta! W zesłym miesiącu biliśmy się z nimi, a temu wyjechałem z opinacza w morde! Zęby przeze mnie stracił, to teraz mścić się chce! - spojrział na grupkę ludzi stojących przed bufetem i dodał: – To pewnie on zebrał tę całą ekipę.
- No to nieźle się wpakowaliśmy! – stwierdził Janczur. – Co za pech nas dzisiaj przesładuje!

Pobliskie stoliki opustoszały. Przybyła na dyskotekę młodzież widząc, iż zanosi się na bijatykę między cywilami a wojskowymi przezornie przeniosła się w inne, bezpieczniejsze rejony sali. Co bardziej ciekawscy stanęli przy bufecie i czekali na dalszy rozwój wydarzeń. Zebrana przez Kluchę grupa bojowo nastawionych cywili zaczynała wykazywać coraz wyraźniejsze oznaki zniecierpliwienia. Aż się palili do bijatyki, żeby rozładować zgromadzoną w nich agresję i złość. Nie stanowiło to większego znaczenia, z kim mieliby się bić i dłaczego. Dziś trafiła się okazja, aby dołożyć czterem wojskowym pod pretekstem zemsty za okaleczenie ich kolegi. Jeden z cywili krzyknął głośno w kierunku stolika, przy którym rozmawiali Janczur i Klucha:

- Co to za dyskusje?! - z rozmachem świsnął pasem w powietrzu. – My tu przyszli się napierdalać a nie gapić! Klucha wyjeb mu w zęby! Nie bój się!

Janczur spał się i zamarł w oczekiwaniu na odparcie ciosu od stojącego przed nim cywila. Chudzielec jednak nie miał odwagi uderzyć atletycznie zbudowanego żołnierza. Zdawał sobie sprawę, że tamten prędko odparowałby jego uderzenie, a to mogłoby okazać się katastrofalne w skutkach. Nie chcąc jednak wyjść na tchórza, przed swoimi znajomymi, zebrał ślinę i napluł do kufła z piwem, który żołnierz cały czas trzymał w prawej ręce. Z tyłu rozległy się gwizdy i pochwalne okrzyki.

- Smacznego! – zawołał Klucha i odwrócił się, aby uciec do swoich. Nie zdążył nawet zrobić kroku, kiedy usłyszał ciche chluśnięcie i pół litra zimnego piwa rozlało się po jego głowie i tułowiu.

Cywile uznali to za wystarczającą prowokację i ruszyli do ataku na wojskowych. Z wzniesionymi do góry drągami, sztachetami, trzymając szyjki potłuczonych butelek, ze strasliwym wrzaskiem rzucili się przed siebie. Janczur zobaczywszy ich, pchnął na bok chudego Kluchę, aż ten przewrócił się na podłogę. Następnie pochylił się nad długim na trzy metry, szerokim na metr ciężkim, zbitym z grubych desek stołem i złapawszy rękoma za gruby na trzy cale blat z niemałym wysiłkiem częściowo unióśł stół do góry. Stojące na nim kufle przewróciły się, a wylane z nich piwo popłynęło w dół. Szklane naczynia pospadały na podłogę i rozbiły się z trzaskiem. Janczur nabrał powietrza, wyteżył mięśnie i trzymając w mocarnych ramionach gruby blat wyprostował grzbiet aż cały stół oparł się mu na naprężonych udach. Nie czekając aż osunie się na podłogę z głośnym stęknięciem rzucił go z półobrotu w kierunku nadbiegającej gromady cywili. Wielki ciężki stół poszybował w powietrzu. Cześć atakujących zdołała uskoczyć przed nim na bok, lecz kilku z nich skosił z nóg i przygniótł swoją masą. Leżeli pod nim jęcząc z bólu.

Impet natarcia został powstrzymany.

Ten spektakularny pokaz siły nie zniechęcił pozostałych napastników do bójki. Wprost przeciwnie: rozjątrzył ich i rozwścieczył do tego stopnia, że byli w stanie zedrzeć skórę z tego osiłka, przez którego ich koledzy zwiłali się z bólu przygnięci ciężkim stołem.. Po chwilowym

oszołomieniu, teraz raz już zdecydowani na bezpardonową walkę, jak szakale rzucili się na żołnierzy. Grzela widząc, że w tym starciu nie mają żadnych szans, zawołał:

- Przez okno, przez okno wiejemy!

Zarówno on sam jak i Zięba bez najmniejszego szwanku wydostali się przez nie na zewnątrz. Banasik został boleśnie zdzielony sprzączką pasa przez twarz zanim bezpiecznie wylądował na trawie przed remizą. Z kolei Janczur, na którego skierowane główne uderzenie musiał najpierw odeprzeć zmasowany atak kilku cywili, a dopiero wówczas stojąc na parapecie skoczył do tyłu na oślep za siebie.

Wprawdzie wszystkim żołnierzom udało się wydostać z remizy. Jednakże to, co było im przeznaczone odwlekło się jedynie. Teren wokół był ogrodzony i zanim zdołali dobiec do siatki i wspiąć się na nią, dopadli ich miejscowi. Poszły w ruch drągi, sztachety pięści i butelki. Każdy lał czym popadło. Z początku wojskowi bronili się zaciekłe, lecz wobec niesamowitej przewagi nacierających ich opór malał z każdą sekundą. W końcu stali się czymś w rodzaju worka bokserskiego, który każdy, bez żadnego ryzyka, mógł okładać do woli...

W tym czasie Haczyk, złapawszy tchu po szybkiej ucieczce przed kolegami, wyszedł z ukrycia w zagajniku i będąc pewien, że jego towarzysze już dawno są w jednostce albo przynajmniej zbliżają się do niej, przebiegł przez pola i szedł drogą przez wioskę. Jego uszu dochodziły dobiegające od strony remizy strażackiej różne tony szybkiej dyskotekowej muzyki. Z każdym krokiem coraz wyraźniej dołączały do nich odgłosy wrzawy - agresywne krzyki i nawoływania, przejmujący pisk dziewczyn, dźwięk tłuczonych butelek i wybuchy nerwowego śmiechu. Domyślał się, że doszło do jakiejś rozróby na dyskotece. Chciał ominąć stojący zaledwie kilkanaście metrów od drogi budynek remizy szerokim łukiem, jednak zobaczył coś, co spowodowało, że stanął jak wryty. Snop światła z ulicznej latarni padał na róg ogrodzenia i oświetlał wstrząsającą scenę: rozwrzeszczana gromada cywili pięściami, drągami, sztachetami okładała kilku ślaniających się z wycieńczenia żołnierzy. Po charakterystycznej, barczystej sylwetce jednego z mundurowych rozpoznał w nich swych kolegów z namiotu. Stanął w miejscu i z przerażeniem przypatrywał się tej makabrycznej scenie, zupełnie nie wiedząc, co począć. Aż gotował się w środku z bezsilnej złości. Jakże mógł im pomoc sam jeden naprzeciw dziesiątków cywili? Na pewno prędko podzieliby ich los i zakrwawiony leżał na ziemi pod razami drągów i sztachet. W tej sytuacji postanowił nie ryzykować własnym zdrowiem, lecz sprowadzić pomoc z jednostki. Choć wątpliwym było, aby nadeszła ona jeszcze w czasie bójki, bo wykończenie wojskowych nie mogło potrwać dłużej niż kilka minut, to liczył na to, że ci sami dranie, którzy tłuką jego kolegów, dostaną solidne cięgi w odwecie od chłopaków z jednostki.

Zamierzał niepostrzeżenie przemknąć rowem obok drogi, ale zauważyło go dwóch stojących na placu przed remizą cywili z upodobaniem przyglądających się masakrze.

- O! Tu jest następny szwejl! – zawołał jeden z nich i popędził w kierunku Haczyka. Jego towarzysz ruszył za nim.

Haczyk przez chwilę uciekał, lecz gdy słyszał już za swoimi plecami oddech goniącego do wyrostka zatrzymał się i biorąc obrót z rozmachem kopnął go opinaczem w brzuch. Widział jak tamten z rozkrzyżowanymi ramionami pada na ziemię. Podniósł wzrok, żeby zobaczyć gdzie znajduje się drugi napastnik, lecz w tym samym czasie usłyszał furkot jakiegoś przedmiotu lecącego w powietrzu, przez moment niewyraźny kształt zamigotał mu przed oczyma. Odruchowo zasłonił się ręką, lecz nie zdążył: wyrzucona z odległości kilku metrów butelka trafiła go w twarz. Poczuł tępy ból, pociemniało mu w oczach, nogi zdrętwiały i nie były zdolne do zrobienia choćby kroku, gwiazdziste niebo zdawało się wirować. Oszołomiony i bezradny zamarł w oczekiwaniu na kolejne uderzenie. Na szczęście nie nastąpiło. Gdy minęło zamroczenie zauważył tylko jednego leżącego na drodze cywila, wciąż jeszcze zwijającego się z bólu po uderzeniu w brzuch. Jego kompan z głośnym krzykiem biegł drogą do remizy. Haczyk dotknął ręką ust, z ulgą stwierdził, że ma wszystkie zęby i otarłszy o spodnie zakrwawioną dłoń,

przeskoczył przez rów a następnie popędził przez pola w kierunku lasu, w którym kryła się jednostka.

Tego wieczora wiosna – najstarszy pobór pił ostro na kuchni. Z otwartych okien dolatywały wybuchy dzikiego głupawego śmiechu, leciały przekleństwa, co chwilę rozlegał się huk rzucanych na podłogę taboretów, trzask rozbijanych o ścianę talerzy, łomot z siłą zamykanych klap od wielkich kotłów oraz pijacki, bełkotliwy i nieskładny śpiew. Mogli sobie pozwolić na taką głośną libację, bo dyżurujący oficer, sam pijany jak bela, spał twardo i nie reagował na odgłosy cichsze od eksplozji bomby lotniczej. Stojący przy bramie młody służbą wartownik ze zdumieniem kręcił głową, że w wojsku tak może odbijać na starość. Dzikie wrzaski świadczyły o tym, że najwidoczniej wyjątkowo mocne stresy musi teraz najstarszy pobór odreagowywać i że sporo polało się tam wódki oraz wszelkiego innego alkoholu.

A najgłośniej ze wszystkich słycać było Balickiego. Zawadiaka i moczymorda w cywilu, w wojsku żołnierz butny, zuchwały, pierwszy do bitki i do wypitki. Za mnożące się przewinienia wielokrotnie karany anchem, śmiał się trepom prosto w twarz. Wśród najstarszego poboru on właśnie największym cieszył się posłuchem. Znał Janczura bardzo dobrze, bo jeszcze w cywilu razem chodzili na zabawy do okolicznych wiosek. Tak się złożyło, że los rzucił ich obydwu najpierw do tej samej brygady, a później do jednostki. Przyjaźnili się serdecznie, a Balicki po pijaku przysięgał, że do tego stopnia swego kompana lubi, że nawet w ogień by za nim skoczył. Toteż gnający przez las Haczyk miał już w głowie ułożony plan, do kogo uderzyć, kiedy Janczurowi działa się krzywda.

Znalazszy się w jednostce wpadł jak burza do namiotu, w którym nocował Balicki. Nie zastał go tam jednak. Obudzony żołnierz powiedział, że stara wiosna urządziła imprezę w kuchni, więc na pewno i Balicki się tam zabawia. Haczyk pognał przez pole namiotowe w kierunku koszar. Zatrzymał się dopiero za kantyną i dysząc ciężko po długotrwałym biegu, wskazując ręką na budynek kuchni, zawołał do stojącego przy bramie wartownika:

- Balicki tam jest?!
- Jest! – odpowiedział wartownik. – Ale widzisz, co się dzieje. Chleją na umór. Lepiej tam nie idź, bo cię zajeżdżą!
- Nie wnikaj! Sprawę mam do niego ważną! – odrzyknął Haczyk i nie czekając na odpowiedź popędził w stronę drzwi do stołówki.

Szarpnąwszy mocno za klamkę przekonał się, że są zamknięte. Prędko uzmysłowił sobie, że o drugiej w nocy to zupełnie normalne. Mógł okrążyć budynek dookoła i wejść przez drzwi na zapleczu, zdecydował jednak, że najszybciej dostanie się do środka przez któreś z otwartych okien. Obszedł stołówkę i znalazł się przed otwartym oknem. Parapet znajdował się na wysokości piersi. Haczyk podskoczył do góry, podciągnął się na łokciach i niezgrabnie przetoczywszy się przez drewnianą framugę wylądował w kuchni między dwoma parowymi kotłami. Podniósł się z podłogi i syknął z bólu łapiąc się za poobijane kolana. W przeciwległym roku pomieszczenia dostrzegł kilkuosobową grupę żołnierzy ze starej wiosny, siedzących pęczkiem wokół stołu, na którym z daleka pobłyskiwało kilka flaszek wódki. Jeden z nich, posłyszawszy rumor za swoimi plecami, odwrócił się, a zobaczywszy wylażającego zza kotłów Haczyka zaśmiał się głośno i przekrzykując pijacki śpiew swoich kompanów zawołał:

- O kurwa, kiciuś przyszedł! – wstał z krzesła, złapał butelkę wódki i zarechotał głośno. – Miaucz, kurwa, kocie, kiedy rezerwa pije!

Być może innym razem Haczyk posłuchałby go i zaczął miauczeć jak młody kocur, jednak wieść, jaką niósł usprawiedliwiała całkowitą ignorancję, z jaką potraktował to polecenie. Dostrzegłszy siedzącego za stołem Balickiego nie odezwał się ani słowem, lecz przez całą kuchnię pognał w jego stronę. Zanim dobiegł, zaledwie kilka kroków przed stolikiem poślizgnął się na wilgotnej betonowej posadzce i straciwszy równowagę runął na podłogę ściągając za sobą kilka krzesel. Powstał niesamowity rwetes, krzesła z łoskotem potoczyły się po podłodze a żołnierze widząc

bezludnie sunącego po podłodze w ich stronę Haczyka, gwałtownie poderwali się od stołu. Balicki odskoczył na bok i zezłoszczony świsnął skórzanym pasem w powietrzu.

- Mów kocie, po coś przyszedł! – ryknął do intruza, który w tak gwałtowny sposób wtargnął i zakłócił imprezę, na której bawił się sam najstarszy pobór.

Haczyk leżąc na podłodze między krzesłami podniósł głowę i spojrzał na niego z dołu. Jego twarz ociekała krwią z rozbitej wargi i stłuczonego nosa. Oddychał, z trudem łapiąc powietrze.

Wycieńczony biegiem wysapał:

- Cywile biją naszych ... w remizie!

Balicki rzucił spojrzenie na swych falowców.

- Kogo biją? – wykrzyknął.

- Janczura i ... paru ... innych!

- Janczura biją?! - wrzasnął Balicki. Zagotowało się w nim z wściekłości. Tydzień temu kilku wojskowych dostało takie lanie na dyskotece, że do tej pory chodzili z posiniaczonymi gębami. Wśród nich i on sam się znajdował. – Cywile znowu biją naszych! – wykrzyknął z oburzeniem. Z impetem kopnął w metalowy taboret, aż ten hukiem uderzył w ścianę. Machnął pasem w powietrzu i krzyknął: – Miarka się przebrała! Czas raz na zawsze pokazać, że my nie ciniasy i że bić się za każdym razem nie damy!

- Masz racje! – zakrzyknął jeden z jego falowców. – Zawsze dostajemy łupnia, bo jest ich cała chmara! Dużą kupą trzeba ruszyć, to dostaną taką szkołę, że później nawet pojedynczego żołnierza będą bali się tknąć.

- Wpierdol trza im spuścić raz a dobrze, to na długo popamiętają! – wołał inny.

- Wjebać im ile wlezie! – krzyknął jeszcze jeden.

Haczyk wstał z podłogi. Wojskową chusteczką wytarł zakrwawioną twarz, a rękawem otarł pot z czoła. Balicki podszedł do niego i położywszy mu rękę na ramieniu rzekł:

- Weź stara i podstaw go obok pola namiotowego, a my zapuścimy wieść, że szykuje się odwet na cywilach w remizie. Jasne?

- Jasne! – potwierdził Haczyk i zatarł ręce z uciechy.

- Jak pojedziemy w czterdziestu chłopca, to w drobny mak rozniesiemy tę ich tańcbudę! – wołał Balicki potrząsając w utrzymanym w ręku pasem. – Nikt nam tam nie podskoczy! Nikt!

W kuchni rozległy się okrzyki aprobaty dla tej decyzji. Dał się słyszeć łoskot kopanych z agresją krzesel i taboretów.

Bójki z cywilami sporo natoczyły krwi i dużo w wojskowych nagromadziło się złości i wściekłości. Teraz nadeszła pora zemsty! Czuli się pewnie, gdyż kto mógł im tam podskoczyć - kilkunastu młodym sprawnym chłopakom, żyjącym w wojskowym rygorze?

- Jebać cywili! – zawołał któryś z żołnierzy.

Balicki zamachnął się pasem i trzaskiem uderzył sprzączką w blat stołu. Jedna z pustych butelek przewróciła się i z hukiem rozbiła na betonowej posadzce.

- Jebać! – powtórzył.

O drugiej w nocy, zaraz po akcji ze schwyтaniem kłusowników, zostałem zwolniony ze służby wartowniczej. Pomocnik oficera dyżurnego uznał że lepiej będzie, jeśli po tym stresującym zdarzeniu zejść z warty i pójść do namiotu, zamiast ponownie wychodzić na posterunek. Na moje miejsce wstawiono innego żołnierza z poprzedniej zmiany warty. Idąc obok kantyny słyszałem dobiegające ze kuchni odgłosy pijackiej libacji. To podobno piła stara wiosna. Słysząc ich było w całej jednostce! Dziwiłem się, że stare bociany¹³ nie czują żadnego respektu

¹³ Bocian - żołnierz z wiosennego poboru

przed oficerem dyżurnym i jego pomocnikami. No cóż, czasami trepi dla świętego spokoju nie wtrącał się, gdy pili najstarsi poborem żołnierze.

Siedząc na łóżku w środku nocy, usłyszałem cichy warkot silnika samochodu. Zdziwiony i zaciekawiony zarazem odchyliłem połę namiotu i rozejrzałem się na zewnątrz. Na drodze obok polanki stała ciężarówka z przykrytą brezentem paką, a obok niej po cichu gromadzili się żołnierze. Zauważyłem, że na polu namiotowym zapanowało niezwykle jak na tą późną godzinę poruszenie. Śpiące w namiotach towarzystwo, ubrane w moro i opinacze wychodziło na polanę. Wszyscy rozmawiając o czymś z ożywieniem i ekscytacją zmierzali w kierunku stojącej na drodze ciężarówki. Co się dzieje? – próbowałem się domyśleć – Czyżby nocny wymarsz? Ale w takim razie gdzie plecaki i reszta oporządzenia? Jakaś postać przemknęła obok naszego namiotu.

- Hej! – zawołałem – Czekaj! Co tu się dzieje?
- Nie wiesz? – zdziwił się „ktoś”. – Cywile pobili naszych na dyskotecę, a teraz jedziemy na odwet!
- Ciężarówką? – zdumiałem się.
- A czemu nie? Raz dobrze dostaną a później nigdy więcej nie podskoczą.
- No tak – odparłem bez przekonania.
- Jedziesz z nami? Dojazd w dwie strony zapewniony! – zaśmiał się.
- A ja wiem? – wahałem się. – W sumie nigdy na takiej rozróbie nie byłem. Można zdrowo oberwać...
- Co ty, w takiej kupie nic nam nie zrobią! – powiedział żołnierz i odwróciwszy się pognął przez polankę do ciężarówki.

Słyszac chodzący na wolnych obrotach silnik i widząc palące się na czerwono światła postojowe zastanawiałem się, co robić. Jechać czy nie? Z jednej strony rzeczywiście istniało spore ryzyko, że mogę zostać pobity, a drugiej strony nigdy nie widziałem rozróby i odwetu na taką skalę! Zwyciężyła ciekawość; morda nie szklanka, a co zobaczą to moje! Założyłem pas i popędziłem w stronę ciężarówki.

Przy pomocy jakiegoś żołnierza, który podał mi rękę, wspiąłem się na pakę. Siedzący na ławach żołnierze byli ściśnięci jak śledzie w beczce. Żadnego wolnego miejsca. Zauważyłem również kucharza. Pierwszy raz widziałem, jak wygląda w moro. Zazwyczaj widywałem go w białym fartuchu. W rękę trzymał wielką chochlę osadzoną na grubym jak sztyl do łopaty drewnianym trzonku. Nie chciałem być na miejscu tego, kto dostanie nią w łeb – czaszkę ma strzaskaną jak nie!

Na pace ciężarówki panowało nerwowe podniecenie. Wszyscy wokół z ekscytacją mówili o tym, jak to za chwilę dowalimy cywilom. Wspominali dziesiątki pojedynków, w których dostawali łupnia, bo ze względu na przewagę przeciwnika nie mieli żadnych szans. A teraz nadszedł czas zemsty! Zemsty za te posiniaczone gęby, wybite zęby, połamane żebra i upokarzające ucieczki w popłochu przez pola i zagony. Czerwone ogniki papierosów poruszały się nerwowo, śmierdziało dymem papierosowym, sekundy wlekły się długo. Każdy chciał już jechać. Wreszcie kierowca widząc, że na polu namiotowym nie ma nikogo, kto by zmierzał w kierunku stara, ciska na ziemię niedopalonego papierosa i rzuca hasło:

- Chłopaki jedziemy! Trzymać się mocno!

I tak w trzydziestu lub czterdziestu chłopów ruszyliśmy na remizę dokonać odwetu na cywilach.

Kierowca wyprowadził ciężarówkę z jednostki przez zapomnianą bramę ewakuacyjną na strefie. Wprawdzie była ona zamknięta na kłódkę, ale pędzący z samochód natarł na nią z impetem rozrywając łańcuch i rozrzucając jej skrzydła na boki. Prowadzący stara żołnierz został natychmiast nagrodzony okrzykami uznania dla swej brawury i zdecydowania.

Tukło, niesamowicie tukło i rzucało na boki, kiedy jechaliśmy połą drogą. Należało się mocno trzymać ław i barierek. Ziemiaki i węgiel są przewożone w lepszych warunkach, ale tu chodziło o szybkość akcji, a nie wygodę. W końcu wyjeżdżamy na szosę. Przystaje tłuc. Silnik huczy i nabiera coraz większych obrotów. Z tyłu widać ubywającą drogę. Jeszcze tylko kilometr

do remizy. Huk silnika, łoskot trzęsącej się paki i szum wiatru zagłusza rozmowy. Po twarzach siedzących najbliżej ludzi widzę, że są mocno podekscytowani. Część z nich jest pijana i pokrzykuje i klnie agresywnie. Zdaję się, że to ci z najstarszego poboru.

Wreszcie ciężarówka zatrzymuje się na drodze przed remizą. Wysypujemy się z paki. Grupa cywili stoi na schodach przy wejściu i przygląda się nam bacznie. Widząc, że zdejmujemy pasy i okręcamy je wokół garści, domyślają się, co się święci i uciekają do budynku. W chwilę potem cichnie muzyka. W oknach pojawiają się głowy zaciekawionych gapiów. Słychać dobiegające stamtąd nerwowe okrzyki i pisk kobiet. Kilka dziewczyn z wybiega z remizy, pędzi przez plac, skręca na drogę i ucieka do wioski. Nikt ich nie zaczepia. Dowodzenie nad stojącymi przed ciężarówką i rwącymi się do bitki żołnierzami, przejmuje Balicki. Stawia na poboczu drewnianą skrzynkę, otwiera ją i rozdając petardy woła:

- Otoczyć remizę i wrzucić gaz przez okna!

Żołnierze szczelnym wiankiem otaczają budynek. Przez otwarte okna trafia do środka kilka pojemników z gazem. Słychać odgłos jak syk jadowitej żmii. W środku powstaje panika. Przerazliwie szczypiący w oczy gaz, przed którym nigdzie nie daje się ukryć, zmusza cywili do wydostania się na zewnątrz. Z płaczem, przecierając rękoma oczy, z których lecą wielkie jak groch łzy wyskakują na oślep przez okna. Ładują na trawie i podrywają się do ucieczki. Ale na dole czekają na nich żołnierze – młode chłopaki z jednostki, których wielokrotnie tutaj pobito. Kobiety puszczają wolno, a mężczyzn młóć pasami, leją pięściami i kopią swą najgroźniejszą bronią – ciężkimi wojskowymi opinaczami. Ten, komu uda się przedostać przez kordon wojskowych i uciec na drogę, nie jest już ścigany, ten, co się stawia, dostaje solidne cięgi. Stężenie gazu nasila się. Co raz więcej cywili wyskakuje przez okna na zewnątrz. Słychać płacz, okrzyki bólu, furkot pasów. Kobiety z piskiem wybiegają na drogę, a mężczyźni nawet nie zdążają podnieść się z trawy a już dostają łomot. I nieważne, winny czy niewinny, bo wojskowych wcześniej też nikt o to nie pytał.

Ktoś podpala stojący obok remizy stóg siana. Ogień rozświetla łąkę i jedną ścianę budynku. Teraz widać lepiej, jak wielu cywili z zakrwawionymi twarzami leży na trawie i stękając z bólu próbuje doczołgać się do drogi. Nikt im w tym nie przeszkadza – ci dostali już za swoje. Uwaga wojskowych skupia się na tych, co wciąż wyskakują przez okna. Bez litości tłuką ich gdzie popadnie. Trwa to długie minuty. Wreszcie Balicki wchodzi przez drzwi do sali dyskotekowej i widząc, że jest ona całkowicie pusta wydaje komendę:

- Odwrót! Wracamy! Pakują się do ciężarówki! – woła zbiegając ze schodków. Metalowa sprzączka jego pasa jest czerwona od krwi.
- Odwrót, odwrót! Wracamy! – przez chłodne powietrze rozchodzą się nawoływania. – Ładują się na pakę!

Kilka minut później ciężarówka pełna wycieńczonych ze zmęczenia, lecz cieszących się ze zwycięstwa żołnierzy, pędziła szosą do jednostki. Z ostatniej ławy na pace bardzo dobrze widać było oświetlony płonącym stogiem słomy budynek remizy. W tym miejscu na niebie gromadziły się ponure chmury. W dźwięk silnika wkładało się wycie syreny strażackiej. Wyrzucona przez kogoś nieopatrznie manierka upadła na drogę i przez chwilę sunąc z brzękiem po asfalcie zatrzymała się na środku jezdni.

*Koniec
Rozdziału XVI*

Rozdział XVII

Ancl

Mając na sobie czarne ubranie robocze siedziałem na drewnianym, skrzypiącym przy każdym ruchu krześle w chłodnej kancelarii sierżanta, któremu powierzono pieczę nad aresztantami. Na podłodze między moimi kolanami spoczywał papierowy worek. W środku znajdowały się spodnie i bluza moro, pas wojskowy, kalessony i bluza z dres – całe umundurowanie, w którym przyjechałem tutaj z Bojęcina. Pod pachą mocno ścisnąłem panterkę jakby była ostatnią ostoją bezpieczeństwa w tym nieprzyjaznym świecie – chroniła mnie przed zimnem na wartach może teraz osłoni mnie przed agresją, złością i poniżaniem, słowem całym nieuniknionym złem, którego spodziewałem się doświadczyć w anclu. Cisza, zupełnie nieoczekiwana w miejscu znajdującym się zaledwie kilka kilometrów od centrum stolicy powodowała, że wyraźnie odczuwałem chmurę negatywnych myśli i wyobrażeń oscylujących wokół mojej najbliższej przyszłości. Dziesięć dni ancla! Dziesięć dni głodu, chłodu, ciężkiej fizycznej pracy i bycia traktowanym jak śmieć. Jak ja to wytrzymam?

Zaskrzypiały energicznie otwarte drzwi. Poderwałem się z miejsca. Wysoki, łysawy sierżant wszedł do kancelarii, niedbale rzucił na biurko białą poniszczoną aktówkę i wydał polecenie:

- Siadać!

Opadłem na krzesło.

- Ile do cywila? – zapytał wyjmując stertę kartek z aktówki.

- Sto czterdzieści siedem! – odpowiedziałem z dumą świadom tego, że cyfra jest niewielka.

- Sto czterdzieści siedem? – powtórzył sierżant. – W chuj, ale w sam raz na dotarcie!

Nic nie odrzekłem bo na usta cisnęły mi się same złośliwe uwagi. Ten baran, który w ciągu kilku lat swojej papierkowej pracy nie zrobił nawet połowy tych pompek, które my tłoczyliśmy za młodego w ciągu jednego tygodnia, na wartę wszedł może ze trzy razy na szkółce podoficerskiej, a karabin miał w ręku pewnie tylko na swojej przysiędze, mówi mi teraz o docieraniu! Jakże taka sierść biurowa ma pojęcie o prawdziwym wojsku? Żadnego!

- Kanonier Paślawski? – mruknął raczej sam do siebie, zaglądając w papiery.

- Zgadza się – potwierdziłem krótko.

Sierżant wstał, domknął okno przez które wpadły powiewy chłodnego powietrza i wrócił do przeglądania dokumentów.

- Areszt od ósmego do osiemnastego listopada – powiedział rzuciwszy na mnie przelotne spojrzenie.

Kiwnąłem potakująco głową.

Patrząc z obojętnością wprost przed siebie w ścianę z której dużymi płatami odpadała wyblakła zielona lamperia, kątem oka widziałem jak sięga po słuchawkę telefonu.

- Wartownia? – odezwał się surowym tonem. – Przyślijcie mi tu jednego po aresztanta - chwila ciszy – Tak do mnie do kancelarii – dodał.

Sierżant wychylił się zza biurka i wskazawszy palcem na papierowy worek nakazał:

- Wywal to! Muszę wszystko spisać.

Zgodnie z jego poleceniem wyrzuciłem zawartość worka na podłogę. Podoficer odnotował wszystkie znajdujące się tam części umundurowania i nakazał je włożyć z powrotem. W międzyczasie przyszedł wartownik po którego przed chwilą zatelefonowano. Sierżant zobaczywszy go machinalnie wskazał na mnie ręką i polecił:

- Zaprowadź tego żołnierza do ancla!

Wartownik bez słowa wykonał ręką gest oznaczający „chodź za mną” i ruszył w stronę drzwi. Wstałem ociężale z krzesła i pozostawiając panterkę oraz worek ze swoimi rzeczami ruszyłem za nim.

- Hola, hola – wołał sierżant. – Stać!

Odróciłem się i z zaciekawieniem spojrzałem na trepa.

- Sznuróweczki. Jeszcze sznuróweczki, żołnierzu! – mówił pokazując palcem na moje opinacze.

- Sznuróweczki? – powtórzyłem niemal bezwiednie. – Co sznuróweczki?

- Sznuróweczki też zostają – wyjaśnił.

Westchnąwszy ze zdziwieniem, przykułem i po chwili wyjąłem sznurowadła z butów. Ścisnąłem je w garści i wrzuciłem do papierowego worka.

- Za mną! – rzucił krótko wartownik.

Człapiąc latającymi luźno po nodze butami przygnębiony powoli powlokłem się za nim. Wyfroterowana na glacie stara podłoga z desek trzeszczała przy każdym kroku. „Sznuróweczki też zostają” – dźwięczały mi w uszach słowa sierżanta. Czyżby rzeczywiście w tym anclu było aż tak źle, że odbierano żołnierzom sznurówki aby nie powiesili się na nich? Nie do wiary, że mnie to spotkało, że ja spokojny człowiek trafiłem do takiego miejsca.

Idąc za wartownikiem mijałem stare, na pewno wzniesione jeszcze przed wojną budynki z czerwonej cegły. Tuż za bramą znajdowała się wycelowana w niebo, długa na ponad dziesięć metrów rakietka „Wołchow”. Przez ogrodzenie widać było kawałek cywilnego świata – jeżdżące po ulicy samochody oraz drepczących po chodniku przechodniów. Ponad rok temu przeszedłem tutaj przez tę bramę pełen naiwnych wyobrażeń o swej przyszłej służbie, czysty i gotów na wszystko, jak biała nie zapisana kartka papieru.

Wlokąc się za wartownikiem idę obok stołówki, w której jadłem pierwszy wojskowy posiłek. Z prawej strony dostrzegam rozległy porośnięty trawą plac. Właśnie tutaj niespełna rok temu składałem przysięgę wojskową. W wyobraźni wracam do tych chwil. Widzę kolumny wojska, grupy rozbawionych cywili, słyszę różne komendy oficerów i bęben wybijający rytmy wojskowego marsza. Zaczyna się rota. „Ja żołnierz Wojska Polskiego przysięgam...”. Słowa przysięgi głośnym echem odbijają cię od ścian wysokich budynków. Czuć radość w powietrzu! Cywile i żołnierze oczekują na koniec tej podniosłej ceremonii by paść w ramiona swych bliskich. A nad całym zgromadzeniem, zamocowana na najwyższym maszcie, łopocze białoczerwona flaga...

Teraz idę w brudnym i poniszczonym ubraniu roboczym, w butach bez sznurowadeł, a wartownik niosąc przewieszony przez ramię karabin ma za zadanie pilnować mnie abym nie uciekł. Nie spodziewałem iż przyjdzie mi przeżyć tak upokarzające doświadczenie.

Skracamy i zbliżamy się do rogu jednego z wysokich budynków. Instynktownie wyczuwam, że gdzieś tutaj mieści się ancel. Z ciekawością rozglądam się dookoła. Czy rzeczywiście rosną tutaj kasztany? Nie widzę jednak żadnych drzew! Czyżby ironiczna nazwa kary aresztu wojskowego – „Wczasy pod Kasztanami” była wyssaną z palca bujda? Wygląda na to, że tak! A szkoda, bo ta nazwa podobała mi się do tego stopnia, że dla jej prawdziwości byłem gotów posadzić tutaj te kasztany.

Niemile rozczarowany schodzę za wartownikiem po wąskich schodkach do pomieszczenia znajdującego się w piwnicach budynku. Zatrzymujemy się przed obitymi grubą miejscami porzewiałą blachą drzwiami. Pilnujący mnie żołnierz wyjmuję z kieszeni gruby pęk kluczy i

pobrzękując nimi otwiera zamek wydający niemiły zgrzyt przy każdym przesunięciu spustu. Nacisk na klamkę i drzwi otwierają się. Za nimi widnieje mrok, czarna czelusć.

- Właż – mówi wartownik.

Stoję przez chwilę niezdecydowany.

- No ruchy, ruchy – pogania mnie. – Obiad mi na wartowni stygnie!

Pochylam głowę by nie zawadzić o niską futrynę i wchodzę do środka. Drzwi z głośnym hukiem zatrzaskują się za mną. Znowu słyszę dwa zgrzytnięcia zamka.

W ciasnej celi panuje półmrok. Oświetla ją słaba zamocowana środkiem sufitu żarówka, schowana pod brudnym kloszem z matowego szkła. Przez dwa malutkie mieszczące się tuż pod sufitem okratowane okna, wpada szare światło dzienne. Ze zdziwieniem spostrzegam, że całe pomieszczenie – wszystkie ściany i podłoga wyłożone są niebieskimi kafelkami z glazury – takimi, jak te które widuje się w łazienkach. Są tu tylko dwa taborety na metalowych nóżkach. Na jednym z nich siedzi jakiś drobnej postury żołnierz. W ręku trzyma obłożony w brązowe okładki regulamin wojskowy i wpatruje się we mnie bez słowa. Idę do stojącego pod ścianą wolnego taboretu. Człap, człap, człap – nie jestem przyzwyczajony do chodzenia w butach bez sznurówek.

- Ile tam siedzi? – pytam po drodze, rzucając w jego stronę zaciekawione spojrzenie. W duchu cieszę się, że nie będę w tej celi przebywał sam jak palec.

- Mało! – odpowiada niespodziewanie mocnym jak na swój wygląd głosem. – Dziś po obiedzie będzie zero piętnaście!

Siadam na taboret. Metalowe nóżki z jazgotem przesuwają się po kafelkach.

- Zero piętnaście? – zdumiałem się. – Z taką cyfrą do ancla cię wpakowali?

Żołnierz wstał z taboretu i ze złością kopnął leżący na podłodze regulamin. Ręką poprawił rzadką grzywkę jasnych włosów. W panującym tutaj półmroku jego twarz wydawała mi się dziwnie znajoma. Musiałem go spotkać już wcześniej, nie mogłem jednak przypomnieć sobie gdzie.

- Co zrobić? Tak wyszło! – odrzekł i z ciężkim westchnieniem usiadł na taborecie. – Za pobicie – dodał ciszej.

Korciło mnie aby zapytać kogo pobił i w jakich okolicznościach, skoro za takie przewinienie wpakowano go do ancla. Postanowiłem jednak poczekać z tym pytaniem jeszcze kilka przez chwil. W każdym razie zauważyłem, że przyszło mi tu siedzieć z niezłym ziółkiem w tym wojskowym areszcie. Szczerze powiedziawszy czegoś lepszego można by się spodziewać po tymże niechlubnym miejscu, jak nie cwaniaków i łotrzyków, którzy dusili się w klatce surowego wojskowego życia? Wprawdzie ja też tu trafiłem, ale siedziałem za pomalowanie placu apelowego – byłem więc bardziej więźniem politycznym, aniżeli szkodliwym dla społeczeństwa przestępcą. Takim oto rozumowaniem próbowałem się dowartościowywać przez cały okres pobytu w anclu.

- Jak tutaj jest? – zapytałem spoglądając na niego spode łba niepewnie. Licho wie co to za jeden.

- Znośnie – odpowiedział. – Pobudka o piątej rano, rejony zewnętrzne i cały czas robota aż do dwudziestej trzeciej. A przerwy tylko na posiłki.

- Co to za roboty?

- Różne, przeważnie przy węglu, sprzątanii rejonów. Najgorsze. Wiesz że do tych najgorszych to właśnie anclowiczów biorą?

- Wiem – powiedziałem z westchnieniem. Nie lubiłem ciężkiej fizycznej pracy, zwłaszcza za karę. Rozejrzałem się dookoła i zauważyłem:

- Przecież tutaj nie ma łóżek!

- Są - wskazał na ścianę za moimi plecami – To takie prycze podczepiane do ściany. Na noc je opuszczają, a w dzień o piątej rano podnoszą do góry i zamykają na kłódkę.

Odróciłem się do tyłu i obrzuciłem niechętnym spojrzeniem niewygodne prycze z desek. Same dechy, żadnego materaca. Królowna Śnieżka pewnie by się nie wyspała, ale przywykły do spania

na różnych nierównościach terenu żołnierz-wartownik prędko przyzwyczai się do tych warunków.

- A gdzie kibel? – zapytałem rozglądając się po celi.
- Nie ma – usłyszałem odpowiedź. – Jak chcesz iść do kibla to dzwonisz na wartownię. Koło drzwi jest przycisk.
- I za każdym razem wypuszczają?
- Prawie. W nocy lepiej nie zawracać im głowy.

Wstałem i przeszedłem kilka kroków po podłodze z kafelków. Cella miała około cztery metry długości i trzy metry szerokości. Sufit był nisko – mogłem go dotknąć wyciągniętą do góry ręką. Nie było tak źle w tej betonowej klatce pod względem miejsca - z powodzeniem dało się zrobić kilka kroków tam i z powrotem. Spodziewałem się, że będzie znacznie gorzej.

- Długo siedzisz w anclu? – popatrzyłem na swego współtowarzysza niedoli.
- Trzeci dzień. Wychodzę piętnastego – powiedział ze smutkiem w głosie. – A później dosługa.
- Przejebane! – skomentowałem to krótko.
- Jakoś zleci.

Podszedłem do niego i zapytałem:

- Jak masz na imię, albo jaką masz ksywkę?
- Antek jestem – wyciągnął do mnie rękę na przywitanie. – Ksywki nie mam.
- Ani ja! – roześmiałem się. – Na unitarce przeżywali mnie „ksiądz” bo niby taki spokojny jestem, ale nie przyjęło się. Wiesław mam na imię.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

- Żarcie zaraz będzie – rzekł nowo poznany kolega.- To są resztki z kuchni, a oni mówią na to obiad. Wiesz, że ancel dostaje żarcie na samym końcu? To co zostanie kucharzowi w kotłach?
- Nie wiedziałem, ale na żadne delicje tu nie liczyłem – odpowiedziałem siląc się na żart. – Jesteś ze Śląska?
- Tak. Skąd wiesz?
- Bo tak zaciągasz jak mój kolega z Tych.
- Zgadza się - potwierdził. – Jestem z Dąbrowy Górniczej. A ty?
- Z Rzeszowskiego.
- To gdzieś w górach?
- Jakie tam góry, raczej łagodne pagórki – irytowało mnie kiedy mówiono, że pochodzę z gór. Ludzie mieli jakieś stereotypowe wyobrażenie na temat Rzeszowszczyzny rozumując, że wszystko co jest na południu to góry. – Za co cię wpakowali? – zaryzykowałem pytanie.

Ślązak kopnął w podłogę robiąc czarną rysę na podłodze z kafelków.

- Taki jeden mnie wkurzył to mu dałem po ryju . Wpakowali mnie za to do ancla – powiedział chodząc nerwowo po celi. – Jak dostanę za to dusługę to mu jaja urwę!
- Nie ma co się czarować - dostaniesz! Ja też dostanę bo mamy więcej niż pięć dni ancla a powyżej pięciu jest dosługa – rzekłem z ciężkim westchnieniem. Pomyślałem sobie, że mając jeszcze pół roku służby przed sobą mogę liczyć na jakiś cud i anulowanie kary, ale on z cyfra zero czternaście na falomierzu nie ma żadnych szans na wymiganie się przed dosługą.

Nic nie odpowiedział. Ponuro zamyślony usiadł na taborecie.

Usłyszałem tupot czyichś kroków. Ktoś schodził po schodach. Po chwili w celi rozległ się zgrzyt otwieranego zamka. Drzwi uchyliły się i ukazał się w nich postać jakiegoś żołnierza trzymającego na plecach termos służący do przenoszenia żywności.

- Obiad – powiedział obojętnym tonem.

Wszedł do celi i postawił termos na podłodze. Obok niego położył dwa plastikowe talerze.

- Żyrcie szybko, bo przed wejściem na posterunek muszę to zabrać z powrotem – mówił kierując się ku wyjściu.

Ślązak odkręcił wieko termosu i zawołał za nim z irytacją w głosie:

- Mogłeś trochę uważać! Zupa zmieszała się z drugim daniem!
- Malunio! – brzmiała lekceważąca odpowiedź.

Wartownik wyszedł z celi, zamknął drzwi i pobiegł do góry po schodach.

Z ciekawością zajrzałem do termosu. Na jego dnie po jednej stronie znajdowała się jakaś zupa, a po drugiej mieszanka ziemniaków i surówki oraz dwie liche sztuki mięsa. Obydwa te „dania” rozdzielało kilka kromek chleba. Przyjrzawszy się temu dokonałem spostrzeżenia:

- Dają nam żreć jak świniom!

Antek wzruszył ramionami.

- Żeby to chociaż nadawało się do żarcia. Spróbuj!

Zacząłem tradycyjnie od drugiego dania. Nabrałem chochlą ziemniaki przemieszane z surówką i umieściłem je na talerzu. Następnie wyłowilem kawałek mięsa. Usiadłem pod ścianą i trzymając w ręce talerz zabrałem się do jedzenia. Okazało się, że ziemniaki są zimne i zdrewniałe a mięso czymś cuchnie. Z niesmakiem i obrzydzeniem odłożyłem talerz na bok. Spojrzawszy na Antka przekonałem się, że on zjada wszystko jak leci.

Zauważywszy, że mu się przyglądam samemu nic nie jedząc powiedział:

- Na początku też nie jadłem, ale mi dupa zgłodniała i zacząłem żreć to świństwo.

Kiwnąłem ze zrozumieniem głową i jeszcze dalej odsunąłem swój talerz. Tak wyglądał pierwszy posiłek w anclu.

Po obiedzie zapędzono nas do stosunkowo lekkiej chociaż niezbyt przyjemnej pracy. Po okiem wartownika przebieraliśmy ziemniaki w piwnicy. Słowo „przebierali” nie do końca pasuje do opisu wykonywanych przez nas czynności. Raczej należałoby powiedzieć, że wybieraliśmy grudki ziemniaków z cuchnącej stęchlizną i zgnilizną ziemniaczanej breji. Dziwiło mnie marnotrawstwo na wskutek którego, czy to z powodu złego przechowywania, czy też niewłaściwego zarządzania zapasami żywności, kilka ton ziemniaków nadawało się do wyrzucenia. Prawdę powiedziawszy w wojsku już wcześniej wiele razy napatrzyłem się jak trwonione są pieniądze płynące z budżetu państwa, jednak ten przypadek zirytował mnie szczególnie – prawdopodobnie dlatego, że była to wyjątkowo cuchnąca sprawa w której osobiście maczałem palce.

Prace w piwnicy trwały do późnej nocy. W międzyczasie zjedliśmy kolacje – kilka kromek chleba z serkiem topionym. Człowiek jak coś robił, to przynajmniej się nie martwił, wprawdzie ziemniaki śmierdziały, ale coś się działo, czas leciał, zegarek tykał i odmierzał czas do wyjścia z ancla, a później do cywilnej wiosny. Kiedy kładliśmy się spać po raz wtóry przykro się rozczarowałem: okazało się bowiem, że aresztantom nie przysługuje żadna pościel poza jednym kocem do przykrycia a Antek mówił, że nocami bywało cholernie zimno. Nic dziwnego bo był to przecież listopad, a pomieszczenie dla aresztantów znajdowało się w piwnicy budynku i nie było w żaden sposób ogrzewane. Nie wspomnę o braku toalety w celi bo byłby to oznaką przyzwyczajenia do „burżuazyjnego luksusu”, wspomnę raczej o braku zwykłej umywalki – takiej z której leci woda o choćby pół stopnia cieplejsza od temperatury, w której ta ciecz zmienia się w lód. Nie ma umywalki i nie ma mycia.

Ślązak wiedział o tym i zanim zamknięto nas w celi uprosił wartownika, żeby pozwolił nam się umyć w łazience na stołówce. Ten przystał na to bardzo chętnie, lecz kazał się wynagrodzić fajkami w ilości: sztuk dwie. Antek kiwnął głową, że się zgadza po czym pod jego nieobecność wypalił w łazience ostatniego papierosa jakiego posiadał. Wychodzimy na zewnątrz umyć, a fajek nie ma! Wartownik się oburzył, że został wystrychnięty na dudka. Ślązak powiedział, że da mu fajki, jak kupi całą paczkę w kantine, i ten oto sposób zagwarantował sobie, że jutro ktoś z nim się do tego miejsca pofatyguje (bo aresztant mógł poruszać się tylko pod nadzorem innego żołnierza a rzadko komu chciało się to robić).

Po godzinie dwudziestej trzeciej położyłem się spać, oczywiście w jedynym stroju jakim miałem, czyli ubraniu roboczym. Wprawdzie materiał tzw. „czarnucha” przesiąkł smrodem zgniłych ziemniaków, ale po pierwsze i tak już się do niego zdążyłem przyzwyczać, a po drugie po ciężkiej pracy byłem wyjątkowo zmęczony. Zatem ledwie zdążyłem zamienić kilka słów z Antkiem a już zasnąłem. Tak zleciał pierwszy, pełen niemiłych zaskoczeń dzień w areszcie wojskowym.

Pobudkę ogłoszono o piątej rano. Wartownik wszedł do celi zgonił nas z prycz a następnie zamknął je na kłódkę. „Buty na nogi i jazda do sprzątania rejonów zewnętrznych!” – brzmiało polecenie. Zimno, ciemno bo w listopadzie o tej godzinie jest jeszcze noc, a my z miotełkami, łopatami popychając taczkę zasuwały sprzątając alejki między budynkami. Musimy się uwinąć z tą robotą zanim kadra przyjdzie do pracy.

Przenikliwe zimno zmusza nas do nieustannego poruszania się – to już lepiej wywijać tą łopatą jak najęty, niż stać w miejscu i marznąć. Kilkadziesiąt minut pracy, cztery taczki liści wywiezionych na śmietnik i rejonów zewnętrznych są już posprzątane. Chyba jest około szóstej, a gdzie tu jeszcze do śniadania? Wracamy do ancla ogrzać się. Trafia się ku temu jeszcze lepsza okazja – przechodzimy obok kotłowni, a palacz szerokim gestem zaprasza nas do środka. Krótka rozmowa z pilnującym nas wartownikiem i już dostajemy zatrudnienie przy wwożeniu koksu do kotłowni. Szufła do ręki, rozklekotane taczki i po dwadzieścia kursów na głowę. Wożąc koks dochodzę do racjonalizatorskiego wniosku, żeby podpiąć tę jednostkę do sieci ciepłowniczej całego miasta. Nie ma się z kim tym pomysłem podzielić – palacz pewnie byłby najmniej zainteresowany... Pracujemy dalej, jeździmy taczkami tam i z powrotem. Dobrze, że chociaż stojąc przy kotle można się porządnie zagrzać. Trzeba z tego korzystać bo na dworze szaruga a w celi zimno.

Po zawiezieniu do kotłowni dobowego zapasu koksu palacz dziękuję nam i próbuje dogadać się z wartownikiem żebyśmy pomogli rozładować dwa transporty węgla, które mają przyjechać tego dnia. Ten odsyła go do sierżanta opiekującego się aresztantami. Słyszając tę rozmowę cieszę się, że rysuje się perspektywa spędzenia dnia przy wprawdzie cięższej ale za to znacznie czystszej pracy niż papranie się w cuchnącej ziemniaczanej breji, która wczoraj jeszcze nawet w połowie nie została przebrana. Odstawiamy szufle pod ścianę i wracamy do celi zjeść śniadanie.

Tym razem kuchnia serwuje po dwa kawałki parówki i kilka kromek chleba na głowę. Cieszę się bo jedzenie smakuje jak nigdy dotąd. Dogadujemy się z wartownikiem, żeby na obiad w ogóle nie przynosił zupy bo miesza się w termosie z drugim daniem. Zaledwie zatrzasnął on za sobą drzwi a już na nowo poczułem głód - co to są dwa kawałki parówki przy takim nawale pracy? Pomaga to tylko oszukać żołądek aby nie trawił sam siebie.

Po pięciu minutach melduje się po nas jakiś chudy sierżancina i zabiera nas ze sobą. Idąc alejkami nic nie mówi, stwarzając tym samym wrażenie tajemniczości, a my postępując za nim odnosimy wyobrażamy sobie, że zaraz wejdziemy do wyglądającej przeciętnie windy, która zjedzie pięćdziesiąt pięter w dół gdzie dostaniemy wiadro wody i szmatę aby pozmywać podłogę w ukrytym magazynie broni nuklearnej. Jednak proza życia wiedzie nas po schodkach na trzecie piętro i angażuje przy odytkaniu rury kanalizacyjnej za pomocą drucianego wężyka zakończonych korbką. Po kilku minutach kręcenia korbką głośny szum wody spuszczonej z zbiornika nad sedesem wieńczy sukcesem naszą sekretną i poważną misję.

Ledwie uwinęliśmy się z tą robotą a sierżancina już zapędziła nas do pracy w magazynie mundurowym. Było to bardzo przyjemne zajęcie – liczenie sztuk umundurowania i przekładanie ich z miejsca na miejsce. Dach nad głową, ciepło, nic nie wieje i nikt nie pogania. Mógłbym się tym zajmować aż do końca ancla. Niestety przyszły te cholerne transporty węgla i zapędzono nas do rozładunku. Zbiegając po schodach doszedłem do wniosku, że gdzie jak gdzie ale w anclu czas naprawę bardzo szybko leci.

Po obiedzie Antek poszedł do kantyny z wartownikiem któremu był winny dwa papierosy. Korzystając z tej okazji wyciągnąłem z kieszeni zwitek pieniędzy i poprosiłem go o kupienie najtańszej karty telefonicznej. Zauważyłem, że w jednym z budynków znajduje się automat telefoniczny i zamierzałem z niego zadzwonić do Elizy. Byłem ciekaw co u niej słychać, bo nie kontaktowaliśmy się co najmniej przez miesiąc. Odkąd trafiłem do wojska nigdy nie znajdowaliśmy się tak blisko siebie – dokładnie w tym samym mieście. Być może nawet mieszkała gdzieś niedaleko?

Po pewnym czasie Antek wrócił w wyjątkowo kiepskim humorze. Zapytałem co go wprawiło w tak podły nastrój. Ślżak nerwowo otworzył paczkę papierosów i z grymasem wstrętu na twarzy odpowiedział:

- Szambo!
- Jak to szambo? – miałem już pewne podejrzenia lecz nie byłem do końca pewny.
- Ano jutro mają wywozić szambo z jednostki – wyjaśnił.
- To niech wywożą. Co się tym przejmujesz?
- Samym wywożeniem się nie przejmuję tylko czyszczeniem zbiornika.
- To niby anclowicze mają się tym zająć? – domyślałem się.
- Tak. W kantynie spotkałem tego łysego sierżanta – zaciągnął się papierosem, wypuścił kłąb dymu i dodał: - To od niego się dowiedziałem. Mówił, że trafiliśmy na pechowy okres. Ostatnio wywożono szambo ponad dwa lata temu.

Wstałem z miejsca i przeszedłem się po celi. Zamknąłem termos z pozostałościami obiadu i stwierdziłem:

- Wyjątkowo przesrana sprawa.. Pewnie nie da się od tego wymigać?
- Po to są anclowicze, żeby ich brać do najgorszych robót – powiedział Antek bez cienia żłudzeń.
- Trudno. Jakoś to przeżyjemy – odrzekłem z ciężkim westchnieniem. Jak pech to pech - najpierw wybieranie cuchnących ziemniaków, teraz znowu czyszczenie szamba. Jak widać los nas w tym anclu nie oszczędzał nas ani odrobinę.

Po krótkiej przerwie na obiad znowu poszliśmy pracować przy rozładunku węgla. Przywieziono go co najmniej sześćdziesiąt ton! Chyba właśnie tyle wejdzie na dwie ciężarówki z dwoma przyczepami? Machaliśmy szuflami bez ustanku lecz to co zdołaliśmy zrzucić na ziemię wciąż było kroplą w morzu w porównaniu do tego, co wciąż jeszcze pozostawało na przyczepach. Zajęcie to zdawało się nie mieć końca. Dopiero po piątej podesłano jeszcze kilku żołnierzy z tutejszego oddziału WAK. Bibole splunęły w łapy, dorwały się łopat i robota od razu ruszyła pełną parą. Po prawdzie mnie tam nigdzie się nie śpieszyło, lecz po co tak się męczyć machając ciężką szuflą, skoro można spokojnie grabić liście, słuchając ćwierkania ptaszków.

Przed kolacją cały transport węgla został rozładowany. Dopiero wówczas, po drodze do celi, znalazłem kilka minut czasu na to aby zadzwonić do Elizy. Automat telefoniczny mieścił się w korytarzu budynku stojącego najbliżej bramy. Co chwilę ktoś tamtędy przechodził to w jedną, to w drugą stronę. Trzaskały domykane na sprężynę drzwi. Wprawdzie nie były to warunki do przeprowadzenia dyskretnej rozmowy lecz prawdę powiedziawszy po rozładowaniu kilkudziesięciu ton węgla nie byłem w nastroju na takie pogawędki. Chciałem się tylko dowiedzieć co u niej słychać.

Wbiegłem po schodkach, wszedłem na korytarz i podniosłem słuchawkę telefonu. Ręką, prawie że całą czarną od węgla wyjąłem kartę telefoniczną i wetknąłem ją do automatu. W kieszeni spodni miałem mały kalendarzyk w którym zanotowałem kiedyś numer telefonu do Elizy. Po usłyszeniu sygnału wybrałem go z dużym podenerwowaniem i niepewnością. Ciekaw byłem jak na mnie zareaguje po prawie miesiącu nie dawania o sobie znaku życia.

Dwa dzwonki i słyszę trzask podnoszonej słuchawki.

- Tak słucham – w telefonie rozlega się jej głos.

- Cześć Eliza! Wiesław z tej strony. Witaj! – wołam z entuzjazmem.
 - A cześć! – słyszę radość w jej głosie. – Co się stało, dlaczego tak długo nie się odzywałeś?
 - Nie miałem jak. Byłem sześć tygodni na poligonie – udzieliłem wykrętej odpowiedzi. Wszak wiadomo, że dla chcącego nie ma nic trudnego. W Pustelniku też były telefony.
 - A teraz gdzie jesteś? – pytała z ciekawością.
 - W Warszawie. Będę tutaj kilka dni – korciło mnie aby pochwalić się, że siedzę w areszcie ale nie zrobiłem tego. Zamiast tego zapytałem: - A ty co porabiasz?
 - Teraz pomagam robić tort – brzmiała odpowiedź.
 - Tort? Pewnie na czyjeś urodziny? – powiedziałem domyślnie.
 - Na moje urodziny. Niestety... – usłyszałem smutek w jej głosie. – Ten czas tak szybko leci...
 - Po tej stronie ogrodzenie wlecze się jak żółw! – stwierdziłem. – Moja damo, wstąp do armii a zachowasz wieczną młodość!
- Usłyszałem jak śmieje się w odpowiedzi.
- Skoro jesteś w Warszawie, to wpadnij do mnie na urodziny – zaproponowała.
 - Kiedy? – zapytałem machinalnie wiedząc, że obecnym stanie rzeczy jest to niemożliwe.
 - Impreza zaczyna się dzisiaj po dwudziestej u mnie w mieszkaniu.
 - Dzisiaj? – zamurowało mnie. – Dziś nie dam rady!
 - Masz jakąś służbę? – dopytywała się.
 - Co tam służba. Jeszcze gorzej.
 - To znaczy?
 - Nie ważne. Innym razem ci powiem.
 - Jaki kolega tajemniczy się zrobił – usłyszałem drobną uwagę. – Czyżby jakieś zadanie specjalne?
 - Też nie – przyszło mi na myśl zadanie specjalne w postaci jutrzejszego czyszczenia szamba. Taka szansa nie trafia się co dzień. Kątem oka widząc, że poganiana mnie odprowadzający nas do ancla wartownik zawołałem do słuchawki: – Słuchaj Eliza, muszę kończyć! Życzę wszystkiego najlepszego w dniu urodzin no i żeby impreza się udała. Jutro zadzwonię!
 - Zadzwon koniecznie, to porozmawiały dłużej – zachęcała mnie. – Może wpadniesz na obiad?
 - Zobaczą jeszcze. Może wpadnę – wyobraziłem sobie jak mógłbym być zestresowany jedząc obiad przy jednym stole z jej ojcem jakimś generałem, samemu będąc aresztantem. – Przekręcę po południu. Pozdrawiam. Cześć!
 - Trzymaj się ciepło! Cześć! – pożegnała mnie Eliza.
- Odłożyłem słuchawkę na widełki. Automat wypuł kartę.
- Ruchy, młody ruchy! – wołał za moimi plecami wartownik. – Zaraz wychodzę na posterunek.
 - Dobra! Już skończyłem – powiedziałem ze irytacją w głosie.

Idąc do celi rozważałem o powodach dla których od pewnego czasu nie podtrzymywałem kontaktów z Eliza. Nasze ostatnie spotkanie co prawda przebiegło bardzo sympatycznie lecz skończyło się niemiłym dla mnie akcentem. Te rozpieszczona córka generała z jednej strony wyzwała mi się, że jej kolega ze studiów określił sobie ją niebogę wokół palca, a później rzucił, co pozwala jej ulokować wszystkich mężczyzn w jednym worku i podpisać go etykietką „zdrajcy”, a z drugiej strony tuż po spotkaniu ze mną umawia się z jakimś koleśkiem, który na moich oczach podjeżdża po nią sportową bryką. Co za przewrotna natura kobieca! Jeśli twierdzi, że mężczyźni to zdrajcy, to niech będzie że zdrajcy! Odgrodzić się od nich murem na dwa lata i nie spotykać z nimi w ogóle! W działaniu i rozumowaniu musi być jakaś konsekwencja, a nie raz tak, a drugim razem inaczej w zależności od tego z której strony wiatr zawieje. Ale muszę szczerze przyznać, że ta sportowa fura – zdaje się białe Audi - mocno nadszarpane moje poczucie wartości. Jeśli ta dziewczyna ma kolegów rozbijających się takimi samochodami, to po co ja biedny żuczek będę rozmyślał o niej wieczorami, angażował się w tą znajomość, skoro to i tak nie ma ona żadnych szans na szczęśliwe zakończenie? Po co miałbym przeżywać zawód miłośny? Wyjdę z wojska,

znajdę sobie pracę, a dziewczynę na poznam kursie angielskiego albo nauki gry na gitarze. Jakąś normalną - znaczy się córkę nauczyciela od muzyki, motorniczego, kioskarza, a nie, do licha, generała brygady! Właśnie takie rozumowanie powstrzymywało mnie od utrzymywania z Elizą tak częstych kontaktów, jak miało to miejsce na samym początku naszej znajomości.

Wydaje mi się, że i tak żyłem w świecie iluzji i pobożnych życzeń, skoro szarpnąłem się na tak poważny przy skromnym żołdzie wydatek, jak karta telefoniczna, a następnie zadzwoniłem do tej ładnej i miłej warszawianki.

Mimo wszystko żałowałem, że właśnie wtedy kiedy Eliza urządziła imprezę z okazji urodzin, ja siedziałem w areszcie wojskowym. Ciekawiło mnie jak wyglądają prywatki tutaj w Warszawie. W ogóle każde pięć minut pobytu w cywilnym świecie działało kojąco na moją psychikę, a co tu dopiero mówić o imprezie, na której będzie pełno młodych ludzi. Niestety wzięcie w niej udziału nie wchodziło w rachubę. Natomiast intensywnie myślałem o spotkaniu w dniu jutrzejszym. Ale nie na jakimś oficjalnym obiedzie u niej w domu, lecz w jakimś lokalu, na przykład w tej znajdującej się gdzieś niedaleko stad kawiarence, w której piłem kawę tuż przed wstąpieniem do armii. Co prawda byłem aresztantem, jednak przy odrobinie sprytu i odwagi przedsięwzięcie takie było możliwe do zrealizowania. Od momentu kiedy odłożyłem słuchawkę zacząłem intensywnie myśleć, jak do tego podejść...

Po kolacji składającej się z kilku kromek chleba i białego szaleństwa oddelegowano nas do pracy w magazynie żywnościowym. Odetchnąłem z ulgą ponieważ spodziewałem się, że poślą nas do piwnicy ze zgniłymi ziemniakami. Wczoraj nie zdążyliśmy przebrać nawet połowy tego świństwa. Po drodze do magazynu wyminął nas samochód cysterna wywożący szambo z jednostki. Śmierdziało od niego niesamowicie. W miarę zbliżania się do magazynu ów specyficzny smród różnych gazów i ludzkich odchodów nasilał się. Idąc drogą dotarliśmy do miejsca którym znajdowało się szambo. Stał tam jeszcze jeden pomarańczowy samochód-cysterna, który wysysał przez grubą gumową rurę, płynne zanieczyszczenia z okrągłych mających, średnicę około trzech metrów betonowych zbiorników. Nie wiadomo ile położono ich w głąb. Na pewno nie dwa ani nie trzy. Na myśl o tym, że jutro kiedy szambo zostanie wywiezione, mamy zająć się czyszczeniem tych zbiorników, poczułem mocny odruch wymiotny. Antek też miał nietęgą minę.

Klucze do magazynu żywnościowego posiadał kucharz. Wartownik – dokładnie ten sam żołnierz, który przedwczoraj wziął dwa papierosy za to, że pozwolił nam się umyć w łazience, zaprowadził nas najpierw do kuchni. Okazało się mistrz patelni na krótką chwilę wyszedł po coś na zewnątrz. Jego pomocnik zaproponował abyśmy kilka minut cierpliwie poczekali. Nalaliśmy sobie ciepłej herbaty do kubków usiedliśmy we trzech za stolikiem i czekamy. Naprawdę nigdzie nam się nie śpieszy. Siedzimy sobie wygodnie, jest ciepło, pijamy gorącą herbatkę posłodzoną cukrem i patrzymy jak dwóch młodych szoruje patelnię. Antek wstaje i z ciekawością zagląda do kotów. Wdychając te wonie i jednocześnie będąc niesamowicie wygłodzonym nie da się wysiedzieć na miejscu! Ślżak dokonuje epokowego odkrycia – w jednym z garnków odnalazł skarb – kilka przysmażonych filetów rybnych. Nie pytając nikogo o pozwolenie nakładamy filety na talerze wracamy do stolika i jemy aż się uszy trzęsą. Pijamy herbatę. Zauważam na wydawce koszyczek z chlebem. Odrywam się na chwilę od talerza i przynoszę go. Okazuje się, że chlebek jest świeży, miękki jak gąbeczka. Ale uczta! Oplącało się przyjść do kuchni! Dochodzę do wniosku, że gdzie jak gdzie ale służba na kuchni jest po prostu najlepsza!

Najedliśmy się tymi filedami jak nigdy dotąd w areszcie. Człowiek syty zupełnie inaczej patrzy na świat. Jakoś tak pewniej, bardziej optymistycznie. To nic, że za chwilę znowu nie będzie co jeść. Liczy się chwila obecna, ta sytość w żołądku! Antek wyjmuje paczkę papierosów i częstuje wartownika. Ten nie odmawia. Migają ogniki w zapalniczkach i w chwilę potem czuć dym papierosów. Sam nie pale, ale tego wieczora podoba mi się ten zapach. Rozglądam się za kawą. Nie piłem jej już od trzech dni! Wprawdzie mogłem kupić kantynie, ale w celi nie było żadnego gniazdzka, żeby zagotować wodę. Zaglądałem do wielkich garnków przy wydawce z

których wystają chochle i rzeczywiście w jednym z nich odrywam kawę. Nalewam ją do kubka i próbuję. Tfuu! Zbożowa! Zrezygnowany wracam do stolika. Dojadając resztki fileta wdaję się w pogawędkę z Ankiem i wartownikiem, który w trakcie rozmowy każe na siebie wołać „Szrama”, czyli tak jak ma na przezwisko. Rzeczywiście ma budzącą respekt szramę na przedramieniu, ale nie wyjawia nam w jakich okolicznościach się jej nabawił. Szrama jest z Radomia. Opowiada o swojej pracy w charakterze bramkarza w jednej z Radomskich dyskotek. Oczywiście rozmowa schodzi na panienki. Kiedy dotykamy tego tematu wyznaję z żalem w głosie:

- Ach, nie macie pojęcia jaka impreza mnie dzisiaj ominęła.

Spojrzeli na mnie z pytaniem w oczach.

- Moja znajoma ma dziś urodziny. Robi prywatkę w mieszkaniu – wyjaśniłem. – Akurat wtedy kiedy siedzę w anclu. Co za pech!

Szrama odchylił się na krześle i szeroko rozłożywszy ręce powiedział:

- Ja tu nie widzę problemu. Stawiasz flaszkę i na noc jesteś wolny.

- Poważnie? – rzekłem z udanym zdziwieniem w głosie, świadom tego, że „flaszka” jest najbardziej chodliwym towarem i jednocześnie elastycznym środkiem płatniczym w armii. Za flaszkę za się załatwić prawie wszystko. – A jak mnie nakryją że mnie nie ma? – dodałem z obawą w głosie. – To co wtedy?

- Kto cię nakryje? – Szrama machnął lekceważąco ręką. – W nocy nikt do ancla nie zagląda. A ja dogadam się z dowódcą warty, żeby cię wypuścić do piątej rano.

W pobliżu pojawił się kucharz. Rzucił okiem na odkryty garnek, w którym jeszcze parę minut temu znajdowały się filety rybne oraz spojrzał na nasze puste i tłuste talerze. Nie odezwał się ani słowem. Podniósł do góry rękę w geście oznaczającym „cześć!”. Widziałem jak wchodzi do jakiegoś małego magazynku i po chwili wraca z pękiem dużych kluczy.

- Nie mam cywilek – powiedziałem do Szrama. - A przecież w ubraniu roboczym w butach bez sznurówek nie pójde.

Wartownik skinął ręką na kucharza. Ten podszedł do naszego stolika.

- O co chodzi? – zapytał.

- Gościu cywilek potrzebuje – powiedział Szrama wskazując na mnie.

- Na nockę? – kucharz obrzucił nas domyślnym spojrzeniem.

- Jeszcze nie wiem, czy na pewno... – odpowiedziałem z namysłem w głosie.

- Paczka fajek i masz – krótka odpowiedź ze strony kucharza. – Swoje cywilki trzymam tutaj w magazynku. W każdej chwili mogę ci je dać.

Napiłem się herbaty i odstawiłem kubek. Wypadki zaczęły toczyć się zbyt szybko. Krótki wypad na imprezę do Elizy jeszcze dzisiaj w nocy? Doprawdy nie wiedziałem co o tym sądzić.

- Zastanowię się i dam wam odpowiedź – odezwałem się rzeczowym tonem.

- W porządku. Masz na to cały wieczór – odpowiedział Szrama.

Dopiliśmy herbatę i po chwili wyszliśmy z kuchni do znajdującego się w pobliżu magazynu żywnościowego. Nie przestawałem myśleć o wykorzystaniu nadarzającej się sposobności ku temu aby być dziś na prywatce u Elizy.

Jedno z pomieszczeń w magazynie zostało przeznaczone do odszczurzenia. Wynosiliśmy znajdujące się w nim worki z cukrem, ryżem mąką oraz słoje z przetworami do sąsiedniej izby. W sumie praca dość ciężka, ale prawdę powiedziawszy w ogóle się nad nią nie zastanawiałem. Moje myśli zdominował wewnętrzny konflikt: ścierały się dwie emocje – chęć przeżycia ciekawego wieczoru na imprezie oraz lęk przed wpadką, który podpowiadała mi aby bez żadnych wygłupów odsiedzieć zasądzone mi dziesięć dni ancla. Na dobrą sprawę imieniny Elizy mogły okazać się niepowtarzalną, nie możliwą do ponownego przeżycia imprezą, gdyż nie wiadomo czy za rok dane mi będzie bawić w tych stronach. Być może nie znajdę pracy w sensownym czasie i będę musiał wrócić do domu w Rzeszowskim? Obietnica dana przez Szramę, że w porozumieniu z dowódcą warty wypuści mnie na noc za flaszkę wódki, brzmiała całkiem wiarygodnie i rzeczywiście w takiej sytuacji musiałbym mieć wyjątkowego pecha, aby mój nocny wypad

wyszedł z jakichś powodów na jaw. Przecież ani oficer dyżurny, ani jego pomocnik nie zagłada po nocach do celi – przynajmniej nie zdarzyło się to ani razu odkąd tam siedzieliśmy. Jeśli kryje mnie dowódca warty, to jestem w stu procentach bezpieczny.

Zdecydowawszy się na podjęcie tego ryzykownego kroku podszedłem do Szrama, który siedział na drewnianej skrzyni i drzemał.

- Słuchaj już się namyśliłem – powiedziałem do niego.
- No – mruknął ospale. – I co wymyśliłeś?
- Skoro mnie kryjecie, to idę na to.

Szrama wstał, ziewnął, przetarł oczy i założył czapkę. Zrobił kilka kroków tam i z powrotem.

- Najpierw flaszką – rzekł twardo.
- Wiem, że flaszką, ale skąd ją wziąć? – rozłożyłem bezradnie ręce. – Mam na flaszkę bo żołądek był niedawno. Mogę kupić, ale gdzie?
- Na tej samej ulicy, kawałek drogi od jednostki jest monopolowy – mówił wychodząc z magazynu. Jednocześnie dał mi ręką znać abym podążył za nim. Wyszliśmy na zewnątrz i ominąwszy parterowy budynek, w którym przechowywano żywność zbliżyliśmy się do biegnącego tuż obok ogrodzenia z siatki. Szrama wskazał ręką starą kamienicę znajdującą się po drugiej stronie ulicy około sto metrów dalej. - Monopolowy jest na parterze w tym czerwonym budynku. Tam możesz kupić flaszkę.
- Jak mam tam pójść? – zapytałem lustrując wzrokiem słabo oświetloną ulicę. O tej porze, a było około dwudziestej prawie nikt po niej nie chodził, tylko z rzadka przejechał jakiś samochód.
- Przez dziurę – odpowiedział pociągawszy mnie za rękaw. – Choć pokaże ci gdzie jest.
- Mam na sobie ubranie robocze i buty bez sznurówek – spostrzegłem. – W tych ciuchach mam iść?
- A masz lepsze?
- Nie mam żadnych.
- To upraszcza sprawę – zaśmiał się podchodząc do drzewa rosnącego obok ogrodzenia. Tuż za grubym pniem zobaczyłem dziurę w siatce. Była wąska lecz Szrama złapał za druty i naciągnął je tak, że można było swobodnie przejść przez nią na drugą stronę ogrodzenia.
- Przełaż – szepnął. – Będę na ciebie czekał w magazynie bo tu zimno.

Zawahałem się. Samowolka z aresztu wojskowego? Czy na pewno tego chcę? Jednak sprawy zaszyły zbyt daleko. Teraz nie mogę się wycofać bo się ze mnie wyśmieją.

- Zaraz przyjdę – mówię przeciskając się przez dziurę.

Znalazłszy się po drugiej stronie poczułem się dziwnie. Stąpając po chodniku w butach bez sznurówek nie miałem najmniejszych wątpliwości, że robię coś nie tak, coś wbrew wojskowej dyscyplinie i regulaminom. Było w tych emocjach sporo lęku, ale też i satysfakcjonujące poczucie, że w końcu coś się dzieje, że to od mojej woli zależy, czy tkwię w tym więzieniu którym jest służba wojskowa, czy nie. Nikt nie będzie minie więził i mówił w jakim obszarze mam żyć i czym się zajmować, jak jakiemuś niewolnikowi, albo hodowanemu w klatce zwierzęciu. W każdej chwili mogę otworzyć zamek i wyjść na zewnątrz, na przekór tym którzy zakreślili moje terytorium życia.

Ściskając w kieszeni banknot pięćdziesięciozłotowy ostrożnie szedłem chodnikiem w kierunku sklepu monopolowego, gdzie mogłem kupić flaszkę wódki – przepustkę do jeszcze większej wolności. Droga prowadziła obok jednostki i co gorsza obok biura przepustek, w którym cały czas dyżurował jeden żołnierz. Nie mogłem ryzykować przejścia obok bramy nawet po przeciwnej stronie drogi. Widok krótko ostrzyżonego chłopaka w czarnym charakterystycznym dla wojska ubraniu roboczym z butami bez sznurówek mógł budzić jednoznaczne skojarzenia, a takich sytuacji musiałem unikać. Skręciłem więc w boczną uliczkę, aby dotrzeć do sklepu okrężną drogą, między starymi zabudowaniami.

Już na pierwszy rzut oka można stwierdzić, że okolica ta do bezpiecznych nie należy. Stare niszczone domy, ponure i mroczne bramy do podwórek, w który stoi nie budzące zaufania towarzystwo – jacyś menele albo kilkusobowe grupki głośno zachowujących się wyrostków. Tych pierwszych się nie boję – są nieszkodliwi, gorzej z tymi ubierającymi się w skórę i dresy kolesiami w bramach. Wyobrażam sobie, że to być może chuligani, którzy żyją z napadów rabunkowych. Na Pradze pełno jest takich typków żyjących z rozboju. Mijam jedną taką bramę, później drugą. Na szczęście nikt mnie nie zaczepia. Postanawiam w drodze powrotnej iść drugą stroną uliczki. Widzę już szyld wiszący nad sklepem i świecący się na pomarańczowo neon. Przyśpieszam kroku i w tym momencie słyszę za swoimi plecami:

- Przepraszam szanownego kolegę... – chropowaty przepity głos.
- Odwracam się gwałtownie czując gniew i niepewność. Widzę niskiego przepitego mężczyznę wychodzącego z ciemnego zaułka na ulicę. Oceniam go na pierwszy rzut oka – „żul” i od razu czuję się bezpieczniej.
- Nie będę okłamywał – mówi w sposób charakterystyczny dla ludzi bez przednich zębów. – Zbieramy na winko – pokazał na sklep. – Może się kolega dorzuci?
 - Nie mam kasy – odpowiadam. – W wojsku jestem – dodaję.
 - A to szanownego kolegę przepraszam – mów żul grzecznie i pokornie. – Od wojskowych nie pasuje brać...

Robi się mi go żal i czuję do niego litość. Szukam drobnym monet w kieszeni i wyciągam pięćdziesięciogroszówkę.

- Proszę - mówię wtykając mu ją do ręki.

Żul jest autentycznie ucieszony. Dziękuje mi w nieskończoność i prędko ucieka do swojego ciemnego zaułka. Pomyślałem sobie, że pewnie skrzywdziłem tego człowieka dając mu pieniądze na wino. Zawsze mam takie poczucie winy kiedy daję pieniądze żulom...

Odżegnuję się od tych myśli wbiegając po schodkach do sklepu.

Sprzedawczyni – czterdziestokilkuletnia kobieta nie jest zdziwiona na widok kogoś kto kupuje wódkę w czarnym ubraniu roboczym o tej porze dnia. Nie dziwią jej nawet moje buty bez sznurówek. Pewnie pracując przez całe lata w sklepie z alkoholami znajdującym się w tak nieciekawej okolicy napatrzyła się już na różności. Rozglądam się przez chwilę po półkach wodząc wzrokiem po cenach i odpowiadam na jej pytające spojrzenie:

- Poproszę najtańszą wódkę i paczkę sobieskich.
- Wódka „Lux” może być? – pyta sięgając na najniższą półkę. – Kosztuje piętnaście złotych.
- Może być – odpowiadam. Cały czas liczę pieniądze. Nie pojedę na imprezę z pustymi rękoma. Na drugą wódkę mnie nie stać. Może jakieś wino? Nie znam się na winach. Jeszcze kupie jakiegoś kwasu. Niech będzie szampan. Każdy szampan dobrze smakuje bo jest słodki. Pochodzę do lady i wskazuję ręką na ładną pękatą butelkę. – I jeszcze ten szampan za dwanaście pięćdziesiąt, poproszę.

Sprzedawczyni pewnie już zmęczona o tej porze, bez słowa zawija dwie butelki w papier i wkłada je do plastikowej reklamówki. Wrzuca tam również paczkę papierosów. Słyszę zgrzyt otwieranych drzwi. W szybie widzę odbicie wchodzącej do sklepu postaci. Zielone ubranie, czarna skórzana teczka u boku, jakiś biało-czerwony znaczek migający na piersiach. Zamieram w bezruchu i stoję jak słup soli, gapiąc się w odbicie. To trep – uświadamiam sobie – jakiś trep na służbie bo ma plaketkę. O tej porze to może być tylko albo oficer albo pomocnik. Zaraz tu podejdzie i rozpozna mnie. Przecież tak jak ja ubrani są tylko anclowicze... Słyszę zbliżające się kroki. Cały czas odwrócony tyłem udaję, że układam rzeczy w reklamówce. Co robić? Drzwi są trzy metry za moimi plecami. Szybko wyjść ze sklepu? Nie mam innego pomysłu. Chyba tak zrobię, ale wolniej, spokojniej, powolnymi krokami. Postać zbliża się a ja cały czas dbam o to żeby nie widziała mej twarzy. Kiedy jest przy ladzie zdaję się czuć na sobie palące spojrzenie trepa. Powoli skręcam w bok i robię pierwszy krok do tyłu. Czuję, że ten ktoś trzyma mnie za rękaw.

- Paślawski?

Odwracam się z oczyma jak pięcioletówki.

- Tak – odpowiadam z niepomiernym zdumieniem. Widzę przed sobą będącego na służbie żołnierza. Czerwona plakietka migocze mi przed oczyma. Nie jest oficerem ani nawet chorążym. To plutonowy. Śmieje się widząc jak bardzo jestem wystraszony. Przez chwilę bawi się moją niepewnością aż w końcu odzywa się słodkim tonem:

- Szrama mówił, żebyś się pośpieszył, bo do zaczęcia popijawy brakuje twojej flaszki.

Na przypiętej do jego piersi plakietce dostrzegłem napis „Dowódca Warty”. Sprawa stała się jasna. Szrama już się z nim skontaktował odnośnie mojego nocnego wypadu z ancla. Napięcie ustępuje, oddycham z ulgą.

- Już kupiłem – mówię wciąż jeszcze mocno podenerwowany. – Zaraz tam będę.

Plutonowy uśmiechnął się w odpowiedzi i odwróciwszy się w stronę lady ją przyglądać się upieczonemu na półce papierosom. Ostrożnie złapałem plastikową reklamówkę z flaszką wódki, butelką szampana, dwoma paczkami sobieskich i obrzuciwszy go nieufnym spojrzeniem prędko wyszedłem ze sklepu. Powiewy chłodnego powietrza sprawiły, że poczułem się znacznie lepiej. Odetchnąłem kilka razy głęboko i zbiegłem po schodkach. Idąc wąskimi uliczkami zastanawiałem się nad faktem, że wystarczyło tylko na kilka minut wyjść poza jednostkę aby przeżyć dwa stresujące zdarzenia: najpierw spotkanie z żulem, który wyskoczył z ciemnego zaułka, a później zetknięcie się z plutonowym w sklepie. Biorąc pod uwagę, że to początek nocnej eskapady z ancla, nie wróżyło to dobrze na przyszłość. Nie zamierzałem się jednak z tego powodu wycofywać gdyż nie zwykłem kierować się przesadami.

Tym razem nie zaczepiany przez nikogo, przeszedłem przez wąskie uliczki między starymi kamienicami i wyszedłem na szeroką ulicę wzdłuż której ciągnęła się jednostka wojskowa. Szybko przemknąłem obok ogrodzenia i bez przeszkód odnalazłem w nim ledwo widoczną dziurę koło kasztana, którego gałęzie rozpościerały się nad chodnikiem. Wyskoczyłem na murek, odgiąłem druty i z trudem przecisnąwszy się przez trójkątne rozcięcie w siatce, znalazłem się po przeciwnej stronie ogrodzenia – ze względu na odpowiednią pieczętkę w mojej książeczce wojskowej – tej właściwej.

Szrama czekał na mnie przed wejściem do magazynu. Zobaczywszy, że trzymam w ręce reklamówkę, z której wyglądały owinięte w papier butelki rzekł z zaciekawieniem w głosie:

- Wszystko w porządku?

- W porządku – potwierdziłem wchodząc na korytarz. – Najadłem się strachu bo w sklepie spotkałem dowódcę warty.

- Zadzwoń do niego zaraz po tym jak wyszedłeś – mówił Szrama zerkając do reklamówki. – Zgodził się. Sprawa jest już nakręcona – dodał.

- Mam flaszkę i fajki dla kucharza – powiedziałem wyjmując butelkę szampana i chowając ją za pazuchę.

- Co to jest? – zainteresował się.

- To szampan. Nie chce przychodzić na urodziny z pustymi rękoma – wyjaśniłem.

- Spoko. Umawiamy się tak, że przyjdę do ancla po capstrzyku. Przyniosę ze sobą cywilki od kucharza. Może być?

- Może – zgodziłem się i wręczyłem mu reklamówkę.

Szrama natychmiast złapał ją i wyszedł z magazynu. Rozejrzał się w progu dookoła i pognał przed siebie w ciemną noc. Po chwili straciłem go z oczu. Wracając do pracy w magazynie zastanawiałem się nad tym, czy rzeczywiście można na niego liczyć. Niekoniecznie mógł wywiązać się z danego słowa, że przyjdzie po capstrzyku i wypuści mnie na noc z ancla. A niech no tylko zaczną wcześniej pić, to nawet nie zechce mu się wstać od stołu. Na dobrą sprawę do capstrzyku pozostało tylko półtorej godziny – tak więc nie będę musiał długo czekać na rozstrzygnięcie swoich wątpliwości.

Rzeczywiście tego dnia wróciliśmy do celi jeszcze przed dwudziestą drugą. Jak do tej pory Antek w ogóle nic nie mówił na temat mojego nocnego wypadu z ancla. Bynajmniej nie okazywał szczególnego zdziwienia. Kiedy zapytałem go co o tym sądzi, odpowiedział:

- Jak masz szansę to ją łap. Nic nie ryzykujesz, a możesz się dobrze zabawić.
- Też tak sądzę – odpowiedziałem z pewnym wahaniem. – Nie wiem czy ten Szrama nie zrobił mnie w konia. Sam widzisz jaki z niego cwaniak. Flaszkę wziął, a może wcale mnie nie wypuści?
- Zobaczmy – mruknął Ślżak wertując kartki w kalendarzyku.

Gość ma tak mało do wyjścia, że jak to się mówi „można w kiblu na szelkach przewiesić”, a jeszcze liczy ile do końca monu. Chyba zostało mu dwadzieścia pięć dni. Dwadzieścia pięć dni do wolności? Naprawdę wolałbym się z nim zamienić, mimo tego że miał znacznie więcej do odsiedzenia niż ja.

Płynęła minuta za minutą. Niecierpliwiłem się co raz bardziej. Zależało mi na tym aby jak najwcześniej wyostać się z celi i wyjść na miasto. Wszak prywatka zaczynała się o dwudziestą a dojadę tam najwcześniej na dwunastą w nocy, czyli pojawię się w połowie imprezy. Towarzystwo będzie już rozweselone i pijane, a ja wciąż trzeźwy jak świnia. Sytuacja dość kłopotliwa, bo być może nie załapie już klimatu i nie będę miał z kim pogadać? Z upływem czasu zaczynałem się obawiać, że te szesnaście złotych za które kupiłem wódkę, okaże się chybioną inwestycją. Minęło co najmniej półgodziny, a Szrama wciąż nie nadchodził. Dopiero koło jedenastej dało się słyszeć czyjeś kroki i zgrzyt otwieranego zamka. Po chwili w drzwiach pojawił się jakiś wartownik. Nie znałem go.

- Który to idzie na samowolkę? – zapytał wchodząc do celi.
- Samowolkę już oglądałem – odezwałem się ostrożnie. - Wolę Krolla.

Wartownik nie skomentował tej odpowiedzi. Zwrócił się natomiast bezpośrednio do mnie.

- Szrama się upił. Kazał ci przynieść te cywilki – rzucił na podłogę dżinsowe spodnie, jakąś bluzę i ortalionową kurtkę. - I powiedzcie żebyś koniecznie wrócił przed piątą rano.
- Wróć. Niech się o to nie martwi – zapewniłem. Podniosłem z podłogi spodnie i przymierzyłem je do siebie. – Pasują jak ulał – spostrzegłem. - Wystarczy tylko odrobine podwinąć nogawki.
- Przebieraj się szybko bo zaraz muszę wracać – popędził mnie wartownik.

W pół minuty zrzuciłem z siebie śmierdzące ubranie robocze i ubrałem cywilne ciuchy. Nie leżały na mnie idealnie, ale dawały przedsmak poczucia wolności, jaki zazwyczaj czuje się przez wyjściem na przepustkę. Wyjąłem kalendarz, w którym miałem zanotowany adres Elizy i dla łatwiejszego zapamiętania powtórzyłem go na głos. Ślżak doradził mi w jaki sposób dostać się na Bemowo – tam bowiem na wojskowym osiedlu mieściło się mieszkanie ojca Elizy, w którym odbywała się impreza. Włożyłem kalendarz z powrotem do kieszeni i odezwałem się do wartownika:

- Jestem gotowy.
- Idziemy – zarządził krótko.

Wychodząc z celi pożegnałem się z Ankiem, który siedział w koncie z ponurą miną. Prawdopodobnie zazdrościł mi, że urywam się z ancla na prywatkę. Być może udałoby się zorganizować taki wypad dla nas dwóch, ale Antek ani słowem nie wspomniał, że chciałby się dołączyć natomiast ja uważałem, że wypuszczenie mnie jednego to i tak dużo zachodu, a co dopiero mówić o jeszcze jedna osobie.

- Udanej zabawy – odpowiedział na moje przeżeganie.

Wyszliśmy z celi. Wartownik zamykając drzwi na klucz powiedział do mnie:

- Bądź tutaj przed piątą rano. Koniecznie!
- Będę, będę! – zapewniłem chyba już po raz kolejny dzisiejszego wieczora. – Chyba, że się coś wydarzy – dodałem z lękiem.
- Nie ma prawa – odpowiedział mocując się z zamkiem. – Wiesz gdzie dziura?

- Tak.
- Idź już – machnął ręką jakby odpędzał muchę.

Odwrociłem się i wybiegłem po schodkach na górę. Wydostałem się poza krąg światła padającego z przyczepionej do rogu budynku latarni i spojrzałem na rozłożysty kasztan rosnący tuż przy ogrodzeniu. Tuż obok pnia tego drzewa znajdowała się dziura przez którą przechodziłem poprzednio. Z duszą na ramieniu przebiegłem przez małą, dobrze oświetloną asfaltową uliczkę i znalazłszy się na pogrążonej w ciemnościach alejce poszedłem nią w stronę kasztana. Cały czas czułem narastający lęk i niepokój. Żeby tylko nie zauważył mnie jakiś trep bo przepadłem z kretesem! Na szczęście bez niespodzianek dotarłem w pobliże kasztana. Rozejrzawszy się ostrożnie dookoła odgiąłem siatkę i przecisnąłem się przez dziurę na drugą stronę ogrodzenia. Zeskoczyłem z metrowego murka i prędko podążyłem chodnikiem w kierunku widocznego za zakrętem przystanku tramwajowego. Szedłem w cywilnym ubraniu, po cywilnym chodniku – pierwszy raz całkowicie nielegalnie...

Dochodziła dwudziesta trzecia – pora jak na komunikacje miejska dość późna. Obawiałem się, że nie złapię już tramwaju jadącego bezpośrednio na Bemowo. Na szczęście wyłonił on się zza zakrętu prawie w tym samym momencie kiedy mijałem bramę jednostki. Musiałem przyśpieszyć kroku, aby nie odjechał zanim dojdę na przystanek. Dla bezpieczeństwa wsiadłem do pierwszego wagonika. Tramwaj ruszył do przodu i co chwilę zatrzymując się na przystankach kluczył po ciemnych uliczkach Pragi. Wkrótce znalazł się na rozpiętym nad Wisłą moście z którego dawało się zauważyć ciemną wstęgę rzeki na tle świateł miasta. Wagoniki z głośnym stukotem przetoczyły się przez most i popędziły w kierunku Centrum. Ruch który panował w tym rejonie miasta zawsze wzbudzał mój podziw – szczególnie wtedy kiedy pojawiałem się w Warszawie po kilku tygodniach spędzonych w jednostce. Na Dworcu Centralnym wsiadła większa grupa ludzi. Przyglądałem się im uważnie gdyż nie miałem ani biletu, ani upoważniającej do darmowych przejazdów książeczki wojskowej. Żaden z pasażerów nie wyglądał na kanara, co mnie uspokoiło. Tramwaj na Rondzie Zawiszy skręcił w prawo i pognął w kierunku Woli a następnie ulicą Kasprzaka na Bemowo. Dalej kończyła się już moja znajomość topografii Warszawy. Mimo, że często przemierzałem tą trasę nigdy nie wiedziałem gdzie się znajduje. Zawsze czekałem aż dojadę do samego końca - pętli tramwajowej na Grotach. Tym razem zapytawszy się jednego z pasażerów o ulicę, na którą zamierzałem dotrzeć, wysiadłem kilka przystanków wcześniej. Przeszedłem przez tory tramwajowe i podążyłem w kierunku mieszczącego się sto metrów dalej dużego skupiska bloków. Miałem spore obawy co do tego jak zostanie przyjęty na prywatce – wszak Eliza zapraszała mnie lecz przyjechałem bez żadnego potwierdzenia. Liczyłem na to, że swoim nieoczekiwanym przybyciem zrobię jej miłą niespodziankę.

Po kilku minutach krążenia po osiedlu odnalazłem blok w którym mieszkała Eliza. Głośna muzyka wydobywająca się z okien jednego z mieszkań naprowadziła mnie na właściwą klatkę schodową. Z bijącym jak dzwon sercem wcisnąłem guzik domofonu. Oczekiwałem na to, że ktoś się odezwie, zapyta kto i zacz. Usłyszałem tylko brzęczenie otwieranego zamka. Pchnąłem drzwi i pobiegłem po schodach na górę. Przytłumiona przez ściany muzyka pokierowała mnie we właściwe skrzydło bloku. Stanąwszy przed drzwiami zza których dolatywały odgłosy odbywającej się w środku imprezy, stwierdziłem iż trafiłem pod właściwy numer mieszkania. Mocno podekscytowany wcisnąłem przycisk dzwonka.

Drzwi otworzyła niewysoka roześmiana dziewczyna o długich białych włosach. Zobaczywszy mnie, cofnęła się krok do tyłu z wyrazem lekkiego zdziwienia. Kilkoro młodych ludzi siedzących na kanapie przed stołem z zaciekawieniem spoglądało w naszym kierunku.

- Ja do Elizy – powiedziałem do stojącej za progiem blondynki. – Zaprosiła mnie na urodziny – dodałem gestem ręki wskazując na pokój, w którym odbywało się przyjęcie.

Dziewczyna kiwnęła głową i pobiegła do sąsiedniego pomieszczenia. Po chwili wróciła razem z Elizą. Ta poznana przeze mnie ponad rok temu w Przemyślu dziewczyna na mój widok zdumiała się i jednocześnie ucieszyła. Odetchnąłem z ulgą.

- Ale niespodzianka! – mówiła podchodząc do mnie. – A podobno nie mogłeś przyjść bo jesteś na służbie?
- Jest znacznie gorzej! – odpowiedziałem witając się z nią.
- To znaczy? – zapytała patrząc mi prosto w oczy.
- Siedzę w anclu – starałem się powiedzieć to beznamiętnie, jednak zupełnie niechcący wkraść się w me słowa pewien ton dumy.
- Uciekłeś z ancla na moje urodziny? – Eliza patrzyła na mnie z niedowierzaniem. Obawiałem się, jej spojrzenia, w którym dostrzegałem przemieszczenie zachwytu i nagany. Wszak jest córką generała – człowieka który zrobił karierę dzięki temu, że był obowiązkowy, lojalny i ściśle przestrzegał regulaminów. Być może chodzi jej teraz po głowie żeby zadzwonić na zandarmerie?
- Wejść do pokoju – powiedziała życzliwym tonem.
- Co to jest acel? – zapytała niziutka blondynka.
- Areszt wojskowy – wyjaśniłem rzeczowo.
- O jej! Uciekłeś z więzienia? – dziewczyna zrobiła przerażoną minkę. – Szukają cię?
- Tak. Już od tygodnia – mówiłem usiłując zachować powagę. – Ale na szczęście nie w tym miejscu.
- Nie nabijaj się z koleżanki! – zganiała mnie Eliza. – Ona nie ma pojęcia błędnego pojęcia o wojsku i jest taka naiwna...
- Wcale, że nie jestem naiwna! – zaprotestowała blondynka.
- Chodź do pokoju – pociągnęła mnie za rękę Eliza. – Przetawię cię towarzystwu.

Idziemy przez korytarz, a ja czuję tremę. „Towarzystwo” – to zabrzmiało tak szumnie. Ostatnimi czasy towarzystwa najczęściej dotrzymywała mi moja giwera, ale ona nie była zbyt rozmowna. Umiejętność prowadzenia akademickich dyskusji spadała u mnie prawie aż do samego zera. A tu pewnie sami studenci i studentki, i to na dodatek najlepszych w kraju uczelni. O czym ja mogę z nimi rozmawiać? Chyba nie o tym jak piliśmy księżycowe z palaczem koło ukrytej za wyrzutnią raketową bimbrowni, zagryzając ten ognisty napój kiszonymi ogórkami? Na dobrą sprawę całe to wyedukowane towarzystwo nigdy nie miało styczności z żadnym palaczem, nie piło bimbru i w życiu nie widziało na oczy wyrzutni raketowej. Próbę odnalezienia wspólnego tematu mogły uratować kiszony ogórek: korniszony – tego w życiu każdy skosztował.

Mijam wiszącą w przedpokoju wojskową marynarkę z szarżą generała brygady. Patrzę nią z respektem i odruchowo chcę salutować. Tuż pod nią na podłodze widzę ułożony równo jak od linijki rząd butów. Przypominają mi się pierwsze dni unitarki i Pampres, który jednym kopnięciem rozwałił wystawiony przed salę rząd opinaczy, jeśli jeden choćby o centymetr wystawał od pozostałych. Fakt, że w prywatnym mieszkaniu buty zostały ustawione tak równo, świadczył o skrzywieniu zawodowym ojca Elizy. Z opowiadań wiedziałem, że trepi na grunt życia rodzinnego często przenoszą wojskowy ład, porządek i rygor (najczęściej z marnym skutkiem).

Weszliśmy do pokoju. Na krzesłach wokół stołu siedzieli trzech młodzieńców a na sofie dwie ładne brunetki. Lekko wstawione przyglądały mi się z zaciekawieniem. Obok stolika tańczyła wtulona w siebie para.

- To jest Wiesław. Znajomy poznany w Przemyślu! – przedstawiała mnie Eliza przekrzykując głośną muzykę. – Teraz służy w wojsku.

Jeden z młodzieńców poderwał się i wyciągnął przed siebie rękę w hitlerowskim pozdrowieniu.

- Heil Hitla! – zawołał.
- Polskim wojsku – dodała Eliza.

Opuścił rękę i stanął na baczność i wykrzyknął:

- Ku Chwale Ojczyzny!

Usiadłem na wskazanym mi miejscu i przez chwilę patrzyłem na niego z ironią. Widząc, że wciąż jeszcze stoi na baczność wydałem stosowną komendę:

- Spocznij!

Stojący przede mną przedpoborowy zdradzał pewien dryg do musztry wojskowej, jednak do gracji z jaką poruszała się kompania reprezentacyjna wojska polskiego, było mu jeszcze bardzo daleko. Odstawiwszy nogę na „spocznij” z przytupem tak mocnym, że pod jego uderzeniem zapewne pękłaby płyta chodnikowa, niechcący nadepnął niezgrabnie na delikatną stopę dziewczyny, która wraz swoim partnerem tańczyła przy stole. Ta wyrwana z słodkiego letargu niewiasta pisnęła przeraźliwie i poderwawszy do góry nogę uderzyła kolanem tańczącego z nią kolegę w samo krocze, po czym straciwszy równowagę runęła na stół. Lecąc, cały czas trzymała swojego towarzysza za szyję, skutkiem czego wylądowali na zastawionym kanapkami, napojami, ciastami stole obydwójce. Ona piszczała, a on na niej. Ona piszczała, o on ryczał z bólu. Siedzące za stołem towarzystwo poderwało się z krzesel, jak oparzone kiedy szampan z rozbitej butelki trysnął na boki, jak sos pomidorowy z otwieranej nożem konserwy rybnej.

- Szlag trafił mój szampan! – zawołał z rozpaczą w głosie jeden z kolegów. – Jak my teraz wzniesiemy toast na cześć naszej jubilatki?

Odpowiedział mu zgodny okrzyk całego towarzystwa, wyrażający tragizm i beznadzieję całej sytuacji. Co niektórzy śmiali się widząc leżących na stole znajomych w tak jednoznacznym położeniu, kojarzącym się z próbą przedłużenia ludzkiego gatunku, o jeszcze jedno pokolenie.

W tych okolicznościach uznałem za stosowne okazać swój prezent. Wyjąłem z reklamówki kupiony na Pradze szampan i położyłem go na chyboczącym się stole.

- Kosztował dziewięć złotych – odpowiedziałem na kilka pytających spojrzeń, które natychmiast na mnie spoczęły. – Butelka do zwrotu – dodałem siadając na krześle.

- Mniejsza o butelkę! Najważniejsze, że szampan jest! – wykrzyknął wysoki lekko łysiejący już młodzieniec, wyciągając w moją stronę ręką na przywitanie. – Uratowałeś imprezę! Michał jestem – przedstawił się.

Odwzajemniłem uścisk i z powrotem usiadłem na krześle. Z dumą patrzyłem na przyniesioną przeze mnie butelkę szampana. „A jednak potrafię zaskoczyć!” – zaświtało mi w głowie. Po tym mocnym wejściu, biorący udział w prywatce goście zaczęli się ze mną witać, podawać ręce i przedstawiać się. Nie byłem w stanie spamiętać wszystkich imion. Szczupła brunetka miała na imię Asia, a ta bardziej przy kości Katarzyna. Wprawdzie bardziej podobała mi się ta szczupła, lecz z widocznym większym zainteresowaniem przyglądała ta grubsza. W takich sytuacjach przypominałem sobie powiedzenie, które wyrażało bolesną prawdę o istocie kontaktów damsko-męskich: „bo w tym cały jest ambaras, żeby dwoje chciało na raz”.

Michał rozparł się wygodnie na kanapie i balansując w ręce kufelek z piwkiem zwrócił się do mnie z zapytaniem, które jako że trafiło w ciszę między jednym a drugim muzycznym kawałkiem, zabrzmiało wyjątkowo oficjalnie:

- Jak jest w syfie?

Na takie pytanie miałem z góry przygotowaną, zgodną z prawdą odpowiedź. Niezależnie od pory dnia i roku, tego kto je zadawał, oraz okoliczności w jakich miałem na nie odpowiedzieć zawsze brzmiało tak samo:

- Przejebane!

- Mój kolega był w woju i mówi, że to przerwa w życiorysie – powiedział patrząc na mnie i popijając piwko.

Zazwyczaj przytakiwałem słysząc taką opinię. Nie chciałem obstawać przy stanowisku, które patrząc na tą sprawę powierzchownie, było dość trudne do zrozumienia. Czasami myślałem sobie, że gdyby nie te sumujące się przerwy w życiorysach młodych ludzi, to pisalibyśmy swe życiorysy w języku niemieckim lub rosyjskim. Jednak nie ma co się oszukiwać – niewielu poszło do wojska po dobrej woli. Wszak można te półtora roku spędzić znacznie przyjemniej.

- Mam kolegę w wieku trzydziestu lat. Trzy lata temu ożenił się i ma dwoje dzieci. Rok temu zwolnili go z pracy i popadł w długi. Od kilku lat wciąż się nieustannie czymś się martwi – sięgnąłem ręką po postawiony przede mną kufel z piwem. - Mówi, że wojsko wspomina jako odpoczynek od życia. Tam nie miał żadnych problemów – odpowiedziałem i napiłem się złocistego napoju. Odstawiłem kufel na stolik i dodałem. – Ja nie mam zmartwień, ani problemów. Niczym prócz cyfry się nie przejmuję...
- Generalnie nie chciałbym tam trafić – odezwał się siedzący obok Michała wysoki blondyn. - Gnębienie kotów i te sprawy. To może dobić człowieka.
- I rzeczywiście dobją – potwierdziłem. – Trzeba zacisnąć zęby i czekać na obcinę. Po prostu nie ma innego wyjścia.
- To ja już wole zajęcia na uczelni, palenie trawki i przesiadywanie w pubach – powiedział blondyn. – Wojsko, może jako oficer tak, ale żeby miał pójść do zasadniczej, to w życiu bym się nie zgodził!
- W WKU nie pytają się ciebie o zdanie. Jak jesteś zdrowy, to cię biorą choćbyś się nogami w drzwiach zapierał – odpowiedziałem. Czułem się odrobinę skrępowany zachowaniem pary, która zebrała się ze stołu i kontynuowała amory na stojącym obok mnie fotelu. Popatrzyłem w stronę blondyna i dodałem: - Można się wymigać udając świra, albo załatwiając sobie kategorię „D”.
- Co to znaczy „D”?

Przechodząca w pobliżu Eliza usłyszała ten fragment rozmowy i wtrąciła:

- „D” jak debil!
- „D” jak dupa! – dorzuciła niziutka blondynka.

Całująca się ze swym chłopakiem dziewczyna, na wychyliła głowę i swoimi słodkimi czerwonymi usteczkami wypowiedziała:

- „D” jak dętka!

Blondyn z poirytowaniem odstawił kufel na stolik. Mocno gestykulując ze wzburzenia rękoma wykrzyknął:

- Wypraszam sobie! Ja mam kategorię „D”. I nie uważam siebie za debila, dupę, czy dętkę! Dałem komu trzeba trzy tysiące w łapę i załatwiłem sobie wojo w jeden dzień!

Słodka blondyneczka sięgnęła po kalkulatorkę na regale i wykonawszy jakieś obliczenia odezwała się:

- O jej Młociu, no to przecież wychodzi po porcji naleśników z serem i śmietanką w „Biedronce” przez półtora roku! Mogłeś mi dać, a ja wtedy jedząc te naleśniki pisałabym do ciebie takie piękne listy! Nikt jeszcze nie pisał takich pięknych listów... – wyszeptła ze wzruszeniem w głosie.
- Wyrażam sobie! – obruszył się blondyn. – Za każdy krzyżyk na kopercie musiałbym zrobić dziesięć pompek, a wiesz, że mogę zrobić co najwyżej cztery!
- Wiem! – odpowiedziała hardo dziewczyna. – Przekonałam się o tym wczorajszej nocy!

Blondyn poczerwieniał na twarzy. Po zmarszczonym czole widać było, że szykuje ciętą ripostę. Najwidoczniej nic mu jednak nie przyszło do głowy, bo wstał od stołu i bez słowa wyszedł do sąsiedniego pokoju. Machinalnie wszystkie spojrzenia skupiły się na mnie jako, że to moja skromna osoba za jednym zamachem wywołała tematykę wojska, pisania listów miłosnych oraz spraw łóżkowych. W żadnej z tych dziedzin nie czułem się ekspertem, toteż usiłowałem całą dyskusję bezpiecznie sprowadzić do neutralnego tematu naleśników z serem:

- Jeść naleśniki przez półtora roku? To mogłoby się znudzić!
- Ale w Biedronce robią takie pyszne... Nie wiesz jakie tam są ... – blondynka zrobiła tak słodką minę jakby zlizwała cukier z całej partii naleśników, które serwowano w owej Biedronce w ciągu jednego tygodnia.

Zaciekawiony tym co porabia Eliza wstałem od stołu i poszedłem do kuchni. Oprócz niej znajdował się tam również blondyn, który przed chwilą wybiegł z pokoju. Ze skwaszoną miną

robił sobie jakiegoś drinka. Nie widziałem jak mogę go pocieszyć. Być może gdybym rok temu dysponował kwotą trzech tysięcy złotych to również wykupiłbym się przed wojskiem? Przypomniałem sobie żołnierza, którego poznałem jeszcze na unitarce. Zapamiętałem go dobrze ponieważ pochodził z moich rodzinnych stron. Ten niespełna dwudziestoletni człowiek miał około pięciu poważnych chorób, z których każda osobno czyniła go niezdolnym do służby wojskowej. A jednak wzięli go do wojska. Wzięli bo burmistrz miasta ma za zadanie odesłać na Komisję określoną ilość poborowych w ciągu roku. Jeśli jeden się wykupi, to na jego miejsce biorą innego. Najważniejsze jest to aby zgadzała się ilość sztuk. „Żołnierz” - sztuk jeden, tak zresztą wygląda cała filozofia pojmwania człowieka w kontekście wojska.

Eliza zajęta była krojeniem tortu. Dopiero teraz zwróciłem uwagę na to jak jest ubrana: miała na sobie długą czerwoną sukienkę, która znakomicie kontrastowała z opadającymi na plecy gęstymi włosami w kolorze dojrzałych kasztanów. Zza dekoltu tej sukni wystawała biała bluzka z dużym modnym kołnierzykiem. Na bluzce połyskiwał jakiś srebrny wisiołek. Dziewczyna założyła eleganckie buty na wysokich obcasach. Kiedy przy niej stałem wydawała się odrobinę wyższa ode mnie.

- Jak leci? – zapytałem.

Odłożyła na bok nóż i przygadyła się pokrojonym kawałkom tortu.

- Są równe? – spojrzała na mnie pytająco.

- Prawie że identyczne - zażartowałem.

- Dzięki – wzięła do ręki tacę i popatrzyła na mnie z widocznym bólem w oczach: - To już dwudzieste pierwsze urodziny... Ja nie chce żeby czas leciał tak szybko...

- Nic biegu czasu nie odwróci ani nie zatrzyma – odpowiedziałem podchodząc do stolika na którym stała butelka z alkoholem. – Wiesz co najlepiej zrobić, kiedy ma się taki myśli?

- Upić się? – powiedziała widząc, że sięgam po butelkę.

- Pewnie. A po co ludzie robią urodziny? Żeby się upić i zapomnieć. A kiedy przyjdzie następny dzień trzeba będzie pójść do pracy, szkoły na zakupy lub załatwiać coś i nie będzie czasu na myślenie – powiedziałem rozglądając się za kieliszkami. – Napij się ze mną Eliza?

- Napije.

Odlazłem dwa kieliszki i nalałem do nich alkoholu z butelki.

- Twoje zdrowie! – zawołałem.

Stuknęliśmy się kieliszkami. Napiłem się wódki i momentalnie zaszumiało mi w głowie. Jak zwykle nie pamiętałem o popitce. Na szczęście obok stała dwulitrowa butelka Coca-Coli. Prędko nalałem ją do szklanek i obydwójce zapiliśmy cierpki smak alkoholu. Pomalowane czerwoną szminką usta dziewczyny były ładnie wykrojone i zdawały się przyciągać jak magnes. Wyglądały tak ładnie kiedy się śmiała. „Pocałuj ją” – przemknęło mi przez głowę – „pocałuj a później może się dzieć co chce. Może mi nawet dać w gębę”. Poczulem zawrót w głowie kiedy zbliżałem swe usta do jej ust. Pocałowałem ją; dotknąłem warg i języka, a następnie szybko odskoczyłem. Eliza spoglądała na mnie kompletnie zaskoczona.

- Zmieniłeś się – wyszeptała. - Dawniej nie piłeś wódki i ... nie całowałeś...

- Tak? – zapytałem niepewnie, czując zawstydzenie po tym co zrobiłem. Pozdrowiłem ją gestem ręki i ewakuowałem się do pokoju. Wprawdzie żaden ze mnie amant, ale czulem się dumny.

Wychodząc z kuchni usłyszałem wystrzał. Młodzieniec o imieniu Michał otworzył przyniesioną przeze mnie butelkę szampana i przy ogólnej radosnej wrzawie rozlewał pieniaący się kryształowy płyn do kieliszków. Wnet rozległy się wołania: „Gdzie jest Eliza? Wołać naszą jubilatkę!” Blondynka zerwała się z kanapy i pobiegła do kuchni przywieść do pokoju tę najważniejszą na dzisiejszym przyjęciu osobę. Po chwili wróciły obydwie, niosąc talerzyki z pokrojonym tortem. Wszyscy goście zgromadzili się przy stole i rozmawiając, śmiejąc się i

dowcipkując obserwowali jak Michał, dokładnie, aby każdy miał po równo, rozlewa szampan do kieliszków. Kiedy opróżnił już całą butelkę dał sygnał do wzniesienia toastu:

- Zdrowie Elizy! Niech nam żyje sto lat!
- Sto lat! – rozległo się chóralne wołanie.

Energicznie podnieśliśmy kieliszki. W tym momencie rozległo się mocne pukanie do drzwi. Spojrzeliśmy na nie z zaskoczeniem. Czyżby jacyś spóźnialscy? Eliza ze zdziwieniem wzruszyła rękoma dając tym samym znać, że nikogo się nie spodziewała. Blondynka odłożyła kieliszek na stół a następnie prędko podbiegłszy do przedpokoju przekreśliła zamek w drzwiach i lekko je uchyliła. Widocznie to co za nimi zobaczyła musiało ją mocno zaskoczyć, gdyż spojrzała na nas wyraźnie zdezorientowana.

- Kto to? – zapytał Michał.

Wychyliła się na bok i przysłaniając ręką usta szepnęła:

- Żandarmeria!

Poczułem mocniejsze uderzenie serca. Uciekać! – to pierwsza myśl jaka przyszła mi do głowy. Nie zastanawiać się skąd się tu wzięli. Po prostu uciekać! Eliza dała ręką znak abym schował się do sąsiedniego pokoju.

- Zaczekaj! – zawołała do blondynki, co chyba również miało oznaczać: „nie wpuszczaj ich do środka”.

Prawdopodobnie zdołałbym się ukryć, lecz w ułamku sekundy drzwi do mieszkania pchnięte mocną ręką żandarma otworzyły się prawie na oścież. Ku swemu najwyższemu zdumieniu zobaczyłem w progu owego sierżanta, który kilka dni temu przyjmował mnie do ancla. Na lewej kieszonce bluzy miał przypiętą biało-czerwoną plakietkę oznaczającą, że jest na służbie. Tuż za nim stało trzech rosyłych żandarmów. Poczułem przyływ lęku. Ucieczka i krycie się nie miało już sensu. Sierżant rozpoznał mnie na pierwszy rzut oka. To chyba jakiś koszmar. Jak oni się dowiedzieli... kto powiedział...Co dalej robić?

Eliza stała jak sparaliżowana. Całe towarzystwo z osłupieniem bez słowa wpatrywało się w czterech nieproszonych mundurowych gości za progiem. Sierżant wszedł do środka i ciekawością rozejrzał się po pokoju. Zauważywszy na stole kieliszek z szampanem podniósł go i zbliżył się do mnie. Uśmiechając się uprzejmie trącił swoim kieliszkiem w mój, który cały czas bezwiednie trzymałem w ręce.

- Wypijmy za wyrok! – powiedział patrząc mi w oczy.
- To znaczy? – zapytałem ostrożnie.
- Żeby nie był krótszy niż pół roku – wyjaśnił. Napił się szampana i powiedział: - Zabawa skończona. Przynajmniej dla tego pana - dodał wskazując na mnie.
- Jest pan bezszczerłym impertyntem! – krzyknęła Eliza. – Kto pozwolił panu tu wejść?!
- Nikt też nie zabronił – odpowiedział sierżant. Odwróciwszy się do mnie rozkazał: - Za mną żołnierzu!

Skinieniem ręki pozdrowiłem Elizę i resztę towarzystwa. Ze spuszczoną głową mocno zatroskany o swój dalszy los wyszedłem z pokoju. Zdawałem sobie z tego sprawę, że po samowolnym oddaleniu się z aresztu wojskowego moja najbliższa przyszłość będzie przedstawiała się czarno. Zastanawiałem się jak do tego doszło, że trepi dowiedzieli się o moim nocnym wypadzie. Ktoś mnie celowo podkablował, czy zupełnie przypadkowo wyszło na jaw, że nie ma mnie w celi? Byłem przekonany, że odpowiedź na te pytania uzyskam już wkrótce.

Koniec
rozdziału XVII

Rozdział XVIII

Ostatnia dyskoteka

Warunki panujące w celi posterunku żandarmerii na ulicy Karmelickiej, były o niebo lepsze niż w anclu jednostki na 11 listopada. Zdecydowanie więcej światła, bieżąca woda w kranie i leżanka, która nie była w ciągu dnia przewracana na bok i zamykana na kłódkę. Żadnych prac oprócz froterowania podłogi rano po śniadaniu. A nawet i posiłki dużo lepsze. Dziś na przykład podali jajecznicę na boczku.

Widać od razu, że żandarmeria to porządne wojsko. Chłopaki wysokie, inteligentne żadną pracą fizyczną rąk nie kalają. Tylko kroczą dumnie w te i we te, jak te pawie w Łazienkach Królewskich. A przecież wiadomo, że taki paw byle czego nie zje. Jedzenie musi mieć dobre, kaloryczne i podane na czas, bo inaczej ów przepiękny ogon straciłby barwy i opadł w dół, co spowodowałoby, że jego właściciel wyglądałby, jak nie przyrównując kura nioska. Czy taki żandarm wyglądający jak kura nioska mógłby wzbudzać jakikolwiek respekt? Wiadomo, że nie i dlatego w raketówce serwują jajecznicę na oleju roślinnym, a w żandarmerii na boczku.

W celi siedziałem sam i miałem wiele czasu na rozmyślanie. Prawdę powiedziawszy martwiłem się srodze o swoją dalszą przyszłość. Przeszedłem samego siebie z tym nocnym wypadem z ancla na przyjęcie urodzinowe do Elizy. Człowiek czasami robi takie głupstwa, których później żałuje. Niestety nie dało się już tego odkręcić, stosując jakieś sensowne wyjaśnienia, bo takie nie istniały.

Kiedy tak leżałem na łóżku, szwendałem się po celi, gdzieś zapadały decyzje w mojej sprawie, a ja nie miałem na nie najmniejszego wpływu. Co więcej, pewnie takie wykroczenia przeciwko rygorowi wojskowemu, zostały już przez kogoś przewidziane, opisane oraz określono za nie stosowne kary. Zatem może nawet nikt o mnie nie myśli, lecz po prostu jakiś sędzia wyjmie gotowy szablon, dobrze go przymierzy do występku i ze skali odczyta wyrok. A wyroku, co tu dużo mówić, spodziewałem się surowego, bo za ucieczkę z ancla nie mogli mi przecież dać tygodnia ZOMZu. Pocieszałem się tym, że w armii działy się rzeczy o wiele gorsze. Przecież uciekali wartownicy z karabinami, żołnierze po kilka tygodni byli na samowolkach, rozkradano mienie wojskowe. Czymże przy tym jest moje, zaledwie kilku godzinne oddalenie się z koszar?

Dwa dni upłynęły na tych rozmyślaniach. Z niecierpliwością oczekiwałem na to co będzie się działo dalej. Męczyła mnie ta bezczynność; tylko posiłki, froterowanie podłogi i leżenie na łóżku. Robiłem się nerwowy. Wolałbym aby coś się działo, bo odnosiłem wrażenie, że świat zupełnie o mnie zapomniał.

Trzeciego dnia jeden z żandarmów otworzył okratowane drzwi i wskazując ręką na korytarz powiedział:

- No młody, wychodź. Masz gościa!
- Spojrzałem na żandarma ze zdziwieniem.
- A kto to taki? – zapytałem.
 - Zobaczysz.

Idąc przez korytarz zastanawiałem się kto mógł do mnie przyjść na odwiedzinę. Może jakiś trep z jednostki w Bojocie; dowódca, albo szef kompanii? Popełniłem surowe wykroczenie przeciwko dyscyplinie wojskowej i nie zdziwiłoby mnie, gdyby któryś z nich wybrał się na rozmowę ze mną tutaj w areszcie. Spodziewałem się, że mogła to być również Eliza. Wszak żandarmeria zgarnęła

mnie z prywatki w jej mieszkaniu. Podjąłem ryzyko i uciekłem z ancla, aby być na jej przycięciu urodzinowym. Myślę, że powinna w jakiś sposób to docenić...

Rzeczywiście po otwarciu drzwi do małego, mieszczącego się na końcu korytarza, pomieszczenia, nikt inny lecz właśnie ona siedziała za krzesłem za stolikiem Miała na sobie ciemnobrązowy płótniany płaszcz. Rozpięła go u góry, lecz nie zdejmowała. Zauważywszy mnie w drzwiach, uśmiechnęła się i zawołała:

- Witam pojmanego zbiega!
- Ach gdyby nie fakt, że mieszkasz na trzecim piętrze nie dałbym się pojmać! – powiedziałem witając się z nią. – Wyskoczyłbym przez okno, albo uciekł po piorunochronie.
- Pewnie tak – odpowiedziała z przekonaniem, jakby wierzyła, że rzeczywiście mógłbym to zrobić.
- Cieszę się, że mnie odwiedziłaś. Smutno tutaj samemu siedzieć – odezwałem się po długiej chwili.
- Domyślałam się – kiwnęła głową w geście zrozumienia. – Powiedziałam tacie o twojej samowolce z ancla – dodała poważnym tonem.
- I co on na to? – zaciekałem się. Ojciec Elizy, domyślałem się że wyjątkowy służbista na pewno pozbawiony był fantazji i polotu, jak wszyscy tego pokroju ludzie. Chyba wpadł w gniew – kto to słyszał, żeby w domu wysokiego rangą oficera takie działy się rzeczy!
- Rozbawiło go to! – brzmiała zaskakująca odpowiedź.

Roześmiałem się głośno.

- Naprawdę?
- Tak. Powiedział, że wyglądało to nawet dość romantycznie – mówiła dziewczyna z lekkim zawstydzeniem. – I ja też tak myślę.
- Etam, po prostu nadarzyła się okazja a że byłem niedaleko, więc wykorzystałem sytuację – próbowałem zbagatelizować, trochę nieszczerze.
- No i narobiłeś sobie kłopotów – stwierdziła.
- Co fakt, to fakt – zgodziłem się.

Eliza odchyliła się na krzesło i odrzuciła do tyłu opadający na czoło kosmyk włosów.

- Tata obiecał, że ci pomoże – spojrzała na mnie i usiłowała uśmiechem rozchmurzyć moją ponurą minę.
- Tak? Niech tylko załatwi żebym nie dostał dosługi, a dalej będzie już dobrze – powiedziałem z zakłopotaniem przejechawszy ręką po włosach. – Bo co do tego, że za tą samowolkę dadzą mi dosługę, to nie mam żadnych wątpliwości.
- Chyba tak. Nie znam się na regulaminie – opowiedziała. – A tak na marginesie to już niewiele pozostało do wyjścia z wojska.
- Właśnie! W końcu będę na wolności! Nie mogę się doczekać!
- A co planujesz robić później? – zapytała patrząc na mnie z zaciekawieniem.
- Ech, zobaczymy – westchnąłem. Już niedługo na powrót miałem znaleźć się w cywilnym świecie a prawie, że całkiem zapomniałem jak w nim jest. Tutaj w wojsku wszystko było zaplanowane i podane na tacy, a tam w cywilu na każdym kroku pojawiała się niepewność o dalsze jutro. Ale za to była wolność...

Porozmawialiśmy jeszcze przez kilka minut. Eliza nie ukrywała, że się śpieszy. Wiedziałem jaka jest przyczyna – przez okno widać było białe Audi – to samo, które podjechało po nią po naszym spotkaniu na Starówce. Nie chciałem dzielić się z nią swoim spostrzeżeniem. Pomyślałem sobie, że jest dobrą koleżanką, ale niestety... tylko koleżanką. Żegnając się jeszcze raz podziękowałem jej, że odwiedziła mnie w areszcie. Obiecała, że wkrótce do mnie zadzwoni.

Przez chwilę obserwowałem przez okno na korytarzu odjeżdżający samochód, aż w końcu popędzony przez zniecierpliwionego żandarma, wróciłem do zakratowanego pomieszczenia.

To był ostatni wieczór, który spędziłem na posterunku żandarmerii. Następnego dnia około południa przyjechał łysawy sierżant z brygady i zabrał mnie do jednostki na ul. 11 Listopada. Kiedy jechaliśmy ułazem, zapytałem go jak to się stało, że moja ucieczka z ancla wyszła na jaw i że widział gdzie się wtedy znajdowałem.

- Zapytaj się twojego kolegi z celi – odpowiedział sucho.
- To on doniósł? Ale jaki miał w tym cel? – nie mogłem zrozumieć.
- Siedzi za pobicie plutonowego, tego który miał wtedy dowódcę warty – wyjaśnił sierżant. – Wrobił go, bo przecież ten idiota zgodził się wypuścić ciebie za flaszkę wódki! Nieprawdaż?
- Prawda – potwierdziłem, skoro i tak nie było już nic do ukrycia. – I co znowu trafię teraz do ancla?
- Nie. Rano przyszedł ogólny rozkaz, żeby odesłać cię do Bojęcina – sierżanta machnął ręką w geście oznaczającym zdziwienie. – A tego w ogóle bym się nie spodziewał! Zwłaszcza, że wcześniej zajęła się tym prokuratura...
- Aha – mruknąłem. – To niedobrze.

Ułaz podskoczył na szynach tramwajowych. Kierowca tuż za pomnikiem „czterech śpiących” skręcił w lewo i wjechał na ul. 11 Listopada. Z daleka widać było czerwone zabudowania jednostki. Spojrzałem przez szybę na ulicę: kolorowo ubrani przechodnie, zachodnie samochody, neony nad sklepami, roześmiane dziewczyny - cywilny świat. „Będzie dobrze” – pomyślałem w przypływie optymizmu.

Jeszcze tego samego dnia wydano mi umundurowanie, w którym przyjechałem z Bojęcina i wręczono rozkaz wyjazdu. Nie spotkałem Antka – nie wiem jakbym zareagowałbym gdybym go zobaczył. Odmeldowując się w mieszczącym się przy bramie biurze przepustek, odnosiłem wrażenie, że wypadki toczą się szybko, jakby były napędzane jakimś zewnętrznym kołem zamachowym. Na pewno działa się za sprawą ojca Elizy. Gdyby było inaczej, prawdopodobnie nadal siedziałbym w areszcie na Karmelickiej i czekał na spotkanie z prokuratorem.

Do Bojęcina przyjechałem dopiero pod wieczór. Przepustka była ważna do dwudziestej pierwszej więc nie śpieszyłem się z powrotem do jednostki. Wałęsałem się po Starym Mieście, Centrum i Dworcu Centralnym. Dopiero gdy zaczęło zmierzchać wsiadłem w tramwaj i pojechałem na ulicę Lazurową, skąd odchodziły prywatne busy do Bojęcina.

Na widok oglądanej już setki razy bramy do jednostki pomyślałem sobie, że oto znowu jestem w tym nudnym dywizjonie, w którym nic się nie dzieje, kadra poza paroma wyjątkami jest w porządku, że znam tutaj każdy kamień, a to wszystko w sumie powoduje, że czuję się tutaj bezpiecznie. Na pytanie oficera dyżurnego „jak było w anclu” odpowiedziałem, że „znośnie”. Nie zauważył, że wróciłem prawie tydzień za wcześniej.

Tuż po wejściu do koszar natknąłem się na swojego falowca – Ryśka Pindla. Ten dla odmiany nie pytał jak było, tylko „co tak prędko?”. Nie widziałem co na to pytanie odpowiedzieć. Wymyśliłem, że ogłoszono amnestie w związku z świętem Wojska Polskiego. Rysiek uwierzył w to bez mrugnięcia okiem, tym bardziej, że z okazji tego święta rzeczywiście w wojsku ogłaszano amnestię dla aresztantów. Wiadomość, że z takiej właśnie przyczyny wyszedłem z ancla szybko rozprzestrzeniła się po dywizjonie. Więcej już nikt mnie o to nie pytał dlatego pojawiłem się w jednostce już teraz, a nie dopiero za tydzień. Koledzy bez dodatkowych pytań gratulowali mi i kręcili z podziwem głowami, że mi się upiekło.

Wszedłem do sali, przywitałem się z falowcami i opowiedziałem im jak było w anclu, łącznie z wypadem na prywatkę. Dzięki temu zrobiłem z siebie nie lada bohatera. O wizycie Elizy na posterunku żandarmerii nie rzekłem ani słowa, ponieważ uznałem, że w tej sprawie należy zachować dyskrecję.

Dowiedziałem się, że w naszej służbie doszło do przełomowego momentu, bo wczoraj rano przyszli nasi młodzi. Było ich tylko dwóch, czym moi falowcy mocno się rozczarowali. Przecież

jest tyle rejonów do sprzątania, dziewięciu dziadków, którym trzeba będzie robić kawę, herbaty, słać wozy do spania i ganiać do meliny po wódkę dla nich. Nikt nawet nie zastanawiał się nad tym czy oni dadzą sobie radę, bo było to z góry przesądzone, że nie mają innego wyjścia. Jeśli nie będą sobie radzić, to zostaną przybici na drewniaków. A podobno obydwaj, zresztą świeżo po unitarce, byli mocno zakręceni i wystraszeni.

Ułożywszy swoje rzeczy w szafce, przebrałem się w dresy i poszedłem na zwoływaną przez podoficera kolację.

Usiadłem za stolikiem razem z trzema moimi falowcami. Wszyscy oni mieli przypięte do spodni cienizny oraz woreczki z miarą krawiecką liczącą sto pięćdziesiąt centymetrów. Codziennie po objedzie obcinali po jednym centymetrze i wrzucali go do resztek po drugim daniu, a następnie polewali kompotem, głośno krzycząc cyfrę jaka pozostała do wyjścia. Zebrani na stołówce żołnierze odpowiadali chóralnym okrzykiem „Mało!”. Podobał mi się ten zwyczaj mimo, że sam nie angażowałem się w życie falowe i nie robiłem sobie ani cienizn, ani nie odliczałem dni za pomocą „falomierza”. Na tym etapie służby chciałem, żyć obok fali bo uważałem, że sama w sobie, jako zjawisko społeczne jest szkodliwa i poza pewnymi przykładami „folkloru” w ogóle mi się nie podobała.

Moi falowcy przez ostatnie kilka miesięcy przeszli wewnętrzną transformację. Stali się bardziej pewni siebie, co jest zrozumiałe biorąc pod uwagę, jak wzrosło znaczenie naszego poboru. Nie byliśmy już teraz jakąś „jesienią 95” lecz „starą jesienią”, a to oznaczało, że należy się z nami liczyć. Niektórzy falowcy zapowiadali, że zrewanżują się teraz na młodych za krzywdy doznane od naszego dziadka - Miśka. Takie zachowania wśród reszty poboru zawsze spotykały się z duży poparciem i aprobatą. Czasami zastanawiałem się czy są one wyrażane szczerze, czy to tylko taka zewnętrzna maska w przedstawieniu pt. „jebać młodych”? Odnosiłem wrażenie, że jeden przed drugim grał rolę „wielkiego falowca”.

Kiedy we trzech siedzieliśmy za stolikiem Rysiek Pindel zaproponował:

- Może by tak urządzić dyskotekę naszym młodym? Chłopaki takie zestresowane, to się chociaż wyluzują trochę -- zaśmiał się szelmowsko.
- Masz rację – przytaknął Mańkowski. – Łażą i wloką za sobą te swoje zakręcone ogony, jak se trochę potańcują, to zaraz im kity z radości pójdą w górę.
- To kiedy zaczynamy? – zapytał Pindel.
- Po capstrzyku!

Punktualnie o 22:00 podoficer gromkim głosem ogłosił capstrzyk. Siedzieliśmy w naszej sali rozwaleni na wozach i popijaliśmy piwko, przyniesione ze sklepu przez naszych młodych. Początkowo zostali potraktowani łagodnie, bo nie musieli do tego zakupu dokładać z własnej kieszeni. Dla porównania nasz dziad Misiek, wielokrotnie wysyłał któregoś z nas na mete nie dając mu żadnej kasy. Tak, my mieliśmy zdecydowanie gorszego dziada niż nas dziewięciu razem wziętych! W kilka minut po capstrzyku rozległo się pukanie do drzwi.

- Wlaz! – zawołał Pindel.

Do środka wpadł jeden młody i natychmiast zaczął się meldować:

- Ja kot szarobury, z kitą za wysokości Pałacu Kultury, wystrzelony z rakiety, chuj wie z jakiej planety, pokornie proszę szanownej fali o pozwolenie pozostania na sali!
- Zalegasz dziadek! – odezwał się Mietek, chłopak wąty i z natury nieśmiały.

Młody powiódł po nas wzrokiem wyraźnie zdezorientowany. To tak na dzień dobry od razu na glebę? No jakże to tak?

- Zalegasz, zalegasz! - ponaglał Mietek.

Młoda kita widząc, że nikt nie neguje rzuconej komendy, cały czerwony na twarzy z gniewu i poniżenia, położył się na podłodze i czekał na dalsze rozkazy.

- Ile dziad ma dziewczyn we wsi? – pytał Miccio groźnym tonem.
- Sto czterdzieści osiem! – zawołał młody pewnym siebie głosem.

Po sali przeszedł szmer uznania.

- Patrzcie go, kurna, przygotowany! – Pindel zrobił kilka kroków ze zdziwieniem spoglądając na falowców. – Widać na tych unikatach dobrze ich teraz uczą!
- A gdyby tak jedną samochód rozjechał, to ile by było? – Miecio nie dawał za wygraną.
- Sto czterdzieści osiem! – brzmiała odpowiedź.

Rozległ się wybuch śmiechu.

- Mietek harem zakłada! – orzekł Mańkowski.

Pindel podszedł do młodego i poklepał go po plecach.

- Dobra, wstań i domknij drzwi bo kita się za tobą ciągnie aż na korytarz.

Młody wstał i spojrzął w kierunku drzwi. Rzeczywiście były one niedomknięte, a na samym dole, tuż powyżej progu, widział niewyraźny zarys czegoś co było puszyste i szarobure – swojej kity. Syknał z bólu kiedy domykał drzwi, bo przyciął sobie swój ogonek. Był zbyt długi aby w kilka chwil zwinąć go do sali.

- A gdzie twój faluś? – zapytał Mańkowski.
- Sprząta rejony na świetlicy.
- Wołaj go!

W chwilę potem obydwaj, mocno zdyszani wpadli do naszej sali. Zameldowali się jak na młode kity przystało i patrzyli na nas z przestrachem i ciekawością. Obydwaj zasadniczo różnili się wyglądem. Ten stojący bliżej drzwi – ani przezwiska, ani nazwiska nie znałem - był bardzo wysoki, mierzył chyba ze dwa metry wzrostu. Włosy miał czarne, a cerę śniadą jak u Rumuna. Mówił, ze wschodnim, przypominającym rosyjskie zaciąganie akcentem. Jego kolega dla odmiany był blondynem, dość niskim i trochę grubawym, podobno pochodził z Częstochowskiego – co było dość rzadkie. Ponieważ nie znaliśmy ich dobrze, a trzeba było ich ponazywać Pindel dokonał szybkiego podziału:

- Jest was dwóch. Obydwa, koty szarobure – wskazał palcem na wyższego i oznajmił: - Ty jesteś Szary – odwrócił się w stronę niższego i dodał: - A ty Bury. Zrozumiano?
- Tak jest! – odpowiedzieli gromko.
- Kto ty jesteś? – zwrócił się Rysiek do wyższego.
- Kot szary.
- A ty? – to samo pytanie do niższego.
- Kot bury!
- Co robią koty? – popatrzył Rysiek na Szarego.
- Miauczą!
- To miauczeć!
- Miauuuuuu... miauuuu... miauuuuuu... – rozległ się głośny miaukot. Koty młode, gardła jeszcze nie zdarte, miauczało to to w niebogłosey. Najwyraźniej spodobało im się, bo nic nie wskazywało na to, że sami chcą przestać.
- Dość! - przerwał im Mańkowski.
- Czy koty lubią dyskoteki? – zapytał Rysiek.

Obydwa kocury spojrzały na siebie pytająco z minami wyrażającymi niepewność.

- Lubią! – po chwili potwierdził Szary.
- Jeszcze jak! – dodał Bury, myśląc zapewne, że wspaniałomyślne dziadki chcą żeby poszli zabawić się na dyskotecę we wiosce.
- No to robimy dyskotekę! – Rysiek klasnął w ręce i zatarł je z uciechy.

W tym miejscu Bury uczynił słuszne spostrzeżenie:

- Ale przecież tutaj nie ma żadnych dziewczyn. Z wioski je weźmiemy?
- Będą dziewczyny, będą – zapewniał Mańkowski. - A jedna taka laska, że cho, cho!
- A gdzie ona jest? – dopytywał Bury.
- Ano w lusterku możesz se ją obejrzeć – odpowiedział Pindel.

Młody zmieszał się.

- Znaczy się to ja mam być tą laską?
- Założysz na siebie szalokominiarkę i będzie z ciebie taka lala, że na wybory Mis Polski cię pošlemy! - zawołał Mietek, wywołując salwę śmiechu.

Ogon kocura drgał nerwowo z sierść wyraźnie zjeżyła się. Próbował wysunąć pazurki, ale przy tej cyfrze jeszcze nie przysługiwało.

- Mam się przebrać za dziewczynę? – udawał zdziwienie.
- Ni, ja się przebiorę! – rozwiął jego wątpliwości Pindel.

Tutaj nastąpił krótki instruktaż, jak za pomocą szalokominiarki przeobrazić żołnierza w atrakcyjną laskę. Otóż to odzienie, które przez głowę zakładało się na szyję, aby chronić przed zimnem, zostało uszyte z tak elastycznego materiału, że można było je „nawlec” na cały tułów. Falowa Szkoła Mody nakazywała, aby dolna część w ten sposób noszonej szalokominiarki kończyła się na wysokości połowy uda (bardziej odważni mogli podciągnąć ją jeszcze wyżej), a górna w okolicach piersi. Kobięcy biust imitowały dwie kulki papieru z gazety włożone za elastyczne płótno. Do tego dochodził jeszcze makijaż – niestety asortyment kosmetyków nie był zbyt szeroki: pasta do butów czarna lub brązowa, albo pasta do zębów. Ta ostatnia mimo różnorodności barw miała tę wadę, że szybko schła i kruszyła się, z tego też powodu używały jej tylko „damy” dysponujące dużymi zapasami tegoż produktu i poszukujące odrobiny ekstrawagancji w wyglądzie. Dopełnienie elegancji i szyku stanowiły buty na wysokich obcasach – a że w wojsku najwyższy obcas mają opinacze, toteż „damy” miały wyjątkowo ułatwiony wybór. Aby wyróżnić się od tłumu stosowano unikalną biżuterię, na przykład swego czasu jeden z moich falowców przyczepił do uszu dwa granaty przeciwpiechotne – oczywiście ćwiczebne. Warto było dołożyć starań, aby wypaść jak najlepiej, gdyż wszystko to mogło zaowocować nagrodą w postaci kilku dni „po lepszańsku”.

Po krótkim instruktażu nasi młodzi wyszli z sali aby się przebrać. Czas operacyjny wynosił dziesięć minut. Nasz dziad dałby pięć...

Szary i Bury pojawili się dobre kilka minut przed upływem czasu operacyjnego. Wyższy zgodnie ze wskazówkami Pindla ubrany był w szalokominiarkę, natomiast niższy miał na sobie spodnie z piżam i bluzę moro, a na nogach plastikowe klapki. Ktoś puścił „Rezerwę” z magnetofonu i kocury zaczęły się bawić. Obywaj wyglądali bardzo śmiesznie – Szary w swoim „wdzianku” przypominał wielką dwumetrową kobietę, a do pary miał niższego o dwie głowy partnera – Burego, który jak się okazało w ogóle nie miał wycucia rytmu i tańczył z wdziękiem godnym niedźwiedzia polarnego. Ten kontrast raził i zarazem śmieszył. Popiliśmy piwko i brechtaliśmy z naszych młodych, a oni dawali z siebie wszystko, żeby się nam przypodobać.

Pindel zmieniał kawałki, a młodzi tańczyli. Co chwilę ktoś zaciekawiony głośną muzyką zaglądał do sali i wychodził trzęsąc się ze śmiechu. Ze względu na niewielką ilość tańczących, dyskoteka trwała zaledwie pół godziny. Jednak aby podtrzymać radosny nastrój Miecio zaproponował kolejną falową zabawę tzw. „grającą szafę”. Otóż cała ściana dzieląca naszą salę od korytarza została zabudowana szafkami. Służyły one do przechowywania odzieży i przyborów toaletowych. Każdy żołnierz miał swoją własną szafkę. Miały one tak duże gabaryty, że można było do nich wejść, co często robili starzy żołnierze rano ukrywając się w nich przed wyjściem na zaprawę fizyczną.

Szary i Bury cali czerwoni ze zmęczenia, wpakowali się do sąsiadujących ze sobą szafek, a moi falowcy rozsiedli się na wozach po przeciwnej stronie sali. Tym razem sztuczna muzyka, miała zostać zastąpiona muzyką naturalną. Zaczęła się zabawa: moi falowcy rzucali przed siebie laczkami celując w szafki, a jeśli któryś z kotów usłyszał, że laczek trafił w jego szafkę to musiał śpiewać – wszystko jedno co, byle śpiewać. I trzeba powiedzieć, że z początku były to pieśni piękne, ambitne lecz w miarę upływu czasu repertuar wyczerpywał się, a młodym nie wolno było się powtarzać. Pod koniec śpiewali melodie znane od dziecka i mocno oklepane: „Dziś spotka nas malutka, zwinna pszczołka Maja, mała sprytna rezolutna Maja...”, albo „Domowe

przedszkole, wszystkie dzieci kocha i chce byśmy razem kochali je trochę...”, lub „My czterej pancerni, powrócimy wierni, Rudy i nasz pies...”, niektórzy przemycali elementy lokalnego folkloru „Hej bystra woda, bystra wodzicka, zrobił się biuścik z byle cycka...”. Z punktu widzenia dziadka pijącego piwko cała ta scena wyglądała wyjątkowo zabawnie, ale siedząca w ciemnych szafkach kociarnia na pewno miała na ten temat odmienne zdanie.

Micio pochodził z Podhala, toteż kiedy jeden z młodych zaśpiewał znaną góralską piosenkę serce w nim zdrząło, a wyobraźnia poniosła go hen w tatrzańskie turnie i hale. Nie mogąc wysiedzieć na miejscu zerwał się, zdjął ze ściany przywiezioną na pamiątkę ciupagę i podbiegł do szafek. W pierwszej chwili pomyśleliśmy, że zechce łąć młodych tą ciupażką, ale on zatrzymał się i zawołał:

- Hej wy koty, słyszycie mnie?
- Słyszemy, słyszemy! – doleciały dwa przytłumione głosy zza drzwi.
- No to słuchajcie! Teraz zaśpiewamy góralską piosenkę – wołał. – To znaczy wy będziecie śpiewali, a ja będę dyrygował!
- Dobra, dobra – zgodziły się obydwa koty, a Bury dodatkowo zapytał: – Ale którą?
- Ło Janicku! – odpowiedział Micio. – Znacie ją?
- Znamy!
- To zaczynamy! – zarządził nasz falowiec i trachnął ciupażką w najbliższą szafkę. Rozległ się mocny baryton Szarego. Zaśpiewał dziarsko i raźnie, z mety nadając piosence właściwy rytm i dynamikę:

Hej bystra woda, bystra wodzicka!
Pytało dziwce o Janicka!

Micio uderzył ciupażką w sąsiednie drzwi. Dało się słyszeć znacznie cieńszy głos Burego:

Hej, lesie czarny, lesie zielony!
Kaj mój Janicek umilony?

Po chwili rozległ się basowy głos Szarego:

Hej, powiadali, hej powiadali!
Hej, ze Janicka porąbali!

Ponownie pod dyktando dyrygenta zaśpiewał Bury:

Hej, porąbali go Morawiany!
Hej, za owiecki, za barany!

Micio trachnął ciupagą w szafkę Szarego, ale zamiast dalszej części piosenki usłyszał kichnięcie. Uderzył jeszcze raz i tym razem odpowiedziała mu całkowita cisza. W końcu Szary woła zakłopotaniem: - Zapomniałem co dalej! Ale wiedziałem, naprawdę wiedziałem! Przecież to taka znana piosenka!

Góral wkurzył się nie na żarty. Był już mocno pijany i prędko wpadał w gniew. Rzucił ciupażkę na bok i zawołał:

- Wypadają stamtąd!

Obydwa nasi młodzi wystraszeni, wygramolili się z szafek i stanęli jeden obok drugiego w swoich śmiesznych przebraniach.

- To jest zmoka! – piekł się Micio. – Zalegają na podłogę i tłoczą cyferkę!

Młodzi spojrzeli na siebie pytająco i niepewnie. Sto czterdzieści osiem pompek, czy o oby nie żart?

- Dają, dają! – popędzał Miecio.

Szary i Bury wiedząc, że nie otrzymają żadnej pomocy, powoli i ociężale położyli się na podłodze.

- Tempo raz! – huknął zazwyczaj cichy i nieśmiały kolega. – Ruchy, dziadki, ruchy!

Młodzi podnieśli się i zaczęli robić pompki. Jednak wkrótce cała akcja została zastopowana, przez Mańkowskiego, który stwierdził, że koty dziś najpierw ładnie tańczyły, a później śpiewały dlatego na początek wystarczy jak zrobią końcówkę cyferki, czyli osiem pompek. Cała ta falowa zabawa zakończyła się jeszcze przed dwudziestą trzecią. Nasi młodzi, mimo sporej porcji rozrywki jaką dzisiaj dostali, wcale nie byli rozbawieni – mieli do tego niewłaściwe podejście, za poważne, podczas gdy chodziło o to, aby do takich wygłupów podchodzić na luzie.

Mimo późnej pory postanowiłem odwiedzić swego kolegę - Roberta Zielińskiego, który ostatnio rozchorował się na zapalenie gardła i wylądował na izbie chorych. Pochodził on z Bieszczad – dokładniej z okolic Myczkowa. Ojciec Roberta postawił tuż nad brzegiem Zalewu Solińskiego domek wypoczynkowy dla turystów. Interes jednak nie szedł bo turyści przestali przyjeżdżać w tamte strony. Czasami snuliśmy z Robertem plany, jak rozpoczynając od tego małego domku zbudować w otaczającej go pięknej okolicy wielki ośrodek wypoczynkowy, rojny, gwarny i pełen turystów. Oczywiście w duchu zdawaliśmy sobie z tego sprawę, że nic z tych planów nie wyjdzie, że tak naprawdę żaden z nas nawet nie złapie za sztychówkę, żeby zabrać się za kopanie fundamentów pod budowę ośrodka. Miło się natomiast o tej idei marzyło i była ona zbyt piękna, aby miała się z jakiegoś prozaicznego powodu nie zrealizować, dlatego lepiej było nawet nie próbować wcielić ją w życie.

Kiedy popijaliśmy sobie kawę rozważając, jak rozwiązać kolejny hipotetyczny problem, na który mogliśmy natrafić w czasie prowadzenia ośrodka, z sąsiadującej izby doszedł nas dziewczęcy śmiech. Zaciekawiony zapukałem w drzwi i usłyszawszy „proszę” wszedłem do środka. W izbie znajdowało się trzech ubranych w piżamy żołnierzy, a na jednym z łóżek wpołleżała drobna blondynka, mimo chłodnej pory ubrana króciutką spódniczkę mini, spod której czasami wyglądały majtki koloru różowego. Panienska ta była pijana, lub też mówiąc bardziej obrazowo „ubzdryngolona”. Z jej zachowania wynikało, że przyświeca jej oczywisty cel: niesienie pomocy dla cierpiących żołnierzy bez szkodliwych medykamentów, a może nawet i bez gumki. Widząc, że moja obecność stała się dla większej części tego towarzystwa kłopotliwa, przeprosiłem zwyczajowym „sorry” i wyszedłem na korytarz. Jak się okazało obecność tej „sanitariuszki” błędym świtem została wykryta przez oficera dyżurnego. Staliśmy na apelu porannym kiedy oficer przyprowadził ją ze sobą, ku przestrodze, że takie numery nie umkną uwadze służby dyżurnej. Panienska skromnie ubrana, stała przed trzema kompaniami żołnierzy trzęsąc się albo z zimna, albo ze wstydu, a ów czujny porucznik wygłaszał pouczającą mowę. W końcu zamierzając puścić ją wolno zapytał, czy nie zostawała czegoś na izbie chorych. W pełnej napięcia ciszy panienska przeszukała wszystkie kieszenie i jak biedny nieborak rzekła drżącym głosem:

- Nie mam mojego walkmana...

Tydzień po tych wydarzeniach skontaktowała się ze mną Eliza. Rozmawiając z nią przez telefon dowiedziałem się, że jej ojciec już zaczął działać, żeby pomóc mi uniknąć kary za samowolkę z ancla. Odpowiedziałem, że jego interwencja już dawno poskutkowała ponieważ zostałem prędko odesłany z komisariatu żandarmerii do jednostki w Bojęcynie, a z kolei tutaj nikt więcej nie wracał do tego co działo się w brygadzie. Tylko Żuk powiedział kiedyś „ - Ty Paślawski, musisz mieć duże plecy!”, ale nie powiedział dlaczego tak myśli. Generalnie rzecz biorąc dali mi tutaj święty spokój, nikt się mnie nie czepiał, życie toczyło się normalnym trybem tak jak wcześniej, przed wyjazdem do ancla.

Ustaliliśmy z Elizą, że musimy się umówić jeszcze raz, żeby teraz już na spokojnie pośmiać się z mojej nocnej eskapady i spowodowanej nią reszty wypadków. Wprawdzie nie wiedziałem, czy Żuk podpisze mi przepustkę, ale i tak miałem już opracowane sposoby na to, aby znaleźć się cywilnym świecie bez zbędnych świstków i niepotrzebnych formalności.

Koniec
Rozdziału
XVIII

Rozdział XIX

Cywil!

Odkąd staliśmy się dziadkami, czas włókł się powoli, nic się nie działo, a my stara jesień, nie mogliśmy się doczekać aż przyjdzie cywilna wiosna. Aby ukrócić sobie okres wyczekiwania wyjeżdżaliśmy na przepustki, z częstotliwością znacznie większą niż za młodego żołnierza, a wieczorami piliśmy piwo, wódkę, wina i inne napoje zawierające pierwiastek pozwalający w ogóle zapomnieć o pojęciu czasu. Pech chciał, że dwaj młodzi, którzy przyszli do naszej baterii po dwóch miesiącach zostali przeniesieni do innej jednostki. Mimo tego, że cyfra nie pozwalała, musieliśmy sami – tak jak za młodego – sprzątać rejonów należące do startówki. Prawdopodobnie byliśmy jedynymi dziadkami jeżdżącymi na szmacie w historii tego dywizjonu. Dopiero w styczniu przyszedł taki nawał kociarni do kompanii zabezpieczenia, że udało nam się dogadać z naszymi falowcami, że oddelegują kilku młodych do sprzątania rejonów za nas. I w ten oto sposób, dopiero mając na fali zero dziewięćdziesiąt parę, udało nam się ostatecznie zejść ze szmaty.

Dni leciały powoli, czas się dłużył, zdawało się że do końca tego monu to jest jeszcze więcej niż za młodego. W dzień zajęcia, po południu służby i tak w kółko. Falowcy robili chusty wyszywali pompony z włóczki, po obiedzie przybijali cyferkę – nie bawiłem się w to, bo i bez tych gadżetów cieszyłem się, że już wkrótce wyjdę do cywila. W czasie ostatnich miesięcy pobytu w wojsku dość często kontaktowałem się z Elizą. Plany pozostania w Warszawie stawały się co raz bardziej realne, a powrotu do Białki w ogóle nie brałem już po uwagę. W Warszawie jest praca i to było najważniejsze. Szczerze powiedziawszy mimo tego, że wciąż jeszcze byłem w wojsku, to jednak w wyobraźni żyłem już cywilnym światem. Ciekawiło mnie to jaki on jest teraz, kiedy upłynęło półtora roku od momentu kiedy przekroczyłem bramy koszar. Wówczas miałem nadzieję, że kiedy do niego wrócę, będzie on znacznie lepszy. Z relacji Elizy wynikało, że tak rzeczywiście jest. Czyli warto było przeczekać te osiemnaście miesięcy, aby wypłynąć na powierzchnię w znacznie lepszej, bardziej przyjaznej rzeczywistości. Myślę, że bardziej było to kwestią zmiany miejsca niż samego upływu czasu – w Rzeszowie przez te półtora roku bezrobocie wcale nie zmniejszyło się.

Święta Bożego Narodzenia spędziłem w jednostce, a do domu pojechałem na Sylwestra. Zupełnie odwrotnie niż rok wcześniej. Święta w wojsku są jedynie namiastką, surogatem Świąt spędzonych w domu w rodzinnej atmosferze. W zasadzie, niczego nie brakuje, jedzenia jest pod dostatkiem i są to tradycyjne potrawy jakie podaje się na wigilijny stół, ale nie ma tam jedynych w swoim rodzaju gołąbków z ryżem i grzybami, które robi babcia, a trzeba na nie czekać okrągły rok. Mimo tego, że fakt spędzania tych Świąt razem w jednostce przy jednym stole wyraźnie uzmysławia nam, że wszyscy mimo różnic i tak jedziemy na wspólnym wózku, jesteśmy w pewnym sensie rodziną, to jednak myśli w głowie każdego żołnierza odlatują hen daleko do rodzinnego stołu i zgromadzonych przy nim ludzi. I nawet kiedy biorący udział w Wigilii ksiądz zaintonuje:

*Wśród nocnej ciszy, głos się rozchodzi
Wstańcie pasterze, Bóg się wam rodzi*

to wszyscy śpiewając i tak sprawiają wrażenie nieobecnych, duchem będąc gdzie indziej. Po smutnej Wigilii przychodzi pierwszy dzień Świąt, a po nim drugi. Obydwa wloką się nadzwyczaj

wolno i nie wiadomo co w tym czasie ze sobą zrobić. W końcu mijają te pełne nostalgii i tęsknoty za rodziną Święta i znowu wpada się w znany rytm zajęć w ciągu dnia, trwających dwadzieścia cztery godziny służb i spania na swoim wozie. I tak czas leci. Poprzecinany wyjazdami na przepustki tasiemiec służby wojskowej stają się co raz krótszy. Na początku lutego wyjeżdżamy na rzut granatem do odległego o trzydzieści kilometrów Kazunia. Zajęcia te dostarczają sporej dawki stresu, zwłaszcza w momencie kiedy stoi się w okopie trzymając w jednej ręce granat, a w drugiej wyjętą przed chwilą zawleczkę. Ważne jest aby w tych nerwach nie pomylić co jest co i rzucić przed siebie granatem, a nie zawleczką, bo skutki były opłakane. Na szczęście w trakcie trwających trzy godziny zajęć nie doszło do żadnego wypadku. Z westchnieniem ulgi wsiadamy do wojskowego autobusu i wracamy do Bojęcina.

Na początku marca do jednostki zawitały dwie kobiety: matka i jej córka w poszukiwaniu ojca dziewczynki, która już za trzy miesiąca powinna przyjść na świat. Zjawiły się akurat w niedzielę i miały dużo szczęścia ponieważ trafiły na bardzo wyrozumiałego i okazującego zainteresowanie dla problemu oficera – kapitana Leniusza. Tuż po drugim śniadaniu zarządził on zbiórkę całego stanu osobowego na placu apelowym. Ustawił wojsko w dwa odwrócone do siebie frontem szeregi, a matka i jej będąca stanie zawansowanej ciąży córka, weszły do środka szpaleru i uważnie przyglądały się twarzom żołnierzy. Chodziły wolno spacerkiem, a matka co chwile wołała: „Patrz Moniś, może ten?“, a Moniś odpowiadała „Nie tamten to był blondyn“, albo „Moniś no patrz, może ten?“, a Moniś mówiła „Ten nie bo za wysoki, tamten był dużo niższy“. I tak w kółko. Żeby Moniś była ładniejsza, to może ktoś by się na ochotnika zgłosił, ale że dziewczę urodą nie grzeszyło, toteż zainteresowania nie było żadnego. W końcu wybrały jakiegoś zimola z kompanii zabezpieczenia, bo córka była na sto procent pewna, że to właśnie ten. Chłopak zaczął gwałtownie protestować. Twierdził, że pierwszy raz widzi ją na oczy, że tym określonym przez dziewczynę czasie, kiedy miało dojść do rzekomego zbliżenia, był na urlopie i że w ogóle z taką brzydulą do łóżka za żadne skarby by nie poszedł. Skończyło się to kłótnią na placu apelowym. Zimol nazwał dziewczynę dziwką, a ona jego jebaką i alfonsem. Całe wojsko ryczało ze śmiechu, a ci się kłócili nie przebierając w słowach. Zza drzew przyglądał się tej scenie wartownik z drugiego posterunku, który idealnie pasował do opisu, a na żadnym urlopie, ani przepustce w owym gorącym okresie sprzed pół roku, nie był. On też nie zgłosił się na ochotnika. Kapitan Leniusz rad, że okazał skuteczną pomoc w słusznej sprawie, kazał się nam rozejść a sam wraz matką, córką i nieszczęsnym zimolem poszedł na dyżurkę oficera.

W połowie marca weszliśmy na cywila. Już tylko 030 do końca monu! Radość niesamowita, ale boże jak ten czas się wlecze! Opinanace z powrotem dociągnięte na pierwszą dziurę, a kto miał wąsy ten je golił, bo tak kazał zwyczaj. Szwendamy się po jednostce, nudzimy, nocami piejmy, dniami leczymy kaca. Mogliby nas ze spokojnym sumieniem już puścić bo i tak już żadnego pożytku z nas nie ma. W dzień absolutnie nic nie robimy. Cyfra blokuje i nawet jak człowiek weźmie do ręki jakieś narzędzie i chce pracować, to nie da rady bo go parzy w ręce. Trzeba rzucić na ziemię, niech wystygnie, może jutro nie będzie takie gorące, a samemu w tym czasie poleżeć, odpocząć.

Przed końcem miesiąca przyjechał do jednostki pułkownik Szulim. Oprowadzający go sierżant myślał, że kontrola tradycyjnie rozpocznie się od sprawdzenia magazynu żywnościowego, a tymczasem pułkownik zaraz po wejściu za bramę i przyjęciu meldunku od oficera dyżurnego, z miejsca ruszył na kotłownię. Podobno szefowi WAK¹⁴ momentalnie włos się na głowie zjeżył, bo w życiu nikomu nie przyszło na myśl, że Szulim zechce zobaczyć jak wygląda gospodarka koksem i węglem. Szulim wszedł do kotłowni i przywitał się z panem Marianem, który akurat czyścił piec z oddelegowanym do bibu drewniakiem. Palacz kazał drewniakowi natychmiast wyjść i dalej rozmawiali bez świadków. Pułkownik opuścił kotłownię po kwadransie (kiedy potknął się na

¹⁴ WAK – Wojskowa Administracja Koszar ironicznie bib, a pracujący tam żołnierze to bibole.

trzecim schodku jakieś szkło zadzwoniło w neseserze) i na resztę spraw machną ręką w ciemno wpisując, że wszystko się zgadza w najdrobniejszym szczególe.

Szulim nie byłby jednak sobą gdyby się czegoś nie przyczepił; otóż w dyżurce oficera, na framudze okna, w miejscu gdzie odpadł kit, wypatrzył niedbale zatkniętą za gwoździak zatłuszczoną widokówkę przedstawiającą zarosnięty tatarakiem fragment brzegu jeziora Śniardwy. Na odwrocie napisano:

*Serdeczne pozdrowienia dla sympatycznych kolegów z pracy
Przesyła z Mazur – Krainy Komarów, porucznik Kukciński*

Po odjeździe pułkownika, szef sztabu poinformował, że tak doskonałych wyników kontroli dywizjon w Bojęcinie nie odnotował nigdy dotąd.

Do starej zimy ze startówki przyszedli młodzi – sześć sztuk miauczących zakręconych kotów. Pewnego wieczora zimole w przyływie głupawki kazali im założyć na siebie szalokominiarki i udając seksowne autostopowiczki zatrzymywać samochody na drodze do Warszawy. Za każdy zatrzymany samochód dostawali dzień po lepszańsku. Udało im się zatrzymać jakąś ciężarówkę i osobowego mercedesa. Większość kierowców zwalniała, lecz kiedy tylko wiedzieli, gęby owych „panienek” od razu dodawali gazu. A zimole siedzieli w przydrożnych krzakach i trzęśli się ze śmiechu.

Przyszedł kwiecień. Cywilna wiosna tak pięknie pachniała; w ćwierkaniu ptaków, w szeleszczeniu liści, w szemraniu wody dawało się słyszeć przepiękne słowo: wolność, wolność, wolność. To już tak niedługo – jeszcze tylko trzy tygodnie! Niektórzy falowcy są mocno sfrustrowani – tak mało czasu, a chusty jeszcze nie gotowe. Złożyli zamówienie do jakiegoś zakładu pod Poznaniem, wpłacili część kasy, jednak chusty jeszcze nie nadeszły. Co dzień dzwonią i pytają co się dzieje. „Będą, za tydzień” – słyszą od miesiąca. Reszta chłopaków wyszywa pompony z włóczki w kolorach jesieni, czyli żółtym i czerwonym. Wiszą one w każdej sali. Czas się niesamowicie dłuży, dobrze że wchodzimy na warty, bo inaczej zdawałoby się, że wciąż stoi w miejscu.

Mając 008 na falomierzu robię nocą ostatni obchód posterunku na strefie. Spędziłem tutaj prawie półtora roku. Idę powoli, w górze świeci księżyc słyszę jak pod moimi nogami zgrzyta żużel, którym pokryto drogę. Mijam wiaty samochodowe i przypominam sobie, jak drzemałem w samochodach z duszą na ramieniu, nasłuchując czy przypadkiem nie zbliża się patrol z oficerem dyżurnym. W oddali na tle gwiaździstego nieba dostrzegam ulokowaną na wysokim wzniesieniu groźną sylwetkę stacji naprowadzania. Latem często wychodziłem na ten pagórek gdyż tylko w tym miejscu można było odpocząć od wszechobecnych i natrętnych komarów. Idąc dróżką dochodzę do radaru – jeszcze jednego umiejscowionego na górze urządzenia. Przychodziłem tutaj ilekroć chciałem poczuć, że istnieje cywilny świat. Wprawdzie widać było tylko lunę świateł nad Warszawą, ale to mi w zupełności wystarczało. Schodzę z pagórka i idę ścieżką przez las. Jest ciemno, ale nie boję się – znam tutaj każdy korzeń, każdą skrzypiącą gałąź. Dochodzę do spowitej w ciemnościach bramy na strefę techniczną. Słychać trzepotanie plandek którymi przykryto samochody, rozlega się również ciche metaliczne pobrzękiwanie – to jakaś tabliczka, która zwisa z ogrodzenia trzymając się tylko na jednym druciku – zawsze tak brzęczała. Mijam bramę i dostaję się w strugę świateł z dwóch reflektorów – czuję się widoczny jakbym był na patelni. Nie lubię tego wrażenia i dlatego schodzę na sam skraj chodnika gdzie natężenie światła jest znacznie mniejsze. Obchodzę magazyn rakiet i zatrzymuję się przy małym parterowym budynku. Tuż przed nim znajduje się malutka fontanna, koło niej stoi zielona ławka taka jak te, które widuję się w parkach. Za ławką usypano z kamieniu niewielki wzgórek, następnie pokryto go ziemią, drobnymi kamyczkami i zasadzono kwiaty. To było bardzo piękne miejsce. Rodzynek w otoczeniu agresywnych sylwetek urządzeń wojskowych i siermiężnych budynków. Tutaj umawialiśmy się na dokonanie zmiany warty. Usiadłem na ławce i spojrzałem

na zegarek. Zmiana powinna nadejść na pięć minut. To już ostatnia warta. Pomyślałem sobie, że jednak nie było tak źle... jakoś zleciało te półtora roku...

Następnego dnia dowiaduję się, że moje plany pozostania żołnierzem nadterminowym spełżyły na niczym – nie było żadnego etatu. Łagodne przejście z służby zasadniczej do normalnego życia nie powiodło się. Ach ta cholerna proza życia! Czy nic nie może być łatwe? Dlaczego o wszystko trzeba walczyć starać się, nic nie chce samo się ułożyć? Z drugiej strony nie wiem czy tak naprawdę nie jest czego żałować. Widzę jak żyją pracujący w Bojęcinie nadterminowi – zarabiają połowę mniej niż wynosi przeciętna pensja w Warszawie, mieszkają w jednostce gdzie nie ma co robić popołudniami, praktycznie nie mają żadnych perspektyw na dalszy rozwój i są na każde zawołanie. Wprawdzie mogłem zwrócić się o pomoc do ojca Elizy w tej sprawie, ale uniosłem się honorem – dzięki niemu udało mi się uniknąć dosługi teraz znowu miałby robić coś dla mnie? Wierzyłem, że sobie poradzę. Dostanę wyprawkę 700 zł. – całkiem solidną kwotę jak na te czasy. Wynajmę pokój, jak robi większość przyjezdnych i będę szukał pracy. W ciągu miesiąca na pewno coś znajdę, a później poszuka się jeszcze lepszej.

Te egzystencjonalne rozważania zanikają wieczorami. Giną w hektolitrach wódki, którą pijemy nie mogąc się doczekać aż przyjdzie dzień 000. Na 003 większość falowców przybija ostanie warty i służby – czyni się to trzykrotnie uderzając taboretami o podłogę i meldując: „003 – ostatnia warta!”. Każdy kto jest tego świadkiem krzyczy „Mało!”. Falowcy z taką siłą uderzają metalowymi taboretami o podłogę, że są one pokrzywione i nie nadają się już do użytku. Patrząc na te taborety i myśląc sobie jak wiele złości i frustracji musiało siedzieć w tych ludziach. Dlaczego ja nie walnąłem tak taboretami? Przecież nie byłem otoczony szczególną ochroną, doświadczałem tego samego co moi falowcy. Nie wiem. Nie wyobrażałem sobie siebie samego ryczącego i miotającego taboretami o podłogę. To do mnie nie pasowało, zresztą tak samo jak cała ta instytucja w której człowiek wyładowuje swą złość na drugim człowieku – wali taboretami ze słów w łeb swojego podwładnego, a ten z jeszcze niżej i tak w dół, aż do żołnierzy ze służby zasadniczej.

Trepy – czuję do nich litość. Nikt z nich nie przyszedł do wojska z powołania, lecz dla zapewnienia sobie stabilnego bytu. Armia da prace, mieszkanie, nakarmi i ubierze. Ale za cenę podpisania dożywotniego kontraktu w imię którego „gnojenie” staje się częścią porządku dziennego. Stosunki między kadra nie opierają się na szacunku za posiadanie określonych umiejętności, stopnia wojskowego, koleżeństwa, wieku lecz prostej zasadzie; kto kogo może zgnoić. Zatem można sobie wyobrazić jaka panowała atmosfera wśród kadry zawodowej.

Finansów im nigdy nie wystarczało każdy kombinował jak mógł: sierżant z żywnościówki wynosił przeznaczoną na żołnierski stół kielbasę do domu, chorąży opiekujący się stacją paliw potajemnie zaopatrywał w benzynę swoich stałych klientów, ale nie każdy miał taką fuchę, nie wszyscy mogli dorobić. Po trwających do późnych godzin nocnych popijochach w kantine, pijanych trepów rozwoził do domu służbowy samochód. A wszystko to szło z pieniędzy zwykłych przeciętnych polskich obywateli, którzy ledwo wiążą koniec z końcem i żyją w słodkiej nieświadomości na co idzie dwadzieścia procent podatku odprowadzanego z ich pensji.

Widziałem nadętych władzą i napuszonych jak indyry pułkowników i generałów – oni też zdawali się żyć w słodkiej nieświadomości, że ta ich władza - małe służbowe imperium - ma swoje podstawy w pensji Jana Kowalskiego, który pracuje jako elektromonter, albo Ani Markowskiej, która pracuje na kasie w supermarkecie. Cały ten wyizolowany świat zdawał się zapominać o tym, że tak naprawdę żyje na usługach społeczeństwa, a owi nadęci generałowie i pułkownicy są tak naprawdę niczym w skali całego Państwa.

Obserwując wszechobecne w wojsku marnotrawstwo i wynikającą z niskiego uposażenia prywatę żołnierzy zawodowych, dochodziłem do wniosku, że Polskę musi to wiele kosztować i prawdopodobnie utrzymanie mniejszej liczebnie, ale za to sprawniejszej i dobrze zagospodarowanej armii zawodowej, zapewne byłoby dla budżetu Państwa rozwiązaniem znacznie tańszym. Tym bardziej, że ludzie ci, za co należy się im uznanie - kiedy usiedli za

swoimi stanowiskami na sprzęcie bojowym, potrafili obsługiwać go po mistrzowsku. Widać było zaangażowanie, odporność na trud i zmęczenie, werwę i wolę walki – tego nie można było im odmówić. Byli w tym naprawdę doskonali. I tylko żal człowieka ogarnia na myśl, że ten duch bojowy na współczesnym polu walki już nie wystarcza – może go zdusić wybuch rakiety odpalanej przez przeciwnika, który nawet nie będzie próbował stanąć do walki twarzą w twarz.

Dni lecą. Na 001 szwendając się po jednostce dochodzę do ogrodzenia za którym widać łąki i pola a w oddali zabudowania. Dawniej patrzyłem przez to ogrodzenie i myślałem, że widzę wolność. Przecież tam dalej nie ma już żadnych ogrodzeń, można robić co się chce. Ciekawe jak to jest być na wolności? Zdażyłem już zapomnieć. Przed pójściem do wojska traktowałem ją jako coś zwyczajnego, jak powietrze – armia pokazała, że tak nie jest. Wolność to coś odrębnego, istniejącego naprawdę i posiadającego wartość. Trudno było to zauważyć wcześniej, kiedy w każdej chwili mogłem wziąć rower i pojeździć po pagórkach. Teraz wiem, że tak jest.

Wolność oznacza też odpowiedzialność – musisz na siebie uważać, bo możesz osiągnąć sukces, albo możesz się stoczyć. Ani w jednym ani w drugim wypadku świat nie będzie protestował – cały czas będzie podsuwał ci dalsze możliwości pójścia w którymś z tych dwóch kierunków. W życiu bywają trudne chwile, życiowe zakręty, wówczas trzeba szczególnie uważać, aby nie zejść na ścieżkę upadku. Wojskowe powiedzenie „bądź twardzielem” w cywilnym świecie już nie obowiązuje z tej przyczyny, iż „twarde” ma tę właściwość, że szybko pęka. Półtora roku a całe życie to kolosalna różnica.

Kiedy stałem za ogrodzeniem świadom tego, że już ostatni dzień stanowi ono dla mnie symbol bariery, odgradzenia od normalnego życia, nie potrafiłem przewidzieć w którym kierunku potoczy się mój los. Rozwoju, upadku a może po prostu będzie zwyczajnie? O tym wszystkim miałem się dowiedzieć w ciągu najbliższych dni, miesięcy lat. Już jutro opadną opiekuńcze ramiona armii i będę musiał radzić sobie ze wszystkim sam. Nie znałem Warszawy, nie znałem tutejszych realiów, wiedziałem, że jest to zupełnie inna rzeczywistość niż ta sprzed wstąpieniem do armii. Spodziewałem się że będzie mi ciężko się w niej odnaleźć – to nie to samo co Białka i Rzeszów. Tego wieczora stojąc przed ogrodzeniem i patrząc na roztaczające się za nim łąki pola – patrząc na Wolność – zamiast radości odczuwałem melancholie.

Nie tylko ja martwiłem się o swoją dalszą przyszłość. Dla jednych wyjście z wojska było powodem autentycznej i beztrudnej radości, ale większość mówiła: „po wojsku wrócę do tej swojej wsi i co ja będę tam robił? Nie ma pracy, nie ma żadnych perspektyw”. Wielu chciałoby jeszcze zostać przez miesiąc, dwa, ale czas biegł nieubłaganie.

Po capstrzyku odbył się tradycyjny wieczorek pożegnalny. W zasadzie niczym nie różnił się on od poprzednich, trwających nieustannie od dwóch tygodni popijoch, poza tym szczegółem, że zaprosiliśmy kilku młodych z jesieni 96. Siedzieliśmy, piliśmy rozmawialiśmy i nikt nie mógł uwierzyć, że to nastąpi już jutro. Już jutro wyjdziemy za bramę, wsiądziemy do autokaru i tyle nas tutaj widzieli.

O godzinie piątej trzydzieści, półgodziny przed ogłoszeniem pobudki przez dyżurującego podoficera, wstajemy z wozów i wychodzimy na korytarz. W głowie łupie, spać się chce, ale tradycji trzeba dochować. Rysiek zaintonował tę znaną, zakazaną za młodego piosenkę, która wielekroć dodawała otuchy i nadziei kiedy dziad gnębił i cyfra przytłaczała, bo niezależnie od tego jakby nie działo się źle, każdy wiedział, iż kiedyś musi nadejść taki moment:

*Godzina piąta, minut trzydzieści
Kiedy pobudka zagrała*

Z całej siły w gardłach, świadomi tego, że to właśnie ta autentyczna chwila zawarta w treści piosenki śpiewany głośno, z radością i entuzjazmem! Zdają się, że szyby drżą od naszych głosów:

Grupa rezerwy szła do cywila!

Niejedna panna płakała!

*Niejednej panie żal się zrobiło
I serce z bólu zadrżało!*

*Bo jej kochanek szedł do cywila!
A jej się dziecko ostało!*

Chodzimy po korytarzu, falowcy wymachują chustami, drzwi do sal otwierają się i wychodzą z nich ubrani w piżamy żołnierze. Patrzą na nas ze smutkiem i zazdrością, że my już dziś, a oni dopiero za kilka miesięcy, pół roku, a może i więcej. Ale my nie przejmujemy się tym. To jest nasze święto! Czekaliśmy na nie pięćset czterdzieści dni! Przemawia przez nas radość i euforia! Śpiewamy:

*Na Dworcu Głównym w mieście Warszawa!
Wszystkie się panny zebrały!*

*Z kamieniem w rękę, z dzieckiem na rękę!
Na Rezerwistów czekały!*

Do śpiewu dołączają się wychodzący z sal żołnierze. Powietrze na korytarzu drży od siły sześćdziesięciu kilku mocnych głosów:

*Lecz to nie honor dla Rezerwisty!
By na peronie z kurwą stać!*

Z dolnego korytarza wychodzą po schodach żołnierze. Cześć ma na sobie ciemno zielone dresy, a cześć pasiaste piżamy. Wszyscy śpiewają razem z nami:

*Wsiadł do pociągu, pierdolnął drzwiami!
Tak się pożegnał z kurwami !*

*Wsiadł do pociągu, pierdolnął drzwiami!
Tak się pożegnał z kurwami !*

Pieśń się kończy, padamy sobie w ramiona, gratujemy że wytrwaliśmy do końca tego całego syfu, że to nigdy więcej się już nie powtórzy. Nikt nie będzie wrzeszczał, rozkazywał, kazał stawać na baczność, już nie będzie tych przykrych powrotów z przepustek i tego cholernego obrzydliwego żarcia, żadnych wart, żadnych służb, żadnych poleceń! Wolność, wolność, wolność! I wtedy zupełnie znikąd pojawiła się na korytarzu piękna kobieta, miała na sobie długą suknie z kwiatów. Szła lekko i zwinie zdawała się nie dotykać stopami podłogi. Rozwiane kasztanowe włosy sunęły za nią jak welon pani młodej. Jej uśmiech koił, a spojrzenie zapalało nadzieję. Radość budziła się w sercu każdego żołnierza obok którego przeszła. Doszła do końca korytarza i znikła tak jak się pojawiła. Tego ranka zobaczyliśmy Wolność – zawsze wiedziałem, że jest piękna...

Rozchodzimy się do sal, lecz nie kładziemy się spać, czy to się opłaca na te parę godzin?

Po śniadaniu odbywa się spotkanie w świetlicy z dowódcą jednostki. Pułkownik Tarasiak, w kilku żołnierskich słowach dziękuję za półtoraroczną służbę i życzy powodzenia w cywilu.

Wychodzimy ze świetlicy podbudowani pożegnaniem z dowódcą – dobrze, że chociaż nam podziękowali za ten trud włożony w służbę i poświęcony na nią czas najlepszych młodzieńczych lat. Dalej odbywają się już rutynowe czynności: zdawanie mundurów, butów, pościeli, koców, plecaków, masek gazowych, chlebaków – słowem całego osobistego wyposażenia, którym w trakcie służby obdarzyła nas armia. Dzieje się to bez żadnego pośpiechu, raczej w radosnym spokoju – mamy na to wystarczająco dużo czasu.

Po rozliczeniu się z umundurowania i wyposażenia czeka nas jeszcze jedna miła wizyta – pracujący w kancelarii finansowej sierżant wypłaca nam wyprawki. Odlicza kwotę siedmiuset kilku złotych, każe się podpisać i woła następnego. Schodzę po schodkach i wkładam pieniądze do kieszeni – nie pamiętam kiedy miałem przy sobie tyle forsy! To ponad dziesięć razy więcej niż żołą! Ale tak naprawdę w cywilu wystarczy tylko na przeżycie miesiąca lub dwóch. Będę musiał szybko znaleźć pracę...

Nerwowe wyczekiwanie. Siedzimy ubrani w cywilne ciuchy i dopijamy resztki wódki i piwa. Budynek koszar jest prawie pusty – wszyscy żołnierze są na zajęciach. Płaczymy się po korytarzu, chodzimy na świetlicę, ze świetlicy z powrotem do sali i tak kółko. Za oknem ćwierkają ptaki – to takie cywilne ćwierkanie. Czekamy na ostatni obiad w Monie. Falomierz wskazuje 001, a 000 będzie dopiero po obiedzie.

Nie wiadomo co ze sobą zrobić, to już ostatnie godziny w Bojęcynie. Wchodzę do sali, patrzę a Rysiek Pindel śpi na gołych sprężynach wozu – widocznie kac go zmorzył. Wychodzę z koszar i idę do dyżurnego łączności. Proszę go o połączenie z Warszawą i kładę na stoliku złotówkę – opłat skredytowanych dla nas już nie ma. Podnoszę słuchawkę i po kilku sygnałach słyszę głos Elizy. Rozmawiam z nią krótko, dzwonię tylko po to aby podzielić się nowiną, że już za dwie godziny wychodzę do cywila. Słyszę jak ona się cieszy i pyta:

- Jedziesz prosto do domu?
- Tak – odpowiadam. – Ale za tydzień dwa, wracam do Warszawy.
- O której masz pociąg?
- O szesnastej trzydzieści.
- Odprowadzę cię – proponuję ku mojemu zaskoczeniu. – Spotkajmy się o szesnastej przy kasach. W porządku?
- Jasne że tak! – nie kryję radości. – Zupełnie inaczej się odjeżdża, jeśli ktoś cię odprowadza – mówię, a w myślach dodaję „bo wiesz, że na ciebie czeka”.

Zamieniam z Elizą jeszcze kilka słów, następnie żegnam się z nią i odkładam słuchawkę. Wychodząc z pomieszczenia łączności jestem z siebie zadowolony, że zdecydowałem się na wykonanie spontanicznego telefonu, który wywołał tak nieoczekiwany pozytywny skutek. Same dobre rzeczy dzieją się wokół mnie!

Obiad – to już ostatni obiad w Monie. Każdy z nas jest tak podekscytowany, że w ogóle nie chce się jeść. Trzeba jednak coś przetrącić, bo następny posiłek to kolacja w domu po długotrwałej podróży. Nikt nie odchodzi od stolików, czekamy na ten wymarzony moment. Wreszcie nadchodzi. Wszyscy wstajemy i bierzemy do rąk metalowe tace. Falowcy wrzucają do talerzy ostatni centymetr falomierza i w tym momencie cały wychodzący do cywila pobór – dwudziestu kilku mężczyzn -krzyczy: Zero! Zero! Zero! Cywil!!! Żołnierze w stołówce wołają „Mało!!!” lecz ich okrzyk ginie w huku i łomocie, który powstaje kiedy po trzykroć uderzamy tacami o blaty stolików. W chwilę potem wyrzucone z siłą tace lecą na prawo i lewo, spadają z brzękiem na podłogę, uderzają w ściany, lądują na stolikach, na wydawce, strącają donice z kwiatami, rozbijają świetlówki. Huk, łomot raban, jakby się świat walił!. Kilku trepów wpada na stołówkę. Krzyczą, wołają, straszą, ale nikt ich nie słucha. Są purpurowi od bezsilnej złości – jeszcze wczoraj mogli kazać nam czołgać się w błocie – dziś mogą sobie tylko pokrzyzczyć, nikt nie zamierza ich słuchać. W odpowiedzi na ich rozkazy śpiewamy Rezerwę i w z jej słowami na ustach wychodzimy ze stołówki.

Szef kompanii zbiera książeczki wojskowe i po kwadransie przynosi je z stępem informującym o zakończeniu Zasadniczej Służby Wojskowej. Od tej pory jesteśmy już cywilami, nie tylko w sensie fałowym, ale również prawnym. Przez otwarte okna słychać ćwierkanie ptaków. Podobno autokar już podstawiony pod bramę...

Wychodzimy. Ci co mają chusty zarzucają je na plecy i opuszczamy salę. Schodzimy po schodach w dół i gromadzimy się przed budynkiem koszar. Czekamy na fałowców z innych kompanii. Co chwilę ktoś do nas dołącza. Słychać śmiech, żarty, dowcipy. Świat zdaje się być piękny, słońce tak ładnie świeci, to powietrze takie świeże rześkie, ten dzień taki cudowny! Wreszcie wszyscy jesteśmy w komplecie. Śpiewając Rezerwę idziemy w kierunku bramy. Czekają tam na nas licznie zgromadzeni żołnierze – przyszli oni popatrzeć, jak sami za jakiś czas będą wychodzić z wojska i zebrać dla swych dziadków drobne monety, które tradycyjnie wyrzuca rezerwa po wyjściu za bramę. Idziemy, śpiewamy, wychodzimy przez furtkę – chłopaki patrzą na nas z tezką w oku. Nie wiadomo czy to z żalu, że to jeszcze nie oni, czy dla tego, że jest to chwila rozstania, bo w tych trudnych warunkach nawiązało się wiele nici koleżeństwa i przyjaźni. Nigdy więcej się już nie zobaczymy. Na pewno obietnice o wzajemnym odwiedzaniu się, legną pod naporem codziennych spraw.

Po wyjściu za bramę przestajemy śpiewać. Kładziemy się na ziemi i robimy pompki. Osiemnaście sztuk – tyle ile odsłużyliśmy miesięcy - i wołając głośno wymieniamy wszystkie miesiące, które oddaliśmy wojsku:

Listopad!
Grudzień!
Styczeń!
Luty!
Marzec!
Kwiecień!
Maj!
Czerwiec!
Lipiec!
Sierpień!
Wrzesień!
Październik!
Listopad!
Grudzień!
Styczeń!
Luty!
Marzec!
Kwiecień!

Ktoś podnosi się i z zadyszka w głosie woła:

- Ale Maj jest już nasz!

Śmiejemy się radośnie. Rysiek wyjmuje płócienny worek z drobnymi monetami. Zanurzamy w nim ręce i nabieramy po garści groszówek. Podchodzimy do bramy i stojąc do niej tyłem wyrzucamy drobniki w górę za siebie. Deszcz groszówek spada na stojących za bramą żołnierzy. Młodzi natychmiast schylają się i zbierają pieniądze dla swych dziadków, którzy za trzy miesiące wyrzucą je tak jak my (zbiera je również pełniący służbę pomocnika oficera, sierżant – pewnie dlatego, że brakuje mu do paczki fajek w kantynie). Z daleka macha do nas ręka pan Marian. Wołając głośno życzy nam powodzenia w cywilu. Żegnamy stojących po drugiej stronie bramy żołnierzy, pocieszamy ich że służba szybko zleci i ani się obejrzą, a będą tak jak my wychodzić do cywila. Rozlega się warkot silnika stojącego przy drodze autokaru.

Koniec ceremonii! Roześmianą gromadą idziemy w kierunku otwartych drzwi. Ktoś namawia kierowcę, aby zatrzymał się przy sklepie spożywczym w Bojęcinie, żeby się zaopatrzyć w wódkę. Kierowca się zgadza, trep – dysponent pojazdu protestuje. Nie ważne! Kupi się w Warszawie. Wchodzimy po schodkach do środka i zajmujemy miejsca na fotelach. Odchylam firankę i widzę w bramie; kilkusobową grupkę żołnierzy, którzy zbierają resztki drobnych monet, chodzącego na placu wartownika, przysłonięty drzewami budynek sztabu oraz magazyn żywnościowy. W oddali widać dwóch żołnierzy niosących kanistry z paliwem, ktoś w czarnym ubraniu roboczym majstruje przy zaparkowanym przy PKT Starze, z komina na budynku koszar leci siwy dym – normalnym trybem toczy się tutaj wojskowe życie.

Kierowca wrzuca pierwszy bieg i autokar rusza do przodu. Rozlegają się radosne okrzyki. Mijamy murek z białej cegły, na którym umieszczono wykonany z pomalowanej na czarno blachy napis „Wojsko Polskie” i jedziemy drogą przez las. Autobus wiezie nas do cywilnego świata, do normalnego życia. Każdy z nas jest ciekaw jakie ono będzie. Co na niego czeka w cywilnym świecie?

*Jak długo na Wawelu
Zygmunta bije dzwon!
Tak długo w sercach naszych
Przeklęty będzie MON!*

*Niech żyje nam Rezerwa
Przez szereg długich lat!
Gdzie Rezerwiści piją
Dokola wódki brak...*

*Niech żyje nam Rezerwa
Przez szereg długich lat!
Gdzie Rezerwiści piją
Dokola wódki brak...*

Koniec
540 dni w armii

